

Czarodziejka

Varley John

Książka II z Tytan



calibre 0.9.43

Czarodziejka

(Wizard)

tom 03 cyklu Cirocco Jones

Przełożyły

Katarzyna Karłowska, Anna Rusińska

K.L. King

Kenneth J. Alford

John Philip Sousa

im tę książkę dedykuję

PROLOG

Najuczciwsza z Uczciwych

Przez trzy miliony lat Gaja obracała się w wyniosłej samotności.

Niektórzy jej mieszkańcy mieli świadomość istnienia rozleglejszej przestrzeni poza obrębem wielkiego koliska. Na długo przed stworzeniem aniołów ptakopodobne stworzenia wlatywały w olbrzymich czeluściach jej szprych, wyglądały przez okna ponad sklepieniem i poznały kształt Boga. Nigdzie w ciemności nie mogły dostrzec niczego, co przypominałoby Gaję.

Naturalny porządek rzeczy był taki: Bóg był światem, świat był kołem, a koło było Gają.

Gaja nie była bogiem zaborczym.

Nikt nie musiał jej wielbić i nigdy też nikomu się to nie przydarzyło. Nie wymagała ofiar, świątyń, ani nie potrzebowała chórów wysławiających jej przymioty.

Wygrzewała się w potężnym strumieniu energii w pobliżu Saturna. Jej siostry były rozsiane gdzieś po galaktyce. One również miały boską naturę, jednakże dzieląca je odległość wzmacniała teologię Gai. Ich rozmowy odbywały się z prędkością światła i rozciągały się na całe stulecia. Jej dzieci krążyły na orbicie wokół Urana. Dla istot zamieszkujących ich wnętrza również i one były bogami, jednakże ich faktyczne znaczenie było niewielkie. Gaja była Najwyższym Tytanem, Najuczciwszym z Uczciwych.

Gaja nie była dla swoich mieszkańców jakimś oderwanym pojęciem. Można ją było zobaczyć. Można też było z nią pomówić. By do niej dotrzeć, wystarczyło wspiąć się sześćset kilometrów. Był to porządny szmat drogi, jednakże jakoś mieścił się w granicach wyobraźni. Dla śmiałków, którzy poważyli się na wspinaczkę, oznaczało to istnienie niebios w zasięgu ich możliwości. Taka wizyta zdarzała się jednak przeciętnie raz na

tysiąclecie.

Modlitwa do Gai była zajęciem jałowym. Nie miała czasu, by wysłuchać wszystkich swoich mieszkańców, a nawet gdyby miała, to i tak wysłuchałaby tylko tych spośród nich, którzy odznaczyli się szczególnym męstwem. Była bogiem z krwi i kości, którego szkielet stanowił cały świat, bogiem o potężnych sercach i przepastnych arteriach, który karmił swój lud własnym mlekiem. Nie było ono słodkie, ale przynajmniej wystarczająco obfite.

Kiedy na ziemi wznoszono piramidy, Gaja uświadomiła sobie, że i w niej samej następują zmiany. Jej ośrodek świadomości ulokowany był w piąście olbrzymiego koliska, jednakże, wzorem ziemskich dinozaurów, jej mózg był zdecentralizowany po to, by zapewnić lokalną autonomię dla wykonywania bardziej prozaicznych spośród jej obowiązków. Dzięki takiemu rozwiązaniu Gaja mogła nie martwić się szczegółami. Przez bardzo długi okres system ten działał bez zarzutu. Na potężnej obręczy ulokowano dwanaście podrzędnych mózgów, z których każdy odpowiadał za swój rejon. Wszystkie te ośrodki uznawały zwierzchnictwo Gai. W gruncie rzeczy, początkowo nie można było w ogóle mówić o tych podmózgach jako o czymś odrębnym od niej samej.

Czas działał na jej niekorzyść. Doskonale znała śmierć, znała każdy etap procesu umierania i wszystkie jego podstępny. Nie obawiała się jej. Był przecież kiedyś taki czas, kiedy nie istniała, i dobrze wiedziała, że kiedyś znowu to się stanie. Wieczność dzieliła się gładko na trzy równe części.

Wiedziała, że Tytani podlegają starzeniu się – słuchała, jak trzy jej siostry pogrążają się w coraz bardziej zdegenerowanych mrzonkach i urojeniach, po czym milkną na zawsze. Nie mogła jednak przewidzieć, jakie niespodzianki zgotuje jej własne więdnące ciało. Żadna istota ludzka, nagle duszona przez jej własne ręce, nie byłaby bardziej

zdumiona, niż była Gaja, gdy jej prowincjonalne mózgi zaczęły stawiać opór.

W ciągu trzech milionów lat niepodzielnego władania Gaja nie miała okazji, by doskonalić się w sztuce kompromisu. Być może gdyby wcześniej zechciała wysłuchać skarg swoich satelitarnych mózgow, zdołałaby utrzymać pokój. Z drugiej strony do dwóch regionów zakradło się szaleństwo, a trzeci dyszał wrogością tak wielką, iż z szaleństwem graniczyła. Przez stulecia całe olbrzymie kolisko Gai wstrząsane było wojennym zgiełkiem. Te gigantyczne zmagania omal jej nie zniszczyły i pociągnęły za sobą ogromne straty wśród zamieszkujących ją ludów, które były równie bezradne, jak Hindusi w obliczu bóstw wedyjskiej mitologii.

Nie była to jednak walka tytanicznych postaci przemierzających krzywiznę obręczy, miotających gromy i olbrzymie głazy. Bóstwami uczestniczącymi w tych zmaganiach były same lądy. Rozum milkł, kiedy otwierała się ziemia, a szprychy ziały ogniem. Cywilizacje liczące sobie sto tysięcy lat znikwały bez śladu, a inne pogrążały się w otchłani zdziczenia.

Dwunastu regionów Gai nie było jednak stać na to, by się zjednoczyć przeciwko niej. Były na to zbyt uparte i zbyt nieobliczalne. Jej najwierniejszym sojusznikiem był kontynent zwany Hyperionem, jej nieprzejednanym wrogiem – Okeanos. Oba sąsiadowały ze sobą, oba też zostały spustoszone, zanim wojna przerodziła się w zbrojny rozejm.

Jakby bunt i wojna nie były wystarczającą hańbą dla starzejącego się boga, z zupełnie innej strony nadeszła jeszcze straszliwsza katastrofa. W mgnieniu oka przestworza wypełniły niezwykle, zdumiewające dźwięki.

Zrazu pomyślała, że były to pierwsze objawy wkradającego się zdziecinnienia, że pewnie sama wymyśliła te niemożliwe głosy z przestrzeni z imionami takimi, jak Lowell

Thomas, Fred Allen i Cisco Kid. W końcu jednak się na to złapała – stała się chciwym słuchaczem. Gdyby była łączność pocztowa z Ziemią, na pewno wysyłałaby nalepki z owałtyny do magicznych pierścieni. Kochała Fibber Mc Gee, była wiernym fanem Amosa i Andy'ego.

Została dotknięta chorobą telewizyjną tak samo ciężko, jak słuchacze radia w latach dwudziestych. Tak samo jak we wczesnym okresie radia, przez wiele lat większość programów telewizyjnych pochodziła ze Stanów i tę właśnie produkcję lubiła najbardziej. Śledziła wyczyny Lucy i Ricky i znała wszystkie odpowiedzi na „Pytanie za 64 tysiące dolarów”, które – jak ze zgrozą odkryła – było zwykłym szachrajstwem. Oglądała wszystko, czego jak podejrzewała, nie robili nawet sami producenci wielu z tych widowisk.

Były filmy i były też wiadomości. W elektronicznej eksplozji lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych szło o coś więcej, kiedy zaczęto transmitować całe biblioteki. W tym okresie jej studia nad kulturą ludzką wykroczyły poza zakres czysto akademicki. Kiedy oglądała Neila Armstronga na Księżycu, utwierdziła się we wcześniejszym przypuszczeniu, że któregoś dnia ludzie pojawią się w jej okolicy nie tylko jako elektroniczne przekazy, ale również osobiście.

Zaczęła się przygotowywać na spotkanie z nimi. Perspektywy nie były najlepsze. Byli wojowniczą rasą, wyposażoną w broń, która mogłaby ją unicestwić. Nie mogła oczekiwać, że łatwo przełkną istnienie tysiąc trzysta kilometrowego żywego boskiego organizmu w „swoim” systemie słonecznym. Przypomniała sobie słynną audycję radiową Orsona Wellesa z 1938 roku. Pamiętała też takie tytuły filmów, jak: „Ta wyspa Ziemia” i „Poślubiłam potwora z kosmosu”.

Wszystkie te plany spaliły na panewce, kiedy Okeanos, zawsze szukający okazji do

zadania Gai skrytobójczego ciosu, zniszczył „Ringmastera” – pierwszy statek, który do niej dotarł. Ludzie nie zachowali się jednak zgodnie z żadnym z najgorszych scenariuszy, jakie przewidywała. Kolejny statek, choć uzbrojony i gotowy ją zniszczyć, wstrzymał się z działaniami odwetowymi na tyle, by mogła przekazać stosowne wyjaśnienia. Pomogli jej w tym ocaleli członkowie pierwszej wyprawy. Utworzono ambasadę i wszyscy uprzejmie starali się nie dostrzegać statku, który zaparkował w bezpiecznej odległości, nie kwapiąc się do opuszczenia tej okolicy. Tym się akurat nie martwiła. Nie miała zamiaru prowokować go do wyładowania śmiertelnośnego ładunku, a możliwości podstępnych intryg Okeanosa też w końcu były ograniczone.

Zjechali się uczeni, by prowadzić badania. Potem pojawili się również turyści.

Przyjmowała wszystkich, o ile podpisali oświadczenie zwalniające ją z wszelkiej odpowiedzialności za to, co mogło im się tu przydarzyć.

W stosownym terminie została uznana przez rząd Szwajcarii i uzyskała zezwolenie na ustanowienie konsulatu w Genewie. Niedługo później uczyniły to także inne kraje i od 2050 roku stała się pełnoprawnym członkiem ONZ.

Spodziewała się spędzić lata starości na studiowaniu niezwyklej złożoności natury ludzkiej. Wiedziała jednak, że dla zapewnienia sobie prawdziwego bezpieczeństwa musi sprawić, by rasa ludzka naprawdę jej potrzebowała. Musi się stać niezbędna, a jednocześnie musi jasno dać do zrozumienia, że żaden naród nie może sobie do niej rościć wyłącznych praw.

Wkrótce znalazła sposób, by to osiągnąć.

Będzie czynić cuda.

1. Chorągiew kaprysu

W pełnym galopie, niczym uciekinier z oszalałej karuzeli, z mgły wynurzyła się

tytania. W zasadzie wyglądała jak tradycyjny centaur, tyle że pomalowany w białe pasy i kwadraty czerwieni, błękitu i żółci rodem z Mondriana. Od kopyt po brwi była kosmatym koszmarem, a stawką tego szaleńczego cwału było jej życie.

Runęła drogą biegnącą brzegiem morza, z ramionami skierowanymi do tyłu niczym srebrna statuetka z rolls-royce'a, buchając parą z szeroko rozwartych nozdrzy. Tłum deptał jej po piętach, wymachując pięściami i kijami i kręcąc zawzięcie na małych miejskich rowerkach. Ponad tłumem górował pojazd policyjny Maria, wykrzykującego rozkazy, których i tak nie było słychać w zgiełku klaksonów.

Chris'fer Mniejszy cofnął się jeszcze bardziej w głąb sklepionego tunelu, w którym skrył się, słysząc szalejące dźwięki klaksonów. Podniósł kołnierz kurtki i smętnie pomyślał, że wybrał sobie marne schronienie. Tytania z pewnością pomknie w stronę fortu, który był jedynym ukryciem w pobliżu. Pozostał jej jeszcze do przejścia tylko most, do którego dostępu broniło wysokie ogrodzenie i zatoka.

Właśnie ku niej zmierzała tytania. Przemknęła dziurawym asfaltem parkingu i przeskoczyła opuszczony łańcuch na skraju nabrzeża. Był to skok na miarę rekordu olimpijskiego. Wyciągnęła się przepięknie w powietrzu i przesadziła skały i płytką, spienioną wodę. Wylądowała z przeraźliwym pluskiem. Wynurzyła głowę i ramiona, a potem uniosła się jeszcze trochę. Przypominała stojącego po pas w wodzie człowieka. Ludzi to nie zadowoliło. Zaczęli wyrywać kawałki asfaltu i miotać je w stronę odmieńca. Chris'fer zastanawiał się, co takiego uczyniła ścigana. Tłum nie zachowywał się tak, jak zwykła dzicz, która po prostu nie cierpi obcych. To była wściekłość spowodowana konkretną przyczyną.

Policja w unoszącym się ponad rozszalałymi ludźmi pojeździe Maria włączyła słoneczne działko – urządzenie używane zazwyczaj w celu tłumienia rozruchów

uzbrojonego tłumu. Ubrania zaczęły się tlić, włosy trzeszczeć i skręcać. Błyskawicznie parking został opróżniony, a tłum wrzeszczał i przeklinał w zimnych wodach Zatoki.

Po chwili Chris'fer usłyszał buczenie nadlatujących paddykopterów. Nie był to pierwszy przypadek zamieszek, których był świadkiem. Był ciekaw, co je spowodowało, z drugiej jednak strony zdawał sobie sprawę z tego, że plątanie się w okolicy było najpewniejszą receptą na spędzenie następnego tygodnia w więzieniu. Odwrócił się i przez krótki korytarz wszedł do ceglanej budowli o dziwacznym kształcie.

Wewnątrz znajdowało się betonowe podwórze w kształcie trapezu, otoczone trzypiętrowym krużgankiem. Zewnętrzna ściana była w regularnych odstępach poprzębiana półmetrowymi, prostokątnymi otworami. Poza tym budowla nie wyróżniała się niczym szczególnym, wyglądała jak opuszczona ruina, tyle że dobrze wysprzątana.

Tu i ówdzie na drewnianych sztalugach umieszczono tablice, zapisane złotymi literami o staromodnym kroju, które wskazywały drogę do różnych części budynku. Małym drukiem wypisane były szczegółowe informacje.

W pobliżu środka podwórza tkwił mosiężny maszt flagowy. Na jego szczycie łopotała chorągiew, poruszana mocną bryzą od strony Golden Gate. Na czarnym polu skrzyło się złote koło o sześciu szprychach. Nie sposób było patrzeć na chorągiew i nie podążyć wzrokiem ku potężnemu zarysowi mostu zawieszzonego w przestrzeni.

To właśnie był Ford Point, zbudowany w dziewiętnastym wieku dla ochrony dostępu do Zatoki. Nie było już śladu po znajdujących się tu niegdyś działach. Była to wątpliwa obrona przed wrogim najazdem z morza, szczęśliwie jednak nic takiego dotąd się nie zdarzyło. Ford Point nie wystrzelił nigdy nawet jednego pocisku, chyba że na wiat.

Chris'fer zastanawiał się, czy budowniczowie przewidywali, że ich dzieło przetrwa 250 lat, nie zmienione od chwili, gdy położono ostatnią cegłę. Podejrzewał, że tak, ale

z pewnością zaniemówiliby z wrażenia, gdyby stali tam, gdzie on stał teraz, i spojrzeli w górę na pomarańczowy metal mostu dumnie wyginającego się w łuk ponad ceglanym monstrum.

Właściwie to most wcale nie był tak trwały. Po trzęsieniu ziemi w 1945 minęło 15 lat, zanim rozpięto nowe jezdnie pomiędzy zachowanymi pylonami.

Chris'fer zrobił głęboki wdech i wsunął ręce do kieszeni. Próbował jakoś odwlec to, z czym tu właściwie przyszedł. Musiał jednak to zrobić. Drogę wskazywał napis:

Tędy do Ambasady Gai

Ambasador jest obecny

Słowo „obecny” zostało nabazgrane na brudnym kawałku tektury przywieszonym na gwoździu.

Ruszył w kierunku, który wskazywał napis, przez drzwi i dalej korytarzem. Po lewej i prawej stronie wewnętrzne drzwi prowadziły do pomieszczeń z nie otynkowanej cegły.

Ambasada Gai nie zawierała niczego poza metalowym biurkiem i kilkoma snopkami siana opartymi o ścianę. Chris'fer wszedł i ujrzał wyciągniętą za biurkiem tytanie.

Ludzki korpus odziany był w operetkowy mundur, obwieszony mosiężnymi i złotymi ozdobami i szamerunkami. Końska część ciała przechodziła od barwy lekko kremowej do złotawej z białymi plamami; podobnego koloru były występujące z rękawów kurtki ręce. Najwyraźniej spała, chrapiąc niczym piła łańcuchowa. Ścisnęła złote wojskowe czako z długim białym piórem, a odrzucona do tyłu głowa ukazywała śniadą, złotawą szyję. Pusta butelka wciśnięta była w nakrycie głowy, druga stała na podłodze przy jej lewej zadniej nodze.

– Czy jest tam ktoś? – dobiegł głos spoza drzwi opatrzonych napisem: Jej

Ekscelencja Dulcimer (Hypomixolidyjskie Trio) Cantata.

– Titarsi, wpuść ich, dobrze? – Później rozległo się okropne kichanie, przechodzące w parskanie.

Chris'fer podszedł do drzwi, otworzył je w wahaniem i wetknął głowę do środka.

Ujrzał kolejną tytanie, która siedziała za biurkiem.

– Twoja... no... wydaje się, że jej się urwał film.

Tytania znowu parsknęła.

– Jak już, to jemu, a nie jej – powiedziała ambasador Cantata. – Nie ma w tym nic nadzwyczajnego. Tyle razy się już nabuzował, że pewnie nawet nie pamięta, czym i jak.

Tytanie miały całą kolekcję malowniczych określeń stanu alkoholowego upojenia.

Te, które przyleciały na Ziemię, były beznadziejnymi pijakami. Nie chodziło tylko o alkohol, który znały jeszcze na Gai, ale o agawę. Jej sfermentowany i przedestylowany sok tak im przypadł do gustu, że Meksyk stał się jednym z nielicznych krajów Ziemi, mających rozwinięty handel z Gają.

– Wejdz, proszę – powiedziała ambasador. – Tam jest krzesło. Zaraz będę z powrotem, wpierw muszę jednak sprawdzić, gdzie się podziewa Tzigane. – Zaczęła się podnosić.

– Jeśli masz na myśli taką puchatą tytanie, to mogę cię poinformować, że właśnie wskoczyła do Zatoki.

Ambasador zamarła z uniesionym zadem, wsparta dłońmi na biurku, a potem powolutku znowu usiadła.

– W Zachodniej Ameryce jest tylko jedna „puchata tytania” i tak się składa, że jest rodzaju męskiego i nazywa się Tzigane. – Popatrzyła spod zmrużonych powiek na Chris'fera. – Czy to był skok rozrywkowy, czy też miał jakiś poważniejszy powód?

– Powiedziałbym raczej, że Tzigane odczuł pilną potrzebę znalezienia się

w hrabstwie Marin. Ściagało go około pół setki ludzi.

Ambadorskie oblicze wykrzywił grymas.

– Znowu się włóczył po barach. Posmakował ludzkich przysmaków i ciągle mu mało. No dobra, gadaj, a ja zajmę się policją. – Sięgnęła po staromodny telefon bez tarczy i poprosiła o połączenie z burmistrzem. Chris’fer przyciągnął do biurka jedyne krzesło, jakie znajdowało się w pokoju, i usiadł. Kiedy tytania rozmawiała, rozejrzał się po jej biurze.

Powierzchnia była dostosowana do rozmiarów centaura. Wszędzie widać było dziewiętnasto – i dwudziestowieczne antyki oraz dzieła sztuki, samych mebli jednak było bardzo niewiele. W kącie stała przymocowana do podłogi staroświecka pompa z długą rączką; zwisające z sufitu nagie żarówki były osłonięte abażurami od Tiffany’ego.

W pobliżu jedyne okna stał opalany drewnem piec. Na ścianach wisiały obrazy i plakaty Picassa, Warhola i Janda G Mintony, a także mała czarna tabliczka z pomarańczowym napisem: „Kiedyś będę się musiała ZORGANIZOWAĆ!” Biurko stało pod ścianą na tle dwóch fotografii i portretu. Przedstawiały one Jana Sebastiana Bacha, Johna Philipa Souse oraz widzianą z kosmosu Gaję. Na biurku stało srebrne wiaderko z cytrynami. Połowę powierzchni podłogi pokrywała cienka warstwa siana. Oprócz tego w kątach ustawiono kilka bali. Ambasador Cantata odwiesiła słuchawkę, sięgnęła po butelkę tequeli i wiaderko, wyłowiła cytrynę i zakąsiła nią połowę butelki. Wykrzywiła się do niego.

– Pewnie nie masz soli, co? Potrząsnął głową.

– To niedobrze. Napijesz się? A może cytrynkę? Gdzieś tu powinienam mieć nożyk...

– Zaczęła przetrząsać szuflady i przestała dopiero wtedy, gdy uprzejmię odmówił.

– Wyglądała mi na osobnika żeńskiego – powiedział Chris’fer.

– He? Ach, mówisz o Tziganie. Nie, nie ty pierwszy się mylisz, musiały cię zmylić piersi. Wszyscy je mamy, ale w tym przypadku na pewno chodzi o mężczyznę. O płci decydują przednie organy. Pomiędzy przednimi nogami. W przypadku Tzigane rzeczywiście z daleka trudno się zorientować. Dla twojej informacji: ja jestem kobietą, możesz mnie nazywać Dulcimer. A w ogóle jak masz na imię i czym mogę ci służyć?

Wyprostował się nieco za biurkiem.

– Nazywam się Chris’fer Mniejszy i potrzebuję wizy. Chciałbym odwiedzić Gaję.

Wypisał starannie swoje nazwisko na formularzu wyjętym z całego stosu leżącego na biurku. Tytania spojrzała i odsunęła blankiet.

– Sprzedajemy wizy na wszystkich większych lotniskach – powiedziała. – Nie musiałeś się tutaj fatygować. Po prostu przyjdź z gotówką i włóż ją do automatu wizującego.

– Nie – powiedział trochę niepewnym głosem. – Chcę się widzieć z samą Gają. Jest moją ostatnią szansą.

2. Szaleniec

- A więc o taki cud chodzi – powiedziała tytania z nienagannym akcentem irlandzkim. – Chcesz stanąć na samym szczycie i prosić Gaję o spełnienie twego życzenia. Chcesz, by marnowała swój cenny czas na rozwiązywanie problemu, który wydaje ci się ważny.
- Coś w tym rodzaju – przerwał, przygryzając dolną wargę. – Myślę, że dokładnie tak.
- Pozwól mi zgadnąć. Problem zdrowotny. Więcej, niezwykle poważny problem zdrowotny.
- Owszem, zdrowotny, ale niekoniecznie z tych najpoważniejszych. Słuchaj, to jest...
- Zaraz, chwileczkę! Uniosła ręce dłońmi ku niemu. Chyba wpadłem – pomyślał Chris.
- Wypełnijmy może najpierw do końca ten formularz, dobrze? Czy w imieniu Chris'fer jest tu apostrof? – Polizała koniuszek ołówka i wpisała datę u góry strony. Następných kilka minut upłynęło na zbieraniu standardowych informacji wymaganych przez wszystkie urzędy państwowe świata: numer identyfikacyjny, imię żony, wiek, płeć (WA 3874-456-11093, brak, 29, mężczyzna heteroseksualny). Każdy człowiek w wieku sześciu lat potrafi to wszystko wyrecytować nawet obudzony w środku nocy.
- Powód, dla którego chce widzieć Gaję – odczytała wreszcie tytania. Chris'fer złożył dłonie, częściowo skrywając za nimi twarz.
- Mam taką przypadłość. To... dość trudno opisać. Ma to związek z gruczołami albo z systemem nerwowym. Właściwie nie są do końca pewni. Jak dotąd zaobserwowano zaledwie około setki takich przypadków; jedyna nazwa na to, jaką znam, to Syndrom

2096/15. Problem sprowadza się do tego, że tracę kontakt z rzeczywistością. Czasem przychodzi niezwykle, przemożny lęk. Innym razem pogrążam się w urojonych światach, gdzie może mi się przytrafić niemal wszystko. Czasami nie pamiętam niczego. Mam omamy, mówię obcymi językami, mój potencjał Rhine'a ulega gwałtownym wahaniom. Możesz mi wierzyć albo nie, ale jak dotąd miałem masę szczęścia. Jeden z lekarzy przypuszcza, że to właśnie ten dodatkowy czynnik psi, wkraczający w obszar parapsychologii, uchronił mnie na razie od tarapatów. Nie zdarzyło mi się nikogo zabić, ani też nie próbowałem latać, skacząc z dachu wieżowca. Tytania parsknęła.

– Jesteś pewny, że chcesz się leczyć? Większość z nas jakoś sobie radzi przy odrobinie szczęścia.

– To wcale nie jest zabawne, w każdym razie nie dla mnie. Tej dolegliwości nie ruszają żadne lekarstwa, wszystko, co można w tej chwili zrobić, to zastosować środki uspokajające, kiedy zaczyna mnie brać. Przez te wszystkie lata poddano mnie wszelkim możliwym analizom psychologicznym, a cały ich rezultat to stwierdzenie, że problem jest natury medycznej. W mojej przeszłości nie doszukano się żadnego urazu, który mógłby wywołać te objawy, i brak też takiego czynnika w moim obecnym życiu. Żałuję, że jednak na coś takiego nie natrafili. Wiadomo byłoby przynajmniej, jakie korekty psychologiczne wprowadzić. Gaja jest moją ostatnią nadzieją. Jeżeli i ona mnie zawiedzie, resztę życia spędzę na oddziale zamkniętym. – Kiedy mówił, bezwiednie zacisnął dłonie pod brodą. Teraz je opuścił.

Ambasador przyjrzała mu się ogromnymi, niezgłębionymi oczami, a potem ponownie zagłębiła się w kwestionariuszu. Chris'fer obserwował ją, jak pisze. W rubryce „Powód ubiegania się o wizę” napisała „choroba”. Spojrzała ze zmarszczonymi brwiami, wymazała i wpisała „szaleństwo”.

Poczuł, jak palą go uszy. Już miał zamiar głośno zaprotestować, gdy tytania zadała kolejne pytanie.

– Jaki jest twój ulubiony kolor?

– Niebieski. Nie, zielony. Czy... rzeczywiście jest takie pytanie?

Przesunęła papier tak, by mógł się przekonać, że istotnie była taka rubryka.

– No więc jak, zielony?

Zbity z tropu, przytaknął z wolna.

– Ile miałeś lat, kiedy straciłeś cnotę?

– Czternaście.

– Jak miała (miał?) na imię i jakie miała (miał?) oczy?

– Lyshia. Niebieskozielone.

– Czy kiedykolwiek później miałeś z nim czy nią stosunek?

– Nie.

– Kto twoim zdaniem jest największym muzykiem przeszłości lub doby obecnej?

Chris'ferowi zaczęło to przesłuchanie działać na nerwy. Prywatnie sądził, że najlepsza była Rea Pashkorian; miał wszystkie jej nagrania.

– John Philip Sousa.

Wyszczrzyła zęby w uśmiechu nie podnosząc wzroku znad formularza, budząc jego szczere zdziwienie. Oczekiwał, że zostanie zbesztany za brak powagi albo za nadmierne przypochlebianie się, ale ją ten dowcip wyraźnie rozbawił. Z westchnieniem poddał się dalszemu przesłuchaniu.

Pytania miały teraz coraz mniej związku z jego zamierzoną wyprawą. Zawsze wtedy, gdy wydawało mu się, że łapie ukryty sens, kolejne pytanie wszystko przewracało do góry nogami. Niektóre pytania dotyczyły sytuacji, w których chodziło o wybór moralny,

inne sprawiały wrażenie wymyślonych przez szaleńca. Próbował zmusić się do powagi, nie wiedząc, na ile wynik tego przesłuchania może wpłynąć na jego szanse. Zaczął się obficie pocić, mimo iż w pokoju było chłodno. Nie sposób było odgadnąć, jaka odpowiedź zostanie uznana za prawidłową, pozostawało mu więc tylko mówić szczerą prawdę. Słyszał, że tytanie były bardzo zręczne w wykrywaniu fałszu u ludzi. W końcu jednak miał już tego zupełnie dosyć.

– Dwoje dzieci przywiązano na drodze zbliżającego się pociągu grawitacyjnego.

Starczy ci czasu tylko na uwolnienie jednego z nich. Oboje są ci obcy, są też w tym samym wieku. Jedno to chłopiec, drugie – dziewczynka. Które uratujesz?

– Dziewczynkę. Nie, chłopca. Nie, uratuję jedno i wrócę i... Niech to cholera! Nie mam zamiaru odpowiadać dalej na te pytania, jeżeli ty... – przerwał gwałtownie.

Ambasador rzuciła ołówkiem i siedziała z głową ukrytą w dłoniach. Zdjął go strach tak gwałtowny i tak nagły, że pomyślał, iż zbliża się atak.

Tytania wstała i podeszła do pieca, otworzyła drzwiczki i wybrała kilka polan. Była odwrócona plecami do niego. Jej skóra od kopyt po głowę miała taką samą barwę i fakturę jak skóra ludzi rasy kaukaskiej. Była prawie zupełnie pozbawiona owłosienia, za wyjątkiem głowy i wspaniałego ogona. Kiedy siedziała za biurkiem, łatwo było zapomnieć, że nie jest człowiekiem. Kiedy wstała, jej nieludzka natura rzucała się w oczy z całą jaskrawością, właśnie dlatego, iż tors był tak bardzo człowieczy w kształcie.

– Nie musisz już odpowiadać na żadne pytania – powiedziała. – Dzięki Gai, tym razem nie ma to większego znaczenia. – Imię bogini zabrzmiało gorzko w jej ustach.

W pewnej chwili, ładując drewno do pieca, zadarła ogon na grzbiet i zrobiła to, co każdy koń robi na defiladzie – zwykle przed trybuną honorową – z takim samym brakiem wszelkiego wstydu. Widać było, że zdarzyło się to jej bezwiednie. Chris’fer odwrócił

oczy z zakłopotaniem. Tytanie były tak dziwną mieszaniną powszedniości i egzotyki.

Kiedy skończyła, sięgnęła po szufłę opartą o ścianę, zgarnęła kupę wraz z sianem zaścielającym podłogę i wrzuciła wszystko do kubła pod ścianą. Potem usiadła i spojrzała na niego z krzywym uśmiechem.

– Teraz już wiesz, czemu nie zapraszają mnie na przyjęcia. Jeżeli nie myślę o tym bez ustanku, w każdej cholernej chwili... – Już wiedział, jakie mogą być skutki.

– Co miałaś na myśli, mówiąc, że „tym razem to nie ma znaczenia”?

Uśmiech nagle zniknął z jej twarzy.

– Chciałam powiedzieć, że decyzja nie należy do mnie. Trudno uwierzyć, ile rzeczy może was, ludzi, zabić, a z roku na rok jest tego więcej. Czy wiesz, ilu ludzi zwraca się do mnie o ułatwienie widzenia z Gają? Otóż co roku ponad dwa tysiące. Tak, tak!

Dziewięćdziesiąt procent z nich umiera. Dostaję listy, telefony, nieustannie przyjmuję wizyty takich ludzi. Dostaję błagalne prośby ich dzieci, mężów i żon. A czy wiesz, ilu w ciągu roku mogę wysłać na Gaję? Dziesięciu!

Sięgnęła po butelkę tequilli i pociągnęła solidny łyk. Bezwiednie zgarnęła dwie cytryny i schrupała je jednym kłapnięciem zębów. Zdawała się patrzeć na piec, ale jej oczy tonęły gdzieś w nieskończoności.

Tylko dziesięciu?

Odwróciła głowę i spojrzała na niego z pogardą.

Chłopcze. Dobry jesteś. Naprawdę dobry. Nawet nie masz pojęcia jak bardzo.

– Ja...

– Daruj sobie. Myślę, że naprawdę się nad sobą litujesz. Zdaje ci się, że ci ciężko w życiu. Chłopie, mogłabym ci opowiedzieć takie rzeczy... zresztą mniejsza z tym.

Ludzie całymi latami uczą się, jak mnie wykołować, mnie i trzech innych ambasadorów.

Żeby być jednym z tych czterdziestu. – Walnęła pięścią w stos podań. – Napisano już grube na cal książki, rozszyfrowujące ten formularz i podsuwające odpowiedzi.

Komputery analizują odpowiedzi tych, którym się udało. – Zgarnęła stos i śmignęła nim w górę, wzniecając krótkotrwałą śnieżycę, która zaścieliła całą podłogę pokoju.

– Jak chcesz się do tego dobrać?

– Zabierałam się już do tego na wszelkie możliwe sposoby i zawsze wszystkie odpowiedzi były złe. Próbowałam myśleć tak, jak myślałby człowiek, podejmować decyzje, jakie podjęliby ludzie. Zauważyłam, że wszystko zaczyna się zawsze od dziewięciu albo dwunastu kwestionariuszy. Poszłam więc tym tropem, w nadziei, że odpowiedzi coś przyniosą. Niestety, było to tak samo mądre jak rzucanie kostką czy wróżenie ze szklanej kuli. Tak, tak, mam taką kryształową kulę. I rzucałam już kości o ludzkie życie. Mimo to tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąt decyzji, jakie podejmuję co roku, jest złych. Robiłam, co mogłam, przysięgam ci, próbowałam dobrze wywiązać się ze swoich obowiązków. Teraz chcę tylko wrócić na obręcz.

Westchnęła tak głęboko, że aż zadrżały jej nozdrza.

– Myślę, że jest coś specyficznego w obręczy. Co godzinę przechodzisz cykl.

Normalnie nie czujesz tego, ale kiedy tracisz z tym kontakt, wiesz o tym. Nie rozpoznajesz już sedna rzeczy. Zegar twojej duszy przestaje się przesuwać do przodu.

Wszystko się rozlatuje, wszystko staje się tak bardzo odległe.

Kiedy zamilkła na długą chwilę, Chris'fer odchrząknął.

– Nic o tym nie wiedziałem. Znowu parsknęła.

– Dziwię się, że tu przyleciałaś i podjęłaś się tej pracy, tak mocno to odczuwając. I...

dziwię się, że w twoim głosie brzmi jakby niechęć do Gai. Myślałem, że dla tytanii jest ona rodzajem boga.

Popatrzyła nań poważnie i powiedziała beznamiętnie:

– Jest bogiem, Panie Mniejszy. Przybyłam tu właśnie dlatego, że ona jest bogiem i kazała mi tu przybyć. Dobrze byłoby, abyś o tym pamiętał, kiedy staniesz przed jej obliczem. Rób, co ci każe. Czy jej nie lubię? Oczywiście. Gaja nie wymaga miłości. Wymaga posłuszeństwa i, do diabła, zapewniam cię, że dostaje, co chce. Tym, którzy jej nie słuchają, mogą się przydarzyć paskudne rzeczy. Nie mówię o potępieniu w rodzaju piekła, mam na myśli demona, który pożera cię żywcem. Nie Kocham jej, mam jednak przed nią ogromny respekt. Lepiej będzie, jak się będziesz pilnował. Jest w tobie jakiś nieokreślony fatalizm. Przyszedłeś tu nie przygotowany, zupełnie nieświadomy rzeczy, o których wiedziałbyś, gdybyś przeczytał choćby tylko odpowiednie hasło w encyklopedii „Britannica”. Na Gai takie rzeczy nie przejdą.

Chris’fer powoli zaczął zdawać sobie sprawę z sensu tego, o czym mówiła, nadal jednak nie mógł w to jeszcze uwierzyć.

– Tak, jedziesz. Być może pomogło ci szczęście. Nie powinnam w ogóle brać pod uwagę czegoś takiego jak szczęście, dostałam jednak od Gai pewne wskazówki. Otóż potrzebuje ona pewną ilość ludzi dotkniętych szaleństwem. W tym tygodniu jesteś pierwszym kandydatem podpadającym pod tę kategorię. Wysłanie cię może być dla mnie nawet powodem do satysfakcji. Miałam skrupuły, że odrzucę wielkiego filantropa na korzyść jakiegoś rozczulającego mordercy. W tym towarzystwie wypadasz zupełnie nieźle. Chodź ze mną.

W biurze była roztrzęsiona, ale żywa tytania i trójka ludzi. Kobieta z zaczerwienionymi oczami podeszła do ambasadora.

Próbowała zawile powiedzieć coś o dziecku. Dulcimer (Hypomixolidyjskie Trio) Cantata pospiesznie zakręciła się koło niej i zwawo ruszyła korytarzem. Chris’fer

widział, jak kobieta szuka pociechy w ramionach mężczyzny o twardym obliczu. Nie dostrzegął w jej oczach oskarżenia – w żaden sposób nie mogła wiedzieć, że to on został wybrany.

Dogonił tytanie w tunelu i musiał biec, by dotrzymać jej kroku. Przeszli dookoła fortu po północnej stronie, od Zatoki.

Pozbądź się tego apostrofu – powiedziała.

– Co?

W imieniu. Zmień je na Chris. Nienawidzę apostrofów.

– Ja...

– Nie zmuszaj mnie, żebym powiedziała, że nie wyślę kogoś o takim głupim imieniu jak Chris'fer na Gaję.

– W porządku. Dobrze. To znaczy... zmienię imię. Otworzyła furtkę w płocie, który zamykał wejście na most, i poszli dalej.

– Zmień nazwisko na Większy. Być może pozbędziesz się w ten sposób tego fatalizmu.

– Dobrze.

– Załatw to w sądzie i prześlij mi papiery.

Dotarli do podstawy ogromnego betonowego dźwigara mostu. Przymocowano doń metalową drabinę. Niknęła w oddali, wydawało się jednak, że można nią dotrzeć aż do jezdni mostu, chociaż nie miała żadnego zabezpieczenia.

– Twój paszport jest na szczycie południowego filara. To mała flaga Gai, taka sama jak ta przed ambasadą. Wejdz po tej drabinie na samą górę, weź go i wracaj. Poczekam tu.

Chris'fer popatrzył na drabinę, a potem w dół ku podstawie mostu. Wytarł spotniałe

dłonie o spodnie.

– Mógłbym spytać, po co to wszystko? To znaczy, oczywiście zrobię to, jeśli muszę, ale jakie to ma znaczenie? Wygląda to na jakąś grę.

– Bo to jest gra, Chris. Bezsensowna, przypadkowa. Jeśli nie możesz pokonać nawet takiej nędznej drabiny, to na pewno nie jesteś wart, by cię wysłać na Gaję. No jazda, ruszaj, chłopcze. – Uśmiechnęła się, ale pomyślał, że pomimo deklarowanej sympatii dla istot ludzkich na pewno szczerze by się ubawiła, gdyby spadł. Postawił stopę na pierwszym szczeblu, podciągnął się i poczuł jej dłoń na ramieniu.

– Kiedy dostaniesz się na Gaję – powiedziała – nie oczekuj zbyt wiele. Od tej chwili będziesz w rękach potężnej i nieobliczalnej mocy.

3. Wyjec

Konwent został utworzony pod koniec dwudziestego wieku, chociaż nie pod tą nazwą. Miał charakter bardziej polityczny niż religijny. Zapiski dotyczące wcześniejszego okresu grupy potwierdzają, iż większość członków-założycieli bardzo wielu rzeczy nie brała poważnie. Niewielu tak naprawdę wierzyło w Wielką Matkę czy w magię. Czary były z początku jedynie spoiwem scalającym ich w jedną społeczność. Z upływem czasu dyletanci się znudzili, umiarkowani i bojaźliwi odeszli, a pozostali zaczęli traktować swoje obrzędy naprawdę serio. Zaczęły dochodzić słuchy o ofiarach z ludzi. Mówiono, że kobiety na wzgórzu topiły nowo narodzonych chłopców. To wszystko spowodowało, że członkowie grupy mieli się na baczności, trzymając się razem w obronie przed nieprzyjaznym otoczeniem. Przenosili się kilkakrotnie, lądując wreszcie w zapadłym zakątku Australii. Tam też Konwent pewnie by zginął śmiercią naturalną, ponieważ jego członkowie poprzysięgli sobie nie rozmnażać się, dopóki nie zostanie wynaleziony praktyczny sposób na dzieworództwo. Pojawił się jednak Wyjec, który wszystko odmienił.

Wyjec był asteroidą, zawierającą miliony ton żelaza, niklu i lodu i naszpikowaną pasmami zanieczyszczeń niczym bryła marmuru. Pewnego pięknego majowego poranka pojawił się jako kreska światła na południowym niebie. Lód stopił się i wyparował, jednakże żelazo, nikiel i zanieczyszczenia wałnęły w pustynię, na której skraju ulokowana była posiadłość Konwentu. Jednym z zanieczyszczeń było złoto, innym był uran.

Dobrze, że Wyjec uderzył w przeciwległy skraj pustyni, ale nawet z tak dużej odległości podmuch zgładził sześćdziesiąt procent wiernych. Wieści o szczególnym składzie asteroidy szybko się rozeszły. W ciągu jednej nocy Konwent zamienił się

z zapomnianej sekty, jakich wiele, w religię dostatecznie bogatą, by konkurować z katolikami, mormonami czy scjentologami.

Wyjec zapewnił również grupie niepożądany rozgłos. Wydawało się, że Australia jest miejscem niezwykle dogodnym, by uciec od społeczeństwa, okazało się jednak, że pustynia jest zbyt łatwo dostępna. Konwent zapragnął odnaleźć nowe znaczenie słowa „odległy”.

Były to lata trzydzieste XXI wieku i tak się złożyło, że znalazło się takie naprawdę „odległe” miejsce.

Kiedy dwa ciała krążą po orbitach o wspólnym ośrodku, tak jak to ma miejsce w przypadku Ziemi i Księżyca, tworzy się pięć punktów grawitacyjnej stabilności. Dwa znajdują się na orbicie mniejszego ciała, przesunięte o 60 stopni. Jeden znajduje się pomiędzy dwoma ciałami; kolejny na najbardziej odległej stronie mniejszego ciała. Są nazywane punktami La Grangiana i oznaczone są symbolami od L1 do L5.

L4 i L5 były już skolonizowane, a w budowie były kolejne osiedla. Najlepszym miejscem zdawał się być więc L2. Ziemia była w tym miejscu całkowicie przesłonięta przez Księżyc.

Tu właśnie zbudowano Konwent. Był to cylinder o długości siedmiu kilometrów i promieniu dwóch kilometrów. Obrót wokół osi zapewniał sztuczne ciężenie; noc symulowano, po prostu zamykając okna.

Odosobnienie, które było celem całego przedsięwzięcia, na dobrą sprawę skończyło się, zanim jeszcze się zaczęło. Konwent był jednym z pierwszych ugrupowań pozarządowych, które na wielką skalę ruszyło w kosmos, nie był jednak ostatnim.

Wkrótce potem techniki kosmicznej kolonizacji zostały znacznie udoskonalone, standaryzowane, a ich koszt znacznie się obniżył. Przedsiębiorstwa budowlane zaczęły

takie urządzenia wytwarzać taśmowo, niczym Henry Ford swój model T. Wymiary były dowolne: od zaledwie gigantycznych do gigantycznych w skali krainy Brobolingnag z podróży Guliwera.

Okolica zaczęła się zaludniać w zastraszającym tempie, a sąsiedzi byli raczej osobliwi. Wszelkiej maści maniacy i odchyleńcy, banda separatystów czy też towarzystwo wrzaskunów. L2 zaczęło być przez pilotów nazywane punktem Sargassowym, którego starannie unikali. Ci, którzy musieli tamtędy lecieć, nazywali je automatycznym bilardem i mówili to bez uśmiechu.

Niektóre z tych grup nie były w stanie doglądać skomplikowanych mechanizmów. Ich członkowie oczekiwali życia w prymitywnych warunkach wewnątrz czegoś, co miało przypominać wielką i pustą puszkę po kawie. Budowniczości takich obiektów najczęściej byli szczęśliwi, jeśli byli w stanie spełnić ich oczekiwania, sądząc, że całe kosztowne wyposażenie – jeśli je takim typom zainstalować – po prostu by zmarniało. Co kilka lat jedna z takich kolonii rozlatywała się, rozsiewając swoich mieszkańców po niebie. Częściej jednak psuło się coś w sztucznych ekosystemach i ludzie umierali z głodu lub dusili się. Zawsze wtedy znajdował się ktoś, kto chciał przejąć wrak, wysterylizować go świeżą próżnią i wprowadzić się tanim kosztem. Na Ziemi nigdy nie brakowało osobników wyobcowanych i niezadowolonych. ONZ z przyjemnością się ich pozbywała, nie zadając zbyt wielu pytań. Był to czas spekulacji – fortuny pojawiały się błyskawicznie, gromadzone często mocno wątpliwymi sposobami. Zawierane były transakcje, które wydałyby się absolutnie szokujące dla pośrednika w handlu nieruchomościami na Florydzie.

W punkcie Sargassowym wylęgały się kultury bardziej podobne tkance rakowej niż prawdziwym społecznościom. W koloniach La Grangiana zrodziły się i wyginęły

najbardziej represyjne reżimy, jakie kiedykolwiek znała ludzkość.

Konwent był jednak czymś innym. Chociaż w L2 byli zaledwie od pięćdziesięciu lat, zaliczali się do pionierów i podobnie jak to ma wszędzie miejsce, zdumiewał ich poziom następnych fal osadników. O swoich początkach dawno już zapomnieli. Wiek, zamożność i bezlitosne środowisko uczyniło z nich żywotną i odporną grupę o zdumiewającym zakresie wolności osobistej. Górował liberalizm. Grupy reformatorskie zastąpiły dotychczasowych zwolenników twardego kursu. Rytuał znowu zszedł na dalszy plan i kobiety zwróciły się do tego, co było w istocie – choć o tym nie mogły wieniec – oryginalną etyką grupy: lesbijskiego separatyzmu. Określenie „lesbijski” zatraciło swoją ostrość. Na Ziemi dla wielu kobiet stosunki lesbijskie były reakcją na niesprawiedliwość, jaką znosiły od mężczyzn. W przestrzeni kosmicznej, w odosobnieniu, stały się zjawiskiem naturalnym, niekwestionowaną podstawą wszelkiej rzeczywistości.

Mężczyźni byli czymś abstrakcyjnym i rozmazanym w mgle niepamięci, potworami, którymi straszono się dzieci, i to potworami raczej nieciekawymi.

Dzieworództwo nadal było jedynie marzeniem. By mieć dzieci, kobiety importowały nasienie. Eugenika stała się łatwa w tym znaczeniu, że płód męski dawało się wcześniej wykryć i zniszczyć w zarodku. Spermę, jak każdy towar, była dostarczana bez gwarancji, na całkowite ryzyko odbiorcy.

4. Mały olbrzym

Robin posuwała się lekko na palcach w dół krętego korytarza. Małe ciążenie w pobliżu osi obrotu kompensowało jej znużenie, ale i tak czuła je w plecach i ramionach. Nie powinna jednak okazywać zmęczenia ani lekkiej depresji, które zawsze wyносиła z warty.

Ubrana była w biały, chłodzony wodą skafander starego typu; rękawice i buty

upchnęła w hełmie, który dźwigała pod pachą. Kombinezon był tu i ówdzie podarty i połatany, a metalowe okucia zmatowiały. Z pasa narzędziowego zwisał jej automatyczny colt 45 w ręcznie szytym futerale oraz rzeźbiony drewniany amulet ozdobiony piórami i ptasimi szponami. Bosa, z długimi paznokciami u rąk i nóg pomalowanymi na ciemnoczerwono, z jasną grzywą potarganych włosów, wymalowanymi ustami i dzwoneczkami zwisającymi z płatków uszu i nosa mogła uchodzić za barbarzyńcę plądrującego cuda techniki. Wygląd zewnętrzny może jednak mylić.

Jej prawe ramię zaczęło nagle dygotać. Zatrzymała się i spojrzała na swoją rękę pustym wzrokiem, ale szmaragdowe Oko wytatuowane na środku jej czoła zaczęło się pocić. Nienawiść, dobry znajomy, znowu wzbierała. To nie była jej ręka, to nie mogła być jej ręka, ponieważ to oznaczałoby, że również i słabość była jej słabością, a nie czymś zewnętrznym, co ją tylko nawiedza. Zmrużyła oczy.

– Przestań – wyszeptała – albo cię odetnę. – Powiedziała to najzupełniej poważnie i wbiła paznokieć kciuka w skrawek skóry, gdzie kiedyś był mały palec, by udowodnić sobie samej, że to rzeczywiście zrobi. O dziwo, najtrudniejsze było skierowanie ostrza na właściwy punkt ręką, która dźgała na oślep. Bolało, ale atak niemal natychmiast minął. Drzenie ustąpiło. Czasami w zupełności wystarczała groźba.

Opowiadano, że odgryzła sobie palec. Nigdy ani słowem nie próbowała tej historii zdementować. Był taki przymiot zwany labrą, który czarownice niezmiernie ceniły. Miał wiele wspólnego z honorem, twardością, stoicyzmem i ze wschodnim pojęciem obowiązku. Mógł obejmować również zdolność do oddania życia w imię jakiegoś celu, i to z fasonem, albo do spłacenia długów za wszelką cenę, jednostkom lub społeczeństwu. Uparte stanie na warcie przy nieustannych atakach paraliżu także

wymagało posiadania tego przymiotu w obfitości. Tym bardziej odcięcie palca dla powstrzymania ataków. Czarownice mówiły, że Robin ma go wystarczająco dużo, by wypełnić łona dziesięciu zwykłych kobiet.

Jednak stanie na warcie wtedy, gdy mogło to zagrażać społeczeństwu, w ogóle tej cechy nie wymagało. Robin wiedziała o tym i wiedzieli o tym również co bardziej świątli członkowie Konwentu, ci, którzy nie dali się omamić jej młodą legendą. Brała warty, ponieważ nikt w radzie nie mógł jej spojrzeć w oczy i odmówić. Trzecie Oko, beznamienne i wszechwiedzące, tylko przydawało wagi jej twierdzeniom, że może powstrzymać ataki samą siłą woli. Dwanaście czarownic nabyło prawo do noszenia Trzeciego Oka. Wszystkie były dwa razy starsze od Robin. Nikt nie mógł przeszkodzić Robin Dziewięciopalcej.

Oko miało być znakiem nieomyślności. Były pewne granice i wszyscy milcząco to przyjmowali, bo było to przydatne. Niektóre z tych, które nosiły Oko, używały je do podtrzymywania absurdalnych stwierdzeń, do zdobywania wszystkiego, czego tylko zapragnęły, po prostu przez zwykłe stwierdzenie posiadania. Zyskały sobie wyłącznie niechęć. Robin zawsze mówiła absolutną prawdę w sprawach małych, rezerwując Oko dla Wielkiego Kłamstwa. Zyskała sobie tym szacunek, coś, czego potrzebowała najbardziej. Miała zaledwie dziewiętnaście lat i w każdej chwili mogła paść bezsilnie z pianą na ustach. W takich chwilach człowiekowi szczególnie potrzeba właśnie szacunku.

U Robin ataki nigdy nie powodowały utraty przytomności, nigdy też nie miała trudności z przypomnieniem sobie wydarzeń. Po prostu traciła kontrolę nad mięśniami na okres od 20 minut do 3 dni. Momentu nadejścia ataku nie można było przewidzieć, z jednym wszakże wyjątkiem: im większa była miejscowa siła ciężenia, tym ataki te były

częstsze. Dlatego też większość czasu spędzała w pobliżu osi obrotu, uciekając od normalnego ciężenia, jakie panowało w obwodowych rejonach Konwentu.

To znacznie ograniczało jej aktywność, czyniąc z niej wygnańca z domem zawsze w zasięgu wzroku. Końce cylindra zwanego Konwentem składały się z szeregu tarasowatych, koncentrycznych kręgów. Domostwa były umieszczone w dolnych pierścieniach o największym ciężeniu, gdzie ludzie czuli się najwygodniej. Parter był zastrzeżony dla upraw, hodowli i terenów zielonych. Dalej, gdzie siła ciężenia była najmniejsza, znajdowały się maszyny. Robin nigdy jednak nie schodziła poniżej poziomu jednej trzeciej normalnego ciężenia.

Jej dolegliwość nie była epilepsją, którą można by leczyć. Lekarze Konwentu nie byli gorsi niż na Ziemi, jednakże struktura nerwowa Robin była dla nich zupełnie czymś nowym. Jej opis można było znaleźć wyłącznie w najnowszych pismach medycznych. Ziemianie nazywali ją Kompleksem Wysokiego Ciężenia. Było to zaburzenie genetyczne, nowa mutacja, która powstała z okresowych odkształceń powłok nerwowych, pogłębionych przez zmiany składu krwi przy wysokim ciężeniu. W stanie nieważkości zmiany chemiczne zachodzące w krwi powstrzymywały ataki. Mechanizm schorzenia nie był jasny, a stosowane leki nie przynosiły zadowalającej poprawy. Istniało niebezpieczeństwo, że dzieci Robin również zapadną na tę chorobę lub przynajmniej będą jej nosicielami.

Przyczyna, która ten stan spowodowała, była znana. Była złośliwym psikusem jakiegoś anonimowego technika laboratoryjnego. Przez wiele lat, choć o tym kobiety nie wiedziały, ich zamówienia na spermę były realizowane przez mężczyznę, który o nich wiedział i który nie lubił lesbijek. Chociaż dostawy były starannie sprawdzane pod względem chorób i rozmaitych zwykłych zaburzeń genetycznych, trudno było jednak

wyłapać zespół chorobowy, o którego istnieniu lekarze Konwentu w ogóle nie wiedzieli.

Ten okrutny żart dotknął Robin i kilka innych kobiet. Wszystkie poza nią umarły.

Był jeszcze jeden uboczny skutek tej ingerencji, o którym nikt na razie nie wiedział.

Kobiety dostawały nasienie od niewysokich mężczyzn zrodzonych z niskich rodziców.

Nie mając żadnego odniesienia, nie mogły wiedzieć, że stają się stopniowo coraz mniejsze.

Robin przeszła przez wahadłowe drzwi do pomieszczenia, w którym zainstalowano prysznic, już od wejścia zdejmując skafander. Na drewnianej ławce pomiędzy dwoma ściankami szafek siedziała jakaś kobieta i suszyła włosy. Po drugiej stronie inna stała bez ruchu, łapiąc rozbryzgującą się wodę w złożone pod brodą dłonie. Robin wsadziła ubranie do szafki i wyciągnęła Nasu z szuflady na dole. Nasu była jej demonem, jej ulubienicą. Była 110 centymetrową anakondą. Wąż owinał się wokół ramienia Robin i wysunął wąski język: podobało mu się w wilgotnym cieple łazienki.

– Mnie też się podoba – powiedziała Robin. Poszła pod prysznic, nie zwracając uwagi na kobietę, która ukradkiem przyglądała się jej tatuazom. Dwa węże były w Konwencie dość rozpowszechnione, tatuowali się tu wszyscy. Rysunek na brzuchu był jednak wyłącznie jej pomysłem.

Natychmiast po tym, jak odkręciła kurki i poczuła lodowatą strugę wody, rury zawyły i woda przestała lecieć. Kobieta obok jęknęła. Robin złapała sitko i próbowała je ukreć niczym szyję kurczaka. Później opadła na podłogę i zaczęła wrzeszczeć. Druga kobieta dołączyła, a później również trzecia. Robin włożyła w to całe serce, próbując, tak jak to robiła zawsze, krzyczeć głośniej niż inne. Wkrótce zaczęły kaszleć i rechotać, wreszcie Robin usłyszała, że ktoś ją woła po imieniu.

– Tak, o co chodzi? – Kobieta, którą знаła skądś, być *może* miała na imię Zynda,

oparła się o brzeg drzwi.

– Prom właśnie przywiózł list do ciebie.

Robin opadła szczęka i przez chwilę na jej twarzy nie widać było śladu jakiegokolwiek myśli. Poczta była w Konwencie czymś niezwykle rzadkim. Wszyscy jego członkowie razem wzięci znali co najwyżej setkę ludzi spoza swojego środowiska. Większość przesyłek stanowiły paczki zamówione w sprzedaży wysyłkowej; większość z nich przychodziła z Księżyca. To mogło być tylko jedno.

Rzuciła się w stronę drzwi.

Jej ręce zaczęły drżeć ze zdenerwowania (a nie z powodu kolejnego ataku), kiedy obracała w nich cienką białą kopertę. Znaczek z kangurem opieczętowano w Sydney. List adresowany był do Robin Dziewięciopalcej, Konwent, Osiedle La-Grange 2. Adres zwrotny był wytłoczony na kopercie i głosił: Ambasada Gai, Stary Gmach Opery Sydney, Nowa Południowa Walia, Australia, AS 109-348, Indo-Pacyfik. Od napisania listu upłynął ponad rok.

Zdołała jakoś otworzyć kopertę, wydobyć list i przeczytać:

„Droga Robin!

Przepraszam za tak późną odpowiedź.

Twój los wzruszył mnie, chociaż być może nie powinnam tego pisać, ponieważ w twoim Uście dajesz do zrozumienia, że nie prosisz o współczucie. To dobrze, bo Gaja nigdy nie przyznaje leczenia za darmo.

Poinformowała mnie, że pragnie spotkać się z przedstawicielami ziemskich religii.

Wspominała o grupie czarownic na orbicie. Brzmiało to mało prawdopodobnie, ale wtedy właśnie nadszedł twój list, niemalże tak, jak gdyby wkroczyła tu opatrność boska.

Być może wdało się tu twoje bóstwo. Kiedy o tym myślę, dochodzę do wniosku, że moje

niewątpliwie także.

Powinnaś zabrać się pierwszym możliwym transportem. Proszę, napisz i odpowiedz mi, jak ci wszystko poszło.

Z poważaniem

Didheridu (Hypoeolski Duet) Fuga, Ambasador”

– Billea mówi, że Nasu zjadła demona.

– To nie był jeszcze jej demon, mamó. To był po prostu kotek. I nie zjadła go.

Zgniotła go tylko. Był za duży, by go jeść.

Robin spieszyła się. Jej torba podróżna, do połowy zapakowana, stała na jej koi, a ona przetrząsała szuflady z ciuchami, wyrzucając rzeczy zbędne i rzucając jedne na drugie rzeczy, które miała zamiar zabrać.

– Jakby nie było, kociak nie żyje i Billea domaga się odszkodowania.

– Powiedziałabym, że to był mój kot.

– Dziecko – Robin dobrze znała ten ton. Constance była jedyną osobą, której na to pozwalała.

– Nie to chciałam powiedzieć – przyznała Robin. – Zajmij się tym, dobrze? Daj jej coś z moich rzeczy.

– No dobrze. Spójrzmy na to. Co ze sobą bierzesz?

– To? – Robin odwróciła się i podniosła nad głowę bluzę.

– To jest pół bluzki, dziecko. Odłóż to.

– No cóż, oczywiście, że połowa. Praktycznie wszystko, co mam, jest takie, mamó.

Zapominasz o swoim darze? – Wyciągnęła lewą rękę z wytatuowanym węzem

owijającym się wokół niej od małego palca do samego ramienia. – Nie sadzisz chyba, że

wybieram się na Gaję i nie będę tego pokazywać?

W ten sposób pokazujesz piersi, dziecko. Chodź tutaj.

Chcę z tobą pomówić.

– Ale mam, ja się...

Siadaj. – Klepnęła łóżko. Robin, powłócząc demonstracyjnie nogami, usiadła.

Constance zaczekała, upewniając się, że Robin nie błądzi myślami gdzieś indziej, a potem objęła ją ramieniem. Constance była wysoką, ciemną kobietą. Robin była malutka, nawet jak na Konwent. Na boso mierzyła 145 cm przy 35 kilogramach wagi.

Nie za bardzo wrodziła się w matkę. Miała twarz i włosy swojego nieznanego ojca.

Robin – zaczęła Constance – wydawało mi się, że nigdy nie będę musiała z tobą mówić o tych sprawach, ale teraz muszę. Wybierasz się do krainy bardzo odmiennej od naszej. Są tam stworzenia zwane mężczyznami. Oni... oni są do nas w ogóle niepodobni. Pomiedzy nogami mają...

– Mam, ja już to wiem. – Robin spiekła raka i próbowała odtrącić rękę matki.

Constance nieświadomie ścisnęła jej ramię. Popatrzyła na córkę ciekawie.

– Jesteś tego pewna?

– Widziałam na obrazku. Nie wyobrażam sobie, w jaki sposób mogą to włożyć, jeśli kobieta się na to nie godzi.

Constance kiwnęła głową.

– Sama się często dziwiłam. – Spojrzała na chwilę w bok, kaszląc nerwowo. –

Mniejsza z tym. Prawda jest taka, że życie poza naszym rejonem oparte jest na pożądaniu tych mężczyzn. Nie myślą o niczym innym tylko o tym, żeby ci wsadzić penisa. To coś nabrzmiwa, stając się tak długie, jak twoje przedramię, i dwa razy grubsze. Dostajesz w łeb i zaciągają cię w ciemny zaułek... lub, jak sądzę, do pustego pokoju lub czegoś takiego. – Zmarszczyła brwi i zaczęła mówić szybciej, tak jakby chciała mieć to już za

sobą. – Nigdy nie możesz się odwracać do któregoś z nich plecami, bo cię zgwałcą.

Mogą cię na trwałe uszkodzić. Po prostu pamiętaj, że nie jesteś w domu, ale w świecie opartym na pożądaniu. Wszyscy są tam tacy sami, i mężczyźni i kobiety.

– Będę pamiętać, mamó.

– Obiecuj mi, że zawsze będziesz zakrywać piersi i nosić przy ludziach spodnie.

– No cóż, wśród obcych chyba i tak nosiłabym spodnie. – Robin zmarszczyła brwi.

Pojęcie obcych było nieco egzotyczne. Chociaż nie знаła wszystkich w Konwencji po imieniu, to jednak z definicji wszystkie były jej siostrami. Spodziewała się spotkać na Gai mężczyzn, ale nie pożądliwe kobiety. Co za dziwna myśl.

– Obiecuj.

– Obiecuję, mamó. – Robin z zaskoczeniem poczuła mocny uścisk matki.

Pocałowały się i Constance wybiegła pędem z pokoju.

Robin przez chwilę wpatrywała się w pustkę otwartych drzwi, a potem wróciła do pakowania.

5. Książęcy czar

Chris posłuchał rady ambasadora i przed zaokrętowaniem się na statek na Gaję obłożył się literaturą. Nie był głupi, ale planowanie nie było jego mocną stroną. Widział już tak wiele swoich planów, które legły w gruzach wskutek ataku choroby, że się po prostu od tego odzwyczyił.

Przekonał się, że Gaja z pewnością nie należy do najbardziej atrakcyjnych miejsc odwiedzin w systemie słonecznym. Składało się na to wiele różnych powodów, począwszy od nieludzkiego postępowania celnego aż po brak odpowiedniej klasy kwater dla turystów. Doszukał się ciekawej statystyki: średnio Gaję odwiedzało 150 ludzi dziennie. Wracało nieco mniej; ci, których brakowało, zdecydowali się pozostać na stałe.

Emigracja była nieformalna, jednak w jej wyniku Gaja dorobiła się kilku tysięcy osadników. Czasami też zdarzały się nieszczęśliwe wypadki.

Gaja przyciągała ludzi młodych i żądnych przygód. Przyjeżdżali ci, których znużyła monotonia Ziemi. Często docierali tu po objechaniu siedlisk ludzkich w całym systemie słonecznym w których znajdowali to samo co na Ziemi, z jedną różnicą – pod przykryciem ciśnieniowych kopuł. Gaja oferowała klimat podobny do ziemskiego. Oznaczało to, że mieszkańcy nie musieli być skoszarowani tak, jak to miało miejsce na planetach o mniej przyjaznym środowisku. Poza tym było tu o wiele więcej miejsca niż na zatłoczonej Ziemi.

Sporo dowiedział się też o tytanach w ogóle i o dzieciach Gai na Uranie, gdzie dopuszczano tylko akredytowanych obserwatorów naukowych i gdzie wyrażano się o Gai protekcyjnie jako o Szalonym Tytanie. Studiował fizyczną budowę Gai i mapy jej wnętrza. Była obracającym się, płaskim kołem z sześcioma spłaszczonymi szprychami. Nawet dla ludzi, którzy wychowali się w koloniach kosmicznych w punktach La-Grange'a, jej rozmiary przechodziły ich wyobrażenie. Miała promień 650 kilometrów i obwód 4000 kilometrów. Przestrzeń możliwa do zasiedlenia była ukształtowana na podobieństwo rowerowej dętki o szerokości 25 kilometrów i wysokości 200 kilometrów. Pomiędzy szprychami znajdowały się płaskie, nachylone lustra, które odbijały promienie słoneczne poprzez przezroczyste okna w dachu pierścienia w ten sposób, że pewne segmenty pierścienia były zawsze oświetlone, natomiast na obszarach poniżej szprych panowała wieczna ciemność. Cała powierzchnia Gai nadawała się do zasiedlenia. Nawet w szprychach rozwijało się życie, uczone ścian wysokich na 400 kilometrów cylindrów. Mapy Gai były nieporęczne, ponieważ mierzone ze wschodu na zachód były szesnaście razy dłuższe niż z północy na południe. Żeby uzyskać zbliżony do

rzeczywistości obraz, trzeba było połączyć brzegi tak, że tworzył się rodzaj pętli, i usiąść w środku niczym w malarskiej „panoramie”.

Czasu spędzonego na tych studiach nie uważał za zmarnowany. Gaja była niemal niewidoczna z kosmosu. Kiedy podchodzili do lądowania, a statek znalazł się w siódmach urządzeń cumujących Gai, tłoczył się wraz z innymi pasażerami przy lukach, ale niewiele zobaczył. Z wyjątkiem luster w kształcie żagli jej powierzchnia była zupełnie czarna, aby lepiej wchłaniać skąpe promienie słoneczne.

Przerobił lekcje w domu i nie spodziewał się żadnych niespodzianek. Na miejscu jednak okazało się, że jedna rzecz go zaskoczyła, i to z katastrofalnym skutkiem. Tak jak się spodziewał, jego grupa została dołączona do innych turystów, którzy przybyli tego samego dnia, by przejść czterdziestoośmiogodzinną kwarantannę i odkażenie. Właśnie te zabiegi były jedną z głównych przyczyn faktu, że Gaja nie przyciągała gości zamożnych lub goniących za nowinkami. Było to skrzyżowanie Ellis Island, szpitala i Oświęcimia. Umundurowani urzędnicy na kwarantannie poprosili wszystkich o rozebranie się i oddanie wszystkich przedmiotów osobistych. Dotyczyło to również lekarstwa Chrisa. Jego protesty na nic się nie zdały. Poinformowano go, że w żadnym wypadku nie może liczyć na wyjątki i jeżeli nie chce zrezygnować z pastylek, może od razu wracać na Ziemię.

Odkazanie było czynnością najzupełniej poważną i wykonywaną z nie ludzką skutecznością. Nagie ciała mężczyzn i kobiet umieszczono razem na ruchomych platformach przesuwających się od stacji do stacji, gdzie były myte i dezaktywowane. Ludziom tym podawano środki napotne i moczopędne, robiono lewatywę. Po upływie pewnego czasu całą operację powtarzano. Obsługa zupełnie się nie krępowała. Badania były przeprowadzane w ogromnych białych pokojach, zastawionych dziesiątkami stołów

i wypełnionych nagimi, kręcącymi się z zakłopotaniem ludźmi. Wszyscy spali w jednej sypialni; karmiono ich pozbawionym smaku jadłem, podawanym na blaszanych talerzach.

Chris zawsze czuł się nieswojo nago, nawet w towarzystwie innych mężczyzn. Jak gdyby miał coś do ukrycia. Choroba w żaden sposób nie była widoczna na jego ciele, odczuwał irracjonalny lęk przed pozbyciem się pancerza odzieży, które zdradziłoby jego odmienność. Unikał sytuacji, w których nagość była przyjętą normą. W efekcie faktycznie rzucał się w oczy: w czarnoskórym, brunatnym i śniadym morzu ciał wyróżniał się swoją mlecznobiałą karnacją.

Atak nastąpił zaraz pierwszego dnia. Nie chodziło bynajmniej o brak substancji chemicznych zawartych w pigułkach, ponieważ te z pewnością ciągle jeszcze były obecne w jego krwi. Zabrakło po prostu efektu placebo, związanego z samym przyjmowaniem lekarstwa. Mimo iż jego stan nie był wywołany tylko psychologią, obecne warunki jednak bardzo wszystko skomplikowały. Odczuwał lęk, związany z obawą przed zaburzeniami psychochemicznymi. Ataki lęku mogły wywołać napięcie, które z kolei mogło wyzwolić poważniejsze objawy. Wiedział, że się zbliżają, kiedy poczuł, że potnieją mu ręce i kark.

Wkrótce zaczął odczuwać zaburzenia widzenia i nadwrażliwość na dźwięki. Musiał się co chwila upewniać, że wszystko nadal jest realne, że nie grozi mu atak serca, że ludzie się z niego nie śmieją, że nie umiera na raka mózgu. Jego stopy były obiektami odległymi, bladymi i zimnymi. Wszystko to było rodzajem łamigłówki, w której musiał grać swoją rolę, udając, że jest normalny, mimo iż wszyscy wokół wiedzieli, że jest inaczej! To było naprawdę zabawne. Spróbował udać śmiech. Potem fałszywie zapłakał, śmiejąc się w skrytości, wiedząc, że może w każdej chwili przestać płakać, aż do

momentu, kiedy jakiś mężczyzna poklepał go po ramieniu, a Chris walnął go w nos.

Po tym poczuł się znacznie lepiej. Patrzył, wstrząsany dzikim śmiechem, jak jego ofiara z wysiłkiem się podnosi. Znajdowali się pod natryskami. Spędzamy tu większość czasu – pomyślał i poczuł przelotną złość. Po chwili ten nastrój zniecierpliwienia gdzieś ulotnił. Człowiek wrzeszczał, gramoląc się z posadzki, ale to akurat zupełnie Chrisa nie obchodziło. Znacznie bardziej zajmowała go bowiem erekcja, którą w tym momencie poczuł. Pomyślał, że to znakomicie, wiedział, że wszystkie nagie kobiety całkowicie się z nim zgadzają. Za plecami usłyszał mokre plaśnięcie; obejrzał się i zobaczył, że facet, którego walnął, znowu pada. Durny cymbał zamachnął się na Chrisa od tyłu i poślizgnął się w kałuży.

Poczuł, że chętnie by coś przerąbał. Właściwie obojętnie co. Potrzeba nie przybierała rozmiarów obsesji. Czuł, że bez trudu mógłby zrezygnować z tego pomysłu, ale było to takie zabawne.

– Kto chce się ze mną walić? – wrzasnął. Spora część ludzi pod prysznicami odwróciła się i spojrzała na niego. Rozłożył ręce z zachwytem. Niektórzy się roześmiali, jednak większość odwróciła wzrok, ale wcale go to nie speszyło.

Napotkał wzrok wysokiej blondynki i natychmiast ją pokochał, od długich, mokrych włosów spadających na plecy aż po delikatną krągłość mięśni jej łydek. Podeszedł do niej i przycisnął swoją miłosną gotowość do jej bioder. Spojrzała w dół, potem szybko w jego uśmiechniętą twarz i grzmotnęła go namydloną ręką.

Otwartą dłońią uderzył ją w twarz i mocno pchnął do tyłu. Upadła z głuchym plaśnięciem pośladków i gwałtownym zgrzytem zębów. Była zbyt zaskoczona, by próbować uchylić się od kopniaka, który w nią wymierzył, na szczęście jednak jakiś mężczyzna chwycił Chrisa za rękę i wykręcił mu ją. Obaj poślizgnęli się na mokrej

podłódze i runęli w bezładnej szamotaninie. Teraz również i inni zainteresowali się utarczką, spiesząc blondynce z pomocą.

Chris zupełnie się tym nie przejął. Ruszył wraz z większością ludzi, chcąc być jak najdalej od miejsca bijatyki. Wyhamował przy ścianie z natryskami spryskującymi ciepłą wodą całe akry skóry, w większej części żeńskiej. Zaczął obejmować ciała na chybił trafił i nie musiał czekać długo, by ujrzeć w odpowiedzi uśmiech na twarzy jednej z kobiet. Była mała i ciemnowłosa, wspaniała sprawa, zważywszy, iż to wysokie blondyny były jego słabym punktem. Zaśmiała się, kiedy przerzucił ją sobie przez ramię i wyniósł do wielkich, opuszczonych baraków, gdzie wrzucił ją na górną koję. Wkrótce cudzołożył w najlepsze.

To było naprawdę niehonorowo, to była straszna niesprawiedliwość, bo miał uczucie, że mógłby tak cały dzień, gdyby nie to, że odnalazła ich faszystowska obsługa i powiedziano im, że muszą być w gabinecie zabiegowym na jakimś wlewie doodbytniczym czy podobnym kretyństwie. Kobieta z personelu nie chciała słuchać, gdy Chris wyjaśniał, że ma już powyżej uszu całego tego wsadzania rurek do tyłka. Naprawdę go to denerwowało, więc wstał i pchnął kobietę w piersi. Zabulgotała śmiesznie, a on zamachnął się, chcąc jej przyłożyć. Cofnęła się szybko, wyciągnęła broń i wypaliła do niego.

Obudził się w kałuży rzygowin pomieszanych z krwią.

A poza tym co nowego? – zastanawiał się, chociaż naprawdę to wcale nie chciał się dowiedzieć. Trzydniowy zarost miał posklejany zakrzepłą krwią. Niewiele pamiętał i wiedział, że jest to jedna z rzeczy, za które powinien być wdzięczny.

Chcieli wiedzieć, czy będzie już teraz grzeczny, więc zapewnił ich, że tak.

Kobieta, która go postrzeliła, pomogła mu teraz doprowadzić się do porządku.

Wydawało się, że ma wielką ochotę, by opowiedzieć mu wszystkie szczegóły jego pobytu w więzieniu i wypadków, które go tam zaprowadziły, on jednak puszczał to mimo uszu. Oddali mu jego rzeczy osobiste i zaprowadzili do czegoś w rodzaju windy. Kiedy drzwi zamknęły się za nim, zobaczył, że kabina płynie w żółtej cieczy wypełniającej ogromną rurę. Odnotowawszy to wszystko, na wszelki wypadek przestał o tym myśleć. Podróż zajęła blisko godzinę, którą spędził wyprany z wszelkich myśli. Wynurzył się pod paralizującym, wygiętym niebem Gai. Stanął na jej przerażającej, zakrzywionej powierzchni i rozejrzał się wokół, ale nie czuł się ani przerażony, ani sparalizowany. Górą przelatywał kilometrowej długości sterowiec. Popatrzył nań beznamiętnie i pomyślał o gołębiach. Czekał.

6. Miasto namiotów

Nasu była w okropnym humorze. Robin wydrapała na swoim przedramieniu dwa świeże znamiona, by poświadczyć hart swego demona. Anakondy kiepsko znoszą mycie i szturchanie; wąż był przerażony i rozdrażniony wydarzeniami ostatnich dwóch dni i wyrażał to, rzucając się na najbliższy cel, którym była Robin.. W ciągu całego czasu, kiedy byli razem, Nasu ugryzła Robin wcześniej tylko trzy razy.

Robin nie czuła się wiele lepiej. Niektóre rzeczy, przed którymi ją ostrzegano, okazały się wymysłem. Nie zawiodła się natomiast na temperaturze, która sięgała 35 stopni. Upał był okropny. Pierwszą informację podał im przewodnik, który przyjmował grupę na powierzchni Gai. Nie mogąc uwierzyć, poszukała termometr i wlepiła weń oczy w totalnym zdumieniu. Utrzymywanie takiego środowiska było absurdem, ludzie jednak wzruszali tylko ramionami. Narzekali, ale nie wykazywali chęci, by coś konkretnego w tej sprawie zrobić.

Strasznie ją korciło, żeby zrzucić ubranie. Walczyła z pokusą, jak długo mogła,

wreszcie jednak uznała, że jej matka nie miała racji w tak wielu innych sprawach, że niczym jej nie grozi nieposłuszeństwo akurat w tej jednej. Wielu ludzi przemierzało nago pokryte pyłem ulice Titantown, dlaczegóż więc nie miała być jedną z nich? Tytułem kompromisu zostawiła przepaskę biodrową jako znak, iż gotowa jest się oprzeć wszelkim próbom gwałtu. W gruncie rzeczy jednak obawa przed nimi niemal całkowicie ustała.

Pierwszy penis, jaki ujrzała pod zbiorowym prysznicem w trakcie kwarantanny, przyprawił ją o śmiech, którym sprowokowała skwaszone spojrzenie dumnego właściciela tego organu. Inne były równie komiczne. Nie mogła pojąć, w jaki sposób mogłyby nabrznieć na tyle, by sprawić jej ból, wstrzymała się jednak z oceną do momentu, kiedy zobaczy coś takiego w użyciu.

Pierwszej nocy sposobność taka się nie nadarzyła, chociaż długo nie kładła się, by odeprzeć ewentualnych napastników. Drugiej nocy w kącie baraku dostrzegła dwóch mężczyzn w trakcie gwałcenia. Okoliczne prycze nie były zajęte, więc Robin przysiadła na jednej z nich, oddając się obserwacji. Śmieszne, zwisające przedmioty nabrzmiwały wprawdzie o wiele bardziej, niż mogła przypuszczać, nie było to jednak zjawisko aż tak przerażające, jak jej mówiono. Kobiety nie zdradzały żadnych oznak cierpienia, żadna z nich nie została też przedtem ogłuszona czy rzucona twarzą do ziemi. Właściwie to jedna z nich nawet dosiadała mężczyzny.

Jedna z kobiet powiedziała Robin, żeby się wyniosła, ale ta i tak już swoje zobaczyła. Jeżeli komuś uda się ją ogłuszyć, to, co ją czeka, będzie na pewno niesmaczne, ale niezbyt niebezpieczne. Okresowe badania macicy, jakie przechodziła, były bardziej męczące.

Kiedy gwałcenie dobiegło końca, przyjrzała się kobiecie, szukając w jej twarzy objawów wstydu – daremnie. A więc przynajmniej to było prawdą: lubieżne kobiety

nauczono znosić poniżenie. Przypomniła sobie, że tak zawsze było z niewolnikami.

Przynajmniej na zewnątrz. Ciekawe, jak wielki bunt tlił się w środku.

Żadna nie uprawiała miłości, gdy była jawnie obserwowana. Robin przypuszczała, że muszą to ukrywać przed mężczyznami.

Titantown brało swój początek z osady pod olbrzymim drzewem, jednakże przed wielu laty, po zakończeniu wojny Tytanii z Aniołami rozrosło się ku wschodowi.

Większość Tytanii nadal mieszkała pod drzewem albo w jego gałęziach. Niektóre przeniosły się do namiotów z kolorowego jedwabiu rozpiętych wzdłuż zwariowanej ulicy, która była czymś, co najbardziej na Gai przypominało turystyczną atrakcję. Na niewielkiej przestrzeni stłoczono tu bezlik salonów, hipodromów i stoisk z groszowym towarem, centrów handlowych i rozrywkowych, salonów gier, knajp z egzotycznymi potrawami, bilardów, miejsc do najprzeróżniejszych wygłupów. Chodziło się po trocinach zmieszanych z łajnem tytanii, a powietrze było gęste od mieszaniny cukrowej waty, perfum, szminki, marihuany i potu. Rozkład tego centrum wszelakich uciech cechowało zwyczajne u tytanii lekceważenie dla formalnie wyznaczonych ulic i jakiegokolwiek rejonizacji. Kasyno sąsiadowało z Międzygalaktycznym Pierwotnym Kościołem Baptystów, który z kolei znosił jakoś bezpośrednie sąsiedztwo międzygatunkowego burdelu. Wszystkie trzy budynki kruchością swej budowy dorównywały sile obietnicy, jaką niosły. Słodkie głosy tytanii w czasie próby chóru mieszały się z grzechotem kulki w rulecie i rozgorączkowanymi okrzykami żądy dochodzącymi poprzez cienkie ściany namiotu. Ostry wiatr momentami zagłuszał cały ten oszałamiający zgiełk, który po kilku godzinach powracał w zupełnie nowej konfiguracji.

Winda na piastę kursowała raz na *heктоobrót*, który był równy – jak się dowiedziała

Robin – pięciu dniom na Konwencie lub 4,2 dniom ziemskim. Miała więc 36 godzin, z którymi coś trzeba było zrobić. Titantown wyglądało pouczająco, chociaż nie była pewna, czy wie, do czego to wszystko służy. Obowiązująca w Konwencie koncepcja rozrywki nie przygotowała jej do traktowania tego typu karnawału jako dobrej zabawy. Pojęcie rozrywki w rozumieniu czarownic obejmowało raczej zawody sportowe, biesiady i festiwale, chociaż kochały się również w płatanii psikusów i kłamstwach wymyślanych na poczekaniu.

Od matki dostała kilkaset marek ONZ. Stojąc na zbudowanym z desek balkonie swojego hotelowego pokoju, popatrywała na kłębiący się w dole tłum, pył i jaskrawe kolory i czuła, jak w jej piersi wzbiera podniecenie. Jeżeli nie znajdzie sposobu, by zrobić piekło na dole, włączy swoje Trzecie Oko.

Spróbowała zagrać, ale to okazało się totalnym niewypałem. Trochę wygrała, troszkę przegrała, nie zdołała się jednak wprowadzić w stan, w którym by ją to bardziej obeszło.

Pieniądze były wariacką grą i wcale nie próbowała udawać, że ją rozumie. Matka mówiła, że jest to środek zapisu na wielkim pokazie dominacji kultury obracającej się wokół penisa. To właśnie i tylko to powinna wiedzieć jej córka.

Postanowiła nie zamykać się na nowe propozycje, chociaż niektóre rzeczy z góry nie obiecywały dobrej rozrywki. Z początku szła za ludźmi, którzy – jak się jej wydawało – najlepiej się bawią, robiąc to samo co oni. Za pół marki spróbowała rzutów trzema nożami do człowieka, który brykał i mówił coś nieustannie na tle drewnianej tarczy. Był bardzo dobry. Nie zdołała go trafić, zresztą nikomu się to nie udało w czasie, kiedy przyglądała się tej zabawie.

Potem poszła za zalaną parą do „Cudownego Zoo Profesora Pottera”, gdzie w klatkach wystawiono najprzedziwniejsze okazy miejscowej fauny. Robin była

zafascynowana i nie mogła zrozumieć, dlaczego para wyszła, ledwie rzuciwszy okiem.

W poszukiwaniu jakiejś „akcji”, jak to sformułował mężczyzna. Cóż, powinna zatem rozejrzeć się za akcją.

W jednym z namiotów mężczyzna gwałcił na scenie kobietę. Uznała to za bardzo nudny pokaz. Już to przecież widziała i nawet rozmaite wygibasy nie zdołały obudzić jej zainteresowania. Później w tej samej scenie wystąpiły dwie tytanie i to już było o wiele ciekawsze, choć miałyby sporo kłopotów ze słownym opisem tego, co widziała. Sądziła, że jedna z tytanii gwałci drugą, ale później gwałcona przejęła rolę gwałciciela. Więc jak to jest? Jeżeli obie płci mogą gwałcić, to czy nadal jest to gwałt? Oczywiście, problem ten dotyczył tylko tytanii. Każda z nich miała z tyłu organ zarówno męski jak i żeński, z przodu zaś narząd męski lub żeński. Spiker zapowiedział, że będzie to pokaz „edukacyjny”, wyjaśniając, że tytanie swobodnie uprawiają publicznie tylny seks, użycie jednak przednich organów zastrzegają sobie jako sferę intymności. Spiker nauczył również Robin nowego słowa: pieprzyć.

Tylny penis tytanii wprowadził Robin w prawdziwy popłoch. Normalnie częściowo ukryty w specjalnej pochwie przy zadnich nogach, obnażony – prezentował się naprawdę imponująco. Wyglądał zupełnie tak jak jego ludzki odpowiednik, długością odpowiadał jednak ręce Robin i był przy tym dwukrotnie grubszy. Zastanawiała się, czy jej matka nie czuła się nieswojo, przypisując ten straszliwy organ mężczyźnie z ludzkiego rodu.

Na tej zwariowanej ulicy można było obejrzeć również i inne prezentacje dydaktyczno-naukowe. Wiele przedstawiało różne odmiany przemocy. Akurat to nie dziwiło Robin, która niczego innego po tym zepsutym społeczeństwie się nie spodziewała i której przemoc również nie była obca. W małym namiocie kobieta demonstrowała potęgę jakiejś odmiany jogi, wbijając sobie szpilki do oczu, pogrążając

długą szablę w brzuchu, aż wyszła plecami, i wreszcie zręcznie amputując sobie lewą rękę przy użyciu skalpela i piłki. Robin była pewna, iż kobieta jest robotem lub rodzajem holograficznej iluzji, cały pokaz był jednak zbyt doskonały, żeby zrobić na niej wrażenie. Zresztą kolejną prezentację kobieta rozpoczynała cała i zdrowa.

Kupiła sobie bilet na miejscową wersję „Romea i Julii” w obsadzie złożonej wyłącznie z tytanii, która przyprawiła ją o taki atak śmiechu, że musiała wyjść przed końcem. Właściwszym tytułem dla tej sztuki byłoby z pewnością „Montecchii i Capuletti wstępują do kawalerii”. Ingerencje w tekst były doskonale widoczne. Robin miała wątpliwości, czy poeta miałby coś przeciwko odgrywaniu wszystkich ról przez tytanie, sądziła jednak, że na pewno by mu się nie spodobało, że Romeo został przemieniony w mężczyznę przez zgniłych rewizjonistów.

Dobrzeła wreszcie do niezbyt wielkiego namiotu i – przyciągnięta przez dobiegającą stamtąd muzykę – z przyjemnością przysiadła na jednej z wielu stojących w nim ławek. Z przodu śpiewał chór tytanii pod batutą mężczyzny w czarnym płaszczu. Wyglądałoby to na jeszcze jeden show, gdyby nie brak biletera. Czymkolwiek to było, zapewniało odpoczynek dla nóg.

Ktoś puknął ją w ramię. Odwróciwszy się dostrzegła innego mężczyznę w czerni. Za nim stała tytania w okularach w metalowej oprawie.

– Przepraszam, czy nie zechciałabyś tego ubrać? – Podał jej białą koszulę. I on, i tytania uśmiechali się przyjaźnie.

– Po co? – spytała Robin.

– To tutaj przyjęte – powiedział mężczyzna przeproszającym tonem. – Jesteśmy przekonani, że obnażanie się jest czymś niestosownym. – Robin dostrzegła, że tytania również nosiła koszulę: po raz pierwszy zauważyła, by ktoś zakrywał tu piersi.

Narzuciła koszulę, chcąc zaspokoić te dziwne wymagania, jeżeli tylko pozwolą jej posiedzieć i posłuchać tej ślicznej muzyki.

– Co to właściwie za miejsce? – zapytała. Mężczyzna usiadł obok niej, uśmiechając się głupkowato.

– To dobre pytanie – westchnął. – Czasami jest ono sprawdzianem wiary najbardziej żarliwych wyznawców. Jesteśmy tu po to, aby nieść Słowo innym planetom. Tytanie mają dusze, podobnie jak ludzie. Jesteśmy tutaj od dwunastu lat. Mamy sporą grupę uczestniczących we mszy, udzieliliśmy też kilku sakramentów małżeństwa i chrztu. – Skrzywił się i popatrzył na grupę z przodu. – Myślę jednak, że kiedy wszystko zostanie już powiedziane i zrobione, nasza trójka przychodzi tutaj głównie po to, by ćwiczyć się w chóralnym śpiewie.

To nieprawda, Bracie Danielu – powiedziała tytania po angielsku. – Wierzę w Boga Ojca Wszechmogącego, Stworzyciela Nieba i Ziemi i w Jezusa Chrystusa Syna Jego Jedynego, Pana Naszego...

– Chrześcijanie! – zawyła Robin. Skoczyła na równe nogi, czyniąc dwoma palcami jednej ręki obronny znak, a drugą wyciągając Nasu do przodu. Zaczęła się wycofywać, czując, jak jej serce łomocze nieprzytomnie. Nie przerywała biegu, póki kościół nie zniknął w tumanie kurzu.

Była w kościele! Tylko tego się naprawdę bała, to był jedyny upiór z dzieciństwa, co do którego nie miała żadnej wątpliwości. Chrześcijanie byli najistotniejszym elementem hierarchicznej i opartej na ucisku struktury władzy. Gdy weseli poganie wpadali im w ręce, byli faszzerowani prochami i poddawani ohydny torturom psychicznym i fizycznym. Nie było ucieczki, nie było nadziei. Ich straszne obrzędy wypaczały umysł w sposób nieodwracalny i dopiero wtedy takiego nawróconego zarażano bezimienną

chorobą, która trawiła łono. Ich kobiety do końca swoich dni musiały w męce rodzić dzieci.

Kuchnia na Gai była bardzo ciekawa. Robin znalazła miejsce, skąd dolatywały smakowite zapachy, i zamówiła coś, co nazywało się Bigmac. Jak się wydawało, potrawa ta składała się głównie z węglowodanów, w które owinięty był tłuszcz. Była pyszna.

Zjadła do ostatniej okruszyny, czując, że postępuje wielce nierozważnie.

Kiedy palcami wyskrobywała resztki musztardy, poczuła, że kobieta przy sąsiednim stoliku przygląda się jej. Odwzajemniła spojrzenie i uśmiechnęła się.

– Podziwiałam twoje malowidło – powiedziała kobieta przysiadając się. Była wyperfumowana, a kilka cienkich chust okrywało jej piersi i łono. Robin oceniła jej wiek na czterdzieści lat, zanim nie zorientowała się, że linie i cienie były wykonane kosmetykami, po to, by ją postarzyć.

– To nie jest malowidło – powiedziała Robin.

– Nie... – Prawdziwe zmarszczki pokryły jej czoło. – W takim razie co to jest? Jakaś nowa metoda? To mnie fascynuje.

– Metoda właściwie jest stara. Tatuaz. Za pomocą igły wprowadza się do skóry barwnik.

– To pewnie boli.

Robin wzruszyła ramionami. Pewnie, że bolało, ale nie należało o tym mówić.

W czasie zabiegu można było płakać i krzyczeć, ale potem nie wolno było wspomnieć o tym nawet słowem.

– Przy okazji: nazywam się Trini. Jak to się zmywa?

– Jestem Robin i niech święty strumień nas zjednoczy. Tego się nie zmywa. Tatuaz pozostaje na zawsze. Oczywiście, można wprowadzić małe poprawki, ale wzór jest

trwały.

– Jak... to znaczy chcę powiedzieć... czy to nie jest trochę krępujące? Tak samo jak inni lubię nosić trzy czy cztery dni jakiś malunek, ale potem mam go serdecznie dosyć.

Robin ponownie wzruszyła ramionami, czując, że ogarnia ją znudzenie. Myślała, że ta kobieta chciała się kochać, ale teraz wydawało się, że chyba jednak nie.

– i Oczywiście, ty nie czujesz tego we właściwy sposób. – Wyciągnęła szyję, żeby rzucić okiem na zawieszony na ścianie jadłospis, zastanawiając się, czy zmieściłaby jeszcze coś, co nazywało się „kwaszona kapusta”.

– Wydaje się, że nie rani to skóry – powiedziała Trini, przesuając lekko koniuszkiem palca po węzowych splotach zdobiących pierś Robin. Potem opuściła dłoń i oparła ją o udo Robin.

Robin spojrzała na rękę zła, że nie umie odczytywać sygnałów tej kobiety. Niewiele też mogła odczytać z jej miny. Twarz Trini przybierała wyraz wystudiowanego luzu. No cóż – pomyślała Robin – nie zaszkodzi spróbować. Musiała się mocno wychylić, żeby objąć większą od siebie towarzyszkę. Pocałowała ją w usta. Gdy ponownie spojrzała tamtej w twarz, dostrzegła na niej szeroki uśmiech.

– A więc, właściwie czym się zajmujesz? – Robin nachyliła się, by wziąć od Trini skręta z marihuany, a potem znowu wsparła się na łokciach. Leżały obok siebie, patrząc sobie w oczy. Przez rozczochraną czuprynę Trini przebijało światło sączące się z otwartego okna jej pokoju.

– Jestem prostytutką.

– A co to takiego?

Trini skuliła się ze śmiechu. Robin zawtórowała jej, ale szybko urwała, chociaż tamtą wciąż jeszcze wstrząsał chichot.

– Gdzieś ty się, do diabła, uchowała? Nie, nie musisz odpowiadać, wiem:

zapudłowana w takiej olbrzymiej blaszance w przestworzach. Naprawdę nie wiesz?

– Nie pytałabym, gdybym wiedziała. – Robin znowu poczuła, że traci cierpliwość.

Nie lubiła tego uczucia, gdy czegoś nie wiedziała. Błądząc wzrokiem, spojrzała na łydkę Trini. Pogłaskała ją z roztargnieniem. Z jakiegoś powodu, którego Robin nie mogła się domyślić, Trini goliła nogi, pozostawiając włosy tylko na rękach. Robin goliła wszystkie miejsca, na których miała tatuaż, a więc lewą rękę i prawą nogę, część podbrzusza i szeroki krąg wokół lewego ucha.

– Przepraszam. Nazywają to najstarszym zawodem świata. Dostarczam seksualnej przyjemności za pieniądze.

– Sprzedajesz swoje ciało? Trini roześmiała się znowu.

– Dlaczego tak to nazywasz? Sprzedaję pewną usługę. Jestem wykwalifikowanym pracownikiem po college’u.

Robin wyprostowała się.

– Teraz rozumiem. Jesteś dziwką.

– Już nie. Teraz działam na własną rękę.

Robin musiała znowu przyznać, że nie bardzo rozumie. Słyszała o seksie za pieniądze, zupełnie jednak nie potrafiła połączyć tej koncepcji ze swoim wciąż mglistym pojęciem o ekonomii. Gdzieś tu przecież musiał być pan niewolników, sprzedający ciała swoich kobiet biedniejszym od siebie mężczyznom.

– To jest problem semantyczny. Mówisz „dziwka” i „ prostytutka” jakby to było to samo. Myślę, że faktycznie kiedyś tak było. Możesz pracować przez agencję lub poza domem i wtedy jesteś dziwką. Możesz też być na swoim i wtedy jesteś kurtyzaną. Na Ziemi, rzecz jasna. Tutaj nie ma kodeksów, więc każda kobieta pracuje dla siebie.

Robin bez powodzenia próbowała sobie to poskładać w zrozumiałą całość. To, że Trini mogła zachować dla siebie zarobione pieniądze, nie pasowało do jej wyobrażenia o zhierarchizowanym społeczeństwie. Wynikałoby z tego, że jej ciało jest jej własnością, co oczywiście w oczach mężczyzn nie było prawdą. Była pewna, że gdzieś tu musi tkwić jakaś sprzeczność, była jednak zbyt zmęczona, by się akurat teraz tym przejmować.

Jedna wszakże sprawa wydawała się jej zupełnie jasna.

– W takim razie, ile ci jestem winna? Trini zrobiła wielkie oczy.

– Myślisz... o nie, Robin. To akurat robię dla własnej przyjemności. Z mężczyznami kocham się za pieniądze, z kobietami idę do łóżka, bo to lubię. Jestem lesbijką. – Trini po raz pierwszy sprawiała wrażenie trochę zakłopotanej. – Myślę, że wiem, co sobie pomyślałaś. Jak kobieta, która nie lubi mężczyzn, może żyć z uprawiania z nimi seksu?

Wygląda to trochę...

– Nie, wcale tak o tym nie myślę. To pierwsze, co powiedziałaś, wydaje mi się jedyną sensowną rzeczą, jaką od ciebie usłyszałam. Doskonale to rozumiem i widzę, że wstydzisz się swojego zniewolenia. Ale, ale, co to jest lesbijka?

7 Harmonia niebios

Chris wynajął tytanie, która zawiozła go do czegoś, co nazywano Polem Wiatrów.

Powiedziano mu, że tam będzie się mógł przesiąść do windy, która wyniesie go aż do piasty. Jego wierzchowiec był centaurem o nakrapianej biało-błękitnej, długiej sierści i o imieniu Kastaniet (Lidyjski Duet) Blues. Jego drugie imię doskonale pasowało do nastroju Chrisa miał chandrę. Tytania mówiła trochę po angielsku i próbowała sprawdzić swój talent w rozmowie, ale Chris kwitował to pochrząkiwaniem. Galopując prawie całą drogę, urozmaicała sobie podróż grą na mosiężnym rogu.

Kiedy opuścili Titantown, okolica wydawała mu się bardziej interesująca. Jego rumak niósł go równiutko niczym poduszkowiec. Minęli brązowe wzgórza i posuwali się teraz wzdłuż bystrego dopływu rzeki Ophion. Potem teren zaczął się wznosić ku dominującemu nad krajobrazem Polu Wiatrów.

Gaja była kolistym mostem wiszącym. Jej piasta była rodzajem kotwicy, która skupiała na sobie działanie siły dośrodkowej. Od szprych odchodziło 96 kabli, które łączyły piastę z ukrytymi pod powierzchnią gruntu płytami nośnymi obręczy. Każdy kabel miał średnicę 5 kilometrów i składał się z setek plecionych pasm. Biegły tędy przewody, którymi dostarczane były płyny ogrzewcze i chłodzące, a także arterie, którymi przenoszone były substancje odżywcze. Niektóre kable łączyły się z powierzchnią pierścienia pod kątem prostym, większość jednak biegła skośnie od olbrzymich gardzieli szprych w górze, poprzez sferę zmierzchu, by zagłębić się w grunt w świetle dnia.

Pole Wiatrów w istocie również było zakończeniem ukośnych kabli w obszarze Hyperionu. Wyglądało jak olbrzymia ręka wychylająca się z ciemności, której palce zgarniały grunt w pięść osypaną skalnym rumoszem. Gdzieś tam, pośród ostrych

krawędzi i stosów głazów śpiewał wiatr, kiedy powietrze pompowane było aż do piasty, by następnie runąć w czeluść szprych. Była to instalacja klimatyzacyjna Gai, sposób, w jaki zapobiegano tworzeniu się różnicy ciśnień i utrzymywano w wysokim na 600 kilometrów słupie powietrza stężenie tlenu umożliwiające swobodne oddychanie. Były to również anielskie schody do nieba. Kastaniet z Chrisem nie doszli jednak tam, ale skierowali się do wylotu windy po drugiej stronie.

Obejście kabla zabrało tytani blisko godzinę, czyli jeden obrót, jak już wiedział Chris. Widok zapierał dech. Nieprzeliczone masy kabla zawieszono w powietrzu, jak gdyby olbrzymi drapacz chmur wzniesiono równoległe do ziemi.

Ziemia poniżej kabla była całkowicie jałowa. Nie było to wyłącznie skutkiem braku światła – Gaja była znana ze swej płodności i podtrzymywała formy życia przystosowane do przetrwania nawet w skrajnie trudnym środowisku, również w strefie wiecznej nocy.

A jednak roślinność okalała właściwie tylko dolny wylot windy.

Sama winda była ciemnym, miękkim pojemnikiem o długości czterech metrów i wysokości trzech metrów, z rozchylonym otworem z jednej strony. Drugi koniec kapsuły tkwił w zwieraczu z rodzaju, który na Gai występował powszechnie. Te otwory prowadziły do systemu krążenia, który – gdyby ktoś się na to odważył – mógł służyć jako droga transportu. Kapsuły były tworami komórkowymi wyposażonymi w system podtrzymywania życia o dwufunkcyjnej strukturze, tak charakterystycznej dla tworów Gai. Zwierzęta oddychające tlenem, gdyby je tu umieścić, mogłyby przeżyć, póki nie zdechłyby z głodu.

Chris wdrapał się do środka i ulokował na czymś, co przypominało kanapę. Ze ścian wyrastały włókna, którymi można się było opasać niczym pasem bezpieczeństwa. Chris skorzystał z nich skwapliwie. Już trzeci raz miał jechać tym pojazdem, który przez

miejscowych porównywany był do „wybij-ząbka” – samochodziku z wesołego miasteczka. Wiedział, że będzie solidnie tłukło, kiedy kabina przechodzić będzie przez zawirowania na złączach arterii.

Wnętrze rozjaśniła poświata emitowana przez ścianki. Kiedy otwór za nim zacisnął się, Chris pożałował, że nie zabrał z sobą książki. Czekala go trzygodzinna samotna podróż z żołądkiem podchodzącym do gardła i świadomością, że u kresu drogi stanie przed obliczem boga.

Kabina z donośnym odgłosem została wessana w ochronny gąszcz zaworów wewnątrz kabla. Została przeciętna przez zastawki niczym krew z przedsionka do komory serca, a potem, w nieoczekiwanym przypływie mocy, pomknęła ku niebu.

Gdzieś z góry lał się strumień ostrego, żółtego światła, które tworzyło stożek w nieruchomym powietrzu. Stepował w nim idiotycznie tancerz, co chwila zanurzając się w oleisty mrok, by po chwili wyskoczyć znowu w pełen blask w swoim fraku, cylindrze, sztylpach i krochmalonej koszuli. Tańczył swobodnie jak wszyscy fachowcy dużej klasy. Podeszwy jego czarnych butów i okuty koniec laseczki wystukiwały złożony rytm, który odbijał się echem w mrocznej głębi piasty.

Przedstawienie odbywało się pięćdziesiąt metrów od wyjścia ze zwykłej windy, którą Chris przebył ostatni odcinek drogi. Na dźwięk dzwonka drzwi windy zamknęły się.

Tancerz niepokoił go. Czuł się tak, jakby wszedł do kina w połowie seansu. To musiało coś znaczyć, artysta musiał coś przekazywać. A jednak nie, tańczył jakby tylko dla siebie, jego taniec pozbawiony był wszelkiego znaczenia. Twarz zakrywał cień runda kapelusza; widoczny był tylko blady, spiczasty podbródek. Powinien teraz zdjąć kapelusz – pomyślał Chris – i pokazać trupa czaszkę: oblicze śmierci. Albo na przykład mógł zastygnąć z obleczoną w elegancką rękawiczkę dłonią wskazującą Chrisowi drogę.

Jednak nie, nie było żadnego znaku. Mężczyzna, nie przekształcając się w znaczący symbol czegokolwiek, po prostu tańczył.

Zmiana nastąpiła dopiero wtedy, kiedy Chris przybliżył się do niego. Reflektor zgasł, a w odległości dwudziestu metrów rozblęsnął następny. Sylwetka tancerza przemknęła przez mrok i za chwilę był tam, w pełnym świetle. Reflektory zapalały się i gasły, za każdym razem ukazując mały fragment wielkiej improwizacji tego żywego drogowskazu. Wreszcie światła ostatecznie zgasły; zamarł też rytmiczny klekot butów i laski na marmurowej posadzce.

W piasku nie było zupełnie ciemno. Gdzieś wysoko w górze biegła nieokreślonych rozmiarów pojedyncza czerwona linia światła, ostra niczym promień lasera. Wokół siebie Chris wyczuł masywne, strzeliste cienie: zbiór katedr Gai. Iglice i wieże, śmigłe przypory i kamienne gargulce rysowały się chłodną, szarą masą na tle niezgłębionej czerni.

W swoich lekturach nie znalazł informacji, czy miały wnętrza. Wiedział tylko, że Gaja kolekcjonowała okazy architektury, specjalizując się w obiektach kultu.

Nagle rozległy się odgłosy regularnych kroków i po chwili ukazała się kobieta w białym kombinezonie, podobnym do tych, które nosiła obsługa na kwarantannie. Wynurzywszy się zza rogu przysadzistej kamiennej świątyni, przystanęła na chwilę, omiatając teren silną latarką. Blask uderzył go w oczy, światło opadło w dół, znowu powędrowało w górę przygważdżając go niczym zbiegłego przestępcę, i wreszcie skierowało się w bok.

– Proszę tędy – powiedziała.

Chris ruszył za nią, dziwnie się czując przy panującym tu mniejszym ciężeniu.

Prowadziła go krętą ścieżką pomiędzy pomnikami. Jej białe skórzane buty na wysokim obcasie stukały władczo. Poruszała się bez trudu, tylko Chrisem rzucało niczym gumową

piłką. Obrót koła zapewniał przy jego osi jedynie jedną czterdziestą ciężenia ziemskiego, ważył więc zaledwie kilka kilogramów.

Zastanawiał się, kim ona jest. W czasie kwarantanny ani razu nie przyszło mu do głowy, by podać w wątpliwość człowieczą naturę obsługi. Wiedział, że Gaja mogła kreować żywe istoty i że często jej się to zdarzało. Mogła tworzyć nowe gatunki, takie, jak na przykład tytanie, których cała historia liczyła sobie zaledwie 200 lat. Mogła wyposażać swoje twory w wolną wolę. Mogła też prokurować dzieła jednorazowego przypływu twórczej weny, ale podobnie jak tamte wolne i nie podlegające kontroli.

Mogła jednak również kreować coś, co nazywano narzędziami Gai. Były one prostym przedłużeniem jej istoty i niczym więcej. Wykorzystywała je do budowy replik katedr w skali 1: 1, do porozumiewania się z małymi formami życia, a więc do wykonywania takich zadań, które wykraczały poza normalną strukturę jej bytu. Wkrótce spotka jedno z takich narzędzi, które samo będzie się zwać Gają. W rzeczywistości bowiem Gają było wszystko wokół niego, niezręcznie jednak było mówić w przestrzeń. Chris przyjrzał się wysokiej kobiecie z długimi, czarnymi włosami spływającymi na ramiona. Czy była tylko instrumentem, czy też prawdziwą istotą ludzką?

– Skąd pochodzisz? – spytał.

– Z Tennessee.

Budynki wzniesiono bez jakiegokolwiek planu. Niektóre stały jedne przy drugich i jako żywo przypominały niebiańskie dzielnice slumsów. Inne rozrzucone były bezładnie i luźno. Przypadek zdecydował, że z tego chaosu czasem wyłaniał się plac lub aleja. Przepisnęli się pomiędzy kopią katedry w Chartres i bezimienną pagodą, a potem przecięli ogromny plac wyłożony marmurem, kierując się w stronę świątyni w Karnaku. Autor przewodnika, z którego Chris czerpał swoją wiedzę, przyznawał, iż motywy,

dla których Gaja wybudowała to przedziwne panoptikum, nie są dla niego jasne.

I dlaczego, ukończywszy dzieło, pogрузzyła je w mroku, uczyniła niemal niewidoczną?

Człowiek czuł się tu tak jak pchła zagubiona na zapleśniałym dnie dziecięcego pudła z zabawkami. Budowle mogłyby być sztonami w zestawie do monopolu jakiegoś trylionera.

– Tę lubię najbardziej – powiedziała nagle kobieta.

– Którą?

– A tę – powiedziała, wskazując latarką. – National.

Budynek był mu jakoś znajomy, jednak po tak intensywnym zwiedzaniu wszystkie obiekty zaczynały mu przypominać to samo: kupę kamieni.

– Jaki w tym sens? Przecież ledwo je widać?

– O, Gaja nie potrzebuje widzialnego światła – zapewniła go. – Jeden z moich pradziadków pracował przy tej budowie. Widziałam ją w Waszyngtonie.

– Nie za bardzo podobna.

– Rzeczywiście, jest okropna. Idzie do rozbiórki.

– Czy przybyłaś tu po to, aby badać wielkie dzieła architektury dawnych wieków?

Uśmiechnęła się.

– Nie, przyjechałam je budować. Gdzie na Ziemi możesz zbudować coś takiego?

Wznoszono je setki lat. Nawet i tu zabiera to dwadzieścia czy trzydzieści lat, i to bez związków zawodowych, nadzoru architektonicznego i przejmowania się kosztami. Na Ziemi budowałam rzeczy dużo większe, ale o ile nie zdołałam się zmieścić w terminie sześciu miesięcy, najmowali kogoś innego. A jak kończyli, całe to gówno waliło się na ziemię. Tutaj pracuję nad Świątynią Mormonów w Zimbabwie.

– No dobrze, ale na co ci to? Jaki to ma sens? Spojrzała na niego z bezmiernym

politowaniem.

– Jeżeli musisz zadawać takie pytania, na pewno nie zrozumiesz odpowiedzi.

Byli teraz w rejonie zalanym łagodnym światłem. Nie sposób było wskazać jego źródła, widoczność była jednak na tyle dobra, że można było dostrzec sklepienie piasty, idące wprawdzie bardziej stromym łukiem niż powąła pierścienia, ale i tak odległe o ponad 20 kilometrów. Była to plecionka, wikliniarska robota o zawiłym splocie, gdzie każdy pręt był tysięcznym włóknem kabla. Do najbliższej ściany przymocowana była biała płachta o rozmiarach grotzagła cyber-szkunera. Był to ekran filmowy, na którym wyświetlano właśnie dwuwymiarowy, czarno-biały, niemy film. Ilustrację muzyczną zapewniała stojąca obok budki operatora pianola.

Posadzkę między kabiną i ekranem zaścielał półhektarowy perski dywan. Na otomanach i poduszkach wylegiwało się kilkadziesiąt mężczyzn i kobiet w luźnych, barwnych szatach. Niektórzy oglądali film, inni rozmawiali, śmiali się i pili. Wśród nich była Gaja. Wyglądała trochę inaczej niż na zdjęciach.

W obiegu było bardzo niewiele fotografii tego szczególnego narzędzia, które Gaja lubiła przedstawiać jako „siebie”. Nie dawały one żadnego wyobrażenia o jej rozmiarach.

Co innego było przeczytać, że Gaja jest niewysoką kobietą, co innego zaś – stanąć z nią twarzą w twarz. Nikt by na niej nie zatrzymał wzroku, widząc ją wygrzewającą ławkę w parku. Chris widział tysiące takich jak ona: małych, obdartych, przemierzających miejskie wysypiska w poszukiwaniu czegoś, co się jeszcze może przydać.

Jej twarz, okolona drugim podbródkiem, przypominała ziemniak. Jej łagodne, ciemne oczy wciśnięte były pomiędzy ciężkie brwi i fałdy tłuszczu. Przyprószone siwizną kędzierzawe włosy były przycięte równo na wysokości ramion. Chris specjalnie wyszukał zdjęcie Charlesa Laughtona, żeby sprawdzić, czy słuszne jest porównanie, które

często powtarzano. Faktycznie, podobieństwo było uderzające.

Uśmiechnęła się sardonicznie.

Widziałam już takie reakcje, synku. Wrażenie ani w połowie takie jak na widok jakiegoś cholernego płonącego krzewu, prawda? Z drugiej jednak strony, jak sądzisz, czego Jahwe chciał dowieść, odstawiając takie widowisko? Chciał napędzić stracha jakiemuś przesądnemu żydowskiemu pastuchowi, ot co. Spokojnie, chłopcze. Chwyć poduszkę i opowiedz mi o tym.

Rozmowa z nią okazała się zaskakująco łatwa. To samo odnosiło się do jej nieortodoksyjnego wyboru boskiej postaci: w trudny do określenia sposób Gaja pasowała do wyobrażeń Matki Ziemi. Jej towarzystwo działało odprężająco. Można było ujawnić sprawy z dawna skrywane, obnażyć się z ufnością, która rosła w miarę jak rozwijała się opowieść. Miała ten szczególny dar słuchania, tak cenny u wszystkich dobrych terapeutów czy rodziców. Słuchając utwierdzała go w przeświadczeniu, że jest rozumiany. Nie było w tym współczucia ani bezkrytycznego uwielbienia. Nie miał uczucia, że jest jej ulubieńcem, ani choćby nawet, że jest przedmiotem jej szczególnej troski. Ciekawił ją on sam i problem, z którym przyszedł.

Zastanawiał się, czy nie było to jedynie subiektywne odczucie, czy nie lokował nierozważnie wszystkich swoich nadziei w tej przysadzistej kobiecie. Mimo to, rozmawiając z nią, nie mógł się powstrzymać od płaczu i wcale nie czuł z tego powodu wstydu.

Spoglądał na nią od czasu do czasu, a jego niewidzący wzrok błędził od jej twarzy do pucharu i dywanu.

Wreszcie wyłożył wszystko, z czym przyszedł. Niestety, nie mógł sobie przypomnieć z literatury, jaki może być ciąg dalszy. Ludzie, którzy zostali poddani kuracji, po

powrocie nader mgliście opisywali swoje spotkania z Gają i następujący potem pobyt na Gai, który trwał średnio około sześciu miesięcy.

Bez względu na motywy, jakie nimi kierowały, jakoś nie chcieli o tym opowiadać.

Gaja przez dłuższą chwilę przyglądała się akcji na ekranie, upijając nieco wina z kieliszka na wysokiej nóżce.

– No dobrze – powiedziała w końcu. – Sporo się już dowiedziałem od Dulcimer.

Dokładnie cię przebadałam, rozumiem twój stan i mogę ci zagwarantować, że leczenie jest możliwe. Nie tylko ciebie oczywiście, ale...

– Wybacz, ale w jaki sposób mnie badałaś, skoro...

– Nie przerywaj. Wróćmy do tematu. Zawieramy umowę i pewnie ci się ona nie spodoba. Dulcimer zadała ci pewne pytanie, jeszcze w ambasadzie, i wtedy na nie nie odpowiedziałeś. Ciekawa jestem, czy od tamtej chwili o tym myślałeś i czy teraz masz na nie odpowiedź.

Chris wrócił pamięcią do tamtej rozmowy i przypomniał sobie „zagadnienie” dwojga dzieci przywiązanych na torach.

– Niewiele w tym sensu – przyznała Gaja – ale problem jest ciekawy. Nasuwają mi się dwie odpowiedzi. Jedna dla bogów, druga dla istot ludzkich. Myślałeś o tym?

– Owszem, zdarzyło się.

– I do czego doszedłeś?

Chris westchnął i postanowił, że będzie szczery.

– Wydaje się prawdopodobne, iż... gdybym próbował uratować oboje, to przy próbie uwolnienia drugiego pewnie bym zginął. Nie wiem, które uratowałbym jako pierwsze.

Gdybym jednak uwolnił jedno, nie mógłbym się uchylić od próby uwolnienia drugiego.

– Która mogłaby zakończyć się twoją śmiercią. – Gaja skinęła głową. – Tak, to jest

odpowiedź na ludzką miarę. Tak właśnie działają ludzie: włączą na gałąź, by uratować pobratymca, i zlatują na dół razem z nim. Dziesięciu ratowników ginie w poszukiwaniu jednego zagubionego wędrowca. Upiorna arytmetyka. No owszem, to nie jest powszechne. Wielu ludzi nie ruszyłoby nawet palcem. – Przyjrzała mu się spod zmrużonych powiek. – A co ty byś wybrał?

– Nie wiem. Nie byłbym szczery, gdybym powiedział, że jestem pewien swojego poświęcenia.

– Odpowiedź boska jest prosta. Bóg pozwoliłby na śmierć obojga. Innymi słowy, życie jednostki nie ma znaczenia. Chociaż wiem, kiedy spadnie każdy wróbel, nie robię niczego, by temu zapobiec. Śmierć należy do samej istoty życia. Nie spodziewam się, że ci się to spodoba, czy że to zrozumiesz, czy wreszcie, że się z tym zgodzisz. Po prostu wyjaśniam ci moje stanowisko. Rozumiesz?

– Tak sędzę. Nie jestem pewien. Gaja zbyła to ruchem ręki.

– Nieważne, czy to aprobujesz. Rzecz w tym, żebyś zrozumiał, że tak właśnie działa mój świat.

– Rozumiem.

– Świetnie. Wbrew pozorom, nie jestem wcale aż taka bezosobowa, chociaż niektórym bogom to się zdarza. Gdyby istniało jakieś życie pozagrobowe, a tak nawiasem mówiąc, nie istnieje, przynajmniej nie w mojej czy twojej teogonii, skłaniałabym się do tego, by wynagrodzić człowieka, który skoczył na tory i próbował uratować te dzieci. Gdyby istniało niebo, zabrałabym tam tego biednego sukinsyna.

Niestety. – Zrobiła szeroki ruch z kwaśną miną. – Tu właśnie mam coś, co bodaj najbardziej przypomina niebo. Nie mam żadnych wielkich pretensji, miejsce jak wiele innych. Przynajmniej jedzenie jest dobre. Ale jeżeli ktoś czegoś dokonał, należy mu się

przecież mój podziw i nagroda w tym życiu. Rozumiesz?

– No cóż, ciągle słucham. Roześmiała się i klepnęła go po kolanie.

– To lubię. Problem w tym, że niczego nie daję za darmo. Ale też i niczego nie sprzedaję. Możliwość terapii przyznawana jest stosownie do zasług. Dulcimer powiedziała, że nie przychodzi ci do głowy, czym mogłeś się zasłużyć. Pomyśl jeszcze.

– Nie bardzo wiem, czego właściwie chcesz.

– Otóż w przypadku czynów dokonanych na Ziemi trzeba jeszcze uzyskać niezależne potwierdzenie. Jakies urządzenie do ratowania życia, projekt nowej wartościowej filozofii. Poświęcenie się dla innych. Oglądałeś „Cudowne życie” Franka Capry? Nie? Ludzie powinni się wstydzić, że tak strasznie zaniedbują klasykę dla kaprysu czy dogodzenia przyziemnym gustom. Bohaterowie tej opowieści dokonali właśnie czynów, które kwalifikowałyby ich do uzyskania mojej pomocy, jednakże dokonania te nie zostały udokumentowane na piśmie, trudno byłoby im również przedstawić dostateczną ilość wiarygodnych świadków. Pewnie więc musieliby odejść z kwitkiem. Nic na to nie poradzę, ale tylko w ten sposób mogę działać. Wymyśliłeś coś? Chris potrząsnął głową.

– Coś, czego dokonałeś już po rozmowie z Dulcimer?

– Nie. Nic. Wydaje mi się, że całą energię skupiałem na moich własnych problemach. Chyba powinno mi być przykro z tego tytułu.

– Nie ma potrzeby. A teraz do dzieła. Problem polega na tym, że ubijam interes tylko z bohaterami. Możesz sądzić, że snobuję się, goniąc za jakimiś chimerami, i że powinnam gdzieś wytyczyć granicę. Popatrz na to jednak z drugiej strony: jak wyglądałyby twoje sprawy, gdybym na przykład takie kryterium uczyniła z bogactwa. Czyż nie gorzej? Trudniej się wzbogacić niż zostać bohaterem. Dawniej w ogóle bym z tobą nie rozmawiała. Musiałbyś wpierw dowieść swego bohaterstwa. Wtedy...

wystarczyło poddać cię prostej próbie. Winda nie obsługiwała wolnych istot. Jeżeli chciały mnie widzieć, musiały wspiąć się na czubek szprychy, pokonując 600 kilometrów. Było oczywiste, że każdy, komu się to udało, był bohaterem. Wielu tej drogi nie zdołało pokonać, powiększając szeregi martwych bohaterów. Od czasu jednak, gdy stałam się uzdrowicielem gatunku ludzkiego, wprowadziłam pewne korekty. Niektórzy z ludzi wymagających leczenia są zbyt słabi fizycznie, by opuścić łóżko. Oczywiście, nie mogą walczyć ze smokami, są jednak jeszcze inne sposoby, by udowodnić swą wartość, i teraz otwiera się przed nimi szansa. Pomyśl o tym jako o małym przyczynku do rozwoju ludzkiego pojęcia uczciwej gry. Zrozum, nie gwarantuję wcale rzetelności tego układu. Musisz zaryzykować.

– To również rozumiem.

– No więc dobrze. Możesz ruszać w swoją drogę, chyba że masz pytanie. Wróc, kiedy będziesz wart mojej uwagi. – Mimo tych zniechęcających słów, nie odwracała się jeszcze.

– Ale co mogę zrobić?

Wyprostowała się trochę i zaczęła wyliczać kolejne możliwości na palcach, małych, tłustych kielbaskach podzielonych na segmenty biżuterią wciśniętą na wałki tłuszczu.

– Po pierwsze: nic. Wracaj do domu i zapomnij o wszystkim. Po drugie i najprostsze: zjedź na pierścień i wespnij się z powrotem. Masz mniej więcej jedną szansę na trzydzieści, że ci się to uda. Trzecie wyjście. – Przerwała odhaczanie, machając ręką ku ludziom rozłożonym na kanapach. – Przyłącz się do kompanii. Baw się, a ja zapewnię ci wieczne zdrowie. Wszyscy ci ludzie przybyli w taki sam sposób jak ty. Postanowili nie ryzykować. Jest tu masa filmów i jak już powiedziałam, na jedzenie nie można narzekać. Mamy tu jednak wysoki wskaźnik samobójstw.

Chris rozejrzał się dookoła, tym razem uważniej. Mógł sobie wyobrazić, jak to jest.

Niektórzy ludzie w ogóle nie wyglądali na żywych. Siedzieli zapatrzeni w olbrzymi ekran, mętne cienie emanujące nastrój przygnębienia, niczym szare wyziewy Kirliana.

– Czwarta możliwość: możesz zejść na dół i czegoś dokonać. Wróc do mnie jako bohater, to nie tylko cię ulecę, ale również wskażę ziemskim lekarzom, jak uleczyć siedemdziesięciu trzech innych ludzi, cierpiących na tę samą przypadłość. Tu się kończą opcje. Teraz wszystko zależy od ciebie. Podejmiesz ryzyko czy poczekaasz, aż zrobi to ktoś inny? Ci ludzie tutaj karmią się nadzieją, że pojawi się tu ktoś dzielniejszy od nich, kto będzie cierpiał na to samo co oni. Właściwie jest tu jeden taki, który ma tę twoją chorobę. O ten, ten z głodnymi oczami. Jeżeli zejdziesz, obojętnie czy przeżyjesz, czy zginiesz, będziesz jego wybawieniem. Możesz też przyłączyć się do niego i poczekać, aż nie pojawi się tu ktoś naprawdę odważny.

Chris przyjrzał się człowiekowi, wstrząśnięty widokiem. Głodne oczy... tak, to było najlepsze określenie. Przez chwilę, przerażony, próbował sobie wyobrazić siebie samego u jego boku.

– Ale co mam zrobić? – wyjęczał. – Nie mogłabyś mi czegoś podpowiedzieć?

Poczuł, że Gaja traci resztki zainteresowania i zaczyna wpatrywać się w migotliwy ekran. Po chwili po raz ostatni odwróciła się ku niemu.

– Tam, na dole, jest milion kilometrów kwadratowych terenu, ukształtowanego w sposób, którego nawet nie jesteś w stanie sobie wyobrazić. Jest tam diament wielkości Ritza osadzony na szczycie szklanej góry. Przynies mi ten diament. Są tam plemiona żyjące pod najokrutniejszym z możliwych uciskiem, niewolnicy przerażających stworów o oczach czerwonych i gorących jak węgiel. Uwolnij je. Jest tam półtorej setki smoków, jeden niepodobny do drugiego, rozrzuconych po moim obwodzie. Zabij choć jednego.

Jest masa zła, które trzeba naprawić, przeszkód, które trzeba pokonać, bezradnych istot oczekujących ratunku. Zalecam ci, abyś wybrał się do mojego wnętrza. Gwarantuję ci, że nim wrócisz do punktu wyjścia, twoja odwaga wielokrotnie zostanie wystawiona na próbę. Musisz się zdecydować. Ten człowiek i siedemdziesięciu dwóch innych na Ziemi oczekują twojej pomocy. To właśnie oni tkwią uwięzani do torów. Ratunek zależy od ciebie, przekonasz się jednak, że być może samemu nie uda ci się uratować. Jednak jeżeli umrzesz, twoja śmierć nie pójdzie na marne. Więc co? Zamów sobie coś do picia albo zejdź mi z oczu.

8. Lotnik

Robin wcale nie była przytłoczona. Nie darmo spędziła ostatnie dwanaście lat zesłana do oświetlonych regionów Konwentu. Emocjonalnie jednak cała się gotowała. Ktoś miał ją odprowadzić, ale wkrótce został daleko w tyle. Niczym mrówka wśród słoni posuwała się wśród pomników.

Śmieszna rzecz. Czy miało to na niej zrobić specjalne wrażenie? Jeżeli śmieci miały być olśniewające, była przytłoczona.

Katedry. Stepujący tancerze. Tłuste, sprośne coś podające się za Wielką Matkę, otoczone zgrają apatycznych pochlebców. A na dodatek co?

Bohaterowie.

Splunęła mniej więcej w kierunku katedry Notre Dame.

Dlaczego miałyby pragnąć być wybawieniem dwudziestu sześciu obcych ludzi?

Jeden z nich bez wątpienia był jej ojcem. Gaja, podpowiedziawszy to, nie wyzwalała w Robin żadnej reakcji. Ojcostwo było dla Robin czymś równie obcym jak transakcje opcyjne na giełdzie.

Gaja powiedziała, że nie ma nic za darmo. A tych dwudziestu sześciu ludzi, którzy liczyli, że Robin narazi się na paskudną i bardzo prawdopodobną śmierć? Całym jestestwem buntowała się przeciw takiemu pomysłowi. Gdyby choć jedna z tych osób była mieszkanką Konwentu, poruszyłaby niebo i ziemię, by jej pomóc. Ale dla kogoś obcego?

Od początku robili z niej idiotkę. Nie było potrzeby powiększać błędu. Pozostanie w tym żalonym gronie przydupasów absolutnie nie wchodziło w rachubę, podobnie jak i wejście do gry proponowanej przez Gaję. Wróci tam, gdzie jej miejsce, do życia, jakie jej zgotowała Wielka Matka.

Odnalazła windę i nacisnęła guzik. Na dźwięk dzwonek wsiadła. Kiepski projekt – zauważyła, rozglądając się za jakimś uchwytem. W windzie były tylko dwa przyciski: jeden z napisem „Niebo” i drugi z oznaczeniem „Dół”. Wcisnęła ten drugi i uniosła rękę, by chwycić się stropu, gdyby winda ruszyła zbyt szybko. W tej pozycji i z tym nastawieniem uczucie, kiedy stopy unoszą się z podłogi, nie było tak niepokojące. Dopiero po chwili zorientowała się, że sufit nie przybliżyła się. Właściwie to zaczął się nawet powoli oddalać. Spojrzała w dół.

Zobaczyła swoje buty. Sześćset kilometrów poniżej dostrzegła Nox, Morze Północne.

Czuła, że czas zaczyna płynąć niemiłosiernie wolno. Jej układ krwionośny, zasilony nagłym przyływem adrenaliny, pchnął dodatkowe litry krwi do kończyn. Widoki zaczęły się zmieniać jak w kalejdoskopie. Powietrze było świeże i rześkie. Czuła dziwną siłę w rozłożonych ramionach, stopy stały się jakoś dziwnie odległe. Po chwili, kiedy strach i rozpacz ogarnęły ją z całą siłą, nastąpiło oddzielenie.

Kiedy zaczęła krzyczeć, przesuwająca się kabina pozostawiła ją do pasa w dół poniżej poziomu podłogi. Ciągle spadała, namiętnie przeklinając i wrzeszcząc. Ściany umykającej kabiny były poza jej zasięgiem. Po chwili winda stała się już tylko niknącym w oddali punktem świetlnym.

Robin zaczęła liczyć bynajmniej nie dlatego, że miała nadzieję, iż wynik przywróci ją światu żywych. Wiedziała, że tam, wiele kilometrów w dole, czekają śmierć. Chciała tylko wiedzieć, jak długo jeszcze? Ile sekund? Minut? A może nawet zostały jej całe godziny życia?

Fakt, że wychowywała się w Konwencie, okazał się przydatny. Znała zasady ruchu po okręgu i siły, jakie wtedy działają. Te problemy były dla niej bardziej przystępne niż

mechanika grawitacyjna. Przecież nigdy jeszcze nie znajdowała się w polu grawitacyjnym, które miałyby jakiegokolwiek istotne skutki dla zachowania się ciał. Wyszła w swoich obliczeniach od tych danych, które znała: $1/40$ przyspieszenia ziemskiego w piąście. Kiedy otwarła się pod nią podłoga windy, zaczęła spadać z prędkością $1/4$ metra na sekundę. Nie powinna jednak przyspieszać w tym samym tempie. Ciało spadające swobodnie wewnątrz obiektu, który obraca się wokół swej osi, nie porusza się po promieniu, ale porusza się w kierunku przeciwnym do kierunku obrotu. Wskutek tego tylko dla obserwatora z zewnątrz tor jej upadku będzie linią prostą, dla niej natomiast koło będzie się przesuwać. Przyspieszenie jej ruchu w dół będzie nieznaczne. Dopiero wtedy, gdy również prędkość ruchu boczego wzrośnie do znaczącego poziomu, tempo jej spadania zacznie rzeczywiście rosnać. Odczuje to jako wiatr wiejący w kierunku przeciwnego do kierunku obrotu.

Rozejrzała się pospiesznie. Wiatr już się wzmógł. Mogła już rozróżnić wierzchołki drzew, porastających biegnącą pionowo ścianę szprychy. To był właśnie ów wielopiętrowy, poziomy las Gai. Gdyby kolisko Gai obracało się w drugą stronę, za parę sekund czy najwyżej minut niewiele by z Robin zostało. Ponieważ jednak upadek rozpoczął się w pobliżu jednej ze ścian, miała jeszcze sporo czasu.

Mogła wykonać pewne uproszczone obliczenia. Niestety, nie znała dokładnej gęstości powietrza na Gai. Czytała, że jest ona duża, dochodzi do dwóch atmosfer na obręczy. W jakim jednak tempie spadała w miarę zbliżania się do osi? Nie było problemów z oddychaniem, można by więc przyjąć, że w piąście ciśnienie powietrza wynosi jedną atmosferę.

Zagłębienie się w matematykę działało na nią jakoś dziwnie pocieszająco. Całe te obliczenia podjęła niemal automatycznie, z drugiej jednak strony była w pełni świadoma

jałowości przedsięwzięcia. Robiła to tylko dlatego, że chciała wiedzieć, kiedy ogarnie ją wieczny mrok. Umierać trzeba z godnością. Chwyliła ramię torby z Nasu i zaczęła od nowa.

Wyszedł jej wynik, który jej się w ogóle nie spodobał, spróbowała ponownie i jeszcze raz, ale wyniki nadal się nie zgadzały. Średnia wszystkich trzech wynosiła 55 minut do momentu upadku, w którym będzie mknęła z prędkością 100 km na godzinę. Spadała z wiatrem w plecy. Ponieważ poruszała się zarówno w stronę pierścienia jak i ściany, jej ciało było trochę nachylone w stosunku do osi szprychy. Rozejrzała się. Widok zapierał dech. Jaka szkoda, że nie mogła go podziwiać w spokoju.

Gdyby Konwent zrzucić z punktu, w którym zaczął się jej upadek, przypominałby puszkę po coli zrzuconą w komin fabryczny. Szprycha nad Reą była spłaszczoną rurą, wybrzuszoną u dołu i całkowicie porośniętą drzewami, przy których normalne sekwoje wyglądałoby na odmianę karłowatą. Drzewa ukorzenione były w ścianach i rosły ku środkowi szprychy. Z tej odległości nie mogła rozróżnić poszczególnych drzew, nawet tych największych; wewnętrzne ściany szprychy były bezkształtnym morzem ciemnej zieleni, która otaczała ją ze wszystkich stron. Wnętrze oświetlone było podwójnym rzędem iluminatorów, jeżeli można w ogóle użyć tej nazwy dla określenia otworów o średnicy przynajmniej jednego kilometra.

Odwróciła głowę, próbując spojrzeć w kierunku, z którego dmuchał wiatr.

Wydawało się, że Nox jest bliżej. Było jeszcze coś, co dostrzegła na samym skraju swego pola widzenia.

Były to pionowe kable Rei. Zamocowane były do wysp na Morzu Północnym i podążały prosto w górę, zbiegając się i łącząc w pobliżu szprychy, splecione tam w olbrzymi warkocz.

Koniecznie chciała to zobaczyć. Przekręcając się w powietrzu, zdołała się ustabilizować w pozycji twarzą do wiatru i otworzyła oczy. Kable z każdą sekundą stawały się coraz bliższe.

– O Wielka Matko, usłysz mnie teraz – wymamrotała pierwszą modlitwę żałobną, nie mogąc oderwać wzroku od ciemnej ściany, która pędziła prosto na nią. Przelatując wzdłuż splecionych włókien, miała wrażenie, że kabel się obraca.

Spadała wzdłuż kabli przez dobrą minutę. W pewnym momencie przycisnęła prawe ramię do boku w przekonaniu, że gdyby je wyciągnęła, dotknęłaby pędzącej ściany, chociaż wiedziała, że odległość musi być jednak trochę większa. Potem jeszcze raz okręciła się w powietrzu, obserwując, jak kable znikają w oddali.

Wydawało się, że godzina to w końcu nie tak długo. Na pewno można było wytrzymać godzinę absolutnego przerażenia. Zastanawiała się, czy nie dzieje się z nią coś niedobrego, ponieważ w ogóle nie odczuwała już strachu. Zanim bliskie spotkanie z kablem nie obudziło jej znowu, osiągnęła stan pewnego uspokojenia. Teraz czuła, że ten spokój znów ją ogarnia i przyjęła go z wdzięcznością. Jest taki rodzaj słodkiego spokoju, który może przyjść razem ze świadomością bliskiej śmierci, śmierci szybkiej i bezbolesnej. Towarzyszy mu świadomość, że próżno już pocić się, panicznie łapać powietrze i przeklinać los.

To nie mogło trwać wiecznie. Dlaczego jednak nie miałyby potrwać jeszcze ze dwadzieścia minut?

Miotła się teraz pomiędzy fatalistyczną akceptacją nieuchronnego przeznaczenia a przerażeniem. Nie wystarczało jej wiedzieć, że nic nie może zrobić. Chciała żyć, a miała umrzeć i żadne słowa nie mogły wyrazić żalu, jaki czuła.

Religia, którą wyznawała, nie przewidywała, by modły miały być wysłuchane.

W tym sensie mieszkańcy Konwentu w ogóle się nie modlili. O nic nie prosili.

Oczywiście, były rzeczy, których pragnęli, miejsca, w których chcieliby się znaleźć w życiu pozagrobowym, ale w chwilach najtrudniejszych oparcia musieli szukać wyłącznie w sobie. Wielka Matka nie wtrącała się do losów jednostek, zresztą Robin nigdy nie przyszło do głowy, by Ją o to prosić. Pragnęła jednak, by znalazło się coś, do czego mogłaby się uciec po pomoc, jakaś siła w całym tym bezmiarze.

Wtedy przyszło jej do głowy, że być może tego właśnie chciała Gaja. Czy ją usłyszy, z samego dna, zaledwie minuty przed ostateczną zagładą? Chociaż w pierwszej chwili sama myśl zdała jej się wstrząsająca, Robin nie byłaby znowu tak bardzo zdziwiona, że Gaja może być zdolna do czegoś tak okropnego. Pasowało to jakoś do szaleństwa, które brzmiało w jej głosie. Nadal jednak cel takiego działania pozostawał dla niej niejasny. Jedyne, co jej przychodziło do głowy, to to, że Gaja pragnęła ją tak zastraszyć, by uznała ją za swoją władczynię.

Jeżeli tak, to na pewno Gaja może jeszcze coś zrobić. Robin otworzyła usta, ale nie zdołała wydobyć głosu. Spróbowała ponownie i udało jej się wrzasnąć. Dzięki jakiejś sprzyjającej duchowej magii jej strach przekształcił się w gniew tak wielki, że wstrząsnął nią silniej niż podmuchy wiatru.

– Nigdy – krzyknęła. – Nigdy, nigdy, nigdy! Ty śmierdzący raku! Brzydzę się tobą!

Jesteś wstrętnym, odpychającym wynaturzeniem! Dorwę cię choćby w grobie,

wypatroszę i wsadzę ci te twoje śmierdzące flaki w gębę! Wypcham cię gorącym

węgłem, wytnę ci język, wypluję na zimne żelazo i będę smażyć przez całe wieki!

Przeklinam cię! Usłysz mnie, o Wielka Matko, usłysz i dobrze zapamiętaj! Oby mój cień przyglądał się wiecznym mękom tej, która zwie się Gają!

– Bardzo dobrze.

– Nawet jeszcze nie zaczęłam. Będę...

Spojrzała w dół. Około metra poniżej swych stóp ujrzała uśmiechniętą twarz. Patrząc pod tym kątem, niewiele więcej zdołała zobaczyć. Dostrzegła ramiona, zadziwiająco masywną klatkę piersiową i złożone wzdłuż pleców skrzydła.

– Przyjmujesz to bardzo spokojnie.

– A dlaczegoż by nie? – spytała Robin. – Pomyślałam, że sobie to wszystko wymyśliłam, i nadal nie jestem pewna, czy tak nie jest. Przysięgniesz na wszystko, co jest dla ciebie święte, że to nie Gaja cię wysłała?

– Przysięgam na Eskadrę. Gaja wiedziała, że nie rzuca cię na pewną śmierć, ale bezpośrednio w to nie ingerowała. Robię to z własnej i nieprzymuszonej woli.

– Przypuszczam, że za jakieś pięć minut wyrznię w ścianę.

– Mylisz się. Dolna część szprychy jest wybrzuszona niczym dzwon, nie pamiętasz? To wystarczy, byś się wydostała i upadła za Zachodni Hyperion pod kątem 60 stopni.

– Jeśli w ten sposób próbujesz dodać mi otuchy... – Jednak jego słowa jakoś podziałały. Jej pierwsze oceny (68 minut) sprawdzały się. Zaniżyła natomiast prędkość końcową; będzie spadać dłużej. Zastanawiała się, czy anioł mógł jej jakoś pomóc.

– Nie mogę cię unieść, to prawda – powiedział, jakby zgadując jej myśli. –

Rzeczywiście mnie zadziwiasz. Ludzie reagują bardzo rozmaicie. Najczęściej mówią mi, co mam robić, jeżeli jeszcze w ogóle są w stanie myśleć racjonalnie.

– Jak na razie, nie postradałam zmysłów. Może byśmy jednak coś pokombinowali?

Czas ma tu chyba jakieś znaczenie?

– Właśnie, że nie. To znaczy jeszcze nie. Mogę ci pomóc dopiero, kiedy będziemy blisko ziemi, ale i tak wszystko, co mogę zrobić, to tylko zwolnić tempo upadku. Do tego czasu możesz się nie przejmować. Myślę jednak, że nie muszę ci tego mówić.

Robin nie bardzo wiedziała, co powiedzieć. Była bliska hysterii i broniła się przed nią coraz słabiej. Stwierdziła, że jedyny sposób na to, to udawanie spokoju. Jeżeli można udawać tak dobrze, że ktoś inny się na to nabierze, być może można oszukać i siebie. Teraz anioł spadał równo przed nią, mogła mu się więc lepiej przyjrzeć. Uderzyły ją dwie rzeczy: po pierwsze należał do tej nielicznej garstki znanych jej osób, które były niższe od niej, po drugie zaś, nie było żadnych podstaw, by przypuszczać, że jest płci męskiej. Zastanawiała się więc, dlaczego odniosła takie wrażenie. Nie miał widocznych narządów płciowych. Jego podbrzusze porośnięte było zielonymi, opalizującymi piórami. Być może sprawiła to jego muskularność. W czasie krótkiego pobytu na Gai zaczęła kojarzyć kanciastą sylwetkę z mężczyznami. Wydawało się, że anioł cały jest z kości i ścięgien, obciągniętych w połowie nagą brązową skórą, a w połowie pokrytych kolorowymi piórami.

– Czy jesteś dzieckiem? – spytała.

– Nie. A ty? – Wyszczrzył zęby w uśmiechu. – Przynajmniej zaczynasz spełniać moje oczekiwania. Zaraz spytasz, czy jestem mężczyzną czy kobietą. Jak najbardziej jestem mężczyzną i jestem dumny z tej przypadłości. Mówię, że jestem dotknięty męskością, ponieważ anioły tej płci żyją o połowę krócej niż anielice; są też mniejsze i mają mniejszy zasięg. Ale... są też pewne dziedziny, w których stoimy lepiej, i to jest jakieś zadośćuczynienie. Czy kochałaś się kiedyś w powietrzu?

– Nie kochałam się nigdy w sensie, który zapewne masz na myśli.

– Chciałabyś spróbować? Mamy około piętnastu minut i mogę ci zagwarantować niezapomniane przeżycia. Co o tym sądzisz?

– Nie. Nie rozumiem, czego ci się zachciewa.

– Jestem zboczeńcem – odpowiedział z uśmiechem. – Ciągnie mnie do tłuszczu.

Nigdy nie mam go dość. Tkwią tu, czekając, czy nie spadnie jakaś tłusta kobieta. Ja coś dla nich, one coś dla mnie. Przysługa za przysługę, ku wspólnemu zadowoleniu.

– Czy to jest opłata, jaką pobierasz?

– Nie, nie opłata. Uratuję cię nawet za nic. Nie lubię patrzeć, jak ludzie walą w ziemię, pędząc setką czy więcej.

Nie bardzo cię jednak rozumiem. Wydawało mi się, że nie trzeba specjalnie o to prosić. Każdy przecież chce jakoś odwzajemnić przysługę.

– Ja nie.

– Dziwna jesteś, wiesz o tym? Nigdy nie widziałem człowieka z takimi znakami.

Urodziłaś się z tym? A może jesteś odrębnym gatunkiem ludzkiego rodu? Nie rozumiem, dlaczego nie chcesz się ze mną kochać? To potrwa małą chwilę. Wszystkiego minutę.

Czy to tak wiele?

– Zadajesz masę pytań.

– Chciałem tylko... Hopla! Trzeba się chyba zacząć obracać, jeśli nie chcesz uderzyć... Uważaj!

Robin, zdjęta paniką, wyobrażała sobie, że ziemia jest tuż, tuż. Jakoś niezręcznie ustawiła ramiona do wiatru i zaczęła koziołkować.

– Rozluźnij się – doradził anioł. – Wyprostuj się. Tak lepiej. Teraz spróbuj przekonać się, czy możesz się okręcić. Rozłóż ramiona, w bok i do tyłu.

Robin zrobiła, jak mówił, i zanurkowała niczym kaczka. Przelatywali teraz przez sferę zmierzchu, na tyle nisko, że mogła obserwować przesuający się ląd. Anioł zajął pozycję za nią i otoczył ją ramionami. Były twarde i mocne jak postronki. Jedno ścisnęło jej piersi, drugie trzymało w okolicy lędźwi. Czowała zimny ucisk jego opierzonych policzków na karku i ciepło ust na płatku ucha.

– Jesteś tak delikatna, masz tyle cudownego miękkiego tłuszczu...

– Na Wielką Matkę, jeśli zamierzasz mnie zgwałcić, zrób to zaraz i bądź przeklęty,

kłamliwy kurczaku! Nie mamy zbyt dużo czasu! – Robin trzęsła się cała ze strachu przed upadkiem i przed atakiem mdłości, który mógłby pozbawić ją kontroli nad sobą.

– Co masz w torbie? – spytał sucho.

– Swojego demona.

– W porządku, nie musisz wyjaśniać! Na wszelki wypadek jednak mocno go trzymaj.

Uwaga!

Teraz, kiedy ostrożnie zaczął rozkładać swoje wielkie skrzydła, jego ręce

przypominały bardziej szpony. Szarpnęło i poczuła, że miał spadać swobodnie, wisi głową w dół. Nie potrafiła utrzymać nóg wyprostowanych. Kiedy pozwoliła im opaść, obydwójce złapali równowagę i kołysali się pod wzniesionymi olbrzymimi skrzydłami.

Anioł wziął łagodny skręt; ziemia przechyliła się pod nimi. Zmierzał ku rzece

Ophion, która płynęła pod kablem łączącym Pole Wiatrów z piastą. Rzeka była głęboka

i szeroka i toczyła w tym miejscu swoje wody dość leniwie na południowy wschód. Żeby się jednak znaleźć nad nią, musiał najpierw skierować się na południe, a później na

północ, by zejść lotem ślizgowym zgodnym z biegiem rzeki. Później pozostawało tylko

odwlec upadek przez zmniejszenie kąta, pod jakim schodzili w dół, tak by Robin trafiła w sam nurt rzeki.

Przelecieli nad grupą kraterów. Robin nie pytała o ich pochodzenie. Pomyślała tylko,

że w żadnym razie nie mogli tego uczynić ludzie; prędkość 90 metrów na sekundę nie

pozwoiłaby im nabrać odpowiedniej energii kinetycznej. Jakiś cięższy przedmiot,

spuszczony z tej samej wysokości, na pewno mógł jednak taką dziurę wybić.

Anioł rozwinął teraz całkowicie swoje potężne skrzydła. Teren pod nimi był

pagórkowaty i lesisty, przed nimi jednak wyraźnie rysowała się prosta wstęga rzeki.

Wyglądało na to, że nie zdołają do niej dotrzeć, a poderwanie się w górę i ponowne podejście do lądowania nie wchodziło przecież w grę. Anioły z trudnością mogły unieść w górę własny ciężar.

– Myślę, że upadniesz z prędkością 70 – 80 kilometrów na godzinę – wykrzyczał jej nad uchem. – Spróbuję wyhamować krótkimi uderzeniami, kiedy będę pewien, że trafisz w rzekę. Będziesz leciała po skosie.

– Nie umiem pływać.

– Ja też nie. Tam będziesz musiała liczyć tylko na siebie.

Uczucie było rzeczywiście dziwne. Nagle poczuła szarpnięcie jego ramion; oddychała głęboko, wsłuchana w oszalały rytm serca. Po chwili znowu szybowali, jak się zdawało, ciągle jeszcze wysoko ponad brązową wodą rzeki. Jeszcze jeden mocny uścisk; instynktownie rozłożyła ramiona, ciągle jednak lecieli. Trzecie szarpnięcie było najmocniejsze. Przez dłuższą chwilę Robin nie mogła złapać oddechu.

Brzeg zbliżał się teraz szybko. Przed nimi rzeka toczyła swe wody na zachód.

Poczuła, że chyba rąbnęła plecami, była jednak zbyt oszołomiona, żeby być tego pewną. Pamiętała później, że przebijała się przez mulistą wodę ku światłu.

Pływanie okazało się zajęciem niezwykle męczącym. Człowiek potrafi jednak dokonać rzeczy niebywałych, kiedy czuje, że woda wlewa mu się do nosa.

Kiedy wygramoliła się na powierzchnię, zobaczyła anioła stojącego niezgrabnie na brzegu. Jego stopy nie były zbyt dobrze przystosowane do tego środowiska. Podobne były raczej do szponów, z długimi kościstymi palcami zdolnymi chwytać gałęzie drzew.

Robin wyczołgała się metr czy dwa od brzegu i przywarła bokiem do suchego lądu, niezdolna się podnieść.

– Dawaj no to – powiedział anioł, wyrywając jej z ręki torbę. – Coś mi się przecież należy za robotę, chyba temu nie zaprzeczysz. – Otworzył, wstrzymał oddech, zamknął pośpiesznie i przerażony odrzucił.

– Mówiłam ci – wysapała Robin. Anioł był wściekły i niecierpliwy.

– Dobra, co jeszcze masz?

– Trochę pieniędzy. Jeśli chcesz, są twoje.

– A na co mi pieniądze? Jedyne miejsce, gdzie je można wydać, to ten tytański dom wariatów.

Robin podniosła się i odgarnęła ręką mokre włosy przyklejone do twarzy.

– Dobrze mówisz po angielsku – powiedziała.

– Co ty wiesz? Jak zechcę, mogę mówić i miłe rzeczy.

– Przepraszam. Nie chciałam cię urazić. Po prostu byłam bardzo zdenerwowana.

– Ale teraz już nie musisz.

– Jeszcze raz dziękuję. Uratowałeś mi życie i za to jestem ci wdzięczna.

– W porządku, w porządku. Nawiasem mówiąc, nauczyłem się angielskiego od mojej babki. To ona właśnie ciągle mi powtarzała, że nie ma nic za darmo. Masz coś oprócz pieniędzy?

Miała jeszcze pierścionek, prezent od matki. Wyciągnęła rękę, a anioł przyjrzał się ozdobie z kwaśną miną.

– Biorę. Coś jeszcze?

– To wszystko, co mam. Chyba że myślisz o tym, co mam na sobie...

– Wezmę i to.

– Ale wszystkie moje rzeczy...

– Zostały w hotelu. Będziesz musiała jakoś to przeboleć. Mamy ciepły dzień.

Pochodź sobie.

Robin zdjęła buty i wylała z nich wodę. Z koszulą poszło łatwo, ale spodnie kleiły się do mokrej skóry. Wziął wszystko, a potem przyglądał jej się przez chwilę.

– Żebyś wiedziała, jak ja kocham tłuście kobiety.

– Tym razem weź sobie na wstrzymanie. A poza tym co to znaczy tłuście? Nie jestem tłuścia. – Mimo wszystko czuła się zażenowana sposobem, w jaki na nią patrzył, i było to uczucie zdecydowanie nowe. Robin nie bardziej krępowała się swoją nagością niż kot.

– Masz dwadzieścia procent tłuszczu, a może i więcej. Jesteś nim obłożona.

Wszędzie cię wydyma. – Westchnął. – A poza tym masz najcholerniejsze znaki, jakie kiedykolwiek widziałem. – Przerwał na moment i powoli wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Przynajmniej sobie popatrzyłem. Szczęśliwych lądowań. – Cisnął jej ubranie i wzbił się w powietrze.

Podmuch skrzydeł potężnie zakołysał Robin. Chmura kurzu i zeschniętych liści zmusiła ją na chwilę do wstrzymania oddechu. Przez chwilę anioł ważył się majestatycznie w powietrzu, a później szybko uniósł. Po chwili widziała w oddali tylko maleńką sylwetkę człowieka w kłębkach puchu.

Robin usiadła i dopiero teraz napięcie dopadło ją gwałtownym atakiem. Rzuciła okiem na swoją torbę, miotaną wściekłymi konwulsjami, z której całkowicie wyprowadzona z równowagi anakonda próbowała wydostać się na wolność. Nasu musi poczekać. Nie umrze z głodu, nawet jeśli atak potrwa kilka dni.

Udało jej się odwrócić. Bała się, że patrzenie w słońce może ją oślepić. Wkrótce utraciła wszelką kontrolę nad swoim ciałem. Wieczny dzień Hyperionu trwał, jakby oderwany od czasu, a ona bezsilnie trzęsła się w bursztynowym świetle słonecznym, czekając, by anioł wrócił i zgwałcił ją.

9. Wolny strzelec

Gaby Plauget stała na skalnej półce w oczekiwaniu, aż ucichnie dźwięk przypominający odgłos potężnej pompy. Normalny cykl poboru Aglai wywołał grzmot porównywalny tylko z rykiem wodospadu Niagara. Dziś jednak dźwięk ten przypominał raczej odgłos bąbli powietrza, uchodzących z butelki wciśniętej pod wodę. Zawór wlotowy z uwięzionym w nim drzewem był niemal całkowicie zalany.

Miejsce to nosiło miano Trzech Gracji, nadane mu przez Gaby przed wieloma laty.

Nieliczni Ziemianie, którzy żyli wtedy na Gai, nadal używali nazw wyrażonych w ludzkim języku, trzymając się przy tym początkowego obyczaju czerpania z mitologii greckiej. Gaby wiedziała z lektur, że Gracje towarzyszyły Afrodycie przy jej toalecie.

Myślała o Ophionie, tej szczególnej „okrężnej” rzece, jako o toalecie Gai, a o sobie jako o hydrauliku. Wszystko w końcu znajdowało ujście w rzece. Kiedy się zatykała, to ona właśnie usuwała zator.

– Znajdź urządzenie hydrauliczne wielkości katedry w Pittsburgu i miejsce, gdzie mogłoby stanąć – powiedziała kiedyś ciekawskiemu obserwatorowi – a ja osuszę cały świat. – Nie dysponując takim narzędziem, uznała za niezbędne posłużyć się metodami mniej bezpośrednimi, ale równie monumentalnymi.

Jej punkt obserwacyjny znajdował się w połowie drogi na północne urwisko Kanionu Zachodniej Rei. Przedtem kanion ten wyróżniała pewna cecha zdecydowanie dziwaczna: rzeka Ophion nie spływała z niego na zachodnią równinę, lecz zmierzała w zupełnie innym kierunku. Ten niezwykły efekt umożliwiała Aglaja. Teraz, kiedy zawór wlotowy potężnej pompy rzecznej został uszkodzony, gajograficzna fanaberia musiała się pogodzić ze zdrowym rozsądkiem. Woda, nie mając ujścia, przemieniła Ophion w przejrzyste błękitne jezioro, które wypełniło kanion i wylało się aż na równiny

Hyperionu. Na przestrzeni wielu kilometrów, aż po wygięty horyzont Gai, rozciągała się spokojna tafla wody, z której wystawały tylko wierzchołki najwyższych drzew.

Aglaja tkwiła w niej niczym trzykilometrowe, purpurowe winogrono, usadowiona w zwężającej się gardzieli kanionu, z dolną częścią pogrążoną w wodzie i z drugim końcem sięgającym daleko, aż na leżący 700 metrów wyżej płaskowyż. Tak jak i jej siostry, Talia i Eufrozyna, Aglaja była jednokomórkowym organizmem o mózgu wielkości piąstki małego dziecka. Przez trzy miliony lat siostry filtrowały wody Ophionu, podnosząc ich poziom ponad Szczyt Zachodniej Rei. Odżywiały się szczątkami, które nieustannie wpływały do ich olbrzymich trzewi. Były dostatecznie wielkie, by strawić wszystko, co zamieszkiwało Gaję, z wyjątkiem ogromnych drzew, które – będąc częścią żywej tkanki Gai – nie mogły być wyrwane.

Była to jednak zamierzchła przeszłość. Teraz wszystko mogło się zdarzyć i faktycznie się zdarzało. Dlatego właśnie – pomyślała Gaby – problemy w skali całej Gai wymagały rozwiązań, które mogła znaleźć tylko maleńka kobieta.

Faza poboru była już zakończona. Aglaja była maksymalnie napęczniała. Za kilka minut zawór zacznie się zamykać, tak jakby Aglaja wstrzymywała dech w oczekiwaniu na godzinną erupcję. W złotym blasku zmierzchu zapadła kompletna cisza; dziesiątki oczu w oczekiwaniu zwróciły się ku Gaby.

Przyklęknęła na jedno kolano i popatrzyła ponad krawędzią. Wydawało się, że wszystko, co trzeba, zostało zrobione. Decyzja o momencie, w którym zacznie działać, była dla niej trudnym wyborem. Z jednej strony zamykający się zawór mógł sprawić, że drzewo jeszcze mocniej się zakleszczy w fazie poboru. Z drugiej zaś woda, którą pochłonęła Aglaja, może teraz ruszyć z całą mocą, która pomoże obluzować przeszkodę. Sama natomiast operacja wcale nie była czymś subtelnym. Gaby miała zamiar szarpnąć

drzewem najsilniej jak tylko zdoła, licząc, że przyniesie to jakiś efekt.

Jej załoga czekała na sygnał. Podniosła się, zamachała nad głową czerwoną flagą i opuściła ją gwałtownie.

Z północnego i południowego brzegu kanionu odezwały się piszczałki tytanii. Gaby odwróciła się i zręcznie wdrapała po dziesięciometrowej ścianie skalnej, spod której kierowała początkiem akcji. Wskoczyła na grzbiet Psalterium, szefa całej ekipy tytanii. Centaur wcisnął swój mosiężny róg do torby i puścił się galopem ścieżką, która zakosami zbiegała ku radiostacji. Gaby jechała na stojąco, z nogami na wysokości kłębów, trzymając się ramion rumaka. Szczególny sposób biegania przyjęty przez wszystkie tytanie, z ludzkim tułowiem pochylonym do przodu i ramionami wychylonymi do tyłu, na podobieństwo dziecka udającego samolot, zapewniał jej ochronę w trakcie jazdy. Gdyby się ześlizgnęła, mogła chwycić się tych „skrzydeł”, od dawna jednak obywała się bez tego.

Dojechali do stacji, kiedy dawał się już wyczuć pęd fazy poboru. Stali z dziesięć metrów ponad lustrem wody, a zablokowany zawór zasilający znajdował się o pół kilometra w górę kanionu. Kiedy strumień wody spowodował, że nowe jezioro zaczęło bulgotać niczym wrzątek, a poziom wody zaczął się podnosić, tytanie zaczęły nerwowo wierzgać.

Hałas ciągle się wzmacniał, tym razem z jakimś nowym tonem, który zaczął przeważać. Na górnej części płaskowyżu Aglai, na wysokości Dolnych Mgieł, gdzie zawór wylotowy normalnie powinien rozpylać strumień wody tryskający na setki metrów w górę, wydobywał się tylko gaz. Suchy zawór wydawał dźwięk, który przypominał Gaby pompatyczne tony kontrabas.

– Gaja – mruknęła. – Bogini, która pierdzi.

– Co powiedziałaś? – zaśpiewał Psalterium.

– Nic. Masz kontakt z bombą, Mondoro?

Tytania odpowiedzialna za sugestię radiową podniosła wzrok i kiwnęła głową.

– Czy mam jej powiedzieć, żeby to rozwalila, mój przywódco? – zaśpiewała Mondoro.

– Jeszcze nie. I przestań mnie tak nazywać. „Szeffie” wystarczy w zupełności. – Gaby spojrzała ponad wodę, tam gdzie w oddali wynurzały się trzy kable. Powiodła wzduż nich wzrokiem, szukając postrzępionych miejsc, które mogłyby być zapowiedzią groźniejszej awarii, a potem przyjrzała się unoszącej się w górze flotylli. Mimo że upłynęło już tyle lat, widok wciąż napawał ją grozą.

W ciągu kilku dni zdołała wezwać tylko trzy największe miękkołoty. Nazywała je Pancernikiem, Bufonem i Pionierem. Każdy miał ponad tysiąc metrów długości; wszystkie były od dawna zaprzyjaźnione z Gaby. Zresztą zgłosiły się do pomocy właśnie wiedzione czystym uczuciem. Większe sterowce bardzo rzadko żeglowały w grupach, przedkładając raczej asystę siedmiu czy ośmiu „mikrusów” swojego gatunku.

Teraz jednak trzy olbrzymie miękkołoty łączył rodzaj gigantycznej uprzęży niczym fantastyczną trójkę. Był to na Gai widok raczej rzadki. Ich przejrzysta część ogonowa, tak wielka, że z powodzeniem można byłoby na niej rozegrać mecz piłkarski, rozgarniała powietrze z dostojnością mastodonta. Ich przypominające cygaro korpusy, opalizujące błękitem niczym masa perłowa, obijały się o siebie, pocierały i trzeszczały jak pęk karnawałowych balonów.

Mondoro podniosła do góry kciuk.

– Wal – powiedziała Gaby.

Mondoro pochyliła się nad strąkiem wielkości kantalupy, tkwiącym w gąszczu

pnący i gałęzi ułożonych pomiędzy jej przednimi kolanami.

Powiedziała półgłosem coś niezrozumiałego, a Gaby z napięciem i oczekiwaniem odwróciła się w kierunku Aglai.

Po chwili Mondoro zakaszłała przepaszająco, a Gaby przyjrzała się jej ze zmarszczonymi brwiami.

– Jest na nas zła, że tak długo trzymaliśmy ją w ciemności – zaśpiewała Mondoro.

Gaby zagwizdała bezdźwięcznie i tupnęła nogą. Jakżeby chciała mieć tu zwykły nadajnik.

– Zaśpiewaj jej więc o świetle – zaśpiewała Gaby. – Ty jesteś od przekonywania, podobno wiesz, jak się obchodzić z tymi stworzeniami.

– Być może hymn ognia... – pomyślała głośno tytania.

– Jest mi dokładnie wszystko jedno, co zaśpiewasz – krzyknęła Gaby po angielsku. –

Po prostu zrób coś, żeby ten przeklęty stwór wybuchnął. – Odwróciła się, nie mogąc pohamować wściekłości.

Bomba była umocowana do pnia drzewa blokującego zawór. Umieściły ją tam anioły, które w fazie poboru wleciały do pompy, szybując niebezpiecznie nisko ponad wzburzoną masą wody. Gaby żałowała, że nie mogła im dać normalnego przenośnego ładunku, który można by zamocować na plecach. Zamiast tego posłała urządzenie zbudowane z tutejszych owoców i warzyw. Sam materiał wybuchowy był pękiem wrażliwych korzeni azotowych. Detonatorem była iskrząca roślina połączona z inną, pokrytą korą magnezową i przywiązana do urządzenia sterującego, otrzymanego po zmuśnionym zeszkobaniu substancji roślinnej z liścia, tak, by ukazała się krzemowa kostka z jej mikroobwodami. Ten układ elektroniczny był zaprogramowany, by odbierać sygnały z radionasienia – najbardziej kapryśnej rośliny na Gai. Był to nadajnik radiowy,

który wysyłał wiadomości tylko wtedy, gdy się do niego ładnie mówiło i funkcjonował tylko wtedy, gdy informacje, które odbierał, były warte powtórzenia.

Tytanie mistrzowsko opanowały sztukę śpiewu. Cała ich mowa oparta była na śpiewie, muzyka była dla nich tak samo ważna jak jedzenie. System ten wydawał się im absolutnie naturalny. Gaby śpiewała kiepsko i nigdy nie zdołała zainteresować nasiennego radia tym, co miała do powiedzenia. Dlatego też serdecznie nienawidziła te skądinąd pożyteczne rośliny. Wolałaby zapałki i kilka kilometrów porządnego lontu. Wysoko w górze żeglowały sterówce; nadal zachowywały szyk, ale to nie mogło trwać zbyt długo. Nie miały dostatecznej wytrzymałości. Gdyby porównać ich siłę z wagą, należały do najsłabszych stworzeń na Gai.

Cztery tytanie obstały nadajnik, śpiewając skomplikowany kontrapunktowy motyw. Co kilka taktów wstawiały pięcionutową sekwencję, na którą miał reagować element sterujący detonator. W pewnym momencie ziarno złagodniało i zaczęło śpiewać. Usłyszały stłumiony wybuch, który wstrząsnął Aglają, a potem sponad jej zaworu wlotowego uniósł się kłęb dymu. Napinające liny poluzowały się.

Gaby wspięła się na palce, próbując sprawdzić, czy wybuch przypadkiem nie zerwał kabli. Z otworu zaczęły wydobywać się odłamki, każdy z nich dorównywał wielkością pniu sosny. Potem, przy wtórze radosnych wiwatów tytanii, wynurzył się pień tytanicznego drzewa i walnął o powierzchnię wody niczym ugodzony harpunem wieloryb.

– Upewnij się, że opadnie pięć-dziesięć kilometrów od wlotu, zanim to unieruchomisz – zaśpiewała Gaby do Claviera, centaura, któremu powierzono oczyszczenie terenu. – Trochę to potrwa, zanim się wypompuje całą tę wodę, ale jeżeli podciągniesz teraz ten pień do brzegu, za kilka obrotów będzie tu sucho i bezpiecznie.

– Robi się, szefie – zaśpiewał Clavier.

Kiedy Psalterium poszedł po jej bagaż, Gaby przyglądała się, jak jej ekipa zajmuje się sprzętem wypożyczonym z Titantown. Z większością tych tytanii miała już okazję zetknąć się przy innych pracach. Znały się na swojej robocie. Pewnie mogłyby się bez niej zupełnie obyć, wątpiła jednak, czy dałyby sobie radę bez bezpośrednich rozkazów z niebios. Choćby dlatego, że nie miały takich jak Gaby kontaktów ze sterowcami.

Zlecenie Gaby nie obejmowało jednak wszelkich robót. Warunki kontraktu były ściśle sprecyzowane, włączając w to zapłatę z góry. W świecie, w którym każda istota zajmowała przypisane jej miejsce, Gaby swoje określiła sama.

Odwróciła się, słysząc tętent kopyt. Psalterium wracał z jej rzeczami. Nie było tego dużo: wszystko, co mogło się jej przydać lub co było dostatecznie cenne, aby nosić to przy sobie, mieściło się w niewielkim plecaku. W sumie jednak najbardziej ceniła sobie wolność i przyjaciół. Psalterium (Lidyjskie Trio z Krzyżykiem) Fanfara był jednym z najlepszych. Podróżował z Gaby już dziesięć lat.

– Szefie, dzwoni twój telefon.

Pozostałe tytanie nastawiły uszu i nawet Psalterium, który zdążył już do tego przywyknąć, spuścił z tonu. Podał Gaby z pozoru niczym nie różniącą się od innych radiową roślinę. Drobną różnicą polegała na tym, że ta akurat miała połączenie z Gają. Gaby ujęła ziarno i oddaliła się od grupy. Stała samotnie w małym zagajniku i przez chwilę mówiła. Tytanie nie paliły się, by usłyszeć, co Gaja miała do powiedzenia – wieści o czynach istot boskich rzadko kiedy są wieściami pomyślnymi. Nie mogły jednak nie zauważyć, że Gaby jeszcze przez chwilę rozmyślała bez ruchu, chociaż rozmowa wyraźnie dobiegła końca.

– Nie masz czasem ochoty wybrać się do Sklepu z Melodiami? – spytała Psalterium.

– Pewnie. Spieszymy się?

– Niekoniecznie. Nikt nie widział Rocky od prawie tysiąca obrotów. Jej Nibs chce, żebyśmy nawiązali kontakt i powiadomili ją, że już prawie czas Karnawału.

Psalterium zmarszczył brwi.

– Czy Gaja powiedziała, na czym może polegać problem? Gaby westchnęła.

– Tak. Mamy spróbować ją otrzeźwić.

10. Sklep z Melodiami

Tytanie miały okropną nadwyżkę mocy. Z wszystkich istot żyjących na Gai tylko one wydawały się niedostosowane do swojego środowiska życiowego. Miękkoloty były dokładnie takie, jakie powinny być w tym środowisku, i tak też żyły. Wszystko było w nich tak doskonale funkcjonalne jak ich strach przed ogniem. Anioły były tak blisko granicy niemożliwości, że nie zostawiły Gai pola manewru dla jej normalnej radości tworzenia. Musiała je projektować z dokładnością do jednego grama, podporządkowując wszystkie parametry ośmiometrowej rozpiętości skrzydeł i odpowiednio potężnym mięśniom.

Tytanie były najwyraźniej zwykłymi zwierzętami. Dlaczego więc wyposażyła je w zdolność do wspinania się na drzewa? Dolna część ciała przypominała konia – wprawdzie parzystokopytnego – ale przy słabym ciężeniu na Gai mogłyby sobie z powodzeniem radzić z nogami szczuplejszymi niż u jakiegokolwiek prawdziwego rumaka. A jednak Gaja dała im ciało perszerona i kosmate pęciny rasy Clydesdale. Ich grzbiety, kłęby i biodra pęczniały od mięśni.

Okazało się jednak, że tytanie jako jedyne ze stworzeń Gai mogły znieść ziemskie przyciąganie. Dlatego właśnie stały się ambasadorami Gai wobec ludzkości. Zważywszy, że rasa tytanii liczyła sobie mniej niż 200 lat, ich silna budowa nie mogła być dziełem przypadku. Gaja starannie wszystko zaplanowała.

Ludzie żyjący na Gai zupełnie nieoczekiwanie skorzystali z istnienia tych szczególnych rumaków. Chód tytanii pozbawiony był kołysania tak charakterystycznego dla ziemskich koni. Przy niskiej grawitacji mogły się poruszać płynnie jak chmury, a ich ciała utrzymywały się na stałej wysokości dzięki lekkim uderzeniom kopyt. Bieg był tak równy, że Gaby bez trudności przesypiała dłuższe podróże. Usadowiła się na grzbiecie

Psałterium po męsku.

Spała w najlepsze, kiedy Psałterium wspinał się krętą ścieżką na grzbiet Gór Asteryjskich.

Był przystojnym stworzeniem z gatunku pozbawionego futra, o skórze koloru mlecznej czekolady. Miał gęstą grzywę pomarańczowych włosów, które porastały nie tylko jego głowę, ale schodziły po szyi aż na grzbiet jego człowieczego tułowia i tak samo jak jego ogon splecione były w szereg długich warkoczy. Podobnie jak i u innych przedstawicieli tej rasy ludzka twarz i tors miały rysy wybitnie kobiece. Wrażenie to pogłębiał brak zarostu i szeroko rozstawione oczy z ciężkimi powiekami. Chociaż tułów zdobiły duże, stożkowate piersi, pomiędzy ich przednimi nogami zwisał penis, który wielu Ziemianom mógł się zdać aż nadto ludzki. Pomiedzy zadnimi nogami miały drugi członek, znacznie większy, a poniżej wspaniałego, pomarańczowego ogona widać było pochwę. Dla określenia płci tytanii istotny był rodzaj przednich organów. Psałterium był więc bez wątpienia osobnikiem męskim.

Ścieżka, którą się posuwał przez las, była zarośnięta pnączami i młodymi drzewkami, ale tu i ówdzie można było się zorientować, że niegdyś była dostatecznie szeroka, by mógł nią przejechać wóz. W niektórych miejscach prześwitywały płyty zniszczonego asfaltu. Była to część Autostrady Transgajańskiej, zbudowanej przed ponad sześćdziesięciu laty. Gaby brała udział w jej budowie. Dla Psałterium droga ta istniała od zawsze, bezużyteczna, mało uczęszczana, powoli popadająca w ruinę.

Wreszcie dotarł na szczyt płaskowyżu Aglai, do miejsca zwanego Dolnymi Mgłami.

Wkrótce przebył je, posuwając się brzegiem Jeziora Aglai z Talią widniejącą w oddali, łapczywie pochłaniającą wodę. Wspiął się do Średnich Mgieł i dalej, przez Eufrozynę do Górnych Mgieł. Ophion na krótko znów stał się rzeką, po to, by wreszcie zniknąć

w podwójnym systemie pomp, który podnosił go do poziomu Morza Północnego.

Nie dochodząc do ostatnich pomp, Psalterium skręcił na północ i posuwał się dalej brzegiem niewielkiego górskiego strumienia. Przekroczył go w miejscu, gdzie woda pieniała się na płytkim, kamienistym dnie. Znajdował się już na terenie Rei i przez jakiś czas miał podróżować w jej granicach, które zresztą na Gai nie były zbyt ściśle wytyczone. Podróż rozpoczęła się pośrodku strefy zmiernicy pomiędzy Hyperionem a Reą, w mglistym obszarze pomiędzy wieczną, słabą poświatą dnia i wieczną nocą księżycową. Teraz zagłębiał się w noc, która zapadła wokół niego całkowicie gdzieś w środkowej strefie stoków Asteriasa. Noc na Rei nie nastęczała żadnych problemów z widocznością; tytanie dobrze widziały w ciemności, a w tak niewielkiej odległości od granicy ciągle jeszcze było dość światła odbitego od wznoszących się za nimi równin Hyperionu.

Wstąpił na stromy stok górski wąską, ale wyraźnie wytyczoną ścieżką. Alpejskimi serpentynami przebrnął dwie przełęcze i dwie głębokie doliny po drugiej stronie. Góry na Rei były strome i skaliste, niektóre zbocza wznosiły się pod kątem siedemdziesięciu stopni. Wysokie drzewa gdzieś znikły, a teren wyścielały mchy grubą warstwą niczym filc na stole bilardowym. Tu i ówdzie rozsiane były szerokolistne krzewy, których korzenie zagłębione były w litej skale; wypuszczały korzeń palowy, który niekiedy musiał mieć nawet i pół kilometra długości, by dotrzeć do życiodajnego ciała Gai – prawdziwego kośćca tych gór.

Niebawem pomiędzy dwoma krzewami Psalterium dostrzegł światła Sklepu z Melodiami. Po chwili zza zakrętu wyłonił się widok niezwykle nawet jak na warunki Gai, gdzie przecież tworzenie rzeczy niezwykle było ulubionym zajęciem stwórcy. Pomiędzy dwoma szczytami ostrymi jak Matterhorn wisało wąskie siodło ziemi.

Jego płaska powierzchnia z dwu stron kończyła się prostopadłym urwiskiem. Płaskowyż nazwano Machu Piechu, co przypominało o miejscu w Andach, gdzie Inkowie zbudowali kamienne miasto w chmurach. W jakiś niewytłumaczalny sposób pojedynczy promień zabłąkał się tu z powodzi światła, które lało się przez daleki strop Hyperionu. Padał pod ostrym kątem, przebijając mrok i zalewając płaskowyż jasnozłotym blaskiem. Wyglądało to tak, jak gdyby słońce znalazło otwór wielkości łebka od szpilki w najczarniejszej chmurze, jaką można sobie wyobrazić późnym burzliwym popołudniem.

Na Machu Piechu wznosiła się tylko jedna budowla. Sklep z Melodiami był dwupiętrowym drewnianym budynkiem, ze ścianami lśniącymi czystością i z dachem okrytym zielonym gontem. Z tej odległości wyglądał jak zabawka.

– Jesteśmy na miejscu, szefie – zaśpiewała tytania. Gaby usiadła, przetarła oczy, odwróciła się i popatrzyła w dolinę Cirocco.

– Popatrz na moje dzieła, o Potężna, i rozpaczaj – zamruczała. – Do diabła, ta dziewczyna powinna się zbadać u psychiatry. Ktoś powinien jej to powiedzieć.

– Sama jej to powiedziałaś, kiedy byłaś tu ostatni raz – przypomniał Psalterium.

– Tak, chyba faktycznie to zrobiłam, prawda? – Gaby skrzywiła się. Jeszcze dziś to wspomnienie sprawiało jej ból. – Może byśmy już pojechali dalej, co?

Schodzili ścieżką prowadzącą do wąskiego przesmyku, który wiódł do Machu Piechu. Oba brzegi głębokiej przepaści przed samym płaskowyżem spinał wiszący most z lin i drewna. Można go było zwalić kilkoma uderzeniami topora i wtedy twierdza Cirocco była dostępna tylko z powietrza.

Na drugim końcu mostu siedział młody człowiek w wysokogórskich butach i kombinezonie khaki. Jego ponury wyraz twarzy nasuwał przypuszczenie, że mógł być jednym z uczestników niekończącej się procesji konkurentów, którzy od wielu lat

próbowali podbić tajemniczą i samotną Czarodziejkę z Gai. Kiedy docierali na miejsce, stwierdzali, że wcale nie jest samotna – zawsze w towarzystwie przynajmniej trzech – czterech kochanków – i że jest też zwodniczo łatwa do podbicia. Dostanie się do jej łóżka nie sprawiało większych trudności, o ile delikwentowi nie przeszkadzał tłok. Co innego – wyjść z imprezy bez szwanku. Cirocco miała skłonność do wysysania ich dusz, a kiedy były one dostatecznie wyjałowione, wkrótce przestawała ich potrzebować. Trwało to już siedemdziesiąt lat. Choćby samo to czyniło ją fascynującym zjawiskiem, ale dziewięćdziesiąt pięć lat aktywności seksualnej przydało jej dodatkowo nadprzyrodzonej zręczności, wykraczającej daleko poza to, czego jej kochankowie mogli kiedykolwiek doświadczyć. Zakochiwali się w niej jak jeden mąż, a ona delikatnie ich spławiała, kiedy to uczucie stawało się zbyt uciążliwe. Gaby nazywała ich Straconymi Chłopcami.

Przekraczając most, przyjrzała się podejrzliwie ostatniemu „egzemplarzowi”, który smętnie zdołał przejście. Wiadomo było, że miewają rozmaite dzikie pomysły, jak na przykład skok w przepaść. Oceniała, że tego pewnie by na to było stać, kiedy z trudem zdobył się na uśmiech, widząc, jak Gaby wymownym gestem wskazuje mu ścieżkę prowadzącą z powrotem do Titantown i życia, które wiódł wcześniej.

Zbliżywszy się do szerokiego frontowego ganku, zeskoczyła z grzbietu Psalterium. Mimo iż wysokie drzwi wejściowe domu były zbudowane na miarę tytanii, żadnej z nich nie wolno było przez nie przejść bez osobistego zaproszenia Czarodziejki. Gaby swobodnie przeskoczyła cztery stopnie tarasu i już chwyciła za mosiężną klamkę, gdy dostrzegła ramię zwisające z boku ogrodowej huśtawki. Pomiędzy bocznymi listewkami siedzenia widać było gołą stopę. Reszta okryta była brudną derką bardzo podobną do meksykańskiego poncho, jaką narzucano zwykle na tytanie.

Odchyliła koc i ujrzała wycieńczoną twarz Cirocco Jones, kiedyś Kapitana Statku

Kosmicznego Dalekiego Zasięgu „Ringmaster”, aktualnie Czarodziejki na Gai, Zadniej Matki Tytanii, Dowódcy Skrzydła Aniołów, Admirala Floty Kierowanej: twarz Legendarnej Syreny Tytana. Wyglądała na dobrze zaprawioną. Cirocco odsypiała trzydniową balangę.

Gaby nie mogła pohamować grymasu obrzydzenia. Przez chwilę kusiło ją, by po prostu odwrócić się na pięcie i wynieść się. Po chwili jednak rozdrażnienie minęło.

Czasami, kiedy widziała Cirocco w takim stanie, powracało dawne uczucie. Odgarnęła potargane ciemne włosy z czoła śpiącej i w nagrodę usłyszała donośne chrapnięcie. Ręce po omacku podciągnęły koc i Czarodziejka odwróciła się na drugi bok.

Gaby wśliznęła się za huśtawkę i chwyciła ją od spodu. Uniosła ją w górę i ze skrzypieniem łańcuchów jej dawna przełożona skulnęła się z siedzenia i rąbnęła z głuchym stęknieniem na podłogę werandy.

11. Purpurowy karnawał

Wielu uważało, że Hyperion jest najpiękniejszym spośród dwunastu regionów Gai.

W istocie rzeczy jednak mało kto wystarczająco dużo zwiedził, by dokonać naprawdę umotywowanego porównania.

W każdym razie na pewno był to kraj o dużym uroku: łagodny, żyzny i skąpany w wiecznym świetle idyllicznego popołudnia. Nie było tu urwistych gór, za to masa rzek (zawsze mówiono o nim „on”, chociaż oczywiście żaden z regionów Gai nie był ani męski, ani żeński; nosiły imiona Tytanów – pierwszych dzieci Uranosa i Gai). Główną rzeką był Ophion, szeroki i mulisty, powoli toczący swe wody zasilane dziewięcioma głównymi przypływami. One z kolei nosiły imiona Muz. Ku północy i południowi, tak samo jak i we wszystkich pozostałych regionach Gai, teren stopniowo się podnosił, kończąc się trzykilometrowym urwiskiem. Na szczycie urwiska znajdowały się

stosunkowo wąskie półki nazywane wyżynami. Tu właśnie można było spotkać rośliny i zwierzęta, które przetrwały w nie zmienionej postaci od czasu młodości Gai. Od tego miejsca teren wznosił się coraz bardziej stromo, tak że w którymś momencie nie mógł już udźwignąć skalnej skorupy i odsłania nagie ciało Gai. Ciągle się wznosząc, przechodziło w pion, a dalej zwieszał łukowatym sklepieniem ponad terenem w dole. Kończył się oknem, które przepuszczało światło słoneczne. Na tej wysokości powietrze nie było zimne, natomiast o ścianach nie można było tego powiedzieć. Zbierała się na nich para wodna, która tworzyła grubą lodową pokrywę. Z niej, niczym z wiecznego lodowca, nieustannie odłamywały się bryły lodowe; padały na zbocza gór, topiły się i spływały w dół wąskimi strumykami, spadając z urwisk zawieszonych nad przepaścią, a potem już mniej gwałtownie płynęły korytem jednej z rzek Hyperionu, kończąc swój żywot we wszechogarniających nurtach Ophionu.

Zachodnia i środkowa część Hyperionu pokryta była gęstym lasem. W pewnym fragmencie swego biegu Ophion przypominał bardziej jezioro niż rzekę, wysuwając język bagna od podstawy centralnego pionowego kabla ku północnemu wschodowi. Jednak większą część terenu Hyperionu zajmowała preria: łagodnie pofałdowane wzgórza pod wysokim niebem, porośnięte czymś, co przypominało bursztynowe łany zboża. Okolica ta znana była jako Równina Tytanii.

Zboże rosło tu w stanie dzikim, tak samo jak tytanie. Choć dominowały tu zdecydowanie, to jednak nie poddawały terenu swojej władzy; budowały niewiele, zadowolając się hodowlą różnych zwierząt ryjących grunt, by ssać mleko Gai. Nie miały na tym terenie poważnych konkurentów, ani naturalnych wrogów. Spisu nigdy nie przeprowadzono, śmiało można by jednak powiedzieć, że pogłowie sięga 100 000 sztuk. Gdyby było ich dwukrotnie więcej, tłok byłby tu od razu odczuwalny. Przy populacji

półmilionowej skazane byłyby na głód.

Gaja zaprojektowała tytanie, czerpiąc inspirację z obserwacji ludzi. Kochały swoje dzieci, które nie musiały uczyć się chodzić i mówić i w związku z tym wymagały znacznie mniej intensywnej opieki niż ludzkie dzieci. W ciągu dwóch ziemskich lat dziecko tytanii było zupełnie samodzielne, a dojrzałość płciową osiągało po trzech latach. Kiedy dziecko opuszczało rodzinne gniazdo, rodzice zazwyczaj od razu chcieli mieć następne.

Wszystkie tytanie mogły mieć dzieci.

Wszystkie tytanie chciały mieć dzieci i to zazwyczaj tak dużo, ile tylko było możliwe. Śmiertelność niemowląt była niewielka. Choroby – nieznane. Życie trwało długo.

Taki mechanizm w krótkim czasie mógłby przynieść katastrofalne skutki.

W rzeczywistości jednak od siedemdziesięciu lat populacja utrzymywała się na tym samym poziomie. Przyczyną był właśnie Purpurowy Karnawał.

Rzeki Hyperionu – Ophion i Muzy – dzieliły cały kraj na osiem regionów zwanych kluczami. Były to luźne jednostki administracyjne, przypominające trochę ziemskie hrabstwa. Ich znaczenie było niewielkie. Można było się bez przeszkód przenosić z klucza do klucza: tytanie były raczej marnymi podróżnikami, przyzwyczajone były do życia w regionie, w którym się urodziły. Gatunek ten dzielił się na akordy, które przypominały ludzkie rasy. Podobnie jak u ludzi przedstawiciele różnych ras mogli się krzyżować bez szkody dla zdrowia. W przeciwieństwie jednak do społeczeństw ludzkich, nie występowały napięcia na tle rasowym. Liczba ukształtowanych akordów sięgała dziewięćdziesięciu pięciu. Wszystkie żyły obok siebie, rozrzucone po ośmiu kluczach Hyperionu.

Największy z kluczy okolony był wodami Talii, Melpomeny i południowym ramieniem Ophionu. Był to Klucz E. Na jego terenie znajdowało się Titantown i Pole Wiatrów. Na południu rozciągał się Klucz D z Bemolem, a na zachodzie C z Krzyżykiem i F z Krzyżykiem.

Dwadzieścia kilometrów na północ od Titantown, w Kluczu E, pomiędzy bagniskiem i rozległą, płaską równiną otoczoną niewysokimi wzgórzami, wznosiła się samotna skała nazywana Amparito Roca. Miała 700 metrów wysokości i tyleż szerokości, o zboczach stromych, ale możliwych do pokonania. Została rzucona na Hyperion w czasie Buntu Okeanosa, przed wielu megaobrotami, z odległości, której dziś nie sposób było odgadnąć. Rodzaj krateru, który ją okalał, powstał wtedy, kiedy Amparito Roca podskoczyła odbita siłą upadku, by ostatecznie osiąść. Nazywano go Grandioso. Raz na 10 kiloobrotów, który to okres odpowiadał 420 ziemskim dniom i był często nazywany Rokiem Gai, tytanie z Kluczy Hyperionu wędrowały do Amparito Roca hałaśliwymi, kolorowymi karawanami, zabierając tyle zapasów, by wystarczyły na festiwal trwający dwa hektoobroty. W Titantown główna ulica przerywała swoją działalność, a tytanie zwijały swoje namioty, nie troszcząc się specjalnie o przybyłych z Ziemi turystów. W podróż wyruszały wszystkie tytanie, spośród istot ludzkich natomiast do wielkiego festiwalu dopuszczano tylko osiadłych na stałe oraz pielgrzymów.

Było to największe wydarzenie w życiu tytanii, łączące Boże Narodzenie i Zapusty, Cinco de Mayo i Święto Tet w jedne olbrzymie obchody, tak jakby wszyscy ludzie na Ziemi zgromadzili się na tydzień picia i śpiewów.

Był to czas wielkiego szczęścia i gorzkich rozczarowań. Marzenia, poczęte przed dziesiątkami kiloobrotów, mogły się spełnić podczas Purpurowego Karnawału. Częściej

jednak spełzały na niczym. Tłumy wypełniające Grandioso pierwszego dnia karnawału wkrótce topniały do garstki, a tłumy opuszczające ten teren ostatniego dnia zachowywały się zupełnie inaczej niż pierwszego dnia, pełnego śpiewów i śmiechu. Nikt jednak nie rozpaczał. Można było wygrać albo przegrać, niezbadane były wyroki Gai.

Tym, co można było wygrać na stokach krateru Grandioso, było prawo do macierzyństwa.

Purpurowy Karnawał zaczynał się od marsza w wykonaniu trzystuosobowej

Orkiestry Marszowej Klucza E. Tym razem był to „Marsz paradny” Johna Philipa Souzy.

Robin, zawieszona na występie skalanym na wysokości 50 metrów od podnóża

czerwono-brązowej ściany Amparito Roca, nie mogła w żaden sposób przewidzieć, co ją

czeka. Wsłuchiwała się w początkowe takty solo na sygnałównce o niezwykle ostrym

brzmieniu, a potem nagle musiała złapać się skały, kiedy dołączył cały zespół, fortissimo,

z trzema opadającymi nutami, które zamarły, nim naprawdę rozbrzmiały, ale pomimo to

miały niemal cudowną potęgę i czystość. Powietrze ciągle jeszcze drżało, jakby

zdumione, iż może przenosić taki dźwięk, kiedy trąbka powtórzyła swoje poprzednie

zuchwałe wyzwanie, które jednak szybko stłumił potężny podmuch wiatru, tym razem

całkiem prawdziwego.

Zespół nigdy nie słyszał o mundurach. Nie znane mu również było pojęcie

dyrygenta. Pierwszego by nie znieśli, drugiego nie potrzebowali. Przy muzyce

zespołowej, napisanej tak, by odtwarzać ją ściśle według partytury, potrzeba było tylko

kogoś, kto poda pierwszy rytm. Wszystko inne wynikało z zapisu i powinno być

dokładnie tak wykonane, by doskonale brzmiało zarówno za pierwszym razem, jak

i każdym następnym. Tytanie nie potrzebowwały powtórek. Zaprojektowały i zbudowały

własne instrumenty; mogły grać na rogu, skrzypcach, bębnie albo klawiszach po kilku

minutach zapoznawania się z nimi. Niewiele z ich instrumentów było do siebie podobnych.

Muzyka poruszyła Robin. Zespół pewnie nie miał pojęcia, że dokonał właśnie czegoś wyjątkowego. Robin nigdy nie lubiła muzyki marszowej, bo kojarzyła się jej z militarystycznymi pokazami zhierarchizowanego społeczeństwa, z żołdactwem i agresją. Tytanie sprawiły, że słuchała jej teraz jako manifestacji bujności, która przepojona była prymitywną niemal witalnością. Roztarta gęsią skórę na ramionach i pochyliła się do przodu, chłonąc każdy dźwięk.

To był rodzaj święta, które mogła zrozumieć. W powietrzu czuć było obietnicę; ogarnęło ją wibrujące podniecenie o upojnym smaku. Poczula je jeszcze, zanim przyłączyła się do tytanii, idąc za chmurą kurzu wzniecaną przez kolumnę ciągnących na Karnawał; czuła je, mimo iż ciągle jeszcze była w szoku spowodowanym upadkiem, spotkaniem z aniołem i długimi chwilami bezradności na brzegu Ophionu. Kiedy dołączyła do kolumny zabawowiczów, została powitana bez zastrzeżeń. W jakiś sposób wszyscy wiedzieli, że jest pielgrzymem, chociaż sama Robin nie była pewna, czy rzeczywiście ten status jej się należy. Tytanie rozbroiły ją jednak podarunkami w postaci żywności, napitków, pieśni i kwiatów. Dźwigały ją na grzbiecie, gdzie musiała się jakoś pomieścić wspólnie z jukami i workami żywności i podróżowała ich wozami, które skrzypiały i kołysały się niebezpiecznie pod ciężarem ładunku. Ciekawa była, co też, na Wielką Matkę, mogły przewozić na tak ciężko obciążonych sześćcioosiowych wozach, ciągniętych przez zaprzęgi złożone z dwóch do dwudziestu tytanii.

Omiotła wzrokiem Krater Grandioso i pomyślała, że teraz już wie. W znacznej mierze bagaż ten musiał się składać z najprzeróżniejszych ozdób. Golusieńkie tytanie często mieniły się wszystkimi kolorami tęczy niby w kalejdoskopie, ale to im nigdy nie

wystarczało. Nawet w mieście, bez specjalnej okazji, dźwigały średnio kilogram bransolet, wisiorków, naszyjników i dzwoneczków. Te, które były bezwłose, zawsze pokrywały ciało malunkami, owłosione farbowały futra, pokrywały je brokatem, tleniły. Przekłuwały swe długie uszy, nozdrza, sutki, wargi i napletki i wieszały na nich wszystko, co błyszczało i dzwoniło. Wierciły dziury w swoich twardych kopytach, przejrzystych i czerwonych jak rubiny, i przytwierdzały klejnoty w jaskrawych kolorach. Rzadko kiedy można było spotkać tytanie bez świeżego kwiecica wplecionego we włosy lub zatkniętego za ucho.

To wszystko jednak miało służyć tylko za rozgrzewkę. Przed Purpurowym Karnawalem tytanie traciły wszelkie hamulce i ozdabiały się wprost nieprzytomnie. Muzyka nagle urwała się w szczytowym unisono, choć ciągle jeszcze odbijała się echem wśród skał. Robin wydawało się, że coś tak żywego jak dźwięk nie może tak po prostu zamrzeć, i rzeczywiście miała rację. Zespół niemal natychmiast zaczął „Godło narodowe” E. E. Bagleya. Od tej chwili muzyka rozbrzmiewała już bez żadnych przerw. W czasie tej krótkiej przerwy Robin spostrzegła, że ktoś się do niej zbliża, Z góry zirytowała ją możliwość, że ktoś może jej przeszkodzić. Nastawiła się na słuchanie, a teraz pewnie będzie musiała rozmawiać z tą kobietą w znoszonych skórzanych butach i w zielonych spodniach i koszuli. Zastanawiała się przez chwilę, czy się nie przenieść gdzieś indziej. Kobieta skorzystała z tego momentu rozterki, spojrzała na nią i uśmiechnęła się. Gest, jaki zrobiła, Robin odczytała jako „czy mogę się przyłączyć” i kiwnęła głową z rezygnacją. Bez wątpienia kobieta była bardzo zręczna. Ścianę skalną, na którą Robin wspinała się dobre dziesięć minut, pokonała, prawie nie używając rąk. – Cześć – powiedziała, siadając obok Robin i zwieszając nogi ze skalanej półki. – Mam nadzieję, że ci nie przeszkadzam?

– W porządku. – Robin ciągle obserwowała orkiestrę.

– Oczywiście, tak naprawdę wcale nie maszerują – powiedziała kobieta. – Zbyt się podniecają muzyką, by utrzymać krok. Gdyby Sousa je zobaczył, dopiero by się rozdarł.

– Kto?

Kobieta roześmiała się.

– Nie mów tego przy tytaniach. John Philip Sousa wraz z seksem i dobrym winem ma bardzo wysoką lokatę na ich liście przebojów.

Robin nie była w stanie rozpoznać prawidłowego marszu, a zresztą gdyby nawet była, to i tak byłoby jej to zupełnie obojętne. Podskoki i obroty tytanii nawet jej się podobały. Pewnie Sousa był tym facetem, który napisał ten marsz, ale to przecież nie miało większego znaczenia. Kobieta powiedziała, że pomimo wszystko ta muzyka jakoś ją porusza, i z Robin było tak samo. Obróciła się, by przyjrzeć się przybyszowi.

Kobieta była niewiele wyższa od Robin i spostrzeżenie to podziałało na nią odświeżająco. Od momentu swego przybycia na Gaję zbyt często napotykała olbrzymów. Z profilu jej twarz miała swobodny wyraz, z dziwnie niewinną aurą, z którą kontrastował jej sposób poruszania się. Wyglądała na starszą od Robin najwyżej o kilka lat, ale Robin jakoś nie mogła w to uwierzyć. Jasnobrązowy kolor jej pozbawionej zmarszczek skóry wyglądał na opaleniznę. Kiedy siedziała, poruszała tylko oczami, które notowały każdy szczegół. Wydawała się tak gibka, jakby była pozbawiona kości, ale to raczej było złudzeniem.

Przez dłuższą chwilę pozwalała się lustrować, a potem lekkim ruchem głowy przejęła inicjatywę. Uśmiechała się najpierw samymi oczami, a potem lekki uśmiech rozchylił również jej usta, ukazując białe zęby. Wyciągnęła rękę, którą Robin energicznie potrząsnęła.

– Jestem Gaby Plauget – powiedziała.

– Niechaj święty strumień zjednoczy... – Oczy Robin zrobiły się wielkie.

– Tylko mi nie opowiadaj, że jeszcze mnie pamiętają na Konwencji. Naprawdę? –

Teraz uśmiechała się jeszcze szerzej, ściskając mocno dłoń Robin. – Ty jesteś na pewno

Robin Dziewięciopalca. Szukałam cię przez cały dzień.

12. Wybory oblubienicy

Chris wyszedł z tego w środku tańca. Działając automatycznie, jego ciało nadal kontynuowało ruch, zanim zdołał wreszcie wyhamować, i wtedy wpadła na niego od tyłu duża błękitna tytania. Uśmiech zamarł na jego twarzy.

Ktoś chwycił go za łokieć, wyciągnął z szeregu tancerzy i obrócił. Stał twarzą w twarz z inną tytanią.

– Powiedziała, że musimy natychmiast ruszać, bo spóźnię się na mój pokaz – powiedziała, wyciągając dużą rękę pod dziwnym kątem. Kiedy Chris nie reagował, przegarnęła ręką długie różowe włosy i westchnęła. – No, wstawaj, Chris! No, dalej! Pod wpływem jakiegoś impulsu podniósł bosą stopę i włożył ją w dłoń tytanii. Jego ciało pamiętało wyuczoną operację, którą jego umysł zdążył zapomnieć. Tak, dobrze. Podciągnęła go, a on złapał jej ramię i wylądował na grzbiecie pokrytym gładką, bezwłosą skórą. W większości była żółtego koloru, ale tu i ówdzie rozrzucone były małe, brązowe plamki, jak na skórcie dojrzałego banana. W odczuciu jego gołych nóg skóra miała odpowiednią temperaturę i szorstkość: po prostu ludzka skóra rozpięta na innej ramie.

Obróciła swój ludzki tors, przechylając się na jedną stronę na tyle, że mogła objąć jedną ręką jego ramiona. Jej wielkie, migdałowe oczy błyszczały podnieceniem. Ku jego zaskoczeniu pocałowała go mocno w usta. Była tak duża, że czuł się przy niej jak sześciolatek.

– To na szczęście, złotko. Mamy kumpli i sposób. Potrzebujemy tylko odrobinę szczęścia, a ty jesteś moją maskotką i mi je przyniesiesz. – Wydała z siebie coś na podobieństwo zawołania bojowego Indian, wparła w ziemię tylne nogi i ruszyła do przodu, od razu przechodząc do pełnego galopu z Chrisem uczeptionym jej bioder.

Trochę się już zdążył przyzwyczaić do takiego obrotu rzeczy. Bywało i tak, że odzyskiwał przytomność na grzbiecie rumaka, sądził więc, że jest gotowy niemal na wszystko.

Ale nie na to.

Wszędzie było pełno jasnego światła słonecznego, kurzu, tytanii, namiotów i muzyki.

Zwłaszcza muzyki. Uderzała w nich falami, zawierającymi wszelkie dźwięki, jakie kiedykolwiek wymyślił rodzaj ludzki, i znacznie większą liczbę brzmień znanych tylko tytaniom. Powinno z tego wynikać akustyczne szaleństwo, ale jakoś nie wynikało.

Każda grupa miała świadomość tego, co robi sąsiednia. Z wielkim talentem improwizacyjnym podrygiwały sobie wzajemnie, przerabiały motywy i przerzucały do opracowania: zmiana tempa, wszystko bardziej sweet. Chris z tytanią przechodzili przez całe rodziny muzyczne – ragtime obok cakewalka, ramię w ramię ze swingiem i dziesiątkami odmian jazzu nowoczesnego, z małymi niszami muzyki niełudzko obcej, cichej jak szept lub donośnej niczym dźwięk surmy.

Nie wszystko mieściło się w jego pojęciu o muzyce. Mógł co najwyżej pomyśleć sobie: owszem, to mogłoby być ciekawe, gdyby muzyka była właśnie taka. Gatunki uwielbiane przez ludzi były tylko fragmentem pejzażu, i to bynajmniej nie pierwszoplanowym, zaledwie fragmentem muzyki rodzinnej. Chris słyszał po prostu stałe dźwięki w grupach po trzy lub cztery, każdy odrobinę atonalny. Tytaniom udało się przekształcić wynikłe stąd uderzenia, tony różnicujące i sumujące w muzykę, co prawda – bardzo szczególną.

Przepychanie się przez ciżbę Purpurowego Karnawału przypominało podróż wewnątrz tysiackanałowego, elektronicznego miksera dźwięków. Gdzieś tam Główna Tytania operowała przy olbrzymiej tablicy rozdzielczej, tu wzmacniając, tam wyciszając

czy uwypuklając wybraną linię melodyczną tylko po to, by po kilku sekundach pozwolić jej zamrzeć.

W stronę jego towarzyski co rusz biegły rozmaite śpiewane teksty. (Czy mógł ją nazywać swoim rumakiem? Koniem?) Zazwyczaj reagowała machnięciem ręki i krótką piosenką. Wtedy jakaś tytania zawołała po angielsku:

– Co tam masz, Valiha?

– Mam nadzieję, że czterolistną koniczynę – odrzyknęła Valiha. – Talon na macierzyństwo.

To miło, że miała jakieś imię. Zdawała się znać go, i to dobrze, co wprawiało go w zakłopotanie, bo pewnie oczekiwała, że i on ją zna. Nie po raz pierwszy zastanowił się, o co mu właściwie chodzi.

Zmierzali do krateru o zniszczonych przez erozję zboczach i średnicy około pół kilometra. Spróbował sobie przypomnieć nazwę. Grandioso, tak. Bez sensu, ale dobrze brzmiało. Skała też miała jakąś nazwę, ale tej nie zdołał już sobie przypomnieć.

Ze zbocza Grandioso spojrzął do tyłu, na obozowisko tytanii. Dotarł do niego oszalały zgiełk, przypominający strojenie tysiąca orkiestr, a jego oczy poraziła feeria kolorów ciągnąca się jak pióropusz dymu na wietrze.

Wnętrze krateru przedstawiało całkowicie odmienny widok. Również i tutaj było mnóstwo tytanii, które nie miały jednak nic z szaleńczej, jarmarcznej anarchii tych na zewnątrz. Grandioso był porośnięty kobiercem krótkiej, zielonej trawy, podzielonej białymi liniami na sektory. Tytanie skupiły się w małych grupach, nie więcej niż po cztery osoby w jednym kwadracie, jak pionki w grze. W niektórych kwadratach stały budowle o wyzywających kształtach i barwach, które nie sprawiały jednak wrażenia trwałych – przypominały raczej platformy używane z okazji święta kwiatów. Inne były

prawie puste. Valiha wkroczyła do tego labiryntu, przechodząc trzy kwadraty w bok i siedem wzdłuż. Dołączyła do dwóch innych tytani stojących w kwadracie, w którym było kilka przedmiotów wyglądających jak wieńce, a także sporo wypolerowanych kamieni, ułożonych we wzór, który Chrisowi z niczym się nie kojarzył.

Przedstawiła go jako Wielką Szansę Dur. Czy to właśnie jej powiedział? Jedna z tytani była osobnikiem płci żeńskiej o imieniu Czynel (Lidyjskie Trio) Preludium, druga była mężczyzną o nieprawdopodobnym imieniu Hichiriki (Frygijski Kwartet) Madrygał. Dowiedział się, że Valiha również była członkiem akordu Madrygał.

Wyróżniała ich żółta skóra i włosy przypominające cukrową watę. Jej środkowe imię, umieszczane w nawiasach, brzmiało Eolskie Solo. Rozumiał, że środkowe imiona tytani oznaczały szczep. Poza tym jednak reszta była dla niego jedną wielką niewiadomą.

– A to wszystko...? – Chris miał nadzieję, że urywając w pół zdania, ukryje swoją niewiedzę dotyczącą spraw, które – jak sądziła Valiha – doskonale znał. Machnął ręką w stronę białych linii, kamieni i kwiatów. – Powiedziałaś, że to ma być w jakiej tonacji?

– Mixolidyjskie Trio z Dwoma Bemolami – odpowiedziała. Wyraźnie była tak zdenerwowana, że chętnie gadała o byle czym, nie zważając na to, że już o tym mówiła.

– Tu z przodu jest wszystko napisane. Wiesz oczywiście, że to nie oddaje istoty sprawy. Mixolidyjskie Trio z Dwoma Bemolami jest muzycznym bezsensem; to po prostu zbitka słów angielskich, których używamy dla zastąpienia prawdziwych słów, których nie można wyśpiewać. Och, zdaje się, że nie powiedziałam jeszcze, że tonacja ta oznacza, że Czynel była przednią matką, a Hichiriki był przednim ojcem. Ale Czynel może być także zadnim ojcem.

– A ty zadnią matką – powiedział Chris, czując się w tej problematyce trochę pewniej.

– Właśnie. Wytworzyli jajeczko, a Czynel włoży je we mnie.

– Jajeczko.

– Właśnie tu. – Sięgnęła do swojej torby. Jakie to poręczne mieć wbudowaną taką kieszeń – pomyślał Chris, kiedy rzuciła mu coś, co rozmiarem przypominało piłeczkę golfową. Niemal to upuścił, a Valiha wybuchnęła śmiechem. – Jest pozbawione skorupki – powiedziała. – Na pewno nie widziałeś czegoś takiego nigdy wcześniej? – Lekko zmarszczyła czoło.

Chris nie miał pojęcia, gdzie *mógł* widzieć coś takiego. Jajko było całkiem twarde: najwidoczniej było ciałem stałym. Było idealną kulą o bladożółtym kolorze z brązowymi rysami przypominającymi odciski palców w półprzezroczystej masie. W głębi majaczyły jakieś mlecze zgrębnienia. Na powierzchni widniał jakiś napis w języku tytanii.

Po chwili oddał jej jajko i przyjrzał się znakom, na które zwróciła mu wcześniej uwagę. Wyryte były na dziesięciocentymetrowej metalowej tabliczce leżącej na ziemi.

Symbole i linie przedstawiały następujący wzór:

K M K

1-K M K K M M -

Ktoś z tyłu powiedział:

– K oznacza kobietę. – Chris odwrócił się i zobaczył dwie ludzkie kobiety pogrążone w rozmowie. Obie były niewysokie i raczej ładne. Mniejsza miała wymalowane na czole zielone, szeroko rozwarte Oko. Skąpe odzienie odsłaniało inne rysunki na jej rękach i nogach. Wyglądała młodo. Ta druga była ciemniejsza i miała głos, który już gdzieś słyszał. Jej wiek trudno było odgadnąć, ale z wyglądu mogła mieć trzydzieści kilka lat.

– I oczywiście M oznacza mężczyznę. Gwiazdka po prawej stronie oznacza częściowo zapłodnione jajeczko wytworzone przez przednią matkę, a strzałka

wskazująca w górę od dolnego rzędu oznacza pierwsze zapłodnienie. To jest właśnie Mixolidyjskie Trio z Dwoma Bemolami, co oznacza, że przednia matka jest również zadnim ojcem. Zespoły Mixolidyjskie to takie, w których uczestniczą dwie żeńskie tytanie, z wyjątkiem Duetów Eolskich, w których cały zespół jest żeński. Wszystkie tonacje Eolskie są całkowicie żeńskie. Lidyjskie tonacje mają jedną kobietę i jednego, dwóch lub trzech mężczyzn, a tonacje Frygijskie, z których istnieje zresztą jedynie kwartet, mają trzy kobiety i jednego mężczyznę – przedniego ojca.

Chris przepuścił mniejszą kobietę, która uklękła, by przyjrzeć się opisowi znaku. Był ciekaw, jak on sam pasuje do tego układu, i miał nadzieję dowiedzieć się tego podsluchując. Wypróbował już tę taktykę w przeszłości, przy okazji którejś z rzędu utraty pamięci, co było dość powszechne u osób psychicznie chorych, które nie chciały ujawniać przed innymi swego prawdziwego stanu.

Kobieta wyprostowała się z westchnieniem.

– Obawiam się, że ciągle jeszcze czegoś mi brakuje – powiedziała z leciutkim akcentem, którego Chris nie potrafił rozpoznać. Wskazała na Chrisa, jakby był martwym przedmiotem. – A jak on do tego pasuje?

Starsza kobieta roześmiała się.

– Do Mixolidyjskiego Tria w ogóle nie pasuje. Są dwie tonacje, do których mogą być włączone istoty ludzkie: Dorycka i Jońska, ale tych akurat dziś tu nie ma. Nieczęsto zdarzy ci się je spotkać. Nie pasuje, jeżeli już, to może być co najwyżej częścią wystroju. Pewnie jest szczęśliwą wróżką, amuletem płodności. Jeśli idzie o Karnawał, tytanie są szalenie przesadne.

Mówiąc, nieustannie mu się przyglądała. Teraz po raz pierwszy ich spojrzenia spotkały się. Wyglądało na to, że tamta czegoś szukała i nie znalazłszy, uśmiechnęła się

szeroko. Wyciągnęła rękę.

– Myślę jednak, że tak naprawdę wcale nim nie jesteś – powiedziała. – Jestem Gaby Plauget. Mam nadzieję, że cię nie obraziłam.

Chris był zaskoczony siłą uścisku.

– Jestem...

– Chris Większy. – Znowu się roześmiała. Był to niewinny śmiech, którego nie można było odebrać inaczej niż pozytywnie. – Nie powinnam tego robić. Chociaż się nie znamy, zorientowałeś się pewnie, że coś nie coś o tobie wiem.

– Mam uczucie, jak gdyby... mniejsza z tym. – Chris odniósł wrażenie, że skądś zna tę kobietę, ale ponieważ powiedziała, że się nie spotkali, machnął na to ręką. Gdyby próbował przypomnieć sobie wszystko, co niejasno kołatało mu się w głowie, nigdy w życiu niczego by nie zrobił.

Kiwnęła głową.

– Pogadamy później. Do zobaczenia. – Z uśmiechem pomachała mu dłonią i odwróciła się ponownie do drugiej kobiety. – Popatrz na górny rząd symboli okiem tytanii – wyjaśniła. – Tylne nogi po lewej, głowa po prawej. Górny rząd przedstawia kobietę: pochwa z tyłu, penis pośrodku, jeszcze jedna pochwa pomiędzy przednimi nogami. Drugi rząd jest także żeński, a trzeci, męski. Czy teraz to ma sens? W górnym rzędzie masz przednią matkę i zadniego ojca, w środkowym, zadnią matkę, wreszcie u dołu...

– O czym ona z tobą rozmawiała?

Chris odwrócił się i ujrzał Valihę, która wyglądała na mocno zdenerwowaną.

– Zaraz, a właściwie co ja ci powiedziałem?

– Że masz zawsze szczęście i że... Chcesz powiedzieć, że to nieprawda? – Otworzyła

szeroko oczy i położyła palce na ustach.

– Wydaje mi się, że bywały w moim życiu szczęśliwe chwile – powiedział. – Ale nie polegałbym na tym zbyt. Nie przypominam sobie też, w jaki sposób się spotkaliśmy, o czym rozmawialiśmy, ani też czy coś razem robiliśmy. Nic nie pamiętam od... No cóż, ostatnia rzecz, jaką pamiętam, to rozmowa z Gają w wielkiej sali w piąście. Przykro mi. Czy coś ci obiecywałem?

Nie doczekał się odpowiedzi, bo Valiha wróciła już do pozostałych dwóch tytani.

Głowa przy głowie zaśpiewały słodką, tęskną piosenkę. Domyślał się, że dyskutują o ostatnich rewelacjach. Westchnął i rozejrzał się za Gaby i jej towarzyszką, ale były już daleko, zmierzając w stronę dużego białego namiotu, który stał na skraju pola sędziowskiego.

Valiha poprosiła go, by był w pobliżu, gdy nadejdzie czas jej pokazu. Chciała wiedzieć, czy przynosił pecha w okresach pomiędzy atakami, na co odpowiedział, że raczej nie. Było jasne, że trzy tytanie zmartwiły się nowinami i nie wiedziały, co robić. Pomyślał, że być może zrobiłby najlepiej po prostu znikając w tłumie, nie obciążając ich piętnem przeznaczenia, które jak sądził, nosił. Z tym zamiarem zaczął przesuwać się powoli w dół pola, przyglądając się uważnie grupkom tytani.

Teraz wyglądało to o wiele sensowniej. Każdy kwadrat zajmował zespół, który ubiegał się o uprawnienia do reprodukcji. Żeby je otrzymać, zgłaszał propozycje własnych reguł gry. Tytanie skupiały się w dwójki, trójki i czwórki; każda z tych grup prezentowała jeden z 29 możliwych sposobów prokreacji, każda dysponowała gotowym i częściowo zapłodnionym jajeczkiem: pierwszym stadium seksualnego menueta tytani.

Wędrując powoli pomiędzy grupami, Chris zastanawiał się, ile z tych propozycji doczeka się realizacji i kto będzie podejmował decyzje. Nie trzeba było wielkiej

przenikliwości, by zauważyć, że Gaja była światem zamkniętym. Przypuszczał, że stopniowe uprzemysłowienie Gai mogłoby pozwolić na przyjęcie znacznie większej liczby istot niż teraz, ale nawet wtedy limitu zaludnienia nie można byłoby przesuwac w nieskończoność. Wyglądało więc na to, że tylko niewielka część grup, które tu spotkał, uzyska zezwolenia na rozmnażanie. Licząc ostrożnie, spróbował zgadnąć, ile ich będzie, ale później przekonał się, że w rzeczywistości i tak było ich pięć razy mniej, niż przypuszczał.

Tak duża konkurencja powoduje stres, ten zaś z kolei prowadzi do postępowań irracjonalnych. Gdyby tytanie były ludźmi, Karnawał nie obyłby się bez bójk. Tytanie jednak nie walczyły ze sobą. Ci, którzy przegrali, oplakiwali swoją porażkę w samotności. Po okresie żałoby przychodził czas szaleńczego pijaństwa i tańca, a także planów na następne „podejście”. Przedtem jednak tytanie chwytaly się wszystkiego, dekorując przydzielone im kwadraty talizmanami, amuletami i fetyszami i ulegając niezliczonym przesadom.

Przypominały kibiców wyścigów konnych albo dzikusów świadomych swojej nikczemnej kondycji i dokładających wszelkich starań, by przyciągnąć uwagę bóstwa. Pokazy, które prezentowały, by wzmoc atrakcyjność swojej propozycji, sięgały od konstrukcji barokowych do niesłychanie oszczędnych w wyrazie. Chris zauważył na przykład parę, która zbudowała kruchą pagodę udekorowaną ułamkami szkła, kwiatami, pustymi puszkami i przepiękną ceramiką. Inny kwadrat wyściełany był białym puchem spryskanym krwią. Jeszcze inne tworzyły „żywe obrazy” albo wystawiały krótkie skecze. Była nawet żonglerka nożami. Była też absolutnie prosta scenka, której Chris nie mógł się oprzeć: oszlifowany szary kamień, na nim jajko, gałązka i dwa małe kwiaty. Jeden z kwadratów zajęty był przez samotną tytanie. Chris zrazu pomyślał, że reszta

grupy się spóźnia, ale dokładna lektura tabliczki opisującej schematycznie propozycję, wprawiła go w jeszcze większe zdumienie:

K M K

Zgodnie z wyjaśnieniami Gaby każdy rząd przedstawiał jedną tytanie. Sam znak miał wskazywać, że kobieta miała być przednim ojcem, przednią matką i zadnim ojcem oraz zadnią matką swego dziecka. Przyjrzał się centaurowi, który zgłaszał taką propozycję.

Było to przepiękne stworzenie pokryte śnieżnobiałym futrem, siedzące z jednym jasnozielonym jajeczkiem ułożonym pomiędzy guzowatymi kolanami przednich nóg. Nie mógł się powstrzymać.

– Przepraszam. Myślę, że nie bardzo rozumiem, jak...

Uśmiechnęła się do niego, ale nie sprawiała wrażenia, że cokolwiek rozumie.

Zaśpiewała kilka dźwięków, uniosła wymownie ramiona i potrząsnęła głową.

Zostawił ją, ciągle jednak ciekaw, jak chciała zrealizować swoją propozycję.

Właściwie Chris zamierzał się po cichu wynieść, ale tak się jakoś złożyło, że ciągle jeszcze był, kiedy Czarodziejka wyszła ze swego namiotu i rozpoczęła przegląd.

Przypadkiem znalazł się tuż obok niej. Postanowił przyjrzeć się jej choć przez chwilę.

Była to wysoka kobieta, która nie ukrywała swojej imponującej postury. Trzymała się prosto, ze ściągniętymi łopatkami i wysuniętym podbródkiem. Jej skóra była jasnobrązowa, a włosy koloru szlachetnego mahoni uкладаły się swobodnie po obu stronach głowy. Miała trochę zbyt wypukłe czoło, nieco zbyt długi nos i odrobinę za szerokie usta, by grać rolę filmowej amantki, była jednak jakaś siła w jej ruchach, coś, co wykraczało poza tradycyjne kanony piękna. Chodziła na czubkach palców bosych stóp.

Ten chód „na ćwierć g” Chris już widział. Ugięcie kolan przy każdym kroku było minimalne, a większość pracy wykonywały biodra. Był to sposób poruszania się bardzo

miękkie i koci, a jednocześnie bardzo seksowny, choć być może wrażenie takie sprawiała raczej mimowolnie niż rozmyślnie. Po prostu był to najbardziej wydajny sposób chodzenia na Gai.

Przez pewien czas podążał za nią, gdy przesuwała się wzdłuż szpalerów petentów.

Towarzyszyła jej para męskich tytani z rodu Kantata: wielkich nawet jak na tytanie, płowych, porośniętych tylko na głowie, ogonie, ramionach i łydkach. Jeden niósł tabliczkę ze spinaczem do przytrzymywania kartek, a drugi złotą skrzynkę. Wyglądali jak bliźniacy. Nosili na sobie tylko złote bransolety i obręcze na rękach i nogach. Odzienie samej Czarodziejki robiło mniej dostojne wrażenie. Miała na sobie wypłowiały ceglasczerwony koc z otworem na głowę, który okrywał ją aż po kolana. Często chowała ręce, kiedy jednak wysuwała je, Chris przekonał się, że pod spodem niczego nie nosi.

Czarodziejka nie przejmowała się białymi liniami na ziemi i przechodziła od kwadratu do kwadratu tak, jak się jej podobało. Jej orszak i garstka innych obserwatorów trzymała się alejek dzielących poszczególne kwadraty. Chris posuwał się ich śladem. Jedna z Kantat pilnowała, by wszystkie stanowiska zostały ocenione, określając je w swoich notatkach i raz nawet zawracając swoją szefową, gdy jednemu z kwadratów groziło pominięcie.

Okazało się, że Czarodziejka zna wiele tytani osobiście. Czasami zatrzymywała się, rozmawiając z nimi w ich śpiewnym języku lub wymieniając uściski i całusy.

Przechodziła wolnym krokiem pomiędzy członkami poszczególnych grup, odczytując przedtem układ zapisany na tabliczce i z kamienną twarzą taksując tytanie od stóp do głów. Czasami znów zatrzymywała się jakby pogrążona w rozmyślaniach, by po chwili odbyć szeptem krótką naradę z asystentem i ruszyć dalej. Przy niektórych kwadratach

zadawała pytania kandydatom.

W ten sposób przeszła przez całą grupę i ruszyła z powrotem. Chris poczuł, że zaczyna go to nudzić. Zdecydował, że pora się pożegnać z Valihą i jej zespołem.

– Gdzieś ty się podziewał?! – przywitała go Valiha.

– Myślę, że naprawdę nie będzie ze mnie pożytku – powiedział. Zauważył, że śliczne jajko tytanii zostało umieszczone na szczycie opróżnionej butelki po tequili, ustawionej przy jej nogach. Machnął ręką ku niemu. – Nie zdziałam więcej niż te wszystkie błazeństwa.

– Proszę, Chris, zgódź się. Przecież przyrzekłeś. – Spojrzała na niego z błaganiem, co przypomniało mu, że faktycznie coś w tym rodzaju jej obiecał. Uciekł wzrokiem, a potem z rezygnacją kiwnął głową.

– Nie musisz nic robić. Wystarczy, żebyś stał przy brzegu kwadratu. Nie możesz wchodzić do środka w czasie przeglądu... Sza! Wszyscy cicho, idzie!

Chris odwrócił się i dostrzegł Czarodziejkę posuwającą się wzdłuż tylnej linii kwadratu. Oceniała teraz stanowiska naprzeciwko, idąc dość szybko i przechodząc zaledwie o kilka metrów od Chrisa. Przeszła jeszcze kilka metrów, zatrzymała się, przechyliła lekko głowę, a potem odwróciła się i spojrzała na niego spode łba. Poczuł się niezręcznie, ale nie mógł odwrócić wzroku. Wreszcie uniosła kącik ust.

– A więc znowu jesteś z nami – powiedziała. – Spotkaliśmy się przelotnie mniej więcej przed dekaobrotem. Jestem Cirocco. Możesz mnie nazywać Rocky. – Nie wyciągnęła ręki i ciągle badawczo mu się przyglądała. Czuł się nieswojo, ubrany tylko w szorty, w których się obudził. Czarodziejka rzuciła okiem na Valihę, po czym jakby coś przeoczyła, przyjrzała jej się ponownie z tą samą dociekliwością, która tak onieśmiała Chrisa. Potem weszła pomiędzy uczestników potencjalnego

Mixolidyjskiego Tria.

– To ty jesteś Valiha – powiedziała Cirocco. Tytania w odpowiedzi wykonała dziwaczny dworski dyg. – Znam dobrze twoją zadnią matkę. – Obchodziła ją dookoła, gładząc ręką jedwabiste, cętkowane boki. Kiwnęła Hichiriki i Czynelowi, schyliła się, by dotknąć kosmatej dolnej części prawej zadniej nogi, a potem znowu wróciła do głaskania. Po chwili przeszła do przodu i pogładziła nogę centaura, a potem zwróciła się do Chrisa.

– Trafiłeś w dobre towarzystwo – powiedziała. – Valiha jest Eolskim Solo. Myślę, że to jest jedyny przypadek, kiedy przyznałam je takiej szczególnej mieszance Madrygał-Samba. Za następne 200-300 kiloobrotów jej potomkowie będą mogli utworzyć własny akord. Jej propozycja jest dobrze przemyślana. Stanowi zdecydowany postęp w porównaniu z tym śmiałym Lokrilidyjskim Deutem, który proponowała na ostatnim Karnawale. Ale ona ma tylko... och, przypuszczam, że jakieś pięć ziemskich lat, a młodzi chcą wszystko robić samemu, prawda, Valiha?

Żółte policzki tytanii zaróżowiły się lekko, kiedy Czarodziejka wstała. Odwróciła wzrok i zalała się pąsem, kiedy Cirocco roześmiała się i klepnęła ją po biodrze.

– Spodziewałam się, że tym razem będziesz śpiewała właśnie Eolskie Solo – powiedziała z przekąsem. Popatrzyła krótko na Chrisa, którego ta rozmowa jakoś krępowała. Według niego cała ta impreza za bardzo przypominała koński jarmark. Czekał tylko, kiedy odchyli wargi tytanii, by sprawdzić stan uzębienia.

– Śpiewać Eolskie Solo jest w języku tytanii eufemistycznym określeniem zarozumiałstwa – wyjaśniła Cirocco. – Tytania płci żeńskiej może się rozmnażać jakby „przez pączkowanie”, służąc swojemu potomstwu za całą czwórkę rodziców, wykorzystując przednie i tylne samozapłodnienie. Nie pozwalałam im jednak robić tego zbyt często. – Ujęła się pod boki, a potem jeszcze raz przeciągnęła grzbietem dłoni po

klatce piersiowej tytanii. – Czy te piersi są gotowe na przyjęcie tak wielkiej

odpowiedzialności, moje dziecko?

– Tak jest, kapitanie.

– Dobrze wybrałaś przednich rodziców, Valiha. Twoja zadnia matka może być z ciebie dumna. – Zdjęła jajko ze szklanej podstawki. Zrobiło się bardzo cicho, kiedy podniosła je do światła, a potem przytknęła do ust. Pocałowała je, otworzyła usta i ostrożnie umieściła w nich szklistą kulkę. Kiedy ją wyjęła, jajko stało się przezroczyste jak szkło. Teraz Valiha rozłożyła tylne nogi, uniosła ogon i pochyliła do przodu tułów. Kiedy tak zastygła w oczekiwaniu, różowe włosy opadły, zakrywając jej twarz.

W nagłym przyływie pamięci Chris skojarzył ten widok z innym obrazem, który często widział w czasie Karnawału: zadniego stosunku dwóch tytanii, które robiły to często i z dużym upodobaniem. To właśnie była pozycja żeńskiego partnera, gotowego do przyjęcia męskiej tytanii. Czarodziejka przeszła do tyłu, a Valiha drżała w oczekiwaniu. Chris skrzywił się. Nie mógł na to patrzeć. Ramię Cirocco zagłębiło się powyżej łokcia. Gdy jej wyciągnęła, dłoń była pusta.

– Co, zemdliło cię? – Czarodziejka wytarła rękę ręcznikiem i rzuciła go swej asyście.

– Farmerzy ciągle to robią.

– Tak, ale tu chodzi... no, to są przecież ludzie. Po prostu wydało mi się to poniżające. Może nie powinienem tego mówić.

Cirocco wzruszyła ramionami.

– Mów, co chcesz. One o tym wiedzą. Sądzą, że nasze obyczaje małżeńskie są dość nudne, i być może mają rację. – Popatrzyła spod przymrużonych powiek. – Powiedz no, czy ty i Valiha gracie w kulki?

– Nie wiem, co masz na myśli. – Kiedy to mówił, miał przykre uczucie, że być może

jednak wie.

Mniejsza z tym. Wydaje się w każdym razie, że jest twoim przyjacielem.

Na to wygląda. Tak naprawdę to nic nie pamiętam. – Spojrzał przez jej ramię, śledząc wzrokiem tytanie wspinające się po krawędzi krateru, by uzupełnić zespół.

– To nie będzie łatwe. Wyobrażam sobie, po co tu przyszedłeś. No cóż, i tak powinieneś być na obchodach. Gdyby Valiha była mniej podniecona, pewnie by cię podwiozła. – Zaśpiewała do jednej z tytanii, która skierowała rękę w znajomy sposób. – To jest Harfa z Akordu Kantata. Nie mówi po angielsku, ale zabierze cię na zabawę i przywiezie z powrotem za kilka obrotów. Trzeźwego, mam nadzieję. Znajdziesz mnie w tamtym namiocie. Mamy kilka spraw do omówienia.

13. Gościnność

W karnawałowym namiocie Czarodziejki było chłodno i ciemnowo. Górna powłoka była ciężka i nieprzezroczysta, a boki zrobione były z białego jedwabiu, porozcinanego, by zapewnić przewiew. U góry poruszał się miarowo wentylator zrobiony z ramki obciążonej materiałem, wprawiając w ruch zwisające z górnej belki welony i szale. Gaby, Robin, Psalterium i Chris siedzieli na ogromnych poduszkach, czekając na Czarodziejkę.

Tytanie lubiły specjalnie przyozdabiać siedzibę Czarodziejki w czasie Karnawału. Na ziemi rozścielono kilka warstw ręcznie tkanych dywanów o trochę monotonnym wzornictwie, inspirowanym motywem koła o sześciu szprychach. Pod ścianami piętrzyły się stosy poduszek. Pod trzecią pysznił się Śnieżny Tron. Był zbudowany z dwudziestu kilku przezroczystych worków zrobionych z liści pnączy zawierających Górski Proszek – najlepszą kokainę we wszechświecie i główny towar eksportowy Gai. Tytanie co roku na Karnawał stawiały nowy tron, piętrząc cenny towar niczym worki z piaskiem na wale

przeciwpowodziowym.

Dwa niskie stoły ugięły się pod ciężarem najlepszych wytworów sztuki kucharskiej tytanii, buchających parą lub pokrywających się mgiełką w srebrnych kubelkach napełnionych łupanym lodem. Tytanie przychodziły i wychodziły, wynosząc potrawy, które wystygły i zastępując je nowymi frykasami.

– Powinieneś spróbować któregoś z tych przysmaków – poddała Gaby. Widziała, że Chris zadarł głowę i uśmiechnął się. Hyperion tak właśnie działał na przybyszów. Dzień nigdy się tu nie kończył i ludzie nie spali czasem 40 albo 50 godzin, nawet tego nie zauważając. Zastanawiała się, ile snu zaznał ten biedny dzieciak od początku Karnawału. Pamiętała swoje początki na Gai, kiedy razem z Cirocco maszerowały do upadłego. Ale to było tak dawno... Pamiętała, że czuła się wtedy bardzo stara. Teraz zastanawiała się, czy kiedykolwiek była młoda.

Pewnie tak, kiedyś na brzegu Missisipi, w pobliżu Nowego Orleanu. Był tam stary dom z zakurzonym poddaszem, gdzie mogła się zawsze schować na noc, próbując uciec od wrzasków matki. Dach miał mansardowe okno, które mogła otwierać, by zaczerpnąć świeżego powietrza. Wtedy gwizdki przepływających holowników zagłuszały dźwięki dochodzące z parteru. Można było spokojnie popatrzeć w gwiazdy.

Później, kiedy mama umarła, a ojciec poszedł siedzieć, wuj z ciotką zabrali ją do Kalifornii. W Górach Skalistych po raz pierwszy zobaczyła Drogę Mleczną. Astronomia stała się jej obsesją. Pochłaniała wszystkie książki na ten temat, jakie jej wpadały w ręce, wdrapywała się na Mount Wilson, uczyła się matematyki na przekór kalifornijskiemu systemowi szkolnemu.

Nauczyła się nie przejmować ludźmi. Kiedy ciotka się wyprowadziła, wzięła ze sobą czwórkę swoich dzieci, ale Gaby zostawiła. Wuj jej nie chciał, poszła więc z kobietami

z opieki społecznej, nie oglądając się za siebie ani razu. Kiedy miała czternaście lat, bez zastanowienia poszła do łóżka z chłopakiem, który miał teleskop. Kiedy go sprzedał, zerwała z nim bez chwili wahania. Seks ją nudził.

Wyrosła na spokojną, piękną młodą kobietę. Uroda była zawadą w życiu, jak zatrute powietrze czy nędza. Były sposoby na wszystkie te trzy sprawy. Wypracowała szczególne spojrzenie, które skutecznie zniechęcało chłopaków. W górach powietrze było czyste, nauczyła się więc wędrować z teleskopem na plecach. Politechnika Kalifornijska przyjmowała studentów bez grosza przy duszy, również i kobiety, jeżeli tylko reprezentowały najwyższy poziom. Tak samo było na Sorbonie, Mount Palomar, Zelenczukskaja i na Koperniku.

Gaby nie przepadała za podróżami. Na Księżyc poleciała tylko dlatego, że warunki do obserwacji przewyższały tam wszystko, co można było znaleźć na Ziemi. Kiedy zobaczyła plany teleskopów, które mieli wysłać na Saturna, wiedziała, że musi kiedyś na nich pracować. Potem była Gaja i katastrofa. Przez sześć miesięcy załoga „Ringmastera” pogrążona była we śnie i wyzbyta wszelkich zmysłów w czarnej czeluści Okeanosa, ambitnego bożka Gai. Dla Gaby to było dwadzieścia lat. Przeżyła każdą chwilę całego tego okresu. Miała masę czasu, by podsumować całe swoje życie i uznać je za kiepskie. Było tego czasu dość, by zrozumieć, że nigdy nie miała przyjaciół, że nikogo nie kochała i że jej też nikt nie kocha. I że to było istotne.

To było przed 75 laty. Od tego czasu nie widziała ani jednej gwiazdy i nigdy nie czuła z tego powodu żalu. Komu potrzebne gwiazdy, gdy ma się przyjaciół?

– Co to było? – spytała Robin.

– Przepraszam. Po prostu tłukłam się po wybojach mojego mózgu. Starym ludziom czasami się to zdarza.

Robin rzuciła jej zirytowane spojrzenie i napotkała szeroki uśmiech. Gaby lubiła Robin. Rzadko kiedy spotykała kogoś tak uparcie dumnego i o tak kanciastym charakterze. Była bardziej obca niż tytanie; niewiele wiedziała o tym, co powszechnie nazywano „ludzką” kulturą, ale była świadoma swojej ignorancji i przedziwnie łączyła w sobie ślepy szowinizm z wielką żądzą wiedzy. Rozmowa z Robin była zawsze drażliwą sprawą. Była niepewnym kompanem, póki się nie pozyskało jej zaufania. Gaby lubiła także Chrisa, jednak podczas gdy Robin trzeba było bronić przed nią samą, Chrisa pragnęła bronić raczej przed szalonym światem, który ich otaczał. Na pewno nie znajdował w nim wiele sensu, a jednak dzielnie walczył, przy czym jego pogląd na świat był dodatkowo wypaczony przez trwającą całe życie dominację rozmaitych złych duchów, które mówiły jego głosem, patrzyły jego oczami, a czasami tłukły jego rękami. Nie mógł sobie pozwolić na uczuciowe zaangażowanie, ponieważ jedno z jego wcieleń rychło by je zdradziło. Kto miałby do niego zaufanie, gdyby raz odkrył wielkie albo małe tajemnice miłości?

Chris zauważył, że Gaby przygląda mu się, i uśmiechnął się niepewnie. Jego proste brązowe włosy zsuwały się ciągle, zasłaniając lewe oko i zmuszając go do potrząśnięcia głową. Był średniej budowy ciała, mierzył około 185 – 190 centymetrów wzrostu i miał kanciastą twarz, która mogłaby być uznana za okrutną, gdyby nie ślady bólu wokół oczu. Pierwsze wrażenie surowości powodował lekko spłaszczony nos i krzaczaste brwi. Mógłby uchodzić za osiłka, ale w szortach i z tą swoją strasznie bladą skórą wydawał się tak przeraźliwie smutny, że nie sposób było pomyśleć, że mógłby być groźny. Miał mocne ręce i nogi i krzepkie bary, ale także wyraźnie otłuszczony brzuch. Nie był jednak specjalnie obrośnięty. Gaby lubiła takich.

W sumie więc Gaby mogła sobie wyobrazić, dlaczego Valiha uznała go za

atrakcyjnego mężczyznę. Zastanawiała się, czy Chris był świadomy wrażenia, jakie sprawiał.

Do namiotu wsunęła się Cirocco, a za nią specjalnie dobrana para tytanii. Rozejrzała się dookoła, wycierając twarz wilgotnym ręcznikiem, i ruszyła w stronę jednego z rogów namiotu.

– Gdzie jest Valiha? – spytała. – A poza tym, czy nie miało tu być tytanii dla Robin?

– Zrzuciła swoje poncho i przeszła za sięgający ramion parawan. Z sitka podwieszonego u góry zaczęła tryskać woda. Podstawiła twarz pod strumień i potrząsnęła głową. –

Wybaczcie mi jeszcze chwilkę, kochani. Tam jest tak cholernie gorąco.

Valiha jest ciągle ze swoją grupą – wychylił się Chris.

Nie mówiłaś, że mam ją tu przyprowadzić.

Chyba się niepotrzebnie śpieszysz, Rocky – zaprotestowała Gaby. – Dlaczego nie zacząć od początku?

– Przepraszam – powiedziała. – Masz rację. Z Robin się jeszcze nie spotkałam.

Chrisa widziałam, ale on tego nie pamięta. Rzecz w tym, że Gaja powiedziała Gaby, że wysyła waszą dwójkę tu do nas.

– Wysyła? – zapiszczała Robin. – Ona mnie po prostu zrzuciła.

– Wiem, wiem – powiedziała Cirocco pojednawczo. – Musisz mi uwierzyć, że mnie się to wcale nie podobało. Protestowałam na wszelkie możliwe sposoby, ale niewiele to dało. Nie zapominaj, że to ja pracuję dla niej, a nie odwrotnie.

– Popatrzyła na Gaby bez wyrazu, uchwyciła jej spojrzenie na chwilę, a potem powróciła do mycia. – Tak czy tak, wiedziałyśmy że jesteście w drodze i że najpewniej obojgu wam uda się tu dotrzeć bez szwanku. Dziwne, ale większości pielgrzymów się udaje. Bodajże jedynym sposobem, żeby nie przeżyć Wielkiego Upadku, jest poddanie

się panice. Są ludzie...

– Można się utopić – wtrąciła Robin ponuro.

– Cóż mogę na to odpowiedzieć? – westchnęła Cirocco.

– Oczywiście, nie jest to bezpieczne, nie mówiąc o tym, że obrzydliwe. Czy muszę się jeszcze tłumaczyć z czegoś, w czym nie miałam udziału? – Spojrzała na Robin, która przez chwilę się nie odzywała, ale w końcu niechętnie potrząsnęła głową. – Jak mówiłam, niektórzy ludzie atakują anioły, które próbują im pomóc i mają ograniczone możliwości. Celem Gai, tak jak mi go opisała – i nie myślcie, że tego bronię – jest nauczyć przybyszów właściwych reakcji w sytuacjach kryzysowych. Kiedy wpadasz w panikę, nigdy nie zostaniesz bohaterem. W każdym razie ona tak myśli.

Chris wyglądał na coraz bardziej zdumionego.

– Jeżeli to wszystko ma mieć dla mnie jakiś sens, musiałbym wiedzieć więcej, a obawiam się, że czegoś ważnego nie chwyciłem.

– Wielki Upadek – wyjaśniła Gaby. – Prawdopodobnie nie przypominasz go sobie. Gaja po zakończeniu rozmowy spuszcza pielgrzymów windą, która nie ma podłogi. Spadają aż tutaj, do obręczy.

– Ciągle niczego sobie nie przypominasz? – spytała Cirocco. Woda przestała lecieć i jedna z tytanii podała jej ręcznik.

– Zupełnie. Od momentu, kiedy się z nią rozstałem, aż do niedawna. Ciemna plama.

– To można zrozumieć nawet bez twoich dolegliwości – powiedziała Cirocco. –

Rozmawiałam jednak z jednym z aniołów. – Spojrzała na Robin. – Ze starym tłustym Fredem.

Gaby roześmiała się.

– To on jeszcze żyje? – Złapała spojrzenie Robin i próbowała zmusić się do powagi,

ale bez rezultatu.

– Owszem, ciągle jest na chodzie i ciągle ugania się za ludźmi. Opowiadał mi, jak spotkał parę cudaków. Ona ostatecznie okazała się gotowa do współpracy, więc pomógł jej wylądować w Ophionie. Ten drugi natomiast był notorycznym wariatem. Fred nie mógł się w ogóle do niego zbliżyć, ale leciał za nim sądząc, że kiedy ziemia będzie już naprawdę blisko, facet oprzytomnieje. Wyobraźcie sobie, jakie było jego zdziwienie, kiedy facet wylądował na samym środku grzbietu miękkolota.

– Który to był? – spytała Gaby. – To znaczy jak się nazywał ten miękkolot?

– Fred mówił, że to był Pancernik. Gaby zrobiła zdziwioną minę.

– To musiało być zaraz potem, jak on i dwa inne pomagały mi odblokować Aglaję.

– Na pewno. – Cirocco przerwała na chwilę wycieranie, wpatrując się uważnie w Chrisa, który szybko umknął wzrokiem. Wyszła spod prysznicza, narzucając białą szatę trzymaną przez jedną z tytanii. Usadowiła się po turecku naprzeciw trojga ludzi i tytanii. Służący uklękł za nią i zaczął szczotkować jej mokre włosy.

– Interesuje mnie kwestia szczęścia – powiedziała. – Gaja opowiadała mi o stanie twojego zdrowia. Mówiła również, że naprawdę masz szczęście. Prawdę mówiąc, nie chce mi się wierzyć, by ktoś mógł być aż takim szczęściarzem. Byłoby to sprzeczne z wszystkim, czego się dotąd nauczyłam. Rzecz jasna jednak, znaczna część mojej wiedzy pochodzi sprzed siedemdziesięciu lat.

– Uważa się, że dowody są trudne do podważenia – powiedział Chris. – Z tego, co słyszałem, większość ludzi uważa, że potencjał psi nie może przybrać poważniejszych rozmiarów. Są równania, które opisują, co się wtedy dzieje, ale nie będę udawał, że je rozumiem. Teoria cząstek wolnej woli, warstwy rzeczywistości... Czytałem o tym jakiś artykuł.

– Nie dostajemy tu zbyt wiele gazet. – Cirocco skrzywiła się, przyglądając się własnym dłoniom. – Nie lubię ich. Nigdy nie lubiłam.

– Einstein też nie lubił mechaniki kwantowej – zauważyła Gaby.

– Masz rację – westchnęła Cirocco. – Wciąż jednak zaskakuje mnie bieg rzeczy.

W moich czasach ludzie byli pewni, że już za kilka lat złamią kod genetyczny. Mieliliśmy wytrzebić wszystkie choroby o podłożu fizycznym i obciążenia genetyczne. Nikt nawet nie przypuszczał, że już niedługo będziemy rozwiązywali problemy psychologiczne.

A poszło dokładnie odwrotnie. Niektóre rzeczy okazały się znacznie trudniejsze do osiągnięcia, niż ktokolwiek mógłby sądzić, a w innych dziedzinach, gdzie nikt się tego nie spodziewał, dokonano prawdziwego przełomu. Kto to może przewidzieć? Tak czy owak mówimy o szczęściu.

– Nie wiem, co to jest – wtrącił Chris. – Wydaje mi się jednak, że faktycznie czasami mam duże szczęście.

– Nawet nie chcę myśleć, co wynika z faktu, że szczęśliwym trafem walnąłeś w grzbiet Pancernika – powiedziała Cirocco. – To zależy od tego, jak daleko pociągniesz to rozumowanie, ale mógłbyś na przykład powiedzieć, że drzewo wyrwało się i zablokowało pompę Aglai po to, by Gaby mogła przywołać Pancernika właśnie tam, gdzie spadałeś, tylko po to, byś mógł wylądować miękko na jego grzbiecie. A ja nie mam zamiaru wierzyć, że wszechświat jest tak deterministyczny.

Gaby parsknęła.

– Ja też, ale jednak wierzę w szczęście. Daj spokój Rocky. Co masz przeciwko mistrzowi sztuki lalkarskiej, który pociąga za niektóre sznurki? Myślałam, że teraz już wiesz, jak to jest naprawdę?

Cirocco przesłała Gaby zabójcze spojrzenie, ale przez moment na jej twarzy widać

było niepokój.

– W porządku – próbowała uspokoić ją Gaby, podnosząc ręce. – Przepraszam. Nie będziemy mówić o tym, dobrze?

Cirocco natychmiast się rozluźniła i kiwnęła głową. Przez moment pogrążyła się w myślach, a potem podniosła głowę.

– Zapomniałam się – powiedziała. – Piszczalko, spytaj towarzystwo, co chce do picia, i przynieś kilka z tych tacek.

Gaby była zadowolona z przerwy w rozmowie. Ostatnią rzeczą, jakiej chciała, była kłótnia z Cirocco. Wstała i pomagała Piszczalce przy przygotowywaniu jedzenia, przedstawiła Psalterium Robin i Chrisowi, a wreszcie Cirocco Robin. Wymienili uprzejme uwagi na temat jedzenia i napitków, jakieś żarciki i komplementy. Gaby rozśmieszyła wszystkich opowieścią o jej pierwszym zetknięciu z zupą tytanii, której głównym składnikiem były robaki marynowane w solance. Po upływie kwadransa, nie bez wsparcia jakiegoś alkoholowego napitku, wszyscy jakby się trochę rozluźnili.

– Jak powiedziałam wcześniej – podjęła Cirocco urwany wątek – wiedzieliśmy, że macie się tu pojawić. Nie wiem, jakie są wasze plany, wyobrażam sobie jednak, że gdybyście mieli zamiar się stąd wynieść, dawno byście to zrobili. Więc jak? Chris?

– Nie wiem. Naprawdę miałem niewiele czasu, by snuć plany. Mam uczucie, jakby od rozmowy z Gają upłynęło zaledwie kilka godzin.

– Wyobrażam sobie, że nieźle ci namieszała w głowie. Uśmiechnął się.

– Delikatnie mówiąc. Chyba zostanę, ale nie bardzo wiem, co tu będę robił.

– Tak to zawsze jest w przypadku sprawdzianów – powiedziała Cirocco. – Nigdy się nie dowiesz, zanim nie spróbujesz. Wszystko, co możesz zrobić, to wyruszyć w poszukiwaniu odpowiedniego zajęcia. Dlatego właśnie nazywamy was pielgrzymami.

A co z tobą, Robin?

Robin intensywnie wpatrywała się w swoje ręce i przez chwilę milczała. Potem twardo spojrzała Cirocco w oczy.

Nie wiem, czy powinnam zdradzić ci moje plany. Nie wiem, czy mogę ci zaufać.

– Przynajmniej szczerze powiedziane – powiedziała Cirocco z półuśmiechem na ustach.

– Ma urazę do Gai – wyjaśniła Gaby. – Mnie też nie ufała ani przez moment. Pewnie nadal mi nie ufa.

– Zabiję ją – powiedziała Robin ze śmiertelnym spokojem. – Chciała mnie zabić i przysięgam, że ją dostanę. Nie powstrzymacie mnie!

Cirocco roześmiała się.

– Powstrzymywać cię? Nie mam najmniejszego zamiaru przykładać do tego ręki.

Przywiozłaś może ze sobą kilka głowic nuklearnych? – Popatrzyła na czterdziestkę piątkę na biodrze Robin. – Czy to coś jest naładowane?

– A jaki byłby pożytek z nie naładowanej broni? – spytała Robin, szczerze zaskoczona pytaniem.

– Masz rację. W każdym razie jedno powinnaś zrozumieć: nie jestem gorylem Gai.

Ma do tego dość oczu i uszu i nie potrzebuje do tego akurat mnie. Nawet jej nie powiem, że na nią polujesz. To nie moja sprawa.

Robin rozważyła to, co usłyszała.

– W porządku. Zamierzam zostać. Niedługo ruszę na wspinaczkę wewnątrz szprychy, a kiedy dojdę do osi, zabiję ją.

Cirocco popatrzyła na Gaby, jakby chciała zapytać: skąd ją wytrzasnęłaś? Gaby z uśmiechem wzruszyła ramionami.

– No cóż... w porządku. Sądzę, że niewiele mogę tu dodać.

– Dlaczego nie powiesz wszystkiego, Rocky? Może ją to zainteresować.

– Nie sądzą – powiedziała Robin wstając. – Nie wiem, co chcesz mi zaproponować, ale jeżeli to ma coś wspólnego z „bohaterstwem” – rozejrzała się, jakby chciała splunąć, ale nie znalazła miejsca nie przykrytego kobiercem – to nie licz na mnie. Nie mam zamiaru brać udziału w takiej zabawie. Mam rachunek do wyrównania i naprawdę zamierzam się tym zająć, a potem wynieść się stąd, o ile przeżyję.

– A więc masz zamiar ruszyć w górę szprychy?

– Właśnie.

Ciocco znowu odwróciła się do Gaby, a ta zrozumiała ją bez słów. To był twój pomysł – zdawała się mówić. Jeżeli chcesz mieć ją przy sobie, musisz się włączyć.

– Posłuchaj, Robin – powiedziała Gaby. – Oczywiście twoim celem jest dostanie się do piasty, ale ponieważ wykorzystałaś już swój wolny przejazd, winda cię nie zabierze. Masz jedną szansę na trzydzieści dobrnięcia do osi. A może nawet mniej, bo chcesz iść w pojedynkę, a to znacznie trudniejsze. Ja z Ciocco zaliczyłyśmy tę wspinaczkę do końca, ale miałyśmy cholerne szczęście.

– Wszystko to już wiem – zaczęła Robin, ale Gaby pośpiesznie jej przerwała.

– Chcę powiedzieć, że proponujemy ci bezpieczną i szybką drogę na szczyt. Nie żądam od ciebie, żebyś brała udział w grze, którą proponuje Gaja. Sama jestem temu absolutnie przeciwna. Myślę, że to... Zresztą mniejsza o to, co myślę. W każdym razie przemyśl to sobie. Ona nie żąda od ciebie, byś kogokolwiek zraniła albo zrobiła coś niegodnego. Sugerowała, byś ruszyła na wędrowkę po obręczy. To właśnie ci proponujemy.

– Jest parę spraw, którymi muszę się zająć – powiedziała Ciocco.

– Słusznie. Tak się składa, że wybieramy się w tym samym kierunku, a Gaja powiedziała nam, że droga twoja i Chrisa częściowo pokrywa się z naszą. Ja i Rocky robiłyśmy to już z innymi pielgrzymami, razem i oddzielnie. Próbujemy oszczędzić im kłopotów, zanim nie nauczą się sami poruszać. Chcę powiedzieć, że mogłabyś ruszyć z nami. Nauczyłabyś się kilku rzeczy, które mogłyby ci się przydać, gdybyś nadal była zdecydowana iść na górę. Nie mówię, że będzie zupełnie bezpiecznie. Jeśli wyjść poza Hyperion, wszystko na Gai może być niebezpieczne. Do diabła, nawet na Hyperionie można wpaść w niezłe tarapaty, ale na tym polega urok całej zabawy. Może się też zdarzyć, że po drodze zrobisz coś, co Gaja uzna za czyn bohaterski. To nie będzie coś, czego mogłabyś się wstydzić, zapewniam cię. Trzeba przyznać, że Gaja umie wybierać swoich bohaterów. Ale to tylko wtedy, gdy nadarza się sposobność, rozumiesz. Nie musisz o tym myśleć jako o przyjmowaniu warunków jej gry, czy szukaniu czegoś konkretnego. Po prostu chodź z nami. Kiedy wrócisz, dostaniesz wolny bilet na samą górę. Co z nim zrobisz, to już twoja sprawa. – Gaby usiadła wygodniej. Lubiała Robin, ale niech ją diabli, jeżeli mogła zrobić coś jeszcze, by ją chronić. W jakimś sensie Gaby czuła się jak tłusty anioł Fred: niektórzy ludzie oddaliby rękę albo nogę za pomoc, którą oferowała Rocky, a tu trzeba na siłę wciskać ją tej upartej laleczce.

Robin usiadła. Była trochę speszona i było jej z tym bardzo do twarzy.

– Przepraszam – powiedziała. – Jestem wdzięczna za ofertę i z przyjemnością pójdę z wami. To, co mówisz, brzmi sensownie. – Gaby zastanawiała się, czy Robin miała przed oczami ten sam obraz co ona: nagły paraliż gdzieś 100 czy 300 kilometrów w górze szprychy. Nikt, kto przeżył Wielki Upadek, nie palił się do powtórki.

– Chris?

– Ja? No pewnie. Byłbym głupi odmawiając.

– To lubię – powiedziała Cirocco. – Realistyczna ocena. Wstała, zdjęła suknię i naciągnęła swoje wypłowiałe poncho.

– Czujcie się jak u siebie w domu. Jedzenia i picia jest pod dostatkiem. Za mniej więcej 80 obrotów Karnawał się skończy, a więc bawcie się dobrze. Spotkamy się za 100 obrotów przy Zaczarowanym Kocie.

14. Zawadiaka

– Hej, kochasiu, jeśli zaraz stamtąd nie wyjdiesz, wchodzę do ciebie.

Chris patrzył na wodę spływającą po ciele i rozpryskującą się na jego bosych stopach. W ręce trzymał kawałek mydła.

Podniósł twarz, podstawiając ją pod strugi wody. Niezwykłe – stracić pamięć dwa razy w tak krótkim czasie!

– Zostaw mi trochę wody, dobrze? – To był kobiecy głos, głos którego nie znał.

Zaraz, zaraz, gdzie właściwie był, jakie było ostatnie wspomnienie...? Zakręcił wodę i wyszedł z małej kabiny kąpielowej. Ściany i strop zbudowane były z gołych desek.

Przez otwarte okno widać było ziemię, jakieś trzydzieści metrów poniżej. Był w drzewie, prawdopodobnie w Hotelu Titantown. Ostrożnie wyjrzał zza futryny. W niewielkim pokoju obok stało trochę lekkich krzeseł i okazałe łóżko, na którym leżała naga kobieta o równie okazałej figurze. Wyciągnęła się na plecach w pozie, która mogłaby wyglądać podniecająco, gdyby nie był tak bardzo rozluźniony. Czy było przed czy po? – spytał sam siebie, ale jego ciało znało odpowiedź. Było po.

– Ach, wreszcie – powiedziała, podnosząc głowę na jego widok. – Nie wiem, czy zniosę jeszcze chwilę tego gorąca.

Podniosła się i stanęła przed oknem sypialni, uniosła ciężkie czarne włosy z ramion i upięła je szpilką. Chris ocenił, że jest śliczna, i żałował, że nie pamięta, kiedy ją miał.

Większości rzeczy, których doświadczał w czasie swoich zaćmień, po prostu nie pamiętał, jednak ten przypadek był wyjątkowy. Kobieta miała długie nogi i doskonałą figurę. Jej piersi były może troszeczkę za duże, ale miał ochotę sprawdzić to dokładniej. Spojrzała na niego.

– O nie, nie zrobisz tego. Znowu? Nie, nie teraz. Jeszcze ci mało? – pobiegła pod

prysznic.

Nie mógł znaleźć szortów. Szperając po pokoju, dostrzegł kilka niezwykłych sprzętów i wiele słoików z kremami i olejkami. Zmarszczył brwi, przyjrzał się dokładniej i wtedy to zobaczył, przybite do ściany. Pożółkła i pomięta pyszniła się karta prostytutki, wydana przed dziesięciu laty w hrabstwie Jefferson w Teksasie.

– Co ci się znowu stało? – spytała, wycierając ręcznikiem kark i ramiona. – Aleś ty kapryśny. Wiesz o tym?

– Tak, wiem. Ile ci jestem winien?

– Już o tym mówiliśmy, nie pamiętasz?

Nie, nie pamiętam, ponieważ nie pamiętam niczego od... nie pamiętam, od kiedy.

Jeszcze zanim cię spotkałem. Tak to właśnie wygląda i wcale nie mam zamiaru o tym mówić, nie pamiętam, jak się nazywasz, nie mogę znaleźć moich ciuchów, więc może byś mi, do cholery, łaskawie powiedziała, ile ci się należy, żebym mógł się stąd wreszcie wynieść i nie zawracać ci głowy?

Usiadła obok niego na łóżku, nie dotykając go, a potem ujęła go lekko za rękę.

– Więc to tak, co? – powiedziała spokojnie. – Mówiłeś mi o tym, ale mówiłeś też wiele innych rzeczy i nie wiedziałam w końcu, w co mam wierzyć.

– To przypadkiem była prawda. Wszystko inne to najpewniej łgarstwa. A już na pewno, jeżeli opowiadałem ci, że mam gdzieś schowaną kupę pieniędzy. Miałem trochę grosza, kiedy tu przyjechałem, ale po moim ostatnim zaćmieniu została mi tylko para szortów.

Obwiązała biodra ręcznikiem, podeszła do drewnianego biurka i podniosła coś z blatu.

– Zrzuciłeś szorty zaraz po tym, jak mnie poderwałeś – powiedziała. – To miał być

twój powrót do natury. – Uśmiechnęła się bez drwiny i cisnęła mu coś.

Był to mały złoty pieniążek. Na jednej stronie wybity był napis: „Czek in blanco” i jakieś znaki w języku tytanii. Na rewersie był podpis: „C. Jones”. Coś zaczęło mu świtać, więc zamknął oczy, by pobudzić pamięć.

– Powiedziałeś, że to daje ci wszelkie prawa w Titantown, że to tak samo dobre jak pieniądze. Nigdy czegoś takiego nie widziałam, ale wszyscy to uznawali, kiedy szalałeś na zakupach.

– Oszukałem cię – powiedział, wiedząc, że to była prawda. – Tylko tytanie muszą to honorować. Miałem tego użyć do... użyć do... do zakupu wyposażenia na podróż, w którą się udaję. – Wstał, zdjęty nagłą paniką. – Kupiłem masę rzeczy, teraz sobie przypominam. Miałem... to znaczy, gdzie są...

– Spokojnie, spokojnie. Wszystko jest pod kontrolą. Kazałam je zabrać do La Gata, tak jak powiedziałeś. Wszystko zabezpieczone.

Usiadł powoli.

– La Gata...

– Tam właśnie masz się spotkać z przyjaciółmi – przypomniała mu. Rzuciła okiem na miejscowy żyroskopowy zegar, który stał na biurku. – Za piętnaście minut.

– Właśnie! Muszę... Ruszył do drzwi, ale zaraz się zatrzymał, czując, że jeszcze o czymś zapomniał. – Możesz mi pożyczyć ręcznik?

Bez słowa podała mu ten, który miała na sobie.

– Ja... no, przykro mi, że nie mam ci co dać. Nie wiem, co ci naopowiadałem, ale przyznam, że trochę mnie zdziwiło, że nie chciałaś...

– Pieniędzy z góry? Nie urodziłam się wczoraj. Wiedziałam, w co się pakuję. –

Podeszła do okna i położyła dłonie na parapecie, patrząc przez chwilę na miasto w dole.

– Jestem tu już od jakiegoś czasu. Na Ziemi nigdy mi się najlepiej nie powodziło. Lubię tutejszych ludzi. Przynajmniej uważam ich za ludzi. Myślę, że powoli staję się tutejsza. –

Spojrzała na niego, jak gdyby spodziewała się, że wybuchnie śmiechem. Uśmiechnęła się kącikiem ust, widząc jego poważną minę. – Do diabła, sama interesuję się tytanianu.

Kiedy jesteś tu wystarczająco długo, zaczynasz akceptować reguły gry.

Podeszła do niego i pocałowała go delikatnie w policzek. – Trudno uwierzyć, że nie pamiętasz zupełnie nic z tego, cośmy wyprawiali. W jakiś sposób rani to moją zawodową dumę. – Przez chwilę myślał, że dziewczyna się rozpłacze, i zastanawiał się, co było nie tak. – Ruszasz w podróż z dziewczyną – powiedziała.

– Robin?

– Tak, z nią. Pozdrów ją ode mnie i uważajcie na siebie. Powodzenia. Życz jej szczęścia ode mnie. Będziesz pamiętał?

– Jeśli powtórzysz mi swoje imię.

– Trini. Powiedz jej, żeby uważała na tę Plauget. Ona jest niebezpieczna. Kiedy Robin wróci, zawsze będzie tutaj mile widziana.

– Powtórzę jej.

15. Zaczarowany Kot

Titantown leżało w cieniu olbrzymiego drzewa, które powstało z połączenia w jeden organizm wielu mniejszych drzew. Tytanie nigdy nie przejmowały się zbytnio planowaniem miast, ale ich upodobania wymuszały jednak określoną strukturę osiedleńczą. Lubiły mieszkać nie dalej niż pół kilometra od światła, więc domostwa układały się w krąg wzdłuż obrzeża drzewa. Niektóre domy postawiono wprost na ziemi, inne zbudowano na poziomych, gigantycznych gałęziach, które były podparte przez pomocnicze pnie grubości sekwoi.

Po wewnętrznej stronie kręgu rozmieszczone zostały warsztaty, kuźnie i rafinerie. Na zewnątrz, bliżej światła, a niektóre nawet na otwartej przestrzeni, ustawione były bazyry, sklepy i różne egzotyczne jarmarki. W mieście znajdowały się też budynki i urzędnictwa publiczne: straż pożarna, biblioteki, magazyny i zbiorniki. Woda pochodziła ze źródeł i zbieranej deszczówki. Ta ze źródeł była mleczna i gorzka.

Robin spędzała ostatnio dużo czasu w zewnętrznym kręgu, wykorzystując medalion, który dostała od Cirocco na zakupy sprzętu potrzebnego w podróży. Przekonała się, że miejscowi rzemieślnicy są grzeczni i usłużni. Zawsze sugerowali użycie sprzętu najwyższej jakości, nawet wtedy, gdy wystarczałoby coś mniej wymyślnego. Zdążyła więc już kupić mosiężną menażkę zdobioną tak wymyślnym filigranem, że nie powstydziliby się jej nawet sam car na swym biesiadnym stole, i nóż o rękojeści ukształtowanej na miarę zdjętą z jej ręki, na której pysznił się rubin przypominający wielkie szklane oko. Tytanie uszyły jej również śpiwór z tak pięknie haftowanego materiału, że szkoda go było kłaść na ziemię.

Piszczalka, tytania, którą spotkała w namiocie Cirocco, był jej przewodnikiem, śpiewem tłumacząc kupcom, którzy nie znali angielskiego.

– Nie przejmuj się – powiedział. – Przekonasz się, że inni też nie płacą pieniędzmi.

Nie używamy ich.

– W takim razie jaki system stosujecie?

– Gaby nazywa to dobrowolnym komunizmem. Mówi, że z ludźmi to by nie funkcjonowało. Są zbyt zachłanni i egocentryczni. Przepraszam, ale powtarzam tylko jej słowa.

– W porządku. Pewnie ma rację.

– Nie wiem. To prawda, że nie mamy problemów wynikających z dominacji, na które uskarżają się ludzie. Nie mamy przywódców i nie walczymy ze sobą. Nasza gospodarka funkcjonuje w akordach, czyli czymś w rodzaju rodów i według wypracowanych reguł. Wszyscy pracują zarówno prywatnie jak i w projektach publicznych. Pozycję zdobywa się. Jeśli chcesz, możesz to nazywać bogactwem albo społecznym zaufaniem dzięki osiągnięciom albo z racji wieku, albo wreszcie z racji potrzeb. Nikomu nie brakuje rzeczy niezbędnych do życia. Większość stać nawet na jakieś luksusy.

– Nie nazwałabym tego bogactwem – zauważyła Robin. – My na Konwencji też nie używamy pieniędzy.

– Doprawdy? A jak się rozliczacie?

Robin pomyślała chwilę, starając się w miarę możliwości powściągnąć emocje, przypominając sobie narzucone przydziały pracy w połączeniu z systemem kar, włącznie z karą śmierci.

– Możesz to nazwać przymusowym komunizmem. Z ogromną, uboczną sferą wymiany bezpośredniej: towar za towar.

La Gata Encantada znajdowała się blisko pnia wielkiego drzewa. Robin była tu już

kiedyś, ale w Titantown panował wieczny mrok, a map drogowych po prostu nie było. Zresztą nie było też i dróg. Żeby coś znaleźć, trzeba było mieć latarnię i sporo szczęścia. Centrum miasta wydawało się Robin jedną wielką dzielnicą rozrywki. Mimo to, jak wszędzie w Titantown, wśród sal tanecznych, teatrów i knajp rozrzucono sklepy, a nawet domy mieszkalne. Pomędzy zewnętrznym pierścieniem a pniem znajdował się obszar mniej zabudowany. Była to najbardziej ponura część Titantown, przeznaczona na małe ogródki działkowe, które kwitły w ciepłej, parnej ciemności. Większa część miasta była oświetlona wielkimi papierowymi lampionami; tu akurat było ich niewiele.

Spośród okolic, które zwiedzała, ta najbardziej przypominała park. Matka ostrzegała ją przed parkami. Ukrywali się w nich mężczyźni, by nagle wyskoczyć i zgwałcić kobietę. Oczywiście, niewielu ludzi zapuszczało się aż tak daleko w Titantown, ale przecież nie można było tego nikomu zabronić. Sądziła, że przestała się już obawiać groźby gwałtu, ale jednak teraz nie mogła powstrzymać się od myślenia o tym.

W niektórych miejscach jedynym oświetleniem było światło jej własnej latarki. Podskoczyła, usłyszawszy syczący dźwięk. Kiedy przystanęła, by zbadać jego przyczynę, odkryła kępę niskich, mięsistych roślin wydzielających delikatną mgiełkę. Nikt, kto wychował się na Konwencie, z jego bulgocącymi szeregami zraszaczy, przecinającymi pochyły pokład uprawny, nie mógł się nie domyślić przeznaczenia tej mgiełki. Uśmiechnęła się i głęboko wciągnęła powietrze. Zapach mokrej ziemi przeniósł ją w lata dzieciństwa, do beztrudnych dni spędzonych na zabawach wśród pól dojrzałych truskawek.

Knajpa była niskim, drewnianym budynkiem z szerokimi drzwiami. Na frontowej ścianie wisiał szyld składający się z dwóch okręgów: górny był mniejszy, z dwoma kropkami u góry, kocimi oczkami i wyszczerzonymi w uśmiechu zębami.

Dlaczego kot? – zdziwiła się. I skąd język hiszpański? Jeśli tytanie uczyły się języka ludzi, był to nieodmiennie angielski. A jednak nad drzwiami wymalowano jak wół: „La Gata Encantada”, nawet bez zwyczajnych magicznych znaków tytanii. Dziwna rasa – zdecydowała Robin. Były pod wieloma względami tak podobne do ludzi. Miały takie same zdolności jak ludzie. Ich wytwory przypominały przedmioty, jakie robili ludzie. Nawet sztuka czy rzemiosło artystyczne były podobne, z wyjątkiem ich niezwyklej muzyki. Jediną rzeczą, która nie miała odpowiednika u ludzi, był ich dziwaczny system rozmnażania się.

No, może niezupełnie, pomyślała, wchodząc do La Gata przez rów z wodą, w który były wyposażone wszystkie budynki publiczne w Titantown. Podłoga była wysypana piaskiem i wyściełana słomą. W sumie lepiej sobie poradziły z wielkomiejskim problemem likwidacji nieczystości niż na przykład taki Nowy Jork w epoce powozów konnych. Miasto roiło się od małych przypominających pancernika stworzeń, których wyłącznym pożywieniem były wszędzie się walające pomarańczowe kupki. W domach prywatnych załatwiała się sprawę od razu za pomocą szufli i kubła. Tam jednak, gdzie gromadziły się większe grupy tytanii, nie było to możliwe. Wówczas po prostu się tym nie przejmowały, załatwiając się na powietrzu. Po to właśnie były płytkie baseny z wodą, w których można było opłukać kopyta przed pójściem do domu.

Nie licząc tego, la Gata Encantada bardzo przypominała ziemską tawernę; tylko przejścia między stołami były nieco szersze. Był tu nawet długi drewniany bar z mosiężną poręczą. W środku było pełno tytanii, które przerastały ją o głowę, ale już dawno przestała się martwić, że któraś zmiażdży jej stopy. Gdyby przepychała się przez tłum ludzi, z pewnością nie byłoby łatwiej.

– Hej, ludzka dziewczyno! – Podniosła głowę i zauważyła, że barman macha do niej

zawzięcie. Rzucił jej poduszkę. – Twoi przyjaciele są w kącie sali. Napijesz się piwa korzennego?

– Tak, proszę. – Pamiętała z pierwszego doświadczenia, że był to ciemny, pieniaący się napój alkoholowy wytwarzany z korzeni. Smakowało jak piwo, do którego przywykła, tyle że było o wiele mocniejsze. Smakowało jej.

Cała grupa obsiadła wielki okrągły stół w odległym końcu sali: Cirocco, Gaby, Chris, Psałterium, Waliha, Piszczalka i czwarta tytania, której nie знаła. Zanim do nich dotarła, jej piwo w olbrzymim, pięciolitrowym kuflu było już na stole. Kiedy usadowiła się na poduszce, stół sięgał jej do piersi.

– Czy na Gai są koty? – zapytała.

Gaby spojrzała na Cirocco i obie wzruszyły ramionami.

– Nigdy nie widziałam tu żadnego kota – powiedziała Gaby. – To miejsce wzięło swoją nazwę od marsza. Tytanie kochają się w muzyce marszowej. Uważają, że John Philip Sousa jest największym kompozytorem wszystkich czasów.

– Niezupełnie – zaprotestował Psałterium. – Idzie łeb w łeb z Janem Sebastianem Bachem. – Wziął kufel, a kiedy zauważył, że Robin i Chris przyglądają mu się pytająco, kontynuował wyjaśnienia: – Nie popadając w ton protekcyjny, można powiedzieć, że obaj są prości i prymitywni. Bach ze swoją geometrią powtarzalnych fraz dźwiękowych i rachunkiem natchnionej monotonii; Sousa ze swoim niewinnym polem i brawurą. Podchodzą do muzyki tak, jakby kładli cegły asyryjskiej piramidy: Sousa z miedzi, Bach z drewna. W jakiejś mierze wszyscy ludzie robią to samo. Nawet wasz zapis muzyczny wyglądem przypomina ścianę z cegieł.

– Nigdy o tym nie pomyśleliśmy – włączyła się Waliha. – Odśpiewanie pieśni i następnie zachowanie jej tak, by mogła być odtworzona kiedyś dokładnie tak samo,

było nowym pomysłem. Muzyka Bacha i Sousy jest bardzo ładna, bez zbytecznych

komplikacji, kiedy się ją przeniesie na papier. Ich muzyka jest nadludzka.

Cirocco niczym sowa popatrywała to na jedną, to na drugą tytanie, a potem przeniosła spojrzenie na Robin i Chrisa. Przez krótką chwilę błądziła wzrokiem w ich poszukiwaniu.

– No i wiecie teraz dokładnie tyle co przedtem – powiedziała. – Ja osobiście nigdy Sousy nie lubiłam. Bach mi nie przeszkadza. – Zamrugła, popatrując to na jednych, to na drugich, jakby spodziewała się ożywienia sporu. Kiedy nikt się do tego nie kwapił, pociągnęła potężnie ze swojego kufła. Sporo wylało jej się na brodę.

Gaby położyła jej dłoń na ramieniu.

– Niedługo zamkną ci bar, kapitanie – powiedziała swobodnie.

– A kto mówi, że jestem pijana? – ryknęła Cirocco. Brązowozłota, pieniąca się struga chlusnęła na stół, kiedy kufel się przewrócił. W sali na chwilę zapadła cisza, a później znowu wybuchła wrzawa, kiedy tytanie usilnie manifestowały, że nie zauważyły incydentu. Ktoś z ręcznikiem zaczął wycierać piwo, znalazł się też nowy kufel.

– Nikt tego nie powiedział, Rocky – odparła spokojnie Gaby.

Cirocco sprawiała wrażenie, jakby już o tym zapomniała.

– Robin, myślę, że nie poznałaś jeszcze Obój. Obój (Mixolidyjskie Trio z Krzyżykiem) Bolero, poznaj Robin Dziewięciopalcą z Konwentu. Robin, to jest Obój.

Pochodzi z dobrego akordu i będzie cię grzać, kiedy powieją chłodne wiatry.

Tytania podniosła się i głęboko skłoniła, uginając przednie nogi.

– Niechaj święty strumień nas zjednoczy – wymamrotała Robin, skłaniając się w pasie i jednocześnie przyglądając się tytaniu, która, jak przypuszczała, miała być jej towarzyszem podróży. Obój porośnięta była miękką sierścią o długości 7-8 centymetrów.

Tylko na dłoniach, małych obszarach wokół sutek i części twarzy spod futra wyzierała goła skóra o intensywnym oliwkowym kolorze. Jej futro było również oliwkowe, przetykane brązowymi liniami na podobieństwo linii papilarnych. Włosy na głowie i w ogonie były śnieżnobiałe. Wyglądała jak wielkie, puszyste, wypchane zwierzę z oczami z dużych brązowych guzików.

– Piszczalkę już znasz, prawda? – ciągnęła Cirocco. – Więc... Stara Fujara jest... no... można by powiedzieć... wnukiem pierwszej tytanii, jaką tu spotkaliśmy. Jego zadnia matka była pierwszą Mixo... eoe... – Urwała, nie mogąc wymówić słowa. – Była pierwszym Mixojońskim potomstwem Piszczalki. Później skrzyżowała się ze swoim przednim ojcem. To nie brzmi dobrze z ludzkiego punktu widzenia, ale zapewniam was, że to duże osiągnięcie eugeniki u tytanii. Piszczalka jest Lidyjskim Duetem. – Czknęła i zrobiła uroczystą minę. – Tak zresztą jak my wszyscy.

– Jak to? – spytał Chris.

– Wszyscy ludzie są Lidyjskimi Duetami – powiedziała Cirocco. Wyciągnęła pióro i zaczęła rysować na stole.

K M K

KM MA

– Popatrzcie no na to – powiedziała. – To jest właśnie Lidyjski Duet. U góry mamy kobietę, w dolnym wierszu mężczyznę. Gwiazdka oznacza na wpół zapłodnione jajko. Górna strzałka pokazuje jego drogę, a dolna strzałka pokazuje, kto kogo pieprzy, pierwotnie i wtórnie. Lidyjski Duet: przednia matka i zadnia matka są kobietami, przedni ojciec i zadni ojciec są mężczyznami. Zupełnie jak u ludzi. Jedyna różnica polega na tym, że tytanie muszą to robić dwukrotnie. Łypnęła na Chrisa. – Ale i przyjemność podwójna, co?

– Rocky, może lepiej byśmy...

– To jest jedyny układ, w którym tytanie są z sobą w taki sam sposób jak ludzie – powiedziała Cirocco, rąbiąc pięścią w stół. – Jeden jedyny na dwadzieścia dziewięć możliwych sposobów. Są trzy duety całkowicie żeńskie. Eolskie duety. Duety Lidyjskie mają mężczyznę, ale w większości przypadków pełni on rolę zadniej matki. –

Zmarszczyła czoło i policzyła na palcach. – W większości przypadków. W czterech na siedem. W Hipolidyjskim kobieta zapładnia się z przodu, a w Lokrilidyjskim robi to sobie od tyłu. Od-ty-łu!

– Rocky...

– Czy to znaczy, że rzeczywiście ma stosunek sama z sobą? – spytał Chris. Gaby spojrzała na niego z niesmakiem, ale i tak nie miało to większego znaczenia, bo Cirocco najwidoczniej w ogóle go nie dosłyszała. Kiwała się nad stołem, zezując na wykres, który wyrysowała.

– Nie w taki sposób jak myślisz – włączyła się Obój.

– To jest fizycznie niemożliwe i dlatego trzeba to robić ręcznie. Nasienie zbiera się i następnie umieszcza, gdzie trzeba. Nasienie z tylnego penisa może zapłodnić przednią pochwę, ale tylko u tego samego osobnika, a nie pomiędzy...

– Ludzie, ludzie, skończmy z tym na chwilę, dobrze? – Gaby popatrywała to w jedną, to w drugą stronę, by wreszcie zatrzymać wzrok na Cirocco. Tamta skrzywiła się i wstała.

– Panie i panowie oraz tytanie. Miałam nadzieję, że przygotowania do podróży zorganizujemy trochę bardziej systematycznie. Myślę, że Rocky miała jeszcze kilka spraw do omówienia, ale do licha, to może w końcu zaczekać.

– Może zaczekać – mruknęła Cirocco.

– Właśnie. Tak czy owak, pierwsza część drogi jest dziecinnie łatwa. Po prostu popłyniemy sobie beztrąsko w dół rzeki. Wszystko, co zostało do zrobienia, to zapakować łodzie i zepchnąć je na wodę. Co byście powiedzieli, gdybyście się podnieśli i zaczęli działać?

– Działać! – zawtórowała Cirocco. – Na zdrowie! W drogę! Niech nas prowadzi w świat przygód i niech nas przywiedzie bezpiecznie z powrotem do domu. – Wstała i podniosła kufel. Robin musiała użyć obu rąk by pójść w jej ślady. Było masę hałasu i chlapiącego piwa, kiedy i reszta dołączyła. Pociągnęła od serca i usłyszała trzask. Czarodziejka spadła z krzesła.

Okazało się jednak, że cały czas była przytomna. Nie wiadomo, czy scena była zamierzona czy nie.

– Poczekajcie chwilę – powiedziała, przebijając w powietrzu rękami. – Wiecie, jak to jest z tym piwem. Muszę przypudrować nos. Zaraz wracam, okay? – Potoczyła się z trudem w drugi koniec sali.

W tym momencie rozległ się krzyk. Kiedy Robin zastanawiała się, o kogo tym razem chodzi, Gaby zerwała się i przeskoczyła stół, przeciskając się przez ciżbę tytani.

– Tu jest, tu jest! To on!

Robin poznała teraz głos Cirocco i zastanawiała się, co ją mogło tak przestraszyć.

Nie wszystko w charakterze Czarodziejki jej się podobało, ale na pewno nie można jej było nazwać tchórzem.

Blisko drzwi, przy końcu baru, gromadził się tłum. Ktoś jej wzrostu nie miał żadnych szans, by dojrzeć cokolwiek spoza wysokich końskich zadów. Wskoczyła więc na szynkwias i w ten sposób dotarła niemal do centrum całego zamieszania.

Widziała, jak jakaś tytania, której nie znała, uspokaja Cirocco; Gaby stała trochę

dalej. W jednej ręce trzymała nóż, drugą machała w kierunku człowieka skulonego przed nią na ziemi. Zęby błyszcząły jej dziko w pełgającym blasku lamp.

– Wstawaj, wstawaj, mówię! Nie różnisz się niczym od tego gówna na drodze.

Brzydzę się tobą. Nadszedł czas, żeby ktoś cię uprzętnął, i wierz mi, że ja to zrobię.

Ja nic nie zrobiłem – zajęczał. – Przysięgam, spytaj Rocky. Nic bym jej nie zrobił, byłem naprawdę w porządku. Znasz mnie, Gaby.

Znam cię aż za dobrze, Gene. Dwa razy mogłam cię zabić i dwa razy byłam tak głupia, że puściłam cię wolno. Wstawaj i zachowuj się jak mężczyzna. Może chociaż na to cię stać. Wstawaj, albo zatłukę cię jak świnię, którą zawsze byłeś.

– Nie, nie, sprawisz mi ból. – Zgięty wpół, z rękami osłaniającymi podbrzusze, uderzył w szloch. Mógł wyglądać patetycznie, nawet gdyby stał prosto. Całe ciało pocięte miał starymi bliznami; miał bose, brudne stopy i złachmanioną odzież. Na lewym oku miał czarną opaskę jak pirat; brakowało mu niemal całego ucha.

– Wstawaj! – rozkazała Gaby.

Robin ze zdziwieniem usłyszała głos Cirocco, która przemawiała niemal zupełnie trzeźwo.

– On ma rację, Gaby – powiedziała spokojnie. – Nic nie zrobił. Do diabła, próbował zwać, jak tylko mnie zobaczył. To dopiero niespodzianka, widzieć go znów.

Gaby wyprostowała się. Oczy nieco jej przygasły.

– Chcesz powiedzieć, że nie masz zamiaru go zabić? – spytała bezbarwnie.

– Na miłość boską, Gaby – wymamrotała Cirocco. Sprawiała teraz wrażenie, jakby nie tylko odzyskała spokój, ale nawet popadła w jakąś apatię. – Nie możesz go tu przecież zarznąć jak prosiaka.

– Tak. Wiem. Już to kiedyś słyszałam. – Przyklękła przed nim na jedno kolano i tępą

stroną noża podniosła mu głowę.

– Co tu porabiasz, Gene? Czego szukasz?

Przez dłuższą chwilę jąkał coś bez sensu z idiotycznym wyrazem twarzy.

– Po prostu chcę się napić, to wszystko. Przy tych upałach gardło szybko wysycha.

– Jakoś nie widzę twoich kumpli. Musi być jakiś powód, że zawitałeś do Titantown.

Tak bez powodu nie ryzykowałbyś przecież spotkania ze mną.

– To prawda, to prawda, Gaby, boję się ciebie, w porządku, o Boże, stary Gene dobrze wie, że nie powinien wchodzić ci w drogę. – Pomyślał przez chwilę i ponieważ nie spodobało mu się to, co mogło wyniknąć z tych słów, natychmiast zmienił kurs. –

Zapomniałem, ot co. Do licha, Gaby, nie wiedziałem, że tu będziesz. To wszystko.

Robin zauważyła, że był człowiekiem tak przywykłym do kłamstw, że już sam ich nie odróżniał od prawdy. Widać też było, że rzeczywiście straszliwie bał się Gaby. Był prawie dwa razy od niej wyższy, ale ani przez chwilę nie przyszła mu do głowy myśl, by podjąć walkę.

Gaby zrobiła wymowny ruch nożem.

– Wstawaj. Gene? Nie będę dwa razy powtarzać.

– Nie zrobisz mi krzywdy?

– Jeżeli jeszcze kiedyś cię spotkam, naprawdę zrobię ci wielką krzywdę. Rozumiemy się? Nie zabiję cię. Ale kiedy cię znowu zobaczę, gdziekolwiek i kiedykolwiek, będziesz tego gorzko żałował. Teraz to już twój interes, byśmy się więcej nie spotkali. Pilnuj się!

– Tak, tak, przyrzekam.

– Kiedy się znowu spotkamy, Gene – powiedziała i pokazała nożem – obetnę ci drugie.

Nie chodziło jej o jego jedyne oko, ale o organ położony znacznie niżej.

16. Klub Obieżyświata

Przy ładowaniu tytanii Cirocco dwa razy spadła, chociaż podtrzymywało ją silne, pomocne ramię Piszczalki. Uparła się, że da sobie radę sama.

Zgodnie z umową sprzęt, który zakupił Chris, czekał nań w szopie za La Gata, podobnie jak dobytek pozostałych członków ekipy. Tytanie miały juki, opasujące ich grzbiety i przechodzące dołem w rodzaj popręgu. Valiha obróciła się i umocowała swoje oporządzenie, w którego skład wchodziły dodatkowe pojemne torby ze skóry i płótna po obu stronach jej końskiego tułowia, pozostawiając jednakże trochę miejsca dla Chrisa. Wskoczył na jej grzbiet i otworzył torby, w których były już rzeczy, przyniesione przez Valihę. Podała mu, sztuka po sztuce, jego bagaż, by mógł go dobrze rozłożyć. Kiedy skończył, w torbach zostało jeszcze dużo miejsca. Powiedziała, że to bardzo dobrze, ponieważ po zakończeniu żeglugi rzeką będą potrzebowali miejsca na zapasy, które czekają na nich w łodziach.

Kiedy Chris się pakował, obserwował Gaby i Piszczalkę, które bezskutecznie próbowały uspokoić Cirocco i umieścić ją na grzbiecie tytanii. Widok był wzruszający i w znacznym stopniu niepokojący. Zauważył, że Robin klęczy na grzbiecie Obój i z odległości kilku metrów również obserwuje z zacięciem przedstawienie. Było niemal całkiem ciemno, a jedyne światło dawały oliwne lampy tytanii. Mimo to widział, że Robin marszczy brwi.

– Masz jakieś wątpliwości co do podróży? – spytał.

Zaskoczona, podniosła wzrok. Dotąd nie mieli okazji rozmawiać, a w każdym razie nie przypominał sobie rozmowy, więc oczywiście był ciekaw, co o nim sądzi. Sam uważał, że Robin jest osobą zdecydowanie dziwną. Wiedział już, że to, co brał z początku za malowidła, było w istocie tatuażem. Węże o mieniającej się wszystkimi

kolorami łusce oplatały swoje ogony wokół prawego dużego palca nogi, małego lewego palca dłoni i owijały nogę i rękę, znikając gdzieś pod ubraniem. Zastanawiał się, jak wyglądają ich ukryte tam główki i czy Robin uprawia również inne gatunki sztuki.

Kobieta wróciła do pakowania.

– Kiedy się na coś zdecyduję, trzymam się tego – powiedziała. Włosy spadały jej na oczy; kiedy odrzuciła je ruchem głowy, odkryła jeszcze jeden znak szczególny. Większą część lewej połowy głowy miała ogoloną dla odsłonięcia skomplikowanego pięciokątnego wzoru wokół ucha. Wyglądała, jakby się jej zsunęła peruka.

Jeszcze raz zerknęła na Cirocco, a potem na Chrisa, z wyrazem twarzy, który można byłoby uznać za przyjazny uśmiech, gdyby nie tatuaż, który mocno utrudniał wszelką ocenę.

– Myślę jednak, że wiem, co masz na myśli – przyznała. – Mogą ją nazywać Czarodziejką, proszę bardzo, ale ja, kiedy widzę pijaka, nazywam go pijakiem.

Kiedy Chris i Valiha wynurzyli się z mroku pod drzewem Titantown, pozostała szóstka była już daleko w przodzie. Przez chwilę Chris mrugał nerwowo, zaskoczony intensywnością światła, a później uśmiechnął się. Dobrze było się ruszyć. I nawet nieważne było dokąd.

Pozostałe trzy zespoły wyglądały nader malowniczo, kiedy po pokonaniu pierwszego wzgórza ruszyły spieczoną, piaszczystą drogą wśród pól dojrzałego, złotego zboża. Gaby posuwała się na czele, odziana w swój zielono-szary strój Robin Hooda, na czekoladowo-brązowym Psalterium z pomarańczowym snopem włosów. Za nimi szedł Piszczątka z Cirocco rozciągniętą płasko na jego grzbiecie. Spod brudnoczerwonego poncho wystawały tylko nogi. W przyćmionym świetle włosy Piszczątki wydawały się zupełnie czarne, teraz zaś, rozwiane do tyłu, połyskiwały jak górski kryształ. Nawet brązowo-

oliwkowe sploty Obój w blasku słońca wyglądały wspaniale. Robin jechała wyprostowana, z nogami na sakwach; była ubrana w luźne spodnie i lekką koszulę z dzianiny.

Chris rozłożył się wygodnie na szerokim grzbiecie Valihy. Oddychając głęboko, czuł ten nieuchwytny zapach w powietrzu, który często poprzedza letnią burzę. Na zachodzie widać było ciemne chmury nadciągające z Okeanosu. Chmury przypominały grube kłęby waty; rozciągały się na północ i na południe. Czasami nadpływały sznurem niczym kielbaski. Wyższe i mniejsze, nadpływając, układały się jakby w równą, białą warstwę. Cokolwiek to było, miało to coś wspólnego z efektem Coriolisa. Był to wspaniały dzień, by wyruszyć. Obojętnie dokąd.

Chris nie był przekonany, czy będzie mógł spać na grzbiecie tytanii, okazało się jednak, że nie jest to wcale takie trudne. Obudziła go Valiha.

Psałterium szedł długim pomostem wrzynającym się głęboko w rzekę Ophion.

Valiha szła za nim i wkrótce jej kopyta załomotały po drewnianych deskach. Do pomostu przycumowane były cztery duże łodzie. Ich drewniane szkielety obciążone były połyskującym srebrzyście materiałem. Przypominały nieco aluminiowy sprzęt, który od ponad dwustu lat używano powszechnie na ziemskich jeziorach i strumieniach. Ich dna były wzmocnione deskami. Pośrodku każdej łodzi piętrzyły się zapasy, przykryte czerwonym brezentem i zabezpieczone sznurami.

Łodzie były lekko zanurzone, ale kiedy Psałterium wszedł do jednej z nich, wyraźnie osiadła głębiej. Chris z podziwem przyglądał się, jak tytanie żwawo poruszają się po wąskim pokładzie, układając juki na dziobie. Nigdy by nie pomyślał o nich jako o rasie z wodniackimi talentami, ale wyglądało, że dla Psałterium żegluga nie była pierwszozną.

– Teraz będziesz musiał zejść – powiedziała Valiha z głową wykręconą o sto

osiemdziesiąt stopni. Ten widok zawsze przyprawiał go o ból w karku. Próbował jej pomóc przy rozplątywaniu rzemieni, wkrótce jednak przekonał się, że świetnie sobie radzi sarna. Sądząc po łatwości, z jaką dźwigała ciężkie torby, Chris wnioskował, że musiały chyba zawierać same puchowe poduszki.

– Każda z łodzi może unieść dwie tytanie z odrobiną bagażu albo czterech ludzi – powiedziała Gaby. – Możemy też rozmieścić mieszane zespoły, takie, jakie są teraz po jednym w każdej łodzi. Jak wolicie?

Robin stała na skraju – pomostu, z namysłem przyglądając się łodziom. Wciąż nachmurzona, odwróciła się i wzruszyła ramionami. Potem wetknęła ręce w kieszenie i łypnęła ponuro ku wodzie, wyraźnie z czegoś niezadowolona.

– Nie wiem – powiedział Chris. – Myślę, że wolałbym... – Zauważył, że Valiha mu się przygląda, i szybko odwrócił głowę. – Myślę, że zostanę z Valihą.

– Nie robi mi to żadnej różnicy – powiedziała Gaby – dopóki przynajmniej jedna osoba w każdej łodzi będzie miała jakieś pojęcie o żegludze. Jak tam z tobą?

– Trochę pływałem, ale ekspertem nie jestem.

– To bez znaczenia. Valiha pokaże ci, które linki trzeba pociągać. Robin?

– Nie mam o tym pojęcia. Chyba wolałabym trochę lepiej się poznać...

– A więc popłyniesz z Obój. Potem będziemy mogli się wymieniać, żeby się lepiej poznać. Chris, czy możesz mi pomóc przy Rocky?

– Chciałabym coś zaproponować – powiedziała Robin. – Jest teraz sztywna.

Dlaczego jej tu nie zostawić? Połowa całego jej bagażu to woda, sama widziałam. To pijaczyna i będziemy z nią mieli...

Nie zdołała dokończyć, bo Gaby przygwoździła ją do pomostu, zanim Chris zdążył się zorientować. Gaby ścisnęła Robin za gardło, odchylając do tyłu jej głowę.

Nieznacznie drżąc z wściekłości, Gaby powoli rozluźniła uścisk i usiadła. Robin odkasznęła, ale nie próbowała żadnego ruchu.

– Nigdy nie mów o niej w ten sposób – wyszeptała Gaby. – W ogóle nie wiesz, co mówisz.

Nikt się nie ruszył. Chris przesunął stopę i usłyszał głośny skrzyp deski pomostu.

Gaby wstała. Kiedy odwróciła się z opuszczonymi ramionami, wyglądała na starą i zmęczoną. Robin wstała, otrzepała się z lodowatą godnością i odchrząknęła. Jedną rękę oparła na rękojeści swojego pistoletu.

– Stój – powiedziała. – Stój tam, gdzie stoisz. – Gaby zatrzymała się, a potem odwróciła się, jak gdyby całe wydarzenie przestało ją interesować.

– Nie zabiję cię – powiedziała Robin spokojnie. – To, co zrobiłaś, wymaga rozliczenia, choć pewnie z twoim niewolniczym charakterem na nic więcej cię już nie stać. Ale dobrze sobie to zapamiętaj: ostrzegam cię! Nie mów potem, że nie wiedziałaś! Jeżeli jeszcze raz mnie tkniesz, jedna z nas umrze.

Gaby zerknęła na broń u boku Robin, kiwnęła ponuro głową i znowu się odwróciła.

Chris pomógł jej załadować Cirocco na dziób jednej z łodzi. Cała sytuacja była dla niego zagadkowa, wiedział jednak, kiedy trzymać język za zębami. Patrzył, jak Gaby wchodzi na łódź i okrywa bezwładne ciało Czarodziejki kocem. Ułożyła jej głowę na poduszce i w ten sposób miała przydać jej wygląd kogoś śpiącego zupełnie niewinnie i naturalnie. Całe wrażenie jednak prysło, gdy tamta wstrząsnęła się, chrapnęła i skopała koc. Gaby wygramoliła się z powrotem na pomost.

– Lepiej idź na dziób – powiedziała Valiha, gdy Chris dołączył do niej w przeznaczonych im łodzi. Wszedł do środka i usiadł; poszukał wiosła i na próbę zanurzył je w wodzie. Pasowało do jego dłoni idealnie. Podobnie jak wszystkie rzeczy, które

robiły tytanie, było bardzo pięknie wykończone, z postaciami małych zwierząt wyrzeźbionymi w polerowanym drewnie. Poczł kołysanie łodzi, kiedy na pokład weszła Valiha.

– Jak znajdujecie czas, żeby wszystko tak dobrze wykonać? – spytał, pokazując wiosło.

– Jeśli już coś robić – powiedziała Valiha – to robić to pięknie. Zresztą wiele innych rzeczy również robimy inaczej niż ludzie. Nie robimy rzeczy, które można natychmiast wyrzucić. Produkujemy sprzęty w miarę, jak zużywają się stare, a nie na zapas. Tytanie nie znają taśmowej roboty.

Odwrócił się.

– Czy tylko o to chodzi? Odmienny wygłąd? Wyszczrzyła zęby w uśmiechu.

– To oczywiście wszystkiego nie tłumaczy. Pewne znaczenie ma tu również fakt, że w ogóle nie śpimy. Wy, ludzie, trzecią część życia spędzacie, nic nie robiąc, nawet nie myśląc. To straszna strata czasu.

– To musi być bardzo dziwne uczucie. – Wiedział, że nie śpią, ale nigdy się nie zastanawiał, jakie to ma konsekwencje.

– Dla mnie nie. Podejrzewam, że mamy odmienne od was poczucie czasu. Nasz czas jest ciągły. Oczywiście odmierzamy go, ale raczej jako ciągły przepływ niż następujące po sobie kolejne dni.

– Taak... ale co to ma wspólnego z poziomem rzemiosła?

– Po prostu mamy więcej czasu. Nie śpimy, ale czwartą część życia spędzamy na odpoczynku. Siedzimy, śpiewamy, a ręce muszą mieć zajęcie. Trochę się tego nazbiera.

Podróżujący po Ophionie często zwracali uwagę na poczucie beczasowości, jakie dawała rzeka. Ophion był zarówno źródłem, jak i kresem wszelkiej rzeczy na Gai,

kręgiem wód, który wszystko spajał. Wytwarzał aurę starej rzeki, ponieważ sama Gaja czuła się stara.

Ophion był stary, ale i to określenie było względne. Dorównując wiekiem samej Gai, był oczywiście młodzieniaszkiem w porównaniu z wielkimi rzekami Ziemi. Trzeba było również pamiętać, że większość ludzi widziała go tylko na terenie Hyperionu, gdzie rozlewał się szeroko i gdzie bez trudu można było nim podróżować. W innych częściach czterech tysięcy kilometrów swojej długości był tak bystry i kapryśny jak Kolorado.

Chris nastawiał się na bystrą żeglugę. Tak się żeglowało kajakiem: szukało się szybkiego nurtu i walczyło ze spienionymi falami.

– Możesz się spokojnie odprężyć – dobiegł głos z tyłu. – Za szybko się zmordujesz i zaśniesz. We śnie ludzie są straszliwie nudni. Znam dobrze tę część rzeki. Stąd do Aglai nie ma się czego obawiać. Tutaj Ophion jest dobrotliwy.

Położył wiosło na dnie łodzi i odwrócił się. Valiha spokojnie siedziała zaraz za przykrytym brezentem stosem zapasów. Jej wiosło było dwa razy większe niż jego.

Wyglądała na zupełnie rozluźnioną, z wszystkimi czterema nogami podkulonymi pod siebie. Chris mocno zdziwił się tym widokiem. Nie spodziewał się, by istota tak podobna do konia lubiła siedzieć w takiej pozycji.

– Zdumiewacie mnie – powiedział. – Kiedy pierwszy raz zobaczyłem tytanie włączącą na drzewo, myślałem, że mi się przywidziało. Teraz z kolei okazuje się, że jesteście również ludem żeglarskim.

– A mnie z kolei zadziwiają ludzie – odparowała Valiha. – Weźmy choćby rzecz tak zagadkową, jak utrzymywanie równowagi. Kiedy ruszacie do biegu, wpierw padacie przed siebie, a potem wasze nogi próbują nadążyć za resztą ciała. Ciągłe ocieracie się o katastrofę.

Chris roześmiał się.

– A wiesz, że masz rację. W każdym razie w odniesieniu do mnie. – Przyglądał się jej, jak wiosłuje i przez chwilę nie odzywał się, wsłuchany w cichy plusk wody.

Chciałbym jakoś ci pomagać. Chyba powinniśmy zmieniać się przy wiosle, prawda?

Oczywiście. Ja powiosłuję trzy czwarte obrotu, a ty możesz pomachać do jego końca.

– To chyba niezbyt sprawiedliwe?

– Wiem, co robię. To właściwie nie jest praca.

– Ale płyniemy całkiem szybko.

Valiha puściła do niego oko i zaczęła wiosłować naprawdę. Łódź prawie fruwała, odbijając się od wody niczym kamień puszczony kaczką. Pomachała tak jeszcze kilkadziesiąt razy, a później wróciła z powrotem do poprzedniego wypoczynkowego rytmu.

– Mogłabym tak przez cały obrót – powiedziała. – Weź pod uwagę, że jestem od ciebie znacznie silniejsza. A poza tym nie jesteś teraz w formie. Wciągaj się stopniowo, dobrze?

– Chyba masz rację... A jednak mam uczucie, że powinienem coś robić.

– Zgoda, ale na razie oprzyj się i pozwól mi odwalać całą czarną robotę.

Tak też zrobił, wolałby jednak, żeby użyła innego eufemizmu. Dotknęła czegoś, co w skrytości ducha go męczyło.

– Czuję się niezręcznie – powiedział. – Właściwie wszystko sprowadza się do tego, że my, to znaczy... ludzie używają tytanii jako... no więc, jako zwierząt pociągowych.

– Ależ my rzeczywiście możemy uciągnąć znacznie więcej niż wy.

– W porządku, to już wiem. Ale ja nie mam nawet plecaka. I... no cóż, czuję się jakoś niezręcznie, czuję, że cię wykorzystuję, gdy...

– Jazda na mnie cię denerwuje, prawda? – wyszczerzyła zęby w uśmiechu

i wywróciła oczy. – Zaraz zaproponujesz, że od czasu do czasu pójdiesz piechotą, by dać mi odpocząć, co?

– Coś w tym rodzaju.

– Chris, spacer z człowiekiem jest najnudniejszą rzeczą, jaką znam.

– Nudniejszą niż towarzystwo śpiącego człowieka?

– Tu mnie masz. To jeszcze nudniejsze, fakt.

– Wydaje się, że uważasz nas za nieciekawą gatunek.

– Ależ nie, jesteście nieskończenie frapujący. Nigdy się nie wie, co człowiek zaraz zrobi albo z jakiego powodu. Gdybyśmy mieli uniwersytety, najbardziej uczęszczanym kierunkiem byłby Wydział Studiów nad Człowiekiem. Ja jestem młoda i niecierpliwa, jak słusznie powiedziała Czarodziejka. Jeśli chcesz, możesz iść, a ja spróbuję iść wolno. Nie wiem jednak, czy spodoba się to innym.

– Zapomnij o tym – powiedział Chris. – Po prostu nie chcę być dla ciebie ciężarem.

Tylko tyle.

– Nie jesteś – zapewniła go. – Kiedy mnie dosiadasz, moje serce rośnie, a nogi mkną jak wicher. – Patrzyła mu w oczy z dziwnym wyrazem twarzy. Trudno mu go było odczytać, ale poczuł, że musi zmienić temat.

– Dlaczego tu jesteś, Valiha? Dlaczego płyniesz tą łodzią, dlaczego podjęłaś tę podróż?

– Myślisz konkretnie o mnie czy również o innych tytaniach? – Nie czekając na odpowiedź, kontynuowała. – Psalterium jest tutaj, ponieważ jest wszędzie tam, gdzie Gaby. To samo Piszczalka. Co do Obój... przypuszczam, że jest tu dlatego, że Czarodziejka często przyznaje dziecko temu, kto opłynie wielką rzekę.

– Naprawdę? – Roześmiał się. – Zastanawiam się, czy przyzna mi dziecko, gdy wrócę? – Myślał, że to ją rozśmieszy, ale znowu dostrzegł to szczególne spojrzenie. – Nie powiedziałaś jeszcze, dlaczego ty tu jesteś. Jesteś... no, jesteś w ciąży, prawda? – Tak. Chris, naprawdę strasznie mi przykro, że wtedy uciekłam i zostawiłam cię. Mogłam..

– Mniejsza z tym. Już raz mnie przepraszałaś, a poza tym denerwuje mnie, że co chwilę chcesz to robić. Czy w twoim stanie nie powinnaś się oszczędzać?

– To odległa przyszłość. Poza tym to nie jest dla nas jakaś szczególna niewygodna.

A jestem tutaj, ponieważ to wielki zaszczyt pójść z Czarodziejką. A także dlatego, że jesteś moim przyjacielem.

I znowu ten dziwny wyraz oczu.

– Mogę się dołączyć?

Chris z zaskoczeniem podniósł głowę. Nie spał już, ale nie był jeszcze całkowicie rozbudzony. Kolana zeszywniały mu od nie zmienianej od wielu godzin pozycji.

– Pewnie. Wchodź. – Łódź Gaby zbliżyła się do czółna Chrisa i Valihy. Gaby przeszła do nich i usiadła naprzeciw Chrisa. Przechyliła głowę z wyrazem powątpiewania na twarzy.

– Dobrze się czujesz?

– Jeśli chcesz spytać, czy właśnie wariuję, masz najlepszą okazję, żeby się sama przekonać.

– Przepraszam, nie chciałam..

– Nic się nie stało, mówię poważnie. – Chociaż trochę go to zabolalo, przyznał w duchu. Musi kiedyś przestać się z tego tłumaczyć na każdym kroku, bo inaczej straci resztki szacunku dla siebie. – Nigdy nie wiem, kiedy mam to, co lekarze nazywają

atakami. Zawsze wydaje mi się, że zachowuję się zupełnie rozsądnie.

Zrobiła współczujący wyraz twarzy.

– To musi być okropne. To znaczy chcę powiedzieć... Spojrzała w niebo i przez chwilę cicho pogwizdywała sobie.

– Gaby, zamknij swoją niewyparzoną gębę – powiedziała. Znowu na niego spojrzała.

– Nie przyszedłem tu, żeby wprawiać cię w zakłopotanie, niezależnie od tego, jak to może wyglądać. Czy możemy zacząć od początku?

– Cześć! Jak to miło, że wpadłaś.

– Powinniśmy częściej się spotykać! – Gaby uśmiechnęła się promiennie. – Jest parę spraw, które chciałabym ci powiedzieć, a później muszę zmykać. – Ciągłe czuła się niezręcznie, ponieważ złożony oświadczenie, milczała przez parę następnych minut.

Oglądała pilnie ręce, nogi, wnętrze łodzi. Patrzyła wszędzie, tylko nie na Chrisa. –

Chciałabym przeprosić cię za to, co zdarzyło się na pomoście – powiedziała w końcu.

– Przeprosić? Mnie? Myślę, że to nie mnie należą się przeprosiny.

– Oczywiście, nie tobie w pierwszym rzędzie. Nie mogę jednak z nią mówić, póki nie ochłonie. Później pociągnę się do niej albo zrobię, co tylko będzie chciała, żeby to zmazać. Ponieważ... Wiesz, ona ma rację. Niczym sobie na to nie zasłużyła.

– Ja też tak oceniam.

Gaby skrzywiła się, ale spróbowała spojrzeć mu w oczy.

– Właśnie. I w szerszym sensie żadne z was na to nie zasłużyło. Jesteśmy tu razem i wszyscy macie prawo oczekiwać ode mnie lepszej postawy. Chcę, żebyś wiedział, że możesz liczyć na to w przyszłości.

– To mi wystarczy. Zapomnijmy o tym. – Ucisnęła jej rękę. Kiedy ciągle nie odchodziła, pomyślał, że być może należy ten problem potraktować z większą uwagą.

Nie bardzo wiedział, jak zacząć.

– Zastanawiałem się...

Uniosła brwi jakby z ulgą. – No cóż, szczerze mówiąc, czego możemy oczekiwać od Cirocco? Nie tylko Robin jak na razie nie jest zachwycona.

Kiwnęła głową i przegarnęła oburącz swoje krótkie włosy.

– Tak naprawdę to właśnie o tym chciałam pomówić. Chcę, żebyś sobie zdał sprawę, że na razie poznałeś ją tylko z jednej strony. Ale to nie wszystko. W niej jest o wiele więcej.

Nie odezwał się.

– Właśnie. Czego można się spodziewać? Szczerze mówiąc, w ciągu najbliższych kilku dni niewiele. Robin miała rację, kiedy powiedziała, że bagaż Rocky to przede wszystkim alkohol. Większość właśnie przed chwilą wylałam. Trzy dni się męczyłam, żeby jako tako przygotować ją do Karnawału, i zaraz po jego zakończeniu znowu poszła w tango. Kiedy się obudzi, będzie jeszcze gorzej, ale na trochę jej pozwolę. Potem na wszelki wypadek zostawię odrobinę alkoholu w jukach Psalterium.

Pochyliła się i popatrzyła na niego poważnie.

– Wiem, że trudno w to uwierzyć, ale za kilka dni, kiedy przywykniesz do braku picia i kiedy wywietrzą wspomnienia Karnawału, będzie zupełnie w porządku. Teraz masz ją okazję oglądać w najgorszej formie. Kiedy się dobrze czuje, ma więcej biglu niż my wszyscy razem wzięci. Więcej przyzwoitości i współczucia, i... nie ma sensu, żebym ci to opowiadała.

Albo sam się przekonasz, albo zawsze będziesz ją uważać za pijacynę.

– Nie mam zamiaru się uprzedzać – powiedział Chris.

Patrzyła mu w twarz z tą swoją szczególną intensywnością. Czuł, jak każdy gram jej

potężnej energii wwierca się w jego mózg, tak jakby cała jej istota skoncentrowała się na penetracji jego wnętrza. Wcale mu się to nie podobało. Miał uczucie, że Gaby dostrzega rzeczy nawet przed nim ukryte w mrokach podświadomości.

– Jasne – powiedziała w końcu.

Znowu zapadła cisza. Chris czuł, że chce mu coś jeszcze powiedzieć, więc spróbował ją sprowokować.

– Nie znam się na Karnawale – powiedział. – Powiedziałaś: kiedy wywietrzeją wspomnienia Karnawału. Jakie to ma znaczenie?

Oparła łokcie na kolanach i splotła palce.

– A co widziałeś na Karnawale? – Nie czekając na odpowiedź, ciągnęła dalej. – Masę śpiewu, tańca, weselenia się, feerię kolorów, kwiatów, dobrego jedzenia. Turyści byliby tym wszystkim zachwyceni, ale tytanie ich nie dopuszczają. Powód jest prosty: to jest bardzo poważny interes.

– Wiem o tym. Rozumiem, czemu to służy.

– Tak ci się tylko wydaje. Zapewniam cię, że znasz tylko jeden z celów imprezy. To rzeczywiście jest skuteczna metoda kontroli urodzin, której nikt nigdy nie lubił, obojętnie czy to dotyczy ludzi, czy tytanii. To jest dobre dla wszystkich tych głupich ludzi. –

Podniosła brwi, a on kiwnął głową. – Jak sądzisz, jaką rolę odgrywa Czarodziejka w czasie Karnawału?

Zastanowił się przez chwilę.

– Wydawało mi się, że traktuje to poważnie. Nie wiem, jakie były jej kryteria, ale wyglądało, że starannie bada wszystkie propozycje.

Gaby przytaknęła.

– Tak rzeczywiście jest. Wie więcej o rozmnażaniu tytanii niż one same. Jest starsza

od nich wszystkich. Jeździ na te Karnawały od siedemdziesięciu pięciu lat. Na początku jej się to podobało. – Gaby wzruszyła ramionami. – Pewnie, czemu nie. Ona tu na Gai jest rzeczywiście grubą rybą, o czym ani ty, ani Robin nie mieliście się jeszcze okazji przekonać. Na Karnawale czuje się dowartościowana. Każdy tego potrzebuje. Być może jest trochę za bardzo łasa na wyrazy uznania, ale nie mnie o tym sądzić.

Znowu się odwróciła i Chris pomyślał, że jednak jakieś zdanie na ten temat ma.

Zrozumiał, że Gaby należy do tej kategorii ludzi, którzy nie potrafią kłamać w żywe oczy. Za to ją lubił; w końcu to była też i jego cecha.

– Po jakimś czasie jednak zaczęło ją to męczyć. Karnawał to nie tylko radość, ale również i rozpacz. Nie widać tego, bo tytanie oplakują niepowodzenia w samotności. Nie chcę przez to powiedzieć, że ci, których nie wybrano, od razu chcą się wieszać. Nigdy nie słyszałam o samobójstwie tytanii. Mimo wszystko jednak jej decyzje były przyczyną wielu zmartwień i trosk. Ciągnęła to dalej, mimo że już dawno przestało ją to bawić, raczej, no wiesz, z poczucia obowiązku. W końcu jednak, mniej więcej przed dwudziestu laty, stwierdziła, że wypełniła swoją rolę i że nadszedł czas, by tę robotę przekazać komuś innemu. Poszła do Gai i poprosiła o zwolnienie z funkcji. A ona odmówiła. – Przyjrzała mu się uważnie, czekając, by dotarł do niego sens tego, co powiedziała. Wydawało się jednak, że Chris niezupełnie pojmuje. Gaby oparła się o dziób łodzi z rękami splecionymi nad głową. Popatrzyła na płynące po niebie chmury. – Rocky podjęła się tej roboty z pewnymi zastrzeżeniami – powiedziała. – Wiem, bo przy tym byłam. Weszła w nią całkowicie świadomie, tak w każdym razie myślała. Nie wierzyła Gai tak do końca, była przygotowana na jakieś niespodzianki. Zabawne, ale Gaja wywiązała się ze swojej części umowy. Było wiele lat bardzo dobrych. Było też trochę sytuacji niebezpiecznych i trochę naprawdę poważnych kłopotów, ale w sumie były to

najlepsze lata jej życia. Zresztą mojego też. Nigdy nie usłyszysz od nas słowa skargi, nawet w obliczu prawdziwego niebezpieczeństwa, ponieważ wiedziałyśmy, w co się pakujemy, kiedy zdecydowałyśmy się nie wracać na Ziemię. Gaja nie obiecywała nam łatwego życia. Powiedziała, że możemy dożyć bardzo dojrzałego wieku, dopóki będziemy w stanie utrzymać się na nogach. I dotrzymała obietnicy. Nie przejmowałyśmy się upływem lat, ponieważ zupełnie tego nie czułyśmy. – Zaśmiała się z lekką autoironią w głosie. – Trochę przypominałyśmy bohaterów serialu telewizyjnego albo komiksu. Do zobaczenia za tydzień... i to znowu my, ciągle całe, w poszukiwaniu kolejnej przygody. Zbudowałam drogę wokół Gai. Cirocco została porwana przez King Konga i musiała się uwolnić. My... Cholera, każ mi się zamknąć, proszę. Kiedy przychodzisz w gościnę do staruszków, nie unikniesz bajdurzenia.

– W porządku – powiedział Chris, szczerze ubawiony. Jemu również przyszła wcześniej do głowy ta analogia z komiksem. Życie tych dwóch kobiet było tak bardzo odległe od rzeczywistości, jaką znał, że właściwie wydawało się nierealne. A jednak rozmawiał z nią, wiekową i prawdziwą niczym kopniak w tyłek.

– A więc w końcu Rocky się zbuntowała. Figlarka, to był właśnie jej diabelski żart. Powinnyśmy się jednak tego spodziewać. Gaja nie ukrywała, że nigdy niczego nie daje za darmo. Myślałyśmy, że wywiązujemy się dobrze z naszej części umowy, ale ona chciała czegoś więcej. Zaraz ci opowiem, na czym polegało oszustwo. Widziałeś, jak Rocky bierze do ust jajko tytanu? – Chris doskonale pamiętał tę karnawałową scenę, więc kiwnął głową, a ona ciągnęła dalej. – Zmieniło kolor. Zrobiło się przezroczyste jak szkło. Rzecz polega na tym, że faktycznie żadne jajko nie może zostać całkowicie zapłodnione, zanim nie zajdzie w nim właśnie taka zmiana.

– Chcesz powiedzieć: zanim go ktoś nie włoży do ust?

– Prawie trafiłeś. Usta tytanii nie nadają się do tego. To muszą być usta człowieka.

Właściwie to musi to być bardzo szczególny człowiek. Gruczoły ślinowe Rocky zostały tak zmienione, by wydzielać związek chemiczny, który umożliwia tytaniom reprodukcję.

Nie od razu zaczęła pić. Kiedy była młoda, zdarzało jej się wachać kokainę, ale od lat już tego nie robiła. Na jakiś czas wróciła do tego. Wódka była jednak skuteczniejsza, poprzestała więc w końcu na niej. Kiedy zbliża się Karnawał, stara się, jak może, by z tym zerwać. Nic z tego jednak nie wychodzi.

Gaby wstała i dała znak Psalterium, którego łódź posuwała się równolegle w odległości dziesięciu metrów, by się przybliżył.

– To wszystko trochę na marginesie, oczywiście – powiedziała żywo. – Jeżeli ma się ze sobą pijaka w podróży takiej jak ta, ważne jest nie to, dlaczego pije, ale czy komukolwiek na coś się przyda, włączając siebie, jeżeli sytuacja będzie tego wymagać. Mogę cię więc zapewnić, że ona przyda się na pewno, bo gdyby miało być inaczej, nie zaproponowałabym ci wspólnej wyprawy.

– Cieszę się, że mi to wszystko powiedziałaś – odparł Chris. – I przepraszam.

Uśmiechnęła się półgębkiem.

– Nie przepraszaj. Ty masz swoje problemy i my mamy swoje. Ja i Rocky mamy to, czegośmy chciały. Jeżeli nie wiedziałyśmy do końca, w co się pakujemy, to jest to wyłącznie nasza wina.

17. Rozpoznanie

Płynęli już dobre pięć godzin, zanim wreszcie spadł deszcz, którego Gaby się spodziewała. Wyciągnęła peleryny i podała jedną z nich Psalterium. Inni poszli w ich ślady, z wyjątkiem Cirocco, która nadal spała na dnie czółna Piszczalki. Gaby chciała powiedzieć Psalterium, żeby podprowadził łódź, by mogła okryć Czarodziejkę, potem jednak rozmyśliła się. Zawsze pod wpływem pierwszego impulsu miała skłonności do rozpieszczania Rocky, gdy ta była w takim stanie. Musiała jednak pamiętać o tym, co powiedziała Chrisowi. Cirocco musi dbać o siebie sama.

Wreszcie Czarodziejka podniosła głowę i zapatrzyła się w deszcz z taką miną, jak gdyby nigdy w życiu nie widziała czegoś tak trudnego do wytłumaczenia jak woda spadająca z nieba. Podniosła się powoli, oparła o burtę łodzi i zwymiotowała do brązowej wody. Wysięk był ogromny, ale efekt dość mizerny.

Kiedy miała już dość, podczołgała się na środek łodzi, odrzuciła czerwony brezent i zaczęła ryć w zapasach. Jej poszukiwania stawały się coraz bardziej gorączkowe. Z tyłu łodzi siedział Piszczalka, wiosłując równo i nie odzywając się. Wreszcie Czarodziejka przysiadła na piętach i potarła czoło wierzchem dłoni.

Nagle podniosła głowę.

– Gaaabyyyy! – wrzasnęła. Zauważyła tamtą w odległości dwudziestu metrów, po czym zrobiła dwa kroki: jeden na burtę, drugi w wodę. Przez moment wydawało się, że zdąży cofnąć nogę. Wrażenie wywołane było słabym ciężeniem, ale drugi krok pogрузił ją po kolana, a zanim postawiła trzeci, woda zamknęła się jej nad trochę zaskoczoną twarzą.

– Może i jest Czarodziejką – zarechotał Chris – ale na pewno nie jest Jezusem.

– Kto to jest Jezus?

Robin przez chwilę słuchała wyjaśnienia, akurat tyle, by stwierdzić, że nie jest to nic, co by ją mogło zainteresować. Jezus był postacią z chrześcijańskiego mitu, najpewniej założycielem sekty. Umarł przed ponad dwu tysiącami lat, co podobało się Robin najbardziej. Zachowała ostrożność, póki nie wypytała Chrisa, czy on w to wierzy, a kiedy usłyszała, że nie, uznała sprawę za zamkniętą.

Oboje siedzieli na pniu drzewa w sporej odległości od reszty grupy otaczającej Cirocco, która dygotała pod kocem przy huczącym ognisku. Na metalowym trójnogu wisiał poczerniały od płomieni wielki kocioł kawy.

Robin czuła się parszywie. Zastanawiała się, co, na miłość Wielkiej Matki, robi w tej paczce durniów dowodzonej przez Czarodziejkę, która nie umiała sobie nawet porządnie zawiązać sznurowadeł. Albo ta Gaby. Najlepiej nic o niej nie mówić. Cztery tytanie...

Właściwie nawet je polubiła. Obój okazała się wspaniałym gawędziarzem. Robin spędziła na słuchaniu całą pierwszą część podróży, czasami dorzucając coś od siebie, podtrzymując wiarę tamtej w to, że wszystko, co mówi, jest prawdą. Obój pasowałyby do Konwentu, niełatwo ją było nabrać.

Był wreszcie Chris.

Odkładała poznanie go, czując jakąś niezręczność w towarzyskim zbliżeniu się z mężczyzną. Wiedziała już jednak, że wiele z tego, co jej wcześniej opowiadano o mężczyznach, było czystym wymysłem. Przekonała się, że mężczyźni są demonizowani. Nie wyobrażała sobie, by kiedykolwiek mogła czuć się swobodnie w towarzystwie Chrisa, jeżeli jednak mieli tę podróż odbywać wspólnie, przynajmniej powinna starać się lepiej go zrozumieć.

Okazało się jednak, że wcale nie jest to łatwe, i miała o to do siebie wielkie pretensje.

To nie była jego wina. Wydawało się, że jest dostatecznie otwarty. Po prostu nie mogła

się zmusić, by z nim porozmawiać. Rozmowa z tytaniami była o wiele łatwiejsza.

Wydawały się mniej obce od niego.

Zamiast rozmawiać, przyglądała się więc wodzie kapiącej z krawędzi płachty namiotowej, którą zawiesili pomiędzy dwoma drzewami. Pogoda była zupełnie bezwietrzna. Deszcz padał pionowymi strugami równo i mocno, ale na szczęście proste schronienie, które przygotowali, okazało się wystarczające. Ogień ogrzewał kawę i Czarodziejkę, bo w ogóle było dość ciepło, chociaż nie w jakiś nieprzyjemny sposób.

– W pochmurny dzień na Hyperionie ściemnia się znacznie bardziej niż w Kalifornii

– powiedział Chris.

– Naprawdę? Nie zauważyłam.

Uśmiechnął się do niej, nie było w nim jednak żadnej protekcyjności. Również i on sprawiał wrażenie, jakby chciał porozmawiać.

– Światło tutaj jest bardzo zwodnicze – powiedział. – Wydaje się, że jest jasno, ale to tylko dlatego, że oczy się do tego przyzwyczyły. Na Saturn dochodzi tylko około jednej setnej światła, które otrzymuje Ziemia. Kiedy na dodatek większa część tej odrobiny zostaje czymś przesłonięta, różnica staje się zauważalna.

– Nie wiedziałam o tym. Na Konwencie załatwiamy sprawy inaczej. Otwieramy okna na długie tygodnie, żeby uprawy lepiej rosły.

– Nie żartujesz? Chętnie bym coś więcej o tym usłyszał. Opowiedziała mu więc o życiu na Konwencie i przy okazji znalazła jeszcze jedną cechę wspólną kobiet i mężczyzn: zawsze łatwiej było rozmawiać z kimś, kto był dobrym słuchaczem. Robin wiedziała, że nie umie słuchać, i wcale się tego nie wstydziła, ale czuła szacunek dla kogoś, kto tak jak Chris potrafił dać jej odczuć, że skupia całą uwagę na tym, co słyszy, tak jakby naprawdę chłonał to, co miała do powiedzenia. Początkowo ten szacunek,

jakkolwiek dość umiarkowany, przyprawiał ją jednak o zdenerwowanie. Do licha, przecież w końcu to był mężczyzna. Nie bała się już, że będzie się na nią rzucać dwa razy dziennie, ale była jednak trochę zdenerwowana, czując, że bez szczeciny zarostu i tych szerokich barków mógłby – sądząc po wyglądzie lub czynach – być jedną z jej sióstr.

Domyślała się, że wiele spraw dotyczących Konwentu może mu się wydać bardzo dziwnych, choć starannie unikał okazywania tego. Zrazu irytowało ją to. Jak to, jak członek zhierarchizowanego, dziobiącego społeczeństwa może uważać, że jej świat jest zwariowany? Ale kiedy postanowiła być naprawdę sprawiedliwa, musiała przyznać, że wszelkie obyczaje mogą się wydawać dziwne komuś, kto do nich nie przywykł.

– A... te... tatuaże? Czy wszyscy na Konwencie je noszą?

– Tak. Niektórzy mają tego więcej ode mnie, niektórzy mniej. Wszyscy mają

Pentazm. – Potrząsnęła głową, by pokazać wzór wokół ucha. – Zwykle jest umieszczony wokół znaku matki, ale moje łono jest skalane i... – Pytająco zmarszczył czoło. – Ten, jak to Gaby go nazywa... pępek. – Zaśmiała się, rada, że pamięć jej dopisuje. – Co za głupia nazwa! My nazywamy go pierwszym oknem duszy, ponieważ oznacza on najświętszy związek pomiędzy matką i córką. Okna głowy są oknami umysłu. Zostałam oskarżona o herezję, ponieważ umieściłam mój Pentazm na straży umysłu, a nie duszy, ale wybroniłam się przed trybunałem właśnie dlatego, że mam skazę. Okna duszy prowadzą do łona tutaj i tutaj.

– Położyła dłonie na brzuchu i podbrzuszu, a potem pospiesznie je zdjęła, kiedy przypomniawszy sobie różnicę pomiędzy nią a mężczyzną.

– Obawiam się, że nie rozumiem, o jaką skazę chodzi.

– Nie mogę mieć dzieci. To, co mam, przeszłoby na dzieci, w każdym razie tak mówią lekarze.

– Przepraszam. Robin zmarszczyła brwi.

– Nie rozumiem tego obyczaju przeproszania za rzeczy, których się nie zrobiło.

Nigdy nie pracowałeś w Banku Nasienia Semenico w Atlancie, Gab, prawda?

– Chodzi o Georgię – powiedział z uśmiechem. – GE oznacza Georgię. Nie, nie pracowałem.

– Kiedyś być może spotkam tego człowieka. Będzie miał oryginalną śmierć.

– Właściwie nie przeproszałem – powiedział. – Nie w tym sensie. Często mówimy „przepraszam”, żeby okazać współczucie.

– Nie potrzebujemy współczucia.

– W takim razie cofam, co powiedziałem. – Jego szeroki uśmiech był zaraźliwy i po chwili, nie mogąc mu się oprzeć, również się uśmiechnęła. – Bóg jeden wie, że ja sam mam tego wyżej uszu. Zwykle puszczam to mimochodem, chyba że jestem w złym humorze.

Robin dziwiła się, jak on może mówić to tak bez troski. Dziobiący ludzie byli bardzo różni. Niektórym z trudem przychodziło zrozumieć, co to znaczy honor. Inni byli bardzo wrażliwi. Po przybyciu na Gaję musiała znosić zniewagi, których nigdy nie zniosłaby od swoich współplemieńców, a to dlatego, że zakładała, że są to ludzie nieświadomi swych czynów, których na nic więcej po prostu nie stać. Początkowo przypuszczała, że wszyscy są pozbawieni godności własnej, ale na przykład Chris do takich nie należał i jeżeli gotowy był przyjąć bez sprzeciwu wyrazy współczucia, pewnie nie zawsze traktował je jako naruszenie jego samodzielności i samowystarczalności.

– Często oskarżano mnie o złośliwość – przyznała. – To znaczy moje siostry tak uważały. Czasami możemy przyjąć współczucie bez utraty twarzy, tak długo, jak długo nie staje się ono czymś protekcyjnym.

– A więc przyjmij moje współczucie – powiedział. – Współczucie, jakie ktoś, kto cierpi, żywi dla cierpiącego.

– Przyjmuję.

– A co oznacza słowo „dziobiący”?

– Pochodzi od naszego słowa, którym zastępujemy wasze... Lepiej o tym nie mówmy.

– W porządku. Dlaczego chcesz zabić tego człowieka z Georgii?

Ku swemu zaskoczeniu rozgadała się na temat krzywdy, jaką jej wyrządzono, przyczyn, dla których ktoś to uczynił, a to z kolei prowadziło do wyjaśnienia „dziobiącej” struktury władzy i sposobu jej funkcjonowania. Zdawała sobie sprawę z tego, że mówi do kogoś, kto stanowi część tej struktury. Była dziwnie zakłopotana. Opowiadała dość okropne rzeczy, a poza tym ten człowiek osobiście nic jej nie zrobił. Czy to miało jakieś znaczenie? Nie była już teraz taka pewna.

– Myślę, że przynajmniej rozumiem teraz, co oznacza „dziobiący” – powiedział.

– Nie miałam zamiaru cię o nic oskarżać – odparła. – Jestem pewna, że widzisz to inaczej, bo zostałeś inaczej wychowany, a więc...

– Nie bądź tego taka pewna – powiedział. – Nie należę do żadnego wielkiego, tajnego sprzysiężenia, rozumiesz. Jeżeli nawet istnieje coś takiego, nikt mnie nie zaprasza na spotkania. Myślę, że ty... że ten twój Konwent oparty jest na przestarzałym obrazie świata. Jeżeli dobrze cię rozumiem, sama byłabyś skłonna częściowo się z tym zgodzić. Wzruszyła ramionami. Miał rację, częściowo.

– W czasie, kiedy twoja grupa odseparowała się od reszty rodzaju ludzkiego, sprawy mogły wyglądać rzeczywiście tak, jak je odmalowałaś, i faktycznie nie był to widok zachęcający. Mówiono mi jednak, że od tamtych czasów nastąpiła znaczna poprawa. Nie

chcę przez to powiedzieć, że wszystko jest już doskonałe. Nic nie może być doskonałe.

Jednak większość kobiet, jakie znam, czuje się szczęśliwa, są przekonane, że nie zostało już wiele spraw, o które trzeba walczyć.

– Lepiej nie rozwijaj tej myśli – ostrzegła Robin. – Większość kobiet zawsze była szczęśliwa w świecie takim, jakim on jest, albo przynajmniej tak mówiły. To się wywodzi jeszcze z czasów, kiedy kobiety nie miały prawa głosu. Z tego, że w Konwencie wierzymy w pewne rzeczy, które jak teraz wiem, są już nieaktualne albo wymagają korekty, nie powinieneś wyciągać wniosku, że jesteśmy kupą głupców.

Wiemy, że większość zawsze pragnie pozostawić rzeczy takimi, jakie są, i niczego nie zmieniać, póki im nie pokażą czegoś lepszego. Niewolnik przeważnie nie jest uszczęśliwiony swoim losem, ale większość niewolników nie robi niczego, by ten los poprawić. Większość nie wierzy po prostu, by w ogóle możliwa była jakakolwiek poprawa.

Rozłożył ręce, wzruszając ramionami.

– Tu mnie dopadłaś. Nawet nie zauważam ucisku, ponieważ jestem kimś do tego przyzwyczajonym. Jak sądzisz? Jak to dla ciebie wygląda, jak rodzaj przybysza z obcej planety?

– Prawdę mówiąc, jest znacznie lepiej, niż się spodziewałam. W każdym razie na zewnątrz. Muszę się pozbyć wielu uprzedzeń.

– To bardzo dobrze! – powiedział. – Większość ludzi prędzej umrze, niż porzuci uprzedzenia. Kiedy Gaby powiedziała mi, skąd pochodzisz, spodziewałem się po tobie wszystkiego, tylko nie otwartego umysłu, ale co sądzą... no, dziobiące kobiety?

Robin miała mocno mieszane uczucia. Szczególnie denerwujący był fakt, że to, co mówił o otwartym umyśle, odebrała jako komplement i było jej miło z tego tytułu. I to

pomimo kontekstu, w jakim to powiedział, który mógłby być uznany za obrazę

Konwentu. Zamknięta, izolowana grupa, taka jak mu ją opisała Gaby, powinna być fanatycznie przywiązana do swoich przekonań. Konwent nie był takim światkiem, ale trudno było mu to wytłumaczyć. Robin nauczyła się przyjmować świat takim, jakim był, takim, jakim go postrzegała bez wprowadzania matactwem dodatkowych czynników, które sprawiłyby, że świat ten zgodzi się z równaniem czy nawet z doktryną.

Łatwo było pozbyć się przeświadczenia, że mężczyźni mają metrowe penisy i że cały czas spędzają na gwałceniu kobiet albo na ich sprzedaży czy zakupie. (Co do tego ostatniego brak było jeszcze dowodów, jeżeli jednak coś takiego miało miejsce, należało do tej sfery stosunków społecznych, której nie miała jeszcze sposobności obserwować).

Musiała się pogodzić z istnieniem niepokojącej kategorii: mężczyzny – osoby, istoty ludzkiej, której działania nie są wyznaczone wyłącznie przez testosteron, przez gruczoły, czegoś więcej niż napastliwy penis, osoby, z którą można rozmawiać, która może nawet zrozumieć czyjś punkt widzenia. Konsekwentnie rozwijając tę myśl, doszła do możliwości, która prawie nie mieściła się jej w głowie: mężczyzny jako siostry.

Otrząsnąwszy się z zamyślenia, spróbowała odpowiedzieć na pytanie.

– „Dziobiące” kobiety? Oj, naprawdę nie wiem. Spotkałam kobietę sprzedającą swoje ciało, która mnie przekonywała, że nie należy tak na to patrzeć. Nie mam pojęcia o pieniądzach, więc naprawdę nie potrafię powiedzieć, czy miała rację, czy nie. Gaby i Cirocco zupełnie się nie nadają do wyjaśnienia tej materii. Jak dobrze wiesz, mają znacznie mniej styczności ze społeczeństwem ludzkim niż ja. Muszę powiedzieć, że nie znam na tyle waszej kultury, by zrozumieć rolę, jaką w niej odgrywają kobiety.

Znowu pokiwał głową.

– A co masz w torbie? – spytał dość niespodziewanie.

– Mojego demona.

– Mogę go zobaczyć?

– To pewnie nie jest... – Ale on już otworzył worek. Trudno, pomyślała. Sam sobie winien. Ukąszenie Nasu było bolesne, ale niezbyt niebezpieczne.

– Wąż! – krzyknął. Zachwycony, sięgnął do torby. – Pyton... nie, anakonda. Jeden z najpiękniejszych, jakie zdarzyło mi się spotkać. Jak on... ona ma na imię?

– Nasu. – Żałowała, że nic więcej nie może wykrztusić, i zapagnęła, by Nasu ugryzła go i skończyła tę zabawę. Wtedy elegancko go przeprosi. Skąd tamten ma wiedzieć, że Nasu nie pozwala się dotykać nikomu z wyjątkiem Robin?

Chris zabrał się jednak do zwierzaka bardzo poprawnie, z należytych szacunkiem, i – niech to diabli – już sobie go owinał dookoła ramienia.

– Znasz się na węzach.

– Miałem kilka. Przez rok pracowałem w ZOO, wtedy, kiedy jeszcze mogłem pracować. Pasujemy do siebie.

Kiedy po pięciu minutach wąż nadal nie kwapił się do kąsania, musiała mu przyznać rację. Widok Chrisa siedzącego sobie z jej demonem owiniętym wokół ramienia denerwował ją niesamowicie. Co miała zrobić? Głównym zadaniem demona było ostrzeżenie przed wrogami. W cichości ducha dopuszczała do siebie myśl, że trzecie Oko rzekomo zapewniające nieomyślność to też bujda. Był to rodzaj tradycji i nic więcej. Nie żyła w epoce kamiennej.

Gdzieś głębiej jednak jakaś jej cząstka patrzyła teraz na Chrisa i węża w pełnym pomieszaniu.

18. Na jawie

Gaby miała nadzieję dotrzeć do Aglai bez rozbijania obozu, okazało się jednak, że się przeliczyła. Nie pozwalał na to stan Cirocco.

Właściwie nie szło im nawet źle. Tytanie wiosłowały rytmicznie, dowożąc ich do miejsca, gdzie rzeka po raz ostatni skręcała na północ, by wrócić na wschód. Płytki brzeg, usiany wyrzuconymi przez nurt kawałkami drewna, tworzył dogodne plaże dla przybijania czółen. Powyżej niewysokiego urwiska rosły drzewa i tam właśnie tytanie urządziły obóz, a Chris i Robin, mimo najlepszych chęci, bardziej przeszkadzali, niż pomagali.

Gaby oceniła, że deszcz może jeszcze padać kilka dekaobrotów. Mogła się skontaktować z Gają i upewnić się, a nawet – jeśli powód byłby dostatecznie ważny – poprosić, by przestał padać. Nie było to jednak potrzebne, ponieważ zmiany pogody i tak następowały na Gai z dużą regularnością. Wiele razy była już świadkiem trzydziestogodzinnego deszczu, który następował po fali upałów trwających dwa hektoobroty, i wszystko wskazywało na to, że i tym razem będzie to typowy przypadek. Niebo zaciągnięte było nieprzerwanym pasmem niskich chmur.

Na północnym zachodzie widziała Pole Wiatrów, zakończenie ukośnego kabla podtrzymującego, zwanego Schodami Cirocco, położone na terenie Hyperionu. Kabel znikał w warstwie chmur, przebijał ją i wznosił się jeszcze wyżej gdzieś na północy. Wydawało się jej nawet, że dostrzega odbłask spoza chmur, tam gdzie kabel odbijał światło, rozjaśniając swój potężny cień.

Schody Cirocco. Uśmiechnęła się krzywo do siebie, ale bez śladu gorczy. Niemal nikt już nie pamiętał, że pierwszego przejścia dokonały pewne dwie osoby. To ją nie martwiło. Wiedziała, że jeśli nie liczyć drogi transgajańskiej, nie zaznaczyła się na tym

zwariowanym świecie nawet częścią tych dokonać, które stały się udziałem Cirocco.

Wspinała się na wysoki brzeg i przyglądała się z rozbawieniem, jak Chris i Robin próbują być użyteczni. Tytanie były zbyt grzeczne, by odmówić pomocnej dłoni, stąd też roboty, które mogły być wykonane w pięć minut, przeciągały się do piętnastu. Było to jednak pożyteczne doświadczenie. Chris nie wspominał o swoim pochodzeniu, ale bez wątpienia był mieszczuchem, jeśli nie liczyć kilku wycieczek w ziemską, ucywilizowaną dzicz. Robin pochodziła z hipermiasta, czego nie zmieniała obecność w Konwencie malowniczych upraw i trzody. Być może w całym swoim życiu nie widziała niczego, co rosłoby i rozwijałoby się na dziko, bez planu.

Kiedy jednak przyszło do gotowania, tytanie zaparły się wszystkimi czterema nogami i przegoniły młodych ludzi. Tytanie gotowały niemal tak samo dobrze jak śpiewały. Teraz przeszukały systematycznie bagaże, wybierając kawałki, które najszybciej mogły się popsuć i które musiały być szybko zjedzone. Rozpały ogień, okładając go płaskimi głazami. Potem wyciągnęły mosiężną zastawę i rozpoczęły swoje magiczne zabiegi, które pozwalały im z surowego mięsa i ryb wyczarować kulinarne cuda.

Wkrótce w powietrzu zaczęły się rozchodzić smakowite zapachy. Gaby rozsiadła się wygodnie, rozkoszując się nastrojem oczekiwania. Dawno już nie czuła się równie szczęśliwa. Przypominała sobie znacznie prostsze wspólne posiłki sprzed wielu lat, kiedy zmordowane i poturbowane, nie wiedząc, czy przeżyją kolejny dzień, były z Cirocco tak blisko. Dziś wspomnienia te były zaprawione goryczą, żyła jednak dostatecznie długo, by wiedzieć, że aby przeżyć, przede wszystkim trzeba zachowywać w pamięci dobre wspomnienia. Mogłaby tak jeszcze rozmyślać, co poszło nie tak od tamtych dni, mogła martwić się o Cirocco, która nadal rzygała w namiocie, kombinując, jak się dorwać do

gorzałki w sakwach Psalterium. Postanowiła jednak wdychać zapach dobrego jedzenia, słuchać kojącego dzwonienia deszczu przemieszanego ze śpiewem tytanii i nadstawić twarz na długo oczekiwany chłodny powiew od wschodu.

Miała obecnie sto trzy lata i wybierała się w podróż, z której, podobnie jak z wielu wcześniejszych wypraw, mogła nie wrócić żywa. Na Gai nie było ubezpieczenia na życie, nawet dla Czarodziejki. Na pewno nie dla takiego jak ona nie kończącego się pasma kłopotów, które Gaja tolerowała tylko dlatego, że mogła na niej bardziej polegać niż na Cirocco.

Perspektywa śmierci nie budziła w niej niepokoju czy lęku. Przeżyje i będzie żyć dalej. Był czas, kiedy wiek, do jakiego doszła, był zupełnie nie do pomyślenia, teraz jednak wiedziała, że stulatki są w środku zawsze młode, a ona miała jeszcze i to szczęście, że wyglądała i czuła się młodo. Czuła się, jakby miała szesnaście lat i wędrowała po Górach San Bernardino z własnej roboty teleskopem i kuchnią na plecach, czekając, aż niebo pociemnieje i pojawią się gwiazdy. Czegóż więcej chcieć od życia?

Wiedziała, że w przyszłości nie stanie się już dużo mądrzejsza. Nie liczyła na to, teraz wiedziała, że wraz z wiekiem rośnie doświadczenie, wiedza, horyzonty, wiele rzeczy można – zdawałoby się – gromadzić w nieskończoność, ale osiąga się jednak pewien pułap mądrości. Nie spodziewała się, by po skończeniu drugiej setki lat miała się jakoś szczególnie zmienić. Trochę się tym przejmowała, gdy dobiegała osiemdziesiątki, ale potem machnęła ręką. Wystarczały z powodzeniem troski dnia powszedniego.

Dzień, który właśnie dobiegł końca, niósł tylko jedną troskę.

Popatrzyła na Robin krzątającą się koło ognia i głęboko westchnęła.

Posiłek odpowiadał normalnym, wysokim standardom kulinarnym tytanii z jednym

kwaśnym – dosłownie – wyjątkiem. Tytanie niekiedy używały bardzo mocnej przyprawy, uzyskiwanej z mielonych i odpowiednio preparowanych nasion błękitnego owocu wielkości arbuza. W języku tytanii miał on swoją elegancką nazwę, jednakże ludzie powszechnie nazywali go hipercytryną. Przyprawa była biała i ziarnista... Do przyprawienia dowolnej potrawy wystarczało najwyżej kilka jej ziarenek.

Kiedy posiłek był już prawie gotowy, Psalterium nagle odwrócił się i wypluł na ziemię porcję warzyw. Przez chwilę jego usta były zbyt ściągnięte, by mógł wydobyć z siebie głos i zaspokoić ciekawość pozostałych. Wyciągnął łyżkę, a Valiha umoczyła w niej koniuszek języka. Sądząc po minie, ona również nie była zachwycona smakiem. Po krótkim śledztwie okazało się, że skórzana torba oznakowana jako zawierająca sól, w rzeczywistości zawierała koncentrat hipercytrynowy. Torbę kupowała Obój. Burzliwa dyskusja w gronie czterech tytanii wykazała, że sprzedawca – zreformowany tequilaholik imieniem Kithara – postanowił z jakiegoś powodu zrobić kawał Grupie Czarodziejki.

Żadna z tytanii nie uznała go jednak za zabawny. Gaby uznała całą sprawę za błażostkę, chociaż trzeba było wyrzucić garnek warzyw. Mieli przecież jeszcze masę dobrej soli. Kontrola innych pakunków nie wykazała innych zamian. Tytanie uważały jednak, że niszczenie dobrej żywności jest ciężkim grzechem. Nie rozumiały, dlaczego Kithara to zrobił.

– Już ja dopilnuję, żeby to z niego wydobyć po powrocie – przysięgał Psalterium ponuro.

– Ja też się dołożę – zawtórowała mu Valiha.

– O co tyle szumu? – dopytywała się Gaby. – To był w końcu nieszkodliwy kawał.

Wiecie, ludzie, czasami wydajecie mi się trochę ponurawi. Miło usłyszeć, że stać was na

żarty.

– Nie chodzi nam o żart – powiedziała Obój. – Lubię żarty jak każdy, ale ten był...
w złym guście.

Chociaż proces starzenia ją ominął, jedna rzecz się jednak zmieniła. Na starość potrzebowała mniej snu niż dawniej; na ogół wystarczały jej dwie godziny na dwadzieścia. Zdarzało jej się nawet bez uszczerbku dla zdrowia nie spać przez 60 czy 70 obrotów.

Tytanie twierdziły, że staje się do nich z każdym dniem bardziej podobna i wkrótce zupełnie porzuci ten niesmaczny obyczaj.

Obojętnie jaka była tego przyczyna, postanowiła obyć się bez snu w czasie tego biwaku. Wstała i przeszła się nad rzekę, a kiedy wróciła, nad obozowiskiem zalegała już cisza, zakłócona tylko mruzcankami śpiewanymi przez odpoczywające tytanie.

Rozłożyły się wokół ogniska; cztery nieprawdopodobnie giętke, komiczne zjawy, z rękami zajętymi nieważnymi robótkami; rozmarzone i spokojne. Valiha leżała na boku, opierając się na łokciu. Obój spoczywała na plecach, ułożywszy swój ludzki korpus równo z zresztą ciała i z podkulonymi nogami, niczym piesek pokojowy, kiedy prosi, żeby go podrapać po brzuszku. Gaby oceniała tę pozę tytanii jako zdecydowanie najzabawniejszą z możliwych.

W odpowiednim oddaleniu od ognia stały wśród drzew cztery namioty. Przeszła obok swojego, który teraz był pusty. W drugim niespokojnie spała Cirocco. Wcześniej wlała w siebie dwa solidne drinki i morze kawy. Gaby wiedziała, że to wcale nie kawa sprawia, że Czarodziejka rzuca się i przewraca z boku na bok.

Zatrzymała się przy namiocie Chrisa. Wiedziała, że zagłądanie do środka może wyglądać na szpiegowanie, ponieważ nie miała do niego żadnego interesu. Przeszła więc

do następnego. Przez chwilę czekała, aż dobiegną ją odgłosy ruchu ze środka.

– Czy mogę z tobą chwilę pomówić?

– Kto tam? Gaby?

– Tak.

– Tak myślałam. Wejdz.

Robin siedziała na śpiworze ułożonym na grubej wyściółce z mchu, który przyniosła Obój. Gaby zapaliła lampę zwieszającą się z sufitu i zobaczyła, że oczy Robin błyszczą z ożywienia, ale bez szczególnej złości. Była odziana w strój, który nosiła cały dzień.

– Przeszkadzam ci? Robin potrząsnęła głową.

– I tak nie śpię – przyznała. – Pierwszy raz w życiu nie mam łóżka do spania.

– Obój będzie szczęśliwa, jeśli będzie ci mogła przynieść jeszcze trochę mchu.

– To nie o to chodzi. Myślę, że się po prostu przyzwyczyłam.

– Być może lepiej byś się czuła w czymś luźniejszym. Robin pokazała misternie zdobioną koszulę nocną, którą przygotowała Obój.

– To nie w moim stylu – powiedziała. – Jak można w czymś takim spać? To się nadaje tylko na wystawę.

Gaby zaśmiała się, a potem przykucnęła i zaczęła dłubać coś na podłodze. Podnosząc głowę, napotkała wzrok Robin. Dalej, wyrzuć to wreszcie z siebie – pomyślała Robin.

Wiem, że nie przyszedłeś tu po to, żeby sprawdzić, czy nie potrzebuję świeżej zmiany ręczników.

– Myślę, że przede wszystkim powinnam cię przeprosić – powiedziała. No więc przepraszam. Żałuję tego, co zrobiłam. Nie było po temu żadnego powodu, przepraszam.

– Przeprosiny przyjęte – powiedziała Robin. – Ale ostrzeżenia nie wycofuję.

– W porządku. Rozumiem. – Gaby dobierała słowa, jak tylko mogła najostrożniej.

Należało się coś więcej niż przeprosiny, ale musiała być pewna, że nie zostanie to odebrane jako ton protekcyjnalny.

– To, co zrobiłam, było błędem nie tylko w świetle zasad mojej, ale i twojej kultury – powiedziała. – Przeprosiny dotyczyły pogwałcenia przeze mnie własnego kodeksu moralnego. Opowiadano mi o jakimś obowiązującym was, czarownicy, systemie zobowiązań, ale wyleciała mi z głowy jego nazwa.

– Labra – powiedziała Robin.

– O, właśnie. Nie będę udawała, że rozumiem, o co tam chodzi. Myślę jednak, że na pewno i ten system pogwałciłam, chociaż nawet nie jestem pewna, w jaki sposób. Teraz potrzebuję twojej pomocy. Czy jest jakiś sposób, żeby między nami znów było wszystko w porządku? Czy mogę zrobić coś, co mogłoby sprawić, że uznamy całą sprawę za niebyłą?

Robin zmarszczyła brwi.

– Nie sądzę, żebyś chciała na to pójść...

– Ależ tak, chcę to naprawdę zrobić. Czy jest coś takiego?

– Taak. Ale...

– Co?

Robin zamachała rękami.

– Tak jak to się odbywa w każdej prymitywnej kulturze. Pojedynek. Sam na sam.

– Jaka stawka? – spytała Gaby. – Śmierć?

– Nie jesteśmy aż tacy prymitywni. Celem jest zgoda, a nie morderstwo. Gdybym sądziła, że potrzebujesz mordy, to po prostu bym cię zatłukła i potem bym się martwiła, czy moje siostry wesprą mnie przed trybunałem. Będziemy walczyć gołymi rękami.

Gaby zastanowiła się.

– A co będzie, jak wygram?

Robin wydała westchnienie pełne rezygnacji.

– Nie rozumiesz. Nieważne, kto zwycięży, nie o to chodzi. Nie będziemy próbowały udowodniać, która z nas jest lepszą kobietą. Walka ma tylko pokazać, która z nas jest silniejsza i szybsza, a to nie ma nic wspólnego z honorem. Godząc się na walkę bez dążenia do zabicia drugiej, uznajemy się wzajemnie za honorowych przeciwników. –

Przerwała i przez chwilę miała niemal minę figlarną. – Nie przejmuj się – powiedziała. –

Na pewno nie wygrasz.

Gaby powściągnęła uśmiech i jeszcze raz pomyślała, że lubi to dziwne dziecko.

Bardziej niż kiedykolwiek zapragnęła mieć ją przy sobie w trudnych chwilach.

– A więc jak? Warto ze mną walczyć?

Robin długo zwlekała z odpowiedzią. Od chwili, gdy padła propozycja walki, Gaby

przychodziły do głowy różne myśli. Zastanawiała się, czy Robin myśli teraz o tym

samym. Czy ma pozwolić Robin wygrać? Mogłoby to być ryzykowne, gdyby tamta

zaczęła podejrzewać, że Gaby nie bije się na serio. A jeśli Robin przegra, czy

rzeczywiście zakopie topór wojenny? Gaby musiała wziąć to, co mówiła tamta, za dobrą

monetę. Sądziła, że rozumie małą wiedźmę dostatecznie dobrze, by wiedzieć, że jej

koncepcja honoru nie pozwoli jej tego zasugerować, gdyby nie spisała się tak, jak to

zapowiedziała. Walka będzie więc poważna i prawdopodobnie bolesna.

– Jeśli tego naprawdę chcesz – powiedziała Robin.

Robin zdjęła ubranie i Gaby poszła w jej ślady. Do rzeki miały pół kilometra. Z tej

odległości obozowe ognisko było ledwie widoczne w strugach lejącego deszczu. Na

miejsce walki wybrały płytkie obniżenie w pagórkowatym terenie. Trawa rosła tu dość

skąpymi kępkami, ale ziemia była dostatecznie ubita; spieczona słońcem, dopiero teraz

zaczęła podmakać po sześciu godzinach ciągłego deszczu. Nie było to najlepsze oparcie dla nóg. Gdzieś tam stały kałuże i błoto.

Spojrzały na siebie i Gaby zmierzyła przeciwnika. Były niemal tego samego wzrostu.

Gaby była kilka centymetrów wyższa i o kilka kilogramów cięższa.

– Czy powinniśmy przestrzegać jakichś form? Jakiegoś rytuału?

– Tak, ale to skomplikowana sprawa, a dla ciebie i tak nic to nie znaczy, więc możemy się bez tego spokojnie obejść. Membo, jumbo i alagazm, ty kłaniasz się mnie, ja tobie i uznajemy, że dopełniłyśmy rytuału, dobra?

– Prawidła?

– Co? Och, pewnie jakieś reguły powinny być, prawda? Tylko że ja naprawdę nie wiem, na ile się znasz na walce.

– Umie zabić gołymi rękami – powiedziała Gaby.

– Powiedzmy sobie w takim razie, że żadna z nas nie uczyni niczego, co mogłoby przeciwnika narazić na trwałe kalectwo. Przegrana musi być zdolna do poruszania się jutro o własnych siłach. Poza tym, wszystko dozwolone.

– W porządku. Zanim zaczniemy, powiedz mi, co oznacza ten tatuaż na brzuchu. Po co ci to? – Wskazała na talię Robin.

Mogło być lepiej – Robin powinna raczej patrzeć na siebie niż na rękę Gaby – ale kiedy Gaby wymierzyła kopniaka stopą, którą starannie ulokowała w błotnistej kałuży, Robin stała trochę niepewnie. Robin zrobiła unik, ale pacyna błota klapnęła jej z boku na twarz, zaklejając jedno oko.

Gaby spodziewała się, że tamta odskoczy, i była przygotowana, by to wykorzystać, ale Robin miała trochę szybszy refleks i kopnęła Gaby w bok. To przyhamowało ją na tyle, że teraz Robin mogła zrobić swój zaskakujący ruch.

Odwróciła się i puściła pędem.

Gaby ruszyła za nią, ale do tej taktyki nie była przyzwyczajona. Ciągle spodziewała się podstępu i dlatego nie biegła w takim tempie, na jakie było ją stać. Po chwili Robin odsądziła się na wygodną odległość. Kiedy miała dziesięć metrów przewagi, zatrzymała się i odwróciła z okiem znowu szeroko otwartym. Gaby sądziła, że tamta nie będzie widzieć tak dobrze jak przedtem, ale deszcz spłukał błoto z oka Robin. Gaby była pod wrażeniem. Kiedy ruszyła na młodszą przeciwniczkę, zrobiła to z zachowaniem wszelkiej ostrożności.

Miała uczucie, że zaczynają od nowa. Gaby, która rzadko toczyła walkę w tym stylu, czuła, że tamta ma przewagę. Ćwiczyła się w dawnych latach i chociaż jeszcze nie zardzewiała, nie bardzo pamiętała, co na tych lekcjach robiła. W ciągu ostatnich trzydziestu lat toczyła wyłącznie poważne walki, to znaczy takie, w których zawsze mogła stracić życie. Dla Robin natomiast takie starcia stanowiły prawdopodobnie chleb powszedni; sama jej osobowość musiała jej pewnie dostarczać wystarczająco wiele okazji.

Na dobrą sprawę nie było powodu, by walka trwała dłużej niż kilka minut, nawet bez użycia pięści. Gaby jakoś nie myślała, że tak to się potoczy. Zbliżając się zaryzykowała i wstrzymała się od ciosu czy kopniaka, zostawiając tamtej inicjatywę. Gaby liczyła, że złapie ją na błędzie i umiejętnie to wykorzysta. Przeliczyła się jednak i obie wzięły się za bary. Porozumiały się bez słów. Formalizując walkę dalej, niż tego wymagały uzgodnione reguły, Robin dawała do zrozumienia, że nie chce, by któraś z nich doznała bólu. Oznaczało to, że Gaby była honorowym przeciwnikiem, który nie zasługuje na to, by mu zadawać ból.

Trwało to dość długo. Gaby zrozumiała, że ten sposób walki pozbawia ją wszelkiej

przewagi, jaką miała na początku. Nie dbała o to. Wiedziała, że przegra, ale walczyła całym sercem. Robin musi poczuć, że to nie przelewki.

– Dosyć! – wrzasnęła Gaby. – Wujku, ciociu i wszyscy kuzynkowie!

Robin zwolniła chwyt i ból, który przeszył bark Gaby, stopniowo zelżał. Podniosła głowę z błota i ostrożnie przewróciła się. Zaświtała jej nadzieja, że któregoś dnia znowu będzie władała ręką.

Robin siedziała z głową między kolanami, dysząc jak maszyna parowa.

– Dwa do trzech? – poddała Gaby.

Robin zaczęła śmiać się głośno i bez opamiętania.

– Gdybym przez chwilę sądziła, że mówisz poważnie – wykrztusiła wreszcie – związałabym cię i trzymała w klatce. Ale wtedy pewnie przegryzłabyś kraty.

– Parę razy mało brakowało, prawda?

– Nigdy nie wiadomo.

Gaby zastanawiała się, dlaczego tak dobrze się czuje, zważywszy, że bołą ją wszystkie kości. Podejrzewała, że musi to być coś w rodzaju euforii maratończyka, owo totalne odprężenie, które przychodzi po wysiłku angażującym wszystkie siły. Poza tym była cała. Owszem, miała trochę zadrapań, ramię też na razie było zdrętwiałe, ale była obolała przede wszystkim z samego wysiłku, a nie od ciosów.

Robin powoli podniosła się i wyciągnęła rękę.

– Chodźmy do wody, trzeba się umyć.

Gaby przyjęła pomoc i zdołała się jakoś podnieść. Robin trochę utykała, ale Gaby też posuwała się chwiejnie, więc przez pierwsze sto metrów podtrzymywały się wzajemnie.

– Naprawdę chciałam cię spytać o ten tatuaż – powiedziała Gaby, kiedy dotarły do brzegu.

Robin przetarła dłonią brzuch, ale bez rezultatu.

– Teraz nie widać, za dużo błota. Spodobał ci się? Gaby chciała powiedzieć coś uprzejmego i niezobowiązującego, ale się rozmyśliła.

– Myślę, że to jedna z najbardziej szkaradnych rzeczy, jakie w życiu widziałam.

– Dokładnie. Daje za to dużo labry.

– Możesz to wyjaśnić? Czy wszystkie czarownice tak się oszpecają?

– Tylko ja. W tym właśnie tkwi labra.

Ostrożnie zeszły do wody i usiadły. Deszcz ustał; w powietrzu unosiła się tylko delikatna mgiełka, a na północy pojawiła się nawet przerwa w pokrywie chmur, przez którą sączyła się odrobina światła.

Gaby nie widziała teraz tatuażu, ale nie potrafiła przestać o nim myśleć. Był groteskowy, niemal przerażający. Odtworzony na podobieństwo rysunku z atlasu anatomicznego, przedstawiał porozcinane tkanki, odchyłone z chirurgiczną precyzją i odsłaniające znajdujące się pod spodem organy. Jajniki przypominały zepsute owoce rojące się od robaków. Jajowody były poskręcane w węzły. Najgorszy był obraz macicy. Była napuchnięta, wylewała się z wyrysowanego nacięcia, krew ciekła z poszarpanej rany. Było oczywiste, że uszkodzenie nastąpiło od środka, zupełnie jakby coś wyrwało się przemocą z tego łona. W środku błyszcząły czerwone, złe oczy.

Podczas powrotu po ubrania znowu zaczęło solidnie padać. Kiedy Robin upadła, Gaby nie zdziwiła się za bardzo, ponieważ grunt był śliski, a obie szły jeszcze niepewnie, obolałe po walce. Kiedy jednak tamta upadła po raz czwarty, Gaby pomyślała, że coś jest nie tak. Dziewczyna zataczała się, drżąc i zaciskając szczęki.

Może ci pomogę – powiedziała w końcu Gaby, nie mogąc tego dłużej znieść.

– Nie, dziękuję. Dam sobie radę.

Po chwili po raz kolejny upadła i nie podnosiła się. Ręce i nogi drżały powolnym rytmem, niezbyt gwałtownie; spojrzenie znieruchomiało. Gaby uklękła i położyła jej rękę pod kolana, drugą pod plecy.

– Nnnn...iee. Nniee.

– Co? Bądź rozsądna, przyjaciółko. Nie mogę cię zostawić na tym deszczu.

– Mmmomomożesz... Tatak... Zosstaw mmmnie...

To dopiero był problem. Gaby położyła ją i stała nad nią, drapiąc się w głowę.

Spojrzała w stronę ogniska, teraz znacznie bliższego, a potem znowu na Robin.

Znajdowały się na niewysokim pagórku, nie groziło im więc zalanie w razie przyboru wód rzeki. Trudno byłoby również utonąć w deszczu. W tej części Hyperionu nie było drapieżników, których można by się na serio obawiać, chociaż mniejsza zwierzyzna mogłaby trochę pokąsać.

Trzeba się tym będzie zająć. Trzeba z tym coś potem zrobić. Gaby odwróciła się i ruszyła w stronę obozu.

Kiedy Gaby wróciła sama, Obój wstała zaniepokojona. Gaby pamiętała, że tytania widziała, jak odchodzą razem. Najpewniej wiedziała również po co. Gaby uspokoiła ją, zanim ta zaczęła wyciągać wnioski.

– W porządku. Nic jej nie będzie, przynajmniej tak sędzę. Ma atak i nie chce, bym jej pomagała. Weźmiemy ją, kiedy będziemy ruszali. Gdzie idziesz?

– Przyniosę ją do namiotu, to chyba oczywiste.

– Nie spodoba jej się to. Obój wyglądała na wściekłą.

– Ludzie i ich durne zabawy – parsknęła. – Nie muszę się stosować do jej reguł, ani zresztą do twoich.

Robin przez kurtynę deszczu dostrzegła nad sobą potężną sylwetkę centaura.

O cholera, wyglądało na to, że Gaby wysłała kawalerię.

– Przyszłam z własnej woli – powiedziała tytania, podnosząc dziewczynę z błota. –

Jeżeli jest jakaś ludzka abstrakcja, której próbujesz bronić tym szalonym czynem, możemy uznać, że pozostaje ona nienaruszona, ponieważ nie zabiera cię stąd działanie ludzkie.

Położ mnie, ty przerośnięty kucyku – próbowała wykrztusić Robin, ale usłyszała tylko bulgotanie i skrzek dochodzący ze ściśniętego gardła i bezwładnie obwisłej szczęki.

– Zajmę się tobą – powiedziała Obój delikatnie. Robin uspokoiła się, kiedy tytania ułożyła ją na śpiworze.

Przestań walczyć, poddaj się, przeczekaj i tak w końcu to ty zwyciężysz. Teraz jesteś bezsilna, ale później dorwiesz się do nich.

Obój wróciła z wiadrem ciepłej wody. Umyła Robin, wytarła, podtrzymała jak zepsutą mechaniczną lalkę i ubrała w koronkową koszulę. Podniosła ją jedną ręką, jak piórko wsunęła w śpiwór i otuliła wylot wokół szyi.

Zaczęła śpiewać.

Robin poczuła palący ból w gardle. To wszystko było przerażające, to całe otulanie, mycie, ubieranie... To była straszna obraza jej godności. Powinna zdobyć się na więcej złości, niż faktycznie odczuwała. Powinna już składać jadowitą napaść słowną, którą poczęstuje to stworzenie, skoro tylko odzyska władzę nad swoim ciałem. A jednak miast tego ze ściśniętym gardłem czuła, jak ogarnia ją dawno zapomniane uczucie.

W żadnym wypadku nie mogła pozwolić sobie na płacz. Gdy raz na to przystać, człowiek już zawsze będzie się nad sobą litować. Tego bała się najbardziej. Strach był tak potężny, że nie śmiała nawet nazwać jego źródła. Czasami płakała w samotności. Ale nigdy nie wolno jej było zrobić tego przy kimś!

A jednak w pewnym sensie była sama. Obój sama to powiedziała. Ludzkie zasady, abstrakcje z Konwentu nie znajdowały tu zastosowania. Chodziło też o jeszcze coś innego.

Konwent nie wymagał od niej nigdy, by nie płakała. To był wymóg dyscypliny, którą sama sobie narzuciła.

Usłyszała jęk i wiedziała, że wydobył się on z jej ust. Z kącików oczu pociekły łzy.

Ciężar w gardle nie dawał się połknąć. Musiała więc go z siebie wyrzucić.

Robin poddała się i uderzyła w szloch. Zasnęła, płacząc w ramionach tytani.

Chris ułożył się na śpiworze w tym cholernym półmroku i zadrzał. Od czterech godzin miał uczucie, że przychodzi na niego atak. A może już go ogarnął? Jak powiedział Gaby, nie jemu było oceniać, kiedy go chwyta. Była to prawda, ale nie cała. Gdyby miał atak, nie wiedziałby o tym, jego umysł zupełnie spokojnie mógłby funkcjonować jak maszyna o zużytych przekładniach, ale na pewno nie byłby tak rozstrojony jak teraz.

Powiedział sobie, że to wszystko przez to światło i deszcz bębniący po dachu.

Światło było rzeczywiście okropne. Kiedy przebijało się przez ścianki namiotu, mógł to być równie dobrze wczesny poranek i pora wstawania, jak i późny wieczór, kiedy do snu pozostawało jeszcze dużo czasu. Przyzwoitej nocy w ogóle tu nie było.

Mimo deszczu słyszał zdumiewająco dobrze. Dobiegał go spokojny śpiew i trzaskanie ogniska. Ktoś podszedł do jego namiotu, postać chwilę, rzucając długi cień na ściankę, a potem oddalił się równie cicho. Potem usłyszał rozmowę i kroki. Ktoś odchodził z obozu; znacznie później powrócił.

Teraz pojawił się jeszcze ktoś inny. Nawet Czarodziejka nie mogła rzucać tak ogromnego cienia.

– Puk, puk.

– Wchodź, Valiha.

Miała ze sobą ręcznik, którym wytarła błoto z przednich kopyt, nim stąpnęła na brezentową podłogę. Potem tak samo oczyściła tylne kopyta. Była w tym trochę podobna do psa, który skrobie się nogą za uchem, chód w ruchu tym nie było nic niezręcznego czy dziwnego. Ubrana była w fioletowy, długi płaszcz przeciwdeszczowy, który mógłby uchodzić za samodzielny namiot. Kiedy wydostawała się z niego i wieszła na kołku przy drzwiach, Chris zastanawiał się, jaki może być cel tej wizyty.

– Mogę zapalić latarnię?

– Pewnie.

Namiot miał tytaniczne rozmiary, co oznaczało, że mogła w środku swobodnie stać i miała dość miejsca, by się obrócić. Kiedy wieszła lampę u sufitu, po ścianach przemykały fantastyczne cienie. Wreszcie usiadła z podkulonymi nogami.

– Nie mogę tu zostać – powiedziała. – Właściwie już zabranie się z wami pewnie było błędem. No ale jednak tu jestem.

Jeśli chciała go zaintrygować, nie mogła wymyślić lepszego sposobu. Mięła nerwowo brzeg swojej torby. Chris nie mógł znieść tego widoku. Zatknęła zań kciuki i naciągnęła niczym gumkę kąpielówek.

– Czuję niepokój od chwili, gdy zrozumiałam, że ty... że rzeczywiście nie pamiętasz tych stu obrotów, które spędziłeś ze mną po tym, jak znalazłam cię błąkającego się pod Schodami Cirocco po twoim Wielkim Upadku.

– Ile to jest sto obrotów?

– Według twojego rachunku trochę więcej niż cztery dni. Jeden obrót to sześćdziesiąt jeden minut.

– To sporo. Dobrze się bawiliśmy?

Popatrzyła na niego krótko, a potem wróciła do swoich nerwowych manipulacji.

– Ja tak. Ty mówiłeś wtedy to samo. Męczyło mnie, że mogłeś odnieść wrażenie, że wykorzystuję cię wyłącznie jako talizman na szczęście, tak jak ci powiedziałam, kiedy odzyskałeś zmysły.

Chris wzruszył ramionami.

– Wcale by mi to nie przeszkadzało, gdyby rzeczywiście tak było. Gdybym jeszcze naprawdę przyniósł ci szczęście, byłoby mi całkiem miło.

– To nie o to chodzi. – Przygryzła wargę i Chris ze zdziwieniem dostrzegł łzę, którą szybko otarła. – Niech mnie Gaja przeklnie – jęknęła. – Nie umiem tego wyrazić. Nie wiem nawet, co chcę powiedzieć, chyba tylko ci podziękować. Mimo że nic nie pamiętasz. – Pogrzebała w torbie i w zaciśniętej dłoni coś z niej wyciągnęła. – To dla ciebie – powiedziała, a potem zerwała się i znikła z namiotu, zanim zdążył się zorientować.

Otworzył dłoń i ujrzał jajko tytanii. Było żółte, tak jak sama Valiha, z czarnymi pasemkami. Na jego twardej powierzchni wyryto drobnymi literkami po angielsku:

Valiha (Eolskie Solo) Madrygał: Duża Szansa 26-ty Gigaobrót;

97.618.685-ty Obrót (Roku Pańskiego 2100) „Gaja Nie Mówi, Dlaczego Się Obraca”

19. Wieczna młodość

– Jeżeli martwisz się, że będziesz musiał przyznać się do ojcostwa – powiedziała Cirocco – to spokojnie możesz o tym zapomnieć. Tytanie załatwiają to w zupełnie inny sposób.

– Nie to miałem na myśli... Chyba źle się wyraziłem.

Chris płynął w czółnie Cirocco. Siedział mniej więcej pośrodku, a Czarodziejka rozwaliała się na dziobie, z głową opartą na poduszce. Pod oczami miała sine worki, cera

też nie wyglądała najzdrowiej, ale i tak w porównaniu z sytuacją sprzed kilku godzin była to wielka poprawa. Chris zdecydował się towarzyszyć Cirocco, by wypytać ją w sprawach seksu ludzi z tytaniumami, jednak kiedy zobaczył jej twarz, zrezygnował. Nie tylko on zmienił łódź. Gaby płynęła teraz z Obój i Robin, a Valiha i Psalterium prowadziły całą flotyllę w czółnach płynących daleko w przodzie.

Przepląnęły pod Schodami Cirocco. Było to przeżycie, które Chris chętnie by sobie podarował. Olbrzymi kabel zwieszający się w górze przypominał mu Złote Wrota owego wietrznego dnia, kiedy Dulcimer postawiła jego stopy na ścieżce, która wiodła ku Gai. Schody wyglądały jak kabel mostu. Zamiast pylonu była tutaj jednak rozwarta, przepastna gardziel szprychy nad Reą, która niknęła w oddali wraz z wchodzącym do niej kablem. Sam kabel przypominał krzywą wykładniczą, geometryczną abstrakcję wcieloną w życie. Gdyby zestawić tuzin Złotych Wrót i tak nie pokryłyby tej olbrzymiej odległości.

Za kilka minut mieli dopłynąć do zbiegu Ophionu i rzeki Melpomeny. Nurt stał się zauważalnie szybszy, jakby przygotowywał się do zaatakowania Gór Asteria, które rysowały się ciemnym pasmem na wschodzie.

Chris oderwał wzrok od wody i spróbował jeszcze raz.

- Wiem, że jest już w ciąży. Zakładam, że dziecko nie wchodzi w grę. Mam rację?
- Ciągle myślisz w kategoriach mamusi i tatusia – powiedziała Cirocco. – Ty jesteś tutaj tylko potencjalnym przednim ojcem, a Valiha potencjalną przednią matką. Jajko mogłoby zostać przekazane na przykład... no, powiedzmy, Piszczalce i on byłby wtedy zadnią matką. Później jajko mogłoby zostać zapłodnione przez któreś z tej trójki, włącznie z Valihą.
- Musiałbym cię jednak lepiej poznać – powiedział Piszczalka z rufy.

– Dla mnie to wcale nie jest śmieszne – powiedział Chris.

– Przepraszam. Dziecko zdecydowanie nie wchodzi w rachubę. Po pierwsze, nie wyraziłabym na to zgody. Po drugie, tytanie nigdy nie proponują dziecka bez niezwykle głębokiego przemyślenia tego kroku. Po trzecie, ty masz jajko.

– A więc o co tu chodzi? Czy ten dar ma duże znaczenie? Co ona chce mi w ten sposób powiedzieć?

Ciocco sprawiała wrażenie, jakby niespecjalnie miała ochotę odpowiedzieć na to pytanie, wreszcie jednak westchnęła i dała za wygraną.

– Nie musi to w ogóle niczego znaczyć. Och, oczywiście poza tym, że cię lubi. Nie kochałaby się z tobą, gdyby cię nie lubiła, ale też nie dałaby ci jajka, gdyby cię lubiła nadal. Widzisz, tytanie są sentymentalne. Znajdziesz takie jajka na ścianach każdego ich domu. Nawet jedno na tysiąc nie zostało użyte choć raz albo choćby przeznaczone do użytku. Są tak powszechne jak... jak kondom w alei kochanków.

Co to jest kondom?

W twoich czasach już tego nie było, co? Jednorazowa prezerwatywa. W każdym razie analogia jest trafna. Zawsze, kiedy osobnik żeński ma przedni stosunek, wystrzeliwuje coś takiego po dwóch hektoobrotach. Jeśli tam, skąd pochodzisz, nie uczą już systemu metrycznego, mogę ci wyjaśnić, że to 200 obrotów. Wiesz, to strasznie śmieszne, kiedy tytania wie, co to jest kondom (nie widział kondomu!), a człowiek nie.

Czego cię tam właściwie uczyli? Że historia zaczęła się w 2096 roku?

– Myślę, że zaczynają teraz od 2095.

Ciocco potarła czoło i uśmiechnęła się anemicznie.

– Przepraszam, zboczyłam z tematu. Twoje wykształcenie albo jego brak to nie mój interes. Wracając do tytanii... Większość jajek po prostu się wyrzuca. Jeśli nie od razu, to

w czasie najbliższych wiosennych porządków. Niektóre są zatrzymywane przez sentyment, dawno po wygaśnięciu terminu ich przydatności do użycia, który, tak przy okazji, wynosi mniej więcej pięć lat.

Musisz pamiętać o podwójnym charakterze seksu u tytania. Zadni seks ma dwa cele, przy czym jeden jest znacznie bardziej powszechny niż drugi. Jest to czysta rozrywka: hedonizm. Robią to publicznie. Drugi to rozmnażanie, kiedy uzyskują na to zezwolenie, co zdarza im się dużo rzadziej, niż mają na to ochotę. Przedni seks ma odmienny charakter. Bardzo rzadko jest uprawiany tylko po to, by zrobić jajko. Niemal zawsze jest to wyraz bliskiej przyjaźni albo miłości. Nie chodzi tu przy tym o miłość w dokładnie naszym pojęciu, ponieważ tytanie nie łączą się w pary. Ale kochają się naprawdę. Jest to jedna z rzeczy, którą wiem na pewno, a nie jest ich znowu tak wiele. Tytania może uprawiać zadni seks z kimś, z kim nawet przez myśl by jej nie przeszło kochać się frontalnie. Seks przedni jest czymś świętym.

Kiedy mamy do czynienia z ludźmi, którzy nie mogą uprawiać zadniego seksu, sprawa wygląda nieco inaczej. Bardziej liberalne grupy tytania utrzymują, że przedni seks z człowiekiem uprawiany dla zabawy jest rzeczą moralną. Powinien się odbywać w odosobnieniu, ale nie wymaga się tu już miłości albo bliskiej przyjaźni! Piszczalko!

– To prawda – powiedziała tytania.

– A może byś teraz ty trochę poopowiadał? – poddała Cirocco. – Rozboliła mnie głowa.

Kiedy Chris się odwrócił, Piszczalka na chwilę przestał wiosłować i rozłożył ręce.

– Niewiele mogę dodać. Cirocco właściwie wyczerpała temat.

– Powiadacie więc, że jajko jest po prostu pamiątką. Valiha wydała się mocno speszona faktem, że zapomniałem o wszystkim, co zaszło. A więc nie jest we mnie

zakochana.

– O nie, nic takiego nie powiedziałem. Valiha jest dziewczyną staromodną, która nigdy nie uprawiała seksu z człowiekiem. Kocha cię rozpaczliwie.

W czasie burzy na Gai obszar nocy rozszerzał się. Kiedy grupa przepełnęła ujście Melpomeny, wkroczyła na teren, który normalnie zaliczany był do strefy zmierzchu.

Teraz zalegała nad nim noc.

Sama noc jednak nigdy nie była na Gai absolutną ciemnością. Przy dobrej pogodzie nawet w głębi Rei było tak jasno, jak podczas księżycowej nocy na Ziemi. Przy dużym zachmurzeniu mrok gęstniał, ale nigdy nie stawał się nieprzenikniony. Teren u podnóża Gór Asterii był oświetlony miękkim odblaskiem spoza warstwy chmur. W osłoniętych miejscach na tyle łodzi umieszczono latarnię. Podróż trwała dalej.

Na brzegu zaczęły się pojawiać wysokie drzewa, zrazu pojedyncze, by wkrótce przejść w gęsty las. Bardzo przypominały sosny, miały proste pnie i wąskie liście.

Podszycie lasu było raczej skąpe. Chris dostrzegł stadko sześciopalców, które poruszały się olbrzymimi skokami na podobieństwo kangurów. Cirocco wyjaśniła mu, że teren ten stanowił pozostałość pradawnego lasu zrodzonego przez Gaję, kiedy była młodym Tytanem, i że prymitywne rośliny i zwierzęta przypominające te, które tu widzieli, ciągle jeszcze w najlepsze rozwijały się na wyżynach.

Kiedy zaczęli się zagłębiać w wąski kanion, Chris doznał złudzenia optycznego.

Wydało mu się, że płynie czołnem pod górę. Otaczające ich wzgórza wyginały się ku wschodowi. Drzewa o kilka stopni odchylały się od pionu, a wierzchołki były przesunięte o dwadzieścia metrów na wschód od korzeni. Kiedy się na nie patrzyło przez dłuższą chwilę, oko odbierało je jako wyznaczające nowy pion, a wtedy rzeka zdawała się przeczyć prawom ciężenia. Był to jeden z żartów Gai.

Kiedy tytanie wyciągnęły łodzie niedaleko wylotu wąwozu o stromych ścianach, zaczęło padać. Powietrze wypełniały różne dźwięki. Chrisowi przywodziły na myśl ogromny wodospad albo długie fale, bijące o brzeg.

– Aglaja – powiedziała Gaby, pomagając Chrisowi i tytaniu wyciągnąć czółno na brzeg. – Raczej jej nie zobaczycie, jeśli chmury się nie rozejdą.

– Co to jest Aglaja?

Podczas gdy Gaby opisywała pracę trzech pomp rzecznych, tytanie rozebrały łodzie.

Praca postępowała szybko naprzód. Srebrzysta powłoka została obluzowana i zdjęta z drewnianej ramy, złożona w niewielkie tobołki i umieszczona w sakwach. Zastanawiał się, co zrobią z wręgami, stępkami i deskami pokładu. Wyglądało na to, że je po prostu zostawią.

– Bez problemu zbudujemy nowe łodzie, kiedy będziemy ich potrzebować –

wyjaśniła Valiha. – Ale to będzie dopiero wtedy, gdy przepłyniemy Morze Północne i będziemy wędrować po Kriosie.

– To jak przepłyniemy morze? Chwycimy Czarodziejkę za rączkę i pójdziemy piechotą?

Valiha nie raczyła odpowiedzieć.

Ludzie dosiedli wierzchowców i ruszyli w gęstniejący mrok.

– Kiedyś, dawno temu, zbudowałam tę drogę – powiedziała Gaby.

– Naprawdę? A po co? I dlaczego w takim razie jej się nie konserwuje?

Wędrowali jednym z odcinków Autostrady Transgajańskiej, którą Gaby przyjechała do Sklepu z Melodiami. Tytanie na zmianę przebijały drogę wśród splątanych pnączy.

– Jednym z wyjaśnień jest właśnie widok Obój z maczetą w ręce. Wszystko rośnie tu dość szybko, więc utrzymanie drogi byłoby bardzo pracochłonne i nikt nie chciałby się

tym zajmować. Niewielu ludzi pokonało tę drogę w całości.

To był szalony projekt od samego początku. Nikt go nie pragnął za wyjątkiem Gai, ale ponieważ jej życzenia mają tutaj niemal wagę rozkazu, wybudowałam ją.

– W jaki sposób?

– Przeważnie przy pomocy tytanii. Kiedy budowałam mosty, przewoziłam sterowcem po kilkaset sztuk. Kiedy prowadziłam prace niwelacyjne i kładłam asfalt...

– Asfalt? Chyba żartujesz.

– Wcale nie. Kiedy widoczność będzie lepsza, zobaczysz go w niektórych miejscach.

Gaja chciała jednopasmową nawierzchnię, dostatecznie szeroką, by mógł nią przejechać wóz szeroki na dwa metry i ze spadkiem nie większym niż 10 procent. Postawiliśmy 57 mostów wiszących na linach i 122 na podporach. Wiele z nich ciągle stoi, ale trzeba się dobrze zastanowić, czy na nie wchodzić. My nie będziemy mieli wyboru.

Gaby mówiła już przedtem o autostradzie. Stwierdził, że pewnie dla jakiegoś powodu chciała o niej mówić, ale potrzebowała zachęty. Wyszedł jej więc naprzeciw.

– Nie chcesz chyba powiedzieć, że... że przewoziłaś asfalt sterowcami? Powiedziałaś przecież, że nie mogę zbliżyć się do ognia, a poza tym... poza tym musiało być tego asfaltu sporo?

– Bo było. Nie, Gaja dała nam coś, kilka rzeczy, które znacznie ułatwiły pracę.

Niezbyt przyjemnych, co prawda. Był na przykład stwór wielkości tyranozaura, który pożerał drzewa. Miałam do dyspozycji pięćdziesiąt takich monstrów. Wyżarły przesiekę poprzez las, zostawiając za sobą olbrzymie kupy miazgi drzewnej. Myślę, że zdolne były strawić tysięczną część tego, co pożerały, pochłaniały więc ogromne ilości drzew. Było jeszcze coś i przysięgam ci, że nie żę. Bestia wielkości wagonu metra, która zjadała miazgę drzewną, wydalając asfalt. Nie wyobrażasz sobie tego zapachu. Nie był to dobry,

czysty asfalt, który jak sobie przypominam, też za ładnie nie pachnie. To... to gównem było nasycone estrami i ketonami i Bóg wie czym jeszcze. Wyobraź sobie zdechłego przed trzema tygodniami wieloryba. I to tylko jako namiastkę. Na szczęście nikt nie musiał przebywać zbyt blisko tych wszystkich rzeczy. Młyny drzewne, jak nazwaliśmy naszych pożeraczy drewna, nie były specjalnie mądre, ale za to posłuszne. Poza tym można je było tak wyćwiczyć, by pożerały tylko drzewa spryskane odpowiednią substancją zapachową. Posuwaliśmy się przodem, wyznaczając trasę, a za nami te tartaki. Potem przenosiliśmy się do tyłu i układaliśmy miazgę drzewną na projektowanej trasie. Później wkraczały destylatory, to znaczy stwory asfaltowe. Ustawialiśmy je na wstędze miazgi, a one ruszały do roboty. Wtedy nie trzymaliśmy się bliżej niż dziesięć kilometrów pod wiatr. Niebezpieczeństwo zabłądzenia „asfaltowców” było niewielkie, ponieważ żywiły się wyłącznie miazgą drzewną. Zresztą nawet nie każdą miazgą drzewną, a jedynie materiałem, który przeszedł przez żołądek „tartaków”. Miały mózg ślimaka.

Po dwóch czy trzech tygodniach, kiedy trujące substancje ulotniły się, wkraczałam z ekipą 40 – 50 tytani z wielkimi walcami do ubijania masy. I tyle. Autostrada.

Oczywiście, przy całej swojej głupocie czasami asfaltowce trochę się gubiły, na przykład wtedy, gdy zostawiliśmy gdzieś po boku resztki miazgi drzewnej. Wtedy blokowały się i zawodziły niczym dwustutonowy szczeniak. Ciągnęliśmy losy, by wyznaczyć tego, kto pójdzie naprowadzić je na właściwy szlak. Zdarzyło się to kilkakrotnie i ten, kto wyciągnął los, musiał sporo przejść, możesz mi wierzyć. Potem i to rozwiązałam.

– W jaki sposób?

– Znalazłam tytanie, która dostała mieczem w twarz w czasie wojny z aniołami – powiedziała Gaby z wyraźnym zadowoleniem. – Przy tej okazji przecięli jej nerwy i zupełnie nie czuła zapachów. Szła tam i prowadziła bestię na sznurku. Kiedy było po

wszystkim, byłam tak wdzięczna, że namówiłam Rocky, aby na następnym Karnawale przyznała jej zadnie macierzyństwo.

Oczywiście, nie na całej długości jest twarda nawierzchnia. Byłoby to głupsze niż zwykle, nawet jak na tutejsze warunki. Nie ma sensu asfaltowanie piasku pustyni czy lodu. Takie tereny zajmują jedną trzecią powierzchni Gai. Tutaj wyznaczaliśmy tylko drogę i pozostawialiśmy po drodze stacje. Gdy kiedykolwiek znajdziesz się w opałach i trafisz do chaty z napisem „Spółka Budowlana Plauget” nad drzwiami, będziesz wiedział, kto ją postawił.

– Jak zatem przeciągacie wozy po lodzie? – spytał Chris.

– Co? Och, tak samo jak wy. Nie chcę powiedzieć, że wielu ludziom udało się z taborem przebyć całą Drogę Transgajańską. Po prostu przesiadasz się na sanie i jedziesz zamrożonym Ophionem na terenie Tei. Zresztą jest to bodaj jedyna droga przez góry. Okeanos jest jednym wielkim zamrożonym morzem, gładkim i płaskim, a więc z jazdą nie ma problemu, jeśli w ogóle cokolwiek może tam przebiegać bezproblemowo. Na terenie pustynnym musisz sobie radzić, jak umiesz. Wybudowaliśmy kilka oaz.

Chris dostrzegł dziwny wyraz na twarzy Gaby. Trochę złośliwy, ale przede wszystkim szczęśliwy. Wiedział, że z przyjemnością wspominała dawne czasy, dlatego bardzo niechętnie zadał kolejne pytanie. Po chwili jednak pomyślał, że przede wszystkim właśnie dlatego to opowiadała.

– Dlaczego ją zbudowałaś?

– Co?

– Po co to wszystko? Sama powiedziałaś, że nie ma zapotrzebowania na drogę. Nikt jej nie konserwuje i nie ma też na niej ruchu. Po co ją było budować?

Gaby podniosła się ze swojej zwykłej pozycji i spojrzała do tyłu, opierając się na grzbiecie Psalterium. Chris nie mógł się przyzwyczaić do tej pozycji. Lubił wiedzieć, dokąd zmierza. Problem polegał jednak na tym, że tytanie były zbyt wysokie i zbyt szerokie w piersiach, by można było spoza ich korpusu obserwować trasę.

– Robiłam to dlatego, że tak mi poleciła Gaja, a raczej, bo mnie do tego najęła. Już ci mówiłam.

Tak. Mówiłaś również, że nie była to miła robota.

Przeważnie tak – zastrzegła się – ale budowa mostów była wielkim wyzwaniem.

Lubiłam to. Nie byłam specjalistą od dróg, zresztą nie byłam w ogóle inżynierem, chociaż w obliczeniach nietrudno się było połapać. Na początek więc wykorzystałam kilkoro ludzi z ambasady. Na pierwszych pięciuset kilometrach uczyłam się od nich.

Potem dorobiłam się własnych rozwiązań. – Przez chwilę milczała, a potem popatrzyła na niego. – Masz jednak rację. Nie robiłam tego dlatego, że chciałam. Płacono mi, zresztą tak samo jak za wszystkie prace, które robię dla Gai. Może tę akurat chętnie bym sobie podarowała, ale wynagrodzenie, jak się okazało, było zbyt dobre, by je zlekceważyć.

– Co to było?

– Wieczna młodość. – Wyszczrzyła zęby w uśmiechu. – Albo przynajmniej coś, co było jej bardzo bliskie. Rocky ma to za darmo z racji swej funkcji Czarodziejki. Wkrótce potem, jak tu przybyłam, zorientowałam się, że mnie to nie dotyczy. Opracowałam więc taką umowę z Gają: dostaję nieśmiertelność w systemie ratalnym. Kiedy jesteś wolnym strzelcem, nie dostajesz takich zasiłków jak ci, którzy są na etacie. Kiedy Gaja wyczerpie wreszcie pomysły na zadania dla mnie, będę załatwiona. Pewnie przez jeden dzień zrobi się ze mnie pomarszczona staruszka.

– Nie mówisz tego poważnie.

– Chyba nie. Spodziewam się, że po prostu zaczną się starzeć. Być może w przyspieszonym tempie. Ale na razie mam robotę. Hej, a gdzie Rocky?

Chris spojrział do tyłu, a potem zrozumiał, że Piszczalka przeszedł do przodu, by przecierać szlak. Opadła mgła, jeszcze bardziej pogarszając widoczność. Niemalże nie dostrzegali teraz Robin i Obój, a Piszczalkę mgła pochłonęła całkowicie.

Psalterium pospieszył do przodu, a Valiha przyspieszyła kroku, by zrównać się z Obój. Oba zespoły szybko dołączyły do Gaby, która pogrążona była w ożywionej rozmowie z Piszczalką.

– Powiedziała, że idzie do tyłu, by porozmawiać z tobą i...

– Czy jesteś tego zupełnie pewien, Piszczalko?

.– Co masz zamiar... Och. Nie, naprawdę. Powiedziała, że ma zamiar pojechać trochę z tobą. Może stała jej się krzywda. Może upadła i...

– Cholernie mało prawdopodobne. – Gaby zasępiła się i potarła czoło. – Możesz tu zostać i trochę się rozejrzeć, może gdzieś tu ją znajdziesz. Reszta pójdzie dalej. Jestem prawie pewna, że wiem, gdzie jest.

Macchu Piechu wystawał wysoko ponad kłębiaste chmury. Można było stanąć na frontowym tarasie Sklepu z Melodiami, oświetlonym niewiarygodnym niebiańskim reflektorem, i patrzeć ponad niezmiernym morzem mgły, które rozciągało się z północy na południe pomiędzy stromymi krawędziami wyżyny. Mgła wylewała się z niewidocznej stąd gardzieli szprychy ponad Okeanosem i waliła kłębami na Hyperion. Gdziekolwiek ustępujące prądy skręcały ją w puszyste, płaskie tuleje, przechodzące przez wyższe i dlatego poruszające się wolniej rejony atmosfery. Rury te były rodzajem zawirowań podobnych do cyklonu o wyraźnie odgraniczonych brzegach. Stopniowo wytracały pęd, tak że wreszcie przypominały odwrócone trąby powietrzne. Nazywano je

tu walcami mgły. Czasami gwałtowne burze unosiły je z Okeanosa i wtedy nazywano je walcami parowymi.

Chris zatrzymał się, obserwując chmury, kiedy reszta weszła do środka w poszukiwaniu Cirocco. Wreszcie usłyszał brzęk tłuczonego szkła i odgłos jakiegoś ciężkiego przedmiotu uderzającego o podłogę. Ktoś krzyknął. Usłyszał tupot nóg na schodach, a za nim dziwny odgłos stąpania kopyt tytanii po dywanie. Po chwili trzasnęły drzwi i wszystkie hałasy ucichły. Wrócił do obserwacji mgły.

Wreszcie pojawiła się Gaby z przyciśniętym do twarzy mokrym ręcznikiem.

– No cóż, wygląda na to, że pobędziemy tu jeszcze jeden dzień, bo musimy ją postawić na nogi. – Stała obok Chrisa, łapiąc oddech. – Czy coś się stało?

– Nie, dlaczego, wszystko w porządku – skłamał Chris.

– Załatwiła to dość sprytnie – powiedziała Gaby. – Zadzwoiła do Titantown za pomocą radiowego ziarna, które udało się jej schować. Nikt nie wie, co tam nagadała, ale chodziło mniej więcej o to, że ma problemy, ponieważ powiedziała przyjacielowi, by przyleciał sterowcem i poczekał na nią przy drodze. To ona wywołała mgłę. Powiedziała Gai, że potrzebuje osłony. Wymknęła się i spotkała z tytanią, która przywiozła ją aż tutaj. Jest tu już od trzech obrotów, a to dostatecznie długo, by można się było potężnie napić.

Będziemy więc musieli... Hej, jesteś pewien, że się dobrze czujesz?

Nie miał czasu jej słuchać. Mgła zaczęła się podnosić niczym potworna fala.

W suterenie czaiły się ohydne bestie. Słyszał je. Gdy na oślepnął wyciągnął rękę, złapał szerniałe ramię bladego, przeraźliwie zawodzącego ciała, z którego ust wypełzało robactwo, sięgając po niego...

Zaczął wrzeszczeć.

20. Znów w drodze

Robin podniosła głowę, gdy Gaby dołączyła do niej na ganku. Siedziała na stopniach i czytała pożółkły rękopis, który znalazła w gabinecie Cirocco. Była to fascynująca praca, opis wzajemnego powiązania flory i fauny, i... czegoś, co można by określić jedynie jako organizmy nieokreślone, które żyły w promieniu jednego kilometra od Sklepu z Melodiami. Nie była to książka naukowa, jednak napisana została oszczędnym językiem, który Robin uznała za bardzo czytelny. Rękopis tkwił na biurku, które stało obok półki z książkami mieszczącej może z tuzin tomów autorstwa C. Jones.

– Jak się czują pacjenci? – spytała Robin. Gaby wyglądała na strasznie zmęczoną.

Wątpiła, czy tamta spała od momentu rozbicia obozu nad rzeką. Jak dawno temu? Przed dwoma dekaobrotami? Trzema?

– Użyłaś złej liczby – powiedziała Gaby, siadając obok niej. – Jak ty się czujesz?

Starczy ci cierpliwości?

Robin wzruszyła ramionami.

– Nie spiesz mi się. Rozszerzam sobie horyzonty myślowe. Nie miałam pojęcia, że Czarodziejka tak dobrze pisze.

Gaby z kwaśną miną odgoniła sprzed nosa nie istniejącą muchę.

– Wolałabym, żebyś przestała nazywać ją Czarodziejką. Stawia to przed nią zbyt wysokie wymagania. Jest po prostu istotą ludzką, tak jak i ty.

– Wiem o tym... Może masz rację. Więcej nie będę.

– No cóż, nie chciałam cię besztać. – Popatrzyła ponad trawnikiem. – Pacjenci mają się tak, jak można było oczekiwać. Chris przestał wrzeszczeć, ale ciągle siedzi skulony w kącie. Valiha nie potrafi go namówić na jedzenie. Rocky jest pod kluczem w sypialni. Wyrzuciliśmy całą wodę, przynajmniej tak sędzę. Oczywiście z alkoholem nigdy nie ma pewności. Mogła schować butelczynę gdziekolwiek. – Ukryła twarz w dłoniach, tak

jakby na chwilę chciała odpocząć. Robin zauważyła, jak krzywi usta, a potem dobiegł ją żaloszny odgłos. Gaby płakała. – Zamknęłam ją na klucz w jej własnym pokoju – zdołała wreszcie wykrztusić poprzez szloch. – Nie mogę w to uwierzyć. Nie mogę uwierzyć, że do tego doszło. Kiedy mnie widzi, klnie mnie od najgorszych. Rzyga, chociaż nie ma już czym, poci się, trzęsie jak w febrze, a ja nic na to nie mogę poradzić. Nie mogę jej pomóc.

Robin była zaszokowana. Nie miała pojęcia, co począć. Dla niej była to sytuacja nie do pomyślenia; siedzieć obok kobiety, którą szanowała, i widzieć, jak płacze. Nie wiedziała, co zrobić z rękami. Przekładała bezwiednie kartki rękopisu na kolanach i przestała dopiero wtedy, gdy się zorientowała, że je drze.

Wstrząsnął nią dreszcz, kiedy przypomniała sobie, jak płakała przy Obój. Oczywiście była pewna różnica. Tak powiedziała tytania i Robin wkrótce się przekonała, że miała rację. Ale tytania nie ograniczyła się przecież do siedzenia.

Robin z wahaniem objęła Gaby ramieniem. Gaby zareagowała bez widocznego wstrętu, obracając się i ukrywając twarz na ramieniu Robin.

– Już w porządku – powiedziała Robin.

– Tak ją kochałam – wyjęczała Gaby. – Ciągle jeszcze ją kocham. Zabawne. Po siedemdziesięciu latach ciągle ją kocham.

Gaby uniosła głowę Cirocco z poduszki i przytknęła brzeg szklanki do jej ust. Wypij to. Dobrze ci zrobi.

– Co to jest?

Czysta, świeża woda. Najlepsza rzecz na świecie.

Twarz Cirocco była wilgotna i szara, a usta bladoszne. Gaby czuła wilgoć potarganych włosów, kiedy ręką podłożoną pod kark przytrzymała głowę Cirocco.

Czuła też guz, który Cirocco nabiła sobie, uderzając głową w mosiężny pręt u szczytu łóżka.

Upiła odrobinę, a później zaczęła łapczywie przetykać.

– Hej, nie za dużo na raz. Z ostatniej porcji niewiele zatrzymałaś.

– Ale tak chce mi się pić, Gaby – poskarżyła się Cirocco. – Posłuchaj, dziecko, już nie będę na ciebie wrzeszczeć. Przepraszam. – Teraz przeszła w przymilny ton. – Ale posłuchaj, złotko, zrobię wszystko, byle tylko się napić. Przez pamięć starych czasów...

Gaby przycisnęła dłonie do policzków Cirocco i ścisnęła je, robiąc z jej ust ryjek, który w innych okolicznościach wyglądałby nawet zabawnie. Cirocco skurczyła się, z oczami przekrwionymi i przestraszonymi. Była od Gaby dużo cięższa, ale najwyraźniej brak jej było chwilowo bojowego ducha. Cała waleczność gdzieś się ulotniła.

– Nie – powiedziała Gaby. – Ani dzisiaj, ani jutro. Nie wiedziałam, czy stać mnie na to, by ciągle odmawiać, więc zniszczyłam cały zapas trunku, jaki był w domu, a więc nie pytaj mnie już, dobrze?

Łzy puściły się rzęsiłą strugą z kącików oczu Cirocco, ale Gaby, przyjrzawszy się bliżej, z poczuciem beznadziejności dostrzegła w tym ślady zgrywy. A więc miała jednak jakąś skrytkę przygotowaną na wszelki wypadek. Na pewno nie w tym pokoju. Dlatego drzwi muszą być zamknięte na klucz.

– W porządku. Czuję się lepiej. Wkrótce wstanę i będę chodzić, skończę też z piciem. Przekonasz się.

– Taak. – Gaby spojrzała w bok, a potem zmusiła się, by spojrzeć tamtej prosto w twarz. – Nie przyszłam tu po to, by przyjmować obietnice. Nie takie. Chciałam wiedzieć, czy jesteś nadal z nami. Ze mną.

– Z... och, masz na myśli to, o czym mówiłyśmy? – Rozejrzała się szybko po pokoju,

jakby chciała zaskoczyć ukrytych podsłuchiвачy. Zatrzęsa się i wydawało się, że chce usiąść. Gaby pomogła jej. Cirocco szczelnie otuliła się kocem. Na kominku buchał ogień, który podgrzewał pomieszczenie do trzydziestu pięciu stopni, ale Cirocco nadal trzęsa się z zimna.

– Ja... ja myślałam o tym – powiedziała Cirocco i Gaby była pewna, że skłamała.

Myślała tylko o jednym: żeby się napić. Nieważne. Jej obawy dojdą teraz do głosu bezpośrednio, bez jakiegokolwiek przebiegłości. – Myślałam, że może... może powinniśmy, powinniśmy lepiej się nad tym zastanowić. Chcę powiedzieć, nie spieszmy się z tym. To byłby wielki krok. Ja... no pewnie, idę z tobą, ale nie powinniśmy... ale nie powinniśmy posuwać się aż tak daleko, wiesz? Nie powinniśmy rozmawiać z Reą, Kriosem...

– Dwadzieścia lat trudno uznać za nadmierny pośpiech – zaznaczyła Gaby.

– No dobrze, tak, na pewno, ale chcę tylko powiedzieć...

– Zgubiła wątek, najwidoczniej sama niepewna, co chce powiedzieć. – Gdybym mogła mieć po prostu... Och, no nie, nie powiem tego. Będę grzeczna, dobrze? – Uśmiechnęła się przymilnie.

– Czyli chcesz się wycofać? Cirocco zmarszczyła brwi.

– Tego nie powiedziałam. Czy ja coś takiego mówię? No dobra, Gaby, daj spokój, wiesz, że to niebezpieczne. Sama tak mówiłaś. Powinniśmy wstrzymać się, nie spieszyć, a po jakimś czasie... No cóż, będzie oczywiste, że... – Ponownie zgubiła wątek.

– W porządku – powiedziała Gaby podnosząc się. Nie wiem, czy mamy czas, ale spodziewałam się, że powiesz coś w tym rodzaju. Nie jestem pewna, czy Gene da nam czas. Myślę, że nie pojawił się tam bez powodu. Ciekawe, o co mu chodziło. Tak czy owak, trzeba zacząć już teraz, a nie później. To jest po prostu zwykła ocena możliwości,

Rocky. Pomyśl o tym w ten sposób.

Nie wiem, czy jestem w stanie... No dobrze, zrobię to bez wywoływania podejrzeń.

Na pewno potrafisz.

Nie. Nie, to zbyt nagle. Przemyślałam to. Poczekaj trochę, wtedy ci pomogę.

Nie. – Odczekała, żeby Cirocco dobrze ją zrozumiała, i zobaczyła, jak wąły uśmiech na jej twarzy powoli gaśnie.

Właściwie to nawet teraz może być już za późno. Jeśli ty nie chcesz, ja to zrobię.

Myślę, że lepiej będzie, jak powiem tym dwóm pielgrzymom, że lepiej na tym wyjdą, jeśli pójdą bez nas.

Cirocco zaczęła coś mówić, ale Gaby nie chciała jej słuchać. Wybiegła gwałtownie z pokoju.

Sklep z Melodiami został zaprojektowany i zbudowany z myślą o tytaniach. Stąd wysokie stropy i szerokie drzwi. Nieliczne dywany leżały tylko tam, gdzie ustawiono krzesła na ludzką miarę, które przypominały tytaniom, żeby od tych miejsc trzymały się z daleka. Większość powierzchni drewnianej podłogi pokryta była trocinami lub słomą.

Wielki stół w bibliotece miał stronę ludzką i stronę przeznaczoną dla tytanii, co podkreślały krzesła po jednej stronie i snopki słomy po drugiej. Wysokie okna wychodziły na wschód, w stronę Morza Północnego. Był tu również kamienny kominek, teraz zupełnie wygasły. Gaby zgromadziła tu wszystkich z racji widoku. Kiedy powiedziała, co miała do powiedzenia, przyjrzeni się uważnie drodze, którą mieli jeszcze przebyć, co być może pozwoli im podjąć bardziej racjonalną decyzję.

– Myślę, że nie jest łatwo to powiedzieć. Tym bardziej że niektórym z was coś niecoś już mówiłam. Od tej chwili uchylam się od wszelkich obietnic dotyczących Cirocco.

Czuje się znacznie gorzej, niż sądziłam. Nie wiem jeszcze, czy pójdzie ze mną, ale

niezależnie od tego nadszedł czas, by przemyśleć decyzje, które podjęliście kiedyś w oparciu o fałszywe informacje. Mówiłam wam, że Rocky może się z tego wyciągnąć i że jeszcze będzie użyteczna, i... i że jest raczej atutem niż obciążeniem. Nie mogę już dłużej firmować takiego stwierdzenia.

Przebiegła wzrokiem po twarzach sześciu słuchaczy. Wiedziała, co powiedzą tytanie, może za wyjątkiem Obój. Nie była już tego taka pewna w odniesieniu do Chrisa i Robin. Chris miał swoje problemy, może przejściowe, a reakcji Robin nie ośmieliłaby się odgadnąć.

– Rzecz w sumie wygląda następująco. Ruszam w podróż wokół obręczy. Rocky może się przyłączyć. Wy, jeśli zechcecie się przyłączyć, będziecie mile widziani. Jeżeli Rocky pójdzie, może komuś z was sprawić zawód w najważniejszym momencie.

Rozumiem przez to trochę więcej niż prosty fakt, że będziemy się musieli nią opiekować, jeśli uda się jej znowu schlać. Nie na tym polega problem. Choćbyście się na mnie mieli złościć, Chris i Robin, każde z was może nas postawić w podobnym położeniu i pewnie do tego dojdzie. W jakimś sensie Rocky nie bardziej panuje nad swoją przypadłością niż wy nad waszymi. Z tym jednak mogę się zgodzić. Myślę, że nie potrafiłabym tego wytłumaczyć, ale w tym przypadku jestem raczej optymistką w odniesieniu do całej waszej trójki. Zajmę się wami, kiedy was to dopadnie. Tytanie mi pomogą.

– W istocie rzeczy wasze dolegliwości uważamy za nie bardziej poważne niż ludzki obyczaj zasypiania – dorzucił Piszczalka z wahaniem. – Dla nas to bez różnicy. Kiedy śpicie, my i tak musimy czuwać za was.

– Ma rację – powiedziała Gaby. – W każdym razie, obawiam się, że Rocky zawiedzie nas brakiem nerwów. Nigdy nie myślałam, że będę musiała to powiedzieć, ale tak to właśnie wygląda. Nie jestem już wcale pewna, czy potrafiłaby przedłożyć dobro grupy

ponad zaspokojenie swoich osobistych potrzeb. Mam uczucie, że prawie jej nie znam.

Muszę jednak przyjąć, że nie będę mogła na niej polegać. – Jak już powiedziałam, ja idę bez względu na wszystko. Muszę jednak wiedzieć, jakie są wasze plany. Piszczalko?

– Zostanę z Cirocco. Jeśli ona pójdzie, pójdę i ja. Gaby skinęła głową. Podniosła pytająco brwi, patrząc na Psałterium, który ledwie raczył kiwnąć głową. Wiedziała, że pójdzie z nią.

– Valiha?

Chciałabym kontynuować wędrówkę, ale tylko wówczas, gdy pójdzie Chris – powiedziała.

– W porządku. Obój?

Muszę zamknąć obwód – powiedziała. – Nigdy nie byłam zadnią matką, a to moja najlepsza szansa.

W porządku. Miło, że z nami ruszysz. A jak z tobą, Chris?

Wydawało się, że oderwanie wzroku od stołu stanowi dla niego nie lada wysiłek.

Wydobrzeł już po ostatnim ataku, ale jak zwykle wtedy, kiedy nie doznawał utraty pamięci, był emocjonalnie wyczerpany i nie miał więcej szacunku do siebie niż zбитy pies.

– Myślę, że umniejszasz problem – wymruczał. – To znaczy bagatelizujesz trudności, których mogę być przyczyną. Dlaczego miałbym oczekiwać od Cirocco czegoś więcej niż od siebie? – Valiha chciała ująć go za rękę, ale ją odtrącił. – Pójdę, jeżeli będziesz mnie chciała.

– Wiedzieliśmy, w co się ładujemy – powiedziała Gaby. – Jesteś tu mile widziany.

Robin?

Zapadła długa cisza. Gaby martwiła się, gdy tamta decydowała się. Inną możliwością

dla niej, tak jak to widziała Gaby, była wspinaczka w górę szprychy. Robin była zdolna do podjęcia takiej podróży, nawet wiedząc, że może zginąć po drodze.

– Pójdę – powiedziała w końcu.

– Jesteś pewna? Nie możesz się z honorem wycofać?

– Mogłabym. Ale pójdę.

Gaby nie miała zamiaru wypytywać ją o motyw.

– A więc tylko Rocky i Piszczalka pozostają niewiadomą. W porządku. Zbierzcie rzeczy. Spotkamy się za jeden obrót na frontowej werandzie.

Początek wyglądał raczej ponuro.

Z chmur, które na dwa hektoobroty rozerwały się nad szczytem Macchu Picchu, wiatr nawiewał teraz strzępy nad Sklep z Melodiami, tak że zasłoniły całe bijące ze sklepienia światło. Wielki biały dom stał cichy w ciemności; całe życie uszło z niego.

W środku Gaby umocowywała sztaby na sztormowych okiennicach.

Uzupełnili też zapasy w jukach tytanii. Niewiele pozostało do zrobienia, ale i tak

Gaby krzątała się niczym urlopowicz, który boi się, że czegoś zapomni. Zarówno Chris jak i Robin wiedzieli, że miała nadzieję, iż Cirocco lada chwila się pojawi, a żadne z nich nie spodziewało się niczego takiego po Czarodziejce.

Błyskawica rozbłysła pomiędzy dwoma szczytami górskiego schronienia Cirocco.

Tytanie nie zareagowały, ale Chris i Robin dreptali nerwowo. Chris położył nogę na dłoni Valihy i wskoczył na jej grzbiet. Robin dosiadła Obój. Wszyscy czekali.

Gaby wyszła i wsiadła na Psalterium. Popatrzyła na dom za sobą w samą porę, by dostrzec, że klamka się obraca. Ze środka wyszła Cirocco, wysoka, bosonoga, w swoim czerwonym kocu. Wyglądała blado i słabo. Ostrożnie zeszła po schodach i podeszła do Psalterium i Gaby. Wyciągnęła ręce nad głową.

– Nic nie mam. Sama sprawdź.

– Nie mam zamiaru cię rewidować, Rocky.

– Och. – Wydawało się, że nie ma to dla niej żadnego znaczenia. Opuściła ręce, a potem oparła się o bok Psalterium. – Wiesz, masz rację. Lepiej będzie, jak z tobą pójde.

– W porządku. – W głosie Gaby dała się słyszeć nuta ulgi, ale z pewnością nie był to entuzjazm.

Kiedy pokonali most linowy, znowu zaczęło padać. Po drugiej stronie Robin usłyszała jakby monotonne brzęczenie. W takim miejscu, otoczonym zewsząd górami, trudno było zlokalizować jego źródło. Słyszała, jak hałas nasila się, a potem przygasa. Gaby i Psalterium z obawą lustrowali chmury.

– Co to było? Gaby wzdrygnęła się.

– Nie pytaj.

21. Ręce ponad morzem

To dobrze, że te depresje są przejściowe – powiedział Chris.

Też tak myślę. – Valiha odwróciła głowę, by popatrzeć na niego. – Nigdy nie widziałam kogoś tak wyczerpanego jak ty po ataku. Musi cię to sporo kosztować.

Chris nie odpowiedział. Choć w duchu przyznał jej rację. Nie wyszedł jeszcze z tego całkowicie, ale dokładał starań, by nic po sobie nie okazywać. Jeszcze jedna przespana noc i może znowu poczuje, że życie jednak ma sens.

Nie wrócili już na Ophion po odskoku do Sklepu z Melodiami. Chociaż autostrada biegła brzegiem rzeki aż do Górnej Doliny Muz, w niektórych miejscach osuwiska czyniły ją nie do przebycia. Posuwali się więc ścieżką przez Asterię. Nazwać ją Ścieżką Kozic, to tak jakby porównać spacer po linie z jazdą Autostradą Nadbrzeżną. Były miejsca, gdzie ludzie musieli zsiąść i trzymać się lin rozciągniętych przez tytanie, które

szły przodem, wykorzystując dla kopyt ledwie widoczne zagłębienia w skale. Pod tym względem, jak zresztą pod wieloma innymi, tytanie były od Chrisa dużo lepsze. Zaczęło go to nawet trochę denerwować. Pocieszał się tylko, że Cirocco i Robin nie było wcale łatwiej, chociaż Gaby sprawiała wrażenie skrzyżowania kozicy z muchą.

Często musieli pokonywać rozpadliny. Większe przechodzili, zaczepiając linę o spiczaste skały po drugiej stronie i przechodząc po linie na rękach. Wreszcie było coś, co Chris umiał robić lepiej niż inni. Tytanie miały spore trudności. Nie mógł patrzeć, jak huśtają się na rękach.

Szczeliny węższe niż dziesięć metrów nie kwalifikowały się, by budować most linowy. Tytanie po prostu je przeskakiwały. Pierwszy taki skok skrócił mu życie o dobre dziesięć lat. Potem zamykał oczy.

W końcu zeszli z ostatniego zbocza. Poniżej rozciągała się wąska wstęga lasu, za nią jeszcze węższy pas piaszczystej plaży, a wreszcie Nox, Morze Północne. Połyskiwało w srebrzystym świetle. Tu i ówdzie w głębi wody widać było mgliste rozbłyski światła, zimny błękit pod jaśniejszymi odblaskami na powierzchni. Widać było też mocniejsze, bardziej skupione źródła światła, niektóre w kolorze ciepłej zieleni, inne zaś intensywnie ciemnozielone.

– Wstęgi światła to kolonie ryb mniej więcej takiej długości.

Chris podniósł głowę i zobaczył, że Piszczalka idzie teraz obok Valihy. Cirocco rozchyliła kciuk i palec wskazujący na kilka centymetrów.

– Właściwie bardziej przypominają owady, ale oddychają w wodzie. Tworzą prawdziwe kolonie, z mózgiem roju tak jak u mrówek czy pszczoł. Nie mają jednak królowej. Organizują wolne wybory, w każdym razie na ile mi wiadomo. Cała wyborcza szopka odbywa się za pośrednictwem feromonów wydzielanych do wody w okresie

wyborów. Zwycięzca uzyskuje prawo do wzrostu do jednego metra i piastuje urząd przez siedem kiloobrotów. Jego funkcje sprowadzają się do oddziaływania na morale pobratymców. Wydziela chemikalia, które sprawiają, że rój czuje się szczęśliwy. W razie śmierci przywódcy rój przestaje się odżywiać i rozprasza się. Po zakończeniu okresu, na jaki został wybrany, rój zjada przywódcę. Najzdrowszy system polityczny, jaki kiedykolwiek widziałam.

Chris popatrzył na nią badawczo, ale nic nie wskazywało na to, że po prostu sobie z niego żartuje. Nie miał zamiaru jej o to pytać. Był ogromnie zaskoczony, że w ogóle mówiła, więc gotów był słuchać wszystkiego, co miała do powiedzenia. Od momentu opuszczenia Sklepu z Melodiami była spokojna, najwyraźniej przez cały czas była wyczerpana. Chociaż był świadkiem wielu przejawów jej słabości, czuł jednak przed nią spory respekt.

– Nox jest jednym z najbardziej sterylnych miejsc na Gai – ciągnęła dalej. – Niewiele istot może tu żyć. Woda jest zbyt czysta. Są tu otchłanie dziesięciokilometrowej głębokości. Woda jest wypompowywana i przesyłana do wymienników ciepła, gotowana i destylowana. Kiedy wraca, jest kryształowo czysta. Byłoby pięknie, gdyby było tu światło. Można by wówczas sięgnąć wzrokiem setki metrów w głąb.

Tak jak jest, też jest pięknie – spróbował wtrącić Chris.

Może masz rację. Tak, myślę, że wygląda to rzeczywiście pięknie. Nie palę się specjalnie do przeprawy. Mam złe wspomnienia. – Westchnęła i machnęła ręką w stronę wody. Ten kabel w środku łączy się z wyspą, nazywaną Minerwą. Myślę, że można to nazwać wyspą, chociaż kabel zajmuje ją praktycznie w całości. Właściwie nie istnieje prawdziwy brzeg. Zatrzymamy się tam na krótko.

– A co oznaczają pozostałe światła? Te punkty?

– Łodzie podwodne.

Po dotarciu na brzeg tytanie pozbyły się swoich juków i wyciągnęły błyszczące stalowe kliny, które okazały się siekierami bez styliska. Uzbrojone w noże tytanie ruszyły do lasu i po chwili znalazły się również trzonki. Siekiery posłużyły im do wyrąbania całych tuzinów drzew. Chris obserwował to z bezpiecznej odległości, kiedy jego oferta pomocy jak zwykle spotkała się z grzeczną odmową.

Drzewa były wspaniałe. Wysokie na piętnaście metrów, proste, o półmetrowej średnicy. Były pozbawione gałęzi i zwieńczone na czubku ogromnymi, pierzastymi pękami liści. Chrisowi przypominały wbite w tarczę rzutki.

– Czy te drzewa nie wyglądają niezwykle? – Przyłączyła się Gaby.

– Jak się nazywają?

– Zabiłeś mi klina. Słyszałam kilka różnych nazw. Żadna z nich nie przyjęła się oficjalnie. Ja zawsze nazywałam je słupami telefonicznymi, ale to za bardzo zdradzało mój wiek. W lasach są nazywane drzewami na chaty przez ludzi, którzy te chaty stawiają. Nad morzem znowu są to drzewa na tratwy. Zawsze jednak jest to ta sama roślina.

Najlepiej pewnie nazwać je drzewami kłodowymi.

Chris roześmiał się.

– Każde drzewo można tak nazwać, kiedy się je zetnie.

– Ale z żadnego innego drzewa bale nie są tak dobre jak z tego. Jest to przykład działania Gai, kiedy stara się być maksymalnie pomocna. Czasami niektóre sprawy ułatwia aż za bardzo. Spójrz.

Podeszła do zakończonego czubem szczytu powalonego drzewa, wyciągnęła nóż i zręcznie go podcięła. Włożyła nóż pod korę i cięła ku górze. Gładka kora zaczęła się oddzielać. Rozcięła pień na całej długości, oddarła korę i odsłoniła wilgotny, żółty pień,

który wyglądał jak oszlifowany.

– Niesamowite!

– To nie wszystko. Valiha, czy mogę to pożyczyć na chwilę? – Tytania podała Gaby siekiere. Chris ukląkł, kiedy badała doskonale gładki koniec odsłonięty po zdjęciu kory. Porysowany był cienką siateczką linii. Gaby machnęła siekierą, mierząc w jedną z nich. Rozległ się donośny huk.

– Nie jestem w tym tak dobra jak one – mruknęła Gaby. Uwolniła ostrze i ponownie uderzyła, z głuchym klekotem kłoda podzieliła się na kilkanaście gładkich desek. Gaby postawiła nogę na pieńku, zarzuciła siekiere na ramię i wyszczerzyła zęby, napinając mięśnie niby zwycięzca konkursu drwali pozujący do fotografii.

– Naprawdę imponujące!

– To jeszcze nic. Poza tym to nie koniec zadziwiających cudów. Kora może być przerobiona na taśmy mocne jak stal. Można je wykorzystać na spięcia kłód w tratwę. Przez kilka następnych obrotów pniaki będą wydzielać żywicę epoksydową. Tylko mniej więcej co dwudzieste drzewo da się podzielić na deski. Używamy całych pni na spód tratwy i desek do budowy pokładu. W ten sposób przypadkowe szarpnięcie nie grozi przemianiem całej konstrukcji w wielką kupę drewna. Za około cztery do pięciu obrotów tratwa będzie gotowa do spuszczenia na wodę. Koniec wykładu.

– Niezupełnie – powiedział Chris. – Powiedziałaś, że tak działa Gaja, kiedy ma ochotę współpracować. Czy te drzewa to coś nowego. To znaczy...

– W takim sensie jak tytanie są nowe? Nie, nie sędzę. Są raczej bardzo stare. Starsze niż Gaja. Należą do tych gatunków, które zostały zaprojektowane przez ten sam lud, który zaprojektował przodków Gai przed miliardami lat. Wydaje się, że lubili poręczne rzeczy. Są więc rośliny, które wytwarzają tranzystory i inne temu podobne rzeczy; są też

rzeczy o tak podstawowym przeznaczeniu jak te drzewa i są wreszcie śmieszki-hiperbydło, z których można zbierać mięso bez zabijania ich. Albo projektodawcy zaplanowali to wszystko na okres po upadku cywilizacji, albo też po prostu nie lubili hałaśliwych fabryk.

Chris, trawiony niejasnym niepokojem, zszedł samotnie na brzeg. Wiedział, że powinien być wdzięczny, że jest z Cirocco i Gaby i że może się dowiedzieć tych wszystkich rzeczy, które mogą się okazać użyteczne, kiedy będzie zdany tylko na własne siły. Zamiast się cieszyć, martwił się jednak swoją obecną bezużytecznością. Wszystko zdawało się być pod czyjąś opieką. Nie mógł gotować, nie mógł budować tratwy, ani wiosłować. Nie potrafił nawet dotrzymać kroku, gdy trzeba było szybko iść. A przecież miał być poszukiwaczem przygód, miał znaleźć sposób, by stać się bohaterem. Miast tego był kimś w rodzaju pasażera. Nie chciało mu się wierzyć, że kiedykolwiek zetknie się z czymś, z czym Gaby i tytanie nie będą mogły sobie poradzić.

Plaża usłana była drobnutkim piaskiem, który połyskiwał nawet w ciemnościach Rei. Posuwanie się w pobliżu drzew było męczące. Chris przeniósł się więc bliżej brzegu, gdzie wilgoć utwardziła piasek w bitą nawierzchnię. Jak na tak olbrzymi akwen Nox był zadziwiająco spokojny. Niskie fale syczały i biły o brzeg. Piana pryskała mu na stopy i wsiąkała w piasek.

Wyszedł z myślą o kąpieli. Po dwóch dniach wspinania się po skałach i pokonywania błotnistych ścieżek cały był oblepiony piachem. Kiedy oddalił się na tyle, że odgłosy krzątający tytanii ledwie doń docierały, poczuł się swobodnie. Nadział się na coś, co ledwie majaczyło na tle czarnego piasku. Było to złożone na kupkę ubranie. – Wzięłeś ze sobą mydło?

Gwałtownie odwrócił się w stronę, z której dochodził głos, i zobaczył ciemny krąg

na wodzie. Robin podniosła się z kucków i stanęła w wodzie sięgającej jej do pasa.

Wokół niej rozeszły się koncentryczne, srebrzyste kręgi.

– Tak się złożyło, że wziąłem – powiedział Chris, wygrzebując miękką, okrągłą kulę z kieszeni. – Cza... Cirocco powiedziała, że woda jest zimna.

– Nie jest tak źle. Możesz je tu przynieść? – Znowu usiadła, tak że widać jej było tylko głowę.

Chris zdjął ubranie i ostrożnie wszedł do wody. Była chłodna, ale zażywał już zimniejszej kąpieli. Brzeg łagodnie opadał. Pod stopami nie wyczuł żadnych oślizłych stworów, a nawet muszelek. Był to gładki, jednolity piasek, taki jakim napełnia się klepsydry.

Parę ostatnich metrów przepłynął, a potem stanął obok Robin i podał jej kulkę mydła. Zaczęła namydlać przód ciała.

– Nie zgub go – ostrzegł. – Nigdy byśmy już go nie znaleźli.

– Będę uważać. Gdzie się tego nauczyłeś?

– Czego? Masz na myśli pływanie? Byłem taki mały, że już nie pamiętam. Wszyscy moi znajomi umieją pływać. A ty nie?

– Nie znam nikogo, kto umie. Nauczysz mnie?

– Oczywiście, jeśli tylko będziemy mieli czas.

– Dziękuję. Czy możesz namydlić mi plecy? – podała mu kulkę.

Prośba zaskoczyła go, ale zgodził się skwapliwie. Być może robił to trochę zbyt gorliwie, a kiedy nie protestowała, zaczął masować jej ramiona. Pod chłodną skórą wyczuwał twarde mięśnie. Zaczęła robić to samo, sięgając w górę do jego ramion.

Wiedział, że nie zaczął nawet jej rozumieć, ale miał nadzieję, że przynajmniej tym razem dobrze odczytał jej intencje. Z każdą inną kobietą czułby się swobodnie. Pewnie by ją

pocałował i pozwolił jej spokojnie zdecydować, co dalej z tym zrobić. Przyjąłby jej odpowiedź, obojętne jaka by nie była. Czuł jednak, że Robin nie ośmieli się zadać tego pytania.

Chociaż, właściwie dlaczego nie? – zastanawiał się. Czy wszystko musi być tak, jak ona chce? Tam, skąd pochodził, taka propozycja byłaby najzupełniej w porządku, o ile zgłaszający ją uwzględniał możliwość odmowy. Nie miał pojęcia, jak załatwiali te sprawy w Konwencie, wiedział tylko, że tam taka sytuacja nigdy nie mogła zaistnieć pomiędzy mężczyzną i kobietą. Być może w sensie towarzyskim była zmieszana tak samo jak i on.

Kiedy więc przestała masować jego plecy, odwrócił się, położył delikatnie jedną dłoń na jej policzku i pocałował ją w usta. Kiedy się odsunął, wyglądała na zaskoczoną.

Dlaczego to zrobiłeś?

– Bo cię lubię. Czy w Konwencie się nie całujecie?

– Oczywiście, że tak. – Wzruszyła ramionami. – Jakie to dziwne. Nie zdawałam sobie z tego sprawy, ale inaczej pachniesz. Może niekoniecznie nieprzyjemnie, ale inaczej. – Odwróciła się od niego i nieporadnie zanurkowała w stronę brzegu. Machała rękami jak wiatrak i biła nogami bez ładu i składu, wreszcie stanęła i zaczęła wypluwać wodę, której zdążyła się sporo nałykać.

Chris zanurzył się w wodzie aż po brodę. Nigdy w życiu nie dostał takiego kosza.

Wiedział, że Robin nie uświadamiała sobie, że sprawia mu zawód, mimo to jednak było to deprymujące.

– Kiedy tu wylądowałam, trafiłam prosto w rzekę – powiedziała, kiedy brodzili płytką wodą w stronę plaży. – Jakoś wydostałam się na brzeg, ponieważ wiedziałam, że nie mam wyboru. Nie mogę jednak przypomnieć sobie jak.

– Prawdopodobnie miałaś niedaleko albo prąd ci pomagał.

– Możesz mi teraz pokazać?

– Może później.

Na plaży ponownie cisnął jej mydło. Stała w wodzie po kostki, mydląc dalszą część ciała. Obserwował ją, żałując, że nie ma więcej światła, by mógł wreszcie przyjrzeć się tatuazom. Nagle zdecydował, że lepiej będzie, jak usiądzie.

– O co chodzi?

– O nic.

– Zauważyłam, że coś się stało. – Zmarszczyła brwi. – Tylko mi nie mów, że pomyślałaś, że mógłbyś...

– Niech to się nazywa odruch galanterii, dobra? – Chris był znudzony, miał tego dość, a do tego czuł się głupio. – Odruch. Nie miałem zamiaru rzucić się na ciebie ani niczego w tym stylu. Po prostu kiedy tak stoisz, wyglądasz bardzo, ale to bardzo dobrze i... któż by się zresztą oparł?

– Chcesz powiedzieć, że tylko patrząc na mnie... – Osłoniła się ręką i przedramieniem. Według Chrisa wyglądała teraz jeszcze ładniej. – Nie wiedziałam, że moja matka to właśnie miała na myśli albo też może myślałam, że to jej kolejna pomyłka.

– Dlaczego tak sądziłaś? Wydajesz się ciągle myśleć o tym, co nas różni. Jestem z tej samej gliny co ty. Czy nigdy cię nie ponosi, gdy patrzysz na kogoś seksualnie atrakcyjnego?

– No cóż, pewnie, że tak, nie przyszło mi jednak nigdy do głowy, że mężczyzna...

– Nie wyolbrzymiaj różnic między nami. Mamy z sobą wiele wspólnego, czy ci się to podoba, czy nie. Oboje się podniecamy, oboje doznajemy orgazmu...

– Będę o tym pamiętała – powiedziała, rzuciła mu mydło, zebrała rzeczy i pędem

uciekła.

Chris zmartwił się, że być może stracił kumpla. Naprawdę ją lubił, niemal wbrew sobie. Albo wbrew niej. Chciał być jej przyjacielem.

Po chwili zastanowił się, czy rzeczywiście uciekła, bo się rozgniewała.

Przypominając sobie jeszcze raz całą rozmowę, pomyślał, że wybór momentu ucieczki można by również zinterpretować inaczej. Być może Robin nie była specjalnie zadowolona z pomysłu, że był podobny do niej. Albo też odwrotnie – że ona była tak podobna do niego.

Tratwa, którą zbudowali, z pewnością nie zdobyłaby żadnej nagrody na jakimkolwiek pokazie łodzi, ale jej rozmiary były istnym cudem, zważywszy czas, jaki zajęła budowa. Zsunęli ją po pochylni i wylądowała w wodzie z potężnym chlupnięciem. Chris wiwatował razem z tytaniumi. Robin również wrzeszczała jak opętana. Oboje uczestniczyli w pracach wykończeniowych. Tytanie pokazały im, jak posługiwać się klejem, i pozwoliły im przymocować deski pokładu, podczas gdy same instalowały barierki.

Cała ósemka swobodnie zmieściła się na tratwie. Przy dziobie była mała kabina, dostatecznie duża, by pomieścić wszystkich ludzi, oraz płachta, którą można było rozpiąć dla ochrony tytaniumi przed deszczem. Maszt, umieszczony na śródkręciu, dźwigał srebrny żagiel z Mylaru z niezbędnym takielunkiem. Sterowanie odbywało się za pomocą długiego rumpla. Za masztem w stronę rufy ustawiono kamienny krąg do rozpalania ognia.

Gaby, Chris i Robin zgromadzili się przy trapie, a tytaniumi wносиły na pokład tratwy juki, zapasy, które zgromadziły przy brzegu, a także stosy drewna opałowego. Cirocco weszła już na tratwę i ulokowała się na dziobie. Wpatrywała się niewidzącymi oczami

w przestrzeń.

– Chcą, żebym jej nadała nazwę – powiedziała Gaby do Robin. – W jakiś dziwny sposób zdobyłam sobie tutaj reputację matki chrzestnej. Powiedziałam im, że będziemy jej używali co najwyżej przez osiem dni, ale upierają się, że każdy statek musi mieć jakieś imię.

– To wydaje się sensowne – powiedziała Robin.

– Tak sądzisz? Więc sama wymyśl imię.

Robin pomyślała przez chwilę, a potem powiedziała:

– „Konstancja”. Czy można nazywać statek od...

– Świetnie. Znacznie lepsze niż poprzedniej łodzi, którą tu płynęłam.

Przez kilka kilometrów woda była na tyle płytka, że można było popychać

„Konstancję” długimi tyczkami. Mieli szczęście, ponieważ wraz z deszczem ucichł też wiatr. Pomagali wszyscy z wyjątkiem Cirocco. Chris lubił ciężką pracę. Wiedział, że jego wkład w ruch łodzi jest znacznie mniejszy niż tytanii, ale czuł się dobrze, gdy mógł pomóc chociaż trochę. Pracował całym sercem aż do chwili, kiedy nie sięgał już tyczką do dna.

Wtedy założono w dulki cztery wiosła i zaczęli wiosłować na zmiany niczym galernicy. To była o wiele cięższa robota niż popychanie tyczką. Po dwóch godzinach przy wiosłach Robin dostała gwałtownego ataku i musieli odnieść ją do kabiny.

Podczas jednego z odpoczynków Chris zajrzał do kabiny i stwierdził, że Cirocco opuściła posterunek, przypuszczalnie po to, aby się przespać. Przeciągnął się i poczuł gwałtowne skurcze mięśni.

Nocne niebo nad Reą nie przypominało żadnego z tych, które widział w snach.

W pogodny dzień na Hyperionie niebo miało jednolicie żółty kolor, a jego wysokość

była trudna do odgadnięcia. Tylko śledząc wzrokiem centralny pionowy kabel, który wznosił się do miejsca, gdzie – widoczne stąd jako cienka nitka – przebijało Okno Hyperionu, można było określić faktyczną wysokość sklepienia. Jednak nawet i wtedy trzeba było pamiętać, że kabel miał w przekroju pięć kilometrów i że nie był pajęczą nicią, w którą przekształcało go ludzkie oko.

Rea była inna. Przede wszystkim Chris był teraz bliżej centralnego pionowego kabla Rei, niż miał kiedykolwiek do wielkiej kolumny Hyperionu. Z morza wynurzał się czarny cień, który malał gwałtownie, wznosząc się coraz bardziej, aż zupełnie zniknął. Po obu stronach znajdowały się dwa kable pionowe, nazwane nieprawidłowo północny i południowy, ponieważ oba nachylone były w stronę centrum, ale nie tak bardzo, jak te, które znajdowały się za nim i skręcały na zachód. Kable niknęły w ciemności spowodowanej faktem, że nad Reą nie było okna. Rea żyła w cieniu olbrzymiej, podobnej do trąby gardzieli znanej jako Szprycha Rei.

Gdyby nie znał jej rozmiarów i kształtu z ilustracji, Chris nigdy nie zdołałby sobie wyobrazić jej prawdziwej budowy. To, co widział, wyglądało jak ciemny, szeroki owal wysoko w górze. W rzeczywistości odległość od powierzchni morza sięgała trzystu kilometrów. Brzeg gardzieli był wyposażony w zawór, który mógł się zamykać jak tęczęwka oka, odcinając od pierścienia przestrzeń powyżej niego. Teraz był szeroko otwarty, Chris mógł więc spojrzeć w głąb ciemnego, spłaszczonego cylindra aż po górny koniec, odległy o dalszych trzysta kilometrów, gdzie drugi zawór oddzielał go od piasty. Tak daleko jednak nie sięgał wzrokiem, było zbyt ciemno. Widział tylko coś, co przypominało lufę armaty, z której można było strzelać planetoidami. Była wycelowana prosto w niego, ale zagrożenie było tak niewyobrażalne, że nie mógł go brać poważnie. Wiedział, że pomiędzy dolnym zaworem i promieniem okna Hyperionu – na

przestrzeni około stu kilometrów w pionie szprycha wybrzuszała się niczym koncha trąby, zanim nie stawała się jednym ze stosunkowo cienkich wsporników dachu, który rozciągał się nad dziennymi obszarami po obu stronach Rei. Choćby się jednak nie wiem jak wysilał, nie był w stanie dojrzeć owego wybrzuszenia, chociaż można je było dostrzec z Hyperionu. Doszedł do wniosku, iż jest to jeszcze jedno złudzenie optyczne, jakich pełno było na Gai.

Gdzieś tam w górze szprychy majaczyły światła. Przypuszczał, że były to właśnie okna, o których czytał. Z tej odległości przypominały raczej światła wyznaczające pas startowy, obserwowane z samolotu podchodzącego do lądowania.

Kiedy położył się na pokładzie, stopniowo dotarła do niego obecność bliższego światła, po lewej. Usiadł i odwróciwszy się ujrzał, że powierzchnia Noxu była oświetlona od dołu i opalizowała niebieską poświatą. Początkowo pomyślał, że jest to rój owadów, o których opowiadała mu Cirocco.

– To łódź podwodna – powiedział głos po prawej. Wzdrygnął się, zaskoczony, że Cirocco podeszła do niego tak cicho. – Przed kilku godzinami wysłałam posłańców w nadziei, że uda się jedną przyciągnąć. Wygląda jednak na to, że będzie zbyt zajęta, by nas podholować. – Pokazała na niebo na zachodzie, gdzie Chris dostrzegł wielki płat głębszej ciemności, wyróżniającej się z otaczającego mroku. Nikt nie musiał mu mówić, że był to miękkołot, i to bardzo duży. – Niewielu ludzi to widziało – powiedziała Cirocco spokojnie. – Na Hyperionie nie ma łodzi, ponieważ nie ma tam mórz. Sterowce przemieszczają się swobodnie, natomiast łodzie podwodne trzymają się miejsca, w którym się urodziły. Ophion byłby dla nich zbyt płytki.

Z góry dobiegła ich seria przenikliwych gwizdów, a w odpowiedzi z rufy

„Konstancji” dobiegły ich trzaski i syki. Chris zrozumiał, że sterowiec zażądał

wygaszenia ognia, a tytanie posłusznie zastosowały się do tego.

Poczuł na ramieniu rękę Cirocco. Wskazała na wodę.

– Tam – powiedziała. Spojrzał, ciągle czując jej dłoń. Z wody wynurzyły się macki, powoli bijąc powierzchnię. Pośrodku wyrosła smukła kolumna. – To jej peryskopowe oko. Tyle widać z całej łodzi. Widzisz to długie wybrzuszenie na wodzie? To jej kadłub.

Nigdy bardziej się nie wynurza.

– Ale co ona właściwie robi?

– Parzy się. Spokojnie, nie przeszkadzaj im. Wszystko ci powiem.

Historia była prosta, aczkolwiek niekoniecznie w pełni zrozumiała. Miękkoloty

i łodzie podwodne były męskimi i żeńskimi osobnikami tego samego gatunku.

Pochodziły od bezpłciowych dzieci swojego związku, które były podobne do węży i prawie zupełnie pozbawione mózgu, póki konkurencja nie ograniczyła ich masy do niewielkiej liczby dwudziestometrowych niedobitków. W tej fazie rozwijał się ich mózg, który uzyskiwał dostęp do pewnego rasowego źródła informacji, którego ani Gaja, ani sterowce-łodzie nigdy nie wyjaśniły Cirocco. Nie miało to nic wspólnego z kształceniem, bowiem od momentu spłodzenia ani matki, ani ojcowie zupełnie nie zajmowali się swym potomstwem.

Jednak w jakiś tajemniczy sposób nabierały mądrości i wreszcie podejmowały świadomą decyzję, czy chcą być osobnikiem męskim czy żeńskim, być miękkolotem albo łodzią podwodną. Decyzja zawsze pociągała za sobą pewne ryzyko. W wodzie żyło sporo drapieżników, które pożerały młode łodzie. W powietrzu nie było takiego zagrożenia, ale był inny problem, polegający na tym, że młody miękkolot nie potrafił wytworzyć potrzebnego mu wodoru. Po przeobrażeniu skazany był na pływanie na powierzchni wody, jak pusty pęcherz, w nadziei, że jakiś dorosły pobratymiec go, rzecz by

można, nadmucha. Jeden dojrzały sterowiec mógł przyjąć co najwyżej 6-7 „maluchów” do swojego orszaku. Jeśli więc nie było w nim wolnych miejsc, mówiło się trudno.

Decyzja wyboru płci była nieodwołalna.

Miękkoloty i łodzie podwodne miały ze sobą niewiele do czynienia. Mogłyby się nawet nigdy nie spotkać, gdyby nie dwie ważne okoliczności. Po pierwsze, istniał gatunek wodorostu, który rósł wyłącznie na dużych głębokościach i bez którego sterowce nie były zdolne do życia. Po drugie zaś, drzewa tytanowe, olbrzymie wyrosła samego ciała Gai, sięgające sześciu kilometrów wysokości i rosnące tylko na wyżynach, wypuszczały przy wierzchołku liście, które stanowiły z kolei niezbędny składnik diety łodzi podwodnych.

Przyjazne stosunki leżały więc w interesie obu płci.

Coś upadło z wici, które zwieszały się spod wybrzuszenia wielkiego korpusu sterowca, i chlupnęło w wodę. Prawie natychmiast znikło, zagarnięte mackami łodzi.

Z głębokim westchnieniem sterowiec upuścił wodoru i opadł na wyciągnięte ramiona kochanki.

Później już nie bardzo było co oglądać. Wici splątały się i oba potężne cielska zetknęły się na powierzchni morza, pozostając tak przez dłuższy czas. Dopiero kiedy fale zaczęły kołysać tratwę, Chris zdał sobie sprawę, jak intensywną aktywność przesłania odległość.

– Tam dzieje się mnóstwo rzeczy – potwierdziła Cirocco. – A tak przy okazji, jest sposób, by się temu przyjrzeć naprawdę z bliska. Podróżowałam kiedyś miękkolotem, któremu zebrało się na amory. Mogę ci powiedzieć... Zresztą, mniejsza z tym. To niełatwa przejażdżka.

Cirocco zniknęła tak samo cicho, jak się pojawiła. Chris został jeszcze chwilę, żeby

popatrzeć. Po chwili usłyszał stukot kopyt o deski pokładu. Okrążywszy kabinę, podeszła do niego Valiha. Siedział teraz na krawędzi tratwy, z nogami zwieszonymi aż nad samą wodę. Valiha usiadła tak samo i przez chwilę układ cieni spowodował, że końska część jej ciała jakby znikła. Podobna była teraz do dużej kobiety z podkurczonymi, wrzecionowatymi nogami, moczącej swoje czarcie kopytka w wodzie. Ten widok wydał mu się tak irytujący, że musiał odwrócić głowę.

– Piękne, prawda? – spytała po angielsku tak śpiewnie, że przez chwilę pomyślał, że śpiewa w języku tytanii.

– Ciekawe. – Tak naprawdę to zaczynało go to nudzić. Miał już właśnie wstawać, gdy ujęła jego rękę, podniosła do ust i pocałowała.

– Och.

– Cooo? – Popatrzyła na niego, ale nie przyszło mu do głowy nic, co mógłby w tej sytuacji powiedzieć. Zresztą najwyraźniej nie miało to żadnego znaczenia. Pocałowała go w policzek, w kark, w usta wreszcie. W przerwie zdołał zaczerpnąć głęboko powietrza.

– Poczekaj, Valiha, poczekaj. – Posłuchała, patrząc na niego wielkimi, naiwnymi oczami. – Myślę, że nie jestem do tego gotowy. To znaczy... Nie wiem, co powiedzieć. Po prostu nie sędzę, bym mógł sobie z tym poradzić. Nie teraz. – Ciągle szukała jego spojrzenia. Zastanawiał się, czy szukała w nim błysku szaleństwa, zdecydował jednak, że podpowiada mu to raczej jego własny lęk. W końcu ścisnęła na krótko oburącz jego dłoń, kiwnęła głową i puściła go. Wstał.

– Powiedz mi, kiedy będziesz gotowy, dobrze? – powiedziała i umknęła.

Nie czuł się po tym wszystkim dobrze. Chociaż próbował poddać analizie powody, dla jakich ją odrzucił, żaden go nie zadowolił. W jakiejś mierze Valiha przypomniwała mu coś, co robił, kiedy był opanowany przez swoją przypadłość. Przeważnie był wtedy

znacznie bardziej odważny z wyjątkiem razów, gdy popadał w głęboką nieśmiałość.

Wyglądało na to, że tym razem miał swój okres odważny, a jednak mimo wszelkich starań nie potrafił znaleźć zadowalającej odpowiedzi na jedno pytanie: co właściwie robiły tytanie i ludzie? A także i na następne: czy i na ile jest to dla niego niebezpieczne?

Valiha była taka wielka. Śmiertelnie go przestraszyła.

Po jakichś piętnastu minutach Gaby obesła kabinę i przyłączyła się do niego na dziobie. Chciał być sam ze swymi myślami, a tymczasem jego schronienie przemieniło się w plac defilad.

Pogwizdując oparła się o barierkę, a potem trąciła go łokciem.

– Jesteś smutny, chłopie? Wzruszył ramionami.

– To było zwariowane osiem godzin. Nie wydaje ci się, że coś wisi w powietrzu?

– Na przykład?

– Nie wiem. Wszyscy są zakochani. Tam nieopodal niebo kocha się z morzem. Na brzegu raptem złapałem się na tym, że postępuję głupio wobec Robin. Gaby zagwizdała.

– Biedaczek.

Tak. Zaledwie przed kilkoma minutami Valiha chciała nawiązać do czegoś, co robiło moje szalone alter ego. – Westchnął. – Coś musi być w tym powietrzu.

No dobrze, wiesz, co mówią w takich razach. Wokół tego kręci się cały świat. To znaczy wokół miłości. A pamiętaj, że Gaja kręci się dużo szybciej niż Ziemia.

Popatrzył na nią podejrzliwie.

– Nie chcesz chyba... Podniosła ręce i potrząsnęła głową.

– Nie ja, przyjacielu. Nie mam zamiaru cię napastować. Nie bój się. Ja robię to rzadko, niezwykle rzadko. I to raczej z dziewczętami. Zresztą nie odpowiadają mi romanse. Lubię stałe związki. I dotyczy to wszystkich siedemnastu dotychczasowych. –

Zrobiła minę.

– Podejrzewam, że patrzysz na to trochę inaczej – powiedział ostrożnie. – Przy twoim wieku...

– Tak myślisz, co? Otóż wcale nie. To zawsze boli. Zawsze pragnę, aby to trwało wiecznie, a nic przecież wieczne nie jest! I to jest właśnie mój błąd. Zawsze w końcu przykładam do nich miarę Cirocco i zawsze okazuje się, że to nie to. – Zakaszłała nerwowo. – No dobra, a teraz posłuchaj. Nie chciałam się w to mieszać. Ale skoro już wsadziłam nos w twoje sprawy... Nie musisz się obawiać Valihy. W każdym razie nie w sensie uczuciowym, jeżeli to cię męczy. Na pewno nie będzie zazdrosna czy władcza, nie będzie oczekiwać, że to będzie trwało zbyt długo. Tytanie nie znają pojęcia wyłączności.

– Czy to ona prosiła cię, żebyś mi to powiedziała.

– Skąd, byłaby wściekła, gdyby się dowiedziała. Tytanie same załatwiają swoje sprawy i nie lubią, jak się w nie wtrącać. To wszechwiedząca, wtrącańska Gaby. Powiem tylko jedno i już mnie nie ma. Jeśli masz zastrzeżenia natury moralnej – może sodomia, co? – to daruj je sobie, przyjacielu. Nie słyszałeś? Nawet kościół katolicki powiada, że wszystko w porządku. Wszyscy papieże się z tym zgodzili. Tytanie mają duszę, choć są poganami.

– A jeśli mam zastrzeżenia natury fizycznej? Gaby zaśmiała się wesoło i poklepała go po policzku.

– No, chłopcze, a więc czeka cię jeszcze niejedna przyjemna niespodzianka.

22. Oko bóstwa

Łódź podwodna nie miała ochoty przerywać błogostanu, w którym się pogrążyła po pożyciu ze sterowcem, dla podholowania tratwy do Minerwy. Cirocco stanęła na dziobie,

próbując zwabić ją w języku, który łączył najmniej przyjemne odgłosy astmy i koklusu, ale światła wielkiego, żywego batyskafu stawały się coraz słabsze. Łódź pogrążała się w otchłani. Jak się okazało, miękkołot, który mógłby choćby na krótko pomóc, miał do załatwienia sprawy na zachodzie. Sterówce zawsze były chętne do podwiezienia, ale pod warunkiem, że było im po drodze.

Nie miało to wszakże większego znaczenia. Po kilku godzinach z zachodu zerwała się bryza. Wkrótce dobili do podstawy centralnego pionowego kabla Rei.

Robin przyglądała mu się uważnie, kiedy się zbliżali. Cirocco wcale nie przesadziła.

Minerwa w istocie nie była wyspą, a raczej rodzajem okrągłej półki, obiegającej kabel w miejscu, w którym przebijał lustro wody, zbudowanej na przestrzeni lat przez omułki, pseudonózki, rodzaj koralu i inne miejscowe odpowiedniki osiadłych mięczaków i skorupiaków. Problem polegał na niskim poziomie wody – faktycznie w ciągu milionów lat stopniowo się obniżał w miarę wyciągania się kabla, co było jednym z objawów starzenia się Gai. Ten efekt nakładał się na sezonowe wahania stanu wody przebiegające w krótkim cyklu siedemnastodniowym i długim cyklu trzydziestoletnim. Właśnie teraz trafili na dolny punkt długiego cyklu. „Wyspa” obiegała kabel niczym obwarzanek przyczepiony pięćdziesiąt metrów ponad poziomem wody. Jej szerokość była różnaita w różnych punktach. W niektórych miejscach sterczała na ponad sto metrów od kabla, w innych warstwa muszli i piachu pod wpływem fal czy też własnego ciężaru oderwała się i kabel wznosił się pionowo. W zasięgu wzroku pokryty był nieprzerwaną skorupą osadów. Na wysokości dwóch kilometrów leżały szczątki organizmów, które żyły w czasie, gdy na Ziemi trwała era pliocenu.

Robin zastanawiała się, w jaki sposób „Konstancja” zdoła przybić do wyspy, skoro najbliższe odpowiednie miejsce znajdowało się pięćdziesiąt metrów ponad nimi. Sprawa

wyjaśniła się, kiedy tratwa skierowała się ku południowej stronie kabla. Po tej stronie jedno z setek włókien pękło w pobliżu poziomu wody. Górna część skręciła się wysoko w powietrzu. Organizmy tworzące rafy zabudowały dolną część włókna w rodzaj zatoczki, która otaczała płaski krąg lądu na wysokości zaledwie pięciu metrów.

Wkrótce „Konstancja” przycumowała, a Robin wraz z Gaby i Psalterium przeszli przez postrzępioną rozpadlinę, stąpając po metrowych muszlach, nadal kryjących w swym wnętrzu żywe organizmy, aż na płaski koniec urwanego włókna o średnicy dwustu metrów.

Było to dziwaczne wybrzeże wyrosłe u stóp nieskończonego ogromu wznoszącej się nad nim ściany kabla. Z naniesionego piachu wyrastały szkieletowe drzewa, a w samym środku lśniła kryształowo czysta sadzawka. Cały teren był usiany wypłukanymi na kość, białymi kawałami drewna.

– Zatrzymamy się tu na parę dni – powiedziała Obój, mijając Robin z ogromnym tobołem płachty namiotowej na plecach. – Lepiej się czujesz?

– Nic mi nie jest, dziękuję. – Uśmiechnęła się do tytanii, ale tak naprawdę ciągle jeszcze trzęsła się po ostatnim ataku paraliżu. Obój dobrze się nią opiekowała. Bez tej opieki Robin z pewnością zrobiłaby sobie krzywdę.

Kiedy Gaby przechodziła obok, Robin złapała ją za łokieć i ruszyła razem z nią.

– Dlaczego się tu zatrzymujemy?

– To jest ogród Rei – powiedziała, zataczając krąg ręką. Wydawało się jednak, że sili się na dowcip. – Właściwie to Rocky ma tu pewne interesy. Z góry można przewidzieć, że nie załatwi ich wcześniej niż za dwa dni. Może trzy. Zaczynasz być nami zmęczona?

– Nie. Po prostu jestem ciekawa. A powinnam być zmęczona?

– Byłoby lepiej, żebyś nie była. Ona ma coś do zrobienia, a ja nie mogę ci

powiedzieć, co. To dla twojego dobra, możesz mi wierzyć lub nie. – Gaby uciekła z powrotem na tratwę.

Robin usiadła na kawałku drewna i przyglądała się, jak tytanie z Chrisem przygotowują obozowisko. Jeszcze miesiąc temu zmusiłaby się, by wstać i próbować im pomóc. Wymagałby tego honor, ponieważ beczynne siedzenie oznaczało przyznanie się do słabości. No i co, do cholery. Pewnie, że była słaba.

To Obój zawdzięczała, że może się do tego przyznać. Tytania śpiewała jej przez cały ostatni atak, zarówno po angielsku, jak i w swoim języku. Nie pozwoliła Robin odwracać się od swojej niemocy, zmusiła ją, by zaczęła szukać sposobów walki z nią, wykraczających poza samą odwagę. Kiedy Robin zaczęła odzyskiwać panowanie nad sobą, stwierdziła ze zdziwieniem, że to, co mówiła tytania, nie budzi w niej gniewu. Przekonała się, że Obój rzeczywiście była uzdrowicielem. W pojęciu tym mieścił się zarówno lekarz, jak i internista, psychiatra, doradca i pocieszyciel, a również i pewne inne rzeczy. Robin miała wrażenie, że Obój chętnie kochałaby się z nią przednim, intymnym sposobem, gdyby miało to jakoś pomóc. Cokolwiek robiła, działała na Robin bardziej kojąco niż wszystko, czego doświadczyła od... nie pamiętała już, od jak dawna. Pomyślała, że musiała wyjść z łona matki przygotowana do walki z całym światem. Nasu miotała się, domagając się wypuszczenia z worka. Robin otworzyła go i pozwoliła jej wysliznąć się na piasek, pewna, że nie odpełźnie zbyt daleko. Pogrzebała w kieszeni i wyciągnęła kawałek twardego karmelka zawiniętego w liść; odwinęła go i zaczęła ssać. Piasek był zbyt chłodny, więc wąż owinał się wokół kolana Robin. Cirocco stała samotnie pod ścianą kabla, bez ruchu obserwując pęknięcie. W górze Robin przyjrzała się i stwierdziła, że była to przestrzeń pomiędzy dwoma włóknami kabla. Dwa włókna stykały się z wyspą, która sama była kiedyś zewnętrznym włóknem,

zanim stała się półkolistą zatoczką. Taka sama szczelina oddzielała środkowe włókno od lewego. Poniżej poziomu wody z pewnością rozszczepiały się jeszcze szerzej. Pamiętała obraz stożkowatej góry i porastające ją lasy na Hyperionie. Tutaj szczeliny pomiędzy włóknami były nie szersze niż dziesięć metrów, częściowo zresztą zapchane były rozmaitymi żyjątkami.

Zobaczyła, że Gaby wraca z tratwy z olejną lampą. Podeszła do Cirocco. Hałas dobiegający z dołu zagłuszał słowa ich rozmowy i Robin nie mogła nic zrozumieć. Cirocco mówiła niewiele; za to Gaby sporo i to z widocznym podnieceniem. Nie wyglądała na zadowoloną; Cirocco ciągle kręciła głową.

Wreszcie Gaby dała za wygraną. Stały przez chwilę twarzą w twarz. Potem obie kobiety objęły się; Gaby musiała wspiąć się na place, by pocałować starą przyjaciółkę. Cirocco uściskała ją jeszcze raz, a potem weszła w przerwę między pasmami. Przez chwilę widać było światło jej lampy, a potem zapadł mrok.

Gaby podeszła do brzegu okrągłej zatoki, jakby chciała być możliwie najdalej od wszystkich. Usiadła i ukryła twarz w dłoniach. Przez dwie godziny nawet nie drgnęła. Podczas nieobecności Cirocco trwały zabawy i ogólne odprężenie. Tytaniom to nie przeszkadzało, Chrisowi również. Gaby denerwowała się bez przerwy, a Robin zaczęło to wszystko nudzić.

Tytanie nauczyły ją strugać w drewnie, ale nie miała do tego cierpliwości. Chciała poprosić Chrisa, żeby nauczył ją pływać, ale miała uczucie, że nie powinna się przed nim znowu obnażać.

Gaby rozwiązała problem, proponując, by po prostu ubrała się w kostium kąpielowy.

Wymyśliły coś naprędce. Sama idea kostiumu kąpielowego była dla Robin tak niewyobrażalna, jak zakładanie butów pod prysznic, ale spełniła swoją rolę. Wzięła trzy

lekcje w sadzawce na środku zagłębienia. W rewanżu podszkoliła Chrisa w walce, o której miał dotąd raczej słabe pojęcie. Na pewien czas musieli jednak przerwać naukę, kiedy i ona czegoś się nauczyła; tego mianowicie, że cios w jądra jest niesamowicie bolesny dla ich właściciela. Nie wiedziała już, jak przeproszać i naprawdę było jej przykro, ale skąd miała wiedzieć?

Senną atmosferę tych dwóch dni ożywiły tylko dwa incydenty. Jeden nastąpił wkrótce po odejściu Cirocco, gdy Gaby najwidoczniej miała ochotę trochę się rozruszać. Poprowadziła ich wąską ścieżką prowadzącą od obozowiska na wysoką półkę obiegającą kabel. Cała siódemka spędziła następną godzinę, stąpając ostrożnie po nierównym gruncie, pochylonym ku pięćdziesięciometrowej przepaści zawieszanej nad morzem. Obeszli kabel do połowy, do punktu, w którym półka się oberwała. Niedaleko znajdowało się niewielkie zagłębienie pomiędzy dwoma włóknami kabla. Wewnątrz stał przysadzisty kamienny słupek z umieszczoną na nim złotą statuetką jakiejś nieznannej istoty.

Robin pomyślała, że postać przypomina jej Królową Żabkę z dziecinnej bajki. Było to z pewnością wodne stworzenie – trzy pary nóg kończyły się foczymi płetwami. Przykucnęło, patrząc w stronę morza, przygarbione i przysadziste. Posążek omijały żywe istoty, chociaż przybrany był w girlandy wyschłych wodorostów. Jego jedyne oko było płytkim zagłębieniem.

– To stoi tutaj od przynajmniej dziesięciu tysięcy lat – powiedziała Gaby. – Kiedyś w tym oczodole było oko, diament wielkości mojej głowy. Widziałam go kiedyś.

Wyglądał tak, jakby płonął w środku. – Tupnęła nogą w piach i Robin ze zdumieniem zobaczyła stworzenie wielkości długiego psa, które wyskoczyło i umknęło na sześciu nogach zakończonych płetwami. Było żółte i raczej brzydkie; sama skóra i kości. Można

było w nim dostrzec pewne, chociaż słabe, podobieństwo do posążka. Odwróciło się, otworzyło paszczę z kilku tysiącami długich żółtych zębów, sapnęło i uciekło.

Od kiedy pamiętam, to było zawsze takie paskudne, że nawet rosomak dostałby ataku serca na sam widok. Były tak szybkie, że wybebeszyłyby cię, zanim byś je w ogóle spostrzegł. Chowały się w piasku tak jak ten tutaj. Wyskakiwały z niego ze wszystkich stron. Widziałam kiedyś sztukę, która dostała siedem śmiertelnych trafień ze strzelby, a jeszcze była na tyle żywotna, by zatłuc prześladowcę.

– Co się z nimi stało? – spytał Chris.

Gaby podniosła wielką muszlę i cisnęła nią tak, że roztrzaskała się o posąg. Z piasku natychmiast wychynął tuzin głów z otwartą paszczą. Robin sięgnęła po broń, ale jej użycie nie było potrzebne. Stwory rozglądały się zmieszane, a potem znowu się skryły.

– Zostały tu umieszczone po to, by chronić oka bóstwa – powiedziała Gaby. – Rasa, która je stworzyła, dawno już wymarła. Tylko Gaja wie coś o nich. Możecie być pewni, że tak naprawdę nie był to bożek, ponieważ nikt tutaj nie oddawał nigdy czci nikomu prócz Gai. Jak sądzę, był to rodzaj pomnika. W każdym razie minęło przynajmniej tysiąc lat, w ciągu których nikt się tym nie interesował i nie odwiedzał tego miejsca. Zmiana nastąpiła przed pięćdziesięcioma laty. Wtedy zaczęli pojawiać się pielgrzymi, a Gaja stworzyła te stwory jako wypaczenie oryginałów. Wyposażyła je tylko w jeden instynkt życiowy: obrony oka za wszelką cenę. W tej robocie były cholernie sprawne. Oko zniknęło dopiero przed piętnastu laty. Ja wiem o przynajmniej pięciu ludziach, którzy zginęli tutaj, gdzie stoimy, a pewnie było takich o wiele więcej. Kiedy jednak oko zniknęło, strażnicy nie mieli już co robić. Gaja nie zaprogramowała ich śmierci, od czasu do czasu więc coś jedzą i stają się coraz starsze. Właściwie jednak zajmują się oczekiwaniem na śmierć.

– A więc to wszystko było dla próby? – spytała Robin.

– Nawet tego nie było tutaj, kiedy zaczęła zachęcać ludzi, by... by wyruszyli w drogę i sprawdzili się... – Nie zdołała dokończyć myśli, która z pełną siłą rozpałała jej starą złość.

– Masz rację. Nie powiedziała wam jednak o jednym, mianowicie o tym, że Gaja jest pełna miejsc takich jak to. Na pewno wciskała wam ten cały kit o stu jeden smokach i klejnotach wielkich jak kupa miękkołota? Rzecz w tym, że od pięćdziesięciu lat to miejsce przeszukują gromady pielgrzymów, szukających dla siebie jakiegoś durnego zajęcia. Wielu z nich znalazło tylko śmierć, ale z ludźmi tak już jest, że jeżeli wystarczająco wielu weźmie się za coś, mogą dokonać wszystkiego. Najbardziej ucierpiały smoki. Zostało ich niewiele, a ludzi jest cała masa... Gaja może stworzyć smoka, kiedy tylko jej się spodoba, ale jest daleko. Starzeje się i nie nadąża już z wszystkim. Różne rzeczy psują się i długo nikt ich nie naprawia, o ile w ogóle ktoś to robi. Wątpię, czy został choć z tuzin smoków albo ze dwa tuziny nie splądrowanych pomników.

– A poszukiwania trwają od niedawna – wtrąciła Valiha i nie mogła zrozumieć, dlaczego Robin roześmiała się tak głośno.

W drodze powrotnej Chris odzywał się bardzo rzadko. Robin wiedziała, że marzył mu się czyny, które byłyby warte opowieści; może zresztą nieświadomie. W końcu był mężczyzną uwikłanym w męskie zabawy w ołowiane żołnierzyki. Gdyby nagle zabrakło smoków, Robin niewiele by to obeszło.

Drugi wypadek był o wiele ciekawszy. Zdarzył się, gdy zbudzili się ze swojego drugiego snu. Gaby, która za pierwszym razem nie spała, obudziła się i po wyjściu z namiotu natknęła się na olbrzymie ślady na piasku. Ryknęła na tytanie, które galopem

przycwalaowały z tratwy. Kiedy jej dopadły, obudzili się już także Chris i Robin.

– Gdzie byliście, do cholery? – dopytywała się Gaby, wskazując odciski metrowej stopy.

– Pracowaliśmy na „Konstancji” – powiedział Piszczalka. – Obój odkryła, że fale uszkodziły ją z jednej strony i...

– Ale co z tym? Przecież mieliście...

– Zaraz, poczekaj chwilę – powiedział gwałtownie Piszczalka. – Sama mówiłaś, że nie ma się tu czego bać. Ani na lądzie, ani w wodzie...

– Dobra, dobra, przepraszam. Nie kłóćmy się. – Robin wcale się nie zdziwiła, że Gaby tak szybko się wycofała. Tytanie tak rzadko się złościły, że taki wybuch musiał podziałać trzeźwiaco. – Przyjrzyjmy się temu bliżej.

Zbadały szczegółowo odcisk, a potem następne, chcąc sprawdzić, skąd przybył ten potwór i dokąd się udał. Wyniki były wielce niepokojące. Ślady pojawiały się na skraju zatoczki, podchodziły do obozu, okręzały namiot Gaby, a potem znowu znikwały w wodzie.

Jak myślisz, co to było? – spytała Valiha Gaby, która przyklękła i badała ślad przy świetle latarni.

Cholernie chciałabym wiedzieć. Wygląda jak ptasi szpon. Na Fojbe są wprowadzie takie duże ptaki, ale nie umieją ani latać, ani pływać, więc nie bardzo wiem, skąd mogłyby się tu wziąć. Może Gaja znowu coś wymyśliła. Niech mnie diabli, jeśli to nie wygląda na ogromnego kurczaka.

– Myślę, że nie chciałabym się z tym spotkać – powiedziała Robin.

– Ja też nie. – Gaby wyprostowała się, nadal marszcząc czoło. – Niech nikt tego nie zniszczy. Rocky powinna to zobaczyć po powrocie. Może ona będzie coś wiedziała.

Ciocco wróciła po ośmiu obrotach. Wyglądała na zmęczoną i głodną, ale o wiele pewniejszą niż przed wyjściem. Robin zauważyła, że śmieje się swobodniej. Obojętnie co się wydarzyło, poszło lepiej, niż można było oczekiwać.

Robin chciała coś powiedzieć, ale przychodziły jej do głowy wyłącznie pytania w stylu: „Jak poszło?” czy „Co robiłaś?” Gaby ostrzegała ją już wcześniej przed zbytnią ciekawością. Na razie będzie musiała obyć się bez odpowiedzi na te pytania.

– Może masz rację, Gaby – powiedziała Ciocco, kiedy szły w stronę obozu. –

W każdym razie cholernie bym nie chciała, żeby...

– Później, Rocky. Mamy tu coś, co powinnaś obejrzeć.

Podprowadziła ją do miejsca, gdzie znajdował się ów tajemniczy trop. Nie był już tak wyraźny, ale jednak ciągle czytelny. Ciocco uklękła, przyświecając sobie latarką, a jej czoło pokryły głębokie zmarszczki. Wydawało się, że obrażają sam pomysł istnienia takiego zwierzaka.

– Zabiłaś mi ćwieka – powiedziała w końcu. – Nic takiego przedtem nie widziałam, a przecież kręcę się stale po tej cholernej obręczy. – Zaśpiewała coś do tytanii. Robin popatrzyła na Obój, która zmarszczyła brwi.

– W wolnym tłumaczeniu powiedziała: „Gaja lubi dowcipy prawie tak samo jak każde inne bóstwo”. To, oczywiście, wiadomo.

– Olbrzymi kurczak? – powiedziała Ciocco z niedowierzaniem.

Robin nie mogła tego dłużej znieść.

– Przepraszam, nie czuję się dobrze – powiedziała i pospieszyła w mrok. Kiedy dotarła na skraj wody, spuściła się po urwisku podobnym do tego, przy którym zacumowano tratwę. Bezpieczna przed spojrzeniem tamtych, zaczęła się śmiać. Starła się nie hałasować, ale i tak śmiała się tak, że aż ją rozboleł brzuch, a łzy pociekły po

policzkach. Kiedy myślała, że już więcej nie zdierży, usłyszała krzyk Gaby.

– Hej, Rocky, chodź tutaj. Znaleźliśmy pióra.

Robin parsknęła śmiechem. W końcu się opanowała, sięgnęła do szczeliny koralowej rafy i wyciągnęła dwa urządzenia wykonane z patyków, kawałków pływającego drewna i muszli. Zaopatrzone były w sznury, którymi mogła je umocować do nóg, i miejsca na stopy.

– Gaby i Cirocco – powiedziała. – Wielcy gajańscy przyrodnicy. – Pocałowała jeden z instrumentów, a potem cisnęła go daleko w wodę.

– Lepiej się pośpiesz. Gaby przyjdzie zobaczyć, jak się czujesz. – Popatrzyła w górę i ujrzała Obój. Pomachała drugim szczudłem i posłała je w ślad za pierwszym.

– Dziękuję za rozrywkę.

– Proszę bardzo – powiedziała Obój. – Valiha chyba coś podejrzewa, ale nic nie powie. – Uśmiechnęła się szeroko. – Myślę, że zaczyna mi się ta podróż podobać, ale na razie koniec głupich żartów, zgoda?

23. Burza i cisza

Mocny zachodni wiatr popychał „Konstancję”, kiedy odbili od wyspy Minerwy.

Gaby cieszyła się z tego. Spojrzała w górę i dostrzegła, że dolny zawór już się zacisnął.

Gorzkie doświadczenie nauczyło ją, że oznaczało to, iż wewnątrz szprychy zapanowała już na dobre zima. Ściany wraz z wyrastającymi z nich drzewami pokryje warstwa lodu.

Kiedy zacznie się odwilż, cała ta woda wraz z wielotonową masą odłamanych gałęzi zbierze się na dnie szprychy. Po jej otwarciu Rea nie będzie zbyt miłym miejscem.

W ciągu pięćdziesięciu obrotów Nox podniesie się o dwa metry albo i więcej.

Nikt nie pytał Cirocco o jej wyprawę. Gaby podejrzewała, że odpowiedź, gdyby ją poznali, mogłaby ich zaskoczyć, nie wyłączając tytani.

Cirocco bowiem poszła porozmawiać z Reą, peryferyjnym mózgiem, który panował nad obszarem rozciągającym się w promieniu stu kilometrów i który podlegał tylko samej Gai. Był to mózg całkowicie szalony.

Do regionalnych mózgów można się było dostać wyłącznie poprzez centralne, pionowe kable. Wszystkie zlokalizowane były na samym dole, u podstawy pięciokilometrowych spiralnych schodów. Nie wiedziały o tym nawet tytanie.

Dysponowały ograniczoną wiedzą na temat dwunastu półbogów, bo Gaja, kiedy stworzyła tytanie – łącznie z całą kulturą i gatunkową mądrością – nie widziała powodu, by obciążać im głowy tymi regionalnymi zarządcami. Były to jednak tylko przybudówki Gai i nic więcej, quasi-inteligentne, podrzędne mechanizmy, które zapewniały bezawaryjne funkcjonowanie jakiegoś ograniczonego terenu. Ale nawet gdyby tytanie traktowały je jako podległe bóstwa, to i tak mogłoby to zmniejszyć ich szacunek dla samej Gai. Posłuszne tym zamysłom, tytanie nie interesowały się tymi wielkimi węzłami nerwowymi bardziej niż niczego nieświadomy turysta. Dla nich Hyperion był miejscem,

a nie osobą.

Rzeczywistość była zupełnie odmienna, i to na długo przed pojawieniem się tytanii.

Być może niegdyś, w czasach młodości Gai, mózgi rzeczywiście były jej całkowicie podporządkowane. W każdym razie ona tak twierdziła. Teraz jednak cała dwunastka była coraz bardziej samodzielna. Swoją wolę Gaja musiała przeprowadzać prośbą lub groźbą.

W przypadku Hyperionu wystarczyła zwykła prośba. Był to najbliższy sojusznik Gai na obręczy, jednakże sam fakt, że musiała prosić, pokazywał, jak daleko zaszły sprawy.

Gaja zachowała na obręczy niezbyt wiele władzy rozumianej w sensie bezpośredniej kontroli.

Gaby miała okazję spotkać kilka mózgów regionalnych; sam Hyperion wielokrotnie.

Uważała go za nudnego robota. Podejrzewała, że jak zwykle łotry były znacznie bardziej interesujące niż grzecznisie. Hyperion zwykł wciskać słowo „Gaja” co najmniej dwa razy do każdego zdania. Gaby i Cirocco widziały się z nim na krótko przed Karnawałem.

Centralny kabel Hyperionu zawsze przyprawiał Gaby o dziwne uczucie. Poznała go dokładnie wraz z Cirocco i resztą załogi „Ringmastera” w czasie pierwszych tygodni pobytu na Gai. Nie wiedząc o tym, znaleźli się wtedy o kilkaset metrów od wejścia.

Gdyby je znaleźli, oszczędziliby sobie okropnej podróży.

Rea to było zupełnie coś innego. Gaby nigdy nie odwiedziła żadnego z wrogów Gai.

Cirocco natomiast spotkała się z wszystkimi za wyjątkiem Okeanosa. Była przecież Czarodziejką i miała odpowiednie pełnomocnictwa Gai. Takiej ochrony Gaby żadną miarą nie mogła uzyskać. Zabicie Cirocco sprowadziłoby cały gniew Gai na kraj mordercy. Zabicie Gaby może trochę zdenerwowałoby Gaję, ale nic poza tym.

Byłoby jednak mylące nazywać Reę wrogiem Gai, chociaż połączyła się sojuszem z Okeanosem w czasie sławetnej rebelii. Była zbyt nieobliczalna, by którakolwiek ze

stron mogła na niej polegać. Cirocco była tu już raz i ledwie uszła z życiem. Cholernie trudno było zaczynać właśnie od Rei, ale też z drugiej strony pominięcie jej i powrót w późniejszym terminie też nie były zbyt rozsądne. A miały odwiedzić jedenaście z dwunastu mózgow regionalnych. Miały głęboką nadzieję, że Gaja jeszcze nic o tym nie wie.

Na pewno było to ryzykowne przedsięwzięcie, ale Gaby była przekonana, że można je zrealizować bez wywoływania podejrzeń. Nie oczekiwała całkowitego bezpieczeństwa, byłoby to idiotyczne. Chociaż oczy i uszy Gai nie wyglądały tak, jak je sobie wyobrażali niektórzy ludzie, miała ona jednak wystarczające kontakty na obręczy, by w końcu dowiedzieć się o wszystkim, co się tam działo.

Liczyły na to, że im się upiecze. Niektóre sprawy powinny pójść bez trudu.

Czarodziejce nie bardzo wypadało przejść na przykład przez Kriosa bez złożenia wizyty.

Jeżeli Gaja chciałaby wiedzieć, dlaczego Czarodziejka odwiedza takiego nieprzyjaciela, jakim był Japetus, Cirocco mogła zawsze powiedzieć, że po prostu zapoznaje się ze sprawami na obręczy; w końcu to było częścią jej pracy. Gdyby ją spytano, dlaczego nie powiedziała Gai o tej wycieczce, mogłaby twierdzić, zgodnie z prawdą zresztą, że Gaja nigdy dotychczas nie domagała się sprawozdań z każdej najdrobniejszej sprawy.

Wizyta u Rei była jednak trudna do wytłumaczenia. Biedna, kapryśna Rea mogła stać się najbardziej niebezpiecznym mózgiem regionalnym Gai, gdyby doszło do otwartej konfrontacji. Przemierzanie jej obszaru nie było niebezpieczne. Tak wiele czasu spędzała na badaniu swego wnętrza, że rzadko zauważała, co się dzieje na górze. Z tego powodu Rea jako kraj powoli chyliła się ku upadkowi. Nie sposób jednak było przewidzieć, co mogłaby zrobić, gdyby ktoś zszedł na dół, by z nią porozmawiać. Gaby próbowała przekonać Cirocco, że mogą zupełnie ją pominąć, i to nie tylko z uwagi na

niebezpieczeństwo. Byłoby trudno wyjaśnić, dlaczego Czarodziejka zaryzykowała taką podróż.

Tajemniczy stwór, który ich odwiedził, kosztował Gaby sporo nerwów. Z początku pomyślała, że mogło to być jedno z narzędzi Gai, jak na przykład obrzydliwe małe stworzenie, które witało pielgrzymów w piasku. Teraz miała jednak sporo wątpliwości.

Podejrzewała, że raczej była to jedna z zabaw Gai. Coraz więcej czasu poświęcała wymyślaniu żartów biologicznych, które później szalały po pierścieniu. Choćby takie brzęczące bomby. To dopiero był paskudny dowcip.

Kiedy spytała Cirocco o przebieg widzenia, Czarodziejka sprawiała wrażenie, że wszystko jest w najlepszym porządku.

– Podbudowałam jej dobre mniemanie o sobie tak ostrożnie, jak tylko umiałam.

Chciałam pozostawić ją z myślą, że dalece przewyższa Gaję, że nie musi się nawet zniżać do odpowiedzi, kiedy tamta się odezwie. Jeśli się nie odezwie, nie powie jej też, że u niej byłam.

– Mam nadzieję, że nie powiedziałaś jej, że ma nie mówić?

– Za kogo mnie masz? Myślę, że rozumiem ją jak nikt inny. Nie, wszystko

prowadziłam możliwie otwarcie i rutynowo, zważywszy, że mam na połowie ciała oparzenia drugiego stopnia od ostatniego razu. A przy okazji, możesz ją oznaczyć dużym czarnym X, o ile jeszcze tego nie zrobiłaś.

– Żartujesz? Nawet jej nie wciągnęłam na listę. Cirocco na chwilę zamknęła oczy i potarła czoło.

– Potem kolej na Kriosa i pewnie znowu X. Nie sądzę, by to miało dokądkolwiek zaprowadzić, Gaby?

– Nigdy nie mówiłam, że to się uda, ale musimy przynajmniej spróbować.

Początkowo wiatr popychał ich wzdłuż długiego łańcucha małych wysp rozsianych na centralnym Noxie, potem jednak zamarł zupełnie. Niemal przez cały dzień panowała kompletna cisza morska. Ciągłe nie było wiatru, więc Gaby zagnała wszystkich, włącznie z Cirocco, do wiosel.

Męczyli się już od dwudziestu obrotów, kiedy zasuwą zaczęła się otwierać. Wbrew oczekiwaniom z gwałtownie otwierającej się dziury nad nimi wcale nie zaczęły się wylewać potoki wody. Zawór działał jak gąbka. Wchłonał wody wielkiej odwilży, a potem stopniowo je uwalniał. Woda płynęła miliardem strumyków, które rozбивały się na niezliczone kropelki. Dalej zachodził złożony proces, w toku którego zimna woda i lodowate powietrze zderzały się z ciepłymi masami powietrza na dole, prąc niepowstrzymanie w dół. Ponieważ znajdowali się na wschód od zaworu, chociaż odchylenie było niewielkie, najgorsze uderzenie burzy i ulewnego deszczu zrazu ich ominęło, przesuwając się tak samo, jak odchyłała się Robin w czasie swojego wielkiego upadku: na zachód, w stronę Hyperionu. Nie sposób było stwierdzić, kiedy wiatr staje się niebezpieczny.

Lot rumowiska, zaśmiecającego górną, wewnętrzną powierzchnię zaworu, można było określić prostymi równaniami fizycznymi. Gdyby trafiło, mogłoby niewąsko chlupnąć. Niektóre szczątki były całymi drzewami większymi od sekwoi. Gaby wiedziała, że nie powinno być z tym problemu, ponieważ zawirowania w atmosferze nie miały większego wpływu i śmieci spadną na zachodzie.

Wiosłowali zawzięcie, nawet wówczas, gdy oczekiwany powiew przybrał na sile, i obserwowali schodzącą w dół burzę. Spadała godzinami. Uderzyła w powierzchnię morza i zaczęła przesuwać się jak odwrócony grzyb wybuchu.

Zaczęli napotykać fale i zabłąkane porywy wiatru, które smagały mocną materię

żagla. Gaby widziała nadchodzący deszcz, słyszała nasilający się pomruk. Kiedy w nich uderzył, mieli uczucie, że zderzyli się ze ścianą wody. Jej ojciec dawno temu nazwał taki deszcz „dusicielem żab”.

Wiatr nie był tak silny, jak się obawiała, ale wiedziała, że w każdej chwili może przybrać na sile. Nadal byli o wiele kilometrów od najbliższego lądu. Ci, którzy akurat nie wiosłowali, próbowali wyczuć dno tyczkami. Kiedy na nie natrafili, tytanie zostawiły wiosła ludziom i zaczęły popychać tratwę w stronę brzegu. Przybycie do niego było operacją niebezpieczną, bowiem fale sięgały teraz dwóch metrów wysokości, ale na szczęście nie było tu skał czy raf przybrzeżnych. Wkrótce Piszczalka wskoczył do wody z liną w ręce, dopłynął do brzegu i zaczął przyciągać tratwę.

Gaby zaczęła już myśleć, że mimo wszystko będzie to normalka, kiedy jedna z fal podrzuciła rufę i zmyła Robin z pokładu. Chris był najbliżej. Wskoczył do wody i po chwili był już przy niej. Gaby ruszyła, żeby pomóc mu wejść z powrotem na łódź, ale zdecydowała, że w tym punkcie łatwiej będzie wyciągnąć Robin prosto na brzeg. Wraz z nią Chris dopłynął na fali na płyciznę, pomógł jej stanąć na nogi, a potem razem upadli, powaleni siłą przyboju. Przez chwilę Gaby straciła ich z oczu; potem pojawił się Chris, obejmujący Robin. Szybko przeniósł ją poza zasięg fali. Postawił ją na nogi, ale znów upadła na kolana, kaszląc i odganiając go ruchem ręki.

Tytanie wyciągnęły „Konstancję” na plażę i pięć minut uwijały się wśród wzmagających się fal, zdejmując z niej wszystko, co się dało. Kiedy próbowały zwinąć żagiel, podmuch zdarł go z masztu. Poza tym wszystko się uratowało.

– No cóż, mieliśmy trochę szczęścia – powiedziała Cirocco, kiedy znaleźli miejsce sposobne do rozbicia obozu na małym wzniesieniu porośniętym drzewami chroniącymi od wiatru. – Czy oprócz żagla coś zginęło?

– Mój toból otworzył się z jednej strony – powiedziała Valiha. – Woda się wdarła i myślę, że w namiocie Chrisa zamieszkują teraz ryby. – Wyglądała tak ponuro, że Chris nie mógł się powstrzymać od śmiechu.

– Możemy mieszkać we dwójkę – powiedziała Robin. Gaby nie spodziewała się tego. Popatrzyła na Robin, która nie podnosiła oczu znad gorącej filiżanki kawy w swojej ręce. Siedziała przy małym ognisku rozpalonym przez tytanie, z kocem zarzuconym na ramiona, i wyglądała jak zmokła kura.

– Wyobrażam sobie, że tym razem wolicie zostać w namiotach! – zasugerowała Cirocco, wodząc wzrokiem po tytaniach.

– Jeśli nas przyjmiecie – powiedział Psalterium. – Chociaż podejrzewam, że będziecie bardzo nudnym towarzystwem.

Gaby ziewnęła.

– Podejrzewam, że masz rację. Co wy na to, maluchy? Włazimy do łóżka i będziemy nudni?

Gaby stała się przywódcą wyprawy, od kiedy okazało się, że Cirocco nie chce mieć z tym nic do czynienia. Od momentu złożenia funkcji kapitana Cirocco nigdy za bardzo się nie paliła do przejmowania odpowiedzialności, chociaż wtedy, gdy ją już do tego zmuszono, sprawowała się zupełnie dobrze. Teraz jednak nie było żadnej dyskusji; Gaby kierowała ekipą i koniec. Gaby pogodziła się z tym i nawet przestało ją to irytować, że tytanie, kiedy im coś zlecała, bezwiednie popatrywały na Cirocco. Nie mogły się po prostu oprzeć. To ona była Czarodziejką, ale oczywiście były gotowe wypełniać wszelkie polecenia Gaby, o ile było jasne, że Cirocco nie ma nic przeciwko temu.

Stan Cirocco poprawiał się. Najgorsze nadal były poranki. Ze względu na to, że spała znacznie dłużej niż inni, musiała pokonać więcej poranków. Kiedy się budziła, wyglądała

jak śmierć. Trzęsły się jej ręce, a rozbiegane oczy szukały pomocy, która znikąd nie nadchodziła. Jej sen był niewiele lepszy. Gaby słyszała, jak Cirocco krzyczy w nocy. Był to jednak problem, z którym musiała sobie poradzić sama. Podstawową troską Gaby było teraz wyznaczenie tras. Wylądowali na północnym łuku Długiej Zatoki. Zawsze, kiedy żeglowała przez Nox, płynęła Zatoką Węży, wcinającą się w ląd ku ujściu Ophionu. Obie zatoki dzielił skalisty grzbiet. Łądem w linii prostej do rzeki mieli zaledwie pięć kilometrów, wzdłuż brzegu natomiast przynajmniej dwadzieścia pięć kilometrów. Gaby niezbyt dobrze знаła ten region, nie pamiętała, czy rzeczywiście plaża na całej linii da się przebyć. Sądziła, że pomiędzy skałami na północy jest przejście, ale również i tego nie była pewna. I do tego jeszcze ta burza. Jeśli pójdą plażą, wiatr może być bardzo dokuczliwy. Z kolei gdy pójdą na przełaj, będą się musieli męczyć na błotnistych, śliskich ścieżkach, i to w mroku lasu.

Poczekwała kilka godzin, licząc na to, że burza osłabnie, naradziła się z Cirocco, która nie powiedziała jej nic, czego by nie wiedziała, a potem zarządziła zwijanie obozu i nakazała Psalterium, by ruszał na przełaj.

Nigdy nie miała okazji stwierdzić, czy był to dobry wybór, ale jak się okazało, nie było tak źle. W kilku miejscach musieli się posuwać bardzo ostrożnie. Teren nie był jednak tak wyboisty, na jaki wyglądał. Wyszli na południową plażę Zatoki Węży. Samej plaży było niewiele, bo brzeg przypominał raczej norweski fiord, ale od tego miejsca znała już drogę. Autostrada Transgajańska wracała tu nad Ophion po przebiciu się przez Północną Reę i przez niesamowite przełęcz zachodnich Gór Nemezis.

Z jakichś powodów dzieło Gaby na tym trzydziestokilometrowym odcinku zachowało się w lepszym stanie niż gdziekolwiek indziej na Gai. Znaczna część asfaltu była popękana i pełna wyboi, w niektórych miejscach w ogóle splukana, ale posuwając

się naprzód, co jakiś czas natykali się na pięć-dziesięcio-, a nawet stumetrowe odcinki nawierzchni mało zmienionej od czasów, gdy kładły ją ekipy Gaby. Prawdopodobnie podłoże drogi było tu szczególnie twarde i stabilne. Żeby wybudować tu drogę, Gaby musiała sporo wysadzić. Sądziła, że regularne opady już dawno wszystko zniszczyły. Droga wiła się zakosami w górę, obok siedmiu potężnych pomp rzecznych ulokowanych w wąwozie. Gaby nazwała te pompy: Doktor, Szczęściarz, Kichuś, Zrzęda, Śpioch, Zawiany i Lękliwy. Wcale się z tego nie miała zamiaru tłumaczyć. Nic na to nie mogła poradzić, że skończyły się jej greckie imiona. Najtrafniejsze były Kichuś i Zrzęda. Pompy robiły masę hałasu. Pewnie sporo też dałoby się powiedzieć o pochodzeniu imienia Zawiany.

Kiedy dochodzili do górnego końca systemu, burza zaczęła słabnąć. Był to najwyższy punkt rzeki. Z poziomu Noxu, najwyżej położonego z wszystkich głównych mórz Gai, siedem kolosów podnosiło wodę o dalszych 4000 metrów. Miejsce nazywano Przełęczą Gai. Z jednej strony rozciągał się na zachodzie widok na alpejską ścianę Łańcucha Nemezis – wyszczerbiony grzebień podświetlony soczystym zielonym i niebieskim światłem z Kriosa, którego północne jeziora i południowe równiny rozciągały się za górami. Na przełęczy nadal padało, ale na wschodzie już się przejaśniało. Gaby postanowiła zbudować łodzie i z całą grupą ruszyć rzeką, próbując dotrzeć do suchego lądu bez rozbijania przedtem obozu.

Chris jak zwykle wprawiał Gaby w rozbawienie. Przyglądał się ciekawie tytaniom, które wybierały odpowiednie drzewa i kilkoma starannie mierzonymi uderzeniami rozwalały je na idealnie gładkie drażki i deski pokładu. Z podziwem patrzył, jak za pomocą czopów łączyły je w ramy, które wystarczyło teraz obciągnąć powłoką, którą przechowali z pierwszej flotylli na Hyperionie. Właśnie mijał jeden obrót, kiedy

ukończyli przygotowania do drogi.

Gaby złapała się na tym, że obserwuje Chrisa w czasie załadunku łodzi. Zdziwiło ją to, ale musiała przyznać, że pod wieloma względami nie można mu się oprzeć. Z pewną smętną zadumą zazdrościła mu tej jego niemal dziecięcej ciekawości i gotowości słuchania jej i Cirocco opowieści o cudach Gai. Kiedyś była taka sama. Z Robin było na odwrót. Zwykle słuchała tylko tak długo, póki się nie upewniła, że to, o czym mowa, nie ma dla niej żadnego praktycznego znaczenia. Gaby przypuszczała, że to twarde życie uczyniło ją taką, chociaż przecież i Chris miał nielekko. Widać to było zwłaszcza wtedy, gdy popadał w swój spokojny, zamyślony nastrój. Był raczej nieśmiały, ale nie na tyle, by kryć się w tle. Kiedy był pewny, że ktoś go rzeczywiście słucha, potrafił być dobrym gawędziarzem.

Musiała też przyznać się w duchu, że pociąga ją również fizycznie. Ciekawe, że ostatni romans z mężczyzną miała przed ponad dwudziestu laty. Czowała się dobrze, kiedy się uśmiechał, i wspaniale, kiedy to ona była przyczyną tego uśmiechu. Jego twarz miała jakąś przewrotną urodę. Miał tęgie bary, mocne ramiona i wąskie biodra. Wałeczek tłuszczu w pasie prawie zupełnie już zgubił; po kilku tygodniach będzie smukły i gibki, taki jakich lubiła. Z trudem powstrzymywała się, by nie przegarnąć palcami jego czupryny i nie sięgnąć do jego spodni, by sprawdzić, jak tam u niego z innymi rzeczami. Ale jeszcze nie w tej podróży. Była przecież Valiha, była Cirocco, która nie wchodziła w grę tylko z racji swego olbrzymiego kaca, a nawet – jak zaczęła podejrzewać – Robin, wykazująca oznaki gotowości do podjęcia eksperymentu z zakresu badań międzykulturowych.

Miała dosyć swoich problemów i nie powinna ich mnożyć, próbując wpasować go do tego, co zrobiła ze swojego życia erotycznego. Wiedziała też, że potencjalnie

największym problemem był ten, którego na razie najmniej był świadomy, a który nazywał się Cirocco. Chris nie był na nią przygotowany i Gaby zamierzała zrobić, co tylko w jej mocy, by go przed nią ochronić.

Odcinek Ophionu, którym teraz żeglowali, bardzo się różnił od tego, którym płynęli na Hyperionie. Musieli być niezwykle odważni. Gaby zażądała, żeby przy pokonywaniu najgorszych progów zarówno z przodu, jak i z tyłu łodzi znajdował się doświadczony żeglarz. Wszystkie tytanie spełniały ten warunek, podobnie jak Gaby i Cirocco. Chris, choć trochę mało obeznany, nadawał się również. Robin była absolutnym nowicjuszem, a poza tym nie umiała pływać. Gaby umieściła ją pomiędzy dwoma tytaniem, pozostałą dwójkę w następnej łodzi, a sama z Chrisem i Cirocco zajęła trzecią. Czwartą wzięli na hol. W miejscach spokojnych pozwalała, by Robin prowadziła, i wtedy przyłączała się do niej, pokazując jej, jak sterować. Podobnie jak we wszystkim, co robiła, Robin przykładała się i wkrótce już widać było wyraźne postępy.

Sama podróż dostarczała wielu emocji. Chris płonął entuzjazmem, ale również i Robin kipiała z podniecenia, kiedy dotarli do końca serii progów. W pewnej chwili nawet zasugerowała, by wrócili i powtórzyli całą zabawę, a zrobiła to z miną trzyletniego brzdąca. Męczyło ją siedzenie samej z przodu. Gaby doskonale to rozumiała. Niewiele było rzeczy, które lubiła bardziej niż kielznanie spienionej wody. Kiedy płynęła z Psałterium, ryzykowała, prowokowała rzekę. Teraz, chociaż bawiła się przednio, wiedziała już o czymś, do czego Cirocco doszła dawno temu. Kiedy prowadzisz grupę, to jest zupełnie inaczej. Dźwigając odpowiedzialność za innych, łatwo o przesadną nawet ostrożność i pewną zrzędlivość. Musiała stanowczo domagać się od Robin, by tamta nałożyła dmuchaną kamizelkę ratunkową.

Osiągnęli strefę zmierzchu w zachodniej części Kriosa bez konieczności rozbicia

obożu. Wszyscy czuli w kościach przyjemne zmęczenie. Zjedli lekką kolację i potężne śniadanie i ruszyli dalej terenem, który stopniowo się rozjaśniał. Jeżeli coś jeszcze mogło wzmóc radość żeglowania, to na pewno przejście z deszczowej mgły Rei w słoneczny blask Kriosa. Tytanie zaintonowały śpiewy, zaczynając od tradycyjnej pieśni podróżników „Cudowny czarodziej z OZ”. Kiedy skończyli, Gaby bez wstydu czy zdziwienia poczuła, że jej oczy wypełniają się łzami.

Ophion wydobywał się na pełne światło dnia w punkcie leżącym nieco na północ od zachodniego ukośnego kabla, podobnego do Schodów Cirocco, ale biegnącego w innym kierunku. Potem rzeka skręcała na południe i płynęła prosto przez ponad sto kilometrów. Katarakty były tutaj rzadsze, chociaż rzeka nadal płynęła wartko. Żegluga nie nastęrczała żadnych trudności, bo prąd sam ich niósł i tylko na nielicznych spokojniejszych odcinkach trzeba było trochę powiosłować.

Gaby zarządziła wczesny postój, kiedy dopłynęli do miejsca, w którym obozowała już kiedyś. Uważała, że jest to najładniejsza okolica w całym Łańcuchu Nemezis. Mieli się tu zatrzymać na osiem obrotów, pospać, a potem ruszyć dalej. Pomysł spodobał się wszystkim, zwłaszcza tytaniom, które planowały przyrządzić, po raz pierwszy od kilku dni, przyzwoity posiłek.

Kiedy Chris rzucił myśl, żeby złowili coś, co tytanie będą mogły włożyć do garnka, Gaby pokazała mu trzcinę odpowiednią do sporządzenia wędki. Robin też okazała zainteresowanie, więc Gaby nauczyła ją, jak zakładać przynętę i zarzucać wędkę, a także jak posługiwać się prostym drewnianym kołowrotkiem dostarczonym przez tytanie.

Weszli do płytkiej wody, stąpając bosymi stopami po gładkich kamieniach, i zabrali się do łowienia.

– Co tu można złowić? – spytał Chris.

– A czego byś się na Ziemi spodziewał po takim strumieniu?

– Pewnie pstrągów.

– Więc będą pstrągi. Myślę, że tak z tuzin byłby w sam raz.

– Mówisz poważnie? Naprawdę są tu pstrągi?

– Tak, i to prawdziwe, a nie tylko miejscowe imitacje. Dawno temu Gai wydawało się, że powinna przyciągać turystów. Teraz jest to jej w dużej mierze obojętne. Zarybiła jednak masę strumieni i narybek rozwinął się bardzo dobrze. Ryby są naprawdę spore.

Tak jak ta na przykład. – Jej wędka wygięła się w kabłąk. Po kilku minutach miała w siatce rybę, jakiej Chris w życiu nie widział i oczywiście nigdy nie złowił.

Robin wpięrow zerwała linkę, ale zaraz potem wyciągnęła rybę podobnych rozmiarów. Po pół godzinie wykonali plan, ale Chris walczył jeszcze z potworem, który wyglądał mu raczej na wieloryba niż na pstrąga. Kiedy wreszcie wyskoczył w powietrze, zaiskrzył się jednak znajomymi barwami, miotając się tak, jak tylko pstrągi potrafią.

Przez całe dwadzieścia minut Chris się z nim mordował, by wreszcie wyciągnąć rybę, jakiej nawet Gaby jeszcze nie widziała. Popatrzył na nią z nieukrywanym zachwytem, a potem podniósł ją i spojrzał raz jeszcze.

– Co powiesz o tej, Gaja? – krzyknął. – Czy ta jest dość wielka?

24. Grota

Chris od razu to zobaczył. Po prostu maleńka plamka daleko na północy, unosząca się wysoko w powietrzu. To ona właśnie musiała być źródłem tego uporczywego wycia, które słyszał już dwukrotnie. Patrzył, jak znika za grzbietem góry, ale nawet potem dźwięk dochodził jeszcze przez prawie minutę.

– Valiha – powiedział. – Skręcam w lewo.

– Idę tuż za tobą.

Chris podprowadził łódź blisko Gaby i Psalterium. Wciągnął wiosła i przytrzymując się burty tamtej łodzi, bez trudu przeskoczył do nich. Gaby zmarszczyła brwi.

– Nie uważasz, że już najwyższy czas, żebyś nam wyjaśniła, o co tu chodzi?

Powiedziałaś, że nauczysz nas rzeczy, które mogą się nam przydać.

– Czyżby? – Naburmuszyła się jeszcze bardziej, ale dała za wygraną. – Naprawdę

nigdy nie próbowałam czegokolwiek przed wami ukrywać, wierz mi. Rzecz w tym, że niemiło mi nawet mówić o tym. Ja... – Podniosła głowę i zobaczyła, że Robin również się przysłuchuje. – No dobrze. Nazywamy je brzęczącymi bombami. To coś nowego.

Zupełnie nowego. Po raz pierwszy spotkałam się z tym przed jakimiś sześciu-

siedmiu laty. Gaja musiała nad nimi pracować od dawna, bo są tak cholernie nieprawdopodobne, że w ogóle nie powinny istnieć. Jest to najpaskudniejsza rzecz, jaką

w życiu widziałam. Są to żywe samoloty napędzane przepływowymi silnikami

odrzutowymi. Albo może silnikami pulsacyjnymi. Ten, który badałam, był zdrowo

pogruchotany i wypalony na wiór. W kilka lat po pojawieniu się pierwszego zamówiłam

na Ziemi starą raketę naprowadzaną podczerwienią i zestrzeliłam drania. Miał około

trzydziestu metrów długości i był zdecydowanie tworem organicznym, chociaż jego

korpus zawierał też masę metalu. Nie mam pojęcia, jak to możliwe, muszą w nim

zachodzić zupełnie nieznanne procesy chemiczne, zwłaszcza w okresie życia płodowego.

W każdym razie zastanawiałam się, na jakiej zasadzie ten stwór lata. Miał skrzydła i na pewno nimi nie machał na ptasią modłę. Działał raczej jak samolot, który używa odchylanych skrzydeł zamiast lotek. Miał duże nogi, składane w locie. Wątpię, czy mógł na nich przemierzać większe odległości. Wyposażony był także w dwa pęcherze paliwowe, zawierające prawdopodobnie naftę albo etanol, a może mieszaninę obu.

– Od razu zaczęłam się zastanawiać, w jaki sposób jest w stanie zjeść tyle, by wytworzyć takie paliwo w ilości, która wystarczyłaby dla efektywnego lotu. Chcę powiedzieć, że na ziemi wydawał się cholernie niezręczny. Na dodatek, jeżeli to paskudztwo rzeczywiście napędzane jest silnikiem przepływowym, nie ośmieliłby się lądować gdziekolwiek za wyjątkiem szczytu urwiska lub wierzchołka wysokiego drzewa. Taki silnik pracuje dopiero wtedy, gdy pojazd jest w ruchu. Potrzebował więc jakiegoś wspomaganie albo też upadku z dużej wysokości, który pozwoliłby mu osiągnąć prędkość wystarczającą do zapłonu silnika. Wszystko to wydawało mi się niepojęte. Wreszcie doszłam do wniosku, że one nie wytwarzają jednak własnego paliwa.

Pokarm, którym się żywią, podlega mniej więcej normalnemu metabolizmowi zwierzęcemu, a więc w paliwo muszą się zaopatrywać ze źródła zewnętrznego albo z kilku źródeł. Najprawdopodobniej chodzi o jakieś inne nowe stworzenie, prawdopodobnie zamieszkujące wyżynę. Nie doszłam jednak na razie, gdzie to jest.

– Czy są niebezpieczne? – spytała Robin.

– I to bardzo. Całe szczęście, że nie ma ich wiele. Z początku myślałam, że ciężko im będzie kogoś zaskoczyć, ale okazało się, że byłam w błędzie. Otóż przenoszą się one z prędkością pięćset kilometrów na godzinę. Nawet kiedy silnik pracuje, masz go praktycznie na głowie zanim się spostrzeżesz. Mogą również wygasić silnik przy tej

prędkości i poruszać się lotem ślizgowym przy samej ziemi. Mają haczykowate nosy i potrafią nadziać ofiarę i odlecieć, by pożreć zwłoki w spokoju.

– Ślicznie, prawda?

– O tak, naprawdę pięknie.

– Czym się żywią? – spytał Chris. – Wszystkim, co zdołają unieść.

– No dobrze, ale czym konkretnie? Porwanie czegoś wielkości człowieka mogłoby je przyhamować poniżej prędkości krytycznej.

– Okazuje się, że z ludźmi radzą sobie zupełnie dobrze, dziękuję. Ale to dobre pytanie. Otóż najbardziej lubią zdobyc w granicach 40-60 kilogramów.

– Hej, piękne dzięki – parsknęła Robin. – Nadaję się.

– Ja również, maleńka. Pomyśl jednak, jak dobrze, musi się czuć ten wielki facet tutaj. – Uśmiechnęła się do Chrisa, który wcale się tak strasznie dobrze nie czuł. – Tak naprawdę, jeżeli nadarzy im się okazja, potrafią zaatakować w pełni rozwiniętego mężczyznę i jak dotąd zawsze udawało im się porwać ofiarę. Dotąd ich łupem padło siedmiu ludzi. Potrafią również zaatakować tytanie, ale tu już raczej mierzą siły na zamiary. Znam z tuzin przypadków porwania tytanii, ale słyszałam również o dwóch wypadkach, kiedy zakończyło się to rozbiciem i pożarem napastnika.

Nie martwiłabym się nimi przesadnie. Kulę się, słysząc, jak leci któryś z nich, ale głównie dlatego, że serdecznie ich nienawidzę. Nie cierpiałam ich od dawna, dużo przedtem, zanim jeden z nich porwał mojego przyjaciela. Jeżeli kiedyś znajdę ich „stację benzynową”, będzie z tego niezły pojedynek. Są to obrzydliwe, ohydne bestie. Nie atakują miękkołotów ale zdają się znajdować przyjemność w okrążaniu ich tak długo, aż biedne sterówce stają się nieprzytomne ze strachu. Zresztą sterówce boją się nie bez powodu. Zdarzył się przypadek podpalenia ogniem wylotowym z silnika, o którym do

dziś gwizdzą sobie legendy.

Statystycznie rzecz biorąc, jest jednak masa rzeczy znacznie bardziej niebezpiecznych. Są one nieobliczalne jak rekiny. Kiedy cię dostaną, jesteś załatwiony, ale prawdopodobieństwo trafienia jest niewielkie.

Chrisowi podobał się Krios. Na pewno miało to coś wspólnego z wyjściem z nocy Rei, pod wieloma względami było tu jednak nawet ładniej niż na Hyperionie. Od zachodu Góry Nemezis zamykały krajobraz niczym teatralna dekoracja, nie było więc widać odpychającego, skutego lodem morza Okeanosa.

Ophion, który na południu Kriosa skręcał znowu na wschód, przepływał tu bystro wśród prastarej dżungli. Gaby wyjaśniła, że w rzeczywistości nie była tak gęsta jak niektóre zalesione okolice na Hyperionie, ale dla Chrisa była wystarczająco gęsta. Drzewa z gatunków przypominających ziemskie rozpychały się dziwnymi kolcami, piórami, kryształami, sznurami pereł, błonami, kulami i koronkowymi woalkami.

Zwieszały się nad wodą w zacieklej walce o światło i przestrzeń. Mimo iż rzeka była szeroka, w niektórych miejscach płynęli pod baldachimem roślin.

Zatrzymali się na jeden biwak w dżungli, przez cały czas mając się na baczności.

Dżunglę zamieszkiwały stworzenia zdolne zaatakować zarówno ludzi, jak i tytanie.

Robin w przestachu ustrzeliła stworzenie wielkości byka, wężące wokół jej namiotu, zanim się dowiedziała, że akurat ono było nieszkodliwe. Część mięsa wykorzystali do śniadania. Wrzucili resztę do rzeki i po pięciu minutach woda zaroiła się od węgorzy szarpiących ścierwo. Cirocco powiedziała, że to są ryby padlinożerne i upierała się, że tutejsze wody nie są niebezpieczne. Mimo to Chris zrezygnował z kąpieli.

Robin miała tu pierwszą okazję użycia broni. Cirocco kazała ją sobie pokazać, okazując zdziwienie, że tak drobna kobieta może udźwignąć automat kalibru 34 mm.

Robin wyjaśniła, że używa pocisków raketowych zamiast klasycznych. Większość siły odrzutu wyladowywało się poza lufą. Było to szczególnie przydatne w warunkach słabej grawitacji, panujących na Gai, gdzie kopnięcie Colta 45 mogło przewrócić nawet niemało ważącego strzelca. Do standardowych magazynków siedmiostrzałowego rewolweru kładło się dwa typy amunicji, ołowiane kule i specjalne ładunki wybuchowe. Od ostatnich wzniesień Łańcucha Nemezis do krańca dżungli było sto dwadzieścia kilometrów. Rzeka nie na wiele już się tu przydawała, ale ostro wiosłując, wypłynęli na równinę i rozbili obóz kilka kilometrów od skraju lasu.

Kiedy Chris spał, odwiedziła ich delegacja miejscowych tytanii, niezmiernie uradowanych nowiną, iż wśród podróżników znajduje się Czarodziejka. Zaczęły namawiać ją, by i tu urządziła Karnawał. Chris dowiedział się później, że miały istotne powody, ponieważ podczas gdy duże akordy Hyperionu miały Karnawał raz na miriaobrót, akordy w innych regionach musiały czekać, aż Cirocco, rzucona kaprysem, zawita do nich w czasie jednej ze swych podróży. Tytanie z Kriosa czekały na to już od dawna.

Kiedy Chris obudził się, tytanie z Hyperionu gościły miejscowe śniadaniem. Chris przyłączył się, od razu dostrzegając różnicę pomiędzy jednymi i drugimi. Valiha była ukształtowana na podobieństwo perszerona, miejscowe natomiast bardziej przypominały kucyki szetlandzkie. Z najwyższą z nich mógł bez trudu stanąć twarzą w twarz. Tak samo jednak jak ich hyperiońscy kuzyni mieniły się najdzikszymi barwami. Jedna z nich miała nawet futro, którego nie powstydziliby się żaden Szkot.

Nie znały angielskiego, który tutaj nieczęsto się przydawał, ale Valiha przedstawiła go biesiadnikom i przetłumaczyła formułki grzecznościowe wypowiedziane przy tej okazji. Od razu spodobała mu się białoskóra tytania płci żeńskiej, a z jej nieśmiałych

uśmiechów wnosił, że zainteresowanie było obopólne. Nazywała się Siilihi (Lokrolidyjski Duet) Hymn. Gdyby nie cztery nogi, mogłaby uchodzić za wyjątkowo atrakcyjną.

Gaby poszła do namiotu Cirocco, by przedstawić jej petycję tytanii. Rozległ się głośny jęk, a Siilihi z zakłopotaniem oderwała oczy od Chrisa. Pozostałe miejscowe tytanie krzątały się niezmordowanie. Chrisa nagle zdjęła złość na Czarodziejkę. Cóż to było za ponizenie dla tego urodziwego ludu musieć błagać tę żalosną pijacynę! Jakże chciałby zastąpić ją w roli Czarodzieja! Któż bardziej zasługiwał na ślicznego bobasa niż Siilihi. Zastanawiał się, czy kiedy znowu stanie przed obliczem Gai, będzie mógł przedstawić swoją kandydaturę, żeby pomóc temu ludowi. Był pewien, że potrafiłby się wywiązać z tego obowiązku, i to lepiej niż Cirocco.

Tak mu się spodobał ten pomysł, że od razu zaczął się doń przymierzać. Pierwszym krokiem było przednie zapłodnienie, wyciągnął więc rękę do Siilihi i ujrzał, jak ta robi wielkie oczy.

Odzyskał przytomność rozciągnięty na grzbiecie Valihy. Bolała go szczęka.

Próbował usiąść, ale okazało się to niemożliwe. Był skrępowany i miał związane z przodu ręce.

– Już mi lepiej – obwieścił niebu przesuwającemu się nad nim. Valiha odwróciła się i przyjrzała mu się uważnie.

– Mówi, że mu lepiej – zawołała. Usłyszał, że stukot kopyt zmienia rytm. Wkrótce po obu stronach pojawiły się Robin i Gaby, przyglądając mu się badawczo.

– Bardzo bym chciała wymyślić jakiś bezpieczny sposób, żeby to sprawdzić – powiedziała Gaby. – Ostatnim razem, kiedy cię puściliśmy luzem, rzuciłeś się na Robin. Naprawdę jesteś dokuczliwy jak pryszcz na tyłku.

– Pamiętam – powiedział Chris głucho.

– Może byś przymknęła tę głupią gębę? – warknęła Robin do Gaby, która zrobiła zdumioną minę, a potem kiwnęła głową.

– Jeżeli sądzisz, że sobie poradzisz, ja nie mam nic przeciwko temu.

– No to zjeżdżaj stąd. Ja przejmuję odpowiedzialność. Gaby odjechała, a Robin nakazała, by Valiha zatrzymała się, po czym przecięła więzy Chrisa. Usiadł, masując nadgarstki i ruszając ostrożnie szczęką. To był krótki atak i niezbyt ostry. Zdążył jednak obrazić całą delegację tutejszych tytanii, zamachnąć się na Cirocco w ich obliczu, a potem – przekonując wszystkich, że byłby lepszym Czarodziejem – umizgiwać się do Robin. W rezultacie od Cirocco zarobił podbite oko, a od Robin kopa w jaja i rozbitą wargę. Najwidoczniej jego legendarne szczęście nie rozciągało się na czarodziejki i wiedźmy. Przesunął się na grzbiecie Valihy, czując ból promieniujący od krocza.

– Posłuchaj – powiedział. – Mogę tylko przeprosić, choć wiem, że to za mało.

Dziękuję, że mnie nie zabiłaś.

– Nie było potrzeby i wolałabym nie posuwać się nawet do tego, co musiałam zrobić.

Niby ci się poprawiało; zmusiłeś mnie. Wiem teraz, jak mógłby wyglądać gwałt.

Skrzywił się. Pomyślał, że z tą kobietą mógłby się zaprzyjaźnić. Czuł, że ogarnia go czarna rozpacz.

– Czy powiedziałam coś złego? – Spojrzał na nią ze zdziwieniem, zastanawiając się, czy czasem nie żartuje, ale na jej twarzy odbijała się tylko troska.

– Ja... może rozumiem – powiedziała. – Musisz mi uwierzyć, kiedy mówię, że nie myślałam, iż oskarżenie o gwałt może okryć mężczyznę wstydem. Widzę, że się wstydzisz, choć nie powinieneś. Moim zdaniem nie ponosisz odpowiedzialności.

Chciałam powiedzieć, że teraz widzę, dlaczego tak bardzo obawiały się tego moje

siostry. To było straszne być tak blisko tego. Nawet wiedząc, że nie możesz mi zrobić wielkiej krzywdy. Jeżeli pogarszam tylko sprawę, proszę, powiedz mi, żebym po prostu się zamknęła.

– Nie, proszę – powiedział. – Ostatnim razem okłamałem cię. Skąd wiedziałaś, że tym razem jest inaczej?

– Wtedy zrobiłeś w konia Gaby – powiedziała Robin.

– Mogłabym cię nie rozwiązywać. Nie wiem, skąd wiedziałam. Wiedziałam i już.

– Skąd wiedziałaś, że nie zrobiłbym ci krzywdy, poza...

– Ciężko mu było to wykrztusić, ale się zmusił... – Poza normalnym bólem, jaki sprawia każdy gwałt. Skąd wiedziałaś, że nie będę cię bił, maltretował, że cię nie zabiję?

– A pomyliłam się?

Nie. Nie, zdolny jestem do okropnych rzeczy, ale nigdy nie miałem morderczych skłonności. Potrafię walczyć, ale tylko wtedy, gdy ktoś mi dokucza. Kiedy komuś dobrze przyłożę, zapominam o nim zupełnie. Zdarzało mi się atakować kobiety. Nawet zdarzyło mi się zgwałcić. Ale to jest, albo w każdym razie tak mi to przedstawiono – po prostu normalny popęd płciowy, z całą pewnością wywołujący spięcia. Nigdy nie miałem instynktów morderczych, nigdy też nie czerpałem przyjemności, sprawiając komuś ból, nawet wtedy, gdy byłem w najgorszym stanie. Nie znaczy to jednak, że idąc za swymi popędami, nie mogę komuś sprawić bólu, i to nawet dotkliwego.

– Tak to sobie właśnie wyobrażałam.

Musiał powiedzieć coś jeszcze i przyszło mu to z największym trudem.

– Przyszło mi do głowy – powiedział – że gdyby nas oboje choroba dotknęła w tym samym czasie... no wiesz, w raczej mało prawdopodobnych okolicznościach, jak przypuszczam, kiedy nie byłoby nikogo pod ręką, kto mógłby cię ochronić albo też

pohamować mnie... że wtedy mógłbym... nie mając wcale takiego zamiaru, ale nie mogąc się powstrzymać... – Mimo usilnych starań nie zdołał dokończyć.

– Myślałam i o tym – powiedziała lekko. – Dostrzegłam takie niebezpieczeństwo, skoro tylko zdałam sobie sprawę z natury twoich problemów. Jestem tu, a więc podjęłam ryzyko. Jak sam powiedziałaś, prawdopodobieństwo takiego zbiegu wypadków jest niewielkie. – Wyciągnęła rękę i gwałtownie ścisnęła jego ramię. – Chcę, żebyś zrozumiał, że wcale nie obciążam cię odpowiedzialnością. Nie ciebie. Stać mnie na takie rozróżnienie.

Chris długo się w nią wpatrywał i poczuł, jak stopniowo słabnie ten nacisk, który cały czas czuł. Spróbował się uśmiechnąć, a ona odpowiedziała uśmiechem.

Ponownie zmierzali teraz w stronę centralnego pionowego kabla. Na Kriosie znajdował się on o trzydzieści pięć kilometrów na północ od Ophionu.

Wszyscy byli zaskoczeni, kiedy Cirocco zaprosiła ich, by jej towarzyszyli. Wcześniej czy później i tak zauważyliby, że wyprawa zatrzymuje się w centralnym punkcie regionu, a poza tym nie było potrzeby ukrywać przed kimkolwiek wizyty u Kriososa.

Tytanie miały zostać. Sam pomysł wyraźnie je niepokoił. Pozostały w świetle dnia, a Cirocco poprowadziła troje ludzi w głąb lasu, składającego się z olbrzymich kolumn, gdzie z ziemi wynurzały się poszczególne włókna kabla. Pośrodku znajdowało się wejście na schody. Była to przezroczysta budowla, trochę przypominająca katedrę, ale nawet w części nie tak wspaniała jak te, które wzniesiono na piąście Gai.

Schody zbiegały w dół spiralą, której kierunek wyznaczał przebieg niewidocznego głównego włókna centralnego kabla. Korytarz był tak szeroki, że mógł pomieścić kolumnę złożoną z dwudziestu ludzi. Jego wysokość sięgała pięćdziesięciu metrów. Nie potrzebowali używać latarni, ponieważ z sufitu zwieszały się latające stwory,

wydzielające pomarańczowe światło.

Chris pomyślał, że Cirocco pewnie żartowała, kiedy powiedziała, że schody biegną pięć kilometrów w dół. Okazało się jednak, że rzeczywiście była to prawda. Nawet przy ciężeniu równym tylko ćwierci ziemskiego nie można pokonać takiej ilości stopni bez odpoczynku. Gdzieś jednak musiały się skończyć. Miał zresztą znacznie lepszą kondycję, niż sądził. Jeśli nie liczyć pewnego bólu w łydkach, czuł się świetnie.

Wkroczyli wreszcie do jaskini. Była mniejsza, niż Chris się spodziewał. To w końcu był Krios, i mimo iż był on tylko bogiem drugiego rzędu, Chris ciągle jeszcze pamiętał dziwaczny splendor pomieszczeń na piaście.

Krios był bogiem podziemia, jaskiniowcem, który nigdy nie oglądał światła dziennego. Jego siedziba wydzielala kwaśną woń chemikaliów i szczątków miliarda stworzeń, wstrząsanych w rytmie podziemnych serc. Był bogiem pracowitym, inżynierem na służbie Gai, bogiem, który pracował w smarze, bogiem zapewniającym wszelki ruch.

Stali na płaskiej powierzchni obramiającej kryształową konstrukcję, kształtem przypominającą szkło od zegarka i sięgającą od podłogi do stropu. Sama jaskinia miała średnicę dwustu metrów, z przejściami otwierającymi się na wschód i zachód.

Główną atrakcją było najwidoczniej to, co znajdowało się w środku. Jakoś przypominało to Chrisowi, nie wiedzieć czemu, maszyny w przemyśle ciężkim. Mógł sobie wyobrazić stopienie metalu w taki kształt. Zastanawiał się, czy jest to siedziba Kriosa. Czy mózg może być tak mały? Albo może był to tylko czubek większej konstrukcji, osadzonej w centrum fosy o dwudziestometrowej szerokości i nieodgadnionej głębokości?

– Niech wam się czasem nie zachce popływać – ostrzegła Gaby. – To jest stężony

kwasy solne. Wszystko jest tak zaprogramowane, żeby tutaj nie zaglądać. Przypomnijcie sobie reakcję tytanii. Ale ostatnią linią obrony jest właśnie kwas.

– A więc to właśnie jest Krios?

– On sam. Nie będziemy was przedstawiać. Ty i Robin zostańcie z tyłu, pod ścianą i nie wykonujcie żadnych gwałtownych ruchów. Krios zna Czarodziejkę, a ze mną będzie rozmawiał po prostu dlatego, że mnie potrzebuje. Siedźcie cicho, słuchajcie i ucicie się.

– Przypilnowała, by usiedli, i dołączyła do Cirocco na skraju fosy.

– Będziemy mówili po angielsku – zaczęła Cirocco.

– Bardzo dobrze, Czarodziejko. Wysłałem po ciebie 9346 obrotów temu. Ta niesprawność zaczyna zagrażać prawidłowemu funkcjonowaniu systemów. Myślałem nawet o złożeniu skargi u Bogini Bogów, ale odłożyłem to.

Cirocco sięgnęła w fałdy swojego czerwonego koca i rzuciła czymś w stronę kształtu na środku jeziora kwasu. Błysnęło, kiedy przedmiot uderzył Kriosa, a po powierzchni przebiegły czerwone punkciki.

– Wycofuję oświadczenie – powiedział Krios.

– Czy masz jakieś inne skargi?

– Nie. Na nic się nie skarzę.

– Lepiej, żeby tak było.

– Będzie, jak mówisz.

Chris był pod wrażeniem, chociaż bronił się przed tym uczuciem. Rozmowa była krótka, ze strony Kriosa całkowicie pozbawiona emocji. Cirocco nie podniosła głosu.

Ogólnie sytuacja jednak przypominała scenę surowego rodzica karcącego dziecko.

– Mówisz o Bogini Bogów – powiedziała Cirocco. – O kogo chodzi?

– Mówiłem jako pokorny sługa Gai, jednego jedyne Boga. Zwrot został użyty...

w sensie metaforycznym – dokończył Krios.

– Ale jednak użyłeś słowa „Bóg” w liczbie mnogiej. To właśnie mnie dziwi, bo myślałam, że taka struktura nie może ci nawet przyjść do głowy?

– Słyszysz się niekiedy herezje.

– Masz na myśli importowaną herezję czy tę miejscowego chowu? Rozmawiałeś z Okeanosem?

– Jak wiesz, Okeanos mówi do mnie. Nie mam takiej władzy, by się od tego odciąć i nie słuchać. Udało mi się jednak zupełnie go ignorować. Co się tyczy idei importowanych od ludzi, wiem o rozmaitych ich mitach, chociaż nie robią one na mnie wrażenia.

Jeszcze raz Cirocco sięgnęła pod opończę. Zatrzymała ukrytą tam rękę, a na powierzchni Kriosa znowu pojawiły się rozbiegane czerwone punkty. Czarodziejka nie zwracała na nie uwagi. Popatrzyła z namysłem na podłogę, a potem wyciągnęła dłoń z głębi szaty.

Rozmowa zesła teraz na sprawy dotyczące codziennego bytu regionu, które dla Chrisa nic nie znaczyły. W czasie rozmowy mózg regionalny nie przyjął całkiem wiernopoddanej postawy, ale ton zdradzał niechybnie, że wie, kto tu rządzi. Mówił niegłośno, bucącym tonem, który w żadnym wypadku nie miał nikogo przestraszyć, Cirocco wydawała polecenia lekkim tonem, tak jakby z natury rzeczy w tej rozmowie przypadła jej rola królowej mającej do czynienia z człowiekiem z gminu, chociaż na pewno godnym szacunku. Słuchała, a niekiedy przerywała w pół zdania, komunikując swą decyzję. Krios ani razu nie próbował z nią dyskutować albo choćby wdawać się w dalsze wyjaśnienia.

Przez ponad godzinę rozmawiali o polityce, potem przeszli do bardziej prozaicznych

tematów i do tej części rozmowy zaproszono Gaby. Dla Chrisa większość z tego, o czym mówiono, była całkowicie niezrozumiała. W pewnym momencie rozmowa zesłała na niesprawności akceleratora cząstek, który był częścią Kriosa i ukryty był głęboko pod jego powierzchnią. Chris zastanawiał się, do czego mógł tu być potrzebny akcelerator cząstek.

Uzgodniono wstępny kontrakt, Gaby zgodziła się zbadać sprawę w czasie nie dłuższym niż jeden miriaobrót, o ile Gaja zaoferuje jej korzystne wynagrodzenie.

Wspomniała o nawiązaniu na Fojbe kontaktu ze stworzeniami wyspecjalizowanymi w pracach pod ziemią.

Chris zauważył, że Robin była znudzona już po pierwszych dziesięciu minutach.

Sam wytrzymał trochę dłużej, ale wkrótce również zaczął okrutnie ziewać. Wcale nie uważał, że podróż była kompletną stratą czasu. Interesujące było zobaczyć, jak wygląda mózg regionalny, pouczające było przekonać się, że Cirocco potrafi nie tylko pić, ale czekała ich jeszcze taka ogromna wspinaczka po schodach. To go przerażało.

Audiencja zakończyła się bez specjalnej ceremonii. Cirocco po prostu się odwróciła, kiwnęła na Robin i Chrisa i cała czwórka ruszyła schodami. Po kilku minutach łagodna krzywizna korytarza zasłoniła im grotę.

Cirocco obejrzała się za siebie, a potem rozluźniła się. Usiadła i ukryła twarz w dłoniach, a po chwili z głębokim westchnieniem odrzuciła do tyłu głowę. Gaby usiadła obok i zaczęła masować ramiona Czarodziejki.

– Naprawdę dobrze się spisałaś, Rocky – powiedziała.

– Dziękuję, Gaby. Jeden głębszy dobrze by mi zrobił. Powiedziała to całkiem nienatarczywie. Gaby zawahała się, a potem pogrzebała w plecaku i wyciągnęła małą butelkę. Nalała do zakrętki i podała Cirocco, która szybko ją opróżniła. Oddała, nie

prosząc o dolewkę, chociaż – jak zauważył Chris – Gaby raczej by nie odmówiła.

Gaby popatrzyła na Chrisa i Robin z rozdrażnieniem.

– Moglibyście powiedzieć coś miłego – poddała.

– Może bym i powiedziała, gdybym miała pojęcie, o czym była mowa – odparła Robin.

– Robiło to wrażenie – powiedział Chris. – Myślałem, że to normalka.

Gaby westchnęła.

– Przepraszam. Pewnie tak było, skoro tak to odebrałeś. Po prostu nigdy się do tego nie przyzwyczaję. Nawet mówiąc z kimś tak względnie przytomnym jak Krios, nigdy nie wiesz, czy będzie tak jak w czasie poprzedniej wizyty, czy też zupełnie inaczej. Wiesz, że mógł nas ubić jak muchy. Na pewno nie jest szczęśliwy, że musi przyjmować rozkazy od obcych. Jedyne, co go trzyma w ryzach, to strach przed Gają. Albo może miłość do niej.

Prawdę powiedziawszy, w takich stosunkach to niewielka różnica.

Chris zmarszczył czoło.

– Czy chcesz powiedzieć, że grozi nam niebezpieczeństwo?

– Jakie niebezpieczeństwo? – Gaby popatrzyła na niego i roześmiała się. – Na dziesięć minut przed tym, zanim tam przybyliśmy, cała komora była zalana kwasem.

Pewnie teraz znów jest pełna. Nietrudno było zaaranżować wypadek. Mógłby nawet przekonać Gaję, że to naprawdę był wypadek.

– Nigdy by tego nie zrobił – powiedziała Cirocco stanowczo. – Znam go.

– Może i nie. Ale na pewno Okeanos cały czas do niego mówił, wiesz o tym.

Przeżyłam ciężkie chwile, kiedy wyjechał z tym swoim „zażaleniem”. Kiedy słyszysz coś takiego od Kriosa, to tak jakby miliarder zaczął cytować Karola Marksa.

– Potraktowałam go odpowiednio – powiedziała Cirocco zadowolona z siebie. –

Masuj trochę niżej, dobrze? Tam, tam, o tak.

Chris nagle poczuł, że musi usiąść. Zastanowił się, co tu właściwie robi. Było oczywiste, że niewiele wiedział o tym, co się naprawdę działo. To kobiety zajmowały się sprawami, które często wydawały mu się oderwane od rzeczywistości, ale ten krystaliczny mózg był czymś absolutnie realnym, niby para kombinerek. Gdzieś tam był inny mózg, bardzo do tego podobny, ale zły, nastawiony na śmierć i walkę, a ponad tym wszystkim była istota boska, która zbierała katedry jak żetony pokerowe w grze prowadzonej przez graczy cierpiących na manię wielkości.

Sama myśl o tym była odpychająca. Nie mógł się oprzeć spostrzeżeniu, że kiedy śmiertelnicy mieszają się w sprawy bogów, ci, którzy mają lepsze informacje, mogą ich nieco podskubać.

25. Inglesina

– Co sądzisz, Rocky?

Cirocco była pochłonięta rytmem nie kończącej się wspinaczki. Z zaskoczeniem podniosła głowę.

– Co sądzę o Kriosie? Daj spokój. Być może jest jakiś sposób, by wciągnąć go do zmontowanego doraźnie ugrupowania. No wiesz, już po wszystkim. Ale teraz zapomnij o nim.

– Nie sądzisz, że to był pomyślny znak? – nalegała Gaby. – Fakt, że rozmawiał o zażaleniu do Gai na ciebie? Co o tym myślisz?

Cirocco parsknęła.

– Cholernie mało z tego rozumiem.

– Nie sądzisz, że można by rozdmuchać tę iskrę?

– Nie podniecaj się tak, Gaby. Nie wiem, czy można chodzić po jeszcze bardziej kruchym lodzie niż ten, po którym my się poruszamy, ale gorączkowy sposób, w jaki traktujesz pewne rzeczy...

– Przepraszam. Wiesz, jaki mam do tego stosunek.

– Pewnie, że wiem. Byłabym ci jednak wdzięczna, gdybyś nie była aż tak szczera przy tych dwóch dzieciakach. Myślę, że każde z nich powinno wiedzieć tylko tyle, ile naprawdę musi. Im mniej będą wiedzieć, tym lepiej dla nich, gdyby coś poszło nie tak. Nie robisz im przysługi, opowiadając o Kriosie i jego lojalności czy jej braku. Gdyby trafiło to do niepowołanych uszu, gdyby któreś z nich zrobiło choćby niewinną uwagę, mogłoby to wywołać pewne podejrzenie, a tego za nic bym nie chciała. Lepiej byłoby, żebyś ich tu w ogóle nie zabierała.

– Pewnie masz rację – powiedziała Gaby. – Będę ostrożniejsza.

Ciocco westchnęła i dotknęła ramienia Gaby.

– Po prostu rób to, co robiłaś dotąd. Spełniaj rolę przewodnika. Pokazuj niezwykle zjawiska, opowiadaj im zabawne historyjki. Niech się bawią i pamiętają, że są tu po to, aby nauczyć się rzeczy, które pozwolą im uniknąć kłopotów, a nie po to, by wtrącać się w nasze sprawy.

– Nie sądzisz, że mogłabyś być trochę bardziej otwarta? Jest masa spraw, których możesz ich nauczyć.

Ciocco popadła w zadumę.

– Mogłabym im powiedzieć to i owo o picciu.

– Nie bądź aż tak surowa dla siebie.

– Nie wiem, Gaby. Myślałam, że pójdzie mi lepiej. Ale teraz mamy Inglesinę.

Gaby skrzywiła się. Chwyciła rękę Ciocco i uścisnęła ją.

Zaraz za linią pionowych kabli Ophion robił szereg obszernych zakoli. Teren był niemal płaski, a nachylenie tak nieznaczne, że rzeka ledwie płynęła.

Robin wykorzystała czas na poprawę swoich umiejętności wiosłarskich. Wiosłowała cały dzień, a Obój wprowadzała ją w co bardziej zawiłe arkana sztuki. Kazała Robin samodzielnie skręcać łodzią, robić ciasne kółka albo ósemki, i to na czas. Potem obie wiosłowały usilnie, żeby dogonić pozostałych. Ramiona dziewczyny wzmocniły się, dostała pęcherzy, a potem odcisków na rękach. Z końcem tego dnia była kompletnie wyczerpana, ale każdego następnego ranka czuła się coraz lepiej.

Nie spieszyli się. Na brzegu pojawiły się grupy tytanii, śpiewając coś do

Czarodziejki. Gaby albo Ciocco odkrzykiwały im czasem jedno słowo, a one uciekały w ogromnym podnieceniu. Słowo to brzmiało „Inglesina”. Robin dowiedziała się, że była to nazwa dużej wyspy na Ophionie. Podobnie jak Grandioso nazwa ta wywodziła się od

jednego z ulubionych marszów tytanii. Tam właśnie odbywał się miejscowy Purpurowy Karnawał.

Tym razem miał się rozpocząć sto dwadzieścia obrotów od pierwszego spotkania z miejscowymi tytaniem, tak aby miały czas się zebrać. Wcześniej rozbijali obóz i późno wstawali. Robin czuła się coraz lepiej w śpiworze. Przestała zwracać uwagę na tysiące odgłosów życia na Gai i polubiła nawet szmer wody, kiedy odprężona czekała na sen. W końcu nie był znowu tak bardzo odmienny od szumu wentylacji, który słyszała całe życie.

Nie zdarzyły się już żadne wypadki z jedzeniem, nie było również wizyt nieznanych istot. Na jednym z biwaków jednak, kiedy Robin czuła szczególnie dotkliwą nudę, namówiła Chrisa na polowanie z zasadki. Sądziła, jak się okazało słusznie, że nie będzie podawał w wątpliwość jej twierdzenia, że tytanie potrzebują parę bekasów do wieczornego posiłku. Sądziła również, że sprawdzona metoda łapania bekasów nie wyda mu się dziwna. Zresztą co na Gai nie było dziwne?

Zabrała go więc dość daleko od obozu i pokazała, jak się trzyma sak, ostrzegając go, że powinien go zawiązać, kiedy małe bestie będą już w środku, a potem zesłała z niewysokiego wzgórza, by je wypłoszyć z podszycia.

Trochę gryzło ją sumienie. Był tak łatwowski, że znaczna część radości z kawału gdzieś się ulotniła. Zastanawiała się również, zresztą nie po raz pierwszy, czy było to etyczne płatać figle towarzyszom podróży zgodnie uważanej za niebezpieczne przedsięwzięcie. Kłopot polegał na tym, że jak na razie nie bardzo było widać te niebezpieczeństwa, a poza tym doszła do wniosku, że i tak nie jest w stanie się powstrzymać.

Stał tam blisko dwie godziny. Już się zbierała, żeby go sprowadzić z powrotem do

obożu, kiedy pojawił się sam. Wszyscy siedzieli wokół ogniska i kończyli właśnie kolejny znakomity posiłek. Usiadł i sięgnął po miskę, a Gaby i Cirocco spojrzały nań ze zdziwieniem.

– Myślałam, że jesteś w swoim namiocie – powiedziała Cirocco.

– Ja też – dodała Gaby, a potem popatrzyła z namysłem na Robin. – Ale kiedy teraz sobie to przypominam.

Robin wcale tego nie powiedziała. Po prostu sprawiła, że byłam przekonana, że tam jesteś.

– Przepraszam – powiedziała Robin, adresując to do Chrisa.

Wzruszył ramionami i zdobył się na uśmiech.

– Udało ci się mnie nabrać. Pamiętam, co powiedziałaś. To o wiedźmach, które potrafią docenić łgarstwo. – Ucieszyła się, widząc, że nie jest rozgoryczony. Oczywiście, był zmartwiony, ale najwidoczniej ludzie z Ziemi, tak samo jak wiedźmy, czuli się zobowiązani nie okazywać złości. W każdym razie Chris tak reagował.

Historia wyszła na jaw stopniowo, bo Robin nie za bardzo miała się czym szczycić, a i Chris nie palił się, by przyznać się do swej łatwowierności. W miarę rozwoju opowieści Obój poszukała wzrokiem spojrzenia Robin i mrugnęła ostrzegawczo. Tytania uważnie obserwowwała Cirocco. Nagle dała znak, a Robin przesadziła kamień, na którym siedziała, i rzuciła się do ucieczki.

– Olbrzymi kurczak! – ryknęła Cirocco. – Olbrzymi kurczak? Dam ja ci kurczaka, że nie usiądziesz przez miesiąc.

Cirocco miała dłuższe nogi, ale Robin była za to szybsza. Nigdy nie udało się sprawdzić, czy Czarodziejka faktycznie by ją dognała, bo w pościg rzucili się wszyscy.

Wkrótce osaczono Robin, która śmiała się histerycznie. Mimo bohaterskiej obrony bez

trudu wrzucili ją do rzeki.

Nazajutrz zabrali autostopowicza. Był to pierwszy człowiek, jakiego spotkali od chwili opuszczenia Hyperionu. Niewysoki, nagi mężczyzna z rozwianą czarną brodą stał na brzegu rzeki. Kiedy się zbliżyli, pozdrowił ich i podpłynął do łodzi *Cirocco*, a po uzyskaniu zgody przelażł przez burtę. Chris tak manewrował łodzią, by lepiej przyjrzeć się przybyszowi. Nieco obwisła, blada zniszczona skóra wskazywała na wiek ponad sześćdziesięciu lat. Mówił slangową wersją angielskiego z silnym akcentem śpiewnego języka tytanii. Zaprosił ich, by zjedli w jego siedzibie, na co *Cirocco* przystała w imieniu grupy.

Miejsce nazywało się Brazelton. Było tu kilka kopuł, stojących wśród pól uprawnych. Kiedy dobili do brzegu, Chris dostrzegł nagiego mężczyznę, który prowadził pług ciągnięty przez zaprzęg tytanii.

Osada liczyła około dwudziestu mieszkańców. Ich nagość wynikała z wymogów religii. Brodę mieli zarówno mężczyźni, jak i kobiety. Na Ziemi zarost u kobiet był przejściową modą, która pojawiła się kilkakrotnie w XXI wieku. Teraz była to już rzadkość, widząc jednak brodatą kobietę, Chris przypomniał sobie dzieciństwo i matkę ze schludną capią bródką. Nawet mu się to podobało.

Gaby niewiele wiedziała o osadzie za wyjątkiem tego, że grupa uprawiała kazirodstwo. Człowiek, którego wzięli na pokład, nazywał się Dziadek i nie był to bynajmniej pseudonim. Inni nosili imiona w stylu Matka 2 czy Syn 3. Była też Wielka Babka, nie widać było natomiast jej męskiego odpowiednika. Kiedy rodziło się dziecko, wszyscy zmieniali swoje imiona.

Robin uznała cały ten układ za bardzo dziwny. Chris podsłuchał jej rozmowę z Gaby na ten temat.

– Zgoda – powiedziała Gaby. – Nie są jednak bardziej pomyleni niż cała masa innych małych grup wygnańców rozrzuconych po całej Gai. Tobie w szczególności wypadałoby też pamiętać, że z początku i twój Konwent mógł wyglądać na zdrowe wariactwo. Do licha, pewnie jeszcze i dziś budzi zdziwienie, jeśli zapytać o niego kogoś na Ziemi. Wasze matki ruszyły do Punktu Sargassowego; teraz takie grupy odchyleńców, jeżeli są dostatecznie małe, by uzyskać zezwolenie Gai, lądują tutaj.

Grupa była dziwna nie tylko ze względu na oryginalne obyczaje. Byli tu również osobnicy sami w sobie niezwykli. Chris po raz pierwszy miał okazję ujrzeć mieszańca człowieka i tytanii. Jedna z kobiet, która poza tym niczym szczególnym się nie wyróżniała, miała długie uszy tytanii oraz nagi ogon, sięgający jej do kolan. Były też duże tytanie z ludzkimi nogami, zakończonymi normalną stopą. W tym czasie tak się już przyzwyczał do nóg tytanii, że ta nowa wersja wydawała mu się jakimś kalectwem. Podzielił się tymi wrażeniami z Cirocco, nie był jednak dostatecznie biegły w genetyce, by zrozumieć wywód, którym go uraczyła. Podejrzewali zresztą, że sama Czarodziejka pokrywa uczonym frazesem własną niewiedzę. Faktem było jednak, że Gaja nigdy nie pozwoliła ludziom na badanie materiału genetycznego tytanii, nigdy też żaden mieszaniec nie opuścił Gai. Skrzyżowanie dwóch tak odmiennych gatunków było nadal niewyjaśnioną zagadką.

Inglesina była płaską wyspą o długości ośmiu kilometrów i szerokości trzech kilometrów. Była położona na wschodnim obrzeżu Kriosa, blisko Fojbe, Morza Zmierzchu. Pośrodku znajdował się doskonały krąg o średnicy dwóch kilometrów ze starannie pielęgnowanych drzew. Cały obszar na zewnątrz tego kręgu był szczelnie zastawiony namiotami uczestników karnawału.

Na wyspę można było się dostać przez jeden z sześciu drewnianych mostów, które

teraz przystrojone były wstążkami i chorągiewkami. Na południe i na północ ciągnęły się przystanie, do których przycumowano szeroko pokładowe barki tytanii. Obok były plaże, gdzie mogły dobijać mniejsze łódki, od których roiło się na całej szerokości rzeki.

Miejscowe tytanie spędzały na wodzie o wiele więcej czasu niż ich hyperiońscy pobratymcy.

Goście mieli tu zostać dwa tradycyjne hektoobroty – dziewięć ziemskich dni. Valiha rozbiła dla Chrisa namiot zaraz za zwiewną białą tkaniną przygotowaną dla Czarodziejki, a namioty Robin i Gaby wyrosły tuż obok. Chris przeszedł się, żeby odetchnąć świątecznym nastrojem.

Miejscowe tytanie były nie mniej gościnne niż mieszkańcy Hyperionu, ale Chris nie bawił się najlepiej. Męczyło go, że może się natknąć na Siilihi. Miał niemiłe uczucie, że historia jego ataku rozeszła się szerokim echem, że wszyscy go znają i zachowują pewną rezerwę w obawie, że atak może się powtórzyć. Nikt nie dał mu w żaden sposób powodu, by tak myślał, wręcz przeciwnie – wszyscy byli dla niego absolutnie przyjaźni. Jego lęk miał źródło w jego własnej imaginacji, jednakże nawet świadomość tego niewiele pomagała. Nie potrafił się szczerze cieszyć i nic nie mógł na to poradzić.

Robin nadal spędzała z nim wiele nocy, chociaż jego utracony namiot został zastąpiony nowym. Nie był pewien jej intencji. Lubił towarzystwo, ale czasami było to trochę kłopotliwe. Po doświadczeniach z plaży nad Noxem pamiętała, by się nie rozbierać w jego obecności. To z kolei denerwowało go, ponieważ wysiłki, by zachować skromność we wspólnym namiocie dodatkowo przypominały mu o jego przypadłości.

Kilka razy był nawet prawie gotów ją wyprosić. Pomyślał jednak, że w ten sposób ona okazuje swoją odwagę i akceptuje go jako przyjaciela. Jeżeli taki był sens jej gestu, to w żadnym razie nie chciał jej zniechęcać, więc przewracał się bezsennie na posłaniu,

kiedy ona spała jak dziecko.

Najgorzej było piątej nocy. Nie mógł zasnąć, mimo iż usilnie się starał. Z rękami pod głową obserwował blade światło sączące się przez sufit namiotu. Do głowy przychodziły mu same czarne myśli. Jutro z tym skończy, tak czy inaczej. Są pewne granice.

– Czy coś się dzieje?

Popatrzył na nią, zaskoczony, że też nie śpi.

– Nie mogę zasnąć.

– W czym problem?

Uniósł ręce, szukając odpowiednich słów, a potem nagle pomyślał, czy musi być delikatny.

– Stoi mi. Tyle czasu bez kobiety, cały dzień w otoczeniu atrakcyjnych kobiet...

Prawie mnie roznosi, to wszystko.

– Mam podobny problem – powiedziała.

Już otwierał usta, by zaproponować rozwiązanie, ale się rozmyślił. Cóż za marnotrawstwo, to byłoby przecież idealne wyjście. Podrap mnie chociaż po plecach...

– Mówiłeś kiedyś, że jesteśmy do siebie podobni – powiedziała. – Myślałam, że to cię męczy. – Kiedy skwitował to chrząknięciem, rozpięła śpiwór i usiadła. Wyciągnęła rękę i dotknęła palcem jego ust. – Pokażesz mi?

Spojrzał na nią z niedowierzaniem, ale poczuł pożądanie nieporównywalne z niczym, czego doznał kiedykolwiek od czasu dzieciństwa.

– Dlaczego? Uważasz, że jestem pociągający, czy tak po prostu z ciekawości?

– Z ciekawości – przyznała. – Co do tego drugiego nie jestem jeszcze pewna. Coś w tym jednak jest. Cirocco powiedziała, że to, co nazywam, zgodnie z tym, co mi mówiono, gwałceniem, może bardzo przypominać kochanie się. Powiedziała też, że

kobieta może mieć z tego przyjemność. Mam trochę wątpliwości. – Uniosła brew.

Jeszcze przed kilkoma tygodniami Chris nie dostrzegłby tego gestu spoza tatuażu na jej twarzy, ale teraz lepiej wyczuwał jej nastroje. Odrzucił śpiwór i wziął ją w ramiona.

Wydawała się zaskoczona, że nie wszedł w nią od razu i nie zabrał się do dzieła.

Kiedy zrozumiała, że może się kochać w taki sam sposób, jak robią to dwie kobiety, przestała się wahać. W rzeczywistości robiła rzeczy, za które Trini na pewno zażądałaby dodatkowej zapłaty. Była zupełnie pozbawiona oporów. Powiedziała mu, co chce i kiedy chce, mówiąc to tak, jakby była przekonana, że nigdy przedtem tego nie robił.

W pewnym sensie miała rację. Mimo iż miał za sobą pewne doświadczenie z kobietami, nigdy nie spotkał takiej jak Robin, tak świadomej swoich potrzeb i tak pewnej w ich wyrażaniu.

Uczyła się błyskawicznie. Z początku miała masę pytań i uwag, chcąc wiedzieć, co czuje Chris, gdy robiła to czy tamto, zaskoczona wrażeniami i odczuciami. Żadna z niespodzianek nie wydawała się jej nieprzyjemna i kiedy poczuł gotowość wejścia w nią, spotkał się z jej strony z entuzjazmem dla tego pomysłu.

Jej sceptycyzm wrócił, kiedy już w nią wszedł. Musiała przyznać, że nie było to bolesne, a nawet, że odczucie było przyjemne, ale trzeźwo zauważyła, że układ wydawał się nienaturalny, bowiem nie uwzględniał jej potrzeb. Próbował ją upewnić, iż wszystko pójdzie dobrze, i z konsternacją stwierdził, że na to się nie zanoszą, ponieważ sam był zbyt bliski szczytu, a było już za późno, by mógł się powstrzymać.

Zdążył jeszcze pomyśleć, że byłoby świetnie, gdyby Robin zechciała poczekać, aż będzie gotowy do drugiego razu, kiedy ktoś chwycił go za ramię i brutalnie odciągnął.

– Ty idioto, odczep się od niej! – To była Cirocco. Chris nie miał czasu zrozumieć niczego więcej, ponieważ zbyt wiele rzeczy zdarzyło się teraz równocześnie. Stoczył się

na ziemię, zwijając się do embrionalnej pozycji i gwałtownie tryskając nasieniem.

W gorączkowym zmieszaniu nie wiedział, czy powinien czuć się dotknięty, zakłopotany czy wściekły. Po chwili było po wszystkim i Chris podniósł się, robiąc zamach. Trzasnął ją w podbródek klasycznym hakiem. Zataczając się do tyłu, przez chwilę nie mogła ukryć zaskoczenia, które zresztą faktycznie czuła. Jego triumf trwał jednak tylko sekundę.

Cirocco załamała się niczym marionetka z podciętymi sznurkami, zaczęła jej drżeć ręka, ale nagle jak spod ziemi pojawiła się Gaby. W chwilę później klęczała mu na piersi i zabierała się do rozorania jego twarzy rozcapierzoną dłonią.

Zawahała się jednak i ogień w jej oczach przygasł. Rąbnęła w ziemię pięścią, zeszła z niego i poklepała go po policzku.

– Nigdy nie bij pięścią po kościach – poradziła mu. – Od tego są kije i kamienie.

Pomogła mu wstać i wtedy zobaczyła Robin, która ciągle leżała i wyglądała na mocno oszołomioną. Piszczalka wsunął się do namiotu i ujrzał Cirocco, która ostrożnie masowała szczękę.

Chris był oczywiście nadal ogromnie wściekły, ale obecność Gaby i kilku tytanii zmusiła go do zabrania głosu.

– Nie miałaś prawa tego robić! – wrzasnął. – Cholera, nie mam najmniejszego pojęcia, co cię napadło. Wszystko jedno, stało się! Albo ty wychodzisz, albo ja.

– Zamknij się – powiedziała zimno Cirocco, odsyłając gestem Piszczalkę i siadając. –

Nie sądzę, bym zrobiła coś okropnego. Gdyby tak było, możecie mnie do spółki obić tak, że zapomnę, jak się nazywam. Przedtem jednak lepiej mnie posłuchajcie. Robin, jakiego środka antykoncepcyjnego używasz?

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Właśnie. A ty, Chris?

Chris poczuł wyraźny dreszcz, ale pozbył się go wzruszeniem ramion. Mogła mieć rację.

– Biorę pigułki, ale to nie ma...

– Pamiętam, że coś takiego mi mówiłeś. Kiedy był...

– Ale ona przecież nie może mieć dzieci! Tak mi powiedziała i jeśli ty...

– Stop. Posłuchaj do końca. – Cirocco podniosła rękę i zaczęła, aż wszyscy się uciszą. – Myślę, że ją źle zrozumiałeś. Powiedziała, że nie może, a ty zrozumiałeś, że nie jest zdolna mieć dziecka. Ona natomiast chciała powiedzieć, że nie powinna zachodzić w ciążę, bo przekaże dziecku swoją przypadłość. Jaki sens ma sterylizacja, gdy akt poczęcia jest tak skomplikowany? – Patrzyła na Robin, która potrzasała głową z rozdrażnieniem.

– Ale myśmy się tylko kochali – powiedziała. Cirocco podeszła do niej, ujęła ją za ramiona i mocno potrząsnęła.

– Do cholery, a jak twoim zdaniem robi się dzieci? Wszędzie za wyjątkiem Konwentu robi się to tak, jak przed...

– Ale ja mu ufam, nie rozumiesz? – odkrzyknęła Robin. – Myśmy się po prostu kochali, a nie robili dzieci. On by się... – Urwała i po raz pierwszy niepewnie spojrzała na Chrisa, który odwrócił głowę.

Kiedy Cirocco wytłumaczyła jej, jak to jest naprawdę, twarz Robin pobladła. Chris nigdy nie widział lęku na jej twarzy, ale widać było, że świadomość tego, co się mogło zdarzyć, wstrząsnęła nią. Całe to nieszczęsne nieporozumienie wynikło z tego, iż Robin nie potrafiła zrozumieć, iż orgazm u mężczyzny łączy się z wytryskiem, nad którym mężczyzna nie jest w stanie zapanować, a także z mniemania Chris, iż Robin jest bezpłodna. Tak jednak nie było, a i on nie był bezpłodny, o czym świadczył fakt

wytworzenia jajka z Valihą. Faktycznie bowiem w czasie kwarantanny stracił swoje pigułki i nie miał możliwości ich odzyskania.

Robin rozpląkała się na dobre. Siedziała z głową w dłoniach, wstrząsał nią szloch i nieustannie powtarzała:

– Nie wiedziałam, nie wiedziałam, naprawdę nie wiedziałam.

Chris nie wiedział jeszcze, jakie długofalowe skutki będzie miał ten incydent dla jego stosunków z Robin, jedna wszakże rzecz nie ulegała wątpliwości.

– Winny ci jestem przepraszam – powiedział do Cirocco.

Uśmiechnęła się do niego szeroko.

– Niekoniecznie. Sama zrobiłabym to samo. W takiej sytuacji nie czeka się na wyjaśnienia. – Potarła szczękę. – Właściwie to moja wina, że nie zrobiłam wcześniej uniku. Myślę, że tracę szybkość.

– Może ja jej nabieram?

– To dobre wytłumaczenie.

Jakby na komendę pozostali uczestnicy wyprawy wycofali się do swoich namiotów, zostawiając Robin i Chrisa samych. Chris czuł się jakoś niezręcznie. Jeżeli Rocky zrozumiała, w czym rzecz, dlaczego on tego nie dostrzegł? Może był zbyt napalony.

Wydawało się, że z Robin mogło być podobnie. Widać było, że myślała o ich wcześniejszej rozmowie i być może zmieniała zdanie. Odwróciła się, żeby zebrać myśli, a potem powiedziała, że jej przykro. W kilku słowach wyznała, że nie wini go bardziej niż samej siebie. To było zwykłe nieporozumienie, na szczęście na czas wyjaśnione.

Powiedziała też, że nie obawia się go teraz bardziej niż przedtem.

Tej nocy jednak spała w swoim namiocie.

Cirocco wróciła z ostatniego dnia karnawału, zionąc okowitą i śpiewając w głos.

Gaby położyła ją do łóżka, a rano załadowała ją do łodzi i znowu przykryła kocem. Odbili od brzegu i wkrótce dogasające szaleństwo wyspy Inglesina pozostało w tyle. Ophion znowu płynął spokojnie, bez przeszkód, a grupa w skupieniu i ciszy wiosłowała rytmicznie w stronę Morza Zmierzchu.

26. Ścieżka chwały

Zbiornik wody leżący częściowo w obrębie Kriosa, a w części na Fojbe, był zazwyczaj oznaczany na mapie jako Fojbe albo Morze Fojbe, ale w praktyce nikt go tak nie nazywał. Podróżowało się przez Fojbe, a żeglowało po Morzu Zmierzchu. Nazwa była właściwie dobrana. Zachodni koniec morza leżał na terenie Kriosa, a więc w strefie dnia, a potem morze poprzez strefę mroku sięgało głęboko w noc Fojbe. Kiedy spoglądało się z odległości wystarczającej, by ujawniła się krzywizna Gai, wody Morza Zmierzchu, z początku ciemnoniebieskie i zielone, blakły aż do koloru pomarańczowego i miedzianego, by wreszcie przejść w głęboką czerń. Mniej więcej pośrodku tkwiła duża wyspa znana pod nazwą Unome, zawsze pogrążona w blaknącym świetle zmierzchu, na której były dwa jeziora: Tam Gandria i Tam Concordia. Na wyspie i nigdzie poza nią zamieszkiwała rasa owadokształtnych stworów, które ludziom i tytaniom były znane jako Mistrzowie Żelaza. Z tego, co mówiono w grupie, Robin zrozumiała, że były to stworzenia absolutnie nieprzyjemne, począwszy od zapachu, a skończywszy na wszystkich aspektach ich kultury i moralności. Była zadowolona, że tym razem Czarodziejka nie miała do nich żadnego interesu.

Postanowili wybrać naprawdę ostrożną marszrutę. Północny brzeg Morza Zmierzchu był na tyle bliski prostej wytyczającej cel ich podróży, że trzymanie się go wydawało się bezpieczniejsze, tym bardziej, że morze to znane było z nagłych i gwałtownych burz. Żegluga przebiegała bez zakłóceń, ale Robin unikała towarzystwa pozostałych

członków ekipy. Incydent z Chrisem sprawił ją w ogromne przygnębienie. Nie winiła go za to, co się stało, ale kiedy spotykała czasem jego uważny wzrok, nie mogła powstrzymać dziwnego, mdlącego uczucia. Uważała, że trzeba się uczyć na własnych błędach i pułapkach losu, a eksperyment w miłości heteroseksualnej nauczył ją, że największym jej wrogiem na Gai była jej niewiedza. Nie było to nic specjalnie nowego. Przez całe życie starała się wyłączać ze swego pola percepcji rzeczy, które wydawały się nie mieć bezpośredniego wpływu na jej przetrwanie. Czyniąc tak, często pomijała sprawy, które dostrzegali inni ludzie, bardziej cierpliwi, którzy słuchali wszystkiego i wszystkiemu się przyglądali, choćby rzecz była nie wiem jak trywialna.

Zmieniła również diametralnie swoją opinię o Czarodziejce, jako o nasiąkniętym alkoholem cudaku, którego należało szanować tylko przez wzgląd na tytuł i opowieści o dawnych bohaterskich czynach. To był naprawdę drobiazg, ale Robin nie mogła się oprzeć uczuciu podziwu, kiedy Cirocco miała czas o wszystkim pomyśleć. Cirocco nie mogła ich przecież słyszeć, dopóki Chris nie zaczął jęczeć, co oznaczało, że był już na skraju katastrofy. Cirocco musiała myśleć bardzo szybko, składając razem takie szczegóły jak zgubione środki antykoncepcyjne i skaza genetyczna Robin, uwzględniając ich wspólną niewiedzę i prawdopodobną płodność Robin, i podejmując natychmiastowe działanie bez oglądania się na możliwe następstwa. Nieważne, że jej działanie nie mieściło się w żadnych towarzyskich konwenansach – miała rację, wiedziała o tym i działała.

Zastanawiała się, czy cios Chrisa rzeczywiście zaskoczył Cirocco, czy też przyjęła go świadomie. Było oczywiste, że nie czuł się dobrze w roli najgorszego wojownika w gronie trzech kobiet i jednego mężczyzny. Mogąc ją uderzyć w chwili, gdy doznał tak wielkiej obrazy, miał szansę uratować choć część szacunku dla siebie.

To było coś, czego nigdy nie będzie mogła sprawdzić. Wiedziała natomiast, że w przyszłości nie powinna już lekceważyć Cirocco.

Ophion wypływał z Morza Zmierzchu w podobny sposób jak z Noxu: morze stopniowo zwężało się, by w którymś momencie niepostrzeżenie przeistoczyć się w rzekę. Zamiast szeregu pomp grupa musiała tu pokonać najbystrzejszą kaskadę, jaką kiedykolwiek widzieli. Zatrzymali się na chwilę w ostatnim spokojnym basenie i wspólnie naradzili się, jak to zrobić. Tylko Cirocco i Gaby znały tę część rzeki. Tytanie słuchały, wolno wiosłując do tyłu, by nie dać się porwać prądowi.

Ruszyli w główny nurt pojedynczo. Cirocco z Piszczaką na przedzie, Gaby z Psalterium na końcu. Kiedy nadeszła jej kolej, Robin z entuzjazmem dała się ponieść prędkości. Uklękała na dziobie i wiosłowała zawzięcie, póki Obój nie poradziła jej, by zachowała siły na później i pozwoliła, by rzeka pracowała za nią. Widziała, że mocne, starannie obliczone uderzenia wiosłem w wykonaniu tytanii przynoszą wyniki i też starała się raczej pomagać niż przeszkadzać. Dwukrotnie odpychała się końcem wiosła od podwodnych głazów, raz nawet została nagrodzona zachęcającym okrzykiem Obój. Ciągle jeszcze miała uśmiech na twarzy, kiedy przemknęli łukiem rzeki i wpadli w sam środek chaosu, który zdawał się spadać prosto w dół.

Nie było czasu do namysłu. Robin zmówiła modlitwę i mocniej uchwyciła wiosła.

Czółno zadrżało. Woda chlupnęła przez burtę i zalała jej twarz. Próbowiła utrzymać łódź z prądem. Wydawało jej się, że słyszy krzyk Obój, ale ryk zagłuszał słowa.

Usłyszała trzask rozdieranego drewna i nagle znalazła się w wodzie, uczepiona burty łodzi.

Kiedy wysunęła głowę ponad powierzchnię i otworzyła oczy, ujrzała, że Obój też tkwi w wodzie po pas, stojąc na dnie rzeki. Przeciągnęła czółno na względnie spokojną

wodę bliżej brzegu, a potem wdrapała się na skalną półkę, unosząc w górę rufę łodzi.

– Wszystko w porządku? – zawołała, a Robin zmusiła się do kiwnięcia głową. Kiedy podniosła wzrok, ujrzała Gaby i Psalterium.

Po dokonaniu przeglądu sprzętu i naradzie prowadzonej krzykiem zdecydowały, że łódka zostanie spuszczonej w dół prog. Na szczęście, bo druga byłaby niebezpiecznie przeciążona z dwiema tytaniami i dwojgiem ludzi. Robin miała jechać z Gaby, a Obój miała sprowadzić uszkodzoną łódź w dół rzeki. Robin nie sprzeczała się, ale weszła do łodzi Gaby z uczuciem klęski.

– Nie mogę tego naprawić – powiedziała Obój po obejrzeniu połamanych wręg czółna. – Musimy zdjąć chociaż powłokę i poczekać, aż znajdziemy następną kępę drzew.

– Robin może jechać ze mną i Valihą – zaproponował Chris.

Robin zawahała się przez chwilę, a potem kiwnęła głową.

Wylądowali na szerokiej błotnistej mieliźnie u zbiegu Ophionu i rzeki Arges, blisko centrum Fojbe. Łąd był pograżony w ciemności, tylko gdzieniegdzie widać było pajęczynę drzew, srebrzącą się i prześwitującą w blasku księżyca. W istocie było tutaj trochę jaśniej niż na Rei, a to za sprawą Morza Zmierzchu, którego część była skąpana w blasku słońca. Lepiej odbijało ono światło niż tereny, wznoszące się po obu stronach Noxu. Sam kraj był jednak znacznie bardziej ponury. Rea była przynajmniej pofałdowana, podczas gdy centrum Fojbe pokrywało bagno.

Robin pomyślała, że trudno wyobrazić sobie bardziej odpychający krajobraz. Stała w błocie po kostki i przyglądała się pejzażowi, który musiał być rajem dla węgorzy czy żab. Jakże tęskniła do spienionych wodospadów! Była przemoczona do suchej nitki, bez perspektyw na rychłe wysuszenie. Wcale nie pomagała jej myśl o tym, że gdyby to nie

ona płynęła na dziobie czółna, do wypadku pewnie by nie doszło. Znowu zastanawiała się, co tu właściwie robi.

Nie tylko jej się tutaj nie podobało. Nasu nieustannie wiła się w torbie, którą zawiesiła pod pachą. Kiepsko znosiła podróż. Robin wiedziała, że powinna była zostawić demona w Konwencie. Tak zresztą zamierzała zrobić, ale w ostatniej chwili nie była w stanie się z nim rozstać. Kiedy rozluźniła sznurek, Nasu wystawiła głowę i wysunęła język, badając miejscowe zapachy. Szybko schowała się z powrotem, kiedy stwierdziła, że na zewnątrz jest równie zimno i mokro jak w torbie.

Obój i Psalterium rozmontowywali uszkodzone czółno, przenosząc jego ładunek do trzech pozostałych. Trochę dalej reszta ekipy stała na czymś, co mogło tu uchodzić za wzniesienie, co oznaczało, że woda sięgała im prawie do stóp. Cirocco siedziała na kamieniu, zwrócona w stronę centralnego kabla Fojbe, który wyrastał nad nimi ciemnym ogromem; reszta grupy spoglądała ku północy. Robin nie dostrzegła tam niczego godnego uwagi, ale poczłapała przez błoto, by do nich dołączyć.

– Jest coś ciekawego? – spytała.

– Jeszcze nie wiem – powiedział Chris. – Czekam na Piszczalkę, żeby się do tego dostać.

Piszczalka uparcie udeptywał grunt.

– Może nie powinienem tego mówić – powiedział.

– Na pewno nie powinieneś – zgodziła się Valiha, patrząc nań groźnie. Piszczalka zawzięcie robił swoje.

– No cóż, jesteś tu po to, żeby znaleźć sposób na wykazanie się swoim bohaterstwem przed Gają. Po prostu pomyślałem, że powinienem wskazywać ci sposobności. Możesz skorzystać albo nie.

– Raczej nie – powiedziała Robin. Popatrzyła na Chrisa. – Nie mówisz poważnie, prawda?

– Naprawdę nie wiem – przyznał się. – Poszedłem, ponieważ Gaby powiedziała, że lepsze to niż siedzieć i czekać, aż cię okazja sama złapie, i wydawało mi się to sensowne. Nigdy naprawdę nie podjąłem decyzji, że odrzucam reguły Gai. Jestem tu, nie mogę więc ich tak zupełnie odrzucać. Przyznaję jednak, że niewiele dotąd myślałem o starcie na własną rękę.

– I bardzo dobrze – powiedziała Valiha.

– Tak czy owak, powinienem dowiedzieć się, co tam jest. Robin parsknęła, ale i ona była ciekawa.

– Ta góra – powiedział Piszczalka. Robin dostrzegła w oddali stożkowaty czarny kształt. – Jest blisko północnego skraju – ciągnął. – To zły teren, pod każdym względem, prawie pozbawiony życia. Nigdy tam nie byłem. Wiem tylko, że żyje tam Kong.

– Co to znaczy Kong? – spytał Chris.

– Olbrzymia małpa – powiedziała Gaby, która dołączyła do nich. – Jeszcze coś? Ruszamy, ludzie. Czółna gotowe.

– Chwileczkę – powiedział Chris. – Chcę coś więcej usłyszeć.

– A o czym tu opowiadać? Siedzi tam... – Popatrzyła na niego podejrzliwie. – Ejże, nie myślisz chyba, że... No dobrze. Chodź no tu, Chris, opowiem ci o Kongu. –

Odprowadziła go kilka metrów na bok, popatrując na Cirocco. Robin poszła za nimi, a tytanie zostały. Gaby opowiadała przyciszonym głosem.

– Rocky nie lubi słuchać o Kongu – powiedziała i skrzywiła się. – Właściwie trudno jej się dziwić. Kong jest stworzeniem „jednorazowym” i ma około stu lat. Trochę przypomina smoki, o których ci opowiadała Gaja: każdy inny, brak możliwości

rozmnazania się. Kiedy Gaja je stwarza, wynurzają się po prostu z ziemi, żyją tyle lat, na ile są zaprogramowane, przeważnie dość długo, a potem umierają. Pomysł Konga został zaczerpnięty z filmu, podobnie jak gigantyczny robak żyjący w piaskach Mnemozyny. Jest tu kilka podobnych stworów. Oczywiście ciągną do nich pielgrzymi. Strach pomyśleć, ilu ludzi zatłukła już ta małpa. Sam jest niezniszczalny, chyba żeby strzelić weń z działa wielkości drzewa lub podłożyć pod niego górę dynamitu. Wierzcie mi, już wielu ludzi próbowało go zabić.

– Musi być sposób – powiedział Chris. Gaby wzruszyła ramionami.

– Myślę, że na wszystko jest sposób, jeśli tylko wystarczająco długo próbować.

Mimo wszystko jednak nie sądzę, byś ty był na to przygotowany. Wiem na pewno, że ja się na to nie piszę. Daj spokój, Chris. Są prostsze sposoby na samobójstwo.

– Dlaczego Cirocco się go lęka? – spytała Robin. – A może zresztą słowo „lęk” jest tu nie na miejscu?

– To jest jak najwłaściwsze słowo – powiedziała Gaby prawie szeptem. – Kong zjada wszystko, co się rusza. Jedynym wyjątkiem jest Czarodziejka. Gaja wbudowała mu swoisty tropizm. Wyczuwa ją na sto kilometrów i tylko jej zapach może go sprowadzić z jego góry. Nie sądzę, żeby to można było nazwać miłością, choć na pewno jest to silny zew. Będzie za nią szedł aż do skraju strefy mroku. Cokolwiek można by powiedzieć o Gai, trzeba przyznać, że zwykle pozostawia jakąś furtkę, a więc w tym przypadku wbudowała Kongowi światłowstręt, podobnie jak piaskowemu robakowi uczulenie na chłód. Nie pójdzie za nią na Tetydę czy Kriosa.

Gdyby jednak wiał wiatr z południa, nie byłoby nas teraz na Fojbe. Rocky przechodzi, jeśli tylko może, blisko południowego skraju, kiedy już w ogóle musi odwiedzić Fojbe, ponieważ jeśli Kong ją wyczuje, pojawi się w te pędy. Jeśli ją złapie,

zabierze ją na swoją górę. Raz już się tak zdarzyło, mniej więcej przed pięćdziesięciu laty. Dopiero po sześciu miesiącach udało jej się uwolnić.

– A co z nią zrobił? – spytała Robin.

– Nie chciała powiedzieć. – Gaby uniosła brwi i przyjrzała im się po kolei, a potem odwróciła się i odeszła.

Robin popatrzyła znowu w stronę góry, Chris poszedł w jej ślady.

– Nie chcesz chyba...?

– Co wam powiedziała?

Robin była zaskoczona, że Cirocco podeszła do nich tak cicho.

– Nic – powiedziała.

– Daj spokój, coś niecoś słyszałam, zanim was tak sprytnie nie odprowadziła na stronę. Nie wierzycie w to wszystko, prawda?

Robin pomyślała przez chwilę i ze smutkiem stwierdziła, że jednak wierzy.

– No cóż, nie wszystko jest tu blagą – przyznała Cirocco. – Kong istnieje naprawdę, ma około dwudziestu metrów wysokości i rzeczywiście mnie porwał i uwięził, a nie lubię o tym opowiadać, ponieważ było to niezwykle przykre przeżycie. Paskudzi w swoje leże. Teraz sprasowane gówno w jego jaskini musi sięgać dziewięćdziesięciu metrów. Lubi wnosić swoich więźniów i przyglądać im się od czasu do czasu, ale jeśli macie coś brzydkiego na myśli, to lepiej o tym zapomnijcie. Nie jest nawet odpowiednio wyposażony. Jest bezpłciowy. Ma niezwykły węch, ale te opowieści o tym, że wyczuwa akurat mnie, to zwykła bujda. Ciągnie do wszystkich kobiet, bo czuje krwawienie miesięczne.

Robin po raz pierwszy poczuła się naprawdę nieswojo. Dlaczego akurat teraz musieli przechodzić przez Fojbe?

– Nie martw się – pocieszyła ją Cirocco. – Ma takiego nosa, że zawsze cię wyczuje. Zresztą właśnie zapach jest w jakimś sensie twoją ochroną. Kędy złapie mężczyznę, po prostu go pożera. Tytanie natomiast mieszają mu szyki. Nie za dobrze widzi, ale kiedy złapie takiego centaury, odgryza część, zachowując tułów, bo wtedy mu się zgadza. Później się tym bawi, aż mu się lalka zupełnie nie rozleci. – Zmarszczyła brwi, odwracając się z obrzydzeniem. – Ale można go zabić – ciągnęła. – Mogę sobie wyobrazić kilka różnych sposobów. Był nawet kiedyś taki spryciarz, jakieś trzydzieści lat temu, któremu udało się go nawet schwytać. Myślę, że zamierzał go sprowadzić żywego, ale nie wiem, w jaki sposób, bo Kong się w końcu uwolnił i zjadł gościa. Ważne jednak, że facet jakoś go związał i mógł go zabić. Nikt się jednak w tym celu nie wybiera na górę, bowiem jeśli jesteś pielgrzymem, możesz uzyskać ten sam rezultat nieco mniejszym wysiłkiem. Możesz oswobodzić jednego z jego więźniów. Jeżeli jesteś kobietą, nie nadstawiasz nawet karku, bo małpizyon nie zabija kobiet. Nie znaczy to jednak, bym była za dobrowolnym oddaniem się mu w niewolę, są przyjemniejsze sposoby spędzania czasu. W każdym razie zazwyczaj kogoś tam trzyma. Wiem na pewno o pewnej kobiecie, której mija już szósty miesiąc w niewoli, może więcej.

Odwróciła się, jakby chciała odejść, ale jeszcze się cofnęła.

– Gaby nie mówiła wam, w jaki sposób ja się wydostałam. Mylicie się jednak, jeśli sądzicie, że wykorzystałam tu moją znajomość z Gają albo że przechytryłam sukinsyna. Jeszcze bym tam tkwiła, gdybym była zdana tylko na siebie. To Gaby mnie stamtąd wyrwała, sama ryzykując utratę wolności, a nie opowiadam o tym dlatego, że uczciwie mówiąc, nie pasuje to do mojego wizerunku. Kong jest dość niechlujnym potworem, ale nie ma z nim żartów, a Gaby jak rzadko komu do twarzy w roli rycerza w lśniącej zbroi. Obawiam się jednak, że ja jestem raczej kiepska w roli dziewicy w opresji. Kiedy mnie

stamtąd wyciągnęła, wyczerpały mi się już resztki szacunku do samej siebie. – Powoli potrzęsnęła głową. – I nie mogłam jej dać tradycyjnej nagrody. – Z tymi słowami uciekła. Robin jeszcze raz popatrzyła w stronę góry, potem znowu na Chrisa. Dostrzegła nieufność w jego wzroku i przypomniała sobie, co chciała powiedzieć, kiedy Cirocco jej przerwała.

– Nie – powiedziała stanowczo, biorąc go za rękę i ciągnąc w stronę oczekujących łodzi. – To Gaja chce, żebyś to zrobił. Chce, żebyś dla niej odegrał dobre przedstawienie, i nie obchodzi ją, czy wyjdiesz z tego żywy.

Chris westchnął, ale się nie opierał.

– Musisz mieć raczej kiepskie zdanie o mojej zdolności zatroszczenia się o siebie.

Ta uwaga zdziwiła ją, popatrzyła mu więc w oczy.

– Tak myślisz? Posłuchaj, rozumiem, że ktoś chce się sprawdzić. Poza wszystkim mam pewnie to dążenie o wiele silniej zakodowane niż ty. Honor nie może jednak służyć czyimś złym intencjom. Musi naprawdę coś znaczyć.

– To może mieć jakieś znaczenie dla tej kobiety na górze. Założę się, że ona nie traktuje tego jak zabawę.

– To nie twoja sprawa. Ona jest obca.

– Dziwi mnie, że się tak wyrażasz o siostrze.

Robin słuchała z pewnym zdziwieniem, szukając uzasadnienia. Wreszcie znalazła i chociaż nie była tym zachwycona, musiała się z tym jakoś pogodzić. Z pewnością po części nie mogła ścierpieć myśli, że ktoś może robić coś, by przypodobać się wstrętnej bogini Gai. W części jednak...

– Nie chcę, żeby ci się coś stało. Jesteś moim przyjacielem.

27. Płomień

- To może być najniebezpieczniejsza część podróży – powiedziała Cirocco.
- Nie zgadzam się – powiedziała Gaby. – Na Japetusie będzie jeszcze gorzej.
- Myślałem, że najgorszy jest Okeanos – wtrącił Chris. Gaby potrząsnęła głową.
- Na Okeanosie jest ciężko, ale nigdy nie miałam specjalnych kłopotów z przejściem przez niego. Ciągłe jeszcze kryje się ze swoimi planami. Nie sądzę, żebym żyła tak długo, by być świadkiem tego, co z nich wyniknie. Te istoty żyją kategoriami całych tysiącleci. Japetus jest najaktywniejszym z wrogich regionów. Na pewno zauważy nasze przejście i na pewno spróbuje jakoś zareagować.

Członkowie wyprawy zgromadzili się u podstawy centralnego kabla Fojbe, który – podobnie jak ten na Hyperionie – wnikał w ziemię w szerokim zakolu rzeki. Może słuszniej było powiedzieć, że zakole zostało wytworzone przez kabel w procesie, który Cirocco nazywała tysiącletnim osiadaniem.

Dawniej Ophion musiał omywać pasma kabla, jednak potem, kiedy cała konstrukcja stopniowo się wyciągała, miejsce styku kabla z pierścieniem zostało wyniesione do góry, a rzeka znalazła sobie nowe koryto.

- Macie rację co do Japetusa i Okeanosa – powiedziała Cirocco. – Nie jestem jednak pewna, czy Okeanos rzeczywiście wytrzyma długo w spokoju. Problem polega na tym, że jest to jedyne miejsce, gdzie graniczą ze sobą dwie silne jednostki regionalne, które przeciwstawiają się władzy Gai. Rea jest zbyt szalona, by można ją było nazwać wrogiem. Za Tetydą jest Tea, która zachowuje lojalność wobec Gai, a za nią leży Metis, która choć tchórzliwa, jest jednak wrogiem. Dione jest martwa, a za nią...

– Czy chcesz powiedzieć, że jeden z mózgow regionalnych jest martwy? – spytała Robin. – Jak to wpływa na cały układ?

- Nie tak silnie, jak przypuszczasz – powiedziała Cirocco. – Diona miała to

nieszczęście, że była wciśnięta pomiędzy Metis i Japetusem, kiedy wybuchła wojna. Była zbyt lojalna, by współpracować z nimi czy choćby trzymać się z dala, a więc zaatakowali ją i śmiertelnie ranili. Jest martwa od 3 – 4 stuleci, ale sam kraj funkcjonuje bez zarzutu. Japetus próbował go przejąć, ale niespecjalnie mu się poszczęściło. Jestem przekonana, że Gaja jest w stanie zadbać o wszystko, czego trzeba tam dopilnować.

– Miała tam sporo roboty – dorzuciła Gaby. – Wszystko się szybciej psuje. Ale przynajmniej jest spokój.

– Problem polega na tym – ciągnęła dalej Cirocco – że tylko tutaj z Fojbe i Tetydą mamy sytuację sąsiedztwa dwóch silnych nieprzyjaciół Gai. Kiedy mogę, przelatuję nad nimi miękkołotem i powinniście wiedzieć, że jeśli chcielibyście nas teraz opuścić, też możecie skorzystać z tej drogi. Mamy zamiar przejść Fojbe i Tetydę możliwie jak najszybciej, ale musimy posuwać się lądem z tego względu, że o ile mogę wezwać miękkołot, żeby nas stąd zabrał, to żaden nie przeniesie nas z centrum Fojbe w środek Tetydy, a tam właśnie muszę się udać. – Popatrzyła na Chrisa, a potem na Robin.

– Wytrzymam – powiedziała Robin. – Chciałabym jednak wydostać się stąd. Martwi mnie, że Kong... no wiesz. Mam jeszcze dwa dni do końca.

– Póki utrzyma się ten kierunek wiatru, jesteśmy bezpieczni – powiedziała Gaby. – Jeśli się zmieni, ruszymy jak najszybciej, obiecuję wam. A jak z tobą, Chris?

Chris ciągle myślał o Kongu, ale nie w taki sposób, jak zdawała się przypuszczać Robin. Wcale się nie palił, by zostać bohaterem, żywym czy martwym, ale męczyła go myśl, że była to pierwsza prawdziwa okazja, jaka się nadarzała.

– Zostanę – powiedział.

Tytanie nie lubiły Fojbe. Podskakiwały przy każdym niespodziewanym odgłosie.

W pewnym momencie Valiha omal nie rozdeptała Robin. Siedziały blisko ognia,

niedaleko od zewnętrznych włókien kabla, śpiewając w swoim języku, który dla Chrisa robił wrażenie, jakby ktoś pogwizdywał w ciemnościach.

Nie mógł ich winić. Sam poczuł się nieswojo.

Cirocco powiedziała, że długo nie zabawi. Towarzystwo kogokolwiek, nawet Gaby, na spotkaniu z Fojbe od początku nie wchodziło w grę. Czarodziejka wiedziała, że Fojbe nie posunie się do osuszenia zbiornika z kwasem, musiała więc zostać na schodach i stamtąd nawiązać kontakt, najlepiej, jak mogła. Nie było powodu, dla którego spotkanie miało potrwać dłużej niż kilka minut. Cirocco miała wezwać Fojbe do powrotu na łono Gai i skorzystania z dobrodziejstw jej łaski – to znaczy uniknięcia skutków jej gniewu, bowiem Gaja mogła zrobić niewiele dobrego, natomiast bez wątpienia mogła Fojbe mocno zaszkodzić. Fojbe najpewniej odmówi ukorzenia się i wyśle Cirocco do diabła, być może demonstrując swą potęgę tak, by napędzić jej stracha, nie robiąc jej jednocześnie krzywdy. Fojbe nie była głupia. Miała świadomość, że wysoko w górze celuje w nią szprycha niczym kosmiczna guldynka, pamiętała też Wielkie Ściśnięcie. Cirocco opowiedziała o nim Chrisowi. Była to ostateczna broń Gai w uśmierzeniu Rebelii Okeanosa. Wnętrze każdej z sześciu szprych wyściełała gruba warstwa zieleni, składająca się z drzew, które tworzyły pionowy las. Drzewa wyrastały poziomo ze ścian szprychy, rozmiarami przewyższając największe sekwoje.

Żeby postawić na swoim, Gaja przede wszystkim pozbawiła las na kilka tygodni wszelkiej wilgoci. W ten sposób powstał największy w dziejach skład drewna opałowego. Wcale nie musiała mocno ścisnąć, żeby wyrzucić miliony drzew w noc poniżej. Kiedy zaatakowała w ten sposób Okeanosa, dodatkowo podpaliła jeszcze spadającą masę drewna i zamknęła dolną zasuwę szprychy. Ognista burza przypieczętowała Okeanosa do żywej skały. Musiało to na nim zrobić wrażenie, bo upłynęło dalszych

dziesięć tysięcy lat, zanim ważył się znowu podnieść żagiew buntu.

Upływały godziny, a Cirocco nie wracała. Tyle razy już wchodziła schodami wewnątrz kabła do siedziby mózgów regionalnych, że potrafiła dokładnie oszacować czas pobytu. Wydawało się nieprawdopodobne, by mogła spędzić z Fojbe więcej niż godzinę, a ta minęła już dawno, odmierzona przez niewielki zegar żyroskopowy. Cirocco ciągle się nie pojawiała. Kiedy Gaja wykonała kolejny obrót, trwający sześćdziesiąt jeden minut, Chris wraz z resztą zaczęli się naradzać, czy nie należy rozbić namiotów. Myśl zdawała się nie mieć silnego poparcia, chociaż i Chris, i Robin nie spali już od dłuższego czasu. Gaby nie bardzo miała ochotę rozmawiać. Wszyscy wiedzieli, choć otwarcie o tym nie mówiono, że niedługo ruszy śladem starej przyjaciółki, z pomocą lub bez. Chris oddalił się od grupy i położył na suchej ziemi. Ułożył się w kierunku północ-południe, z tutejszym zegarem na brzuchu, z osią w płaszczyźnie obrotu wschód-zachód. Nie widział go, tak samo jak nie widział zamarzania wody, ale kiedy spojrzał gdzie indziej i potem z powrotem – ruch był widoczny. Mieli nieruchomy zegar, który był znacznie bardziej użyteczny, ponieważ działał cały czas, niezależnie od położenia, ten jednak był bardziej zabawny. Wydawało mu się, że czuje, jak Gaja wiruje pod nim. Pamiętał podobne uczucie z jasnych, bezchmurnych nocy na Ziemi i nagle zapragnął być w domu, obojętnie – wyleczony czy nie. Było to jednak coś zupełnie innego: leżeć pod olbrzymim, rozgwieżdżonym niebem, czy patrzeć w ciemny ogrom szprychy, aż do niewidocznego, a jednak namacalnego nieba.

– Cóż za dobrana czwórka czworonożnych szczebiotek! Zakładajcie te torby!

– A może teraz ja pojedę na tobie, kapitanie, co? – krzyknął Piszczalka.

– Hej, Rocky, jak to robisz, że się tak długo nie przewracasz?

Powrót Cirocco wytrącił Chrisa z tego pół snu, pół jawy, w jaki zapadł. Cała grupa

tryskała teraz energią, którą Cirocco skierowała na zwinienie prowizorycznego obozu i powrót do łodzi. Wszyscy chcieli zadać jedno pytanie, które w końcu postawiła Gaby.

– Jak poszło, Rocky?

– Nieźle, myślę, że nieźle. Była... bardziej rozmowna niż kiedykolwiek. Miałam niemal wrażenie, że to właśnie ona... – Spojrzała Chrisowi w oczy, a potem oblizwała usta.

– Później ci powiem. Coś mnie jednak niepokoi. Nic konkretnego, co można by nazwać, ale mam uczucie, że coś knuje. Im szybciej się stąd wyniesiemy, tym lepszy będzie mój nastrój.

– Mój też – powiedziała Gaby. – Ruszajmy!

Chris miał swoje problemy, kiedy wskoczył na Valihę. Dłonie pokryły mu się potem, miał mdłości, a fale gorąca uderzały mu do głowy. Te objawy wraz z narastającym przeczuciem nadciągającego nieszczęścia zwiastowały niechybnie zbliżanie się kolejnego ataku.

No to co? Wytrzymaj, pozwól, żeby cię ogarnął, ci ludzie nie są dziećmi, dadzą sobie radę. Jeżeli komuś stanie się krzywda, to pewnie właśnie jemu, a nie im. Nie po raz pierwszy myślał, by komuś powiedzieć, że przychodzi na niego atak. I nie po raz pierwszy nie zdecydował się na to i teraz, chociaż wahał się dłuższą chwilę. Gdzieś tam w głębi wiedział, że te wahania były doskonałą obroną, ponieważ szanse na to, by mógł działać, zanim będzie za późno, były niewielkie.

Nie! Nie tym razem. Zwrócił się ku Gaby, która jechała o metr od niego po prawej stronie. W tym samym momencie kątem oka zauważył, że Valiha obserwuje go, a jednocześnie dostrzegł jakiś ruch z drugiej strony.

Spostrzegł go o ułamek sekundy przed Valihą. Ziejąca paszcza połyskująca kolcami, rozwierająca się bezgłośnie, okrąg przecięty cienką poziomą kreską. Zauważył ją

z daleka i już była nad nimi. Niemal natychmiast. Co za tempo!

Skoczył, ściągnając Gaby z grzbietu Psalterium.

Padnij! Na ziemię! – krzyknął, podczas gdy Valiha krzykiem alarmowała pozostałe tytanie.

Dźwięk uderzył w nich jak pięść, potężny jak lawina, a bucząca bomba odpaliła silnik i przyspieszyła, lecąc nie wyżej niż metr nad ziemią. Powietrze drgało w rytm pracy silnika, a potem Chris został oślepiony czymś, co przypominało wybuch flesza, a dźwięk, zniekształcony efektem Dopplera, rozbrzmiewał w coraz niższych rejestrach.

Dotknął ręką ciemienia i poczuł, że włosy przysmażyły mu się w małe gruzelki.

Gaby z trudem wydostała się spod niego, z wysiłkiem łapiąc oddech. Dziesięć metrów dalej, twarzą do ziemi, leżała Robin ze złączonymi rękoma wyciągniętymi przed siebie. Z jej pięści wyrastała cienka, błękitnobiała linia, a za nią szybko następna. Małe główce trzaskały niczym petardy, nie osiągając celu.

– Nadleciał od kabla – zawołała Cirocco. – Wszyscy leżeć!

Chris nie wstał, ale zdołał się na tyle przekręcić, że mógł teraz widzieć ciemny zarys wzniesienia piasków Tetydy. Uświadomił sobie, że to właśnie go uratowało: obserwował ruch bomby, zanim padł, w ostatniej fazie jej lotu z występu kabla.

– Jest jeszcze jedna! – przestrzegła Cirocco.

Chris wtłoczył kręgosłup w brzuch. Drugi napastnik przeleciał z rykiem po prawej, a za nim, w sekundowych odstępach, dwa następne.

– To mi się nie podoba – wrzasnęła Gaby przy samym uchu Chrisa. – Tytanie są za duże, a teren zbyt płaski. – Chris odwrócił się i popatrzył jej z bliska w twarz usmarowaną pyłem. Poczuł, że jej ręka zaciska się mocno. – Dziękuję – wyszeptała.

– Mnie też się to nie podoba – odkrzyknęła Cirocco. – Ale nie możemy się jeszcze

podnieść.

– Podczołgaj się więc do najniższego miejsca – poddała Gaby. – Chodź –

powiedziała spokojnie. – Psałterium jest w najniższym punkcie w okolicy.

Brązowoskóra tytania była o dwa metry za nią, w środkowej części zagłębienia, które

przy najlepszych chęciach trudno było oszacować na więcej niż czterdzieści

centymetrów. Gaby klepnęła Psałterium, kiedy Chris ułożył się obok niego.

– Nie podnoś się i nie rozglądaj się, przyjacielu – powiedziała Gaby.

– W porządku. Schowaj głowę, szefie. – Psałterium kaszlnął, w sposób dziwnie

melodyjny.

– W porządku? – spytała Gaby.

– Zdrowo trzasnąłem o ziemię – zdołał wykrztusić.

– Obój rozejrzy się, kiedy się stąd wydostaniemy. Cholera! – Otarła dłonie o spodnie.

– Kto by przypuszczał, że wylądujemy na jedynym skrawku mokrego gruntu na tym

śmierdzącym wzgórk?

– Z północnego wschodu – zawołała Valiha z miejsca, którego Chris nie widział. Nie

próbował nawet wypatrywać nadlatującej bomby, całą energię wkładając w spłaszczenie

się do rozmiarów, których by nigdy nie przypuszczał. Potwór przeleciał z rykiem, znowu

w asyście dwóch dalszych. Chris zastanawiał się, dlaczego pierwszy atakował

w pojedynkę.

Kiedy zdecydował się podnieść głowę, dostrzegł jedną z bomb, spadającą z kabla.

Z odległości dobrych trzech kilometrów widać było tylko małą plamkę. Wisiała tam

z nosem opuszczonym w dół, wyczekując stosownej okazji. Mogła na nich runąć, kiedy

się zbliżali do kabla, ale miała dość rozeznania, by wyczuć, że odwróca się tyłem, kiedy

będą odchodzić.

Ta ostatnia wydawała się również wiedzieć, że próba śmiertelności ataku nie miała teraz większego sensu. Przeleciała nad nimi na wysokości pięćdziesięciu metrów, parskając bezczelnym wyzwaniem. Następna zapaliła silnik wkrótce po opuszczeniu kabla i nie mogła się oprzeć, by nie przelecieć na mniej więcej takiej samej wysokości. Był to poważny błąd, ponieważ w tej pozycji bomba stanowiła dobry cel dla Robin z dużą szansą trafienia (odpowiednia odległość i masa czasu do złożenia się nawet do trzech strzałów). Drugi i trzeci strzał okazały się celne. Chris widział teraz doskonale dwa rozbłyśki wybuchających pocisków. Bomba miała kształt zaostrego cylindra z odrzuconymi ku tyłowi sztywnymi skrzydłami i podwójnym ogonem. Pod skrzydłem schowane było oko. Rycząca bomba była wielkim czarnym rekinem przestworzy, jedną wielką paszczą i nienasyconym apetytem, a efekty dźwiękowe były tylko dodatkiem. Przez chwilę wydawało się, że strzały Robin nie wyrządziły bestii żadnej krzywdy. Po chwili jednak zaczął się z niej wydobywać ogień, rozlewający się po niebie, a cały krajobraz zalała pomarańczowa poświata. Chris zdążył dostrzec eksplozję, której odgłos niemal zupełnie zagłuszył przenikliwy, śpiewny zwycięski okrzyk Robin Dziewięciopalcej.

– Wyślijcie mi jeszcze jedną ryczącą bombę! – krzyknęła.

Obserwowali, jak stwór szedł łukiem w górę i za chwilę rozpoczął swe śmiertelne pikowanie. Z hukiem przekraczał barierę dźwięku, a zaraz potem uderzył w ziemię po drugiej stronie Ophionu.

Oczekali jeszcze dziesięć minut, by sprawdzić, czy nie pojawią się dalsze bomby, a potem Cirocco podczołgała się do Gaby i zaproponowała, by ruszyły pędem do łodzi. Chris popierał to gorąco. Wprawdzie perspektywa żeglugi przy takim zagrożeniu niepokoiła go, ale na pewno była lepsza niż trzymanie się tego kawałka gruntu.

– Wydaje się, że to rozsądny pomysł – zgodziła się Gaby. – Mam następujący plan.

Nie marnujemy czasu. Na mój sygnał ludzie wskakują na tytanie, a te pełnym gazem zasuważą do łodzi. Płyniemy tyłem do przodu i dobrze się rozglądamy. Możemy spodziewać się ataku z każdego niemal kierunku, więc musimy być przygotowani na natychmiastowe przyspieszenie, bo w takim przypadku będziemy mieli nie więcej niż 2-3 sekundy na ukrycie. Jakies pytania?

– Myślę, że będziesz sobie musiała znaleźć innego wierzchowca – powiedział cicho Psalterium.

– Co? Tak kiepsko? Co z tobą, noga?

– Myślę, że gorzej.

– Podaj mi tę latarkę, Rocky. Dziękuję. Zobaczymy, co... – Zamarła, a potem wydała okrzyk *zgrozy* i upuściła lampę. W jej łagodnym świetle Chris dostrzegł, że ręce aż po ramiona ma umazane czerwoną krwią.

– Co ona ci zrobiła? – jęknęła Gaby. Upadła na sztywne ciało i zaczęła je odwracać.

Ciocco przywołała Obój, a potem poleciła, by Robin i Valiha trzymały wartę. Dopiero kiedy odwrócił się do rannej tytanii, Chris zrozumiał, że lepka maź, którą była pokryta jego twarz i pierś, była mieszaniną pyłu i rozlanej krwi Psalterium. Odskoczył z przerażeniem, ale nie zdołał wyrwać się z tego upiornego błota. Ty tania wylała morze krwi i leżała pośrodku czerwonej sadzawki.

– Nie, nie – opierał się Psalterium, kiedy Gaby i Obój próbowały go odwrócić. Obój zrezygnowała, ale Gaby kazała jej ponowić próby. Uzdrawiaczka przyłożyła jednak głowę i posłuchała przez chwilę.

– Na nic – powiedziała. – Śmierć już nadeszła.

– Ależ on nie może umrzeć.

– Jeszcze żyje. Chodźcie, zaśpiewamy mu na pożegnanie, póki jeszcze słyszysz.

Chris odszedł i ukląkł obok Robin. Ta nie odzywała się, popatrzyła nań przez chwilę, a potem wróciła do obserwacji nocnego nieboskłonu. Przypomniawszy sobie z drżeniem, że przed kilkoma minutami był pewny, że przychodzi na niego atak. Atak faktycznie nastąpił, nie taki jednak, jakiego się spodziewał.

W ciszy słychać było teraz tylko śpiew Obój i Gaby. Głos tytanii był słodki i melodyjny, ale wcale nie żałosny. Chris żałował, że nie rozumie słów. Gaby nigdy nie była wprawna śpiewaczką, ale to akurat nie miało teraz większego znaczenia. Śpiewała ze ściśniętym gardłem. Potem słychać już było tylko pochlipywanie.

Ciocco nalegała, by odwrócili ciało. Powinni zbadać śmiertelną ranę – powiedziała – by zrozumieć, jak do tego doszło, i nauczyć się czegoś o buczących bombach. Gaby nie oponowała, ale sama trzymała się z daleka.

Kiedy podnieśli nogi Psalterium i zaczęli go odwracać, w błoto wypłynęły dalsze litry bezkształtnej wilgotnej masy. Chris uciekł i upadł na czworaki. Żołądek wywracał mu się jeszcze długo po tym, jak nie miał już czym zwracać.

Później dowiedział się, że rana biegła wzdłuż całego ciała Psalterium i niemal całkowicie oddzieliła korpus od dolnej, końskiej części ciała. Uznali, że to długie, prawe skrzydło bestii przeszło wzdłuż boku tytanii w kilka sekund po tym, jak Chris pchnął Gaby na ziemię. Cięcie było tak gładkie, że brzeg skrzydła musiał być ostry jak brzytwa.

Przenieśli Psalterium na brzeg rzeki, do miejsca osłoniętego przed atakiem kępą drzew. Chris został z Robin, przyglądając się, jak Gaby klęka i obcina jasnopomarańczowe włosy, a potem wstaje i starannie je zawiązuje. Zebrali się we trójkę bez żadnej ceremonii. Tytanie po prostu stoczyły ciało do wody i zepchnęły je w główny nurt przy pomocy długich tyczek. Psalterium był teraz ciemnym kształtem huśtającym się

na łagodnie marszczącej się wodzie. Chris śledził go wzrokiem, aż nie zniknął mu z oczu. Zostali tam przez dziesięć obrotów, czekając, by ciało odpłynęło. Nie mieli nic do roboty, nie mieli również ochoty na rozmowę. Tytanie łkały, śpiewając cicho. Kiedy Chris poprosił Cirocco, by przetłumaczyła mu te pieśni, odparła, że wszystkie dotyczyły Psalterium.

– To nie są jakieś szczególnie smutne pieśni – powiedziała. – Żadna z tych trzech tytanii właściwie nie była blisko związana z Psalterium. Ale tu nawet najlepsi przyjaciele nie są oplakiwani na naszą modłę. Pamiętaj, że dla nich po prostu go już nie ma. Nie istnieje. Ale kiedyś istniał i jeżeli ma żyć w jakimkolwiek sensie, to na pewno w pieśniach. Śpiewają więc o tym, kim był dla nich. Śpiewają o tym, co sprawiało, że był kimś dobrym. Nie jest to tak znowu bardzo odmienne od tego, co my robimy, za wyjątkiem wiary w życie pozagrobowe. Myślę, że dlatego właśnie jest to dla nich jeszcze ważniejsze.

– A ja jestem ateistą – powiedział Chris.

– Ja również. Ale to co innego. Oboje musieliśmy odrzucić koncepcję życia po śmierci, nawet jeśli nie byliśmy wychowani w wierze w nie, ponieważ wszystkie cywilizacje ludzkie pogrążyły się w tej idei. Napotykasz ją wszędzie, dokąd się nie zwrócisz. Myślę więc, że gdzieś w zakamarku naszych umysłów, choćbyśmy się nie wiem jak zapierali – tkwi jakaś część nas, która żywi się nadzieją, że jednak jesteśmy w błędzie, albo zgoła jest pewna, że takie rozumowanie jest błędne. Nawet ateści doznają wrażeń pozacielesnych, kiedy umierają i z powrotem są przywracani życiu. W twojej duszy też tkwi to gdzieś głęboko, a w ich po prostu nie istnieje. Właśnie dlatego zadziwia mnie, że są one tak pogodnym gatunkiem. Ciekawe, czy Gaja i to w nie wbudowała, czy też to ich własny wynalazek. Nie będę jej pytać, ponieważ tak naprawdę

wcale nie chcę wiedzieć. Wolę myśleć, że *to* ich szczególny talent pozwala im wznieść się ponad daremność tego wszystkiego, kochać życie tak mocno i nic więcej od niej nie żądać.

Chris nigdy nie myślał o korzyściach z „przyzwoitego pochówku”. Nie mógł się powstrzymać, by nie myśleć na swój ludzki sposób o ciele jako o osobie. Ten związek kazał ludziom zamykać umarłych w skrzyniach, by nie dobrały się do nich robaki, albo spalać ich i usuwać w ten sposób wszelką możliwość dalszej grabieży.

Pochówek w rzece ma w sobie pewną sielską poetyczność, ale Ophion nie przejmował się wcale zachowaniem przyzwoitości wobec śmierci. Rzeka wyrzuciła Psalterium na mulistą łachę o trzy kilometry dalej w dół rzeki. Kiedy przepływali obok jego okaleczonego ciała, tytanie nawet nań nie spojrzały. Chris nie mógł się powstrzymać. Widok ciała rojącego się od rozmaitych padlinożerców jeszcze długo w nocy nie dawał mu spać.

28. Triana

Na mapach Gai sześć nocnych regionów najczęściej było oznaczonych ciemnym kolorem dla podkreślenia, że nigdy nie oświetla ich słońce. Dzięki temu o wiele wyraźniej odcinały się od nich strefy dnia. Tetyda była zwykle przedstawiana na żółto albo jasnobrązowo dla zaznaczenia, iż jest to region pustynny. Sprawiało to, że niekiedy podróżnicy byli przekonani, iż pustynia zaczyna się w strefie zmierzchu pomiędzy Fojbe i Tetydą. W rzeczywistości jednak było inaczej. Twarda naga skała i ruchome piaski ciągnęły się na północ i południe oraz na zachód aż w rejon centralnych kabli. Ophion płynął na wschód poprzez środkową część wschodniej Fojbe, żłobiąc stukilometrową trasę znaną jako Kanion Pomieszania. Jak sama nazwa wskazywała, na Gai spotykało się kilka formacji geologicznych. Kanion istniał, ponieważ Gaja tego chciała; przez te trzy miliony lat woda nie wcięłaby się na taką głębokość. Była to dość udana imitacja, przypominająca niektóre fragmenty Wielkiego Kanionu w Arizonie. Powodu, dla którego Gaja zdecydowała się na imitację takiej geologii, nikt nie znał. Płynąc z biegiem rzeki, Robin miała szansę stanąć wreszcie na szczycie kanionu i spojrzeć w dół na drogę, którą przybyła. Podobnie jak i na Rei umożliwiwały to pompy podnoszące wody rzeki. W dwóch miejscach przenosili łodzie w trudnym terenie, co dało Robin możliwość doskonalenia jej alpinistycznych umiejętności. Autostrada zbudowana kiedyś przez Gaby biegła przez płaskowyż rozciągający się ku północy, jednak korzystanie z niej zbytnio by ich naraziło na ataki wyjących bomb. Zatem mimo iż pokonywanie urwiska kosztowało ich sporo sił, błogosławili osłonę, którą dawało przed powietrznym napastnikiem.

Wyjście z kanionu zajęło im w sumie trzy hektoobroty. Tak wolno jeszcze się dotąd nie poruszali. Nie znajdowali również w okolicy świeżych owoców, które były

najsmaczniejszym składnikiem ich posiłków. Żywili się suchym prowiantem z juków niesionych przez tytanie. Od czasu do czasu jednak udawało im się coś upolować.

W pewnym momencie, kiedy znaleźli się na płaskowyżu obfitującym w małe, pokryte łuskami dziesięcionogi, tytanie ubiły ich ponad setkę i całe trzy dni strawiły na wędzeniu ich w dymie z dodatkiem ziół i korzeni.

Robin czuła się mocna jak nigdy dotąd. Ze zdziwieniem przekonała się, że surowe warunki życia odpowiadają jej. Wcześniej się budziła, dużo jadła i zasypiała snem sprawiedliwego przy końcu dnia. Gdyby nie śmierć Psalterium, mogłaby się właściwie czuć szczęśliwa. Było to uczucie, którego od dawna już nie doświadczała.

Niesamowicie dziwny i zaskakujący był widok Ophionu kończącego swój bieg na krawędzi dnia, ale tak właśnie było. Jego wschodnie zakończenie uchodziło do małego, ciemnego jeziora znanego jako Triana. Jak dotychczas rzeka towarzyszyła im cały czas, odchodzili od niej tylko po to, by ominąć pompy. Nawet Nox i Morze Zmierzchu można było uznać po prostu za rozszerzenie rzeki. Koniec biegu rzeki Robin odbierała jako złą wróżbę.

Widok, jaki otworzył się przed nimi, kiedy wyprowadzili swoją okrojona flotyllę na brzeg Triany, był znacznie gorszy od przewidywań. To było po prostu cmentarzysko. Białe piasek plaży zaścielały szczątki miliarda stworzeń; kości tworzyły zamarte fale i wydmy, gdzieniegdzie urastając do wymiarów klekoczącej Golgoty. Kiedy dobili do brzegu, stanęli w cieniu pojedynczej kości o wysokości ośmiu metrów, a pod stopami chrzęściły im zebra stworzeń mniejszych niż mysz.

Wyglądało to jak miejsce, w którym wszystko dobiega swego kresu. Robin, która nie uważała się za przesadną, nie mogła się otrząsnąć ze złych przeczuć. Rzadko zauważała blade światło Gai. Wszyscy mówili, że na obręczy panuje wieczne popołudnie, zresztą

Robin mogła sobie spokojnie wyobrazić, że jest to poranek. Nie tu jednak. Brzegi Triany zostały zamrożone w jednej chwili na krótko przed końcem czasu. Góry kości wyznaczały horyzont śmierci w ogromnej brunatnej pustyni Tetydy.

Przypomniała sobie, że Gaby mówiła coś o Ophionie jako o szambie. Patrząc na to, zdawała się znajdować potwierdzenie tego zdania. Wszyscy umarli z wielkiego pierścienia kończyli na brzegach jeziora. Już miała coś powiedzieć do Gaby, ale w porę się rozmyśliła. Pewnie i Psalterium tutaj skończy.

– Źle się czujesz, Robin?

Podniosła głowę i spojrzała w twarz Czarodziejki. Otrząsnęła się, by pozbyć się uczucia melancholii, które nią owładnęło. Nie na wiele się to zdało. Cirocco położyła jej rękę na ramieniu i poprowadziła ją plażą. Jeszcze przed kilkoma tygodniami Robin strząsnęłaby dłoń Rocky, teraz jednak była jej wdzięczna. Piasek był tak drobny jak cukier puder, a stopy wyczuwały przyjemne ciepło.

– Nie poddawaj się pierwszemu wrażeniu – powiedziała Cirocco. – To nie jest to, na co wygląda.

– Nie jestem pewna, czy wiem, na co to wygląda.

– To nie jest śmietnik Gai. To jest naprawdę cmentarz. Ale Ophion nie kończy się tutaj. Rzeka wpływa pod ziemię i wychodzi po drugiej stronie Tetydy. Kości znoszą tutaj padlinożercy. Mają mniej więcej pół metra długości i występują w dwóch formach: zamieszkujących piaski i jezioro. To skomplikowana historia, która w sumie sprowadza się do tego, że żaden z nich nie może się obejść bez drugiego. Spotykają się tutaj, by wymieniać podarki, parzyć się i rozmnażać. To częste zjawisko na Gai.

– To po prostu przygnębiające – powiedziała Robin.

– Tytanie za tym przepadają. Niewiele z nich tu dociera, ale te, które to oglądają,

robią masę zdjęć, by pokazać po powrocie innym. Kiedy się do tego przyzwyczaisz, możesz w tym doszukać się swoistego piękna.

– Nie wiem, czy byłoby mnie na to stać. – Robin otarła czoło, a potem zdjęła koszulę i podeszła do brzegu. Wypłukała ją, wyżeła i założyła z powrotem. – Dlaczego tutaj jest tak gorąco? Słońce ledwie grzeje, a piasek bucha żarem.

– Ciepło dochodzi z dołu. Wszystkie regiony są ogrzewane i chłodzone płynami krążącymi pod ziemią i przepompowywanymi przez wielkie płetwy wychodzące na powierzchnię po stronie słonecznej albo ciemnej.

Robin popatrzyła na spaloną twarz Cirocco i opaloną skórę gołych rąk i nóg.

Pamiętała, że ciało pod czerwonym kocem, który był najwidoczniej jej jedynym odzieniem, było również brązowe. Wyglądało to jednak jak opalenizna i to męczyło ją od wielu tygodni. Jej skóra była tak samo mlecznobiała jak w dniu przyjazdu.

– Czy ty i Gaby jesteście ciemnoskóre z natury? Nie wyglądacie na to, ale nie mogę uwierzyć, że tu się tak opaliłyście.

– Jestem nieco ciemniejsza od Gaby, ale ona jest tak samo biała jak ty. Masz rację, to nie od słońca. Może ci kiedyś o tym opowiem. – Zatrzymała się i spojrzała ku wschodowi. Pomiędzy wysokimi kopcami kości ziała przerwa, przez którą można było dostrzec łańcuch niewysokich wzgórz w odległości kilku kilometrów. Odwróciła się i zawołała resztę grupy, która ku zaskoczeniu Robin została na plaży o ponad dwieście metrów od nich.

– Dołączcie tu do nas, kiedy rozbierzecie łodzie – krzyknęła Cirocco.

Po kilku minutach otoczyli Cirocco, która ukucnęła na piasku i palcem wyrysowała długą mapę.

– Fojbe, Tetyda, Tea – powiedziała. – A tu Triana. – Wyrysowała małe kółka,

a potem kilka szczytów na wschód. – Góry Przyjemnych Dźwięków. Na północ, tutaj, Góry Wiatru Północnego. A tutaj La Oreja de Oro. – Popatrzyła na Chrisa. – To znaczy Złote Ucho; można tam prowadzić poszukiwania, jakby cię to interesowało. Zresztą nie będziemy tamtędy przechodzić.

– Nie jestem zainteresowany – powiedział Chris z rozbawioną miną.

– W porządku. Na wschodzie...

– Czy nie usłyszymy opowieści? – spytała Robin.

– Nie ma potrzeby – powiedziała Cirocco. – Złote Ucho nie powinno nas obchodzić, chyba że tam pójdziemy. To nie jest żadne ruchome zagrożenie, takie jak na przykład Kong.

Kiedy Robin zastanawiała się, czy z niej nie żartują, Cirocco wyrysowała długi szereg szczytów, biegnący z północy na południe i przecinający Tetydę na całej szerokości.

– Królewska Błękitna Linia. Pewnie ktoś miał przyływ poetycznego nastroju. Przy odpowiedniej pogodzie rzeczywiście zabarwiają się na niebiesko, ale w większej części to dość nudne góry. Jest trochę skalistych urwisk, kiedy jednak wspinać się południowymi stokami, można je przejść wszystkie bez większych problemów. Droga prowadzi od jeziora na północny wschód, poprzez wielkie przestrzenie pomiędzy Górami Wiatru Północnego i Przyjemnych Dźwięków, nazywane Luką Tetydy. – Popatrzyła beznamietnie. – Czasami nazywają to Przełęczą Ortodonty.

– Przecież zgodziliśmy się, że nie będziemy wracać do tego dowcipu – powiedziała Gaby.

Cirocco wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

– Wybacz. Tak czy inaczej, przez tę lukę droga biegnie na wschód licznymi

łagodnymi spadkami i podjazdami, omija centralny kabel, Królewską Błękitną Linie i podąża dalej aż do tego jeziora z nachylonym kablem pośrodku, znanego pod nazwą Walencja. Podobno dlatego, że ma kolor pomarańczy.

– Pomarańczy z bardzo długą szypułką – wtrąciła Gaby.

– Właśnie. No cóż, akurat nie ja jestem autorem tej nazwy. – Wyprostowała się, strzepując piasek z rąk. – Szczerze mówiąc – powiedziała – tak naprawdę to właściwie nie wiem, którędy będzie nam najlepiej iść. Pierwotnie planowałyśmy trzymać się drogi i nie przejmować się pustynnymi widmami, ale teraz, kiedy...

– Widma? – spytał Chris.

– Potem wam opowiem. Jak mówiłam, akurat teraz bardziej mnie martwią wyjące bomby. Nigdy jeszcze nie słyszałyśmy o takim zbiorowym ataku jak ten, którego doświadczyliśmy na Fojbe. Dotąd zawsze latały w pojedynkę. Być może zakłóciliśmy spokój ich gniazda, jest jednak również możliwość pojawienia się nowych elementów w ich zachowaniu. To się zdarza na Gai.

Gaby skrzyżowała ramiona. Patrzyła prosto w twarz Cirocco, która unikała jej wzroku.

– Być może jednak ten atak był zamierzony – powiedziała Gaby.

Robin nie mogła się w tym wszystkim połapać.

– Co macie na myśli?

– Mniejsza z tym – powiedziała szybko Cirocco. – Nie sądzę, a jeśli nawet, nie próbowały upolować żadnego z was.

Robin zrozumiała, że Gaby i Cirocco zastanawiały się, czy miało to coś wspólnego z wizytą Cirocco u Fojbe. Być może Phoebe miała jakiś wpływ na wyjące bomby i namówiła je, by zabiły Czarodziejkę. Po raz kolejny uderzyło ją, jak niezwykle jest

życie tych dwóch kobiet.

– Można również pójść przez góry – dokończyła Cirocco. – Mogą one stanowić pewną osłonę przed bombami, chociaż nadal musielibyśmy mieć się na baczności.

Proponuję, byśmy poszli tędy, wzdłuż pasma Gór Przyjemnych Dźwięków. – Jeszcze raz uklękła i wyrysowała trasę, którą omawiała. – To jest niedaleko, najwyżej dwadzieścia kilometrów, stąd do wzgórz. Od końca pasma do południowej części Błękitnej Królewskiej jest następne trzydzieści kilometrów. Ile nam to zajmie, Piszczalko?

Tytania zastanawiała się przez chwilę.

– Jeśli dojdzie Gaby, jedno z nas będzie się posuwało wolniej. Myślę, że bez pośpiechu zdążymy w ciągu jednego obrotu. Drugie przejście zajmie jakieś dwa do dwu i pół obrotu.

– W porządku. Jakby na to nie patrzeć, wybór tej trasy zmniejszy jednak nasze tempo.

– Może coś mi umknęło – powiedziała Robin. – Czy jesteśmy umówieni?

Cirocco uśmiechnęła się.

– Masz rację. Śpiesz się powoli. Sama nie wiem. Myślę, że możemy się przebić do centralnego kabla jednym skokiem, jeśli do tego miejsca nie natrafimy na bomby, czy będziemy się trzymali drogi czy nie. Chcę jednak wiedzieć, co o tym sądzicie. –

Popatrzyła po twarzach współtowarzyszy wędrowki.

Robin do tego momentu nie zdawała sobie sprawy, że Cirocco przejęła kierownictwo grupy. Zrobiła to w dziwny sposób – prosząc pozostałą szóstkę o opinię, ale faktem było, że jeszcze tydzień wcześniej to Gaby występowałyby w tej roli. Popatrzyła na Gaby, ale nie dostrzegła urazy. Właściwie to Gaby sprawiała wrażenie, że jej z tym lżej.

Uzgodnili, że pójdą wzdłuż łańcucha górskiego, bowiem wydawało się, że właśnie

ten wariant jest najbliższy zamysłom Cirocco. Dosiedli tytanii; Gaby przez trzecią część trasy miała jechać za Cirocco. Niebo od zachodu zaciągnęło się chmurami.

29. Droga przez piaski

Gdy Tytanie odpoczywały po długim biegu poprzez wydmy pomiędzy Trianą i podnóżem Gór Przyjemnych Dźwięków, nad ich głowami pojawiły się chmury. Cirocco zerknęła na Piszczalkę, który liczył coś z zegarkiem w ręku.

– Drugi decyobrót osiemdziesiątego siódmego – powiedział.

– W sam raz na czas.

Dopiero po długiej chwili Chris zrozumiał.

– Chcecie powiedzieć, że... Cirocco wzruszyła ramionami.

– To nie ja tworzę chmury. Faktycznie jednak zamawiałam je. Kontaktowałam się, jeszcze kiedy byliśmy w kanionie. Gaja powiedziała, że może dać mi zachmurzenie, ale z deszczem będzie trudniej. Nie można mieć wszystkiego.

– Nie rozumiem, po co ci chmury. – Albo jak można o nie prosić, dodał w duchu.

– To dlatego, że nie opowiedziałam ci jeszcze o piaskowych widmach. Piszczalko, jesteście gotowi? – Kiedy tytania skinęła, Cirocco wstała i otrzepała piasek z nóg. –

Wsiadajmy, opowiem ci po drodze.

– Piaskowe duchy są stworzeniami opartymi na krzemie. Nazywamy je tak dlatego, że żyją pod powierzchnią piasku i są przezroczyste. Gdyby żyły w regionie nocnym, cholernie ciężko byłoby z nimi walczyć, ale na Tetydzie są na szczęście dostatecznie dobrze widoczne. Ich naukowa nazwa brzmi: *Hydrophobicus gaeani*. Może pomyliłam końcówki, ale chyba tak to mniej więcej brzmi. Są inteligentne i mają skłonności podobne do wściekłego psa. Rozmawiałam z nimi dwukrotnie, w warunkach całkowicie kontrolowanych. Są tak niechętne wszelkim obcym, że słowo „fanatyzm” byłoby tu żałośnie nieodpowiednie. Można powiedzieć, że to rasiści do dziesiątej potęgi. Istnieje dla nich tylko własny rodzaj oraz Gaja. Wszystko inne to albo pożywienie, albo wróg.

Jeśli będą cię chciały zatłuc, zawahają się tylko po to, by zdecydować, czy jesteś jednym czy drugim, ale najprawdopodobniej wpierw dla pewności cię zabiją, a potem będą się zastanawiać.

– To bardzo zły naród – potwierdziła Valiha uroczyście. Wszystkie tytanie biegly teraz równo, więc Cirocco mogła opowiedzieć Chrisowi i Robin o tych przedziwnych stworzeniach. Chris nie był pewny, czy to dobra strategia, i nerwowo lustrował niebo. Góry Przyjemnych Dźwięków były bardziej pofałdowane niż wydmy, które ostatnio przebyli, ale nadal nie było to coś, co mogło by go uspokoić. Na pewno czułby się lepiej, gdyby mogli się posuwać kanionami tak wąskimi, by trzeba było iść gęsiego. Wzgórza przed nimi wznosiły się łagodnie, w niektórych miejscach tworząc rozleglejsze, spłaszczone na czubku wypiętrzenia. Oczywiście, w bardziej pofałdowanym terenie posuwali się wolniej, a tym samym dłużej pozostawali w kraju piaskowych duchów. W sumie jednak bardziej obawiał się ryczących bomb. Być może zmieniłby zdanie, gdyby się zetknął z piaskowym widmem.

– Mieszkają w piachu – powiedziała Cirocco. – Mogą tam biegać czy pływać, nazwijcie to, jak chcecie, posuwając się mniej więcej tak samo szybko jak ja na powierzchni. Ich byt jest stale zagrożony, bowiem woda jest dla nich zabójcza. Chcę przez to powiedzieć, że zetknięcie ciała z wodą, i to nawet niewielką jej ilością, zabija je. W słoneczny dzień giną wtedy, gdy wilgotność przekracza 40%. Piaski Tetydy są w większej części suche jak pieprz, ponieważ żar buchający spod ziemi skutecznie usuwa wszelką wodę. Jedynym wyjątkiem jest miejsce, gdzie Ophion płynie pod piachem. Mimo że ujęty jest w głęboki, wryty w skale kanał, na odległość dziesięciu kilometrów z obu stron wydziela wilgoć zabójczą dla widm. Dlatego też cała Tetyda jest podzielona pomiędzy dwa zupełnie odrębne szczepy tych stworzeń. Gdyby kiedykolwiek się ze sobą

zetknięty, prawdopodobnie wywiązałyby się walka na śmierć i życie, ponieważ nawet wewnętrzne podziały wytwarzane przez okresowe zalewy rzucają je sobie do gardła.

– Czyli bywają tu deszcze? – spytała Robin.

– Rzadko. Powiedzmy raz do roku, i to raczej skąpe. Nawet i one jednak już dawno uśmierciłyby wszystkie duchy, gdyby nie skorupa, którą potrafią wytworzyć, gdy czują, że zbliża się deszcz, i która pozwala im przetrwać w stanie uśpienia. Dzięki temu zresztą udało mi się z jednym z nich porozmawiać: przyjechałam w czasie burzy, wykopałam bestię i wstawiłam do klatki.

– Zawsze arbiter i rozjemca – powiedziała Gaby zgryźliwie.

– No cóż, na pewno warto było spróbować. Kłopot z tą trasą polega na tym, że akurat teraz góry są zdrowo wysuszone. Natomiast tak się składa, że autostrada dokładnie trzyma się linii wyznaczonej podziemnym biegiem Ophionu.

– Możesz mi wierzyć, że nieprzypadkowo – powiedziała Gaby. – Wydawało mi się, że ma to taki sam sens, jak trzymanie się wyższych miejsc w terenie bagnistym.

– Tak, to prawda. Rzecz w tym jednak, że możemy napotkać te bestie gdzieś tutaj.

Mam nadzieję, że pokrywa chmur utrzyma je w ukryciu, ale nie wiem, na jak długo.

Dobra wiadomość to to, że rzadko kiedy łączą się one w grupy większe niż tuzin, więc prawdopodobnie będziemy w stanie stawić im czoła.

– Powinnam przehandlować mój rewolwer na pistolet na wodę – powiedziała Robin.

– To miał być żart? – spytała Obój, grzebiąc w lewym juku. Wreszcie wyciągnęła stamtąd dużą procę i krótką rurę z rączką, spustem i celownikiem. Robin ujęła ją i naciskając spust, siknęła cienką strugą wody na odległość dziesięciu metrów. Zrobiła zachwyconą minę.

– Traktuj to jak coś w rodzaju miotacza ognia – poddała Cirocco. – Wcale nie musisz

dokładnie trafić. Strzelaj w pobliże i omiataj strugą. Nawet pudło może im mocno zaszkodzić, a odpowiednia ilość strzałów wytworzy w powietrzu opar, który wygoni je pod ziemię. Ale teraz już się nie baw – powiedziała pospiesznie, widząc, że Robin znowu naciska spust. – Niestety, na Tetydzie nie ma źródeł wody, a tej, którą zużyjemy w celach bojowych, może nam później zabraknąć do picia.

– Przepraszam. A do czego proca? – Robin przyglądała się ciekawie narzędziu i Chris zauważył, że miała wielką ochotę je wypróbować.

– Broń dalekiego zasięgu. Balony wodne. Kładziesz jeden w skórkę, odciągasz i puszczasz. – Cirocco trzymała coś, co wielkością przypominało jajko tytanii. Rzuciła to Chrisowi, który ścisnął je delikatnie i wycisnął na dłoń strugkę wody.

Valiha również przeszukiwała swoje sakwy. Wyciągnęła procę i krótki kij, który wetknęła w torbę, a także pistolet wodny, który wręczyła Chrisowi. Oglądał go ciekawie, próbując wyczuć sprzęt i żałując, że nie może oddać kilku strzałów próbnych.

– Proca wymaga wprawy co najmniej takiej jak moja. – Wyjaśniła Valiha. – Rób, jak ci mówi Czarodziejka. Nie przymierzaj się za długo do celu. Po prostu wal.

Podniósł głowę i ujrzał szeroko uśmiechniętą twarz Cirocco.

– Czujesz się bohaterem? – powiedziała.

– Czuję się jak mały chłopczyk bawiący się w wojnę.

– Zmienisz zdanie, gdy tylko zobaczysz piaskowe widmo.

30. Toczący się grzmot

– Nigdy nie mówiłam, że to zawsze działa – Cirocco wzięła się pod boki i ponownie przyjrzała się niebu, ale wynik był niewiele lepszy. Gaby przyglądała się, po raz pierwszy od wielu lat czując to irracjonalne pragnienie, by Czarodziejka choć raz zrobiła prawdziwy cud. Wcale nie pomagała jej świadomość, że władza Cirocco nie przejawiała

się w ten sposób. Pragnęła, żeby Cirocco wywołała deszcz.

– Powiedziała, że robi zachmurzenie – powiedziała Gaby.

– Powiedziała tylko, że spróbuje – poprawiła ją Cirocco. – Wiesz, że Gaja nie może kontrolować całości pogody. To zbyt skomplikowane.

– A więc powiedziała to tak sobie. – Widząc wyraz twarzy Cirocco, Gaby zachowała resztę uwag dla siebie.

– Na razie nie widzieliśmy żadnych widm – powiedziała Robin. – Może chmury, zanim się rozeszły, dostatecznie je wystraszyły?

– Pewnie rzeczywiście tkwią głęboko w piasku – zgodziła się Obój.

Gaby pozostawiła to bez komentarza. Z juków Piszczalki wyciągnęła pęcherzykowaty owoc wielkości piłki baseballowej.

Grupa pokonywała ostatnie wzgórza prowadzące na wschodnie stoki Królewskiej Błękitnej Linii. Trochę dalej na wschód widać było centralny kabel Tetydy, a za nim, ledwie stąd widoczną, cienką kreskę Autostrady Transgajańskiej. Naga skała kończyła się rozległą misą, wypełnioną piachem, który tu i ówdzie przykrywał krawędź.

Stając na grzbiecie Piszczalki i opierając się dla zachowania równowagi o ramię Cirocco, Gaby cisnęła owoc szerokim łukiem, tak że wylądował pośrodku misy.

Skutki były niezwykle. Od punktu upadku rozbiegło się błyskawicznie dziewięć linii.

Dostrzec można było wybrzuszenia u szczytu linii i płytkie zagłębienia za nim, które prędko wypełniły się piaskiem. Wybrzuszenia poruszały się tak szybko, jak myszki z kreskówki pod podmiejskim trawnikiem. Po kilku sekundach nie było po nich śladu.

Cirocco podniosła się na kolana, kiedy pocisk trafił w piasek. Teraz powróciła do poprzedniej pozycji.

– Co chcesz zrobić? – spytała. – Ruszyć na zachód do Tei?

– Nie. Jestem pewna, że pamiętasz, kto chciał iść, a kto wolał zostać w domu.

– I pić – dodała Cirocco. Gaby puściła to mimo uszu.

– Byłoby głupio radzić ci, byś pominęła Tetydę po tym, jak cię przekonywałam, że koniecznie należy się tu pojawić. Pomyślmy, *co* się da zrobić.

Cirocco westchnęła.

– Jak chcesz. Miejcie się jednak wszyscy na baczności. Chcę, żeby ludzie obserwowali powietrze, a tytanie niech pilnują ziemi. Zazwyczaj pojawienie się tych stworów poprzedza fontanna piachu.

Kiedy Robin miała dziewięć lat, czytała książkę, która pozostawiła na niej niezatarte wrażenie. Opowiadała o starej rybaczce, która samotnie w małej łódce złapała olbrzymią rybę i walczyła z nią przez wiele dni pośród burz i szalejących fal. Nie walka z rybą napawała Robin lękiem, lecz wspomnienie morza: głębokiego, zimnego, ciemnego i bezlitosnego.

Wydawało się jej to dziwne, że nie przypominała jej się ta scena, kiedy przepływali Nox czy Morze Zmierzchu. Tym dziwniejsze było, że myślała o tym teraz, w jasnym świetle dnia przemierzając spaloną pustynię. A jednak było to piaszczyste morze.

Falowało szeroko, a w pewnej odległości rozgrzane powietrze sprawiało, że piasek połyskiwał niczym szkło, a w głębinie kryły się potwory okropniejsze niż ryba starej kobiety.

– Właśnie na coś wpadłam – powiedziała Cirocco. Jechała samotnie na Piszczalce, a za nią Robin na Obój i Chris z Gaby na grzbiecie Valihy. – Powinniśmy byli pójść na północ od drogi, a później z powrotem, na zachód od kabla. W ten sposób mielibyśmy do przebycia suchym piaskiem o wiele krótszy odcinek.

Robin przypominała sobie mapę, którą rysowała Cirocco.

– Ale mielibyśmy wtedy więcej do przejścia po płaskim terenie – powiedziała.

– To prawda, ale jakoś bardziej mnie martwią widma niż wyjące bomby.

Robin nie odezwała się, ale podzielała to odczucie. Chociaż miała obserwować niebo, nieustannie wlepiała oczy w kopyta Obój, które tworzyły maleńkie lawiny piasku. Nie potrafiła zrozumieć, w jaki sposób tytania znosi to tak spokojnie. Sagia kulila palce w butach w autentycznym przerażeniu. W każdej chwili spod powierzchni mogła przecież wychynąć paszcza, która schwyci przednie nogi tytania. Tylko że Cirocco powiedziała, iż krzemowe zjawy nie mają paszczy, a zdobycz wchłaniają bezpośrednio przez krystaliczny pancerz. Nie mają nawet twarzy...

– Chcesz wrócić i tak zrobić? – zawołała Gaby.

– Nie sędzę. Jesteśmy już chyba w połowie drogi.

– Tak, ale przynajmniej wiemy, że połowa za nami jest wolna od piaskowców...

Kiedy tylko Gaby przestała krzyczeć, wyostrzone zmysły Robin powiedziały jej, że coś jest nie w porządku. Wyobrażała sobie dość dokładnie, co Gaby musiała zobaczyć, i potrzebowała zaledwie kilka sekund obserwacji zbocza pięciometrowej wydmy za nimi, by zauważyć charakterystyczne żłobki w piasku daleko z przodu, rozchodzące się niby ogon komety. Dostrzegła kilkanaście, a po chwili uświadomiła sobie, że to tylko jedna z pięciu czy sześciu grup.

Nie było powodu do alarmu. Robin zobaczyła, że Cirocco stoi na grzbiecie Piszczalki i patrzy w tył. Valiha przyspieszyła, tak że zrównała się z Obój i Robin. Gaby podała im owoc.

– Podaj mi jeden – powiedziała Obój do Robin, a potem zwiększyła tempo. Po raz pierwszy Robin poczuła podczas jazdy na tytaniu to charakterystyczne kołysanie, które jest typowe dla jazdy konnej.

– Na razie nie strzelajcie – powiedziała Gaby. – One szybciej nie mogą się poruszać, więc bez trudu możemy je wyprzedzić.

– Łatwo ci mówić – powiedziała Valiha. Jej cętkowana żółta skóra połyskiwała spienionym potem.

– Czas na zamianę – powiedziała Obój. – Valiha, daj mi na trochę Gaby. Robin, przesuń się do przodu. – Robin, przesuwając się, zauważyła, że będzie teraz wciśnięta pomiędzy Obój i Gaby, co – wstyd powiedzieć – wcale jej nie zmartwiło. Niewidoczne fantomy przerażały ją bardziej niż cokolwiek, co dotąd spotkała na Gai.

– Chwileczkę – powiedziała Gaby. Łamiąc swoje własne polecenia, odwróciła się i rzuciła baloniasty owoc na kursie jednej ze zbliżających się grup bestii. Wyczuły go na pięćdziesiąt metrów. Jedne rozbiegły się szeroko dla ominięcia skażonego terenu, inne zupełnie znikły.

– Dostały – powiedziała z zadowoleniem Gaby, kiedy z powrotem usiadła tuż za plecami Robin na grzbiecie tytanii. – Te, które zniknęły, zagłębiły się w piasek, a to zwalnia znacznie tempo pościgu. Z maksymalną prędkością mogą się przemieszczać tylko na powierzchni, gdzie piasek jest luźniejszy. – Robin znowu się obejrzała i zobaczyła, że te, które się rozbiegły, podjęły dopiero teraz na nowo pościg, coraz bardziej jednak pozostając daleko z tyłu za nimi.

– A więc jak, przyjaciele? – powiedziała Cirocco, zwracając się do tytanii. – Czy możecie utrzymać takie tempo aż do kabla?

– Z tym nie powinno być problemu – zapewnił ją Piszczalka.

– A więc wymkniemy się – powiedziała Gaby. – Rocky, lepiej rzucaj małą bombę do przodu co kilka minut. To powinno zdemaskować możliwe zasadzki.

– Zrobione. Robin, Chris, przestańcie się gapić w ziemię! Robin zmusiła się, by

podnieść głowę i spojrzeć w niebo, ciągle tak strasznie czyste, ale na szczęście wolne również od wyjących napastników. Było to jedno z najtrudniejszych zadań, jakie przyszło jej kiedykolwiek wykonać. Wcale nie byłoby jej trudniej, gdyby to jej stopy dotykały nienawistnego morza piasku. Niczym pasażer na tylnym siedzeniu wciskający nieistniejący hamulec unosiła nogi, jakby chciała sprawić, by Obój stąpała jeszcze ostrożniej.

Cała grupa wspięła się na wydnię i zaczęła schodzić po drugiej stronie, gdy Cirocco krzyknęła ostrzegawczo.

– Ostry zakręt w prawo, ludzie! Trzymać się!

Robin chwyciła tułów Obój, kiedy tytania wbiła kopyta w piach, przechylając się prawie o czterdzieści pięć stopni przy skręcie. Kiedy była już zmęczona, Robin zaczęła odczuwać kołysanie. Dostrzegła gwałtowny ruch u podnóża wydmy, kiedy charakterystyczne ślady duchów rozpiezchły się promieniście od wodnistego owocu, który nagle wybuchł pośród nich. Z tyłu przeleciał strumień wody, odchylił się w lewo i zaskwierczał, gdy trafił w cel. Piasek wybuchnął fontanną. Przez chwilę giętka, bezkształtna macka wiła się w powietrzu. Tam, gdzie dotknęła ją woda, skwierczała i sypała szklanymi łuskami, które opadały powoli w słabym polu grawitacyjnym Gai. Robin uwolniła jedną rękę i sięgnęła po pistolet wodny, wyglądając spoza szerokich pleców Obój. Nacisnęła spust i oblała coś, co okazało się nieszkodliwym splachetkiem pustyni.

– Oszczędzaj wodę – ostrzegła ją Gaby. Robin kiwnęła skwapliwie, porażona drżeniem swojej ręki. Miała nadzieję, że Gaby tego nie widzi. Głos Gaby był spokojny i opanowany. Słyszając ją, Robin czuła się, jakby miała dziesięć lat.

Tytanie zatoczyły obszerne koło wokół gniazda piaskowych demonów, które

wykryła Cirocco, i teraz znowu podążały w stronę kabla Tetydy. Robin pamiętała teraz, by lustrować niebo, ale nic na nim nie dostrzegła, popatrzyła więc znowu na piasek, a potem jeszcze raz zmusiła się, by podnieść wzrok. Powtarzała to już przez całą godzinę, a podstawa kabla wydawała się tak samo odległa jak przedtem. Wreszcie spytała Gaby, jak długo tak biega.

– Jakieś dziesięć minut – powiedziała i znowu się obejrzała. Odwróciła się z powrotem ze zmarszczonymi brwiami. Robin wydawało się, że na grzbiecie wydmy odległej o pięćset-sześćset metrów za nimi widzi ślad demona, biegnący równoległe do śladów kopyt tytanii.

– One ciągle tam są, Rocky.

Czarodzieja popatrzyła, zmarszczyła brwi i wzruszyła ramionami.

– No to co? Nie złapią nas, jeśli będziemy utrzymywać takie tempo.

– Wiem. Ale one pewnie też to wiedzą. Dlaczego więc nie rezygnują?

Cirocco ponownie zmarszczyła czoło, a Robin wcale się to nie spodobało. W końcu

Gaby zameldowała, że nie widzi już śladów pogoni. Choć tytanie były zmęczone, ustalili, że nie będą zwalniali, zanim nie dopadną kabla.

Obój wspięła się na ostatnią olbrzymią wydnię, dzielącą ich od celu. Robin widziała przed sobą nieprzerwanie wznoszący się teren. Oceeniła odległość dzielącą ich od zbawczego cienia pomiędzy włóknami na mniej więcej kilometr.

– Wyjaca bomba z prawej – zawołał Chris. – Nie kładźcie się jeszcze. Jest jeszcze dość daleko. – Robin zlokalizowała ją, wisiała po wschodniej stronie kabla, na wysokości około tysiąca metrów.

– Z powrotem na wydnię – poleciała Cirocco. – Myślę, że nas jeszcze nie widzi.

Obój zakręciła i w kilka sekund cała siódemka rozciągnęła się plackiem po drugiej

stronie. Z wyjątkiem Robin.

– Kładź się, ty idiotko! Co się z tobą dzieje?! Pochylona do przodu, opierała się na kolanach, ledwie dotykając piasku.

Nie mogła się ruszyć. Wydawało jej się, że piasek przed nią już, już wybucha złowieszczą fontanną. Nie mogła dotknąć tego nienawistnego żaru, nie mogła przycisnąć doń brzucha i czekać nadejścia niewidzialnych upiorów.

Wrzasnęła, kiedy przygniótł ją jakiś ogromny ciężar. Ryknęła znowu, kiedy poczuła pod piersią gorący piach, a potem zaczęła wymiotować.

– A to dobre – powiedziała Obój, zwalniając nacisk na tyle, że Robin mogła odwrócić głowę. – Powinniśmy o tym pomyśleć wcześniej. Cała ta wilgoć będzie je trzymała z dala.

Wilgoć, wilgoć... Świadomość Robin odbierała tylko to słowo, blokując skutecznie wszelką inną myśl. Piasek był wilgotny. Wilgoć nie dopuści do niej potworów. Pocić się, płakać, pluć, rzygać... jakie to wszystko było teraz na miejscu! Wtuliła się w piasek i pomyślała, jak cudownie jest wilgotny.

– O co chodzi? Czy złapał ją atak? – zawołała Cirocco.

– Chyba tak – powiedziała Obój. – Zajmę się nią.

– Tylko nie pozwól, żeby wstała. Bomba ciągle nas jeszcze nie widzi.

Robin posłyszała jej wycie wysoko i daleko. Odwróciła głowę na tyle, by zobaczyć, że pojawiła się nad grzbietem wydmy – Nagle na dużej wysokości wykonała ostry zwrot, ukazując sylwetkę z odrzuconymi w tył skrzydłami, i zaczęła się przybliżać.

– A więc jednak – powiedziała Cirocco. – Niech wszyscy leżą. Pod tym kątem nic nam nie zrobi.

Obserwowali bombę z rosnącym powątpiewaniem, wreszcie stało się jasne, że bestia

nie ma zamiaru schodzić w dół. Krążyła nad nimi na wysokości 500 – 600 metrów, poruszając się znacznie wolniej, niż pamiętali od ostatniego razu.

– Dziwnie to wygląda – powiedziała Gaby, ryzykując płaski siad.

– Mniejsza z tym – powiedziała Cirocco, wstając, by się lepiej rozejrzeć. – Pewnie zrobi kółko i wróci. Gaby, obserwuj ją jeszcze trochę, a reszta niech się bierze do kopania. Potrzebuję dużą dziurę głęboką na dwa metry, ale jak nie dacie rady, to trudno, może być i metr. Nie będzie to łatwe w tym piasku. Pokropcie go trochę wodą, zanim się weźmiecie do roboty. Aha, i jeżeli ktoś ma najmniejszą nawet ochotę na siusiu, niech to zrobi teraz, sami swoi. W pęcherzu to się na nic nie przyda. – Cirocco zamilkła, kiedy spojrzała na twarz Robin i zrozumiała, że młodsza z kobiet bezwiednie zastosowała się do rozkazu, zanim został wydany, o czym świadczył stan jej spodni.

Robin klęła się w duchu. Dziękowała Wielkiej Matce, iż żadna z jej sióstr jej nie widzi, ale słaba to była pociecha. Teraz ta szóstka to były jej siostry, przynajmniej na czas trwania podróży, a może i później.

Nigdy jednak nie jest tak źle, żeby nie mogło być gorzej. Robin przekonała się o prawdziwości tego powiedzonka, kiedy spróbowała się poruszyć i stwierdziła, że nie może. Uwaga Obój rzucona raczej dla ratowania jej twarzy, okazała się prawdą. Atak rzeczywiście ją sparaliżował.

Przez moment pomyślała, że niechybnie zaraz zwariuje.

Leżała jak długa, twarzą do ziemi, na nienawistnym piasku Tetydy, którego obawiała się tak bardzo, że najpewniej to ona właśnie zdradziła całą grupę, nie mogąc go dotknąć.

Zamiast oszaleć, osiągnęła jednak stan bezmyślnego oderwania. Nieobecna duchem, spokojna, słyszała odgłosy gorączkowej aktywności i niewiele z tego rozumiała. To, czy upiór piasku wyskoczy pod nią i rozerwie ją na strzępy, nie miało teraz znaczenia.

W ustach czuła ziarenka piasku i smak wymiocin. Poczwała, jak z nosa ścieka jej strużka potu. Widziała tylko kilka metrów piasku i leżącą na nim swoją rękę. Słuchała. Cirocco:

– Skoro nie mogą się do nas za bardzo zbliżyć, muszą użyć jakiejś broni średniego zasięgu. Zwykle używały większych kamieni, ale w ostatnich latach używały również rodzaju kuszy czy łuku ze strzałami.

Chris:

– Wygląda to niedobrze. W tym piachu nie bardzo się można ukryć.

Cirocco:

– To dobrze i równocześnie źle. Dosyć paskudne były te kamienie. Są zbudowane...

No cóż, nie widzieliście ich, a opisać je jest dość trudno, ale są w tym rzeczywiście dobre. W zasadzie jednak są tchórzliwe, a żeby rzucić, muszą podejść dość blisko. Ze strzałami mogą atakować z dalszej odległości.

Obój:

– A teraz ta zła nowina, Rocky. Cirocco:

– Właśnie. Dobra to to, że strzały są paskudnie niecelne. Właściwie w ogóle nie potrafią celować. Trzymają się z dala i walą tak, jak się rzuca kamieniem w królika: na chybił trafił.

Gaby:

– Ale za to potrafią wystrzelić całą masę strzał. Obój:

– Spodziewałam się czegoś takiego.

Rozległ się znajomy ryk bomby, dochodzący jednak z pewnej odległości. Gaby:

– Ciągłe mi się zdaje, że ta bestia zachowuje się jakoś dziwnie. Nie bardzo to widać z tej odległości, ale wydaje mi się, że na grzbiecie ma jakby wybrzuszenie.

Piszczątka:

– Też to widzę. Cirocco:

– Masz lepsze oczy ode mnie.

Przez chwilę słyhać było tylko oddechy i od czasu do czasu szelest, gdy ktoś czołgał się po piachu. W pewnym momencie Robin poczuła, że ktoś się ociera o jej nogę. Potem rozległ się ostrzegawczy krzyk Piszczalki. Coś upadło na piasek w zasięgu wzroku Robin. Patrzyła na paznokieć swojego kciuka; musiała przesunąć wzrok, by spojrzeć na intruza. To było cienkie ostrze ze szkła o długości około pół metra. Jeden koniec był zaostroszony, drugi wbił się w piasek.

– Wszyscy cali? – To był głos Cirocco. Kilka potwierdzeń. – Strzelają na ślepo w powietrze. Muszą się kryć za tą wydumą. Za chwilę nabiorą śmiałości i wyrżą, a wtedy strzały będą nieco bardziej celne. Przygotujcie proce.

W chwilę później Robin usłyszała brzęk oręża tytanii. Chris:

– Myślę, że jednego trafiłaś, Valiha. Oops! Niewiele brakowało.

Cirocco:

– Cholera, popatrzcie na Robin. Czy nie da się z tym czegoś zrobić? To musi być piekielne uczucie.

Robin znowu usłyszała świst strzał padających w piasek i poczuła, jak drobiny piasku osypują jej nogi. Zupełnie jej to nie obchodziło. Znowu świst i jakaś ręka chwyciła strzałę, którą obserwowała, wyciągnęła ją i odrzuciła. O kilka centymetrów od niej pojawiła się twarz Gaby.

– Jak ci idzie, dziecko? – Wzięła Robin za rękę i ścisnęła, a potem pogłaskała ją po policzku. – Czy byłoby ci łatwiej, gdybyś wszystko widziała lepiej? Nie wiem, jak można cię ochronić. Gdybym wiedziała, wszyscy byśmy z tego skorzystali.

– Nie – odpowiedziała Robin, jakby z olbrzymiej odległości.

– Chciałabym... Psiakrew. – Gaby walnęła pięścią w ziemię. – Czuję się taka bezsilna. Wyobrażam sobie, jak ty się czujesz. – Kiedy Robin nie odpowiedziała, pochyliła się znowu w jej stronę.

– Posłuchaj, czy nie miałabyś nic przeciwko, gdybym pożyczyła sobie twój pistolet?

– Proszę.

– Zostało ci jeszcze trochę tych raketowych ładunków? Z wybuchowymi pociskami?

– Trzy magazynki.

– Będę ich potrzebowała. Mam zamiar ustrzelić tę bombę, jeśli tylko zejdziesz dostatecznie nisko. A ty leż spokojnie i staraj się o tym nie myśleć. Niedługo zrobimy skok do kabla.

– W porządku – powiedziała Robin, ale tamtej już nie było.

– Jestem z tobą – powiedziała Obój gdzieś z tyłu. Poczowała, jak ręka tytanii obejmuje ją i przelotnie dotyka wilgotnego policzka. – Nie żałuj łez, mała. I na duszy robi się lżej i wszystkich nas to ochroni.

31. Morze ognia

– Jak uważasz, ile sprytu mają te stwory? – spytał Chris, obserwując samotną bombę skręcającą w lewo, żeby wykonać kolejne kółko.

Gaby popatrzyła i nachmurzyła się.

– Nigdy nie należy lekceważyć możliwości intelektualnych czegokolwiek na Gai.

Najlepiej dla pewności założyć, że przeciwnik jest tak samo bystry jak ty i dwa razy bardziej nikczemny.

– Czemu więc tak długo zwleka?

Gaby poklepała lufę swojego pożyczonego rewolweru.

– Może już słyszał o tym trafieniu Robin. – Znowu spojrzała w niebo i potrząsnęła głową. – Myślę jednak, że to nie jest całe wytłumaczenie. Wcale mi się to nie podoba. –

Popatrzyła na Cirocco.

– No dobra, przekonałaś mnie. Mnie też się to nie podoba. Chris popatrywał to na jedną, to na drugą, ale one na razie najwidoczniej wyczerpały temat.

Nad ich głowami bomba zataczała swoje cierpliwe kręgi. Wydawała się na coś czekać. Ale na co? Od czasu do czasu byli zasypywani gradem kilkudziesięciu strzał piaskowych widm. Wystrzeliwane pionowo w górę, kiedy lądowały na ziemi, miały już tylko niewielką prędkość. Jedna trafiła Piszczalkę w tylną nogę. Wbiła się na pięć-sześć centymetrów w mięsień; postrzał był bolesny, ale strzała była łatwa do wyciągnięcia, bo ostrze nie miało zadziórów. Był to ogień zaporowy, którego celem prawdopodobnie było przygwożdżenie ich do ziemi. Chris czytał gdzieś, że w czasie wojny zużyto w tym celu miliony pocisków.

Jeżeli jednak piaskowe potwory chciały im po prostu utrudnić ruchy, musiało się za tym coś kryć. Szykowały najwidoczniej jakąś niespodziankę albo też czekały na posiłki.

Chris pomyślał, że bez względu na to, które z tych przypuszczeń było prawdziwe, logicznym ruchem z ich strony byłby szybki skok do podstawy kabla. Z pewnością dawno by to już zrobili, gdyby nie bomba krążąca nad ich głowami.

– Myślisz, że demony i bomby współpracują ze sobą? – spytał.

Gaby popatrzyła na niego i nie od razu odpowiedziała.

– Mocno wątpię – powiedziała wreszcie. – O ile wiem, duchy pracowały dotąd wyłącznie z przedstawicielami swojej rasy, nawet i wtedy nie szło im zbyt sprawnie. – Kiedy znowu spojrzała w niebo, zasępiła się jeszcze bardziej. Pogładziła Robin kolbą rewolweru i przymierzyła się do odległego celu, szepcząc niby na kurczaka: cip, cip, maleńki, chodź no tu.

– Przestali strzelać – powiedziała Valiha.

Chris zauważył to już przed kilkoma minutami, ale nie odzywał się w irracjonalnym lęku, iż ostrzał zacznie się wtedy od nowa, powodowany czystą przekorą. Rzeczywiście jednak przez pół godziny, jakie minęło od momentu, gdy wykopali swoją wspólną lisią jamę, pociski nadlatywały regularnie co jedną-dwie minuty, a teraz przestały.

– Może jestem pesymistą – powiedziała Gaby – ale to też mi się nie podoba.

– Może sobie poszły – spróbował zgadnąć Piszczalka.

– Pewnie. Jak sobie poszły, to ja jestem tytania z urwanym zadkiem.

Chris nie mógł się już dłużej powstrzymać. Nie było sensu wiecznie sobie powtarzać, że Gaby i Cirocco były znacznie starsze, mądrzejsze i bardziej doświadczone w tych sprawach od niego.

– Myślę, że powinniśmy teraz skoczyć – powiedział. – Mamy już jednego rannego.

Jeśli będziemy czekać, aż znowu zaczną strzelać, może być jeszcze gorzej. – Przerwał, czekając na reakcję przyglądających się mu towarzyszy, ale bez skutku. Brnął więc dalej.

– To tylko przeczucie, ale martwi mnie, że bomba na coś czeka. Może na posiłki.

Oczekiwał, że przynajmniej Czarodziejka się odezwie. Nie miał właściwie żadnych argumentów z wyjątkiem faktu, że bomby działały już zespołowo, w czasie ataku, który tak tragicznie skończył się dla Psalterium.

Ku jego zaskoczeniu Cirocco i Gaby popatrzyły na siebie z wyraźnym zaniepokojeniem. Zrozumiał, że poza pewną podstawową wiedzą nawet Czarodziejka nie była w stanie odgadnąć, czym jeszcze zaskoczy ich Gaja. Tak wiele było możliwości i nawet rzeczy, o których sądzili, że je znają, mogły się zmienić z dnia na dzień, jeżeli Gai spodobało się stworzyć nowe, nieznane istoty lub zmieniać reguły postępowania stworzeń już znanych.

– Mówi to bardzo wielki szczęściarz, Rocky – odezwała się w końcu Gaby.

– Wiem, wiem. Nie mam zamiaru lekceważyć jego przeczuć. Sama też na to wpadłam. Ale może na to czeka ten sukinsyn tam w górze. Choćbyśmy biegli nie wiem jak, zdąży nas przynajmniej raz zaatakować, a przecież teren jest tam płaski jak naleśnik.

– Myślę, że utrzymam tempo – powiedział Piszczalka.

– Zajmę się Robin – powiedziała Obój.

– Do licha, to przecież wy, tytanie, macie tutaj najwięcej do stracenia – krzyknęła Cirocco. – Myślę, że jestem w stanie zakopać się w piach w kilka sekund, ale kiedy wy leżycie plackiem, tyłek sterczy wam na półtora metra w górę.

– Tym bardziej jestem skłonny pobiec – powiedział Piszczalka. – Nie uśmiecha mi się leżeć tu w roli poduszeczki na igły.

Chris zaczynał już podejrzewać, że nie są w stanie podjąć żadnej decyzji.

Cirocco, postawiona wobec fatalnej alternatywy, nagle utraciła tę pewność siebie, której nabrała w czasie drogi. Pomyślał nawet, że w ogóle nie wykazuje jakichkolwiek

talentów przywódczych, chyba żeby rozumieć przez to zdolność do podtrzymywania morale grupy. Gaby potrzebowała czasu, by wdrożyć się do przejęcia roli, która z zasady była jej niemiła. Robin była sparaliżowana, a tytanie nigdy nie wykazywały skłonności do dyskusowania z rozkazami najpierw Gaby, a potem Cirocco.

Co do Chrisa, to w dzieciństwie nigdy nie był kapitanem drużyny ani tym, który podejmuje decyzje za siebie i innych. W swoich trudnych latach dojrzałych nikt nigdy nie wymagał od niego, by przewodził czemukolwiek. Teraz jednak coraz bardziej narastała w nim chęć przejęcia dowództwa. Zaczął już sądzić, że jeżeli nie podejmą bardzo szybko jakiejś decyzji, w końcu będzie musiał zrobić to on.

I wtedy wszystko zmieniło się gwałtownie, w jednej chwili. Rozległa się ogłuszająca eksplozja, tak jakby piorun strzelił o dziesięć metrów od nich, a po niej oddalający się grzmot wyjącej bomby.

Wszyscy instynktownie padli na ziemię. Kiedy Chris odważył się wreszcie podnieść twarz, zobaczył nadlatujące cicho trzy kolejne bestie, szybujące nad samym grzbietem wydm, migocące i nierealne w rozgrzanym drgającym powietrzu. Przycisnął policzek do piasku, nie spuszczać z nich oka, gdy powiększyły się błyskawicznie od punktów przeciętych kreską, by za chwilę stać się żarłocznymi paszczami z olbrzymimi skrzydłami. Linia skrzydeł była trochę wygięta, co powodowało, że widziane z przodu przypominały znieruchomiałe czarne nietoperze.

Przeleciały nad nimi na wysokości pięćdziesięciu metrów. Chris dostrzegł, że jedna z nich coś upuściła. Był to walcowaty przedmiot, który koziołkował w powietrzu, by wylądować tuż za wydmą po lewej stronie. Kiedy pojawiła się fontanna ognia, Chris poczuł na skórze żar wybuchu.

– Bombardują nas! – krzyknęła Cirocco, która zaczęła się podnosić. Gaby próbowała

ją powalić na ziemię, ale ona pokazywała na trzecią grupę bomb, nadlatującą z północnego wschodu. Były zbyt wysoko, by atakować bezpośrednio, a kiedy znalazły się prawie nad nimi, uniosły się lekko, ukazując białe podbrzusza z uniesionymi łapami. Posypały się kolejne śmiercionośne jaja. Piszczalka pomagał właśnie Gaby w położeniu upartej Cirocco, kiedy bomby wybuchły, obsypując rozciągnięte płasko ciała deszczem piasku.

– Miałeś rację! – krzyknęła Gaby przez ramię, zrywając się na nogi.

Była to niewielka pociecha. Podniósł się, obejrzał, szukając Valihy i w tym momencie poszybował w górę, zanim się zorientował, w czym rzecz.

– Do kabla! – zawołała Valiha. Kiedy skoczyła do przodu, Chris omal nie zgubił swojego pistoletu na wodę. Spojrzał przez ramię. Za nim rzeka ognia spływała z wydmy, a z niej zaczęły się wyłaniać zastępy wysłanników piekła.

Całe setki płonęły teraz żywym ogniem. Piaskowe widma były teraz bezładną plataniną macek, która nie przypominała Chrisowi niczego, co dotąd widział. Wielkością podobne do wielkiego psa, pomykały niczym kraby szybkimi, raptownymi zrywami. Rzeczywiście były przezroczyście i płonąc w ogniu, stawały się zjawiskowymi obszarami intensywnego światła, które nie rzucało cienia. Uszy Chrisa świdrowały ostre dźwięki na granicy słyszalności i metaliczne trzaski, przypominające hartowanie rozpalonego metalu.

– Ależ to był nalot – krzyknęła Gaby, pojawiając się nagle po prawej stronie na grzbiecie Obój, która trzymała w ramionach Robin. – Chyba już nie ma wątpliwości, czy buczące bomby współpracują z piaskowymi duchami.

– Mimo to nie liczyłbym na to, że wzięły naszą stronę – powiedział Chris.

– Ja też nie. Masz jakiś pomysł? Co dalej? – Pokazała na niebo, gdzie Chris zobaczył

dwie eskadry po trzy bomby, które krążyły, szykując się do kolejnego ataku.

Powiedziałabym: biegnijmy dalej – odparła Valiha, zanim Chris zdążył cokolwiek pomyśleć. – Wydaje mi się, że nie mają wielkiej wprawy w rzucaniu bomb. Miały nas dwa razy nie osłoniętych i za każdym razem chybiły.

Piszczalka z Czarodziejką zrównały się teraz z pozostałymi dwiema tytaniem i galopowały obok.

– W porządku. Mogą jednak zmienić taktykę. Gdyby zanosilo się na to, że będą jednak nurkować, od razu się kładźcie, a jeśli już mamy biec, nie ustawiajmy się jak na defiladzie. Możemy się trochę rozproszyć. Większa ilość celów może im trochę pomieszać szyki.

Tytanie wykonały rozkazy. Valiha zaczęła się posuwać zygzakiem w stronę kabła, poruszając się zupełnie inaczej niż wtedy, gdy płynęła w pozornie swobodnym biegu. Chris musiał się teraz mocno trzymać, by nie spaść przy raptownych zmianach kierunku. Kiedy bomby ustawiły się do kolejnego ataku, jeszcze bardziej wzmogła tempo, wzniecając kopytami gejzery piachu na skrętach.

– Nie schodzę w dół – powiedział Chris.

– Dobrze. Jeszcze pociągnę...

– Zwrot! – wrzasnął.

Valiha natychmiast skręciła, a Chris skulił się, kiedy trzy bomby przeleciały mu nad głową, a pozornie tak blisko, że prawie je poczuł. Upadły jednak w odległości pięćdziesięciu metrów; Chris przekonał się, że miał rację. Impet wybuchu, nawet jeśli nie sięgał celu, mógł ich jednak obryzgać płynnym ogniem. Usłyszał ogłuszający huk, ale podstawowa część energii bomb znalazła ujście w efekcie zapalającym, a nie w fali uderzeniowej.

– To napalm – krzyknęła Cirocco, kiedy Piszczalka i Valiha na moment zbliżyły się do siebie. – Trzymajcie się od tego z daleka. Klei się do wszystkiego i wszystko pali.

Chris nie miał zamiaru zapoznać się z walorami tego materiału. Już miał to powiedzieć, kiedy Valiha krzyknęła i potknęła się.

Przeleciał przez jej grzbiet i wylądował na twarzy. Wstał, splunął krwią z przytrzaśniętych zębami ust i popatrzył przez ramię. Szkliste macki owinięły się wokół jej lewej przedniej nogi. Stwór tak nierealny nie mógł dysponować siłą, która darła jej ciało i wciągała ją w piach. A jednak ją miał. Pogrążyła się już po kolana.

Ręką pozbawioną czucia chwycił pistolet i puścił strumień wody na widmo. Puściło Valihę, odskoczyło na pół metra i zaczęło się trząść. Chris pomyślał, że zdycha.

– Woda nie robi mu krzywdy! – krzyknęła Valiha. Waliła w upiora swoim kijem jak cepem. Duże macki odłamały się i wiły przez chwilę, by wreszcie zniknąć w piasku. – Otrząsa się z niej.

Chris widział, co się dzieje. Stwór, choć ranny, znowu zaczął się zbliżać do Valihy. Był gniazdem szklanych żmij. Mniej więcej pośrodku widniał duży różowy kryształ, który mógł być okiem. Bardziej to przypominało któregoś z morskich bezkręgowców niż jakiegokolwiek stworzenie lądowe, miało jednak siłę smagającego batoga.

Valiha cofnęła się na tylnych nogach, podczas gdy Chris trzymał się tylko jej włosów, w które wczepił palce. Zdawała się tego nie zauważać. Uderzyła bestię przednimi kopytami, odskoczyła i ponowiła atak, a potem skoczyła na skręcające się szczątki i tak potężnie uderzyła je tylnymi kopytami, że kiedy znowu skoczyła do przodu, w powietrzu ciągle jeszcze fruwały odłamki.

Kiedy Chris podniósł głowę, niebo roiło się od ryczących bomb. Właściwie to było ich co najmniej dwadzieścia lub trzydzieści, ale wystarczyłaby nawet jedna. Pulsujący

ryk ich gazów odlotowych wprawiał w drżenie cały świat.

Następną rzeczą, którą pamiętał, była Valiha klęcząca przed nim i potrząsająca go za ramiona. W uszach ciągle jeszcze słyszał dzwonięcie. Zauważył, że włosy Valihy były osmalone z jednej strony, a jej lewe ramię i lewa strona twarzy krwawiły. Jej żółta skóra była niemal niewidoczna pod pokrywą piachu przyklejonego potem.

– Nie krwawisz zbyt mocno – powiedziała, a on dopiero teraz zauważył poszarpane ubranie i prześwitującą pod nim czerwień. Strzęp jego spodni jeszcze się tlił, więc szybkim ruchem go zdusił. – Rozumiesz? Słyszysz mnie?

Kiwnął głową, chociaż ciągle jeszcze niewiele do niego docierało. Podniosła go znowu, a on beładnie wierzgał nogami, próbując usiąść na jej grzbiecie. Kiedy wreszcie usiadł, znów puściła się galopem.

Do najbliższego włókna kabla mieli zaledwie sto metrów. Niemal u celu usłyszał subtelną zmianę odgłosu kopyt tytanii. Nie były to już teraz stłumione uderzenia o głęboki piasek, lecz tak miłe dla ucha stukanie o litą skałę. Wkrótce dotarli do potężnego pasma. Valiha okrążyła je i mogli teraz bezpiecznie spojrzeć na pustą przestrzeń pustyni, którą właśnie przebyli. Pozostałych członków wyprawy nigdzie nie było widać. Choć z oddali dolatywały odgłosy silnika pulsacyjnego, niebo było wolne od ryczących bomb.

– Tam – powiedziała Valiha. – Na wschodzie.

Na piasku widać było gwałtowny ruch. Spora liczba duchów tworzyła przesuwającą się chmurę ponad nieruchomym kształtem.

– To Obój – powiedziała Valiha ze spokojem.

– Nie. To niemożliwe.

– Ale to prawda. A tam, na prawo od szczątków... Obawiam się, że to jest nasza

towarzyszka Robin.

Zza wygięcia włókna kabla dostrzegł małą postać. Była o dwieście-czterysta metrów od nich. Widział, jak zatrzymuje się przed krwawym widowiskiem. Ukucnęła. Przyłożyła ręce do ust, potem wyprostowała się i Chris był już teraz pewny, co tamta chce zrobić.

– Robin! Robin, nie rób tego! – krzyknął. Zobaczył, że zatrzymuje się i rozgląda dookoła.

– Za późno – krzyknęła Valiha. – Ona już nie żyje. Chodź do nas. – Odwróciła się do Chrisa. – Idę po nią.

Przytrzymał ją mocno za rękę.

– Nie. Tu na nią poczekaj. – Brzmiało to cholernie mało bohatersko, ale nic na to nie mógł poradzić. Ciągle miał przed oczami szkliste macki, wciągające Valihę w piach. Popatrzył na jej nogi i zaniemówił.

– To wygląda...

– Nie jest tak źle, jak wygląda – powiedziała Valiha. – Cięcia nie są takie głębokie.

W każdym razie większość z nich.

Wyglądało to okropnie. Jej lewa noga była pokryta zakrzepłą krwią i przynajmniej z jednej z ran zwisały luźne kawałki skóry. Odwrócił bezradnie głowę w stronę Robin, która biegła teraz ku nim. Chwiała się, a ręce i nogi poruszały się bez żadnej koordynacji.

Chris wybiegł jej kawałek naprzeciw i ruszył pędem z powrotem, podpierając ją ramieniem. Opadła bezsilnie na skałę, z trudem łapiąc oddech, niezdolna wykrztusić słowa, ale tuląc się do twardej powierzchni niczym do starego przyjaciela. Chris odwrócił ją i wziął za dłoń, tę, w której brakowało małego palca.

– Byliśmy tutaj – zdołała wykrztusić. – Tutaj, pod... kablem. Potem Gaby zobaczyła brzęczącą bombę i... a ona schodziła w dół. Pierwsza. Gaby ją zestrzeliła! Coś spadło

z niej na spadochronie... a Gaby ruszyła za tym. Woda ich nie rusza! Wyszły prosto na nas i... i...

– Wiem – uspokajał ją Chris. – Też to widzieliśmy.

– ... A potem Obój pobiegła, szukając Gaby i... nie wzięła mnie. Nie mogłam się ruszyć! A jednak ruszyłam się, wstałam i poszłam... za nią. Była tam, a później mnie zawołałeś... a Gaby gdzieś tam jest. Musimy ją odszukać, my...

– Nie ma też Cirocco i Piszczalki – powiedział Chris. – Mogą być jednak pod kablem. Musieliście dojść bardziej na zachód od nas. Cirocco może być gdzieś indziej. My... Valiha, jak długo mnie nie było?

Tytania zmarszczyła brwi.

– Też byliśmy pod kablem – powiedziała. – Dobiegliśmy w bezpieczne miejsce, potem zobaczyliśmy biegnącą Gaby i poszliśmy jej na pomoc, i wtedy właśnie omal nas nie trafiło. Sama też przez chwilę chyba byłam nieprzytomna.

– Nic z tego nie pamiętam.

– To trwało jakieś cztery-pięć decyobrotów... Możliwe, że jakieś trzydzieści minut od chwili rozpoczęcia bombardowania.

– A więc Cirocco miała masę czasu, by dobiec do kabla. Powinniśmy w pierwszym rzędzie poszukać pomiędzy zewnętrznymi włóknami. – Nie dodał już, że miał nieodparte uczucie, iż ktokolwiek został jeszcze tam, wśród piasku pustyni, musi być już martwy.

Wszyscy czuli, że trzeba szybko działać, a jednak ciężko im było opuścić schronienie, do którego dotarli z takim trudem. Jakiś czas zajęło im oglądanie i opatrywanie ran. Robin wyszła z najmniejszymi obrażeniami, również Chris nie odniósł takich ran, których nie dałoby się przewiązać kilku bandażami. Opatrywanie Valihy zajęło więcej czasu. Kiedy obwiązali poszarpaną nogę, stąpała ostrożnie, bojąc się ją

obciążać.

Co myślicie? – spytał Chris. – Mogą być choćby i po drugiej stronie tego włókna, penetrując z oddalenia pustynię i próbując nas odszukać.

– Możemy się rozdzielić – zasugerowała Robin. – Będziemy szukać po obu stronach.

Chris przygryzł wargę.

– No, nie wiem. We wszystkich filmach, które widziałem, kiedy bohaterowie dzielili się, nic dobrego z tego nie wynikło.

– Opierasz swoją taktykę na wspomnieniach z filmów?

– A cóż innego mi zostało? Masz jakiś inny pomysł?

– Myślę, że nie – przyznała Robin. – Mamy szkolenia na wypadek rozmaitych form inwazji, ale nie wiem, czy cokolwiek z tego tutaj by się przydało.

– Więc się nie rozdzielajmy – powiedziała Valiha stanowczo. – Podział zwiększa nasze zagrożenie.

W końcu jednak nie mieli czasu na podjęcie decyzji. Robin, obserwując pustynię, zobaczyła Gaby, która wynurzyła się na grzbiecie wydmy. Posuwała się długimi, lekkimi susami, tak charakterystycznymi dla miejscowego słabego ciężenia. Chris znał ten rodzaj biegu już na tyle dobrze, by zorientować się, że Gaby była porządnie zmęczona. Była trochę pochylona, jakby chciała ulżyć kluciu w boku.

Powoli zbliżała się do kabla. Kiedy zostało jej jeszcze jakieś pół kilometra, machnęła ręką i krzyknęła, ale nie udało im się rozróżnić słów.

Ona również nie mogła ich zrozumieć, kiedy wszyscy troje zaczęli gorączkowo krzyczeć, próbując ją ostrzec przed niewidocznym dla niej niebezpieczeństwem, które ścigało ją z tyłu.

Pierwsza ruszyła na odsiecz Valiha. Zaraz za nią Chris, lecz tytania szybko się od

niego odsądziła. Była jeszcze o trzysta metrów od Gaby, gdy bucząca bomba zadarła nos i uwolniła swój śmiertelny ładunek. Młócąc stopami po piasku, niepomny tego, co się może kryć pod jego gorącą powierzchnią, Chris zobaczył, jak bomby powoli koziółkują w powietrzu. Bomby spadły prosto przed Gaby. Wyrzuciła ręce w górę, kiedy zagroziła jej drogę ściana ognia.

Wypadła z niej w pełnym biegu. Zdawało się niemal, że frunie. Płonęła.

Widział, jak rękami próbuje przygasić płomienie, słyszał jej krzyk. Nie widziała już, dokąd biegnie. Valiha próbowała ją schwytać, ale chybiła. Chris nie zatrzymał się. Poczł płonące włosy i ciało, kiedy uderzył ją ramieniem i powalił na ziemię. Potem Valiha przytrzymała ją, a Chris obu rękami zasypywał ją piaskiem. Odwrócili ją, nie pozwalając jej wstać i lekceważąc ból własnych poparzonych rąk.

– Udusimy ją! – zaprotestował Chris, kiedy Valiha przygniotła Gaby całym swym ciężarem.

– Musimy stłumić ogień – powiedziała tytania. Kiedy Gaby przestała się opierać, Valiha wzięła ją na ręce i schwyciła Chrisa, niemal wyrywając mu rękę ze stawu.

Wskoczył na jej grzbiet, a ona rzuciła się w stronę kabla, trzymając w ramionach Gaby, nieprzytomną lub martwą. Dogonili Robin, która wycofała się już w pobliże pasma, spod którego obserwowali cały dramat. Chris chwycił ją za rękę i wciągnął na miejsce za swoimi plecami. Valiha nie zwolniła tempa, nim nie stanęli znowu na twardym gruncie.

Już miała położyć Gaby, kiedy odwracając się, zauważyła nadlatującą kolejną wyjącą bombę. Trudno było uwierzyć, ale najwyraźniej z dużą prędkością zmierzała w stronę kabla, kursem tak dobranym, że pozwoliłby jej zrzucić bomby dokładnie w miejsce, w którym stała Valiha. Kiedy uniosła nos, by się ich pozbyć, a jej silnik zawył pełną mocą, która dawała jej szansę wznoszenia na tyle szybkiego, by mogła ujść z życiem

z tego ryzykownego manewru, Valiha zagłębiła się w ciemniejący gąszcz potężnych włókien.

Z tyłu rozległy się wybuchy. Nie sposób było ocenić, czy jedna z nich nie była odgłosem katastrofy samej ryczącej bomby. Valiha nie zwolniła tempa. Coraz bardziej zagłębiała się w las włókien i zatrzymała się dopiero wtedy, gdy ciemność zgęstniała tak, że prawie się wzajemnie nie widzieli.

Lecą następne – powiedział Chris. Nigdy jeszcze nie czuł się taki bezradny. Za nimi, na tle cienkiego pasemka nieba widocznego między włóknami dostrzegli drobiny cienia, które mogły być tylko buczącymi bombami widzianymi od przodu. Naliczył pięć, ale wiedział, że było ich więcej. Jedna położyła się w skrócie w prawo, potem w lewo, przemykając się pomiędzy włóknami kabla z prędkością samobójcy. Daleko za nimi dał się słyszeć wybuch, potem następny nieco bliżej, wreszcie bestia przeleciała z rykiem nad ich głowami. Kiedy się oddalała, widać było błękitny płomień buchający z silnika.

Przed nimi powietrzem targnął potworny wybuch, a przestrzeń pomiędzy włóknami rozświetlił nagle pomarańczowy blask, który uruchomił upiorny taniec cieni włókien wokół nich. Chris dostrzegł wtedy również na moment spadającą, rozbitą wyjącą bombę. Valiha uskoczyła.

Za chwilę druga bestia przeszła gdzieś nad nimi, a trzecia z trzaskiem walnęła we włókno po lewej stronie. Płonący napalm spływał po nim jak wosk z płonącej świecy, by wreszcie chlapać na ziemię o kilkaset metrów od nich. Przed nimi słysząc było dalsze eksplozje.

Fala uderzeniowa wytrąciła duże odłamki skał i inne większe szczątki spomiędzy zbiegających się włókien kabla wysoko ponad nimi. Głaz wielkości tytania rozbił się w deszczu iskier o dwadzieścia metrów przed nimi. Valiha właśnie go okrążała, kiedy

usłyszeli odgłos kolejnego upadku ryczącej bomby, a potem w krótkich odstępach jeszcze dwa na tle słabszych odgłosów zrzucanych bomb.

Valiha nie zatrzymywała się, póki nie zobaczyła kamiennej budowli, która mieściła wejście do regionalnego mózgu Tetydy. Zatrzymała się niezbyt skora do wejścia. Tylko napór bomb przygnał ją aż tak daleko, w miejsce, którego jej gatunek tradycyjnie unikał.

– Musimy wejść do środka – przynaglał Chris. – Tu się wszystko rozwała. Wreszcie któraś z nich nas dopadnie, jeśli najpierw nie zatłucze nas jakaś spadająca skała.

– Tak, ale...

– Valiha, rób, co ci każe. Mówi do ciebie Szczęściarz Większy (Dur). Czy myślisz, że namawiałbym cię na coś niebezpiecznego?

Valiha zawahała się przez sekundę, a potem przebiegła truchtem pod sklepionym portalem i po kamiennej podłodze, aż wreszcie dotarli do początku pięciokilometrowych schodów.

Ruszyli w dół.

32. Zaginiona armia

Płonące chemikalia jeszcze długo ściekały, by wreszcie wygasnąć, gdy Cirocco pieszo obeszła zakole wielkiego kabla z Piszcząką posuwającym się w ślad za nią.

Tytania kuśtykała na trzech nogach, czwartą – prawą tylną nogę miała podwiązaną na temblaku przełożonym przez grzbiet. Dolny staw ujęty był w łupki.

Również Cirocco nosiła ślady bitwy. Głowę spowijał jej bandaż, który zakrywał jedno oko. Twarz była zalana zakrzepłą krwią. Prawą rękę trzymała na temblaku; dwa palce prawej dłoni były spuchnięte i nienaturalnie wykrzywione.

Posuwały się skalistym gruntem otaczającym podstawę kabla, nie ryzykując drogi przez piasek. Chociaż ostatnie napotkane duchy nie wykazywały już tej dziwnej odporności na wodę, która niektórym z nich pozwoliła dorwać się do ludzi i tytanii, Cirocco nie zamierzała ryzykować. Jeden z tych, które zabiła, w chwili śmierci zrzucił jasną, elastyczną skórę, w dotyku przypominającą folię winylową.

Zauważyła coś na piasku, zatrzymała się i wyciągnęła rękę. Piszcząka podał jej lornetkę, którą nieporadnie przytknęła do zdrowego oka. To była Obój. Rozpoznała ciało tylko po kilku pasemkach nie uszkodzonej zielonobrazowej skóry. Cirocco odwróciła wzrok.

– Obawiam się, że już nigdy nie zobaczy rzeki Ophion – zaśpiewał Piszcząka.

– Dobra była – zaśpiewała Cirocco, nie wiedząc, co jeszcze dodać. – Prawie jej nie znałam. Później o niej pośpiewamy.

Prócz ciała niewiele było śladów po strasznej walce, jaka się tutaj rozegrała. Trochę szerniałych splachetków piasku, które już zaczęły zasypywać wędrujące niez mordowanie wydmy. Również ciało było już częściowo przysypane.

Cirocco obawiała się, że to jeszcze nie wszystko. Reszta mogła być martwa, ale nie

miała zamiaru się z tym pogodzić, dopóki nie zobaczy ciała.

Byli spychani ku wschodowi, kiedy ich skok przemienił się w chaos. Piszczalka ciągle próbował skręcić w stronę pozostałych dwóch tytani, nieustannie jednak natykał się na kolejną grupę ukrytych wodoodpornych duchów. Nie pozostało im nic innego jak ucieczka. Atak był tak gwałtowny, że Cirocco doszła do wniosku, iż prześladowcom chodzi tylko o nią. Sądząc, że będzie ich mogła odciągnąć i w ten sposób zmniejszyć nacisk na przyjaciół, kazała Piszczalce biec tak szybko, jak tylko mógł, wokół kabla w kierunku wschodnim. Ściagała ich atakująca w pojedynkę bucząca bomba, której prawie udało się ich załatwić – rzuciła bomby tak blisko, że podmuch uniósł ich w powietrze i cisnął o jedno z włókien kabla.

Okazało się jednak, że Cirocco się myliła. Duchy nie ścigały jej, podobnie zresztą jak ryczące bomby, za wyjątkiem tej, która ich poturbowała. Poszukali schronienia pod włóknami kabla i słuchali odgłosów odległej bitwy, niezdolni uczynić czegokolwiek. Wpierw musieli opatrzyć swoje rany.

Cirocco właśnie zbierała się, by ruszyć dalej, kiedy zawołał ją Piszczalka. Przyglądał się twardej powierzchni skały.

– Tędy szedł jakiś człowiek – zaśpiewał, wskazując na równoległe rysy, które mogły być tylko dziełem twardych kopyt tytani. O kilka kroków dalej znaleźli pasmo nawianego piachu z wyraźnymi odciskami kopyt i ludzkiej stopy.

– A więc Valiha dotarła aż tutaj – powiedziała Cirocco po angielsku. – A także przynajmniej jeden z ludzi. – Zwinęła dłoń w trąbkę i krzyknęła w mrok. Odpowiedziało jej tylko zamierające echo. – Chodźmy. Musimy ich odnaleźć.

Kiedy zagłębili się w mrok, napotkali olbrzymie, nieregularne kształty blokujące im drogę. Piszczalka zapalił latarnię. W jej świetle ujrzeli rumowisko, które osunęło się

Spomiędzy włókien kabla wysoko w górze pod naporem uderzeń bomb. Włókna przebiegały oddzielnie do wysokości przynajmniej dziesięciu kilometrów; później łączyły się w jeden potężny kabel Tetydy. Cirocco wiedziała, jakie bogactwo życia się tam kryje: rośliny wczepione korzeniami w pasma i zwierzyna przebiegająca w dół i w górę ten pionowy gąszcz.

Cirocco posuwała się wśród tych szczątków, ciągle pamiętając, że pod każdą większą kupą kamieni może być pogrzebana cała czwórka jej przyjaciół. Od czasu do czasu Piszczątka sygnalizował kolejne ślady kopyt. Po jakimś czasie dotarli do potężnego usypiska kamieni. Cirocco wiedziała, że są teraz dokładnie na osi kabla. Była tu już wcześniej. Kiedyś był to budynek wejściowy. Teraz było to po prostu skalne rumowisko, a pośrodku olbrzymiego pogorzelska leżały skręcone korpusy trzech buczących bomb. Niewiele z nich zostało, właściwie tylko metal, którym wyłożone były komory spalania i poczerńnięte stalowe zęby.

– Czyżby weszli tędy? – spytała Cirocco. Piszczątka schylił się, by obejrzeć ślady w świetle latarni.

– Trudno powiedzieć. Możliwe, że dostali się do budynku, zanim nie został zburzony.

Cirocco ciężko dyszała. Wzięła latarnię od Piszczątki i obeszła rumowisko dookoła. Potem energicznie przeszła kilka kroków w górę, ale jej złamana ręka i zawroty głowy kazały jej zrezygnować. Zeszła więc z powrotem na dół. Usiadła z czołem opartym na dłoni, westchnęła, podniosła się i zaczęła odgrzebywać wejście, kamień po kamieniu.

– Co robisz? – spytał po kilku minutach Piszczątka.

– Kopię.

Tytania przyglądała się. Kamienie były rozmaite: od wielkości pięści do głazów

kilkusetkilowych, które być może we dwójkę udałoby im się ruszyć. Jednak większość mogłaby z powodzeniem posłużyć do budowy egipskiej piramidy. W końcu podszedł do niej z tyłu i dotknął jej ramienia. Wzdrygnęła się.

– Rocky, to nie ma sensu. Nie dasz rady.

– Muszę. I zrobię to.

– To zbyt...

– Do cholery, nie rozumiesz? Tam przecież jest Gaby! Zadrżała i opadła na kolana.

Piszczalka przysiadł obok, a ona rozszlochała się na jego ramieniu.

Kiedy opanowała się jakoś, wysunęła się z jego objęcia, wstała i oparła ręce na jego ramionach. Jej oczy płonęły determinacją, jakiej Piszczalka już od dawna nie widział u Czarodziejki.

– Piszczalko, stary przyjacielu – zaśpiewała. – W imię węzłów krwi, które nas łączą, muszę cię prosić, byś zrobił dla mnie coś wielkiego. W imię naszej wspólnej miłości dla twojej prababki. Nie prosiłabym cię, gdyby był jakikolwiek inny sposób.

– Rozkazuj, Czarodziejko – zaśpiewał oficjalnym tonem Piszczalka.

– Musisz wrócić do ojczystego kraju. Tam musisz błagać wszystkich, którzy zechcą przyjść na wielką pustynię, by przyszli na Tetydę na pomoc Czarodziejce, bowiem bardzo tej pomocy jej trzeba. Wezwij wielkich gigantów nieba. Wezwij Pancernika, Tropiciele, Arystokratę, Żelaznego, Stop-Gwizdka, Bombasto, Jego Wysokość i Starego Zwiadowcę. Powiedz im, że Czarodziejka wyda wojnę rakietom i że zetrze ich rodzaj na zawsze z wielkiego koliska świata. Powiedz im, że Czarodziejka wzywa ich, by przywiozły wszystkich chętnych na Tetydę. Zrobisz to dla mnie, Piszczalko?

– Zrobię, Czarodziejko. Obawiam się jednak, że niewielu moich rodaków przybędzie. Tetyda jest daleko od domu, droga pełna niebezpieczeństw, a moi ziomkowie

lękają się tych miejsc. Wierzymy, że Gaja nie chce, byśmy tu przychodzili.

– A więc powiedz im tak: kto przyjdzie, gwarantuję dziecko w następnym

Karnawale. Powiedz, że jeśli mi pomogą, sprawię im Karnawał, o którym będą śpiewali przez następnych tysiąc megaobrotów. – Przeszła na angielski. – Czy sądzisz, że to ich ściągnie?

Piszczalka wzruszył ramionami i odpowiedział w tym samym języku:

– Tylko tyłu, ilu udźwigną miękkołoty.

Ciocco poklepała go po ramieniu, wstała i pomogła mu się podnieść. Wstawał z ociąganiem. Spojrzała mu w oczy i pocałowała go.

– Będę tutaj czekać – zaśpiewała. – Czy znasz gwizd alarmowy, by przywołać gigantów nieba?

– Znam.

– Jeden z nich wkrótce cię uniesie. Do tego czasu bądź bardzo ostrożny. Dotrzyj bezpiecznie i sprowadź mi wiele rąk do pracy. Niech wezmą liny, bloki i wielokrążki, najlepsze kołowroty, oskardy i młoty.

– Tak zrobię. – Spojrzał w dół. – Rocky – powiedział – czy myślisz, że oni jeszcze żyją?

– Myślę, że jest jeszcze szansa. Jeżeli są tam uwięzieni, Gaby będzie wiedziała, co robić. Wie, że nic mnie nie powstrzyma od wydobycia jej, i zatrzyma pozostałych u góry schodów. Schodzenie do Tetydy beze mnie, która może trzymać ją w szachu, jest zbyt niebezpieczne.

– Skoro tak mówisz, Rocky...

– Właśnie tak. A teraz ruszaj biegiem, mój synu.

33. Głownia

– To był Gene – powiedziała chrapliwym szeptem Gaby – Trudno mi było w to uwierzyć, ale to naprawdę Gene wyskoczył z buczonej bomby na chwilę przedtem, zanim trafiła w cel.

– Gaby, nie możesz tak się tym przejmować – upomniał ją Chris.

Wiem. Zaraz kładę się spać. Chciałam wam tylko przedtem to powiedzieć.

Robin całkowicie straciła rachubę czasu. Nie miała pojęcia, jak długo tkwią na tych schodach. Wydawało jej się, że może całą dobę. Raz nawet zasnęła, ale obudził ją krzyk Gaby.

Ledwie potrafiła się zmusić, by na nią spojrzeć. Zdarli z ciała Gaby strzępy ubrania, a potem ułożyli ją na ściworze. W apteczce Valihy znalazły się tubki z maścią na oparzenia, ale było jej za mało do posmarowania całej spalonej powierzchni skóry. Nawet nie mogli dokładnie jej obmyć z piasku, bo nie było najmniejszej szansy na ponowne napełnienie pustych bukłaków. Knot w lampie przykręcono, aby zużywała mniej paliwa i wszystkim zdało się to aktem miłosierdzia. Ciało Gaby przedstawiało potworny widok: jedna masa oparzeń drugiego i trzeciego stopnia. Cały jej prawy bok i część pleców były zupełnie zwęglone. Skóra pękała przy najlżejszym ruchu i wytryskiwał z niej przezroczysty płyn. Gaby twierdziła, że nic przy tym nie czuje; zdaniem Robin oznaczało to, że nerwy uległy zniszczeniu. Natomiast straszliwie ją bolały zaognione fragmenty skóry, otaczające spalone miejsca. Zapadała na kilka minut w niespokojny sen, po czym powracała do tortury przytomności, a z jej gardła wyrывał się chrapliwy krzyk. Błagała o wodę i wtedy dawali jej kilka łyków.

Na chwilę uspokoiła się trochę; nie czuła już takiego bólu i powróciła jej świadomość obecności otaczających ją ludzi. Leżała na boku, z nogami uniesionymi w górę i głową wtuloną w łono Valihy. Opowiadała o tym, co się wydarzyło, zanim

złożyła swe ciało w ofierze.

– To była jego robota. To on sterował bombami, które, nawiasem mówiąc, są cholernie inteligentne. Nawiązał też kontakt z widmami, tylko że one nie pracują dla obcych. Ja to wiedziałam i on też, ale usiłował ukryć przede mną sposób, w jaki je zmusił do współpracy. Przemówiłam mu więc do rozumu. – Uśmiech na jej zniszczonej twarzy wyglądał upiornie.”

– Właściwie, to za jedną rzecz go podziwiam. Ten numer z widmami zupełnie mnie zaskoczył. On maczał tych sukinsynów w plastyku. Najpierw kazał im włączyć pod rozpylacz z jakimś paskudztwem, a kiedy już byli tym dokładnie pokryci, maszerowali posłusznie do walki.

Tylko że ubrdał sobie, że jesteśmy sprytniejsi niż w rzeczywistości i to był jego błąd. Pamiętacie, jak w połowie drogi do kabla Rocky stwierdziła, że gdybyśmy doszli do tej drogi od północy, potem wrócili stamtąd po własnych śladach i dopiero wtedy ruszyli w stronę kabla, wówczas nasza wędrówka przez głębokie piaski byłaby krótsza? Otóż gdybyśmy tak wtedy zrobili, wpadlibyśmy w zasadzkę. Gene rozstawił swoją wodoszczelną armię na odcinku dzielącym drogę od kabla, żeby nas tam osaczyła i podała jak na półmisku eskadrze bomb, czekającej już w północnych górach. My jednak przeszliśmy w takim miejscu, którego pilnował niewielki oddział i na dodatek nie wodoszczelny. Gene twierdził, że plastyk jest nietrwały, łatwo się niszczy w piasku, a on dysponował tylko jedną maszyną do natryskiwania, więc oczywiście wyposażył w nią przede wszystkim główną siłę uderzeniową swojej armii.

Zakaśłała i Robin chciała jej podać wody. Pokręciła przecząco głową.

– Trzeba oszczędzać – powiedziała. Wyraźnie osłabła. Zmęczyła ją ta długa przemowa, toteż Chris znowu zaproponował, by odpoczęła.

– Najpierw muszę wszystko opowiedzieć do końca – zaprotestowała. – Na czym stanęłam? Aha. Miałaś rację, Chris. Daliśmy się zatrzymać małemu oddziałowi widm, a potem ukryliśmy na widok tamtej bomby. To Gene nas szukał. Kiedy nas zobaczył, nakazał reszcie swych oddziałów dołączyć do niego. Gdybyśmy wtedy ruszyli do kabla, wówczas ani piechota, ani lotnictwo nie miały szansy nas dopaść. Nie sądzę, by Gene nadstawiał własnego karku i próbował zaatakować nas z powietrza, ale mogę się mylić. Miał dosyć ważny powód.

– On ścigał mnie – powiedziała i ponownie chwycił ją atak kaszlu. Opanowała go i dopiero wtedy na nowo podjęła opowieść. – Gene usiłował mnie zabić i stąd cała ta historia i wszystkie kłopoty towarzyszące naszej wyprawie. Widma i bomby otrzymały rozkaz, żeby najpierw dopaść mnie, a dopiero później, jeśli się da, pozostałych. Miały oszczędzić Cirocco, choć jak sądzę w tej sprawie Gene również miał inne zdanie.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – spytała Robin. – Czy on wykonywał czyjeś rozkazy?

– Tak – powiedziała Gaby. – Zgadza się. Za nic nie chciał się przyznać.

Powiedziałam mu, że jeśli nie powie, to pożyje jeszcze jeden dzień, podczas którego będę go powolutku rozdzierała na kawałki. Musiałam mu kilka takich kawałków wydrzeć, żeby uwierzył.

Robin nerwowo przełknęła ślinę. Dotychczas uważała się za osobę niewrażliwą na wszelkie przejawy przemocy, ale skala ostatnich wydarzeń zupełnie ją przerastała.

Widziała już rozkrwawione nosy, połamane kości, a nawet śmierć, ale wojnę znała wyłącznie z legendarnych opowieści o Ziemi. Nie wiedziała, czy poważałaby się na czyny opisywane przez Gaby. Gdyby chodziło jedynie o poderżnięcie gardła albo wbicie noża w serce. Nie rozumiała, czym są tortury, czuła tylko silny strumień nienawiści,

pulsujący w ciele Gaby, gdy mówiła o tamtym mężczyźnie. Po raz kolejny uderzyła ją ogromna przepaść, jaka rozpościerała się pomiędzy jej dziewiętnastoma latami spędzonymi na Konwencie, a siedemdziesięcioma pięcioma latami, które Gaby przeżyła w wielkim kole.

– Więc które z nich to było? – spytał Chris. – Okeanos? Tetyda?

– Chciałabym, żeby to był Okeanos – powiedziała Gaby. – Ale nie liczyłam na to.

Gene dostawał rozkazy od tej, którą cały czas podejrzewałam. To Gaja kazała mnie zabić i oszczędzić Cirocco. Gdy umarł Psalterium nie mogłam się powstrzymać i głośno obwiniałam ją o tę śmierć. Musiała mnie wtedy usłyszeć i nakazała Gene'owi zdwoić wysiłki. Dała mu środki do produkcji napalmu i materiały wybuchowe.

– To Gene był odpowiedzialny również i za ten atak?

– Pamiętasz, jaki był przebieg wydarzeń? Chris zauważył bombę i zrzucił mnie z Psalterium. Gdyby tego nie zrobił, zginęlibyśmy oboje. Gene musiał potem stworzyć wrażenie, że atak był wymierzony w nas wszystkich. Rocky nie mogła się nigdy dowiedzieć, że chodziło im wyłącznie o mnie. – Znowu się rozkaszała, potem chwyciła kołnierz Chrisa i uniosła się, wysiłkiem woli dobywając resztki sił ze swoich mięśni.

– I to właśnie musisz powiedzieć Rocky, kiedy tu wreszcie dotrze. Musi wiedzieć, że to zrobiła Gaja. Jeżeli będę spała, kiedy ona się tu zjawi, to powiedz jej to od razu.

Obiecuj, że to zrobisz. Jeżeli będę majaczyła albo nie dam rady mówić, powiesz jej to za mnie.

– Powiem, obiecuję – zapewnił ją Chris. Zerknął ukradkiem na Robin. Był przekonany, że Gaby majaczy, a Robin najwyraźniej była tego samego zdania. Cirocco prawdopodobnie nie żyła, a nawet jeśli było inaczej, to i tak nie miała żadnych możliwości usunięcia góry kamieni tarasującej dostęp do schodów.

– Nie rozumiesz – powiedziała Gaby i osunęła się z powrotem na posłanie. –

W porządku, powiem wam, o co nam naprawdę chodziło, gdy wmawialiśmy wam, że wybieramy się na przechadzkę po parku. – To był spisek przeciwko Gai.

Gaby i Cirocco właściwie nie spiskowały, a raczej eksperymentowały. Żadna z nich nie była pewna, czy usunięcie Gai jest fizycznie możliwe, ani czy można pozbyć się jej, nie niszcząc przy tym samej planety i wszelkiego, znajdującego się na niej życia.

Tak, jak wiele innych wydarzeń na Gai, obecną sytuację zrodziły wydarzenia dawno już minione. Gaby miała ochotę coś zmienić już trzydzieści lat wcześniej. Robin siedziała dziś obok niej w migotliwej ciemności i słyszała wyznania, których wcześniej mogła wysłuchiwać wyłącznie Cirocco.

– Przez dłuższy czas Rocky nie chciała o niczym słyszeć – mówiła Gaby. – Nie winię jej. Miała mnóstwo powodów, by zadowolić się aktualnym stanem rzeczy. Ja zresztą też. Nie uważałam, by życie na Gai było aż takie straszne. Co jakiś czas stwierdzałam, że coś mi się nie podoba, ale, do diabła, na Ziemi było o wiele gorzej. Wszechświat nie jest ani sprawiedliwy, ani piękny, nawet jeśli rządzi nim żywy Bóg. Jestem głęboko przekonana, że gdyby chrześcijański Bóg istniał, nienawidziłabym go znacznie serdeczniej niż Gaję. A ona nawet nie gra w jego lidze.

– Niemniej jednak, ten bóg tutaj naprawdę był i można z nim było pogadać. I właśnie dzięki temu wiedziałam, że Gaja ponosi całkowitą odpowiedzialność, że każda niesprawiedliwość i każda śmierć są wynikiem świadomej decyzji... i dlatego tym trudniej było mi się z tym wszystkim pogodzić. Godzę się na istnienie raka tylko wtedy, gdy wiem, że jest rzeczą naturalną, że nikt go nie wymyślił i nie postanowił zarazić nim ludzi. Tak właśnie było na Ziemi. Ofiary trzęsienia ziemi opatrywały swoje rany, zbierały resztki dobytku i wędrowały gdzieś indziej, gdzie spadały na nie następne klęski. Nie

złorzeczyło się Bogu, przynajmniej niewielu z moich znajomych to robiło.

– Ale kiedy rząd wprowadzał prawo, które ci się nie podobało, to robiło się w tej sprawie piekło. Albo się próbowało wyeliminować tych sukinsynów przy następnych wyborach, albo organizowało przejęcie władzy w jakiś inny sposób. Ale w tym przypadku to ludzie byli odpowiedzialni za akty niesprawiedliwości, a nie obojętny wszechświat i dlatego czuło się, że można to zmienić. Długo to trwało, zanim sobie uświadomiłam, że tu jest tak samo. Wierzcie albo nie, ale przedtem naprawdę traktowałam ją jak Boga. Rzeczywiście go przypomina. Ale ona panuje bez pomocy cudów. Wszystko co robi, jest teoretycznie osiągalne dla takich stworzeń jak my. Stopniowo więc pozbywałam się przekonania, że Gaja jest Bogiem i zaczęłam ją uważać za miejski ratusz. – Musiała przestać mówić, bo znowu chwycił ją atak kaszlu. Robin przyłożyła jej buklak do ust. Napiła się, a potem spojrzała na siebie ze łzami w oczach. – Widzicie, do czego mnie to doprowadziło.

Valiha delikatnie pogładziła jej czoło.

– Powinnaś teraz odpocząć, Gaby – powiedziała. – Musisz oszczędzać siły.

– Odpocznę – zapewniła ją Gaby – tylko najpierw opowiem wszystko do końca. –

Przez krótką chwilę oddychała z niezmiernym trudem. Robin przeraził wyraz jej szeroko rozwartych oczu. Usiłowała się podnieść, ale Valiha ją przytrzymała, uważając, by przy tym nie dotykać poparzonej skóry. Gdy potoczyła po nich oszalałym wzrokiem, Robin zrozumiała, że Gaby już wie. Jej głos zabrzmiał dziecinnie. – Niedługo umrę, prawda?

– Nie, powinnaś tylko...

– Tak – oświadczyła Valiha z typową dla tytanii szczerością w sprawie śmierci. –

Szanse są raczej niewielkie.

Gaby zdławiła chrapliwy szloch.

– Nie chcę umierać – jęknęła. Ponownie usiłowała usiąść. Walczyła z nimi, czerpiąc energię z histerycznej siły. – Jeszcze nie jestem gotowa. Proszę, nie pozwólcie mi umrzeć, nie chcę umrzeć, ja... nie chcę... nie pozwólcie mi umrzeć! – Nagle przestała im się opierać i bezsilnie opadła na posłanie. Długo płakała gorzko, tak długo, że kiedy znowu usiłowała się odezwać, mówiła urywanymi słowami, ledwie dającymi się zrozumieć. Robin przyłożyła ucho do ust Gaby.

– Ja nie chcę... umierać – powtórzyła Gaby. A po dłuższej chwili, kiedy Robin miała nadzieję, że już śpi, wyszeptała: – Nie wiedziałam, że to może aż tak boleć.

W końcu jednak zapadła w nieświadomość.

Odezwała się ponownie po jakichś ośmiu godzinach. A może po szesnastu. Robin nawet nie próbowała liczyć. Żadne z nich nie spodziewało się, że Gaby będzie żyła jeszcze tak długo.

Przez następne kilka godzin opowiedziała im całą historię do końca. Siły uciekały z niej w zastraszającym tempie; ledwie była w stanie unieść głowę, by upić łyk wody, której potrzebowała coraz częściej, aby w ogóle móc cokolwiek powiedzieć. Popalone płuca pracowały urywanym rytmem, oddech rzęził. Co chwila opadały ją majaki.

Rozmawiała ze swoją matką i innymi ludźmi, którzy najprawdopodobniej od dawna już nie żyli; wzywała nawet Cirocco. Wciąż jednak wracała do opowieści o swej bluźnierczej krucjacie, o swej prometejskiej, od początku skazanej na porażkę misji przeciwko despotycznej władzy, która zdominowała jej własne życie i życie jej najbliższych. Skarżyła się na sprawy wielkie i małe, często na zwykłe drobiazgi, krzywdy niewielkiej skali, które dla niej znaczyły więcej niż śmiertelne grzechy. Mówiła o prawie heroicznej próbie i o tym, jak z każdym rokiem czuła coraz to większe obrzydzenie, gdy oglądała nieszczęśliwych ludzi, zmuszanych, by walczyli i umierali, gdyż trzeba było

dostarczyć rozrywki Bogu, któremu znudziły się poprzednie pasje. Drobiazgowo opisała okrutny żart uczyniony Czarodziejce i tytaniom, wymieniła po kolei wszystkie makabryczne zabawki Gai: długą i haniebną listę, ukoronowanie której stanowiły bomby. Aż wreszcie któregoś razu odważyła się zakwestionować to wszystko. Nieuchronną konsekwencją musiało być poszukiwanie alternatywy. Z początku nie mogła powiedzieć o tym nikomu, nawet Cirocco. Później, kiedy przy jakiejś okazji Cirocco oburzała się na machinacje Gai, ostrożnie próbowała podzielić się z nią swoimi myślami, ale nie spotkała się ze zrozumieniem i przez następne pięć lat nie wracała do tej sprawy. Stopniowo jednak Cirocco musiała dojść do tych samych wniosków. Najpierw był to zwykły problem teoretyczny: czy ktokolwiek lub cokolwiek może zająć miejsce Gai? A jeżeli tak, to co wtedy? Żaden z ziemskich komputerów nie był dostatecznie duży ani wystarczająco złożony. Wszystkie inne rozwiązania również były niezadowolające. W końcu na liście potencjalnych sukcesorów niebiańskiego tronu pozostało jedynie jedenaście mózgów regionalnych Gai.

Przez jakiś czas Cirocco była skłonna zostawić całą sprawę na tym etapie. Wydawało się możliwe, że któryś z nich, ewentualnie kilka, będzie mógł przejąć funkcje Gai w razie jej śmierci. Każdej z tych możliwości towarzyszyły tysiące problemów, ale przynajmniej były to problemy możliwe do rozwiązania. Dalej Cirocco nie odważyła się posunąć. Gaby nie uważała tego za objaw tchórzostwa, zwłaszcza, że był to okres najgorszego alkoholizmu Cirocco, tyle tylko, że nie w tym tkwił największy problem. Z wszystkich ich dyskusji wynikała jasno konieczność unicestwienia Gai. Ktoś jednak musiał wykonać całą brudną robotę. Ale to właściwie nie był problem. Z doświadczenia wiedziała, że świat jest pełen głupich bohaterów i zdawała sobie sprawę, że sama też do nich należy. Cirocco nie była inna. To one obydwie zniszczą Gaję.

Wyniknął jednak problem, który zdawał się nie posiadać rozwiązania.

W jaki sposób mają tego dokonać?

– To mnie zupełnie dobiło – wyznała Gaby. – W tym punkcie cała sprawa stanęła i nie wracałyśmy do niej przez dobre siedem lub osiem lat. Rocky łatwo o wszystkim zapomniała, ale ja nie potrafiłam. Cały czas dręczyło mnie sumienie, czułam, że coś muszę zrobić. Do głowy przychodziło mi tylko jedno... Powiem wam, bo to chyba odpowiednia chwila na szczerą spowiedź. Doszłam w końcu do wniosku, że mnie samej na to nie stać. Tylko Cirocco mogłaby to zrobić. Ja zaś musiałam podpowiedzieć jej ten pomysł, sprawić, by uznała go za realny. Przez kilka lat dręczyłam ją, żeby cokolwiek zrobiła, z takim skutkiem, że prawie nie chciała ze mną rozmawiać, bo byłam taka nudna. W końcu jednak udało mi się poruszyć jej sumienie, bo ona też miała już dosyć tego wszystkiego, o czym wam opowiadałam. Ostatecznie, dała się przekonać.

Wykorzystałyśmy was wszystkich. Uprzedziłam, że to jest spowiedź, czy nie tak?

Sądziłyśmy, że nie narażamy was na większe niebezpieczeństwa niż te, które i tak na was czyhały. Myliłyśmy się. Byłoby wam łatwiej, gdybyście się zajmowali własnymi sprawami. Bowiem Gaja wyczuła coś albo też może zwyczajnie stwierdziła, że sobie już nie życzy mojej samodzielności. Być może nie mogła znieść myśli, że jest ktoś, kto jest od niej zupełnie niezależny. Wprawdzie musiałam się odmładzać, ale wierzcie mi albo nie: powiedziałam jej, że jestem gotowa z tego zrezygnować. Jestem przekonana, że mogłabym się zestarzeć i umrzeć z godnością. Nigdy nie dowiem się tego na pewno, ale takiej śmierci się nie bałam.

Tak więc Rocky zaczęła prowadzić negocjacje z kolejnymi mózgami, ani słowem jednak nie wspominając o ewentualnej rewolucji. Musiałaby być zupełnie szalona, żeby otwarcie proponować im głowę Boga na srebrnym półmisku. Ona tylko badała nastroje,

szukając czegoś, co mogłybyśmy wykorzystać. Połowę mózgów od razu

wyeliminowałyśmy, ale postanowiłyśmy się spotkać z wszystkimi. Dzięki temu udało się
wmówić Gai, że to tylko badanie nastrojów, słuchanie tego, co w trawie piszczy. –
Usiłowała się zaśmiać, ale z jej gardła wydobył się tylko suchy kaszel. – Gaja jest
jedynym miejscem, gdzie można to robić w sensie dosłownym.

Nie wiem, jak miał wyglądać następny etap. Nie miałyśmy szczęścia. Rea jest
donosicielem, a Krios lizusem, chociaż nieoczekiwanie zrobił kilka uwag... Zresztą,
nieważne. Przedsięwzięcie upadło, a my przegrałyśmy. Dlaczego, do diabła, nie
pozwoliłam jej pominąć Tetydę?

Oblizwała wyschnięte wargi, ale nie przyjęła wody.

– Przyda wam się jeszcze. Czy teraz rozumiecie, że Rocky musi koniecznie to
wiedzieć? Że odpowiedzialność ponosi Gene i że działał w myśl rozkazów Gai? Jeśli
Gaja wie, co miałyśmy zamiar zrobić, to Rocky jest w niezłych tarapatach. Dlatego musi
wszystko wiedzieć, by wymyślić, co teraz robić. Obiecujcie, że jej powiecie.

– Obiecujemy, Gaby – powiedziała Valiha.

Gaby znużonym ruchem skłoniła głowę na pierś i zamknęła oczy. Gdy po chwili
otworzyła je znowu, widać w nich było zakłopotanie. Jej głos stał się prawie
niesłyszalny.

– Wiecie – wyszeptała – tak naprawdę to żałuję tylko tego, że Rocky nie ma tu przy
mnie. Chris, czy... nie. – Spojrzała na Robin, która ujęła ją za rękę. – Robin, kiedy ją
zobaczysz, ucałuj ją ode mnie.

– Zrobię to.

Gaby znowu skinęła głową i natychmiast zasnęła. Wkrótce jej oddech zaczął się rwać
i po chwili ustał. Kiedy Valiha usiłowała odnaleźć jej puls, nie usłyszała już nic.

34. Objawienie

To było niesamowite.

Gaby czytała sprawozdania podsumowujące liczne relacje z fenomenu, jakim jest śmierć kliniczna. Ci, którzy to przeżyli, często widzieli te same zjawiska, więc mniej więcej wiedziała, czego się spodziewać. Ludzie mówili o ukojeniu, braku bólu, cudownym spokoju, dającym możliwość trzeźwego wyboru życia lub śmierci. Wielu z nich opowiadało także o halucynacyjnym lub rzeczywistym efekcie opuszczenia własnego ciała i patrzenia na nie z boku. Rozumiała teraz, czym są te przeżycia i dlaczego nie można ich należycie opisać słowami. To był cudowny i jednocześnie niezwykły stan.

Uważali ją za umarłą, ale ona wiedziała, że jest inaczej. Rzeczywiście, wkrótce umrze, bo przestała oddychać. Jej serce już nie pracowało i z ciekawością nie pozbawioną rozbawienia czekała na ostateczne doświadczenie: wiem, jak to jest być, ale jak to będzie, gdy nie będę? Czy wszystko kończy się nagle, w jednym cięciu, czy też stopniowo, powoli więdnąc? Czy będą trąby i harfy, zapach ognia i siarki, czy nastąpi zmartwychwstanie, a może tylko wszystko rozplynie się w jednostajnym szumie zimnego, międzygalaktycznego wodoru? A może w nicości? Jeśli tak, to czym jest nicość? Klatka ciała otworzyła się. Dobrze było być wolnym, płynąć w przestrzeni i czasie. Obejrzeć się przez ramię na nieruchomą scenerię – niesamowity żywy obraz. A potem zobaczyła Cirocco, siedzącą cierpliwie na stercie kamieni. Miała rękę zawieszoną na temblaku. Dobrze było mieć przyjaciółkę. Przez pierwszą część życia Gaby wystawiała się na straszliwe niebezpieczeństwo, że nigdy nikogo nie będzie miała, a to byłoby gorsze niż wszelkie piekło. Dziękuję ci Rocky, że byłaś moją przyjaciółką... Trwało to dłużej niż się spodziewała. Nad nią rozciągało się otwarte niebo, pod nią

bezkresna pustynia, a ona nadal płynęła w górę. Wzbijała się coraz to wyżej i wyżej, przedarła się przez sklepienie, wydostała na otwartą przestrzeń i znowu leciała w górę...

Dokąd?

Po raz pierwszy opadły ją wątpliwości.

Czyżby był to kosmiczny żart wieńczący wszystkie poprzednie? Teologowie byliby nieźle zaskoczeni, gdyby się okazało, że Ostateczna Odpowiedź to...

A jeśli ona nie jest miejskim ratuszem?

Teraz nie można już było tego lekceważyć. Czymkolwiek teraz się stała, cel jej lotu był oczywisty. Leciała w stronę piasty. Żałowała, że nie jest w stanie krzyknąć.

35. Ucieczka

Chris i Robin omówili wszystko dokładnie, rozpatrzyli całą sprawę z wszystkich możliwych punktów widzenia i okazało się, że beznadziejna sytuacja, w jakiej się znaleźli, naprawdę jest beznadziejna. Jednakże ludzkie zwierzę rzadko kiedy bywa bezradne, naprawdę bezradne w prawdziwym świecie. Gdyby zamknięto im szczelnie nie tylko wejście, ale i wyjście, pozostałoby tylko czekać na śmierć. Wydawało się nieomal, że tak byłoby łatwiej. Istniały jednak jeszcze te schody, a dopóki istniały, wiedzieli, że muszą po nich pójść.

– Tak każe nam najlepsza tradycja heroiczna – zauważył Chris. – Umrzeć w walce.

– Czy przestaniesz wreszcie gadać o herosach? Mówimy o tym, jak przeżyć. Tutaj nie mamy żadnej szansy, więc jeśli na dole będziemy mieli choć jedną szansę na milion, musimy z niej skorzystać.

Trudno jednak było zmusić Valihę, by ruszyła się z miejsca. Tytania była jednym kłębkim nerwów. Logiczne argumenty zupełnie do niej nie docierały. Była w stanie zgodzić się, że muszą szukać drogi wyjścia i że mogą iść tylko w dół, ale w tym momencie jej intelekt odmawiał posłuszeństwa i ustępował miejsca czemuś zupełnie innemu. Żadna tytania nie powinna się znajdować w takim miejscu. Zejście jeszcze niżej było kompletnie niewyobrażalne.

Chris czuł, że ogarnia go rozpacz. Przede wszystkim Gaby. Bliskość jej ciała była przerażająca. Niedługo... lepiej było o tym nie myśleć. Sama niemożliwość jej pogrzebienia była już wystarczająco okropna.

Nigdy się nie dowiedzieli, jak długo schodzili po tych schodach. Zegary zostały w plecaku Piszczalki, a tutaj nie istniał żaden sposób kontroli upływu czasu. Wędrówka przypominała niekończący się koszmar senny, przerywany jedynie skromnymi posiłkami,

które zjadali wtedy, gdy głód stawał się już nie do zniesienia oraz niespokojnym snem, w który zapadali z wyczerpania. Czasami po przejściu zaledwie dwudziestu lub trzydziestu stopni Valiha siadała i zaczynała się trząść, niezdolna do przewyciężenia opadającego ją przerażenia. Była zbyt ciężka, by można ją było nieść i słowne perswazje nie odnosiły żadnego skutku.

Temperament Robin, który nigdy nie należał do specjalnie łagodnych, obecnie zaczynał przypominać wulkan grozący wybuchem. Z początku Chris usiłował ją hamować. Później zaczął dodawać własne komentarze. Kiedy Robin zaczęła okładać tytania pięściami i pchać od tyłu, rozpaczliwie starając się ją poruszyć, uznał to za głupie, ale nic nie powiedział. Nie potrafiłby jej tak po prostu tam zostawić. Robin zresztą też.

– Z chęcią bym ją udusiła – powiedziała – ale nie umiałabym jej porzucić.

– Nie trzeba jej od razu porzucać – stwierdził Chris. – Moglibyśmy pójść naprzód i spróbować sprowadzić jakąś pomoc. – Robin spojrzała na niego pochmurnie.

– Nie żartuj sobie. Nie wiemy, co tam jest na dole. Prawdopodobnie zbiornik z kwasem. A nawet jeśli nie, jeśli Tetyda nas nie zabije i jeśli uda nam się przedostać do któregoś tunelu, pod warunkiem, że są tam jakieś tunele, to wyjście na zewnątrz i powrót potrwać wiele tygodni. Ona umrze, jeśli ją zostawimy.

Chris musiał się z nią zgodzić. Robin nadal próbowała siłą zmusić Valihę do powstania. Nadal uważał, że to nie ma sensu, a Valiha dowiodła wreszcie, że miał rację. Zaczęło się od tego, że Robin ją uderzyła.

– To boli – powiedziała tytania. Robin uderzyła ją ponownie.

Valiha chwyciła swą potężną dłonią szyję Robin, uniosła ją z ziemi i przytrzymała w górze wyprostowaną rękę. Robin wierzgnęła kilkakrotnie nogami, a potem znieruchomiała. Z jej gardła wydobył się charkot.

– Następnym razem, kiedy cię podniosę – powiedziała Valiha głosem, w którym nie słychać było szczególnej groźby – ścisnę cię tak, że odpadnie ci głowa. – Potem postawiła ją na ziemi, przytrzymała dopóki nie minął jej atak kaszlu i dopóki nie upewniła się, że Robin może stać już o własnych siłach. Patrząc na Robin, Chris ucieszył się, że jej rewolwer spoczywa bezpiecznie schowany w plecaku tytanii. Valiha nie okazywała żadnej niechęci i cały incydent poszedł w niepamięć. Odtąd Robin nigdy nie podniosła już ręki na tytanie.

Zdaniem Chrisa pokonali mniej więcej połowę drogi. Spali już po raz piąty. Kiedy jednak tym razem się obudził, nie było z nimi Valihy. Zaczęli się wspinać z powrotem. Znaleźli ją po przejściu tysiąca dwustu dwudziestu dziewięciu stopni. Siedziała z podkulonymi nogami, patrząc szklistym wzrokiem i kołysząc się miękko.

Robin usiadła, a Chris zwalił się obok niej. Zdusił łzy, bowiem zdawał sobie sprawę, że jeśli teraz zacznie płakać, to już nigdy nie przestanie.

– I co teraz? – spytała Robin.

Chris westchnął i wstał. Przyłożył dłonie do policzków Valihy i głaskał je delikatnie do czasu, aż podniosła wzrok.

– Trzeba znowu iść, Valiha – powiedział.

– Muszę?

– Raczej tak.

Wstała i pozwoliła mu się prowadzić. Uszli dwadzieścia stopni, potem trzydzieści i czterdzieści. Przy czterdziestym szóstym stopniu znowu usiadła i zaczęła się kołysać.

Chris pieszczotami nakłonił ją do wstania i przeszli następne sześćdziesiąt stopni. Kiedy po raz trzeci zmusił ją do wstania, zaczęła budzić się w nim nadzieja. Spodziewał się, że tym razem przejdą sto stopni, ale udało im się pokonać tylko siedemnaście.

Ze snu obudził go płacz Robin. Otworzył oczy i zauważył, że Valiha znowu zniknęła.

Nie protestowała, gdy objął ją ramieniem. Kiedy się uspokoiła, wstali i na powrót zaczęli się wspinać.

Wydawało się, że minęły już całe wieki, odkąd ostatni raz normalnie z sobą rozmawiali. Kłócili się bez przerwy, a raz nawet się pobili. Jednak nawet i to nie trwało długo; żadne z nich nie miało już sił. Po tej bójce kulał trochę, a Robin paradowała z podbitym okiem.

To zdumiewające, ile potrafi dokonać odrobina adrenaliny.

– Zdaje się, że podłoże jest suche – szepnęła Robin.

– Nie mogę w to uwierzyć.

Ukryli się za łagodną krzywą spiralnie ukształtowanego korytarza, z niedowierzaniem spoglądając w dół. Cały czas obawiali się, że napotkają tam jezioro kwasu, chroniące Tetydę. Dostrzegli jednak tylko, w odległości zaledwie dziesięciu kroków od miejsca, w którym stali, ślad, który prawdopodobnie wyznaczał poziom maksymalnego przypływu wody – albo kwasu – a za nim odcinek suchej posadzki. Sam mózg był niewidoczny, skryty za zakrętem.

– To jest na pewno pułapka – powiedziała Robin.

– Słusznie. Możemy spokojnie zawrócić.

Robin ściągnęła wargi, a jej oczy na moment roziskrzyły się gniewem; potem jednak złagodniała, zdołała się nawet lekko uśmiechnąć.

– Słuchaj, ja nie wiem, jak to powiedzieć... niby zawsze skakaliśmy sobie do gardeł... ale skoro jest już tak źle... to znaczy chcę powiedzieć...

– Że było to zabawne – podpowiedział jej Chris.

– Nie ujęłabym tak tego. Cholera. – Wyciągnęła rękę. – Cieszę się, że cię poznałam.

– Ujął jej dłoń obiema rękami.

– Ja też. Ale nie mów już nic więcej. Później, jeśli jakoś przeżyjemy, te słowa będą się wydawały zupełnie idiotyczne. – Roześmiała się.

– Nie dbam o to. Nie lubiłam cię, kiedy ruszaliśmy w drogę, ale tym się nie przejmuj.

Zdaje się, że ja wtedy nikogo nie lubiłam. Teraz cię lubię i chcę, żebyś to wiedział. To dla mnie bardzo ważne.

– Ja też cię lubię – powiedział i chrząknął nerwowo. Odwrócił wzrok, a kiedy spojrzał ponownie, ona patrzyła już gdzie indziej. Puścił jej dłoń, zdając sobie sprawę, że miałby ochotę powiedzieć tyle rzeczy, a nie jest w stanie tego zrobić.

Odwrócił się do Valihy i zaczął do niej łagodnie przemawiać. Już całkiem nieźle mu to wychodziło: nie mówił o niczym konkretnym, kojąc ją samą melodią swego głosu.

Powoli, krok za krokiem, wplatał w swoją wypowiedź to, co chciał jej przekazać, słowa, które mówiły jej, co musi zrobić. Starał się jednak czynić to najdelikatniej jak tylko można, unikając wywierania nacisku, który mógłby zbudzić wciąż drzemiący w niej lęk.

Opowiadał jej o wyjściu na słońce.

Podczas ostatniego kilometra Valihę opadło dziwne zubożenie. Zatrzymywała się znacznie rzadziej, ale szła też dużo wolniej. Wyglądała jak znarkotyzowana. W którymś momencie Chris gotów był przysiąc, że zasnęła, bowiem opadły jej powieki.

Podejrzewał, że tak właśnie tytanie przeżywają strach, czy też to, co odczuwały zamiast strachu. Przyszło mu do głowy, że właściwie nigdy nie widział żadnej przestraszonej tytanii, ani w otoczeniu widm ani nawet tutaj, w mrocznej przestrzeni schodów. Valiha najwyraźniej nie bała się Tetydy, przynajmniej nie w żaden zrozumiały dla Chrisa sposób. Miejsce strachu zajmowała u niej przemożna awersja, która wydawała się działać jak fizyczna siła, stale odpychająca ją od tego miejsca. Valiha nie była w stanie wyjaśnić

wielu swych czynów. Kiedy razem z Robin przestawali ją poganiać, zwyczajnie zaczynała się wspinać, z taką samą prawidłowością, z jaką ogrzane powietrze unosi się do góry. Po jakimś czasie odruch ten ustąpił miejsca fizycznemu i mentalnemu odrętwieniu. Jej umysł pracował ospale, zmysły uległy przytępieniu, a ciało wydawało się być zupełnie bezwolne.

– Za chwilę... Valiha, posłuchaj mnie. – Musiał ją uderzyć, żeby przyciągnąć jej uwagę. Odniósł wrażenie, że ledwie to poczuła. – Valiha, tę część drogi musimy pokonać jak najszybciej. To tylko kilkaset kroków. Raczej nie będziemy mieli czasu, by usiąść i odpocząć.

– Nie będziemy odpoczywać?

– Obawiam się, że nie. Zbiegniemy jak najszybciej z ostatnich stopni i zostaniemy przy ścianie: to znaczy ty trzymaj się mnie, a ja będę biegł blisko ściany, dopóki nie znajdziemy się w tunelu. Potem będziemy szli w górę i w końcu wyjdziemy na zewnątrz. Zrozumiałaś to, Valiha? Żeby wejść na górę, musimy najpierw zejść na dół, tylko kawałek. Nic nam się nie stanie. Rozumiesz?

Skinęła głową na znak, że rozumie, ale Chris wcale nie był tego taki pewien. Chciał powiedzieć coś jeszcze, ale pojął, że to się na nic nie zda. Albo im się uda, albo nie. Gdyby miał się zakładać, obstawiłby tę drugą możliwość.

Ruszyli równym krokiem. Wkrótce pokonali zakręt i znaleźli się przed obliczem znieruchomiałej Tetydy, zanurzonej w kwasowej kąpieli. Wszystko wyglądało tak samo, jak w komnacie Kriosa. Chris właściwie nie potrafiłby odróżnić obydwu mózgow. Miał nadzieję, że dalej wszystko będzie również identyczne, ale mógł się o tym przekonać tylko idąc naprzód.

– Co cię tak długo zatrzymało, Czarodziejko?

Na Chrisa słowa te podziały jak cios pięścią. Musiał się zatrzymać i zrobić głęboki wdech. Do tej chwili nie uświadamiał sobie, jak bardzo jest zdenerwowany. Jego serce waliło jak oszalałe, z trudem łapał oddech. Na szczęście Valiha nie zatrzymała się. Mieli do przebycia jeszcze tylko dziesięć stopni.

– Spodziewałam się, że wkrótce tu dotrzecie – powiedziała Tetyda. – Rozumiem, że wpadliście w jakieś tarapaty. Mam jednak nadzieję, że mnie za to nie winicie, bo nie stało się to z mojego powodu i to właśnie możecie powtórzyć Gai.

Głos Tetydy brzmiał identycznie jak głos Kriosa: to samo jednostajne brzęczenie pozbawione ludzkich cech, niewyraźne i dobiegające nie wiadomo skąd. Słysząc w nim było pogardę i wyniosłość, od których Chrisowi krew zastygła w żyłach.

– Więc przyprowadziłaś z sobą Gaby. Już się zaczynałam zastanawiać, czy się kiedykolwiek poznamy. Nie najlepiej jej idą interesy z Kriosem, prawda? Co pani o tym powie, pani Plauget? Jeszcze jej tu nigdy nie widzieliśmy na dole. Ciekawa jestem, dlaczego?

Robin oparła się o ciało Valihy i wytrzeszczyła oczy.

– Chris – wyszeptała – ten potwór jest krótkowidzem! Chris dawał jej gwałtowne znaki rękoma, bojąc się coś powiedzieć i rozwiać złudzenie. Tetyda mogła rozpoznać ich głosy.

– Co to było? – spytała Tetyda, potwierdzając jego obawy. – Dlaczego nie mówicie głośnie? Czy to uprzejmie kazać mi czekać tak długo, a potem mówić sobie szeptem jakieś tajemnice. Nienawidzę tajemnic.

Stali już na dnie i Chris widział takie same dwa tunele, które zauważył w komnacie Kriosa: jeden prowadzący na zachód, a drugi na wschód. Wystarczyło teraz tylko wspiąć się jakieś sześćdziesiąt czy siedemdziesiąt metrów, by dotrzeć do wschodniego tunelu.

Chris ścisnął nerwowo dość niezwykłą broń, którą wyciągnął z juków Valihy. Była w dotyku uspokajająco chłodna i twarda, kiedy przejechał kciukiem po jej dwóch ostrych czubkach. Może nie zajdzie konieczność jej użycia.

– Przyznaję, że nie rozumiałam do tej pory, dlaczego przyprowadziliście z sobą to stworzenie – powiedziała Tetyda – A to chyba oczywiste. Nie mam racji?

Chris nie odezwał się ani słowem. Od wejścia do tunelu dzieliło ich już tylko dziesięć metrów i wciąż biegli.

– Robię się niecierpliwa – oświadczyła Tetyda. – Może jesteś Czarodziejką, ale przecież istnieją jakieś granice. Mówię o tej tytaniu. To było niezwykle przezorne z twojej strony, żeby tu przyprowadzić obiad. Podejdź do mnie, Valiha.

Valiha zatrzymała się i wolno odwróciła głowę. Po raz pierwszy spojrzała na Tetydę.

Chris nie czekał na dalszy rozwój wydarzeń. Ścisnął z całej siły duży, podwójny rylec, wzięty z zestawu rzeźbiarskich narzędzi Valihy, cofnął się o krok i wbił go z całej siły

w miękką część zadu tytanii. Przez jedną straszną chwilę nie było żadnej reakcji. Nagle

Valiha ruszyła takim galopem, że niemal natychmiast stracili ją z oczu. Chris dostrzegł

tylko znikający w tunelu ogon, usłyszał jej krzyk i stukot kopyt, a potem wszystkie

dźwięki utonęły w przenikliwym syku. Byli już w tunelu, ścigani przez wybuch gorąca

i wzmagający się wiatr. Otoczyły ich duszące wyziewy. Tetyda wypełniała swoje jezioro

najszybciej, jak potrafiła. Podłoże, po którym biegli, wydawało się zupełnie płaskie;

kwask wypełnił fosę po brzegi i już przelewał się w ich stronę. W ślad za nimi frunęły

stworzenia przypominające nietoperze. Chris wiedział, że pomarańczowa luna, którą

wytwarzały, to ta sama, która oświeślała ich długie zejście i miał nadzieję, że zaroją się

w tunelu. Czymkolwiek były, tak samo jak on, nie lubiły oparów kwasu.

Jakimś fragmentem swojego umysłu zrozumiał, że jest jeszcze jedna rzecz, którą

potrafi robić lepiej niż Robin. Był lepszym biegaczem. Została w tyle i musiał zwolnić tempo, by mogła go dogonić. Obydwoje kaszleli, a jemu płynęły z oczu łzy. Na szczęście jednak wyziewy stały się rzadsze.

Usłyszał, że Robin się dławi i pada. Dopiero teraz, gdy się zatrzymał i odwrócił, usłyszał odgłos rozlewającej się cieczy, która zdecydowanie nie była wodą. Przez jedną szaleńczą chwilę chciał uciec, ale zdecydował się podbiec do Robin, w stronę nadpływającej fali kwasu. Było już nieomal zupełnie ciemno, bo fosforyzujące stworzenia, mniej altruistycznie nastawione niż on, nie przestały uciekać.

Zderzył się z nią. Dlaczego sobie ubrdał, że będzie potrzebowała jego pomocy?

– Biegnij, idioto! – wrzasnęła, więc pobiegł, tym razem trzymając się z tyłu. Drogę oświetlał im odległy już blask fruwających stworzeń. Jego blada luna tworzyła aureolę wokół żywego cienia, jakim stała się Robin.

– Jak długo będziemy jeszcze musieli biec? – zawołała w jego stronę.

– Aż przestaniemy słyszeć plusk kwasu.

– Znakomity pomysł. Myślisz, że uda nam się uciec? Czy jest już blisko?

– Nie potrafię określić. Słyszę go tylko wtedy, gdy się zatrzymuję.

– Więc będziemy biegli tak długo, aż padniemy – stwierdziła.

– Znakomity pomysł – powiedział.

Świeące ptaki z całą pewnością nie poruszały się szybciej. Mimo to jednak oddalały się coraz bardziej, co oznaczało, że on i Robin zwolnili tempo. Jego oddech zmienił się w nierówny spazm; Chris czuł ostry ból w boku. Nie było jednak żadnych oznak, że podłoga się wznosi. Miejsce, w którym się obecnie znajdowali, mogło być położone nawet niżej niż podłoga w grocie Tetydy. Cały korytarz mógł zostać zalany. Chris miał nadzieję, że jest to ten trzystukilometrowy tunel, który łączy Tetydę z jej siostrą Teją.

Naturalnie jednak mogło się okazać, że to ślepy korytarz i to na dodatek schodzący w dół. Wówczas znajdowałiby się w ścieku odprowadzającym nadmiar kwasu, a to co miało być drogą wyjścia, stałoby się pułapką. Nie mieli jednak innego wyboru, jak tylko biec. Jeżeli ten tunel miał jakiś koniec, to Valiha powinna już dawno do niego dotrzeć, a przecież jeszcze jej nie widzieli.

– Chyba... zaczyna się... wznosić. Jak... myślisz?

– Może. Ale jak... daleko? – Chris wcale tak nie uważał, ale jeśli ta myśl miała pomóc Robin w stawianiu jednej nogi przed drugą, nie miał nic przeciwko.

– Już... dalej... nie mogę.

Ja też nie – pomyślał. Ciemność była już teraz prawie całkowita. Podłoga nie była tak równa, więc niebezpieczeństwo upadku stało się większe. Wstawanie mogło kosztować sporo wysiłku.

– Jeszcze trochę – wyrzęził.

Wpadli na siebie, rozłączyli się i znowu zderzyli. Kiedy Chris przesunął się w prawo, uderzył ramieniem w niewidoczną ścianę tunelu. Trzymał ręce wyciągnięte przed sobą, nie będąc już w stanie stwierdzić, czy łuna, którą widzi przed sobą – oddalona najwyraźniej o wiele kilometrów – płonie naprawdę czy też jest tylko powidokiem zachowanym na siatkówkach oczu. Bał się, że gdzieś w tunelu jest zakręt i wtedy rozbije się o ścianę. Potem zdał sobie sprawę, że teraz biegnie już tak wolno, iż żadna kolizja nie byłaby dla niego groźna.

– Zatrzymaj się – powiedział i padł na kolana. Gdzieś przed nim Robin dyszała i kaszłała.

Przez chwilę nie miało żadnego znaczenia to, że kwas pełnie tuż za nim. Przycisnął policzek do chłodnej kamiennej podłogi i rozluźnił mięśnie. Tylko płuca pracowały,

stopniowo zwalniając rytm oddechu. Palilo go w gardle, a usta wypełniały mu strumienie rzadkiej śliny tak, że bezustannie wypluwał kleiste nitki. Podniósł wreszcie głowę, oparł dłonie o podłogę i podźwignął się na kolana. Nasłuchiwał, siłą woli wstrzymując oddech. Bez powodzenia. W uszach tętniła mu krew, a leżąca zbyt blisko Robin głośno sapała i rzeżyła. Gdyby kwas płynął ryczącą falą, wówczas przypuszczalnie by go usłyszał, ale przecież jeśli dalej tylko się podnosił, to działo się to całkowicie bezgłośnie. Z wysiłkiem dotknął ramienia Robin.

– Wstań. Lepiej ruszajmy.

Jęknęła, ale podniosła się posłusznie. Po omacku znalazła jego dłoń i zaczęli iść.

W pewnym momencie otarł się ramieniem o prawą ścianę. W ten sposób dalej poruszali się naprzód: Chris dotykał dłonią twardej litej powierzchni, a drugą ciepłego ciała.

– Na pewno idziemy w górę – stwierdziła wreszcie Robin. – Gdyby droga biegła w dół, to świństwo już dawno by nas zalało.

– Też mi się wydaje – odparł Chris. – Ale nie dałbym za to głowy. Musimy iść tak długo, dopóki nie zobaczymy jakiegoś światła.

Szli więc dalej. Chris liczył kroki, nie za bardzo wiedząc, dlaczego to robi.

Przypuszczał, że dzięki temu łatwiej było nie myśleć o tym, co ich jeszcze może czekać.

Po kilkuset krokach Robin roześmiała się.

– Z czego się śmiejesz?

– Nie wiem, ja... chyba sobie właśnie uświadomiłam... że nam się udało! – Ścisnęła jego rękę.

Chris był zdumiony jej reakcją. Właśnie miał zauważyć, że jeszcze nie są bezpieczni, że droga przed nimi jest z pewnością pełna zasadzek, których nawet nie potrafią sobie wyobrazić, kiedy nagle przepełniło go najpotężniejsze uczucie, jakiego kiedykolwiek

doznał. Mimo woli uśmiechnął się szeroko.

– Cholera. Rzeczywiście nam się udało! – Teraz śmiali się obydwójce. Objęli się, poklepywali nawzajem po plecach i gratulowali sobie niezbyt zrozumiale, ale za to bardzo głośno. Przycisnął ją do siebie z całej siły, niezdolny się pohamować, ale Robin nie protestowała. I równie nagle zorientował się, że po jego wciąż uśmiechniętej twarzy płyną łzy. Żadne z nich nie potrafiło kontrolować napływu emocji, spowodowanego ustąpieniem nieznośnego napięcia. Nic, co mówili, nie miało sensu. Stali tak długo, wyczerpani, wciąż przytuleni do siebie, kołysząc się łagodnie i ocierając łzy.

Kiedy Chris znowu się zaśmiał, Robin trąciła go łokciem.

– A ciebie co teraz tak rozśmieszyło?

– Ach... nic.

– No powiedz.

Przez chwilę nic nie mówił, ale ona nie ustępowała.

– W porządku. Do diabła, nawet nie wiem, dlaczego się śmieję. To wcale nie jest śmieszne. Tylu naszych przyjaciół zmarło. Ale wtedy tam... kiedy byliśmy osaczeni...

– Tak?

– Cóż, nie widziałas tego, bo byłaś wyłączona. Rozumiesz. – Gdy sobie uświadomił, że ona prawdopodobnie z chęcią zapomniaby o wszystkim, zaczął mówić szybciej, żałując, że w ogóle się odezwał. – W każdym razie Cirocco kazała nam sikać. Rozkaz to rozkaz. Rozpiąłem rozporek i... no, rozumiesz, wyciągnąłem... i zacząłem lać na wszystkie strony, żeby było jak najlepiej... i wtedy nagle sobie pomyślałem: To dla was, piaskowe zawszańce!

Robin śmiała się tak serdecznie, że omal nie wpadła w histerię. Chris śmiał się razem z nią, ale w którymś momencie ogarnął go niepokój. To wcale nie było śmieszne.

Uszli tysiąc kroków zanim zobaczyli pierwszego świecącego ptaka przywartego do sklepienia. Wtedy dopiero okazało się, że tunel się rozszerza. Stworzenie wisiało co najmniej dwadzieścia metrów ponad nimi, może nawet jeszcze wyżej, i oświetlało pomarańczowym światłem ściany oddalone od siebie o trzydzieści metrów. Chris odwrócił się i szukał wzrokiem refleksów światła w kałużach wilgoci, ale niczego takiego nie zauważył.

Po krótkiej chwili minęli kolejnego ptaka, a potem aż pięć skupionych w gromadzie.

Po tylu godzinach spędzonych w mroku, blask stworzeń raził ich oczy jak pochodnia.

– Ciekawe, czym one się tu żywią – powiedział Chris.

– Coś tu muszą znajdować. Na pewno potrzebują mnóstwo energii do wydzielania takiej ilości światła.

– Gaby mówiła, że to reakcja katalityczna – przypomniał sobie Chris. – Ale i tak muszą coś jeść. Może my moglibyśmy jeść to samo, co one.

– Prędzej czy później będziemy zmuszeni.

Chris pomyślał o zapasach, które wciąż były w jukach Valihy. Razem z tą myślą przypomniał sobie również o niej. Zaczynał się już martwić. Ciągący się daleko przed nimi tunel rozświetlały całe chmary ptaków. Chris sięgał wzrokiem na odległość jakichś 500 metrów, ale nie widział żadnego śladu tytanii.

– Właśnie sobie o czymś pomyślałam – powiedziała Robin.

– O czym?

– Czy jesteś pewien, że ten tunel biegnie na wschód?

– Co ty... – Zatrzymał się. – Wiesz równie dobrze, jak ja, że...

– Że co?

Pięciokilometrowe schody miały kształt korkociągu. Już na samym początku Robin

zauważyła, że kiedy zejść na samo dno, będzie się niezwykle trudno zorientować w stronach świata. Dlatego też zrobili szereg skomplikowanych obliczeń, aby określić stopień skręcenia spiralnych schodów. Odkąd wiedzieli, ile schodów zabierze im powrót do punktu wyjścia, wystarczyło tylko Uczyć stopnie, aby potem rozeznąć się w położeniu. Stwierdzili, że dojdą do komnaty Tetydy od południowej strony, a więc zachód będzie po prawej stronie, a wschód po lewej.

Niemniej jednak nie mogli całkowicie polegać na wynikach obliczeń, które z pewnością wahały się o kilka stopni, zwłaszcza, że istotne było położenie miejsca, w którym zaczęli schodzić. Weszli do budowli na powierzchni od zachodu, ale zamieszanie towarzyszące ich ucieczce i zniszczenie tej szatańskiej budowli sprawiły, że nie mogli wiedzieć, ile stopni pokonała Valiha zanim się zatrzymała. A po wszystkim okazało się, że górna część schodów została zawalona gruzem.

– Ona chyba nie przebiegła połowy skrętu, prawda? – spytał w końcu.

– Wydaje mi się, że nie. Ale mogła. Jeśli tak było, wówczas ten tunel prowadzi do Fobose, a nie do Tei.

Chris żałował, że w ogóle o tym pomyślał. Ich sytuacja była tak niepewna, zależna od tylu czynników, na które nie mieli wpływu. Istniała nawet możliwość, że dotrą do Tei – która według Cirocco miała być regionem przyjaznym – i okaże się, że ona wcale nie będzie życzliwie usposobiona wobec trzech intruzów nachodzących jej królestwo.

– Będziemy się nad tym zastanawiać, kiedy rzeczywiście pojawi się taka potrzeba – powiedział.

Robin roześmiała się.

– Świetny pomysł. Jeśli na drugim końcu tego tunelu jest Fobos, to będziemy mogli tylko usiąść i zagłodzić się na śmierć.

– Nie bądź taką pesymistką. Znacznie wcześniej umrzemy z pragnienia.

Tunel zaczął się stopniowo rozszerzać, dzięki czemu nie przypominał już sztucznego korytarza, a raczej naturalną jaskinię. W tak rozległej przestrzeni ptaki dawały znacznie mniej światła, mimo że fruwało ich tu więcej. Chris dostrzegł odgałęzienia tunelu biegnące na północ i południe, ale obydwójce uznali, że należy dalej iść tym samym korytarzem, liczyli bowiem, że prowadzi na wschód.

– Valiha na pewno znowu się przelękała, kiedy tu dotarła – stwierdziła Robin. –

Zakładam, że pobiegła prosto. A jeśli na powrót zaczniesz myśleć, to sądzę, że zawróci albo poczeka na nas, zanim się zagłębi w któryś z bocznych tuneli.

– Masz rację. Ale nie sądziłem, że zapędzi się aż tak daleko. I wciąż pamiętam, że ona ma całą naszą żywność i wodę. Z chęcią bym się czegoś napił.

Podłoże jaskini stało się nierówne. Musieli teraz pokonywać łagodne wzniesienia podobne do piaszczystych wydm, po których się wspinali na powierzchni Tetydy. Sklepienie było już tak wysoko, że siedzące na nim ptaki wyglądały jak gwiazdy spomarańczowiałe w atmosferycznej poświacie. Niewiele szczegółów dawało się wyróżnić w górze, a w dole tylko zarysy jakichś kształtów. Kiedy usłyszeli szum wody, zaczęli iść ostrożniej, dopóki strumień sam nie zdradził swej obecności miedzianymi odbiciami. Chris umoczył w nim palec, gotów zaraz go wytrzeć do sucha, gdyby się okazało, że strumieniem płynie kwas. Palec nie zaczął się tlić, więc włożył go do ust. Poczul lekki węglanowy smak.

Zdjęli buty i przeszli strumień, stwierdzając, że ma zaledwie dziesięć metrów szerokości i że w żadnym miejscu nie jest głębszy niż pół metra.

Po drugiej stronie strumienia podłoże znowu się zmieniło. Dookoła widzieli spiralne iglice. W którymś momencie Chris spadł z dwumetrowego uskoku i przez jedną, trwającą

wieczność sekundę nie wiedział, czy nie przeżywa właśnie ostatnich chwil swojego życia. Jednak kiedy wylądował na czworakach, głośno przeklinając bardziej z ulgi niż ze złości, okazało się, że nie licząc zadrapań i siniaków, jest cały i zdrowy.

Spowodowane tą chwilą strachu wzmożenie uwagi opłaciło się prawie natychmiast.

Działając raczej odruchowo niż z rozmysłu, wyciągnął rękę, by zatrzymać Robin.

Podeszli ostrożnie do przodu i zauważyli, że zaledwie metr dzielił ją od trzydziesto – lub czterdziestometrowej przepaści.

– Dzięki – powiedziała cicho Robin.

Machinalnie skinął głową, zainteresowany łuną światła, którą dostrzegł po swej lewej stronie. Nie udało mu się niczego wypatrzeć, ale za to usłyszał jakieś dźwięki. Ktoś śpiewał.

Kiedy szli w stronę tego światła, tło nieskończonej gry szaro-czarnych cieni wyłoniło jakiś kształt. Okazało się, że bezkształtne plamy to skały, a ciemna płatanina kresek przypominająca pajęczyny to pnącza i krzewy. Światło migotało jak płomień świecy. Nie była to jednak świeca, lecz lampa, którą Valiha miała ze sobą, kiedy zerwała się do ucieczki. Wyteżył wzrok jeszcze bardziej i dostrzegł, że jeden z kształtów obok lampy to sama Valiha. Leżała na boku, na przeciwległym zboczu niewielkiego kanionu, jakieś dwadzieścia metrów od jego dna. Zawołał ją.

– Chris? Robin? – krzyknęła w odpowiedzi. – To wy! Znalazłam was!

Było to jego zdaniem dość osobliwe stwierdzenie, ale nie miał na razie zamiaru polemizować z nią. Razem z Robin zeszli ze zbocza i ponownie wspięli się na górę.

Valiha wybrała sobie raczej dziwne miejsce do odpoczynku. Dwadzieścia metrów dalej zaczynał się płaski teren. Chris podejrzewał, że coś jej się musiało stać, a po chwili zyskał już pewność. Coś w jej wyglądzie przypomniało mu widok Psalterium

umierającego w kałuży własnej krwi. Kiedy podszedł bliżej, światło ukazało jej twarz zasmarowaną zakrzepłą krwią. Głośno pociągnęła nosem i przesunęła dłoń po górnej wardze.

– Boję się, że złamałam sobie nos – powiedziała. Chris musiał odwrócić wzrok.

Miała złamany nie tylko nos, lecz również przednie nogi.

36. Wytrwać

Robin usadowiła się w odległości dwudziestu metrów i słuchała w milczeniu, jak Chris krzyczy na tytanie. Kiedy po zbadaniu Valihy i stwierdzeniu, jak bardzo poważne są jej rany, zaproponowała, żeby od razu skrócili jej mękę, Chris nie wytrzymał.

Czuła, że jej ciało z każdą minutą robi się coraz cięższe, tak jakby zaraz miało się stopić ze skałami i mrokiem. Ulga.

Koniec koszmaru. Robin uświadomiła sobie już, że jej chwilowe uniesienie po ucieczce z Tetydy było objawem głupoty. Już nigdy nie da się porwać takiemu uczuciu.

Wiedziała jednak, że dla Chrisa nie będzie to takie łatwe. Nadal uważał, że mogą jeszcze mnóstwo zdziałać. Gdy ruszył w jej stronę, była pewna, że chce omówić jakiś plan.

– Czy znasz się choć trochę na pierwszej pomocy? – spytał.

– Potrafię bandażować. Skrzywił się.

– Tyle to ja też potrafię. Trzeba jednak zrobić coś więcej. Znalazłem coś takiego. –

Otworzył skórzane pudełko i rozłożył na boki jego ścianki, w których ukazały się różne przegródki i kieszonki, a w świetle lampy zaśniły metalowe przedmioty: skalpele, szczypce, strzykawki, igły, równo poukładane, by mógł z nich skorzystać chirurg amator.

– Któraś z nich musiała prawdopodobnie wiedzieć, jak tego używać. Valiha twierdzi, że

Obój miała tego znacznie więcej. Wydaje mi się, że przy pomocy tych narzędzi można

przeprowadzić niewielką operację.

– Jeśli wiesz, jak to się robi. Czy Valiha potrzebuje operacji?

Na twarzy Chrisa malowała się udręka.

– Na pewno trzeba jej założyć szwy. Połamała sobie... jak to się nazywa u konia? To miejsce między kolanem, a kostką. Wydaje mi się, że ma też złamaną jedną z kości w prawej nodze, bo nie może nią ruszyć. Z lewą nogą jest jeszcze gorzej. Musiała ją znacznie bardziej obciążyć i pękły obydwie kości, a jeden z końców przebił skórę. – Wyciągnął małą książeczkę. – Tu jest napisane, że to skomplikowane złamanie i że najważniejsze to nie dopuścić do zakażenia. Musimy złożyć kości, oczyścić i zaszyć ranę.

– Wolałabym tego nie słuchać. Ty sam to obmyśl, a jak już będziesz wiedział, co robić, zwołaj mnie i powiedz, czego ode mnie oczekujesz. Obiecuję, że pomogę.

Przez chwilę nie odpowiadał. Kiedy podniosła wzrok, wpatrywał się w nią z natężeniem.

– Czy coś się stało? – spytał.

Nawet nie potrafiła się roześmiać. Miała ochotę zwrócić mu uwagę, że zagubili się na głębokości pięciu kilometrów pod ziemią, że brakuje im żywności, a jeszcze bardziej światła, że od wschodu i zachodu czekają na nich obłąkane półbóstwa i że ich ranna towarzysza jest zbyt wielka, aby ją przenieść w bezpieczne miejsce, nawet gdyby im się udało znaleźć do niego drogę, ale po co miała go drażnić? A poza tym nie o to pytał i ona to wiedziała i była pewna, że on też to wie, ale nie miała zamiaru o tym rozmawiać. Ani trochę.

Wzruszyła więc ramionami i spojrzała w inną stronę.

On ciągle patrzył na nią; czuła ten wzrok na sobie. Czyżby naprawdę nie wiedział?

Potem na moment położył dłoń na jej kolanie.

– Poradzimy sobie – powiedział. – Musimy tylko trzymać się razem i dbać o siebie nawzajem.

– Nie jestem taka pewna – odparła, ale pomyślała, że może on jednak nie domyślił się. Przedtem, gdy myślała, że wie, bała się go, ale jego wyraźna ignorancja wywołała w niej uczucie pogardy. Czyżby na darmo tak się pilnowała? Czy nikt nie potrafi jej pomóc? Poczowała, że wygina jej się warga po tej stronie twarzy, na którą padał cień, więc szybko przesłoniła ją ręką. Poczowała, jak oblewa ją gorąca fala niepokoju, od której zupełnie się spociła. Co się z nią dzieje? Przestała nawet czuć ból. Łatwo jest szydzić, łatwo o niczym nie mówić. Czyżby twierdza honoru, tak starannie budowana przez całe życie, miała zostać zburzona z taką łatwością? On już wstaje, idzie zająć się Valihą, a kiedy odejdzie, jej sekret będzie bezpieczny.

Huczało jej w uszach. Coś ściekło jej po podbródku. Z wysiłkiem opuściła dolną szczękę i poczuła ukłucie bólu, gdy wargę owiało powietrze.

– To nieprawda! – Nie była w stanie powstrzymać tych słów, ale kiedy się odwrócił i czekał, aż powie coś jeszcze, musiała coś wymyślić, żeby mu się wydawało, że się przesłyszał, że ona wcale nie powiedziała, że to nieprawda.

– Co nieprawda? – spytał.

– Ja nie... to... nie powiedziałam... ty nic nie... – Nagle poczuła potworny ból w żołądku. Wpatrywała się idiotycznie w swoją dłoń i leżącą na niej kępkę włosów. Miały ten sam kolor, co jej własne. Uklękła. Chris ukląkł obok niej i objął ją ramieniem.

– Lepiej się już czujesz?

– Znacznie lepiej. Tam, kiedy wszystko płonęło i ścigały mnie te stwory z piasku, które gryzą i nie można ich wcześniej zobaczyć, bo one żyją w morzu piasku, nie

potrafiłam uciec, ale myślałam, że nikt tego nie zauważy, bo to się dzieje ze mną cały czas i ja z tym nic nie mogę zrobić i już nie chcę nic robić, ja tylko chcę uciec, bo one gryzą i są niewidoczne i to niesprawiedliwe i ja ich nienawidzę, bo one żyją tak okropnie głęboko w morzu piasku.

Pozwoliła mu się odprowadzić. Zabrał ją do miejsca, gdzie podłoże było równe i pomógł jej się położyć na ściworze. Wpatrywała się w coś niewidzącym wzrokiem. Nie wiedział, co jeszcze mógłby zrobić, więc zostawił ją tak i wrócił do Valihy.

Jakiś czas później Robin usłyszała jego kroki. Nie spała. Była świadoma tego, co się działo wokół niej. Bez trudu rozprostowała palce, przekonując się, że wcale nie chwycił jej atak. A jednak nie istniała już na sposób, do jakiego była przyzwyczajona.

Pojękiwania Valihy nie wywierały na niej żadnego wrażenia. Nie potrafiła nawet policzyć, ile razy tytania krzyczała z bólu. Nie pamiętała, czy już płakała, czy też łzy ją dopiero czekały. Nie potrafiła niczego wyjaśnić i nawet nie próbowała.

– Chcesz pogadać? – spytał.

– Nie wiem.

– Nie bardzo rozumiałem, co mówiłaś przed chwilą, ale to było chyba coś ważnego.

Chcesz znowu spróbować?

– To nie był atak.

– Chcesz powiedzieć, że...

– Wiesz, co chcę powiedzieć.

– Wtedy na pustyni. Gdy byliśmy osaczeni.

– Tak.

– To znaczy, że mogłaś się ruszać i tylko udawałaś? To chcesz powiedzieć?

– Właśnie to.

Czekała, ale on milczał. Kiedy na niego spojrzała, siedział spokojnie i tylko patrzył.

Wolałaby, żeby zrobił coś innego. Postanowiła, że już absolutnie nic więcej nie powie.

– Nie, nie to chcę powiedzieć – przemówiła w końcu.

– Mogłaś mówić – zauważył.

– To znaczy, że wiedziałaś! Ty tylko... Dlaczego nie... – Usiłowała się podnieść, ale

Chris delikatnie zmusił ją, by z powrotem ułożyła się na posłaniu. Opierała się przez chwilę, a potem zrezygnowała.

– Zauważyłem, że mogłaś mówić – powiedział spokojnie. – Uznałem, że to dziwne.

Okay?

– Okay – powiedziała i zamknęła oczy.

– Przedtem nie mogłaś – powiedział, gdy nadal milczała. – To znaczy innym razem.

Tylko mamrotałaś.

– To dlatego, że ataki oddziałują na mięśnie prądkowane, te które są podległe woli. Ja wtedy wiedziałam, że to nie jest atak. To było coś innego. – Czekała, aż on to nazwie, ponieważ wydawało jej się, że on ma prawo do formułowania oskarżeń, ale najwyraźniej wcale nie miał zamiaru.

– To był strach – wyznała w końcu.

– No niemożliwe! – powiedział. – Co ty nie powiesz. Spojrzała na niego chmurnie.

– Mnie to wcale nie śmieszy.

– Przepraszam. Zawsze sobie żartuję wtedy, kiedy nie trzeba. Świetnie, więc czego chcesz? Jestem zdumiony, wstydzę się za ciebie, nigdy nie podejrzewałem, że okażesz się takim tchórzem i czuję się upokorzony, bo myślałem, że poznałem idealną, nieustraszoną kobietę, a tu się okazało, że ty nią nie jesteś.

– A może byś się odpieprzył i zostawił mnie samą?

– Zgoda, tylko najpierw wysłuchasz diagnozy doświadczonego chirurga i psychologa amatora.

– Jeśli to będzie równie zabawne, jak ten ostatni tekst, to może jednak zachowasz to dla siebie?

– Aha! Zabolało!

– Idź sobie, proszę.

– Najpierw mnie do tego zmusz. Widzisz, jeszcze kilka dni temu wyprułaś mi flaki, gdybym się odważył powiedzieć coś takiego, jak przed chwilą. Niepokoję się, gdy widzę, jak tak sobie leżysz i przyjmujesz wszystko spokojnie. Ktoś musi pomóc ci odzyskać poczucie własnej wartości i chyba tym kimś muszę być ja.

– Czy to jest twoja diagnoza?

– Raczej jej część. Nieuleczalny brak poczucia własnej wartości i strach przed strachem. Jesteś fobiofobikiem, Robin.

Sama nie wiedziała, czy chce jej się śmiać, czy płakać.

– Czy wreszcie dokończysz to, co masz do powiedzenia i zostawisz mnie w spokoju?

– Masz dziewiętnaście lat.

– Nigdy temu nie zaprzeczałam.

– Stwierdzam po prostu, że chociaż wydaje ci się, że jesteś twarda, nie miałaś w życiu zbyt wiele okazji, aby się sprawdzić. Weszłaś to Tetydy, myśląc, że nic nie jest w stanie cię przestraszyć, ale myliłaś się. Posusiałaś się w majtki, oklapłaś i rozplakałaś się, jak małe dziecko.

– Doceniam twoją delikatność.

– Najwyższy czas, by ktoś ci przytarł nosa. Prawie całe życie żyłaś ze swoimi atakami i dotąd nie nauczyłaś się na nie godzić.

– Nie poddam się im.

– Jasne, że nie. Ale nie umiesz się przystosować. Ledwie się przyznajesz, że one występują. Stałaś na warcie przy bardzo ważnych urządzeniach na Konwencie i robiąc to, narażałaś cały świat i swoje siostry na niebezpieczeństwo.

– Skąd ty to... – Przyłożyła dłoń do ust i tak długo gryzła się w palec, dopóki z jej twarzy nie zniknął rumieniec wstydu.

– Mówisz przez sen – wyjaśnił. – Robin, epileptykom nie pozwala się prowadzić samolotu. To nie fair wobec ludzi, na których taki samolot może spaść.

Westchnęła i pokiwała głową.

– Nie będę się z tobą sprzeczać. Ale co to ma wspólnego z tym, co się wydarzyło na pustyni?

– Moim zdaniem wszystko. Odkryłaś w sobie coś nieprzyjemnego. Przestraszyłaś się i to cię sparaliżowało. I podchodzisz do tego tak samo, jak do swoich ataków, czyli jakby ich wcale nie było. Nie, cofam to. Kiedyś odcięłaś sobie palec. Co teraz sobie odetniesz? Gdybyś była mężczyzną, miałbym dość ponurą propozycję, ale nie wiem doprawdy, który z kobiecych członków ma równie heroiczne znaczenie. Masz jakieś pomysły? Uczę się właśnie chirurgii. Przydałoby mi się trochę praktyki.

Nie mogła ścierpieć jego słów, niczego bardziej nie pragnęła, jak tylko, by przestał mówić i wreszcie sobie poszedł. Daleko, jak najdalej. Gdzieś w jej wnętrzu wrzał ogromny gniew połączony z potwornym napięciem i była pewna, że jeśli on nie odejdzie jak najszybciej, to wulkan w jej wnętrzu eksploduje i wtedy ona go zabije. Nie była nawet w stanie na niego patrzeć.

– To co radziłbyś mi zrobić?

– Już powiedziałem. Pogódź się z tym. Uznaj, że to się stało i mimo iż nie przysparza

ci to dumy, to może się jednak powtórzyć. Najwyraźniej chcesz udawać, że nic się nie stało, ale ci to nie wychodzi, więc tylko tak tu leżysz i nie umiesz nic zrobić. Przyznaj się sama przed sobą, że okazałaś się tchórzem w tym jednym przypadku, bo takie były okoliczności, i to będzie twój punkt wyjścia. Potem może jakoś wymyślisz, jak nie dopuścić, by to się powtórzyło. Albo zrozum, że zrobisz to samo następnym razem.

– Zawsze jest takie ryzyko.

Zmusiła się wreszcie, by na niego spojrzeć. Ku jej zdziwieniu, na widok jego twarzy wcale nie poczuła gniewu. Nie dostrzegła w niej szyderstwa. Wiedziała, że jeśli go poprosi, to on nigdy już nie powie o tym ani słowa i nie powtórzy nikomu.

Z niewiadomego powodu to już przestało być takie ważne jak dotychczas.

– Ty bardzo wierzysz w godzenie się na różne rzeczy – powiedziała. – Ja bym wolała z nimi walczyć. To... przynosi większą satysfakcję. – Wzruszyła ramionami. – Tak jest łatwiej.

– Czasami.

– Łatwiej byłoby mi obciąć sobie jeszcze jeden palec, niż zrobić to, co mówisz.

– Z tym chyba również mogę się zgodzić.

– Przemyślę to. Czy teraz zostawisz mnie samą?

– Chyba nie. Niedługo będę nastawiał nogi Valihy. Teraz chwilę sobie poczytam i przygotuję narzędzia, a ty w międzyczasie zrób nam coś do zjedzenia. W plecaku Valihy jest jeszcze sporo zapasów. Po drugiej stronie tej skały jest woda. Zabierz lampę, ja zrobiłem sobie latarkę i to mi wystarczy.

Patrzyła na niego uparcie.

– To wszystko?

– Nie. Kiedy pójdziesz po wodę, rozejrzyj się, czy tam nie ma czegoś, co się nada do

zrobienia łupków. Większość roślin, które tu widziałem jest niska i poskręcana, ale może jednak coś znajdziesz. Powiedzmy około pięciu czy sześciu palików metrowej długości.

Przetarła twarz. Miała ochotę zasnąć na kilka lat i raczej się nie obudzić.

– Paliki, woda, kolacja. Coś jeszcze?

– Tak. Jeśli znasz jakieś piosenki, to idź i jej pośpiewaj. Ona cierpi na potworne bóle

i nie ma niczego, co mogłoby jej pomóc. Oszczędzam środki, żeby mieć jej co dać

podczas operacji. – Już prawie ruszał, ale zatrzymał się. – I możesz się pomodlić do

czegoś. W życiu nie robiłem nic takiego i jestem pewien, że zrobię to źle. Potwornie się boję.

Z jaką łatwością on to mówi – pomyślała.

– Pomogę ci.

37. Zachodni kraniec

Nasu uciekła na samym początku ich pobytu w jaskini. Chris nie był w stanie określić, kiedy to się dokładnie stało, czas stał się wielkością zupełnie irracjonalną. Podczas poszukiwań Robin przeżyła piekło. Nie potrafiła się wyzbyć poczucia winy. Chris nie umiał ukoić jej bólu, bo wiedział, że ona ma rację. Gaja nie była odpowiednim miejscem dla anakondy. Nasu cierpiała prawdopodobnie bardziej niż inne stworzenia, zwinięta w torbie Robin i na krótko tylko uwalniana. Mimo iż miała przedtem złe przeczucia, Robin wypuściła ją, kiedy badała teren obozowiska. Skąły były ciepłe i myślała, że jej demon nie odpęźnie zanadto od światła niewielkiego ogniska. Chris miał pewne wątpliwości. Czuł, że Robin zabobonnie wierzy w inteligencję i lojalność węża, tylko dlatego, że uważa go za swojego demona, cokolwiek to nie oznaczało. Chris uważał, że trudno jest oczekiwać od węża aż tyle i Nasu udowodniła, że miał rację. Kiedy obudzili się któregoś ranka, anakondy już nie było.

Przeszukiwali okolice przez wiele dni. Robin przetrząsnęła każdy zakamarek, cały czas głośno wołając imię Nasu. Wykładała wszędzie świeże mięso, mając nadzieję, że ją tym zwabi. Nic nie skutkowało. Poszukiwania dobiegły końca, kiedy wreszcie pojęła, że już nigdy jej nie zobaczy. Potem natarczywie wypytywała Chrisa i Valihę, czy ich zdaniem wąż przeżyje. Odpowiadali niezmiennie, że wąż nie powinien tu napotkać żadnych problemów, ale Chris nie był pewien, czy mówi prawdę.

Poszukiwania i pytania stopniowo ustawały. Robin pogodziła się ze stratą, a cały incydent zniknął za horyzontem zdarzeń ich beczasowej egzystencji.

Problem polegał na tym, że obydwaj zegary zabrał Piszczalka. Nadal je pewnie posiadał, oczywiście jeśli przyjęło się założenie, że jeszcze żył.

Chris bardzo się zdenerwował, kiedy, w miarę piętrzących się dowodów, dotarło do

niego, że jest to rzeczywisty problem. Nawet na powierzchni, gdzie odcień światła zmieniał się jedynie w miarę przebytej drogi i w mniejszym stopniu wraz z pogodą, stale doświadczał uczucia dyslokacji. Jednakże wtedy mieli zegar, który im wskazywał, ile upłynęło czasu i Gaby zmuszała ich wszystkich do punktualności. Teraz uświadomił sobie, że nie ma zielonego pojęcia, ile czasu minęło, odkąd wyruszyli z Hyperionu.

Kiedy usiłował sobie wszystko przypomnieć, liczba dni wahała się od trzydziestu pięciu do czterdziestu pięciu.

Na dnie jaskini beczasowość stała się jeszcze bardziej dotkliwa. Chris i Robin spali, kiedy byli zmęczeni, a pozostałe odcinki czasu nazywali dniami, wiedząc znakomicie, że jeden mógł trwać dziesięć godzin, a następny pięćdziesiąt pięć. Jednakże w miarę upływu czasu Chris odkrył, że jest mu niezwykle trudno zapamiętywać kolejność zdarzeń.

Dodatkowo zdenerwowało ich, gdy uświadomili sobie zbyt późno, że należało zaznaczać okresy snu nacięciami na patyku i w ten sposób prowadzić kalendarz. Tak więc minęło piętnaście albo dwadzieścia „nocy”, zanim zaczęli robić nacięcia i wszystkie ich obliczenia dotyczyły jakiejś nieznannej liczby dni. Kalendarz ten mógł być sensowny tylko w oparciu o założenie, że ich doby trwają przeciętnie po dwadzieścia cztery godziny, a Chris wcale nie był pewien, czy takie założenie jest słuszne.

A to rzeczywiście miało znaczenie. Mimo że nie mieli żadnego chronometru, byli świadkami ciągłego procesu, który odmierzał czas z równą dokładnością, jak rozpad atomu: Valiha miała urodzić maleńką tytanie.

Według jej obliczeń odniosła obrażenia podczas tysiąc dwusetnego obrotu jej ciąży, ale przyznawała, że mogła się pomylić, bo nie pamiętała nic z wędrówki po schodach Tetydy. Niewiele pamiętała z okresu dzielącego śmierć Gaby od powrotu świadomości po nieudanej próbie przeskoczenia szczeliny, przy której złamała obydwie nogi. Chris

wyliczył, że tysiąc dwieście obrotów to około pięćdziesiąt dni, z tego zaś zrobił mu się jeden miesiąc i dwie trzecie i zaraz poczuł się lepiej. Potem zapytał, czy ona wie, jak długo będą zdrowieć jej nogi.

– Po upływie kiloobrotu będę prawdopodobnie mogła chodzić o kulach –

powiedziała i dodała usłużnie: – To czterdzieści dwa dni.

– Tutaj nie uszlabyś za daleko przy pomocy kul.

– Zapewne byłoby mi trudno w razie wspinaczki.

– A trzeba się będzie wspinać – powiedziała Robin, która zbadała okolice ich obozu w promieniu dwóch czy trzech kilometrów. – Musi minąć pięć kiloobrotów, żebym była całkowicie wyleczona. Może cztery. Wątpię, czy po trzech będę już w dobrym stanie.

– To znaczy siedem miesięcy. Może pięć albo sześć – podsumował Chris i lekko się odprężył. – Myślę, że uda nam się ciebie stąd wydostać, zanim nadejdzie termin.

Valiha wyglądała na zaskoczoną, ale jej twarz pojaśniała.

– Pojmuję twój błąd – powiedziała pogodnie. – Myślałeś, że u mnie to potrwa dziewięć miesięcy. My takie rzeczy robimy znacznie szybciej.

Chris przetarł twarz wierzchem dłoni.

– Jak długo?

– Często się zastanawiałam, dlaczego kobiety z Ziemi potrzebują tyle czasu, żeby wydać z siebie coś tak małego i, nie obraźcie się, tak nieskomplikowanego. Nasze młode już po urodzeniu potrafią...

– Jak długo? – powtórzył Chris.

– Pięć kiloobrotów – powiedziała. – Siedem miesięcy. Urodzę go z całą pewnością wcześniej, niż będę mogła stąd wyjść.

Bezczasowość zaczęła Chrisa przerażać. Któregoś dnia przyłapał się na tym, że nie

potrafi ustalić kolejności zdarzeń od dnia znalezienia Valihy. Parę rzeczy pamiętał, bo nastąpiły jedne po drugich w trakcie konkretnego „dnia”. Był pewien, że nastawił nogi Valihy wkrótce po rozmowie z Robin, bo pamiętał, że ją zostawił, by przygotować się do operacji. Wiedział, kiedy schwytali pierwszego świecącego ptaka, bo to się stało po ich pierwszej „nocy”. Niewielkie fosforyzujące stworzenia nie bały się ich, ale unikały miejsc, w których coś się działo. Kiedy poruszali się po swoim obozowisku, ptaki nie podfrwały bliżej, ale kiedy układali się do snu, zlatywały się zewsząd i usadawiały w odległości kilku metrów. Robin udało się podejść do jednego z nich pierwszego „ranka”, a nawet dotknąć go ręką. Z wdzięcznością powitali światło rzucane przez grupę kilkunastu ptaków dopóki kilka minut później nie zaczęły odlatywać. Robin złapała ostatniego i przywiązała do kołka, przy którym trzepotał się cały dzień, a następnego ranka znowu przyfrunęło całe stado.

Tym razem wyłapała wszystkie, bo nie za bardzo starały się uciec.

Były to kuliste istoty wypełnione powietrzem. Miały paciorkowate oczy, ale brakowało im wyraźnie zaznaczonych głów, skrzydła były cienkie jak bańki mydlane, a pojedynczą stopę miały opatrzoną dwoma palcami. Pomimo starań Chris nie potrafił znaleźć w ich ciele niczego, co by przypominało dziób, toteż wszystkie wysiłki, by je czymś nakarmić, spełzły na niczym. Umierały, jeśli się je trzymało w niewoli dłużej niż dwie „noce”, więc używali ich przez cały „dzień”, a potem łowili nowe. Martwy ptak był tak samo przydatny jak przekłuty balon. Jeśli się go dotknęło w złym miejscu, można się było narazić na nieprzyjemny wstrząs elektryczny. Chris wysnuł teorię, że źródłem pomarańczowego światła jest neon, ale było to tak wysoce nieprawdopodobne, że nikomu o tym nie mówił.

Na samym początku pobytu w jaskini przenieśli Valihę na nowe miejsce. Wszystkich

bardzo męczyło przebywanie na pochyłym zboczu nad dziesięciometrową przepaścią.

Chris długo opracowywał najlepszy sposób na przeniesienie tytanii. Ku jego zdziwieniu powiodło się. Zrobili prowizoryczne nosze i przesuwali je każdorazowo o parę metrów, aż w końcu dotarli do znajdującego się poniżej płaskiego terenu. Przy tak małej grawitacji obydwójce byli w stanie unieść tytanie, choć nie mogli jej przetransportować zbyt daleko.

Właśnie na tym płaskowyzu rozbili obóz i rozpoczęli długie oczekiwanie. Podczas przeprowadzki wciąż niezbyt optymistycznie zapatrywali się na swoje szanse przetrwania, ponieważ nawet przy najbardziej oszczędnym racjonowaniu żywności mogło im wystarczyć na najwyżej pięćset obrotów. Zabrali się jednak do budowy domu, jakby się spodziewali, że zostaną tu przez sześć czy siedem miesięcy potrzebnych do wyzdrowienia Valihy. Zbudowali namiot i spędzali w nim większość czasu, mimo że nie istniało tam coś takiego, jak warunki pogodowe, a temperatura utrzymywała się zawsze na wysokości dwudziestu ośmiu stopni. Pod dachem czuli się po prostu lepiej niż w tętniącej echem jaskini.

Valiha zaczęła rzeźbić dla nich różne rzeczy i to w takich ilościach, że Robin nie nadążała z wyszukiwaniem rzadkich, karłowatych drzew, jedynych, których drewno nadawało się do rzeźbienia. Tytania wydawała się najmniej uskarżać na nudę, dla niej był to po prostu przedłużony okres odpoczynku. Zdaniem Chrisa musiał to być odpowiednik sześciomiesięcznego snu człowieka.

Znajdowali się w zachodnim krańcu niejednorodnie ukształtowanej jaskini, której szerokość wynosiła przeciętnie jeden kilometr i która rozciągała się na nieokreśloną odległość ku wschodowi. Jej podłoże stanowiła bezładna masa zwalonych skał, turni, iglic, dołów i zboczy. Ptaki siadające na sklepieniu wyglądały jak rozmazane,

nieregularne punkty, więc domyślali się, że dzielił ich od niego co najmniej kilometr. Na północ i południe prowadziła stamtąd zdumiewająca liczba tuneli podobnych do tego, którym uciekli. Wiele z nich wyglądało tak, jakby zostały przez kogoś wykute w skale, niektóre były nawet wzmocnione drewnianymi stemplami. Jedne prowadziły w górę, inne zaś w dół. Kierunek pozostałych był idealnie poziomy, wszystkie jednak rozgałęziały się po jakichś stu metrach na dwa lub trzy dalsze tunele, a jeśli się szło którąś z tych odnóg, okazywało się, że i one z kolei znowu się dzielą. W kamiennych ścianach były takie same szczeliny, jakie widuje się w naturalnych jaskiniach. Roztaczał się za nimi widok takiego beżładu, że raczej nie było sensu badać, co tam jest. Niejedna, rokująca jakieś nadzieje ścieżka zwężała się do przejścia tak wąskiego, że nawet Robin ledwie mogła się przez nie przecisnąć, i prowadziła do komnaty, której rozmiarów mogła się jedynie domyślać.

Z początku Chris towarzyszył Robin podczas tych wypraw, ale po powrocie zastał Valihę pogrążoną w takiej rozpacz, że wkrótce przestał. Robin odtąd chodziła samotnie, tak często, jak udało się jej uzyskać zgodę Chrisa.

Chris był pod wrażeniem zmiany, jaka zaszła w Robin. Nie była to zmiana rewolucyjna, ale każdy, kto ją znał, musiałby ją określić przynajmniej jako dramatyczną. Słuchała go i robiła zazwyczaj to, co jej kazał, nawet jeśli sama chciała coś innego. Z początku był zdumiony; nigdy by się nie spodziewał, że ona zechce przyjmować rozkazy od mężczyzny. Po głębszym zastanowieniu stwierdził jednak, że tu nie o to chodzi. Robin zachowywała się całkiem nieźle jako członek grupy, której najpierw przewodziła Gaby, a potem Cirocco, lecz Chris podejrzewał, że gdyby któraś z nich kazała jej zrobić coś, czego ona absolutnie nie chciała zrobić, wówczas na pewno wystawiłaby je do wiatru. Nigdy nie zrobiłaby czegoś na niekorzyść grupy – chyba że niekorzystnym można było nazwać jej opuszczenie – ale zawsze najpierw rozważała

działanie na własną rękę. Nie była graczem zespołowym.

Chrisowi też nie podporządkowała się bezgranicznie. Niemniej jednak różnica była widoczna. Chętniej słuchała jego argumentów, by w razie czego przyznać mu rację. Nie było między nimi nieporozumień. W pewnym sensie ich grupa, zredukowana do trzech osób, wcale nie potrzebowała przywódcy, ale ponieważ Robin rzadko była inicjatorem jakiegokolwiek przedsięwzięcia, Valiha zaś nigdy, więc rola ta przypadła w udziale Chrisowi. Robin była zbyt egocentryczna, by móc być przywódcą. Czasami z tego powodu nie mogła znieść tych, którzy ją otaczali. Teraz uległa wpływowi czegoś, co zdaniem Chrisa było mieszaniną upokorzenia i poczucia odpowiedzialności. To właśnie upokorzenie pozwalało jej przyznać, że mogła się pomylić i kazało wysłuchiwać jego argumentów, zanim zmieniła zdanie. A odpowiedzialność była czymś ważniejszym od niej samej i to dzięki niej pozostała z Chrisem i Valihą po tamtym potwornym dniu, zamiast wyruszyć na własną rękę po pomoc, co przecież najbardziej chciała zrobić. Zawierali kompromisy w wielu sprawach. Najwięcej problemów przysparzały badania jaskini, które Robin uważała za konieczne. Niezliczoną ilość razy odbywali tę samą kłótnię, używając nieomal tych samych słów i żadnemu wcale to nie przeszkadzało. Nuda stawała się nie do zniesienia, zdążyli już omówić wszystkie wspólne kwestie, toteż każdy spór mógł stanowić miłe urozmaicenie.

- Nie lubię, kiedy chodzisz gdzieś sama – powiedział Chris, bodaj po raz dwudziesty.
- Czytałem trochę o pracach speleologicznych i tego naprawdę nie można robić w pojedynkę, tak jak pływać w głębokiej wodzie.
- Ale ty nie możesz iść ze mną. Valiha potrzebuje twojego towarzystwa.
- Przepraszam – powiedziała Valiha.

Robin dotknęła dłoni tytanii, zapewniając w ten sposób, że jej za to nie wini

i przepraszając za poruszenie tego drażliwego tematu. Kiedy Valiha się uspokoiła, wróciła z powrotem do tematu.

– Ktoś musi robić te wypadki. Wszyscy pomrzemy z głodu, jeśli nie będę tego robić.

Chris wiedział, że ona ma rację. W jaskini żyły jeszcze inne stworzenia oprócz świecących ptaków i tak samo jak one nie znały strachu i agresji. Łatwo było do nich podejść i łatwo było je zabić, ale trudno je było znaleźć. Robin dotychczas odkryła trzy gatunki zwierząt, wszystkie wielkości sporego kota, powolne jak żółwie, bezwłose albo bezzębne. Na czym spędzały żywot można się było tylko domyślać, ale Robin zawsze znajdowała je leżące nieruchomo w pobliżu stożkowatych, szarych mas ciepłej, gumowatej substancji, która mogła być jakimś siedzącym zwierzęciem albo rośliną, bo z całą pewnością żyła, mimo iż nie dawało się z niej oderwać ani kawałka. Nazywała te gumowe masy cyckami, bo przypominały krowie wymiona, natomiast tamte trzy gatunki zwierząt kolejno: ogórkami, sałatą i krewetkami. Nie chodziło tu o ich smak – wszystkie smakowały mniej więcej jak wołowina – ale dlatego, że wyglądem przypominały te trzy terrańskie organizmy. Obok ogórków przechodziła obojętnie przez trzy tygodnie, zanim przypadkowo któregoś nie kopnęła, a wtedy on spojrzał na nią wielkimi, rozmarzonymi oczyma.

– Przecież jakoś dajemy sobie radę – powiedział Chris. – Nie rozumiem, dlaczego tak koniecznie chcesz wychodzić częściej. – Wiedział jednak, że to, co mówi, nie jest prawdą. Mieli jeszcze trochę mięsa, ale trudno było zaspokoić ogromny apetyt Valihy.

– Zapasy zawsze mogą nam się przydać – dowodziła Robin, dając oczyma znaki, że nie powinni rozmawiać o tym w obecności Valihy. Rozmawiali już wcześniej o jej ciąży i napomknęli jej o niektórych swych obawach, by stwierdzić, czy ona przypadkiem się nie martwi, że nie dostaje dostatecznej ilości pożywienia, albo czy nie potrzebuje jakiegś

specjalnej diety, aby jej dziecko rozwijało się prawidłowo. – Trudno się znajduje te stworzenia – ciągnęła Robin. – Lubię wręcz, jak przede mną uciekają, bo czasami przechodzę obok nich i wcale ich nie zauważam.

Dyskusja ciągnęła się w nieskończoność, a kiedy już dobiegła końca, wszystko i tak wracało do normy. Robin wychodziła z obozu codziennie, o połowę rzadziej niż chciała i tysiąc razy częściej niż sobie tego życzył Chris. Cały czas, kiedy jej nie było, wyobrażał ją sobie połamaną, leżącą na dnie jakiegoś dołu, nieprzytomną, niezdolną zawołać o pomoc albo zbyt oddaloną, by ją usłyszano. Ona zaś cały czas, gdy była w obozie, wierciła się, chodziła w kółko, krzyczała na nich, przepraszała i potem znowu krzyczała. Oskarżała Chrisa, że się zachowuje jak matka, że traktuje ją jak dziecko, a on odparowywał, że to ona zachowuje się jak dziecko i to na dodatek nieznośne i uparte. Obydwoje wiedzieli, że ich zarzuty są prawdziwe i żadne nie potrafiło nic z tym zrobić. Robin cała aż się paliła, by wyruszyć po pomoc, ale nie mogła tego zrobić, bo ktoś musiał chodzić na polowania, a Chris równie mocno pragnął ruszyć w drogę, ale nie mógł tego powiedzieć ze względu na Valihę, więc obydwójce złościli się i kłócili, i wydawało się, że nie ma rozwiązania tej sytuacji, aż wreszcie któregoś dnia Robin ze złości wbiła nóż w jeden z szarych cyczków, który w nagrodę oblał jej twarz kleistym białym płynem.

– To mleko Gai – oświadczyła radośnie Valiha i natychmiast opróżniła bukłak przyniesiony przez Robin. – Nie spodziewałam się, że znajdziemy je tak głęboko. W mojej ojczyźnie płynie ono na głębokości od dwóch do dziesięciu metrów pod powierzchnią.

– Co to jest „mleko Gai”? – spytał Chris.

– Nie wiem, jak to wyjaśnić. To po prostu mleko Gai. Moje kłopoty się skończyły.

Dzięki niemu mój syn się wzmocni. Mleko Gai zawiera wszystko, co jest potrzebne do przeżycia.

– A co z nami? – spytała Robin. – Czy lu... czy mieszkańcy Ziemi też mogą je pić?

– Jest dobre dla wszystkich istot. To uniwersalna odżywka.

– Jak to smakuje, Robin? – spytał Chris.

– Nie wiem. Chyba nie myślisz, że spróbowałam?

– Ci ludzie, którzy to pili, mówili, że mleko ma gorzki smak – powiedziała Valiha. –

Ja osobiście częściowo się z tym zgadzam, ale smak zmienia się od obrotu do obrotu.

Kiedy Gaja jest zadowolona, mleko jest słodsze. Kiedy Gaja się gniewa, mleko gęstnieje i psuje się, ale nadal ma wartości odżywcze.

– A w jakim nastroju jest teraz, twoim zdaniem? – spytała Robin.

Valiha przyłożyła buklak do ust i wypila aż do ostatniej kropli. W zamyśleniu przekrzywiła głowę.

– Powiedziałabym, że jest przejęta. Robin roześmiała się.

– Niby czym Gaja miałaby się przejmować?

– Cirocco.

– Co masz na myśli?

– To, co powiedziałam. Jeśli Czarodziejka jeszcze żyje i jeśli my przeżyjemy, żeby jej opowiedzieć o ostatnich chwilach i słowach Gaby, wówczas Gaja zadrży.

Robin miała wyraźnie wątpliwości i Chris w duchu się z nią zgadzał. Nie pojmował, w jaki sposób Cirocco mogłaby stanowić zagrożenie dla Gai.

Jednakże Robin nie przeoczyła ważności tego odkrycia.

– A więc mogę iść i sprowadzić pomoc – oświadczyła, rozpoczynając kłótnię, która miała trwać trzy dni, mimo że Chris wiedział od samego początku, że ją przegra.

– Lina. Jesteś pewna, że masz wystarczającą ilość liny?

– Skąd mogę wiedzieć, ile mi będzie potrzebne?

– A co z zapałkami? Wzięłaś zapałki?

– Mam je tutaj. – Robin poklepała kieszeń kurtki, którą przywiązała do plecaka zrobionego z juków Valihy. – Chris, przestań. Już kilkanaście razy rozmawialiśmy o moim ekwipunku. – Chris wiedział, że ona ma rację, wiedział, że marudzi tak, bo chce opóźnić jej odejście. Od jego kapitulacji minęły już cztery dni.

Znaleźli najbliższy cycek Gai i mozolnie przenieśli Valihę w jego pobliże. Mimo że od starego obozowiska dzieliło ich w prostej linii 300 metrów, linia ta przecinała dwa strome wąwozy. Nieśli więc tytanie kilometr na północ, potem kilometr na południe i dopiero wtedy zawrócili.

– Masz bukłak?

– Tutaj. – Przewiesiła go sobie przez ramię i dotknęła plecaka. – Mam wszystko, Chris.

Pomógł jej założyć plecak i wtedy wydała mu się niesamowicie drobna. Była obładowana najrozmaitszym sprzętem i nieodparcie przypominała mu przedszkolaka ubranego do zabaw na śniegu. Kochał ją w tej chwili i pragnął się nią opiekować. Tego niestety nie mógł zrobić, a poza tym ona tego wcale nie chciała, więc odwrócił się, zanim zdążyła zobaczyć wyraz jego twarzy. Nie chciał znowu rozpoczynać kłótni.

Nie wytrzymał jednak i powiedział:

– Pamiętaj znakować drogę.

Bez słowa pokazała mu małe dłuto i wsunęła je za pętlę przy pasie. Był to przepiękny pas, wykonany z wysuszonej skóry ogórka przez zręczne dłonie Valihy. Plan był taki, że kiedy Valiha wydobrzeje na tyle, by móc się poruszać o kulach, razem z Chrisem ruszy

szlakiem wytyczonym przez Robin. Chris wołał o tym nie myśleć, bo jeśli Robin nie uda się wyjść na zewnątrz i wcześniej sprowadzić pomoc, będzie to oznaczało, że przydarzyło się jej jakieś nieszczęście.

– Jeśli nie znajdziesz żadnych cycków, pozwalam ci wędrować z pustym bukłakiem jeszcze trzy dni, a potem masz zawrócić.

– Cztery. Cztery dni.

– Trzy.

– Umawialiśmy się, że cztery. – Spojrzała na niego i westchnęła. – W porządku.

Trzy, jeśli dzięki temu będziesz szczęśliwy. – Przez chwilę stali, patrząc na siebie; potem Robin podeszła do niego i objęła go jedną ręką w pasie.

– Uważaj na siebie – powiedziała.

– Właśnie miałem powiedzieć to samo. – Roześmiali się nerwowo, a później Chris ją objął. Nastąpiła niezręczna chwila, kiedy zastanawiał się, czy ona pozwoli się pocałować, po czym stwierdził, że nie dba o to i pocałował ją. Uściskała go i cofnęła się, unikając jego wzroku. Po chwili jednak spojrzała mu w oczy, uśmiechnęła się i ruszyła w drogę.

– Cześć, Valiha – powiedziała.

– Do zobaczenia, mała – zawołała Valiha. – Chętnie bym powiedziała: „Niech Gaja będzie z tobą”, ale pewnie wolisz iść sama.

– Masz absolutną rację – zaśmiała się Robin. – Niech ona lepiej siedzi w piąście i zamartwia się Czarodziejką. Zobaczymy się pewnie po upływie kiloobrotu.

Chris patrzył za nią tak długo, aż zniknęła z zasięgu wzroku. Wydało mu się, że przystanęła i pomachała ręką, ale nie był tego pewien. Wkrótce nie było widać nic prócz rozkołysanego światła trzech świecących ptaków, które niosła w klatce uplecionej z wikliny. Potem nawet ono zniknęło.

Mleko Gai było naprawdę gorzkie, dodatkowo zaprawione jeszcze goryczą rozstania z Robin. Jego smak zmieniał się rzeczywiście z dnia na dzień, ale nie do takiego stopnia, by Chris miał na nie ochotę. Po upływie hektoobrotu mdliło go na samą myśl o mleku i zaczął się zastanawiać, czy głodowa śmierć nie jest czymś lepszym niż odżywanie się tym cuchnącym, dławiącym świństwem.

Chodził na polowania najczęściej jak tylko mógł, zawsze starając się nie zostawiać Valihy zbyt długo w samotności. Podczas tych wypraw zbierał drewno i od czasu do czasu przynosił któregoś z miejscowych zwierzaków. Był to zawsze sygnał do uczyty, bo Valiha wyciągała wtedy swoje przyprawy i przyrządzała zdobycz za każdym razem na inny sposób. Wkrótce Chris zauważył, że sama je to, co ugotowała niezwykle wstrzemięźliwie. Był pewien, że to nie dlatego, że wołała mleko. Wielokrotnie chciał ją namówić, żeby wzięła całą należną jej porcję, ale zawsze brakowało mu siły woli, aby to powiedzieć. Sam jadł jak łakomy smakosz, rozciągając posiłek na wiele godzin i zawsze brał dokładki. Nie lubił siebie za to, ale nie potrafił się powstrzymać.

Niemal całkowicie utracili poczucie czasu. Dla Chrisa wszystkie wyraźne podziały czasowe zatarły się już tego pierwszego dnia, kiedy przybył na Gaję. Właściwie jeszcze wcześniej: podróż statkiem kosmicznym była początkiem zerwania z czasem ziemskim. Potem nastąpiło zamrożenie trwania w jedno wieczne popołudnie w Hyperionie, powolne wpełzanie w noc i wypłzanie w dzień. Teraz cały ten proces osiągnął swoje apogeum. Po długiej przerwie, która trwała od czasu poprzedzającego Karnawał w Kriosie, aż do jego znalezienia się w jaskini znowu zaczął popadać w szaleństwo. Tak to teraz rozumiał – były to raczej długie okresy szaleństwa, a nie „epizody”, jak je eufemistycznie nazywali lekarze. Przestał już wierzyć, że Gaja może go uzdrowić, nawet gdyby tego chciała. Zresztą nie przychodził mu do głowy żaden powód, dla którego miałaby tego

chcieć. Jego osobowość zawsze już będzie zlepkiem obcych mu szaleńców i zdał sobie sprawę, że jakoś musi nauczyć się z nimi żyć.

W jaskini było to zresztą łatwiejsze niż gdziekolwiek indziej. Często zwyczajnie tego nie zauważał. Miał świadomość, że znajduje się w jakimś miejscu, do którego nie pamiętał, jak się dostał i nie był w stanie stwierdzić, czy znowu oszalał, czy też zwyczajnie się zamyślił. Za każdym razem, gdy to się zdarzało, z niepokojem patrzył na Valihę, by sprawdzić, czy nie zrobił jej czegoś złego. Nigdy jednak do tego nie doszło. Prawdę powiedziawszy ona często wyglądała na szczęśliwszą niż kiedykolwiek w ostatnich czasach. To był kolejny powód, dla którego łatwiej znosił swoje szaleństwo: Valiha nie przejmowała się nim i wyraźnie bardziej lubiła Chrisa w takim stanie. Zastanawiał się niezobowiązująco, czy tego właśnie lekarstwa Gaja nie miała na myśli. Tu na dole szaleństwo nie miało znaczenia. Chris zupełnie na własną rękę znalazł drogę do sytuacji, w której był równie normalny i zdrowy jak każdy.

Valiha bez słowa przejęła obowiązek wycinania kalendarza po każdej jego „nocy”. Oprócz innych objawów to dodatkowo upewniło go, że istotnie owładają nim jego maniakalne stany.

Nie wiedział, co wtedy z nim się działo. Nie pytał o to Valihy, a ona nigdy o tym nie mówiła.

Rozmawiali za to o wszystkim innym. Codzienne prace nie zajmowały więcej niż „godzinę” i zostawało od dziewięciu do czterdziestu dziewięciu godzin, podczas których nie było nic innego do roboty oprócz rozmowy. Na początku opowiadali o sobie, ale wynik był taki, że tytania wkrótce nie miała już o czym mówić. Zapomniał, że jest tak niesamowicie młoda. Mimo że fizycznie była zupełnie dorosła, miała za sobą niezwykle skromne doświadczenia. Jednakże życiorys Chrisa nie był o wiele bogatszy, więc zaczęli

poruszać inne tematy. Rozmawiali o swoich nadziejach i obawach, o filozofii tytanii i filozofii ludzi. Wymyślali gry i różne opowieści. Valiha okazała się miernym partnerem w grach, ale za to wspaniale opowiadała. Posiadała wyobraźnię i horyzonty zupełnie odmienne od ludzkich, dzięki czemu potrafiła go co jakiś czas zadziwić swą niepokojąco beztroską przenikliwością w stosunku do rzeczy, których nie powinna była rozumieć. Jak nigdy dotąd, zaczął pojmować, co to znaczy być prawie człowiekiem, a jednak nie człowiekiem. Ni stąd, ni zowąd pożałował wszystkich tych miliardów ludzi, którzy umarli, zanim doszło do nawiązania kontaktu z Gają i przez to nigdy nie mogli bliżej poznać tej niezwykle ujmującej rasy.

Cierpliwość Valihy go zdumiewała. On sam wariował, mimo że miał znacznie większą swobodę ruchów niż ona. Zaczynał rozumieć, dlaczego dobija się konie z połamanymi nogami: ich układ kostny nie dawał się leczyć. Nogi tytanii były znacznie giętsze od kończyn ziemskiego konia, ale i tak potwornie cierpiała. Przez połowę kiloobrotu mogła leżeć tylko na boku. Kiedy kości zaczęły się zrastać, próbowała siadać, ale nie mogła wytrzymać zbyt długo w tej pozycji, ponieważ jej usztywnione w łupkach nogi musiały być ułożone prosto.

Po raz pierwszy zrozumiał, jak bardzo ona cierpi, kiedy wspomniała mimochodem, że w szpitalu chore tytanie leżały w wyciągu, w którym ich zranione nogi zwisały w dół. Był zdumiony.

– Dlaczego nie powiedziałaś mi tego wcześniej? – zapytał.

– Nie sądziłam, że tak trzeba, bo...

– Końskie gadanie – powiedział i czekał, aż się uśmiechnie. Było to jego ulubione powiedzonko, przy pomocy którego zazwyczaj się z nią łagodnie droczył. Tym razem jednak nie uśmiechnęła się. – Chyba mógłbym sklecić coś takiego – powiedział. –

Stałaś na tylnych nogach, tak? Byłby to więc rodzaj pasa, który oplatałby twoje przednie nogi... Chyba bym potrafił to zrobić. – Czekał, ale wciąż nic nie mówiła. Nawet na niego nie spojrzała. – O co chodzi, Valiha?

– Nie chcę sprawiać kłopotów – powiedziała ledwie słyszalnie i zaczęła płakać.

Nigdy dotąd nie widział jej płaczącej. Był jednak strasznym idiotą, jeśli zakładał, że skoro ona nie płacze, to wszystko musi być w porządku. Podeszedł do niej, a ona skwapliwie dała się objąć. Z początku pocieszanie kogoś tak wielkiego wychodziło mu trochę niezgrabnie i z pewnością nie ułatwiała tego pozycja, w jakiej leżała Valiha.

Wkrótce jednak Chris się rozluźnił i tulił ją, uświadamiając sobie jednocześnie, że przez cały ten czas prosiła o tak niewiele, a on nie dał jej nawet tego.

– Nie przejmuj się – wyszeptał do podłużnej, cylindrycznej muszli jej ucha.

– Jaka ja byłam głupia – jęknęła. – Jak ja mogłam połamać nogi.

– Nie możesz się za to obwiniać, to był nieszczęśliwy wypadek.

– Ale ja go pamiętam. Nie pamiętam wiele, ale tyle pamiętam. Tak się bałam. Nie wiem, co się tam wydarzyło... tam na stopniach. Pamiętam straszliwy ból i wrażenie, że cały czas biegłam. Biegłam bez końca, a kiedy dobiegłam do tego wąwozu, skoczyłam, choć dobrze wiedziałam, że nie dam rady go pokonać.

– Wszyscy robimy głupstwa, kiedy się czegoś boimy – zauważył.

– Tak, ale utknęliśmy tu przeze mnie.

– Obydwoje tu utknęliśmy – przyznał. – Nie będę udawał, że mam ochotę tu być; to byłoby kłamstwo. Żadne z nas nie chce tu być. Ale ja cię nie opuszczę tak długo, jak będziesz chora. I nie winię cię za to, co się stało. To po prostu nie twoja wina.

Przez dłuższy czas nic nie mówiła, choć jej ramiona lekko drżały. Kiedy przestała płakać, głośno pociągnęła nosem i spojrzała mu w oczy.

- A ja chcę być właśnie tutaj – oświadczyła.
 - Co chcesz przez to powiedzieć? – Odsunął się odrobinę, ale przytrzymała go.
 - Chcę powiedzieć, że bardzo cię kocham.
 - To niemożliwe, żebyś naprawdę mnie kochała. Potrząsnęła głową.
 - Wiem, co masz na myśli, ale to nie jest prawda. Kocham cię kiedy jesteś spokojny i kiedy jesteś zły. Jesteś taki zmienny. Myślę, że jestem chyba jedyną osobą, która cię dokładnie poznała. I kocham cię takiego, jakim jesteś.
 - Kilku lekarzy twierdziło, że wiedzą o mnie wszystko – stwierdził nieszczęśliwym tonem. Kiedy Valiha nie odpowiadała, zadał pytanie, które od dawna bał się wypowiedzieć. – Czy ja się z tobą kocham, kiedy owłada mną szaleństwo?
 - Kochamy się jak szaleńcy. Ty jesteś męskim ogierem, a ja twoją androgeniczną erotomanką. Swawolimy od tyłu i łączymy się od przodu, a potem baraszkujemy od środka. Twój penis...
 - Przestań, przestań! Nie pytałem o wulgarne szczegóły.
 - Nie powiedziałam nic ryparograficznego – powiedziała skromnie Valiha.
 - Nie rozu... Coś ty zrobiła, pożarłaś słownik? – spytał.
 - Muszę znać wszystkie angielskie słowa, bo tego wymaga eksperyment – wyjaśniła.
 - Jaki... nieważne, powiesz mi to później. Wiem, że raz się z tobą kochałem.
- Chciałem się dowiedzieć, czy robię to nadal.
- Ostatni raz przed dwudziestoma albo trzydziestoma obrotami.
 - A nie przeszkadza ci to, że robię to tylko wtedy, gdy jestem szalony?

Zamyśliła się.

- Naprawdę trudno mi zrozumieć, co oznacza dla ciebie słowo szalony. Czasami pozbywasz się niektórych hamulców psychicznych, co zresztą jest kolejnym terminem,

którego nie rozumiem. Przez to pakujesz się w kłopoty z samicami ludzkiego gatunku, które nie chcą z tobą kopulować, a także z każdym, kto próbuje okiełznać twoje pożądanía. Ja nie miewam takich kłopotów, bo kiedy stajesz się krnąbrny, po prostu podnoszę cię za włosy i trzymam na odległość wyciągniętego ramienia. Uspokajasz się i wtedy przemawiam ci do rozsądku. Bardzo dobrze na to reagujesz.

Chris zaśmiał się, ale nawet w jego uszach ten uśmiech zabrzmiał dziwnie pusto.

– Zdziwiasz mnie – powiedział. – Badali mnie najlepsi lekarze na Ziemi. Nic ze mną nie mogli zrobić, dawali mi pigułki, które prawie wcale nie skutkowały. Byliby zafascynowani, gdyby usłyszeli, jakie jest twoje lekarstwo. Podnieście go za włosy, przytrzymajcie na odległość wyciągniętego ramienia i przemówcie mu do rozsądku. Ach, słodko przemówcie.

– Ale to działa – powiedziała zaczepnie. – Sądzę, że ta metoda byłaby skuteczna w społeczeństwie złożonym z osobników większych od ciebie.

– Czy moje zachowanie w takich chwilach cię nie odstręcza? – spytał. – Tytanie nigdy nie atakują się nawzajem, prawda? Moim zdaniem powinienem być dla ciebie... cóż, odrażający, kiedy się tak zachowuję. Tytanie tak nie postępują.

– Uważam, że ludzie na ogół postępują odwrotnie niż tytanie – powiedziała Valiha. – Twoje zachowanie, kiedy robisz się „szalony” jest może odrobinę bardziej agresywne, niż kiedy jesteś normalny, ale twoje namiętności wzmagają się, zarówno miłość jak i agresja.

– Ale ja cię nie kocham, Valiha.

– Ależ kochasz mnie. Nawet ta część ciebie, która jest zdrowa kocha mnie niegasnącą miłością tytanii, lecz ta miłość jest zbyt wielka, by obdarzyć nią tylko jedną osobę. Powiedziałeś mi to, kiedy byłeś szalony. Powiedziałeś mi, że twoja zdrowa

psychicznie osobowość nie przyzna się do tej miłości.

– On cię okłamał.

– Nie okłamałbyś mnie.

– Ale ja tu jestem, żeby się z tego wszystkiego wyleczyć! – krzyknął. Jego wzburzenie rosło.

– Wiem – jęknęła, znowu gotowa się rozplakać. – Tak się boję, że Gaja cię wyleczy i nigdy się nie dowiesz, że mnie kochasz! – Chris pomyślał, że jest to najbardziej zwariowana rozmowa, jaką kiedykolwiek słyszał. Może jego szaleństwo było nieuleczalne. To wszystko nie mieściło się w granicach zdrowego rozsądku. Nie chciał jednak patrzeć na jej łzy, naprawdę ją lubił i nagle ta sprzeczka przestała mieć sens. Pocałował ją. Zareagowała natychmiast, zatrważając go swą siłą i namiętnością. Potem wyszeptała mu do ucha:

– Nie martw się, będę delikatna. Uśmiechnął się.

Nie było to łatwe, ale w końcu zrobił wyciąg, na którym mogła się wygodnie ułożyć. Znalezienie trzech żerdzi dostatecznie długich i mocnych pośród karłowatych krzaków, które porastały jaskinię, zabrało mu trochę czasu, ale kiedy już je miał, mógł wykonać wysoki trójnóg. Mieli wystarczająco dużo liny, by zrobić wyciąg i wyścielić go ubraniami, których nie potrzebowali w ciepłej jaskini. Po skończeniu dzieła Valiha ostrożnie uniosła się na rękach i Chris umocował jej nogi w pętlach. Umościła się i westchnęła z zadowoleniem. Odtąd większość czasu spędzała machając kopytami w odległości kilku centymetrów nad ziemią. Nie robiła jednak tego cały czas. Nie mogli kochać się od przodu, kiedy była zawieszona na wyciągu, a czynność ta wkrótce stała się bardzo ważnym elementem ich życia. Chris zaczął się zastanawiać, jak wytrzymał tak długo, a potem pojął, że przecież przez cały czas się z nią kochał. Czuł teraz, że

najprawdopodobniej poddałby się rozpaczy i najzwyczajniej szeeł, głodząc się na śmierć pośrodku tego oceanu obfitości. Nawet mleko Gai smakowało teraz trochę lepiej, ale nie wiedział, czy to dzięki jego samopoczuciu, czy też Jej Wysokości odmienił się nastrój. Valiha nie przypominała zwykłej kobiety. Nie było sensu oceniać, czy była lepsza, czy gorsza – była po prostu inna.

Jej przednia vagina pasowała do niego dzięki swej lubieżnej przystępności, zbyt doskonałej, by mogła być tylko wynikiem kosmicznego przypadku. Prawie że słyszał chichot Gai. Zrobiła ludzkości niesamowity dowcip, tak to organizując, że pierwsza napotkana inteligentna rasa nie ludzi potrafiła brać udział w tych samych zabawach, co ludzie, i przy użyciu tego samego sprzętu. Valiha przypominała ogromny, mięsisty plac zabaw, począwszy od czubka jej szerokiego nosa poprzez akry nakrapianej żółtej skóry aż do miękkości znajdujących się tuż nad kopytami tylnych nóg. Była całkowicie ludzka – z tym, że na większą skalę – w pieszczotach dłoni, kształcie piersi, smaku skóry, ust i łechtaczki. I jednocześnie była zupełnie obca w jej wystających kolanach, w gładkich, twardych mięśniach grzbietu, bioder, ud i wystającym czubku penisa, który wyłaniał się wilgotny ze swojej pochwy. Kiedy ją całował w zagłębienie za wystającymi, oślimi uszami, pachniała jak człowiek.

Z początku niechętnie akceptował istnienie jej całego ciała. Usiłował udawać, że ona istnieje tylko od głowy do przedniego krocza i ignorował cały jej seksualny nadmiar. Valiha delikatnie zapoznała go z zadziwiającymi możliwościami pozostałych dwóch trzecich jej osoby. Jego wahanie częściowo wynikało z pokutującego w nim błędnego przekonania, z którym walczył, gdy je napotykał u innych, a nie zauważał u samego siebie: niektóre części jej ciała przypominały końskie, a to oznaczało, że jest w połowie koniem, a człowiek przecież nie utrzymuje intymnych stosunków ze zwierzętami. Chris

musiał o tym wszystkim zapomnieć, co jak się okazało, było niezwykle łatwe. Pod wieloma względami ona była mniej końska niż on małpi. O innej przeszkodzie wspomniała na samym początku Valiha: była androgeniczna – choć gynandroiczna byłoby może właściwszym ze słów, których przecież i tak nie wymyślono w celu opisania tytanii. Chris nigdy nie miał żadnych doświadczeń homoseksualnych. Valiha sprawiła, że przestało to dla niego mieć znaczenie. Była wszystkimi płciami i nie przeszkadzało mu, że jej tylne organy są takie ogromne. Zawsze rozumiał, że coitus to tylko drobna część miłości.

Kule dla tytanii miały postać długich, grubych kijów z wyściólkami pod pachy, nieco tylko różniących się od tych, jakich ludzie używali od tysięcy lat. Chris wykonał je bez żadnego trudu.

Z początku Valiha była w stanie pokonać bez odpoczynku zaledwie pięćdziesiąt metrów, a potem podobną odległość przy powrocie do namiotu. Wkrótce poczuła, że może zajść nieco dalej. Chris zdemontował namiot i spakował plecak. Wszystko razem było bardzo ciężkie, szczególnie trójnóg wyciągu. Nigdy by tego nie uniósł, gdyby nie niska siła grawitacji, ale nawet mimo tego ułatwienia, był to spory wysiłek.

Valiha szła kołysząc ramionami, unosiła najpierw pierwszą kulę, potem drugą, a następnie stawiała tylne nogi. Powodowało to napięcie mięśni w jej nienawykłych do takiej pracy ludzkich ramionach i szyi, bolesne wyprężenie wygiętego pod kątem prostym kręgosłupa. Chris nie miał pojęcia, jak w tym miejscu zbudowany jest jej szkielet. Był przekonany, że jej układ kostny musi się krańcowo różnić od ludzkiego, skoro potrafiła obracać głowę o sto osiemdziesiąt stopni i wykonywać inne, równie nieprawdopodobne akrobacje. Jednakże tak samo jak on była podatna na urazy kręgosłupa. Pod koniec każdego dnia wędrówki widział, jak krzywiła się z bólu. Mięśnie

jej grzbietu zaczęły przypominać sztywne kable, masaż nie wystarczał, choć Chris bardzo się starał. W końcu żeby jej choć trochę ulżyć, musiał ją okładać pięściami, jakby bił mięso na kotlety.

Zahartowali się, choć wiedzieli, że ta wyprawa nigdy nie stanie się dla nich łatwa.

Przez jakiś czas każdy jej etap trwał nieco dłużej niż poprzedni, aż w końcu osiągnęli maksimum, które Chris oszacował na półtora kilometra. Każdego dnia mijali liczne znaki wykonane przez Robin. Nie potrafili stwierdzić, kiedy powstały i nie było sensu dyskutować tej kwestii. Według wszelkich obliczeń powinna już dawno temu sprowadzić pomoc.

Szli mozolnie naprzód i codziennie to samo pytanie dręczyło ich coraz mocniej:

Gdzie jest Robin?

38. Brawura

To nic, że Chris miał rację. Robin wiedziała to, wiedziała już od dość dawna. Nie należało samotnie wędrować po takich miejscach.

Raz jeszcze usiłowała poruszyć ręką. Tym razem coś nawet osiągnęła: w jednym palcu zaswędziało ją lekko i poczuła pod nim twardą powierzchnię. Ostrożnie przełknęła ślinę. Stale się bała, że zadławi się własną śliną. Tak mogło się zdarzyć. Mogły się zdarzyć jeszcze gorsze rzeczy. Mogło się okazać, że ma złamany kręgosłup. W takim przypadku już na zawsze pozostanie w tym mroku, a zanim ostatecznie pograży się w błogiej nirwanie, minie kilka potwornych tygodni.

Dziwnie było pomyśleć, że niecały rok temu skończyła dziewiętnaście lat i nie czuła lęku przed niczym. Nie był to podeszły wiek, a jednak takim mógł się wydać komuś, kto następnego dnia się potknął i zleciał w przepaść na spotkanie śmierci.

Po co czekać do następnego dnia na śmierć. Będzie tak leżała bezradnie, a w międzyczasie podpełźnie do niej Ptak Nocy i... zrobi to, co robił z bezradnymi czarownicami.

Oddech uwiązał jej w gardle i raz jeszcze z wysiłkiem obróciła głowę o parę centymetrów, żeby zobaczyć, czy Ptak Nocy rzeczywiście przysiadł na skalnym występie kilka metrów ponad jej głową. Znowu nie udało jej się tego sprawdzić, a tylko w oku zapiekła kropla potu, która spłynęła z czoła.

Miałaś zagwizdać – przypomniała sobie, a potem pomyślała: to niedorzeczne. Masz dziewiętnaście lat, a może już dwadzieścia. Przestałaś się bać Ptaka Nocy, kiedy skończyłaś sześć. Nawet gdyby udało jej się ściągnąć wargi, wydobyłaby z siebie co najwyżej ćwierkot kanarka.

Była po części przekonana, że dalekie dźwięki, które zaczęła słyszeć krótko po tym,

jak opuściła Chrisa i Valihę, były echem jej własnych kroków, cichym szemraniem ptaków usadowionych na grzędach i odległym szumem spadającej wody. Jednakże częściowe przekonanie zostawia mnóstwo miejsca dla wyobraźni i Ptak Nocy wyskoczył z jej dziecięcych wspomnień, by wrzeszczeć i szwargotać w jakimś miejscu, do którego nie sięgała wzrokiem.

Nie wierzyła, że to naprawdę Ptak Nocy; nawet w swoim obecnym stanie wiedziała, że takie zwierzę nigdy nie istniało, ani tutaj, ani na Ziemi. To tylko bajka, którą opowiadają sobie małe dziewczynki i nic więcej. Jednakże cała ta sprawa z Ptakiem Nocy polegała na tym, że nikt nie mógł go zobaczyć. Unosiły go skrzydła z cienia i zawsze atakował od tyłu, potrafił zmieniać swoją wielkość i kształt, aby się stopić z jakimś ciemnym miejscem i ukryć z jednakową łatwością w mrocznej izdebce, pod łóżkiem, a nawet w zakurzonej zakamarku. Cokolwiek ją nękało – o ile rzeczywiście tak było – najwyraźniej należało do świata wyobraźni. Nic przecież nie widziała. Jednak od czasu do czasu zdawało się jej, że słyszy odgłos drapiących szponów i klekot upiornego dzioba.

Robin wiedziała, że w tej jaskini oprócz świecących ptaków, ogórków, krewetek i sałaty żyje znacznie więcej stworzeń i że rosą tu również rozmaite rośliny. Widywała maleńkie, szkliste jaszczurki, których liczba odnoży wahała się od dwóch do kilkuset. Lubiły ciepło i było ich coraz więcej w miarę jak posuwała się dalej na zachód, tak więc jej pierwszą pracą każdego ranka było wytrzepywanie ich ze śpiwora. Napotykała też stworzenia przypominające rozgwiazdy i ślimaki, których muszle miały tyle różnych kształtów, co płatki śniegu. Któregoś razu widziała, jak świecącego ptaka porwał jakiś latający stwór, a kiedy indziej znalazła coś, co mogło być częścią wszechobecnego ciała Gai odartego z jego kamiennej skóry, ale równie dobrze mogło stanowić tułów jakiegoś

zwierzęcia, tak wielkiego, że pletwał błękitny wyglądałby przy nim jak zwykły piskorz.

Przekonała się jednak z całą pewnością, że to coś było ciepłe, miękkie i na szczęście niegroźne.

Skoro wszystkie te stworzenia żyły w jaskini, która na pierwszy rzut oka składała się z niezliczonych kilometrów jałowych, kamiennych pustkowi, to czemu nie miało być wśród nich Ptaka Nocy?

Raz jeszcze spróbowała obejrzeć się przez ramię i tym razem udało jej się odrobinę unieść podbródek. Wkrótce mogła już poruszyć stopami znajdującymi się dobry metr poniżej głowy. Gdy w końcu odzyskała całkowicie władzę w rękach i nogach, znieruchomiała na długą chwilę, aby się upewnić, że w pełni panuje nad swoim ciałem. Dopiero wtedy odważyła się ruszyć ze zbocza, na które upadła.

Poruszała się niezwykle ostrożnie. Pełzła do tyłu wspierając się na piętach i łokciach, aż wreszcie poczuła, że grunt staje się płaski i wtedy przylgnęła do ciepłej skały.

Grawitacja jest zjawiskiem wspaniałym, kiedy przypiera do stabilnej powierzchni, ale niezbyt przyjemnym, kiedy wyszarpuje z niezbyt pewnej pozycji. Wcześniej Robin rzadko rozmyślała o grawitacji, a już na pewno nie w kategoriach przyjaciela albo wroga.

Wreszcie przestała drżeć i podpełzła do skraju wąwozu, w którym leżała bezradnie tyle godzin. Padając zmiażdżyła swoim ciałem świecącego ptaka. Obok niego zdychał drugi, ale rzucał jeszcze dostateczną ilość światła, by mogła dojrzeć dno, które znajdowało się nie dalej niż półtora metra poniżej miejsca, w którym były jej stopy. Przed przybyciem na Gaję takie odległości ją śmieszyły. Teraz wcale nie było jej do śmiechu. Ostatecznie sto metrów to aż za dużo; żeby się zabić, wystarczyć mogło i dziesięć. Żeby dobrze walnąć, starczyłyby nawet dwa albo jeden.

Zbadała najpierw swoje ciało, potem ekwipunek. Czuła ostry ból w boku, ale

obmacawszy się starannie, stwierdziła, że nie złamała żadnego żebra. Pod nosem miała zaschniętą krew, rozbiła go sobie zaraz po tym, jak się poślizgnęła i zaczęła swój przerażający upadek w nieznaną. Oprócz kilku zadrapań i zdartego paznokcia nie zaznała żadnych innych obrażeń. Sprawdziła ostatnie elementy wyposażenia, które zachowała po kilku czystkach i przekonała się, że nic nie brakuje. Klatka na ptaki połamała się, ale i tak nie miała już czego w niej trzymać. Zresztą mogła w każdej chwili upleść nową z wikliny i pnączy w następnym obozowisku.

Straciła rachubę, ile razy udało jej się uniknąć nieszczęścia, więc w pewnym sensie zapomniała, co to właściwie znaczy uniknąć. Nawet gdyby wyeliminowała wszystkie te momenty, kiedy czuła, że jej dłonie ześlizgują się z liny, chwilowe utraty oparcia dla stóp, spadające kamienie, które uderzały zaledwie kilka metrów od niej, ruchome wydmy, które okazywały się być głębokie po pas, nagłe powodzie pojawiające się nie wiadomo skąd i rwące z łoskotem korytami strumieni, przez które właśnie miała się przeprawić... nawet gdyby policzyła tylko te wypadki, kiedy dosłownie czuła zimną i groźną obecność śmierci, która ocierała się swą oślizgłą dłonią o jej ciało i pozostawiała po sobie znamię strachu na duszy, to i tak było ich zbyt wiele. Miała szczęście, że wciąż żyła i zdawała sobie z tego sprawę. Były kiedyś takie czasy, kiedy ryzyko ją podniecało, ale czasy te minęły bezpowrotnie.

Każdy dzień przynosił z sobą nowy rodzaj strachu. Poznała ich dotychczas tak wiele, że przestała się już ich wstydzic, była zbyt przybita, zbyt pogiębiona rozpadem tej osoby, za którą się dotychczas uważała. Wiedziała, że z tej jaskini nie wyjdzie już żadna Robin Dziewięciopalca, lecz jakiś obcy, złamany człowiek. Nie było łatwo być Robin, ale można ją było szanować. Nikt nią nigdy nie pomiatał. Po raz wtóry zastanowiła się, po co jeszcze żyje. Czuła, że byłoby bardziej honorowo umrzeć tam, gdzie jej nikt nie widzi.

Wyjście na światło oznaczało ujawnienie całej hańby.

Jednakże jakiś czas później, ponaglana siłą, której nie pojmowała i której oparłaby się, gdyby знаła na to sposób, wstała i podjęła swą długą wędrówkę na wschód.

Wyglądało to tak łatwo gdy przedstawiała to Chrisowi i tytaniu. Miała przejść przez jaskinię i kierując się cały czas na wschód, dotrzeć do Tei. Naturalnie, przyjmowała założenie, że kierunek, który oni nazwali wschodnim, był rzeczywiście wschodem, ale jeśli było inaczej, to i tak nie miała na to wpływu.

Wkrótce jednak wyszło na jaw, że to pierwotne przeświadczenie może być całkowicie błędne. Robin uznała, że jaskinia, która w zachodnim krańcu miała kilometr lub dwa szerokości i nie wiadomo ile kilometrów długości, będzie ciągnęła się zawsze na wschód. Niestety okazało się, że to założenie jest zupełnie bezpodstawne. Dzięki małym światełkom rzucanym przez świecące ptaki, mogła stwierdzić, że główny korytarz jaskini wił się falistą linią po dwa lub trzy kilometry w każdym kierunku. Wydawało się, że w efekcie porusza się po prostej, ale tych zakrętów było tyle, że ostatecznie nie mogła być niczego pewna.

Istniała jeszcze inna możliwość. Nie sposób było stwierdzić, czy dno jaskini się wznosi, czy opada. Cirocco powiedziała, że początek znajduje się pięć kilometrów pod powierzchnią. Ponieważ warstwa zewnętrznej skóry Gai wynosiła trzydzieści kilometrów, istniało spore prawdopodobieństwo, że wyminie komnatę Tei.

Dwa proste przyrządy mogły jej pomóc w odzyskaniu orientacji. Jeśli się szło w górę Gai, traciło się na wadze, a jeśli się szło w głąb, ciężary stawały się nieco większe. Czująca waga sprężynowa mogła zmierzyć te różnice, ale ludzkie zmysły były zbyt mało wrażliwe. Równie użyteczny mógłby być gajański zegar żyroskopowy, który zatrzymywał się, gdy jego oś znajdowała się na linii północ-południe. Gdy ustawiło się

go tak, by przestał chodzić, a potem obróciło o dziewięćdziesiąt stopni, wówczas wskazałby wschód i zachód poruszeniem wskazówek w przód lub w tył. Jednakże ani Gaby, ani Cirocco nigdy nie potrzebowały wagi sprężynowej podczas swych wypraw, więc nie wzięły żadnej. A zegar został przy Piszczalce.

Zmarnowała mnóstwo czasu, usiłując przy pomocy prostego sprzętu ustalić swoje położenie i w rezultacie straciła już wszelką orientację. Można było na przykład określić, gdzie jest wschód i zachód na podstawie obserwacji spadających przedmiotów.

Wytyczała mozolnie długie pionowe linie i rzucała różne rzeczy, ale nie uzyskała żadnych konkluzyjnych rezultatów.

Tak więc w końcu zgubiła się, błędząc w mroku co najmniej od trzech kiloobrotów, a może i dłużej. Szła wzdłuż północnej ściany. Myślała, że to dobry pomysł, dopóki nie osiągnęła końca korytarza już po dwudziestej „nocy” swojej wyprawy. Wracała przy południowej ścianie dopóki nie musiała skręcić, przy czym okazało się, że ten zakręt ma sto osiemdziesiąt stopni i wówczas pojęła, że nieświadomie weszła do bocznego korytarza. Nie miała innego wyboru, jak tylko zawrócić tą samą drogą i szła dopóki nie napotkała znaków, które wykuła w ścianie dla Chrisa i Valihy. Przekreśliła jeden z nich i zrobiła inny, wskazujący kolejny korytarz. Po trzech „nocach” okazało się, że i ten jest tylko ślepym zaułkiem.

Rozpoczął się koszmar długich wędrówek i rozpacz powrotów, powolne nadrabianie drogi i mozolne eliminowanie kolejnych szlaków. Pokonała strach, bo pojęła, że nie ma innego wyjścia i że pomimo strumieni wylanych łez, napadów przygnębienia i rosnącej świadomości, że nie ma pojęcia, dokąd właściwie idzie, zobaczy któregoś dnia w oddali obóz Chrisa i Valihy i dowie się, że cały jej trud poszedł na marne.

Z kolei prawdopodobieństwo, że Chris i Valiha któregoś dnia ją dogonią, stawało się

coraz większe. Wcale by jej to nie zmartwiło. Często się nawet zastanawiała, czy nie usiąść i nie poczekać na nich. Miło byłoby mieć jakieś towarzystwo. Tęskniła za widokiem ich obojga... a może nawet już trojga. Była ciekawa, jakie będzie dziecko tytanii.

Im częściej o tym myślała, tym bardziej idea ta wydawała jej się atrakcyjna. Wysiłki wszystkich trojga przyniosłyby więcej efektów niż jej samotne błądzenie. Nie ulegało wątpliwości, że tak byłoby też bezpieczniej. Chris wziąłby na siebie część ryzyka, bo szedłby na czele, a więc ona automatycznie narażałaby się w o połowę mniejszym stopniu.

Za każdym razem, gdy opadały ją takie myśli, parła do przodu z jeszcze większą determinacją niż dotychczas. Skoro wyszło na jaw, że wcale nie jest nieustraszona, to przynajmniej powinno być ją stać na wytrwałość. Skoro musi pogodzić się z faktem, że się boi, to powinna również przezwyciężyć swój lęk.

Wkroczyła do sklepionego łukowato korytarza bardzo podobnego do tego, którym uciekali razem z Chrisem. Nie było w tym nic nadzwyczajnego, zbadała już z setkę takich korytarzy. Podczas tej wyprawy jej nadzieja skurczyła się do minimum, toteż była co najmniej zdziwiona, kiedy odkryła, co się znajduje na jego końcu. Przez moment była zbyt oszołomiona, by się ruszyć. W powietrzu unosił się jakiś nieprzyjemny zapach. Robin spojrzała nieprzytomnie w lewo, potem w prawo, a na koniec w dół i wtedy zauważyła, że jej buty oblewa warstewka przezroczystego płynu, a ich czubki tlą się. Odskoczyła w tył i pośpiesznie ściągnęła buty. Omal w to nie wlaźła. Mogła runąć na twarz. Mogło jej się wlać do płuc...

– Przestań! – powiedziała głośno, zaszokowana dźwiękiem własnego głosu. Nic tym nie uzyska, gdy będzie tak stała i przejmowała się czymś, co jeszcze się nie zdarzyło.

– Teja! – zawołała. A jeśli stoi przed Tetydą albo Fobosem? Wątpiła, czy jest w stanie odróżnić je nawet z tak bliska, że wzniesienia oddalonego o kilkaset metrów, skąd stożkowaty regionalny mózg wyglądał jak mała plamka światła. Najlepiej byłoby się wycofać, zastanowić, rozważyć ten problem później...

– Teja, muszę z tobą porozmawiać!

Nasłuchiwała uważnie, nie spuszczając wzroku z linii kwasu pokrywającego posadzkę w odległości kilku metrów. Gdyby jego poziom podniósł się choć odrobinę, już ona nauczyłaby świecące ptaki, jak szybko należy fruwać.

Głos Kriosa był słaby – jego dźwięk ledwie się przedostawał przez wypełnione kwasem tunele. Tetyda mówiła głośniejsze, ale Robin mogło się tak tylko wydawać, bo była wtedy śmiertelnie przerażona i chciwie chłonęła każde słowo. Nie było powodu sądzić, że Teja będzie mówiła głośniejsze niż pozostali.

Robin ponownie krzyknęła i wyteżyła słuch. Cisza. Tego się nie spodziewała.

Spodziewała się kłopotów w ich milionach odmian, ale nie myślała, że nie uda jej się w ogóle nawiązać kontaktu z Teją.

– Teja, jestem Robin z konwentu, przyjaciółka Cirocco Jones, Czarodziejki Gai, Cesarzowej Tytanii i... – Bezskutecznie usiłowała sobie przypomnieć wszystkie tytuły, które Gaby wyrecytowała w tamtej nieprzyjemnej chwili w Sklepie z Melodiami.

– Jestem przyjaciółką Czarodziejki – dokończyła, mając nadzieję, że to zapewnienie wystarczy. – Jeśli mnie słyszysz, to powinnaś wiedzieć, że przychodzę w jej sprawie. Muszę z tobą pomówić.

Znowu wyteżyła słuch – bez żadnego rezultatu.

– Nie słyszę cię, jeśli coś do mnie mówisz – krzyknęła. – Nasza rozmowa jest bardzo ważna dla Czarodziejki. Gdybyś tak mogła obniżyć poziom kwasu, to podeszłabym bliżej

i rozmawiałyby się nam znacznie łatwiej. – Już miała dodać, że nie mogłaby skrzywdzić Tei, kiedy zmieniła zdanie przypomniawszy sobie sposób, w jaki Cirocco zwracała się do Kriosa. Nie miała pojęcia, czy naśladowanie Cirocco nie jest przypadkiem ryzykowne, a nawet śmiertelnie niebezpieczne. Jednakże istniała również możliwość, że do Tei nie przemawia nic oprócz siły i że zamorduje Robin w chwili, w której ta okaże słabość.

Pomimo przepełniającego ją strachu, omal się nie roześmiała na tę myśl. Czy dysponowała czymś więcej prócz słabości? Było całkiem prawdopodobne, że przed samym obliczem Tei straci panowanie nad sobą i zupełnie się rozklei, a to ogromne monstrum będzie tymczasem decydowało, co z nią zrobić.

W ogóle mnie to nie rusza – pomyślała. Z takim nastawieniem nie dojdzie donikąd, najwyżej do przeciwległego końca korytarza, z powrotem w ciemność goryczy porażki, jeśli będzie tak myślała. Musi przestać przejmować się drżeniem rąk i zrobić to, co zrobić i tak trzeba.

– Koniecznie muszę z tobą porozmawiać – oświadczyła stanowczo. – A ty musisz obniżyć poziom kwasu, żeby mi w tym pomóc. Czarodziejka ani Gaja nie będą zadowolone, jeśli nie zrobisz tego, co ci mówię. Jeśli kochasz i szanujesz Gaję, to pozwól mi podejść. Jeśli boisz się Gai, pozwól mi podejść!

W uszach zadźwięczała jej pustka, cała buńczuczność tego rozkazu. Teja na pewno wychwyci, równie wyraźnie jak słyszy to ona, strach wyzierający zza tych słów i zdradzający ją w każdej chwili.

Jednak linia kwasu zaczęła opadać. Podeszła do niej ostrożnie i zobaczyła, że tam, gdzie przedtem stało kilka centymetrów płynu, pozostała już tylko śliska, dymiąca warstwa.

Natychmiast usiadła na posadzce i otworzyła plecak. Wypchała buty szmatami

pozostałymi po koszuli podartej wiele hektoobrotów wcześniej. Mimochodem zauważyła pomarszczoną skórę na palcach stóp. Cholewy butów owinęła resztkami koszuli i rogiem koca. Potem wkroczyła na wilgotną posadzkę. Zrobiła kilka kroków i sprawdziła stan koca. Wyglądało na to, że stężenie kwasu nie jest tak wysokie, by od razu przeżarło materiał. Musi zaryzykować.

Teja też była ostrożna. Kwas cofał się koszmarnie wolno; Robin aż podskakiwała z niecierpliwości. Szła krok za krokiem pochyłym korytarzem. Wkrótce ze ścian i stropu zaczęły ściekać krople kwasu. Naciągnęła koc na głowę i szła dalej.

Dotarła w końcu do występu skalnego, identycznego, jak tamte, które widziała w siedzibach Kriosa i Tetydy.

– Mów – usłyszała. Z jeszcze większą siłą niż poprzednio o władnęło ją pragnienie ucieczki, bo głos ten brzmiał tak samo jak głos Tetydy. Omal nie zapomniała, że Krios mówił w identyczny sposób: jednostajnie, bezuczuciowo, bez śladu ludzkiej modulacji, jakby jego głos został skonstruowany na ekranie oscyloskopu.

– Nie ruszaj się – ciągnął głos – bo stracisz życie. Potrafię reagować znacznie szybciej, niż podejrzewasz, więc nie polegaj na swych uprzednich doświadczeniach. Mam prawo cię zabić, bo to jest moja święta komnata, którą ofiarowała mi sama Gaja. Nikt nie może do niej wtargnąć prócz Czarodziejki. Tylko dzięki mej długoletniej przyjaźni z Czarodziejką, a także mej miłości do Gai mogłaś zająć tak daleko. Mów, udowodnij mi, dlaczego miałabyś żyć jeszcze przez chwilę.

Nie owija niczego w bawełnę – pomyślała Robin. A samo znaczenie tych słów...

Gdyby padły z ust człowieka, to pomyślałaby, że jest obłąkany. Być może zresztą Teja była obłąkana, ale i tak prawie nie miało to żadnego znaczenia. „Obłąd” był pojęciem zbyt mało pojemnym, by dawało się nim określić inteligencję z obcej planety.

– Jeśli masz zamiar zawrócić i uciec – ciągnęła Teja, najwyraźniej nabierając jakichś podejrzeń – to nie sądz, że nie wiem, co się zdarzyło, kiedy odwiedziliście Tetydę.

Powinnaś pamiętać, że ona była nieprzygotowana. Ja natomiast od wielu kiloobrotów wiedziałam, że tu przyjdiesz. Nie muszę zalewać swojej komnaty. Pod powierzchnią fosy mam urządzenie zdolne trysnąć strumieniem kwasu, który cię przetnie na połowę.

Tak więc mów albo giń!

Robin przyszło do głowy, że groźby Tei są dobrym znakiem. Zresztą już sam fakt, że najbliższa służka Boga w ogóle zechciała z nią rozmawiać, był dowodem jej niezwyklej łaskawości.

– Już wszystko wyjaśniłam – powiedziała tak stanowczo, jak tylko potrafiła. –

Gdybyś mnie słuchała, wiedziałabyś, jak ważna jest moja misja. Ponieważ najwyraźniej nie uważałaś, powtórzę wszystko. Przychodzę w sprawie, która jest niezwykle ważna dla Cirocco Jones, Czarodziejki Gai. Mam informację, którą ona musi usłyszeć. Jeśli nie uda mi się do niej dotrzeć, będzie bardzo niezadowolona.

Powiedziała to i natychmiast pożałowała, że nie ugryzła się w język. To była Teja, sprzymierzeniec Gai, a przecież ona chciała poinformować Cirocco, że to Gaja zamordowała Gaby. Nie miałyby to znaczenia, gdyby nie możliwość, że Tetyda doniosła już o tym Tei. Było oczywiste, że one się jakoś porozumiewały, bo Teja wydawała się dużo wiedzieć o tym, co zaszło w komnacie Tetydy.

– Co za informacja?

– Mogę ją przekazać tylko samej Czarodziejce. Tylko Gaja może zdecydować, czy wolno ci poznać treść tej informacji.

Nastąpiła cisza, która z pewnością nie trwała dłużej niż kilka sekund, ale Robin zdążyła się postarzeć o jakieś dwadzieścia lat. Jednak kiedy strumień kwasu wciąż nie

wytryskiwał, miała ochotę krzyknąć z radości. Wygrała! Powiedziała coś takiego Tei i wciąż żyła, a więc respekt, jaki Teja żywiła wobec Cirocco, był czymś naprawdę potężnym.

Teraz trzeba wykorzystać ten sukces, wygrać choć kilka minut.

Ruszyła powoli, nie chcąc wzburzyć Tei. Uszła trzy kroki w kierunku schodów, które dostrzegła w południowej stronie komnaty, kiedy Teja przemówiła ponownie.

– Powiedziałaś, że nie wolno ci się ruszać. Jest jeszcze kilka spraw, o których musimy pomówić.

– Nie wiem, czy jest o czym. Chcesz zatrzymać posłańca z wiadomością dla Czarodziejki?

– To pytanie nie ma chyba sensu. Gdybym cię zniszczyła, co jest moim prawem, a właściwie obowiązkiem zgodnie z nakazami Gai, nie byłoby świadka, który mógłby o tym donieść. Czarodziejka może się nigdy nie dowiedzieć, że tędy przechodziłaś.

– Nie masz takiego obowiązku – powiedziała Robin, modląc się bezgłośnie. –

Odwiedziłam Kriosa. Byłam w jego wewnętrznych komnatach, dzięki czemu mogę o tym opowiadać. Na to wymagana jest zgoda Czarodziejki. Wiem to i ty też powinnaś to wiedzieć.

– Nikt nigdy nie sprofanował moich komnat – powiedziała Teja. – Tak to musi być.

Żadna żywa istota oprócz Czarodziejki nie stała dotąd w miejscu, w którym ty teraz stoisz.

– A ja ci powiadam, że widziałam Kriosa. Nie ma nikogo bardziej lojalnego względem Gai niż Krios.

– Nikomu nie ustępuję swoją lojalnością względem Gai – oświadczyła skromnie

Teja.

– Zatem możesz postąpić tak samo; jak Krios i pozwolić mi przejść.

Taka możliwość stanowiła dla Tei trudny dylemat moralny, być może z tego powodu nastąpiła kolejna długa przerwa. Robin cała oblała się potem, w nosie zapiekło ją od wyziewów kwasu.

– Skoro jesteś taka lojalna wobec Gai – przekonywała ją – to dlaczego rozmawiałaś z Tetydą? – Po raz kolejny zastanowiła się, czy powiedziała właściwą rzecz. Jednakże oładnęło ją maniackalne pragnienie, by rozegrać tę zabawę do końca, cokolwiek miałoby się zdarzyć. Nie było już sensu płaszczyć się czy błagać. Wyczuła, że rozmawiając dotychczas z Teją z pozycji siły, utraciła taką możliwość bezpowrotnie. Teja nie była głupia. Pojęła, że zdradziła się, wyjawiając, że zna fakt przejścia Robin przez komnatę Tetydy. Nie próbowała zaprzeczać, lecz odparła takim samym tonem, jakim Krios rozmawiał z Cirocco.

– Trudno nie słuchać. Tak właśnie jestem zbudowana. Tetyda jest zdrajczynią i stale słyszeć jej heretyckie poszeptywania. O wszystkim naturalnie natychmiast donosi się Gai. Od czasu do czasu to się do czegoś przydaje.

Robin wyciągnęła z tego wniosek, że Tetyda albo nie wiedziała, co im powiedziała Gaby, albo nie powiedziała o tym Tei. Po całej tej gadaninie o oczach i uszach Gai nie była pewna, jaki zasięg mają zmysły Tetydy. Podejrzewała, że nie obejmowały progów jej komnat, które oddalone były o pięć kilometrów. Teja jednakże z całą pewnością o niczym nie wiedziała. W przeciwnym razie doniosłaby o tym Gai, która oczywiście nie mogła sobie życzyć, by Cirocco poznała okoliczności śmierci Gaby. Gdyby tak było, Robin już dawno by nie żyła.

– Jeszcze nie odpowiedziałaś na moje pytanie – powiedziała Teja. – Niby dlaczego miałabym cię nie zabijać i nie zniszczyć twojego ciała?

– Jestem zdziwiona tym brakiem lojalności – odparła Robin.

– Nie powiedziałam nic nielojalnego.

– Przecież Czarodziejka jest prawą ręką Gai, a ty proponujesz, żeby ją oszukać.

Możemy zostawić na moment to pytanie i zastanowić się nad jego praktycznym aspektem. Czarodziejka, o ile żyje, wie... – Zakasłała, starając się, by wyglądało to na działanie wyziewów. Robin – powiedziała sobie w duchu – ale ty masz niewyparzony język.

– Nawet nie wiesz, czy ona jeszcze żyje? – spytała Teja i Robin odniosła wrażenie, że w pozornie słodkim tonie jej głosu kryje się jakaś groźba.

– Przedtem nie wiedziałam – odparła pośpiesznie. – Ale teraz oczywiście jestem pewna, że ona żyje. Nie rozmawiałybyśmy, gdyby tak nie było, prawda?

– Zgadzam się. Ona żyje. – Na stożkowatym kształcie Tei zaroily się czerwone iskierki. Robin byłaby przerażona, gdyby nie widziała już podobnej demonstracji, kiedy Krios został spostponowany. Teja miała bolesne wspomnienia.

– A więc, jak już mówiłam, Czarodziejka wie, że zesłałam na dół razem z moimi przyjaciółmi. Oni wciąż żyją i nie mają zamiaru ginąć. Prędzej czy później Czarodziejka ich odnajdzie i... – Iskier przybyło. Robin zastanowiła się, co się właściwie przed chwilą stało. Być może weszła niechcący na jakiś śliski temat... W tym momencie ze zdziwieniem uświadomiła sobie, że Cirocco nie zesłała na dół, aby ich poszukać. Istniała możliwość, że leży zalana w trupa na frontowej werandzie Sklepu z Melodiami, ale lepiej było nie myśleć, jakie mogą być tego skutki w obecnej sytuacji. Teja, najwyraźniej wciąż przestraszona groźbą poszukiwań, nie przestawała jej słuchać.

– Czarodziejka będzie ich szukać – powtórzyła. – Kiedy ich znajdzie, oni jej powiedzą, że tędy szłam. Powiesz pewnie, że mogłam się zgubić w tym labiryncie, ale

czy myślisz, że Czarodziejka spocznie, dopóki nie znajdzie mojego ciała? I to ciała z naturalnymi obrażeniami, a nie spalonego kwasem?

Teja znowu pogрузzyła się w milczeniu. Robin wiedziała, że nie ma już nic więcej do powiedzenia. Nie była pewna, czy jej ostatnie pytanie było właściwe. Czy Cirocco rzeczywiście będzie jej szukać? Dlaczego jeszcze tego nie zaczęła? Przecież nie mogła zostawić Gaby w nieszczęściu. Nie posunęła się chyba do czegoś takiego.

Teja rozwiała jej wątpliwości.

– Idź więc – powiedziała. – Odejdź jak najszybciej, zanim nie zmienię zdania.

Przekaż swoją wiadomość Czarodziejce i obyś nigdy więcej nie kusiła licha takim bezczelnym bezczeszczeniem moich komnat. Idź. Odejdź natychmiast.

Robin miała ochotę napomknąć, że nigdy by tu nie przysła, gdyby istniała jakaś inna droga, ale dosyć to dosyć. Poziom kwasu już się podnosił; przestraszyła się, że Teja wymyśli jakiś sposób upozorowania wypadku. Pobieęła po schodach, przeskakując po pięć na raz.

Nie zwolniła nawet wtedy, gdy wydostała się już poza zasięg wzroku Tei. W ogóle już nigdy nie zamierzała zwalniać, ale w końcu jej siły uległy wyczerpaniu, potknęła się i padła na kolana. Leżała na stopniach, ciężko dysząc.

Udało jej się uciec, ale tym razem nie przepełniało jej uniesienie. Poczwała w sobie coś aż nadto znajomego: przemożną chęć płaczu.

Łzy jednak nie popłynęły. Zarzuciła tylko plecak na grzbiet i zaczęła się wspinać.

Wyjście z klatki schodowej Tei było pokryte śniegiem. Robin z początku nie wiedziała, co to jest, więc zachowała pełną ostrożność. Książki twierdziły, że śnieg jest miękki i puszysty, ale ten był ubity i leżał w zaspach.

Zatrzymała się, by nałożyć sweter. Dookoła panowały egipskie ciemności, poznikały

już wszystkie świecące ptaki. Ostatni, którego jeszcze miała, dogorywał w klatce. Kiedy biegła co sił w górę schodów, nie zdążyła schwytać drugiego.

Przede wszystkim należało się wydostać na otwartą przestrzeń. Jeżeli nie będzie chmur, powinna bez trudu wypatrzeć Morze Zmierzchu i w ten sposób ustalić kierunek zachodni. Poza tym niczego nie była pewna. Usiłowała sobie przypomnieć mapę, którą oglądała tak dawno temu. Czy centralny kabel Tei styka się z ziemią na północy czy na południe od Ophiona? Nie była pewna, a to było ważne. Gaby twierdziła, że najlepiej przekroczyć Teję po zamrożonej rzece. Kiedy już zorientuje się w swym położeniu, wyruszy na południe, jednak w przypadku gdy teren zacznie się wznosić, wówczas trzeba będzie zawrócić. Wiedziała przynajmniej tyle, że kabel jest położony bardzo blisko rzeki. Zanim wyszła z lasu porastającego jej brzeg, musiała się zatrzymać i nałożyć wszystkie swoje ubrania.” Nigdy nie wyobrażała sobie takiego zimna. Z niepokojem pomyślała, że może zrobiła błąd pozbywając się ciężkiego futra, które zdołał jej wcisnąć Chris. Wtedy uważała, że nie ma sensu dźwigać przedmiotu, który zabiera prawie połowę przestrzeni w plecaku i nie daje się dobrze złożyć. I tak przez cały czas było jej niewygodnie, pomyślała więc, że dwa swetry, cienka marynarka i reszta ubrań okaże się wystarczająca.

Na szczęście miała wysokie buty. Okazały się całkiem przydatne na najgorszych etapach wspinaczki, ale niestety wcześniej wyjęła z nich futrzaną wyściółkę, bo nadmiernie pociły jej się nogi. Buty tak jak i wszystkie jej pozostałe rzeczy były mocno zniszczone, niemniej jednak jeszcze się nie rozpadły.

Przetarła śniegiem poplamione kwasem czubki, mając nadzieję, że woda rozpuści groźną dla skóry substancję.

Już miała ruszyć w drogę, kiedy przypomniała sobie o jeszcze jednym elemencie

wyposażenia, który niosła bezużytecznie tak długo, a który teraz mógł się okazać użyteczny. Pogrzebała w plecaku i wyciągnęła zeń niewielki termometr. Przyłożyła go do ciała zdychającego ptaka i zmrużyła oczy. To było wprost nie do wiary. Kiedy jednak wstrząsnęła termometrem, nadal wskazywał minus dwadzieścia stopni. Pochuchała i zapatrzyła się na cieniutki srebrny słupek, który najpierw się podniósł, a potem powoli opadł. Kolejny powód do strachu. Zamarznie na śmierć, jeśli nie będzie się ruszać. No, to wynosimy się stąd – powiedziała do siebie, natychmiast wprowadzając zamiar w życie. Przyjemnie byłoby jeszcze trochę odpocząć i choć drzemka na schodach Tei zupełnie nie wchodziła w rachubę, przez chwilę jeszcze rozważała ten pomysł, stojąc po kolana w śniegu. Powinna zejść kawałek w dół, gdzie będzie cieplej, przespać się i ruszyć w drogę z nowymi siłami.

Rozsądek ostatecznie przeważył. Nie wiadomo, czy na tych schodach nie groziło jej coś ze strony Tei.

Spojrzała na umierającego ptaka i zrozumiała, że musi się pospieszyć. Jeśli jak najszybciej nie wyjdzie spod kabla, nie zdoła potem odnaleźć drogi w ciemnościach. Brnęła przed siebie, dowiadując się po drodze wielu nowych rzeczy na temat śniegu i lodu. Lód był znacznie bardziej zdradziecki od kamieni, mimo iż wydawał się taki twardy. A co do śniegu... w życiu nie chciała mieć już nigdy więcej do czynienia z jego puszystą zmiennością. Miejscami wznosił się hałdami ponad jej głowę; wielokrotnie gubiła drogę pomiędzy ogromnymi zaspami.

Na szczęście jednak w tej samej chwili, gdy ptak przestał świecić, dostrzegła szarą łunę. Wyrzuciła klatkę i ruszyła w stronę światła.

To było dziwne móc znowu widzieć na taką odległość. Chmury rozproszyły się.

Powietrze było świeże, wypełnione ukłuciami wiejącego ze stałą prędkością pięciu,

a może dziesięciu kilometrów na godzinę. Wszędzie dokąd docierał, wysysał ciepło z ciała. Po lewej stronie rozciągała się Strefa Mroku. Tam więc musiał być zachód, co oznaczało, że zanim będzie mogła ruszyć na południe, powinna najpierw obejść kabel. O ile nie zawiodła jej pamięć. Rozsądek nakazywał rozważyć wszystko na nowo, przed podjęciem jakichkolwiek działań, bowiem gdyby Ophion opływał jednak kabel od północy, wówczas czekałaby ją powrotna wędrówka tą samą drogą. Miała już dość błędzenia po własnych śladach, a ponadto obecnie należało oszczędzać przemarznięte stopy.

Przypomniała sobie, że nad Teją góruje pasmo urwistych wzgórz, łączących północny płaskowyż z południowym. Ophion, który płynął przez środek tego obszaru, rozwidlał się gdzieś na środku Tei. Centralny kabel brał swój początek w pobliżu miejsca, w którym obydwie odnogi łączyły się na powrót w jedno koryto. Większa część południowej odnogi przepływała pod jednym z lodowców pokrywających prawie całą Teję i raczej trudno ją było znaleźć. Jednakże północna odnoga nie była skuta lodem. Czasami, przez krótki odcinek trzydziestoletniego okresu klimatycznego Tei, zamarzała, a wtedy do wąskiej doliny pośrodku Tei na moment zaglądała chłodna wiosna. Choć pora ta nie przypadała właśnie teraz, Robin nie przewidywała trudności w odnalezieniu koryta nawet zamarzniętej rzeki. Wiedziała, że musi się ono znajdować gdzieś na stosunkowo płaskim dnie szerokiej doliny.

Po głębszym zastanowieniu stwierdziła, że chyba coś źle zapamiętała. Rozciągający się przed nią teren cały czas opadał lekko w dół. Było co prawda zbyt ciemno, by stwierdzić z całą pewnością, czy osiągnęła już koryto rzeki, postanowiła jednak przyjąć takie założenie. Dlaczego miałaby myśleć inaczej? Dawało jej to szansę, że nie będzie musiała okrążyć kabla. Zaczęła iść w stronę północy.

Po upływie pół kilometra marszu zerwał się wiatr. Nawiewał śnieg ze szczytów wysokich zasp, klując ją w policzki.

Ponownie zatrzymała się, poprawiła ubranie, dokładniej opatulając się kocem i owijając kaptur szczelnie wokół głowy, tak by osłonić przed wiatrem wszystko z wyjątkiem oczu.

Usiadła na chwilę i wtedy coś do niej podeszło. Niewyraźnie, poprzez tumany śniegu dostrzegła białe stworzenie wielkości niedźwiedzia polarnego, obdarzone potężnymi łapami i paszczą pełną zębów. Usiadło, zapatrzyło się na nią, a potem postanowiło podejść bliżej. Prawdopodobnie chciało się tylko przywitać, ale Robin nie mogła ryzykować. Zwierzę zareagowało obojętnie na pierwszą kulę – znieruchomiało tylko, oglądając obojętnie plamę czerwieni rozlewającą się po jego futrze. Kiedy powtórnie ruszyło w jej stronę, opróżniła cały magazynek. Stworzenie złożyło się jak czysty biały obrus i już więcej nie drgnęło. Drżącymi dłońmi z trudem ładowała ostatni magazynek, przeklinając bezgłośnie i chuchając na palce. Kiedy skończyła, zwierzę wciąż pozostawało nieruchome, mimo to nie odważyła się do niego zbliżyć. Obeszła je szerokim łukiem i mozolnie podjęła dalszą wędrówkę.

Przypuszczalnie dobrze się stało, że nie myślała o tym, co zrobi, kiedy już dotrze do rzeki, bo w przeciwnym razie chyba do tej pory siedziałaby skulona pod kablem. Gdy jednak tak stała, pośrodku szerokiej, płaskiej i wietrznej równiny, która musiała być zamrożonym Ophionem, przyszło jej na myśl, że niestety, zawsze trzeba wszystko planować z wyprzedzeniem. Popatrzyła na wschód, potem na zachód. Każdy kierunek wydawał się jednakowo odstręczający. Znajdowała się w samym centrum martwej Tei i w którą by stronę nie poszła, od dziennego światła dzieliło ją dwieście kilometrów. Na wschodzie leżała Metis, kraina, zdaniem Cirocco, pozornie tylko miła i kusząca.

Metis była wrogiem Gai, choć nie tak niebezpiecznym jak Tetyda. Z kolei na zachodzie czekała oczywiście Tetyda. A także pustynia. Przez chwilę, w tym miejscu, myśl o niej nie była nawet taka straszna. Robin przypominała sobie jednak rozpalone piaski, widma pod tymi piaskami i skręciła na wschód. Właściwie i tak nie miała większego wyboru, ale podczas trwania tej chwili pozornego namysłu, mogła postać kilka minut nieruchomo i zapomnieć na moment o swoich stopach.

Cały koszmar polegał na tym, że jej ciało jednocześnie trawił ogień i lód. Nie czuła palców u nóg, za to plecy i ręce spływały potem. Wysiłek powodował, iż nie traciła ciepła – wręcz przeciwnie – ale wiatr był zupełnie zabójczy. Ponieważ jednak w żaden sposób nie mogła sobie pomóc, więc po prostu szła dalej.

Kilka godzin później potknęła się i gwałtownie poderwała głowę. Wówczas zrozumiała, że omal nie zasnęła w marszu. Musiała coś ze sobą zrobić. Napatrzyła się już dosyć na to narkotyzujące, beztroskie uniesienie, tak powszechnie spotykane u ludzi, którzy próbowali żyć na Gai bez zegarka, by wiedzieć, że teraz sama popadła w ten stan. Nie miała pojęcia, kiedy ostatni raz spała, prawdopodobnie przed jakimiś dwoma lub trzema dniami. Wykończyło ją już samo dojście do Tei, a przecież od tamtego czasu wciąż nadwyreżała siły. Wiedziała, że jest w stanie zasnąć na stojąco, bo już kilka razy jej się to zdarzyło podczas wędrówki przez jaskinię. Musiała jak najszybciej znaleźć jakieś miejsce, gdzie mogłaby się przespać.

Jednak nie było żadnego takiego miejsca. Z trudem zmusiła swój umysł do pracy i nagle przypominała sobie, że słyszała kiedyś opowieści o zagrzebywaniu się w śniegu. Pomysł ten wydawał się mało sensowny, ale spanie na wietrze było jeszcze większym szaleństwem.

Na skraju zamarzniętej rzeki znalazła miejsce, w którym śnieg tworzył

ośmiometrową zaspę. Podeszła od strony zawietrznej i zaczęła kopać. Śnieg był twardy, jego powierzchnia tworzyła twardą skorupę, ale po chwili było już łatwiej. Ryla obiema rękami gorączkowo drążąc jamę, dostatecznie dużą, by pomieściła jej ciało. Osiągnąwszy cel, wpełzła do środka, a potem obsypała wejście śniegiem, zwinęła się w ciasny kłębek i natychmiast zasnęła.

Myślała kiedyś, że „szczekanie zębami” to tylko metafora i to niezbyt dobra, podobnie jak drżenie kolan ze strachu.

Po chwili zorientowała się, że kolana drżą jej również. Dreszcze targały całym jej ciałem i nie potrafiła nad nimi zapanować. Dostała ataku kaszlu, podczas którego wypłuła mnóstwo jakiejś wilgotnej substancji. Była przemoczona do suchej nitki i płonęła z gorączki. Wiedziała, że umrze.

Ta myśl zmusiła ją do wygramolenia się ze śnieżnej nory. Stała chwiejnie nad brzegiem rzeki. Znowu zaczęła kasłać i nie mogła przestać, dopóki nie wypłuła całej gorzkiej zawartości prawie pustego żołądka. Ze zdziwieniem zauważyła, że klęczy. Jeszcze bardziej się zdziwiła, gdy odruchowo zaczęła iść po lodzie. Obejrzawszy się, nie dostrzegła już miejsca, w którym spała. Prawdopodobnie szła już od dłuższego czasu, nie zdając sobie z tego sprawy.

Wszystko dookoła na przemian znikało i pojawiało się. Wszystko wyglądało tak, jakby patrzyła przez długą rurę. W pewnej chwili krawędzie otaczających ją kształtów poczerwieniały i nagle upadła. Podniosła się chwiejnie i popatrzyła na komiczny odcisk swego ciała w śniegu: przypominał kształtem ludzika z ciasta wyciętego specjalną foremką. Takie ludziki nazywano śnieżnymi aniołami, ale nie miała pojęcia, skąd właściwie to wie.

Czasami szli obok niej jacyś ludzie. Odbyła długą rozmowę z Gaby i dopiero później

przypomniała sobie, że przecież Gaby nie żyje. Strzeliła do czegoś, co mogło być kolejnym śnieżnym monstrum albo tylko tumanem śniegu niesionym przez wiatr. Broń była potem cudownie ciepła przez kilka chwil i już miała wystrzelić ponownie, kiedy zauważyła, że celuje we własny brzuch. Chowając pistolet do kieszeni, zdarła sobie płat skóry, która zdążyła przymarznąć do metalowej kolby. Razem z nią odpadł ogon jednego z wytatuowanych węży. Jakby tego nie było dość, rzęsy jednego oka skleiły się z sobą i zamarzły. Odtąd była na pół ślepa.

To migoczące światło, które w pewnym momencie dostrzegła, z początku ją irytowało. Jego obecność nie dawała się wyjaśnić. Nie miała ochoty oglądać żadnych zjawisk paranormalnych, jak duch Gaby czy miraże z udziałem Chrisa i Valihy, a była pewna, że to światło jest właśnie czymś takim. Gdyby podeszła bliżej, znalazłaby pewnie osiodłaną Obój, gotową pogalopować razem.

Po chwili zastanowienia pomyślała: dlaczego nie? Jeśli miała umrzeć, to lepiej w towarzystwie przyjaciółki. Co z tego, że tytania już nie żyła. Robin nie była przesądna. Uśmiełyby się zdrowo, Obój musiałyby przyznać, że życie po śmierci naprawdę istnieje, a ona i jej rasa zupełnie się mylą w tym względzie. Robin roześmiała się i ruszyła w stronę niskiego wzniesienia, na szczycie którego płonęło światło.

Dotarła tam całkiem przytomna, świadoma, że to może być tylko przedśmiertna wizja. Z trudem walczyła o zachowanie resztek świadomości. Światło było na pewno prawdziwe i choć nie miała pojęcia, jakie jest jego źródło, zdawała sobie sprawę, że jeśli to nie jest jej wybawienie, to nie będzie już miała następnej szansy.

Coraz gorzej widziała. Tylko przypadek, dzięki któremu wpadła na wspornik, spowodował, że wreszcie przestała się błąkać. Usłyszała metaliczny pogłos, oszołomiona zachwiała się raz jeszcze i zadarłszy głowę, z trudem wyteżyła wzrok. To właśnie tam,

w górze, kilkunastosekundowym rytmem rozbłyskiwało czerwone światło. Wyteżyła wzrok, by ogarnąć kształt budynku. Miał około dziesięciu metrów wysokości, stał na czterech wspornikach, połączonych ze sobą metalowymi przęsłami i wyglądał jak wieża strażacka. Wchodziło się do niego po drewnianej drabinie.

Nagle coś przykuło jej wzrok. Na wysokości wzroku, obok drabiny wisiała niewielka tabliczka. Starła śnieg i przeczytała:

PRZEDSIĘBIORSTWO BUDOWLANE „PLAUGET”

SCHRONISKO NUMER JEDENAŚCIE

„WITAJCIE PODRÓŻNI!”

Gaby Plauget, właśc.

Robin zamrugała, przeczytała napis kilka razy, żeby sprawdzić, czy nie zniknie tak, jak duch Gaby. Nie zniknął. Oblizwała wargi i wyciągnęła na oślep rękę, usiłując uchwycić drewniany szczebel. Dłonie odmówiły jej posłuszeństwa. To było bardzo rozsądnie ze strony Gaby zbudować drabinę z drewna, pomyślała, przypomniawszy sobie potworny chłód kolby pistoletu.

Przewiesiła ręce przez szczebel i podciągnęła się do góry. Musiała spojrzeć w dół, by sprawdzić, czy jej nogi mają oparcie, gdyż całkowicie straciła w nich czucie. Trzy stopnie i odpoczynek, potem pięć i znowu odpoczynek, kolejne trzy i jeszcze dwa. Potem już ani jednego. Już nie miała siły wspinać się dalej. Spojrzała w dół i stwierdziła, że jest już prawie w połowie drogi, więc pewnie straciła przytomność i pogubiła się w obliczeniach. Spojrzała w górę i zrozumiała, że równie dobrze mógłby to być Mont Everest.

Tak blisko.

Ponad nią otwarły się drzwi. Zza wąskiego progu wychyliła się czyjaś twarz. Miała

nadzieję, że to Cirocco, bo w to mogłaby uwierzyć. Czarodziejka miała powód, żeby przybyć do Tei – dobry, poważny, logiczny powód. Każda inna osoba to miraż, zjawą.
– Robin? To ty?

Poczuła zapach kawy i jakiejś potrawy gotującej się na kuchence. Zbyt dobre, by mogło być prawdziwe. Nie, to nie Cirocco. Zabawne, ale nie było już sensu się upewniać, bo rozpoznała tę twarz. To była Trini, jej kochanka sprzed miliona lat w Titantown.

W tym momencie pojęła, że to wszystko jej się tylko śni.

Rozwarła uchwyt i spadła w głęboką śnieżną zaspę.

39. Posterunek

Pieniądze Cirocco gromadziły się na Ziemi już od ponad siedemdziesięciu pięciu lat. Tantiemy z prac naukowych, przewodników po Gai i autobiografii „Wybrałam przygodę” (tytuł pochodził od wydawcy), która stała się bestsellerem, potem tematem dwóch filmów i serialu telewizyjnego. Oprócz tego miała udziały w handlu kokainą, który okazał się całkiem lukratywny. Do tego dochodziła jeszcze pensja z NASA, którą wypłacano przez cały czas trwania wyprawy „Ringmastera”, aż do czasu jej rezygnacji. Zatrudniła brazylijskiego prawnika oraz szwajcarskiego doradcę do spraw inwestycji i dała im dwie instrukcje: chronić ją przed inflacją i nie dopuszczać do konfiskaty aktywów przez rządy komunistyczne. Dała do zrozumienia, że chce, aby jej pieniądze inwestowano w firmach trudniących się wyprawami w kosmos i że nie życzy sobie, by je wykorzystywano w sposób sprzeczny z interesami Stanów Zjednoczonych. Prawniki zasugerował, że ten ostatni wymóg jest przestarzały i trudno go sprecyzować, więc odpisała, że na Ziemi jest mnóstwo prawników. Zrozumiał i odtąd pracowali dla niej jego potomkowie.

Potem zapomniała o tych pieniądzach. Raz do roku dostawała sprawozdanie, które otwierała, by zerknąć na ostatni wiersz, a potem wyrzucić do kosza. Jej fortuna przetrwała dwie depresje, które wymiotły z rynku całe rzesze drobniejszych inwestorów. Jej agenci wiedzieli, że dba jedynie o długie terminy i nie przejmuje się chwilowymi stratami. Zdarzały się złe lata, ale ogólna tendencja była rosnąca.

Wszystko to stanowiło nic nie znaczącą abstrakcję. Co mógł ją obchodzić fakt, że jest posiadaczką X kilogramów złota, Y procent udziałów korporacji Y Prime i Z niemieckich marek w znaczkach pocztowych oraz dziełach sztuki? Jeśli sprawozdanie przychodziło na czas, mogła się pośmiać nad wykazami aktywów, rozciągającymi się od

mercedesów po merynosy, od Pollocków po pola uprawne. Raz tylko wysłała list, kiedy przypadkiem odkryła, że jest właścicielką Empire State Building, przeznaczonego wówczas do rozbiórki. Kazała go odrestaurować, pakując w ciągu następnych dwóch lat miliony w to przedsięwzięcie. Potem całość wkładów się zwróciła, a jej agenci niewątpliwie uznali ją za geniusza finansowego. Jednak prawdziwą przyczyną tej operacji było wspomnienie z dzieciństwa, gdy matka zabrała ją na samą górę, w dniu kiedy skończyła siedem lat – najpiękniejsze wspomnienie o matce.

Od czasu do czasu zastanawiała się, czy nie scedować swojej fortuny na kogoś lub na coś, ale była tak oderwana od ziemskich problemów, że nie miała pojęcia, czy warto. Często ona i Gaby śmiały się, że wybiorą jakieś nazwisko z książki telefonicznej i ofiarują wszystko jednej osobie albo przekażą cały majątek na domy dla niezamężnych złotych rybek.

Teraz jednak okazało się, że pieniądze czasami się na coś przydają.

Trini dostrzegła światła lądowania, kiedy samolot był jeszcze dość daleko. Znacznie później usłyszała przenikliwe wycie małego silnika odrzutowego. Nie była pewna, czy to jej się podoba. Sprzęt Cirocco jeszcze nie został dostarczony, kiedy Trini obejmowała posterunek w Schronisku Jedenastym. Przybyła na Gaję między innymi po to, by uciec przed presją zmechanizowanej cywilizacji. Jak większość ludzi na Gai żywiła głębokie uprzedzenie wobec wszelkich, nawet najprostszych urządzeń technicznych. Rozumiała jednak motywy postępowania Czarodziejki. Cirocco wypowiedziała bombom wojnę na śmierć i życie i Trini nie wątpiła, że wkrótce zmiecie je z powierzchni nieba.

Samolot pokonywał ostatnie metry przed lądowaniem, a odrzut jego silników wzniecał tumany na ziemi. Zamarznięty Ophion, pokryty pagórkami nawianego śniegu, w niczym nie przypominał przyzwoitego lotniska, jednakże mały samolot potrzebował do

wylądowania pasa długości zaledwie trzydziestu metrów. Niska grawitacja wraz z gęstą atmosferą Gai dawały dużą siłę nośną, toteż maszyna dzięki swym przezroczystym skrzydłom z plastikowej błony była zwinna jak motyl. Kiedy śnieg opadł, Trini dostrzegła osadzone na skrzydłach jakieś ciemne kształty i domyśliła się, że muszą być to lasery albo karabiny maszynowe. Sześciuosobowy odrzutowiec przystosowano do walki powietrznej.

Cirocco wygramoliła się z siedzenia pilota; z drugiej strony wysiadł jakiś mężczyzna równy jej wzrostem.

Trini podeszła do kuchenki i odkręciła palnik gazowy pod imbrykiem z kawą. Sama zgłosiła się do tej służby – choć ani ona, ani inni ludzie na Gai nie byli zobowiązani do posłuszeństwa względem Czarodziejki – kiedy usłyszała, że Cirocco szuka pomocników w misji mającej na celu odszukanie Robin. Trini nie potrafiła zapomnieć Robin, zresztą uważała, że bardziej nadaje się do czekania w schronisku, niż do schodzenia po schodach na spotkanie z Teją. Przywieziono ją tutaj wraz z pakami żywności, koców, lekarstw i butli z gazem z zadaniem przystosowania dawno porzuconej stacji do zamieszkania na wypadek, gdyby w tej okolicy pojawiły się zaginione osoby. Cirocco pomogła jej uruchomić radiolatarnię, ale poza tym nie miała zbyt wiele do roboty. Budynek nadal był mocny i dobrze chronił przed wiatrem. Najczęściej siadywała z książką przy oknie, ale tamtego dnia akurat robiła coś innego, kiedy poczuła, że wieża lekko się trzęsie i usłyszała, jak ktoś wchodzi po drabinie.

Teraz wieża ponownie drżała, bowiem po drabinie wspinała się Cirocco wraz z tym drugim człowiekiem. Trini otworzyła im drzwi. Cirocco natychmiast podeszła do Robin, która spała przykryta wielką stertą koców. Ukłękła przy niej i dotknęła jej czoła, po czym odwróciła się z wyrazem niepokoju na twarzy.

– Jest strasznie rozpalona.

– Wypiła trochę bulionu – powiedziała Trini, żałując, że nic więcej nie może dodać.

Trini, jak zresztą pewnie każdy, kto mieszkał jakiś czas w Titantown, znała pasażera

Cirocco. Był to Larry O'Hara, jedyny człowiek, który pracował jako lekarz na Gai.

Nikogo nie obchodziło, że jest tutaj dlatego, bo na Ziemi zabroniono mu wykonywać

zawód i nikt nie pytał, dlaczego tak się stało. Prawdopodobnie niezbyt się znał na

operacjach na otwartym sercu, ale potrafił nastawić kość lub opatrzyć oparzenie i nie brał

za to zapłaty. Nosił przy sobie prawdziwą lekarską torbę, w której nie było ani grama

sprzętu elektronicznego. Postawił ją na podłodze i zdjął swój futrzany płaszcz. Teraz

dopiero można było ocenić rozmiary jego sylwetki. Z czarną brodą i ogorzałą twarzą

bardziej przypominał drwala niż chirurga. Cirocco odsunęła się, a O'Hara zaczął badać

Robin. Zabrało mu to dosyć dużo czasu.

– Może utracić palce u nóg – oznajmił w pewnym momencie.

– Nonsens – powiedziała Cirocco.

Trini taka pewność wydała się śmieszna. Dopiero teraz spojrzała po raz pierwszy na

Czarodziejkę i ze zdumieniem spostrzegła, że Cirocco ma na sobie to, co nosiła zawsze,

odkąd Trini ją znała: meksykański koc koloru spłowiałej ceglastej czerwieni z wyciętym

pośrodku otworem na głowę. Sięgające do kolan ponczo było dość bezkształtne

i skromnie zakrywało kolana, kiedy Czarodziejka stała nieruchomo. Gdy się jednak

poruszyła, natychmiast odsłoniło jej bosc stopy, oblepione gwałtownie topniejącym

śniegiem.

Czym ona jest? – zastanowiła się Trini. Od dawna wiedziała, że Cirocco jest

odmienna, ale zakładała, że wciąż pozostaje człowiekiem. Teraz nie była tego już taka

pewna. Być może była czymś więcej, niemniej różnice, poza jedną, nie rzucały się

w oczy. Wszyscy ciemnoskórzy żyjący na Gai byli tacy od urodzenia. Gaby i Cirocco natomiast zawsze wyglądały na świeżo opalone.

Larry skończył wreszcie badać Robin i odebrał z rąk Trini kubek z kawą.

Podziękował uśmiechem, usiadł i objął zziębniętymi dłońmi ciepłe naczynie.

– No i jak? – spytała Cirocco.

– Wolałbym ją stąd zabrać – powiedział – ale sądzę, że nie powinniśmy jej ruszać.

W Titantown najprawdopodobniej nie mógłbym zdziałać wiele więcej. Odmroziła ciało w kilku miejscach i ma zapalenie płuc. Ale to jednak młoda i silna kobieta, a to lekarstwo tytanii, które jej dałem, jest piekielnie skuteczne, więc przy odpowiedniej opiece powinna wyzdrowieć.

– Zostanie pan z nią tutaj – oznajmiła Cirocco. Larry pokręcił głową.

– Niemożliwe. Mam pacjentów w Titantown. Ty możesz się nią zająć albo Trini.

– Powiedziałam... – Cirocco przerwała z wysiłkiem, który uwidocznił się na jej twarzy. Odwróciła się na moment. Mina Larry'ego odzwierciedlała wyłącznie życzliwe zainteresowanie. Trini wiedziała, że absolutnie nie da się go przekonać. Nigdy nie ustępował, kiedy już raz sobie coś postanowił. Zakres jego obowiązków nie podlegał dyskusji. Niezależnie od tego, co kryło się w jego ziemskiej przeszłości, na Gai traktował swoją przysięgę lekarską niezwykle poważnie.

– Przepraszam za ten ostry ton – powiedziała Cirocco..– Jak długo może pan zostać?

– Całe dwadzieścia obrotów, jeśli zajdzie potrzeba – zapewnił ją Larry. – Ale naprawdę wystarczy mi dziesięć albo piętnaście minut, żeby wam powiedzieć, jak z nią postępować. Terapia jest stara jak świat.

– Przed chwilą coś powiedziała – zauważyła Trini.

Cirocco odwróciła się natychmiast w jej stronę i przez moment Trini myślała, że

Czarodziejka schwyci ją za ramiona i wytrząśnie z niej odpowiedź. Powstrzymała się jednak, wpijając się w nią wzrokiem.

– Czy powiedziała coś o pozostałych? O Gaby? Chrisie? Tytanii?

– Nie była zbyt przytomna – odparła Trini. – Chyba rozmawiała z Teją. Bała się czegoś i nie chciała, by Teja o tym wiedziała. Nie było to zbyt zrozumiałe.

– Teja – wyszeptwała Cirocco. – Mój Boże, jak ona przeszła przez Teję?

– Myślałam, że się tego spodziewałaś – powiedziała Trini. – Bo w takim razie, dlaczego mnie tu zostawiono?

– Obsadziłam wszystkie posterunki – powiedziała roztargnionym głosem Cirocco. –

Ty tu byłaś tylko na wszelki wypadek. Nie rozumiem, jak ona znalazła drogę, a jeszcze mniej, jak przeszła... – Zmarszczyła brwi i utkwiała oczy w Trini. – Nie chciałam, żeby to tak zabrzmiało, mam nadzieję, że...

– Nie ma sprawy. Cieszę się, że tu byłam.

Twarz Cirocco złagodniała i wreszcie zagościł na niej uśmiech.

– Ja też. Wiem, że siedziałaś tu bardzo długo i doceniam to. Dopilnuję, żebyś...

– Niczego nie chcę – przerwała jej pospiesznie Trini. Wzrok Czarodziejki znowu przewiercił ją na wylot.

– W porządku. Ale i tak ci tego nie zapomnę. Doktorze, czy możemy już ją obudzić?

– Mów mi Larry. Niech lepiej teraz odpoczywa. Obudzi się w swoim czasie, ale nie obiecuję, że będzie mówiła do rzeczy. Ma wysoką gorączkę.

– Muszę z nią porozmawiać, to bardzo ważne. Pozostali mogą mieć kłopoty.

– Rozumiem. Dajmy jej jeszcze kilka godzin i potem zobaczymy, co da się zrobić.

Cirocco z trudem znosiła oczekiwanie. Co prawda nie chodziła w kółko ani też nie gadała bez przerwy, właściwie nic nie mówiła i nie wstawiała z krzesła. Jednakże jej

zniecierpliwienie zalewało cały pokój, wywołując w Trini ciągły stan napięcia. Larry natomiast znosił to wyjątkowo spokojnie. Pochłonęła go całkowicie jedna z książek Trini.

Trini zawsze lubiła gotować, a w schronisku było mnóstwo produktów, których nie miała okazji zużytkować. Robin była w stanie przełknąć zaledwie odrobinę bulionu.

Teraz, żeby zabić czas, smażyła jajka na bekonie i naleśniki. Larry przyjął posiłek z wdzięcznością, Cirocco odmówiła gestem dłoni.

– Teja! – wykrzyknęła w którymś momencie, sprawiając, że Trini i Larry podnieśli głowy. – O czym ja mówię! Teja? Jak oni do diabła przeszli przez Tetydę?

Czekali, aż powie coś więcej, ale na tym skończyła. Larry na powrót zagłębił się w lekturze, a Trini po raz siedemnasty zrobiła porządki. Robin cicho spała na łóżku.

Kiedy Robin jęknęła, Cirocco natychmiast podbiegła do jej łóżka, a Larry stanął za nią. Trini kręciła się w pobliżu i musiała się szybko wycofać, kiedy Larry chciał zbadać puls chorej.

Robin otworzyła oczy. Gdy lekarz ujął jej rękę, usiłowała się wyrwać i zamrugowała oczami. Larry’emu jakoś udało się ją uspokoić. Spojrzała na niego, a potem na Cirocco.

Nie widziała Trini skrytej w cieniu.

– Śniło mi się, że ja... – zaczęła, a później potrząsnęła głową.

– Jak się czujesz, Robin? – spytała Cirocco.

Robin potoczyła błędnym wzrokiem.

– Gdzie byłaś? – spytała rozdrażnionym tonem.

– To dobre pytanie. Czy dasz radę wysłuchać odpowiedzi? Dzięki temu sama nie będziesz musiała na razie nic mówić.

Robin skinęła głową.

– Okay. Na początku odesłałam Piszczalę do Titanown, aby sprowadził grupę tytanii do odgruzowania wejścia na schody. Pewnie pamiętasz, że było zupełnie zatarasowane.

Robin ponownie przytaknęła.

– Ściągnięcie tam kogokolwiek i oczyszczenie trwało dłużej niż się spodziewałam.

Tytanie chętnie pracowały, ale pod kablem zachowywały się dziwnie. Błąkały się nie wiadomo gdzie, a gdy się je znalazło, nie pamiętały, co się stało. Musiałam więc wynająć kilku ludzi, przez co zmarnowałam jeszcze więcej czasu.

– Ale w końcu wejście zostało oczyszczone i zeszłam razem z siedmiorgiem ludzi do Tetydy. Nigdy przedtem nie widziałam, by komnata była zalana do takiego poziomu.

Tetyda nie chciała ze mną rozmawiać i nie mogłam nic na to poradzić, bo nawet Gaja nie ma na nią wpływu.

– Więc przeniosłam się tutaj. Byłam pewna, że wszyscy zginęliście, ale musiałam najpierw zobaczyć wasze ciała, żeby się o tym przekonać, choćbym nie wiem jak długo miała ich szukać. Gdyby Tetyda was zabiła, to... nie wiem, co bym zrobiła, ale coś bym jej zrobiła takiego, żeby na zawsze popamiętała. W każdym razie istniał cień szansy, że jakoś przeszliście przez nią i dotarliście do katakumb.

– Zrobiliśmy to. A Valiha...

– Jeszcze nie mów nic. Oszczędzaj siły. Gaby i ja byłyśmy jedynymi ludźmi, którzy kiedyś zeszli na dół, stąd też wiedziałam co nieco o katakumbach. Nie było tego wiele, zdawałam sobie tylko z tego sprawę, że ciągną się w nieskończoność i trudno w nich znaleźć drogę. Poszłam więc zobaczyć się z Teją i kazałam jej was przepuścić bez żadnych przeszkód. Potem usiłowałam spenetrować wschodni kraniec katakumb, ale poddałam się po kilku tygodniach. Postanowiłam więc, że zaryzykuję i wyjdę na

zewnątrz, żeby zorganizować odpowiednio wyposażoną grupę, która zbada tam każdą piędź ziemi. W tym celu musiałam sprowadzić mnóstwo rzeczy z Ziemi. Zrozum, naprawdę nie sądziłam, że któremuś z was się uda i...

– Rozumiem – powiedziała Robin i pociągnęła nosem.

– Ale Teja... O cholera. Myślałam... myślałam, że przejście przez nią zawdzięczam samej sobie. A ona bawiła się ze mną.

– Najwyraźniej zbierało jej się na płacz, ale była na to zbyt słaba.

Ciocco ujęła ją za rękę.

– Wybacz mi – powiedziała. – Źle mnie zrozumiałaś. Nie byłam pewna, czy Teja usłucha tego rozkazu pod moją nieobecność. Ona ma obsesję na punkcie swojej prywatności. Bałam się, że jeśli któreś z was naprawdę się tam pokaże, to ona go zabije, zniszczy ciało i zrzuci winę na Tetydę. Wiedziała, że ja jestem przekonana, że to już się zdarzyło i że nic więcej nie będę robić, chyba że zachce mi się obozować na jej progu przez kilka miesięcy. Może trzeba tak było zrobić, bo...

– W porządku – powiedziała Robin. Uśmiechnęła się słabo. – Poradziłam sobie.

– To prawda i któregoś dnia chętnie się dowiem, jak tego dokonałaś. W każdym razie zrobiłam, co mogłam, chociaż teraz cholernie żałuję, że nie zrobiłam więcej. Miałam zamiar za trzy czy cztery dni zejść do Tei, a wtedy dostałam wiadomość od Trini, że zapukałaś do jej drzwi. Przyleciałam najszybciej, jak mogłam.

Robin zamknęła oczy i pokiwała głową.

– W każdym razie – powiedziała Ciocco po chwili przerwy – Jest mnóstwo rzeczy, które chciałabym wiedzieć i jeśli czujesz się na siłach, zapytam cię o nie teraz. Przede wszystkim dlaczego Gaby sprowadziła was na dół do Tetydy. Nawet jeśli nie zawsze się zgadzamy, zna mnie doskonale, więc powinna była wiedzieć, że znajdę sposób na

odwalenie tych kamieni i przybędę wam na ratunek. Zupełnie nie rozumiałam, dlaczego nie pojawiła się razem z tobą, a teraz myślę, że prawdopodobnie jest ranna i nie mogła...

– Zawiesiła głos.

Robin otworzyła oczy; malujący się w nich przestraszony był tak wymowny, że Trini natychmiast zrozumiała, co się stało. Odwróciła wzrok.

– Myślałam, że kiedy odwaliłaś te skały... – Zapłakała Robin.

Trini spojrzała ponownie na obydwie kobiety: Cirocco jakby zupełnie skamieniała.

Poruszyła wreszcie wargami, ale jej głos był martwy.

– Nic nie znaleźliśmy – powiedziała.

– Nie wiem, co powiedzieć. Zostawiliśmy ją tam. Chcieliśmy ją pogrzebać, ale po prostu nie było... – Zalała się łzami, a Cirocco wstała. Kiedy się odwróciła w jej wzroku była pustka i Trini zrozumiała, że już nigdy nie zapomni wyrazu tych nic nie widzących martwych oczu. Czarodziejka Gai podeszła do drzwi i odsunęła zasuwę. Słyszeli, jak schodzi w dół po drabinie; potem nie było już nic słyszeć prócz płaczu Robin.

Gdy zaniepokojeni wyjrzeliby przez okno, okazało się, że stoi plecami do nich, w odległości stu metrów, po kolana w śniegu. Nie ruszała się stamtąd przez godzinę.

Trini już chciała wyjść i ją przyprowadzić, ale Larry zasugerował, żeby dać jej więcej czasu. Potem Robin powiedziała, że musi z nią jeszcze porozmawiać, więc zszedł na dół.

Trini patrzyła, jak do niej przemawia. Cirocco nie odwróciła głowy, ale kiedy położył rękę na jej ramieniu, posłusznie poszła za nim.

Wróciła do wieży i uklękła przy łóżku Robin. Jej twarz wciąż była tak samo pusta jak przedtem.

– Gaby powiedziała nam coś – zaczęła Robin. – Bardzo przepraszam, ale sądzę, że jest to wiadomość przeznaczona wyłącznie dla ciebie.

– Larry, Trini – powiedziała Cirocco – czy moglibyście poczekać w samolocie?

Zapalę tu światła, gdy będziecie mogli już wrócić.

Obydwie trwały w bezruchu, podczas gdy oni ubierali się i wychodzili, cicho zamknawszy drzwi. Spędzili w samolocie niezbyt przyjemną godzinę, osłonięci przed wiatrem, ale i tak potwornie zmarzli. Żadne z nich się nie skarżyło. Kiedy zabłyśły światła, wrócili i Trini dopiero po chwili zauważyła zmianę, jaka zaszła w Cirocco.

Widok jej zmartwiałej twarzy wciąż przejmował bólem. Nie były to jednak zeszywniałe rysy martwego człowieka, wyglądały raczej jak wyrzeźbione z granitu. Jej oczy płonęły.

40. Dumne dziedzictwo

Istniały łatwiejsze rzeczy niż przepędzanie ciężarnej, okulałej tytanii przez ciemne przestrzenie, które przeraziły by nawet górską kozicę. Z drugiej jednak strony Chris był w stanie wyobrazić sobie większe trudności i okropieństwa. Pewną pociechę stanowiło towarzystwo, a także fakt, że szlak, którym się posuwali, został już oznakowany.

Przyzwyczał się już do sytuacji i nieomal wydawało mu się, że trwa to tak od zawsze. Valiha miała coraz silniejsze ręce, ale nie szli szybciej, bo przybierała na wadze. Musieli uważać bardziej niż dotychczas, ponieważ z powodu swej ociążałości mogła się poślizgnąć i urazić wciąż wrażliwe przednie nogi. Im bliższy był termin porodu, tym rzadziej sobie pozwalali na rozkosze zadniego seksu, aż w końcu zupełnie ich zaniechali.

Natomiast coraz lepiej uprawiało im się seks od przodu, odkąd jej nogi się zrosły. Chris gubił stopniowo podniecające, egzotyczne poczucie obcości, które czuł przedtem.

Czasem wręcz się zastanawiał, co w jej wyglądzie dziwiło go poprzednio. Wraz z przyzwyczajaniem pojawiła się akceptacja, mocno ich do siebie zbliżając.

Valiha puchła jak dojrzewająca dynia. Coraz bardziej piękniała, a na jej skórze, nie wiedzieć czemu, pojawiały się nowe brązowe cętki.

Powodów do zdziwienia było jeszcze parę. Chris był z początku zupełnym ignorantem w kwestii tytanijskich porodów, ale tuż przed narodzinami Serpenta wiedział o nich tyle samo, co Valiha. Jego poprzednie spekulacje okazały się bezpodstawne, wprowadzały tylko zamęt.

Dowiedział się na przykład, że Valiha całkiem słusznie mówiła o swoim dziecku „on”. Płeć została zaplanowana przez pozostałą dwójkę rodziców. Wiedział – choć wciąż nie bardzo w to wierzył – że Valiha porozumiewa się z płodem, ale nigdy nie potrafiła zadowalająco opisać, jak to właściwie robi. Twierdziła, że razem z dzieckiem wymyśliła

jego imię, choć niestety z powodu okoliczności ich wybór był ograniczony. Tradycja przewidywała, że nowonarodzonej tytanii dawano imię od nazwy pierwszego otrzymanego przez nią instrumentu. Obyczaj ten przestał już obowiązywać, ale Valiha była konserwatystką i dość długo pracowała nad pierwszym instrumentem dla swego syna. W jaskini miała niewiele materiałów do wyboru, więc wyrzeźbiła serpenta – krętą tubę z drewna, na której grało się jak na rogu.

Dowiedział się, że poród nie będzie bolesny i długi, a Serpent zaraz po urodzeniu będzie umiał biegać i mówić. Kiedy jednak Valiha wyraziła nadzieję, że dziecko będzie mówiło po angielsku, Chris z początku myślał, że żartuje. Nie powiedział tego wprost, ale wyraził swoje wątpliwości.

– Wiem – powiedziała Valiha. – Czarodziejka też w to wątpi. Nie po raz pierwszy została podjęta próba urodzenia dziecka, które z mlekiem matki wysie dwa języki. Ale nawet sama Czarodziejka nie będzie utrzymywała, że tego się zrobić nie da. Nasza genetyka różni się od waszej. Zachodzi w nas mnóstwo innych procesów.

– Jakie na przykład?

– Nie potrafię tego objaśnić naukowo. Musisz jednak przyznać, że jesteśmy inne.

Czarodziejce udało się laboratoryjnie skrzyżować jaja tytanii z genetycznym materiałem żab, ryb, psów i małp.

– To się kłóci z wszystkim, co czytałem na temat genetyki – stwierdził Chris. – Nie znam się na tym, ale dalej nie widzę sposobu, w jaki Serpent miałby urodzić się ze znajomością angielskiego. Nawet gdyby jego rodzice byli ludźmi, czemu ty zaprzeczasz, to człowiek po urodzeniu potrafi tylko wrzeszczeć.

– Czarodziejka nazywa to efektem Łysenki – powiedziała Valiha. – Dla własnej satysfakcji wykazała, że tytanie mogą dziedziczyć cechy nabyte. My, to znaczy te z nas,

które twierdzą, że można dziedziczyć znajomość angielskiego, uważamy, że wystarczy tylko odpowiednio wzmocnić tę cechę. Spytałeś mnie kiedyś, czy ja pożarłam słownik. To nieomal prawda. Dla dobra eksperymentu rodzice muszą znać wszystkie angielskie słowa. Jest to cel, którego nigdy nie można w pełni osiągnąć, ale my jesteśmy obdarzone dobrą pamięcią.

– Mogę w to uwierzyć. – Chrisa coś zaniepokoiło w jej wypowiedzi, potrzebował jednak dłuższego czasu, żeby to określić.

– Chciałbym wiedzieć, dlaczego – spytał później – wybrałyście angielski, skoro wasz język jest taki piękny? Nie znam go niestety, ale z tego, co wiem od Cirocco i Gaby, którym go sztucznie zaszczepiono, domyślam się, że ludzie mogą go co najwyżej nieudolnie naśladować.

– To prawda. My uczymy się języka instynktownie, a ludzie, pomimo częstokroć wielkich zdolności intelektualnych, jakoś tego nie potrafią. Naszych pieśni nie można zanalizować pod względem gramatycznym i rzadko kiedy są jednakowe, nawet jeśli wyrażają tę samą myśl. Czarodziejka twierdzi, że być może są w nich zawarte elementy telepatii.

– Być może. Ja natomiast chciałbym wiedzieć, dlaczego tak bardzo wam na tym zależy. Co wam przeszkadza we własnym języku? Moim zdaniem to cudowne rodzić się ze znajomością jakiegokolwiek języka. Po co ten angielski?

– Może mnie źle zrozumiałeś – powiedziała Valiha. – Serpent będzie potrafił śpiewać. Z całą pewnością. Nawet mi się nie śniło, by odbierać mu tę umiejętność. To tak, jakbym chciała, żeby się urodził z dwiema nogami... Ojej. Proszę...

Chris roześmiał się i powiedział, że się nie gniewa.

– To była aluzja do powiedzonka o kimś, komu coś przychodzi z dużym trudem.

Mówimy wtedy: „Podchodzi” do tego tak, jakby miał tylko dwie nogi”.

– Całkiem trafne.

– Obiecuję ci, że... Ty znowu się ze mnie wyśmiewasz. Mam nadzieję, że któregoś dnia przyzwyczaję się do tego.

– Albo ja przestanę. Ale jeszcze mi nie powiedziałaś, dlaczego to robicie.

– Myślałam, że to oczywiste.

– Dla mnie wcale. Westchnęła.

– No dobrze. Angielski, bo tym językiem mówili pierwsi ludzie, którzy dotarli na Gaję i tak już zostało. A jeśli chodzi o to, że to język ludzi... Od pierwszego kontaktu żyje tu ich coraz więcej. Nie są to rzesze, ale wciąż napływają. To chyba dobry pomysł wiedzieć o was jak najwięcej.

– Nieprzyjemni sąsiedzi, którzy wprowadzili się na zawsze, co?

Valiha zamyśliła się.

– Nie chcę mówić nic lekceważącego o ludziach. Jako jednostki, niektórzy z nich to najmiłsze istoty, jakie zawsze chciałoby się...

– Ale jako rasa jesteśmy raczej parszywi.

– Ja nie mam prawa wygłaszać takich ocen.

– Dlaczego nie? Masz takie samo prawo, jak każdy. I zgadzam się z tobą. Jesteśmy z lekka obrzydliwi, kiedy jednoczymy nasze umysły, by wymyślać bomby atomowe i tym podobne rzeczy. A jeśli chodzi o większość jednostek... cholera. – Przyłapał się na szowinistycznej myśli, która mu się nie spodobała, ale której nie potrafił zwalczyć.

Usiłował wymyślić coś, czym mógłby ją zaatakować. Nie potrafił. – Wiesz – powiedział w końcu. – Właśnie sobie uświadomiłem, że nigdy nie spotkałem żadnej tytanii, której bym nie polubił.

– Ja spotkałam takich wiele – odparła Valiha. – A znam ich znacznie więcej niż ty.

Nigdy jednak nie poznałam takiej, z którą nie można się było dogadać. I nie słyszałam o przypadku, żeby jedna tytania zabiła drugą. Nigdy też nie spotkałam tytanii, do której czułabym nienawiść.

– W tym tkwi sedno sprawy, prawda? Wam żyje się z sobą znacznie lepiej, niż nam.

– Niestety, tak to chyba jest.

– Powiedz mi. Powiedz mi prawdę. Zapomnij na chwilę, że jestem człowiekiem i...

– Cały czas o tym zapominam.

Usiłowała go jakoś pocieszyć, ale bez powodzenia.

– Powiedz mi, co myślisz o obecności ludzi na Gai. Jakie jest twoje zdanie i co ogólnie myślą wszystkie tytanie? Czy może zdania są podzielone?

– Naturalnie, różnice zdań istnieją, ale zgadzam się z większością, że my powinniśmy zachować więcej władzy. Nie jesteśmy jedyną inteligentną rasą na Gai i mówimy tylko za siebie, ale wolałybyśmy mieć coś do powiedzenia w sprawie tych, którzy wkraczają na nasze terytoria: do Hyperionu, Kriosa i Metis. Sądzę, że dziewięćdziesiąt procent nie uzyskałoby wizy.

– Aż tylu?

– Może mniej. Chciałaś żebyś była szczerą, to jestem. Ludzie przynieśli na Gaję alkoholizm. Zawsze lubiliśmy wino, ale to, co wy nazywacie tequilą, a my – tu zaśpiewała fragment jakiejś piosenki – co się tłumaczy jako: „Śmierć ze szczyptą soli i kroplą cytryny”, ma dla nas właściwości uzależniające. Ludzie przynieśli ze sobą też choroby weneryczne: jedyną ziemską dolegliwość, na którą nie jesteśmy odporne. Ludzie przynieśli sadyzm, gwałt i mord.

– To wszystko przypomina mi dzieje Indian amerykańskich – zauważył.

– Istnieje pewne podobieństwo, ale chyba dość dalekie. Na Ziemi wielokrotnie potężne cywilizacje ujarzmiły słabsze. Ludzie przybywający na Gaję nie przywożą ze sobą sztafażu technicznych środków, a poza tym my nie jesteśmy społeczeństwem prymitywnym. Jednak nie mamy nic do powiedzenia, bo ludzie mają dobre układy.

– Co masz na myśli?

– Gaja lubi ludzi. To znaczy, interesuje się nimi i lubi ich obserwować. Dopóki jej nie znudzą, będziemy musiały akceptować każdego, kto tu przybędzie. – Zobaczyła jego minę i w tej samej chwili na jej twarzy odmalował się analogiczny wyraz niepokoju.

– Wiem, o czym myślisz – powiedziała.

– To znaczy?

– Że gdyby ustalono jakieś kryteria, ty byś przez nie nie przeszedł.

Chris musiał przyznać jej rację.

– Mylisz się. Szkoda, że nie potrafię ci wyjaśnić tego lepiej. Martwisz się epizodami, podczas których stajesz się gwałtowny. – Westchnęła. – Widzę, że muszę powiedzieć coś więcej. Łatwo jest wygłosić słuszną diatrybę przeciwko ludziom, których się nie lubi.

Jest wielu takich ludzi, którym moje plemię bezwarunkowo zakazałoby wstępu:

nietolerancyjnych, małostkowych, niewiernych, wykolejonych, źle wychowanych, których, kiedy jeszcze byli niewinnymi dziećmi, nie nauczono poprawnego zachowania.

Uważamy, że istota ludzkich problemów zasadza się w fakcie, że musicie się uczyć, bo kiedy się rodzicie, macie w sobie wyłącznie barbarzyństwo oraz apetyt i najczęściej tylko te pragnienia określają później sens waszego życia.

Jednakże z waszym gatunkiem łączą nas związki oparte o miłość i nienawiść.

Podziwiamy was i czasami zazdrościmy wam ognia waszych uczuć. W każdym z was obecne jest dążenie do czynienia gwałtu i my to akceptujemy. Nam jest łatwiej, bo

jesteśmy takie duże – mało który z was ma szansę zrobić nam krzywdę nie używając broni. Zakaz jej używania, który wyrównuje szanse, jest jednym z praw, jakie chciałbyśmy wprowadzić. Ponieważ nam brakuje agresywności, nie możemy pozwolić wam, byście nam dorównywali fizycznie.

I są wśród was jednostki, w których płomień życia pali się tak jasno, że oślepia nas swoją jasnością. Najlepsi z was są lepsi od najlepszych. Wiemy to i akceptujemy. Żaden z was nie potrafi być tak miły jak my, ale nam udało się zrozumieć, że bycie miłym to nie wszystko. Mamy tyle do zaoferowania ludzkiemu gatunkowi i choć zainteresowanie było dotąd umiarkowane, wciąż nie tracimy nadziei. I odwrotnie, bardzo chcemy uczyć się od was. Od dawna już usiłujemy was lepiej poznać, bo pragniemy rozpalić w sobie ten sam ogień. A ponieważ tu, na Gai, okazało się, że Łysenko miał rację, próbujemy się z wami skrzyżować. Dlatego uczymy się angielskiego.

Chris nigdy dotąd nie słyszał, by mówiła o czymkolwiek tak długo i z takim naciskiem. Myślał, że wie już o niej wszystko, ale teraz to przekonanie zdawało mu się czymś dziwnym. Zazwyczaj nie był taki zadufany, by uważać, że zna kogoś do końca. Odkąd ją poznał, z każdą chwilą mówiła coraz lepiej po angielsku. Teraz jej słownictwo było daleko bogatsze niż to, którym on dysponował. Gdy zachodziła potrzeba, potrafiła wszystko wyrazić wielokrotnie lepiej. Tym się nie przejmował, wiedział bowiem, że od czasu, gdy zaczęła mu bardziej ufać, chętniej odsłaniała przed nim swe myśli. Jednak niepokoiło go coś innego.

– Nie chcę być niemiły, ale muszę o to zapytać. Czy właśnie o to chodziło, kiedy dałaś mi tamto jajko? O łysenkoizm?

– Ja też nie chcę być niemiła, ale nie mam zamiaru cię okłamywać. Tak, to się z tym wiązało. Ale nigdy bym tego nie zrobiła, gdyby nas nic nie łączyło. Mówię o miłości,

która, o ile mi wiadomo, jest jedynym uczuciem wspólnym zarówno tytaniom, jak i ludziom.

– Cirocco tak nie myśli.

– Ona się myli. Zdaję sobie sprawę, że większość ludzi kojarzy miłość z zazdrością, żądzą i przywiązaniem do swego terytorium, a wśród tytanii takie połączenia emocji nie występują. Ale samo uczucie jest w obu przypadkach identyczne. Dlatego, że po prostu niewielu ludzi doświadcza niczym nie skażonej miłości. Musisz uwierzyć mi na słowo, że jest to jedna z tych rzeczy, które my robimy lepiej niż ludzie. Od tysięcy lat ludzie pisali i śpiewali o naturze miłości, ale nigdy nie udało im się zadowalająco jej zdefiniować. Dla nas miłość nie jest tajemnicą. Rozumiemy ją do końca. Ludzie zbliżają się do istoty miłości przez pieśń lub jej siostrę – poezję. Tego właśnie mogliśmy nauczyć ludzi.

Chris pragnął w to wierzyć, ale nadal niepokoiło go coś, czego za bardzo nie potrafił określić. Wyjaśniła mu już, że akceptuje jego ataki. Może martwiło go to, że w głębi ducha nie bardzo w to wierzył.

– Chris, czy możesz podejść i dotknąć mnie? – poprosiła. – Mam wrażenie, że zrobiłam ci przykrość.

Musiała dostrzec jego wahanie, bo w jej oczach rozbłysły łzy. Siedzieli oddaleni od siebie o metr, ale czuł, jakby między nimi rozpostarła się przepaść. To go przeraziło, ten straszny kontrast z uczuciem bliskości, jakie łączyło ich jeszcze przed chwilą.

– Okropnie się boję – wyznała Valiha. – Boję się, że w końcu staniemy się sobie obcy. Ty nigdy mnie nie zrozumiesz i ja nigdy nie zrozumie cię. Ale musisz, ja też muszę! – Przerwała, żeby się uspokoić. – Pozwól, że znowu spróbuję. Nigdy się nie poddam.

– Powiedziałaś ci, że najlepsi z was są lepsi od nas.

I my wszystkie to widzimy. Serpent zobaczy to natychmiast, zaraz po swoim urodzeniu, kiedy na ciebie spojrzy. Ja to widzę, choć nie umiałabym tego opisać, nawet gdybym przeczytała kilka tysięcy słowników. Kiedy pojawia się któryś z lepszych ludzi, my go potrafimy odróżnić. Gdybym jednak utworzyła z nich całą grupę, doszukiwanie się cech wspólnych byłoby stratą czasu. Nie jest to żadna, dająca się wyróżnić cecha ani też zbiór cech. Jedni są odważni, a inni tchórzliwi. Są wśród nich nieśmiali i są bezczelni. Wielu jest inteligentnych, za to innym daleko do genialności. Są też tacy, którzy tryskają radością życia: to ci, którzy znają lepiej jego smak. Rzadko się widuje tak jasny płomień, jakim oni płoną. Inni z kolei lubią się wszystkiemu poddawać, tak jak ty czasami, ale my i tak dostrzegamy bijące z nich światło. Nie wiemy dokładnie, co to jest, ale pragniemy osiąść tego choć część, tę która nie zawiera pragnienia autodestrukcji będącego zgubą twojego gatunku. Może nawet zgodzimy się na to pragnienie, bo ciepło tego żaru jest takie wspaniałe.

– Mówi o tym jedna pieśń. Oto ona... – Zaśpiewała ją, a potem natychmiast przeszła na angielski, jakby uważała, że czas jej ucieka i że znowu się z nim nie porozumie. – W tłumaczeniu brzmi to mniej więcej tak: „Ci, którzy pewnego dnia zaśpiewają” albo bardziej dosłownie: „Ci, którzy rozumieją tytanie”. Jeśli chcą. Obawiam się, że oddałam to niezbyt zręcznie.

Cirocco jest taka ludzka. Nie wyczułeś nawet jednej setnej jej żaru. Gaby taka była.

Taka jest Robin. Cała grupa ludzi w Titantown. To osiedle, które minęliśmy w Kriosie.

I ty. Gdybyś taki nie był, nie kochałabym cię bardziej od tego kamienia, a ja kocham cię bajecznie.

Zabawnie powiedziane – pomyślał Chris. Co za zbieg okoliczności, że wszyscy

czworo posiadamy tę samą, nieuchwytną cechę. Szkoda, że tak naprawdę to tylko ona jest taka wspaniała, ale jak jej to powiedzieć...?

Jednak wszystkie te wątpliwości rozwiały się, przegnane innymi uczuciami. Chris przyrównał je później do uczuć tonącego człowieka, któremu w jednej chwili przypomina się całe życie albo kogoś doświadczającego nagłego przebłysku geniuszu, który każe mu dojść do wniosku: „Jak mogłem być taki głupi?”. Tak naprawdę jednak po prostu zrozumiał, że on ją też bajecznie kocha.

Valiha dostrzegła ten błysk emocji – to właśnie był dowód potwierdzający jej teorię, dowód którego Chris już nie potrzebował – i pocałowała go zanim zdążył wymyślić coś mądrzejszego prócz: „Ja też cię kocham”.

– Powiedziałaś mi, że ty mnie też kochasz – powiedziała, a on pokiwał głową zastanawiając się, czy kiedykolwiek przestanie tak idiotycznie się uśmiechać.

Zapoznanie się z przebiegiem tytanijskich porodów nie było tym samym, co zrozumienie, na czym polega połączenie umysłu matki z umysłem dziecka. Tego zresztą Chris również do końca nie pojął, choć stale molestował Valihę pytaniami. Dowiedział się wprawdzie, że ona istotnie może zadać synowi jakieś pytanie, a on może udzielić na nie odpowiedzi, ale Serpent nie potrafił jej niestety powiedzieć, czy zna angielski.

– On myśli obrazami i pieśniami – wyjaśniła. – Pieśń daje się tłumaczyć tylko na emocje. W tym sensie pieśni tytanii w ogóle nie istnieją i dlatego żaden człowiek nigdy nie był w stanie opracować słownika naszej mowy. Ja po prostu słyszę i widzę to, o czym on myśli.

– To jak go zapytałaś, jak chce mieć na imię?

– Opisałam mu instrumenty, które dawało się wykonać tu na dole i zagrałam na nich w umyśle. Kiedy jego świadomość zachwyciła się jednym z nich, wiedziałam, że on jest

Serpentem.

– Czy on wie o mnie?

– On zna cię bardzo dobrze. Nie zna twojego imienia. Zapyta o nie dość szybko po urodzeniu. Wie, że ja cię kocham.

– Czy wie, że jestem człowiekiem?

– Oczywiście, że wie.

– Co o tym myśli? Czy to będzie problem? Valiha uśmiechnęła się do niego.

– On urodzi się wolny od uprzedzeń. Od tego momentu wszystko będzie zależało od ciebie.

Leżała na boku na wygodnym pościeliu, które Chris jej przygotował. Poród był bliski, Valiha była rozmarzona i zachwycona. Nie odczuwała żadnych bólów. Chris wiedział, że zachowuje się równie głupio, jak każdy ojciec oczekujący pod salą porodową na pierworodnego, ale nic nie mógł na to poradzić.

– Chyba nie rozumiem wielu rzeczy – wyznał. – Czy on wyjdzie na zewnątrz, usiądzie i zacznie wyrażać swoje opinie na temat cen kawy w Kriosie, czy raczej zacznie od etapu gu-gu i ga-ga?

Valiha roześmiała się i na chwilę znieruchomiała, bo mięśnie jej brzucha zaczęły pracować jak potrząsany balon z wodą. Zwilżyła wyschnięte wargi.

– Będzie słaby i oszołomiony – powiedziała. – Zobaczy dużo i nic nie powie.

Z początku nie będzie zbyt inteligentny. To tak jakby jego tryby myślenia zostały pokryte smarem na czas transportu i przed użyciem trzeba je było oczyścić. Ale potem... –

Urwała, zasłuchana w coś, czego Chris nie słyszał, a potem uśmiechnęła się.

– Będzie trzeba poczekać – powiedziała. – On już prawie tu jest, a ja muszę jeszcze odprawić pewien rytuał, który w moim akordzie jest przekazywany każdemu nowemu

pokoleniu.

– Pewnie, zrób to – powiedział pośpiesznie.

– Proszę, bądź dla mnie pobłażliwy – powiedziała. – Potrafiłabym to uczynić przy pomocy piękna mojej pieśni, ale ponieważ on będzie mówił po angielsku, postanowiłam zerwać z tradycją i zaśpiewać mu to w tym języku... i również dlatego, że ty tu jesteś. Nie jestem jednak pewna, czy potrafię to zrobić pięknie, moja proza może zabrzmieć okropnie...

– Nie usprawiedliwiaj się przede mną, na miłość Boską – powiedział, machając rękami. – Po prostu to zrób. Może ci potem zabraknąć czasu.

– Bardzo dobrze. Pierwsza część jest stała i tylko ją zacytuję. Na końcu dodam własne słowa. – Oblizwała wargi i spojrzała w przestrzeń. – Żółte jak niebo są madrygały.

– Zaczęła śpiewać.

– Na początku był Bóg, i Bóg stworzył koło, i koło stało się Gają. I Gaja wzięła cząstkę swego ciała i uczyniła z niej pierwsze tytanie i dała im poznać, że Gaja jest Bogiem. Tytanie nie spierały się z nią. Przemówiły do Gai słowami: „Co chcesz, abyśmy uczyniły?” A Gaja odparła: „Nie będziecie mieć innych Bogów przede mną. Bogaćcie się i rozmnażajcie, ale wiedźcie, że przestrzeń jest ograniczona. Czyńcie innym to, co chcecie aby oni uczynili wam. Pamiętajcie, że kiedy pomrzecie, obróćcie się w proch. A nie przychodźcie do mnie ze swymi problemami. Nie pomogę wam.” I tak tytanie zostały obarczone brzemieniem wolnej woli.

Wśród pierwszych była tytania zwana Sarangi o Żółtej Skórze. Chodził wraz z innymi do wielkiego drzewa i widział, że to było dobre. Po jakimś czasie założył Akord Madrygał. Spojrzał na świat i wiedział, że choć życie słodki ma smak, to jednak któregoś dnia przyjdzie mu umrzeć. Smutna to była myśl, ale przypomniał sobie słowa Gai

i zastanowił się, jak mógłby żyć dłużej. Kochał Dambaka, Violę i Waltornię. Cała ich czwórka śpiewała w Kwartecie Mixolidyjskim i Sarangi został zadnią matką Pikolo.

Przednim ojcem był Dambak, przednią matką Viola, a zadnim ojcem Waltornia.

Dalsza treść pieśni była mniej więcej podobna. Chris słuchał bardziej muzyki niż słów, bo wymienione w niej imiona nic mu nie mówiły. Najważniejsza dla każdej tytanii była jej zadnia matka, choć nie zapomniano też pozostałych rodziców.

Chris nie potrafiłby, tak jak Valiha, prześledzić swojego pochodzenia aż do dziesięciu pokoleń wstecz. Wiedział tylko, że jego przodkowie sprzed tysięcy a może milionów lat wywodzą się od małp albo Adama i Ewy. Całą historię gatunku Valihy tworzyło zaledwie dziesięć pokoleń. Serpent miał zapoczątkować jedenaste. Chris nigdy dotąd nie słyszał czegoś równie przejmującego o tym, co to znaczy być tytanią, członkiem sztucznie stworzonej rasy. Nie orientował się, na ile dokładne były słowa otwierające pieśń, ale wiedział, że stanowią przekaz prawdziwych zdarzeń. Tytanie zostały stworzone około 1935 roku. Tak krótka historia dawała się pomieścić nawet w ustnej tradycji, a tytanie wszak zawsze miały pociąg do tworzenia precyzyjnych kronik.

Valiha nie poprzestawała na wymienianiu swych zadnich matek i nazw formacji, w które się łączyły, aby spłodzić nowe pokolenie. Śpiewała o ich życiu, głównie po angielsku, choć czasem powracała do swego rodzimego języka. Opiewała bohaterstwo i prawość, nie zapominając jednak o porażkach. Chrisowi dane było usłyszeć o cierpieniu, jakiego tytanie zaznały podczas wojen z aniołami, a potem o przybyciu Czarodziejki i o tym, jak podczas karnawałów pozyskiwano jej łaskawość najrozmaitszymi fortelami.

– ...i Tabla stała się ulubienicą Czarodziejki. Śpiewała w Solo Eolskim i urodziła

Valihę, o której na razie śpiewa się niewiele i która pozostawia śpiewane pieśni o niej przyszłym pokoleniom. Valiha kochała Hichriki, zrodzonego z Kwartetu Frygijskiego, innej gałęzi Akordu Madrygał, i Czynel, z Tria Lidyjskiego należącego do Akordu Preludium. To oni ofiarowali życie Serpentowi (Trio Miksolidyjskie z Bemolem) Madrygał, który będzie śpiewał swą własną pieśń.

Urwała, chrząknęła i spojrzała na swoje dłonie.

– Uprzedzałam, że to będzie tylko streszczenie. Może Serpent zrobi to lepiej, kiedy przyjdzie jego czas. W języku tytanii pieśń ta płynie jak rzeka, a po angielsku...

– Będzie z ciebie dumny – zapewnił ją Chris. – Ale to nie jest najlepszy początek, prawda? – Ruchem ręki wskazał mroczną głębię jaskini. – Powinni być przy tobie Hichoriki, Czynel i wszyscy przyjaciele.

– Tak. – Zamyśliła się. – Powinnam była poprosić, żebyś to zaśpiewał.

– Na pewno byś załowała. Roześmiała się.

– Mhm. Chris, on już tu jest.

Nie myliła się. Połyskliwy kształt wyłaniał się powoli i nieodwołalnie. Chris czuł przemożne pragnienie, by coś zrobić: zagotować wodę, wezwać lekarza, dodać jej otuchy, ułatwić mu wyjście... cokolwiek. Gdyby jednak mała tytania pojawiła się szybciej na świecie, Chris zwymiotowałby całą zawartość żołądka. Valiha wsparła głowę dłonią i zaśmiewała się cicho. To Chris potrzebował lekarza, nie Valiha.

– Czy jesteś pewna, że naprawdę nie powinienem czegoś zrobić?

– Zaufaj mi. – Zaśmiała się. – Teraz. Możesz go podnieść, tylko uważaj, by nie nadepnąć na pępownię, bo będzie mu jeszcze przez chwilę potrzebna. Podaj mi go.

Obejmij go obiema rękami pod brzuchem. Jego tors polecą w tył, więc uważaj, żeby nie uderzył się w głowę, ale nie przestrasz się, jeśli tak się stanie.

Już mu to wcześniej mówiła, ale powtórka się przydała. W tym momencie Chris czuł, że nie potrafi nawet wytrzeć sobie nosa, a co dopiero zajmować się nowonarodzoną tytania. Podszedł jednak bliżej, ukląkł i spojrzał na Serpenta.

– On nie oddycha!

– Tym się też nie przerażaj. Złapie oddech, kiedy będzie gotowy. Podaj mi go.

Ciało noworodka stanowiło bezkształtną masę cienkich kostek i wilgotnej skóry.

Przez chwilę Chris nie potrafił wyróżnić ani głowy, ani ogona. Po chwili wszystko znalazło się nagle na swoim miejscu i zobaczył rozkoszną twarz małej dziewczynki ze zmierzwionymi włosami przylepionymi do zaspanych policzków. Nie, wcale nie takiej małej... miała całkiem dorosłe piersi. I nie dziewczynki. To był tylko ten numer, na który ludzie wiecznie się nabierali. Wszystkie tytanie, niezależnie od płci, wyglądały zawsze jak kobiety. Między przednimi nogami Serpenta znajdował się penis obrośnięty włosami łonowymi.

Miał zamiar być delikatny i uważny. Jednak po kilku próbach musiał się poddać i zmobilizować wszystkie siły. Serpent ważył prawie tyle samo, co on. Był zupełnie śliski, ale na szczęście nie od krwi. Przypominał zagłodzonego jeżozwierza, a jego patykowate nogi były dłuższe od nóg Chrisa. Miał wąskie pośladki, niski tułów i chwiejny długi tors. Kiedy Chris ostrożnie wyplątywał Serpenta z pępownicy, żeby go podać matce, mały nagle się ruszył i kopnął go niezbyt boleśnie w goleń. Zaraz potem zaczął się gwałtownie wrywać. Kiedy Valiha zaśpiewała mu coś, natychmiast się uspokoił.

Chris podał syna tytanii, która przytuliła go do siebie. Głowa Serpenta kołysała się niepewnie. Chris zauważył, że jest dokładnie tak, jak mówiła Valiha: pępownina nie wyrastała mu z brzucha, lecz z tylnej pochwy; jej drugi koniec wylewał się z ciała

Valihy.

Nie wiedział, czego się ma spodziewać. Widywał już młode tytanie, ale nie aż tak młode. Czy będzie zdolny go pokochać? Jak dotąd uważał, że Serpent jest... Nie, nie powiedziałaby, że brzydki. Cudaczny było najlepszym określeniem, jakie przychodziło mu do głowy. Tylko że przecież zawsze uważał, że to ludzkie noworodki wyglądają cudacznie, a na dodatek były całe zakrwawione. Nie mógł ścierpieć tej niechęci, którą właśnie w sobie poczuł – nie pasowała do tego, co usłyszał na swój temat od Valihy: że jest silny i że tak kocha życie. Dawno już nikt mu czegoś takiego nie powiedział. Serpent przypominał właściwie niedożywioną czternastoletnią dziewczynkę, którą właśnie wyłowiono z dna jeziora. Wydawało się, że trzeba mu koniecznie zrobić sztuczne oddychanie.

Serpent zarżał głośno, zakasłał i zaczął oddychać. Z początku krztusił się hałaśliwie, wkrótce jednak złapał właściwy rytm. Po chwili otworzył oczy i spojrzał wprost na Chrisa. Albo widok mu się nie spodobał, albo raziło go światło, bo zamrugnął i ukrył twarz w piersiach matki.

– Prawdopodobnie przez jakiś czas będzie nieznośny – powiedziała Valiha.

– Ja też bym taki był.

– Co o nim myślisz?

Dobre pytanie – pomyślał Chris.

– Jest piękny, Valiho.

Zmarszczyła brwi i znowu spojrzała na Serpenta, jakby się zastanawiając, czy czegoś w nim nie przeoczyła.

– Co ty mówisz. Znasz chyba więcej angielskich słów. Czując się tak, jakby miał zaraz wskoczyć do głębokiej wody, Chris chrząknął i powiedział:

– Wygląda cudacznie.

– To jest właściwe słowo. Na szczęście niedługo będzie wyglądał lepiej. Rokuje duże nadzieje. Widziałaś jego oczy?

Zabrali się za toaletę małego. Valiha uczesała mu włosy, a Chris go umył i wytarł do sucha. Valiha miała rację: jego wygląd się poprawił. Miał ciepłą i miękką skórę i po umyciu przestał przypominać podtopionego stracha na wróble. Pępowina wkrótce uschła i od tej pory zaczął żyć samodzielnie. Był słaby jeszcze przez kilka chwil, ale nie wyglądało to już na efekt zagłodzenia. Zaraz potem zresztą pod jego skórą zafalowały mięśnie, wyprzystojniał i odtąd prezentował się jak okaz zdrowia. Niebawem prostował tors bez niczyjej pomocy. Podczas gdy uwijali się wokół jego młodego ciała, stale przypatrywał im się swymi błyszczącymi, brązowymi oczami, ale wciąż nie powiedział ani słowa. Valiha również go obserwowała. Chris nigdy nie widział jej tak podnieconej.

– Szkoda, że nie potrafię ci tego wyjaśnić, Chris – powiedziała. – To jest najcudowniejsze... Wyraźnie pamiętam ten moment. Nagle uzyskujesz świadomość, budzisz się ze stanu prostych pożądań i czujesz, jak dookoła kształtuje się większy świat, pełen innych stworzeń. I ta narastająca potrzeba, by mówić, nieomal przypominająca chwilę poprzedzającą orgazm. Zrozumienie, że istnieje możliwość komunikowania się z innymi. Widzisz, on zna słowa, ale ponieważ dotychczas nie poznał ich treści, są dla niego wciąż tajemnicą. Będzie miał mnóstwo pytań, ale rzadko cię o coś zapyta. Zobaczy kamień i pomyśli: „Więc to jest kamień!”. Podniesie go i pomyśli: „Więc tak się podnosi kamień!” Będzie zadawał mnóstwo pytań samemu sobie i sam sobie na nie odpowiadał. Uczucie towarzyszące odkrywaniu jest tak wspaniałe, że tytanie marzą najczęściej, żeby się ponownie narodzić, przeżyć jeszcze raz tę chwilę. Ale i tak usłyszymy wiele pytań. Niestety, na wiele z nich nie ma odpowiedzi. Cóż, takie jest życie. Musimy jednak

traktować je jak najpoważniej i zawsze być dla niego mili. Mam nadzieję, że będziesz cierpliwy i pozwolisz, by sam, w odpowiednim momencie, pojął, czym jest los, bez żadnych zachęt z naszej strony, bo to może być...

– Zrobię to, Valiha, obiecuję. Jestem pewien, że będę cię obserwował przez jakiś czas, żeby pojąć, jakie są twoje oczekiwania i będę się trzymał z dala na tyle, na ile to możliwe. Stale jednak dręczy mnie pytanie o ten twój szaleńczy eksperyment, to znaczy, czy on będzie...

– Jesteś człowiekiem – powiedział Serpent całkiem wyraźnie.

Chris spojrział na szeroko rozstawione oczy, które wpatrywały się w niego niewinnie. Ze zdziwienia zapomniał zamknąć usta. Serpent uśmiechał się równie tajemniczo jak Mona Liza. Piłka konwersacji została na jego połowie boiska, a on przecież miał trzymać się z boku.

– Jestem bardzo zadziwionym człowiekiem. Ja... – Urwał, kiedy Valiha ledwie dostrzegalnie pokręciła głową.

Chris zastanowił się nad swoimi słowami. Racja, nie były najmądrzejsze. Należało celować w środkowe pole, gdzieś pomiędzy gu-gu a Mową Gettysburską. Bardzo żałował, że nie wie, gdzie tego szukać.

– Jak ci na imię? – spytał Serpent.

– Chris.

– Ja mam na imię Serpent.

– Miło mi cię poznać.

Uśmiech pojawił się w całej krasie i Chris poczuł, jak robi mu się ciepło.

– Mnie też jest miło cię poznać. – Odwrócił się do matki. – Valiha, gdzie jest mój serpent?

Sięgnęła do tyłu i podała mu przepięknie rzeźbiony róg w kształcie skręconego węża, zamknięty w futerale z miękkiej skóry. Wziął go do rąk, a jego oczy się roziskrzyły.

Przyłożył ustnik do warg, dmuchnął i usłyszeli głuchy, basowy ton.

– Jestem głodny – obwieścił. Valiha podała mu pierś. Jego ciekawość świata była tak ogromna, że nie potrafił się skoncentrować. Obracał głowę, błędził wzrokiem dookoła i ledwie udawało mu się utrzymać sutek w ustach. Spojrzał na Chrisa, potem na instrument, który wciąż silnie ścisnął w dłoniach, a w jego oczach odmalowało się przerażenie i podziw. Chris wiedział, że w tym momencie on i Serpent pomyśleli to samo, choć dla każdego ta myśl miała inne znaczenie.

Więc to jest Serpent.

Dziecko było dokładnie takie, jak mówiła Valiha.

Słowo „rozbrykany” zdawało się być określeniem wymyślonym specjalnie dla niego.

Był kościsty, niezgrabny, ruchliwy i swawolny. Gdy przyszło ruszyć z miejsca, dreptał tylko dziesięć minut, a potem stracił zainteresowanie wszelkimi wolniejszymi rodzajami chodu i odtąd galopował na łeb na szyję. Składał się w dziewięćdziesięciu procentach z nóg, a one głównie z kolan. Jego kanciastość kontrastowała z elegancją i wdziękiem starszych tytanii, ale widać było, że niedaleko pada jabłko od jabłoni. Jego uśmiech wystarczał za całe światło świecących ptaków.

Nie szczędzili mu wyrazów miłości, których bardzo potrzebował. Wiecznie ktoś go musiał dotykać. Pocałunki od Chrisa przyjmował równie chętnie jak od swej matki i równie chętnie je oddawał. Uwielbiał być głaskany i pieszczony. Valiha usiłowała go karmić na leżąco, ale było to zupełnie niemożliwe. Stała więc opierając się o kule, a on ją obejmował. Często w trakcie karmienia zasypiał na stojąco. Valiha mogła wówczas się oddalić i zostawiała go tak, z podbródkiem opuszczonym na piersi. W ciągu trzech

kiloobrotów kilka razy zasnął, a potem na zawsze utracił umiejętność spania.

Przez wiele dni Chris traktował go jak klęskę, która szuka miejsca, które może nawiedzić. Miał wystarczająco dużo kłopotów z przeprowadzaniem Valihy przez niebezpieczniejsze miejsca. Brakowało mu tylko przedwcześnie dojrzewającego, żądnego przygód młodzieńca, a Serpent znakomicie odgrywał tę rolę. Jednak zgodnie z przewidywaniami Valihy nie przytrafiło mu się nic złego. Chris w końcu przestał się zamartwiać, bo Serpent zdawał sobie sprawę z własnych ograniczeń i choć stale usiłował poszerzyć granice własnych możliwości, nigdy ich nie przekraczał. Małe tytanie miały wbudowany swoisty regulator: chociaż nie były odporne na wypadki, ulegały im równie rzadko jak dorosłe tytanie. Chrisa zjawisko to zdumiewało, choć niejednokrotnie bawiła go myśl, że tytanie różnią się od ludzi niechęcią do ponoszenia niepotrzebnego ryzyka. Cieszył się jednak, bowiem nie miał powodów do narzekań.

Serpent rozjaśniał im życie tak bardzo, że Chris na dłuższy czas zapomniał o wszystkim, co go martwiło na początku wędrówki. Zmartwienia powróciły ze zdwojoną siłą, kiedy znaleźli ciężką zimową kurtkę Robin i stos ekwipunku w pobliżu jednego z oznakowanych przez nią miejsc.

– Mówiłem jej, że ma ją zachować za wszelką cenę. – Zirytował się, pokazując tytaniu kurtkę. – Do cholery, ona chyba zupełnie nie pojmuje, co to jest zimno.

– Jak smakuje zimno? – dopytywał się Serpent.

– Nie potrafię ci tego wyjaśnić, dziecko – odparła Valiha. – Będziesz musiał poczekać i sam posmakować. Ma inne ubrania, Chris. Jeśli założy je wszystkie na siebie...

– Kto to jest Robin, Chris?

– Przyjaciółka i towarzyska – odparł – która, jak się obawiam, będzie miała kłopoty,

jeśli jej nie dogonimy.

– Czy mogę to założyć?

– Przymierz, ale uważaj, żebyś się nie zgrzał. Możesz ją nieść razem z innymi rzeczami. Zrobisz to?

– Jasne, Chris. Jeśli mnie dogonisz.

– Nic z tego, chłopie. I przestań się ze mnie nabijać. Nic na to nie poradzę, że jestem taki powolny. A czy potrafisz coś takiego? – Staął na czubkach palców jednej nogi – co było łatwe w tak niskiej grawitacji – i dotykając palcem czubka głowy wykonał baletowy piruet zakończony ukłonem. Valiha zaklaskała, a Serpent spojrzał podejrzliwie.

– Co, na jednej nodze? Ja nie potrafię...

– Aha! I tu cię mam. A teraz chodź i...

Zatrzymał się i odwrócił. Tak jasnego światła jak to, które zapłonęło za nimi, nie widział od... nie miał pojęcia od jak dawna. Usłyszał głuchy pomruk, który, jak teraz sobie uświadomił, docierał do niego ledwie słyszalnie już od dłuższego czasu. W oddali rozległ się odgłos wybuchu.

– Co to jest? Czy to...

– Cicho. Na razie żadnych pytań. Ja... Valiha, ukryjcie się za tą skałą. Pochylcie jak najniżej głowy, aż...

Nagle dobiegł ich czyjś głos wzmacniany przez głośnik. Echo zniekształciło go prawie nie do poznania, ale Chris usłyszał swoje imię i imię Valihy. Rozbłysło jeszcze więcej światła, spływających w dół na maleńkich spadochronach, a pomruk zmienił się w znajomy warkot helikopterów. Głos natomiast był głosem Cirocco.

Wreszcie po nich przyszła.

41. Parada gladiatorów

Gdy wysiedli z windy znowu powitał ich tancerz. Był równie elegancki i tajemniczy, jak poprzednio. Twarz skrywał w cieniu, miał na sobie niesamowicie błyszczące buty, białe skórzane getry, cylinder i smoking, a w ręku trzymał laskę. Robin stała spokojnie obok Chrisa, przyglądając się tylko widowisku. Nie ważyła się przeszkadzać. Tancerz niewzruszenie wykonał serię figur, po czym zrobił piruet, w trakcie którego wydawało się, że jego głowa tkwi nieruchomo w jednym miejscu, dopóki ruch całego ciała nie sprawił obrotu o całe 360 stopni.

– Cóż, ja też nie rozumiem, po co są te katedry – westchnął Chris, kiedy tancerz zniknął.

Robin milczała. Pamiętała z ostatniej wizyty, że tego rodzaju piosenki i tańce służą Gai do manipulowania ludźmi, dostarczając jej rozrywki. Wszystko, co się tu działo, miało jakieś znaczenie, choć nie zawsze czytelne. Taniec wywołał w niej uczucie chłodu, teraz miała wysłuchać piosenki.

– Stale mi się śni ten sam sen – powiedziała. – Siedzimy tu razem z Gają tak, jak na samym początku, a on mówi: „W ramach drugiej części testu...”

Spojrzał na nią z ukosa.

– Przynajmniej zachowałeś poczucie humoru. Czy zabrałaś swój przenośny opowiadacz dowcipów?

– Już go spakowałam do plecaka.

– Niedobrze. Jak tam twoje stopy? Pomóc ci?

– Dzięki, poradzę sobie. – Zauważyła już, że w piąście nie musi używać kul. Nadal miała obandażowane stopy, ale dzięki niskiej grawitacji chodzenie nie sprawiało jej bólu. Razem z Chrisem przedzierali się przez dżungłę kamiennych budowli. Tym razem nie wysłano im na spotkanie przewodnika.

Niebo było dokładnie takie, jakim je zapamiętała poprzednio. Ten sam potworny dywan, mnóstwo niedbale poustawianych kanap zasłanych monstualnymi poduszkami i niskie stoliki zastawione górami jedzenia. Ta sama atmosfera wesołości ocierającej się o najczarniejszą rozpacz. Bóg siedział w samym środku, jak zwykle w otoczeniu świty samozwańcych aniołów.

– A więc wojownicy powracają z boju – powiedziała na powitanie Gaja. – Trochę przybici, nieco obdarci, ale ogólnie cali i zdrowi.

– Nie całkiem – powiedział Chris. – Robin straciła kilka palców u nóg.

– Ach tak? Cóż, niech zdejmie bandażę, a przekona się, że już o to zadbano.

Podczas całej drogi Robin odczuwała jakieś dziwne sensacje w stopach, ale sądziła, że jest to złudzenie fantomowe, które już dobrze poznała. Uniosła stopy i obmacała opatrunki. Znowu miała wszystkie dziesięć palców.

– Nie, nie dziękuj mi. Podziękowania nie należą mi się, bo nie straciłabyś ich, gdybym nie ingerowała w twoje życie. Pozwoliłam sobie również poprawić oczywistą pomyłkę tatuażysty, kiedy odzyskiwałam brakujący kawałek węża, który uprzednio ozdabiał jeden z palców. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu.

Robin wcale się to nie podobało, ale nic nie powiedziała. Przysięgła sobie, że odnajdzie zmianę, wywabi ją laserem i zrobi wszystko tak, jak było przedtem. Gaja miała rację twierdząc, że jest przybita – podczas pierwszej wizyty zastrzeliłaby ją za takie stwierdzenie – ale wciąż miała w sobie dość dumy, by się sprzeciwić fałszerstwu.

– Usiądźcie – powiedziała Gaja. – Częstujcie się jadłem i napojami. Usiądźcie i opowiedzcie mi o wszystkim.

– Wolimy postać – odparł Chris.

– Mieliśmy nadzieję, że to nie potrwa długo – dodała Robin.

Gaja popatrzyła to na jedno, to na drugie i zrobiła kwaśną minę. Podniosła ze stolika szklankę z drinkiem i rzuciła na podłogę. Natychmiast znalazł się jakiś gorliwiec, który podsunął jej nową.

– Więc to tak. Niby powinnam się do tego przyzwyczaić, ale zawsze jestem trochę zaskoczona. Nie zaprzeczam, że narażaliście się na ryzyko, którego sami nigdy byście nie podjęli. Przypuszczam, że potrafię do pewnego stopnia zrozumieć, dlaczego to takim oburzeniem napawa was obowiązek pokazania własnej wartości poprzedzający przyjęcie moich darów. Weźcie jednak pod uwagę moją sytuację. Gdybym dała wam to, co mam prawo rozdawać za darmo, wkrótce obokoczyliby mnie wszyscy żebracy, agenci, fakirzy, magicy, darmozjady i zwykła żulia ze wszystkich okolicznych planet, począwszy od Merkurego, a skończywszy na Plutonie.

– Nie rozumiem, w czym tkwi problem – nie wytrzymała Robin. – Jest tu mnóstwo miejsca, a dobry początek został już zrobiony. Mogłabyś założyć chór anielski.

– A więc nadal masz cięty język. Ach, jaka szkoda, że nie jestem człowiekiem, bo ciąłby mnie wtedy boleśniej. Jednakowoż twoja pogarda jest mi obojętna, więc po cóż się wysilać? Oszczędzaj ją dla tych, którzy są słabi, którzy opuszczają swych towarzyszy w niewoli, którzy płaczą i ukrywają się w głębinach swego strachu. Mówiąc krótko, dla tych, którzy nie wykazali się tak, jak ty.

Robin poczuła, jak krew odpływa jej z twarzy.

– Czy ktoś kiedykolwiek ci powiedział – wtrącił szybko Chris – że gadasz jak oprych w tandetnym kryminale?

– Jesteś dwunasty, który mi to mówi w tym roku. – Wzruszyła ramionami. – Tak lubię stare filmy. Ale ta rozmowa mnie męczy. Drugi pokaz tego wieczoru zaczyna się za kilka minut, więc...

– Po co był ten tancerz? – wybuchnęła Robin. Sama zdziwiła się tym pytaniem, ale z jakiegoś powodu uważała, że jest ważne.

Gaja westchnęła.

– Czy wy, ludzie, nie lubicie tajemnic? Czy wszystko musi być zawsze jasne? Co jest złego w paru drobnych zagadkach, dzięki którym wasze życie nabiera odrobinę barwy?

– Nienawidzę tajemnic – oświadczył Chris.

– No dobrze. Tancerz jest skrzyżowaniem Freda Astaire’a z Isadorą Duncan, z niewielką domieszką Niżyńskiego, Barysznikowa, Drummonda i Graya. Nie jest to mieszanka złożona z prawdziwych ludzi, chociaż chętnie obrabowałabym kilka grobów i przesiała kości, by zdobyć geny nadające się do sklonowania. To ich biologiczne odpowiedniki, sporządzone z pozostawionych przez nich nagrań, które moja skromna osoba wpisała do kwasów nukleinowych i obdarzyła tchnieniem życia. Tańczący człowiek jest niezwykle sprawnym narzędziem mojego umysłu, tak jak to mięsko. – Gaja przerwała i uderzyła się pięścią w pierś. Mimo wszystko to tylko narzędzie. W pewnym sensie zarówno on, jak i ten mówca, tańczą w moim umyśle; mówca rozmawia z efemerydami, tancerz realizuje wyznaczone zadanie, zadanie, o którym opowiem za chwilę. Spodziewam się jednak, że pomimo waszego niesmaku, chcielibyście najpierw poznać odpowiedź na pewne pytanie, a mianowicie, czy udało wam się zdobyć złoty pierścień? Czy odeślę was do domu takimi, jakimi jesteście, czy wpierw was wyleczę? – Uniosła brew, uważnie przyglądając się każdemu z nich.

Robin, chociaż przyznanie się do tego niezmiernie ją bolało, cała zamieniła się w słuch. Jakiś wewnętrzny głos mówił jej, że wszystko jest w porządku, że tak naprawdę nigdy nie była częścią gry Gai, a jeśli przy okazji zarobiła na nagrodę, to monumentalną głupotą byłoby jej odrzucenie. Słyszała jednak także inny głos, szept płynący gdzieś

z głębi, który przestrzegwał ją przed zdradą. Nie opierałaś się za mocno, kiedy cię zapraszano do tej zabawy – mówił. Zawsze chciałaś tej nagrody. Niemniej jednak, nie mogła dopuścić, by Gaja spostrzegła jej wyczekiwanie.

– Przed obwieszczeniem swojej decyzji, zawsze lubię poznać wasze zdanie – powiedziała Gaja. Oparła się wygodniej i splotła tłuste palce na brzuchu. – Robin, zaczynasz.

– Nie mam zdania – wypaliła natychmiast Robin. – Nie wiem, ile wiesz o tym, co zrobiłam, albo czego nie zrobiłam. Równie dobrze mogłabym założyć, że znasz wszystko aż po najgłębsze tajniki mojego serca. To interesujące odwrócenie ról. Przedtem to ja szydziłam z twoich zasad i z Chrisa, który był nimi zafascynowany albo przynajmniej tak mu się wydawało. Teraz nie wiem nic. Dużo myślałam o tym, co się wydarzyło. Wstydzę się wielu rzeczy, łącznie z moją niezdolnością do przyznania się, wtedy kiedy tu przybyłam, do ludzkich słabości. Cokolwiek ze mną zrobisz albo czegokolwiek nie zrobisz, coś jednak zyskałam. Żałuję, że nie wiem dokładnie, co to takiego i żałuję, że zdobycie tego za bardzo nie bolało, ale nigdy już nie będę taka, jaka byłam.

– Ale trochę za tym tęsknisz.

– To prawda.

– Zazwyczaj wszystko jest łatwiejsze, kiedy nie musisz patrzeć w siebie. Trudno jednak długo wytrwać przy takim nastawieniu.

– Tak sędzę.

– Przyszłość przyniesie więcej powodów do satysfakcji.

– Dopiero teraz to rozumiem. Gaja wzruszyła ramionami.

– Ja też mogłam się mylić. Nigdy nie twierdziłam, że jestem nieomylna przewidując zachowanie istot obdarzonych wolną wolą. Mam jednakże za sobą znaczne

doświadczenie i czuję, że jest tak jak powiedziałaś: obojętne przegrałaś czy wygrałaś i tak pozostaniesz silniejsza dzięki temu, co przeszłaś.

– Być może.

– Stwierdzam więc, że zasłużyłaś na wyleczenie.

Robin podniosła wzrok. Nie miała zamiaru dziękować i trochę ją zasmuciło, gdy spostrzegła, że Gaja wcale na to nie czekała.

– Prawdę powiedziawszy, zostałaś wyleczona już dawno temu i możesz odejść w każdej chwili. Życzę ci szczęścia, choć zastanawiam się...

– Chwileczkę. Jak mogłam już zostać wyleczona?

– Kiedy obserwowałaś tancerza. Kiedy razem z Chrisem wsiedliście do windy przy obręczy, szybko was uspiłam, podobnie jak za pierwszym razem. Potem należało tylko określić rodzaj twojej dolegliwości, czyli ją wyleczyć, jeśli rzeczywiście była uleczalna.

W niektórych sprawach zawodzę nawet ja. Bez tego badania nie mogłabym zaproponować wam paktu. Tym razem bardziej skorzystałam na tym ja niż wy. Musiałam się dowiedzieć, co zrobiliście od ostatniego razu, kiedy was widziałam. Zbadałam wasze doświadczenia, poznałam je dokładnie i podjęłam decyzję. Nie zauważyliście tego okresu przejściowego ani też przebudzenia, bo sfabrykowałam waszą pamięć jazdy windą i przywróciłam wam świadomość, mieszając tego faceta, który tańczy W moim mózgu z tym prawdziwym, który nosi prawdziwe getry. Prawdopodobnie poczuliście jakiś niepokój, ale teraz potrafię to robić znacznie umiejętniej i choć nie mogę wam objaśnić moich metod, zapewniam was, że są trafne i naukowe. Gdybyście chcieli zgłosić sprzeciw, to...

– Chwileczkę – wtrącił Chris. – Gdybyś...

– Nie przerywaj – powiedziała Gaja i pokiwała palcem. – Zaraz będzie twoja kolej...

Trzeba było, jak już powiedziałam, przypomnieć sobie dawne ostrzeżenie dotyczące jazdy z nieznanymi. Szczególnie tutaj.

– Pamiętam bardzo długą jazdę – powiedziała Robin, nagle rozłoszczona. – Jechałam strasznie długo w dół. Teraz myślę, że jazda w górę też była złudzeniem.

– Nic będę za to przepraszać. Nie muszę i nie chcę. Każdy powinien odbyć tę długą jazdę w dół. Dzięki niej większość ludzi pojmuje znaczenie lepiej, czym jest śmiertelność. Chris, sądzę, że jesteś jedyną osobą, która nie zapomniała swego Wielkiego Upadku ku śmierci.

– Chcę powiedzieć, że...

– Jeszcze nie. Robin, chciałaś coś dodać. Spojrzała twardo na Gaję.

– Proszę bardzo. Skąd wiesz, że jestem wyleczona? Nie sądzisz chyba, że będę ci ufać po tym wszystkim, co mi zrobiłaś.

Gaja roześmiała się.

– Nie, jasne, że nie. U nas nie broni się praw konsumenta. Przyznaję też, że uwielbiam sztuczki. Jednakże moja reputacja jest pod tym względem nieskazitelna.

Przysięgam ci teraz, że o ile znowu nie zaznasz urazu głowy, co jak wiadomo wywołuje ataki epilepsji, twój ostatni atak był naprawdę ostatni. Chris, teraz twoja kolej. Co myślisz o...

– Chcę coś powiedzieć. Nie wiem, czy mnie wyleczyłaś, czy nie, ale źle się stało, jeśli to zrobiłaś. Nie miałaś prawa.

Tym razem Gaja uniosła obydwie brwi.

– No proszę. Już miałam zapytać, czy twoim zdaniem zasługujesz na wyleczenie, ale zrobiłaś się taki czupurny, że odpowiedź musi chyba być jednoznacznie pozytywna.

– Moja odpowiedź to żadna odpowiedź. Mam natomiast swoje zdanie. Wysłałaś

mnie, żebym zginął jak bohater, a ja wróciłem żywy. Samo to powinno się jakoś liczyć. Ale ja przestałem już wierzyć w bohaterów. Wierzę tylko w ludzi, którzy radzą sobie z życiem najlepiej, jak potrafią. Robi się to, co trzeba zrobić, bo czasami nie ma innego wyjścia. Człowiek przypomina wtedy kamień, który upuszczony z wysokości, musi spaść. Pierwszą część mojej wyprawy spędziłem na rozmyślaniu o wszystkim, co dotychczas robiłem, począwszy od spływów kajakowych, a skończywszy na myciu zębów i doszukiwaniu się w tym heroicznym elementów. Potem zrobiłem kilka rzeczy, dzięki którym wydawało mi się, że zdaję egzamin, ale w końcu uświadomiłem sobie, że ten egzamin to kompletna bzdura. Ty bierzesz swoje normy z komiksów i potem patrzysz, jak ludzie tańczą na twój rozkaz. Gardzę tobą.

– Naprawdę? Za dużo sobie pozwalasz. Ponieważ nie odpowiedziałeś na moje pytanie, powiem ci, że ty też zostałeś wyleczony. Skąd wiesz, czy na moją decyzję rzeczywiście wpłynęła twoja bohaterska próba ratowania życia Gaby w Fojbe, czy też heroiczna decyzja zanudzenia się na śmierć u boku Valihy?

– Ty... – Robin widziała, jak Chris cały gotuje się z gniewu. Opanował się jednak i zrozumiała, że dotarło do niego to samo, co tak bardzo przeraziło ją: ile Gaja jeszcze wie?

– Nie chcę być wyleczony – powiedział Chris. – Nie wracam na Ziemię, a tutaj moje problemy nie mają większego znaczenia. I nie chcę, żebyś to ty mnie wyleczyła.

– Bo mną gardzisz – powiedziała Gaja, odwracając wzrok z wyrazem znudzenia na twarzy. – Powiedziałaś to. To pewne, że nie będziesz w stanie zrobić krzywdy tytaniom, ale co z ludźmi, którzy tu żyją? Kto będzie ich strzegł?

– Będę się trzymał od nich z daleka. Poza tym sam sobie trochę pomagałem. Odkąd wróciłem do Titantown, moje napady były mniej więcej jednakowe i o wiele mniej

gwałtowne. Posłuchaj, ja... przyznaję się. Nie jestem aż tak dumny, by nie przyjmować czegoś od ciebie. Nie powinienem był mówić, że tak nie jest. Pomyślałem sobie, że skoro zaoferowałaś się mnie wyleczyć, proponuję ci zrobienie w zamian czegoś innego. Twoim zdaniem, zasłużyłem sobie na wyleczenie, czy się z tym zgadzam, czy nie. Myślałem, że może dotrze do ciebie, że jesteś mi coś winna.

Gaja uśmiechała się teraz, a twarz Robin płonęła współczuciem dla Chrisa, który musiał się czuć strasznie upokorzony.

– Zawarliśmy ustną umowę – powiedziała Gaja. – Dość specyficzną. Przyznaję, że dla mnie była ona korzystniejsza, bo ja podyktowałam wszystkie warunki i nie pozwoliłam na żadne negocjacje, ale nie zapominaj, że to ja zarządzam tym miejscem. Jednakże z niecierpliwością czekam, co mi zaproponujesz w zamian. – Przyjęła wyczekującą postawę i kilkakrotnie do niego mrugnęła.

– Zrobiłaś to dla Cirocco i Gaby – powiedział cicho, nie patrząc na nią. – Jeśli się spodziewasz, że będę cię błagał, to daremnie.

– Wcale nie – odparła Gaja. – Wiedziałałam, że tego nie zrobisz. Domyślałam się mniej więcej, ile cię to kosztuje po całych tych górnołotnych przemowach i byłabym wzruszona, gdybyś jednak to zrobił. Nigdy dotąd nie pomyliłam się aż tak bardzo w ocenie człowieka. Czekam wręcz, czy się tego wyprzesz. Przejdź do szczegółów.

Czego chcesz?

– Chcę śpiewać. W mrocznej pustce piasty zadźwięczał śmiech Gai. Echo odbijało go bez końca i wkrótce śmiał się cały personel jej niebiańskiego festiwalu filmowego, zgodnie ze znaną zasadą, że to, co śmieszy twojego szefa, śmieszy również ciebie. Robin obserwowała Chrisa myśląc, że on z pewnością rzuci się na tego wulgarnego babsztyla o kartoflanej twarzy, ale jakoś udało mu się pohamować. Śmiech stopniowo zamierał:

najpierw przestała śmiać się Gaja, potem zamilkli pozostali.

Przekrzywiła głowę i udawała, że się zastanawia.

– Nie. Nie spełnię żadnej z tych próśb. Nie cofnę efektów twojej kuracji i nie nauczę cię śpiewać. Trzeba było zaznajomić się z treścią umowy i uświadomić sobie własne pragnienia przed przybyciem tutaj. Ja postępuję zgodnie z umową. To może się wydać przykre, ale przekonasz się, że nie jest aż tak źle, jak ci się wydaje. Podczas trwania leczenia przyjrzałam się twoim osobowościom. Stwierdzisz, że wykazujesz znacznie silniejszą skłonność do przemocy, która tak podnieca tę twoją końską dziwkę. To, w połączeniu z nieco wprawniejszym użyciem penisa, powinno okiełznać zwierzę i sprawić, że będziesz lojalny przynajmniej...

Chris zaatakował. Robin chciała mu ruszyć z pomocą, ale przeszkodził jej tłum otaczający Gaję. Jej dworacy nie mieli być może najmocniejszych kości, ale jednomyślnie pragnęli zabłysnąć przed swoją panią, nawet kosztem złamanego nosa. Robin udało się kilku załatwić na dobre i porządnie dopieć reszcie, ale dość szybko uległa przewadze liczebnej. Zobaczyła, że Chris leży również, zaś Gaja spokojnie sadowi się z powrotem na krzesło.

– Puśćcie ich – powiedziała. Z ust ściekała jej strużka krwi, ale mimo to uśmiechała się szeroko. Może właśnie dlatego Robin nie zauważyła tego w pierwszej chwili. Wstała i stanęła obok Chrisa. Podniosła do ust skaleczoną rękę, żeby zlizać krew.

– Rozumiesz co mam na myśli? – spytała Gaja, jakby nigdy nic. – Tamten człowiek, który przyszedł tu tak dawno temu, nie zrobiłby czegoś takiego. I to mi się podoba, mimo że posunąłeś się za daleko. Ale zawrę z tobą umowę. Nie sądzę, żebyś miał zostać ze mną dłużej. Znam się na tych sprawach o wiele lepiej niż ty, wiem co nieco o miłości tytanii i o różnicy, jaka dzieli ją od ludzkiej odmiany tego uczucia. Twoja przyjaciółka

wkrótce zaczniesz rozkładać nogi przed innymi. Spokojnie, po co to powtarzać? – Czekala, aż się uspokoi. – Twoja reakcja potwierdza tylko moje zdanie. Nie przeczę, że ona cię kocha, ale będzie też kochać innych. Nie poradzisz sobie z tym. Będziesz strasznie rozgoryczony.

– A założysz się o to?

– To właśnie jest treścią umowy. Wróc za... no, powiedzmy, za pięć miriaobrotów.

Nie, będę hojna. Niech będzie cztery. To znaczy za jakieś cztery i pół roku. Jeśli nadal będziesz chciał, żebym cofnęła efekty kuracji i wciąż będziesz chciał śpiewać, zrobię to dla ciebie. Umowa stoi?

– Stoi. Wrócę tu.

Robin nie dosłyszała, czy powiedział coś więcej. Dopiero teraz do jej świadomości dotarło, którą część własnej dłoni trzyma w ustach. Wytrzeszczyła oczy w niewypowiedzianym przerażeniu, wrzasnęła i skoczyła. Gaja raz jeszcze została zwalona z krzesła, a Robin straciła pamięć. A kiedy ją odzyskała, stwierdziła, że siedzi na podłodze i czuje ból w małym palcu, którego przecież nie miała. Gryzła go z desperacją, a Chris usiłował odciągnąć jej rękę. Trwało to tylko chwilę. Wyjęła go sama i tępo oglądała ślady zębów.

– Nie umiem tego zrobić – powiedziała.

– Nigdy nie umiałaś – przypomniała jej Gaja. – Odcięłaś go sobie nożem, pamiętasz?

To środki masowego przekazu podały, że go odgryzłaś. Niezłe z ciebie było ziółko: żeby podnieść wartość swojego image'u, wyprułaś sobie nawet flaki. Obawiam się, że byłaś utrapieniem, które tylko własna matka mogła kochać. – Jej głos lekko chrypiał. – Od tego czasu nie zmieniłaś się zbyt. Dzieci, bądźcie grzeczne. Dwa razy jednego dnia? Czy naprawdę trzeba mnie atakować i bić? Pytam się, jaki Bóg zniósłby coś takiego?

Robin przestało interesować, co mówi Gaja. Niestety, musiała częściowo przyznać jej rację. Nie była już Robin Dziewięciopalcą.

– Nie musicie się ze mną żegnać. Po prostu wyjdźcie – powiedziała Gaja.

Chris pomógł Robin wstać i całą drogę do windy, spodziewając się, że może z niej wylecieć do Szprychy Rei, Robin zastanawiała się, czy tatuaż na jej brzuchu też został zmieniony i wiedziała, że nie spojrzy na niego tak długo, jak będzie możliwe.

42. Bitwa wiatrów

Cirocco siedziała na płaskim stopniu wyrąbanym na skale nad Miejscem Wiatrów, na zachodnim pograniczu mesopodobnej formacji, dzięki której kabel zwany Schodami Ciocco tak bardzo przypominał dłoń zagarniającą ziemię Wschodniego Hyperionu. Pod nią rozcapierały się palce plaży, połyskiwały węzłaste kłykcie wypolerowane milionami lat uderzeń wiatrów. Pośród pasm plaży, tam, gdzie między palcami zazwyczaj znajdują się błony, rozdziawiały paszcze eliptyczne otchłanie, połykające powietrze i pompujące je do wewnętrznych kanałów kabla, skąd unosiło się, rozlewało po odległej piasku, a następnie spadało przez szprychy, zamykając wielki cykl odrodzeń, który stanowił istotę życia Gai. Ziemia w tym miejscu była naga, ale ciało Ciocco pełne było bujnych wibracji życia, które tętniło pod nią, wokół niej, przenikając każdą molekułę.

Gaja była tak potwornie wielka, rozpacz była tak łatwa.

Całkiem możliwe, że w całej historii Gai znalazła się tylko jedna osoba, która odważyła się jej przeciwstawić. Ciocco, Wielka Czarodziejka, udawała, pyszniła się, że potrafi rozmawiać z Gają jak równa, z równą, ale tylko ona wiedziała, że to wyłącznie pozory. Tylko ona była w stanie ułożyć obrzydliwą listę własnych zbrodni. Z początku Gaja musiała chodzić na palcach wokół Czarodziejki, aby ją odpowiednio poskromić.

W miarę upływu czasu, nawet nie musiała podnosić stopy – Ciocco wiała się pod nią jak

robak i każdą presję odczuwała jedynie jako pochwałę albo naganę.

Teraz stało się oczywiste, że postępowała roztropnie. Ta, która odważyła się zbuntować, już nie żyła, a jej szczątki pochłonęła gniewna ziemia, ciało Gai. Lekcja przyniosła pożądany skutek. Nie ulegało wątpliwości, że Gaby była głupia. Jej rebelia, żalosna i krótkotrwała, przeminęła wraz z jej życiem. Nawet nie zdążyła nic zrobić, bo została przeciwko niej skierowana cała potęga Gai. Gaja zabiła Gaby z taką beztroską, z jaką śpiący słoń miażdży swym ciałem mrówkę.

Cirocco trwała w bezruchu przez wiele godzin, kiedy usłyszała za sobą krzyk.

Odwróciła głowę i wstała. Anioł z początku był tylko skrzydlatą plamką, ale rósł coraz szybciej. Zwinnie manewrował wielobarwnymi skrzydłami na zdradliwym wietrze, a potem wylądował w odległości dwóch metrów od Cirocco. Tuż za nim przysiadło pięć innych.

– Wrócili do Titanown – powiedział anioł. Napięcie mięśni ramion Cirocco nieznacznie ustąpiło.

– Uparli się, by tam pójść, a najwyraźniej gniew Gai nie ogarniał tak nędznych istot.

– Anioł wpatrywał się zmrużonymi oczyma w Czarodziejkę. – Jesteś pewna, że chcesz to zrobić? – zapytał.

– Nigdy niczego nie jestem pewna. Zbierajmy się. Podeszła do skraju urwiska, a anioły podążyły za nią. Pod nimi znajdował się wlot zwany Wielkim Wyjciem lub Przednim Krocem Gai, ponieważ ta przeogromna, pionowa szczelina między dwoma udami skał przypominała vaginę. Otwór stale śpiewał żałobnym basem.

Anioły poderwały się do lotu. Dwa ujęły jej ramiona swymi szponiastymi dłońmi.

Pozostałe cztery miały je zmieniać podczas niebezpiecznego lotu w całkowitej ciemności.

Cirocco zstąpiła w przepaść, a wiatr porwał ją jak liść. Wlecieli do kabla i pomknęli w stronę piasty.

43. Cienka czerwona linia

Ciocco nazywała to Szalonym Podwieczorkiem, choć wiedziała, że to błędna nazwa.

Po prostu od jakiegoś czasu czuła się trochę jak Alicja. Żałosna świta, która otaczała Gaję, bardziej pasowałaby do egzystencjalnych scenerii Becketta niż do Krainy Czarów Carrolla. Nie byłaby jednak zdziwiona, gdyby ktoś poczęstował ją połową filiżanki herbaty.

Tłum znakomicie wyczuwał zmiany nastrojów Gai. Ciocco nigdy nie widziała ich ani tak zdenerwowanych, ani tak czujnych, jak w chwili, gdy Gaja raczyła wreszcie zwrócić na nią uwagę.

– Pięknie, pięknie – zagrzmiała Gaja. – Czyżby to sama Kapitan Jones? Czemuż to zawdzięczamy zaszczyt tej spontanicznej i niezapowiedzianej wizyty? Hej ty, jak ci tam, przynieś dużą szklankę czegoś zimnego dla Czarodziejki. Nieważne czego, byle tylko nie zawierało wody. Usiądź sobie tutaj, Ciocco. Czy mogę cię poczęstować czymś jeszcze? Nie? Świetnie. – Gai najwyraźniej zabrakło pomysłów, bo zamilkła. Usiadła na swym szerokim krześle, mamrocząc coś do siebie do czasu, aż Ciocco nie dostała drinka.

Ciocco spojrzała na szklankę, jakby widziała coś takiego po raz pierwszy w życiu.

– Może wolisz całą butelkę – zaproponowała Gaja. Ciocco spojrzała jej w oczy, potem przeniósła wzrok na szklankę i powoli ją przechyliła. Na podłodze pojawiła się mokra plama. Cisnęła szklankę w górę. Leciąca bardzo długo, minąwszy po drodze krąg światła. Plama na podłodze zaczęła wsiąkać w dywan.

– Czy w ten sposób chcesz mi oznajmić, że skończyłaś z piciem? – spytała Gaja. –

A może tak jak Shirley Temple? Właśnie dostałam świetny mikser od wielbiciela z Ziemi. Jest ceramiczny, kształtem przypomina Wenus z Milo i ośmielę się twierdzić, że jest wart mnóstwo forsy. Można w nim robić martini wlewając dzin do szyjki, a wermut

do...

– Zamknij się.

Gaja lekko przekrzywiła głowę, zamyśliła się i umilkła. Złożyła ręce na brzuchu i czekała.

– Przyszłam złożyć swoją rezygnację.

– Nie prosiłam o nią.

– Ale właśnie ją otrzymujesz. Nie chcę już być Czarodziejką.

– Już nie chcesz. – Gaja zacmokała ze smutkiem. – Wiesz, że to nie jest takie proste.

Ale zachodzi tu jednak pewien zbieg okoliczności. Przez ostatnie kilka lat zastanawiałam się, czy mam ci przedłużyć umowę o pracę. Wymagałoby to oczywiście dodatkowego wynagrodzenia, które równałoby się wyrokowi śmierci, więc nie postępowalam pochopnie. Faktem jednak jest, że dawno już przestałaś należycie wypełniać swoje obowiązki, o ile w ogóle jeszcze pamiętasz warunki, na jakich cię zatrudniłam.

– Gadaj sobie, co chcesz. Fakt jest taki, że składam wypowiedzenie i odchodzę natychmiast po następnym Karnawale w Hyperionie. Do tego czasu odwiedzę wszystkie pozostałe obszary zamieszkałe przez tytanie, aby...

– Odchodzisz natychmiast?! – Gaja okazała udawane zdziwienie. – Czy wy ją słyszycie? Tyle zuchwalstwa i to wszystko w ciągu jednego dnia! – Roześmiała się, a jej akolici odpowiedzieli chórem. Cirocco spojrzała na jednego z ludzi, który natychmiast uznał, że lepiej będzie usunąć się z zasięgu jej wzroku. Tymczasem zapadła cisza i Gaja gestem dłoni nakazała jej kontynuować.

– Mam niewiele do dodania. Obiecałam, że ten Karnawał przejdzie do historii i dotrzymam słowa. Żądam jednak, byś potem wprowadziła inną metodę rozmnażania tytanii, na którą ja muszę wyrazić zgodę. Ma temu towarzyszyć dziesięcioletni okres

próbny, w trakcie którego będę sprawdzała, czy w tej nowej metodzie nie kryje się jakiś podstęp.

– Jesteś wymagająca – zauważyła Gaja i zacisnęła wargi. – Powiem ci, Cirocco: bezwzględnie mną manipulujesz. Szczerze mówiąc, nie sądziłam, że będziesz na tyle rozsądna, aby się tu pojawić po tym wszystkim, czego się dowiedziałaś. To jednak dobrze o tobie świadczy i dowodzi, że masz te zalety, które w tobie dostrzegłam, zanim uczyniłam cię Czarodziejką. Jeśli sobie przypominasz, należały do nich odwaga, zdecydowanie, żądza przygód i zdolność do heroicznych czynów: cechy, które obecnie utraciłaś. Nie miałam zamiaru mówić ci o moich ostatnich wątpliwościach. Ale ty nagle wysuwasz tak głupie żądania, że zastanawiam się, czy przypadkiem nie postradałaś zmysłów.

– Właśnie je odzyskałam.

Gaja zmarszczyła czoło. – Porozmawiajmy o tym otwarcie, dobrze? Obydwie wiemy, czego dotyczy ta cała rozmowa. Przyznaję, że postąpiłam pochopnie i trochę przeholowałam. Ale ona też była głupia. To nie było rozsądne z jej strony wykorzystywać te dzieci, ale niewątpliwie w jej stanie nie mogła myśleć o wszystkim. Jest jednak faktem, że Ga...

– Nie wymawiaj jej imienia. – Cirocco podniosła głos tylko odrobinę, ale Gaja natychmiast urwała, a pierwsze rzędy jej audytorium odruchowo się cofnęły. – Nigdy więcej nie wymawiaj przy mnie jej imienia.

Wbrew wszelkim przypuszczeniom Gaja okazała prawdziwe zaskoczenie.

– Jej imienia? Co ma z tym wspólnego jej imię? Nie widzę w tym żadnego sensu, chyba że dałaś się porwać opowieściom o swych rzekomych magicznych mocach. Imię to tylko dźwięk, nie zawiera żadnej mocy.

– Nigdy więcej jej imię nie padnie z twych ust. Gaja po raz pierwszy wyglądała na rozzłoszczoną.

– Już dość się nasłuchałam – powiedziała. – Nie chcę, by każdy dzień zaczynał się i kończył rzeźnią i tylko dlatego znoszę obrazy, jakich nie zniósłby żaden inny Bóg. Ale nadużywasz mojej cierpliwości. Powiem tylko tyle, a ty potraktuj to jako ostrzeżenie.

– Nasłuchałaś się tyle, bo to uwielbiasz – powiedziała spokojnie Cirocco. –

Traktujesz życie jak grę, w której poruszasz pionkami. Im lepsze przedstawienie dostajesz w zamian, tym bardziej jesteś zadowolona. Zmuszasz tych ludzi, żeby całowali twoją dupę, kiedy tylko zechcesz. Ja natomiast będę cię obrażała, kiedy sama zechcę.

– Oni też by tak chcieli – powiedziała Gaja i znowu się uśmiechnęła. – Oczywiście, masz rację. Raz jeszcze udowodniłaś, że jak się postarasz, to dajesz lepsze przedstawienie niż inni. – Czekala, najwyraźniej spodziewając się, że Cirocco zechce coś dodać. Ta jednak milczała. Wsparła głowę na oparciu krzesła i wpatrywała się w daleką, idealnie prostą, ostrą jak brzytwa linię czerwonych świateł. Od razu rzuciły jej się w oczy podczas pierwszej wyprawy do piasty, tak wiele lat temu. Stały wtedy obok siebie z Gaby, zastanawiając się, co to właściwie jest, ale linia była zbyt wysoko, by mogły sprawdzić. Nie było sposobu na dostanie się tam. Jednak nawet wtedy Cirocco czuła, że to na pewno coś ważnego. Było to tylko przeczucie, ale ona zazwyczaj ufała swoim przeczuciom. Żyła tam jakaś istotna część Gai, w najbardziej niedostępnej części świata pełnego oszałamiających perspektyw. Linia była położona co najmniej dwadzieścia kilometrów ponad miejscem, w którym stało jej krzesło.

– Moim zdaniem powinnaś być zainteresowana moją odpowiedzią na twoje żądania

– powiedziała wreszcie Gaja. Cirocco opuściła wzrok i spojrzała ponownie na Gaję. Od samego początku spotkania jej twarz nie zdradzała żadnych emocji.

– Zupełnie mnie to nie interesuje. Powiedziałam ci już, co mam zamiar zrobić

i powiedziałam ci, co ty zrobisz. Nie ma już o czym mówić.

– Wątpię. – Gaja spojrzała na nią z ukosa. – Bo to jest absolutnie niemożliwe. Musisz sobie z tego zdawać sprawę, musisz też dysponować jakąś groźbą, chociaż nie, doprawdy nie wyobrażam sobie, co by to mogło być.

Ciocco ledwie raczyła na nią spojrzeć.

– Chyba sobie nie myślisz, że ja potulnie wykonam... spełnię twoje wymagania, jeśli tak wolisz. Wymagania czy żądania, wszystko jedno, skoro odpowiedź jest i tak negatywna. Musisz mi więc powiedzieć, co zrobisz.

– Odpowiedź brzmi nie?

– Właśnie tak.

– Więc muszę cię zabić.

W czeluściach piasty nie było słyhać żadnego dźwięku. Za krzesłem Gai stało kilkuset ludzi w luźnych grupach, chłonąc każde jej słowo. W większości przypadków trzymał ich w tym miejscu strach; z pewnością byli też ciekawi, co Gaja robi teraz z tą kobietą. Z pewnością było jednak wśród nich kilku takich, którzy patrzyli na Ciocco i zastanawiali się, czy złożyli lenno właściwej osobie.

– Ty chyba naprawdę postradałeś zmysły. Nie masz ani uranu, ani plutonu, ani też możliwości ich zdobycia. Wątpię zresztą, czy potrafiłabyś się nimi posłużyć. Gdybyś potrafiła sfabrykować jakąś bombę atomową przy pomocy magii, którą wydaje ci się, że posiadasz, nie użyłabyś jej, bo zniszczyłaby twoje ukochane tytanie. – Znowu westchnęła i beztrąsko machnęła ręką. – Nigdy nie udawałam, że jestem nieśmiertelna. Wiem, ile mi zostało czasu. Nie jestem niezniszczalna. Duże ilości bomb atomowych, odpowiednio rozmieszczonych, mogłyby spowodować rozpad mojego ciała albo sprawić, że nie

nadawałabym się do zamieszkania. Mówiąc krótko, nic nie może mi porządnie

zaszkodzić. Jak więc chcesz mnie zabić?

– Gołymi rękoma, jeśli zajdzie potrzeba.

– I zginiesz próbując to zrobić.

– Jeśli będzie trzeba.

– Nie ma innej możliwości. – Gaja zamknęła oczy i poruszała bezgłośnie ustami.

W końcu znowu spojrzała na Cirocco.

– Powinam się była tego spodziewać. Czułabyś znacznie mniej bólu, gdybyś

wyrzekła się życia po tym, co się stało. To moja wina, przyznaję, ale nie chciałam patrzeć, jak się marnujesz. Jesteś warta więcej niż ci wszyscy tutaj razem wzięli, a może nawet jeszcze więcej.

– Nie będę nic warta, dopóki nie zrobię tego, co powinam.

– Cirocco, przepraszam za to, co zrobiłam. Czekał, czekał wysłuchaj mnie. Daj mi szansę. Myślałam, że uda mi się to ukryć, ale myliłam się. Nie zaprzeczysz, że ona knuła spisek przeciwko mnie i że ty jej pomagałaś...

– Nie żałuję niczego prócz tego, że wahałam się zbyt długo.

– Jasne. To zrozumiałe. Znam głębię twojej goryczy i nienawiści. Wszystko to takie niepotrzebne, bo to” co robiłam, wynikało bardziej z pychy niż ze strachu. Nie sądzisz chyba, że się poważnie przejęłam jej mizernymi usiłowaniami...

– Uważaj na to, co o niej mówisz. Drugi raz nie będę ostrzegać.

– Przepraszam. Pozostaje jednak fakt, że żadna z was nie mogła działać nic, co w istotny sposób zepsułoby mi samopoczucie. Zniszczyłam ją za bezczelność i czyniąc to, straciłam twoją lojalność. Uważam, że była to wysoka cena. Chcę cię odzyskać, choć obawiam się, że nie jestem w stanie. Mimo to pragnęłabym, żebyś tu została, choćby

tylko po to, aby to miejsce nabrało trochę klasy.

– Rzeczywiście by mu się to przydało, niemniej i tak nigdy nie będę miała na to ochoty.

– Nie doceniasz siebie. Żądasz niemożliwego. Nie jesteś pierwszą Czarodziejką, którą mianowałam podczas trzech milionów lat. Jest tylko jeden sposób na złożenie wymówienia: nogami do przodu. Nikt dotąd czegoś takiego nie przeżył i nikomu się to nie uda. Ale jest coś, co mogę zrobić. Mogę ją wskrzesić.

Ciocco ukryła twarz w dłoniach i przez dłuższy czas nie odzywała się ani słowem.

W końcu poruszyła się, wsunęła dłonie pod swoje niekształtne ponczo i objawszy się nimi, zaczęła kołysać.

– To jest jedyna rzecz, której się bałam – powiedziała w przestrzeń.

– Mogę ją wiernie odtworzyć – ciągnęła Gaja. – Wiesz, że posiadam próbki waszych tkanek. Kiedy byliście wstępnie badane i kiedy zgłaszałaś się do operacji unieśmiertelniających, podsłuchałam twoje wspomnienia. Wspomnienia o niej są całkiem świeże. Mogę wyhodować jej ciało i wlać w nie jej duszę. Będzie sobą, przysięgam, nie będzie można niczego odróżnić. To samo zrobię z tobą, jeśli mimo wszystko trzeba jednak będzie cię zabić. Mogę ci ją oddać, z jedną tylko różnicą: nie będzie już chciała mnie zniszczyć. Tylko to i nic więcej.

Czekała, ale Ciocco nic nie mówiła.

– Bardzo dobrze – powiedziała Gaja i machnęła niecierpliwie ręką. – « Nawet tego nie zmienię. Będzie sobą pod każdym względem. Już chyba nic lepszego nie mogę ci zaproponować.

Ciocco wpatrywała się w jakiś punkt tuż nad głową Gai. Potem przeniosła na jej krzesło.

– Tylko tego naprawdę się bałam – powtórzyła. – Myślałam nawet, by tu nie przychodzić, by nie usłyszeć tej propozycji i nie dać się kusić. Bo to jest kuszenie. Tak przyjemnie byłoby poczuć się lepiej, znaleźć wymówkę do dalszego życia. Ale wtedy wyobraziłam sobie, co by o tym pomyślała Gaby i zrozumiałam, że byłaby to chamska, sprzedajna, obrzydliwa czarna magia. Przeraziłaby ją sama myśl, że żyje nadal jako mała lalka Gaby wykonana przez ciebie z twojego własnego zgniłego mięsa. Chciałaby, żebym natychmiast zniszczyła coś takiego. I wiem, że za każdym razem, patrząc na to, wyżerałam sobie bebechy, dopóki nic by z nich nie zostało.

Westchnęła, podniosła wzrok, a potem spojrzała na Gaję.

– Czy to jest twoje ostatnie słowo? – spytała Cirocco.

– Tak. Nie zamierzam...

Szereg eksplozji zlał się w jeden huk. W przodzie poncza Cirocco wykwitło pięć dziur, a jej ciężkie krzesło przesunęło się dwa metry do tyłu, nim jeszcze skończyła strzelać. Tył głowy Gai rozprysnął się krwawo. Przynajmniej trzy kule przeszły jej ciało na wysokości piersi. Jej ciało upadło i potoczyło się jakieś trzydzieści metrów nim znieruchomiało.

Cirocco wstała, lekceważąc pandemonium, a potem podeszła do niego. Wyciągnęła spod poncza automatycznego kolta kalibru 45, należącego do Robin, wycelowała go w głowę Gai i wystrzeliła trzy ostatnie pociski. W gęstniejącej ciszy jej ruchy nabrały szybkości i precyzji. Wyjęła metalową puszkę i poliała zwłoki przezroczystym płynem, Rzuciła zapalkę i odsunęła się, gdy płomienie buchnęły i zaczęły pełznąć po dywanie.

– To tyle, jeśli chodzi o gesty – powiedziała, po czym odwróciła się w stronę tłumu.

Wskazała pistoletem najbliższą katedrę.

– Biegnijcie w stronę szprychy, to jest wasza jedyna szansa – powiedziała. – Kiedy

będziecie na skraju, skaczcie. Złapią was anioły i przeniosą bezpiecznie do Hyperionu. – Powiedziawszy to, zapomniała o nich całkowicie. Nie miało znaczenia, czy będą żyć, czy zginą.

Oddychając gwałtownie, wyrzuciła pusty magazynek i wyjęła nowy z ukrytej kieszeni. Załadowała go, zarepetowała, po czym odeszła od rozprzestrzeniającego się ognia.

Kiedy już była dostatecznie daleko, by widzieć wszystko wyraźnie, rozstawiła szeroko nogi i uniosła pistolet ponad głowę. Celując prawie pionowo zaczęła strzelać, mierząc w cienką czerwoną linię. Nie przestała dopóki nie opróżniła całego magazynka. Wyciągnęła nowy i załadowała ponownie.

44. Piorun i płomień

Poczuła niepokój w trakcie opróżniania czwartego magazynka. Z początku nie mogła pojąć, co mogło go spowodować. Potrząsnęła głową, wycelowała i strzeliła po raz kolejny. Z trudem przełknęła ślinę. Całkiem możliwe, że „pokaz” wciąż trwał; nie miała możliwości, by się o tym przekonać. Nawet jeśli trafiła tego potwora, to jej kule były małe i prawdopodobnie nie spowodowały wielkiej krzywdy. Oddała kolejny strzał i już miała zrobić to jeszcze raz, kiedy niepokój powrócił, silniejszy niż przedtem.

Coś nakazywało jej uciekać. Innym razem takie niezwykle uczucie rozbawiłoby ją, ale nie teraz. Strzeliła jeszcze dwa razy i pusta komora otworzyła się. Rzuciła na podłogę niepotrzebny magazynek. Upadł z głośnym szczękiem. Znowu przełknęła ślinę. Uczucie powróciło, jeszcze silniejsze. Z niewiadomych powodów w oczach zapiekły jej łzy.

Czekanie na śmierć okazało się znacznie dłuższe, niż przewidywała.

Wreszcie jednak zrozumiała, co ją niepokoiło i poczuła, jak jeży jej się meszek porastający ramiona i kark. Nie wiadomo na jakiej podstawie, ale była przekonana, że to

Gaby każe jej się ruszać.

To była jakaś sztuczka Gai. Zrobiła niepewnie kilka kroków i poczuła się lepiej.

Kiedy jednak przystanęła, niepokój natychmiast powrócił.

Dlaczego tak stanowczo chciała umrzeć? Przedtem miała inne plany, choć oczywiście była przygotowana na śmierć. Zrobiła już to, co musiała i teraz należało uciekać. Czy to jakiś podstęp? Czy głos Gaby zaszczerpiła w jej umyśle Gaja, żeby ją zdezorientować dopóki nie przybędzie straż?

Jednak nagle zaufała głosowi. Zaczęła iść w stronę katedr. Powietrze pękło, kiedy w miejsce, na którym przed chwilą stała, uderzyła błyskawica. Poderwała się do biegu. Całe otoczenie dyszało gniewem Gai. Czerwona linia nad jej głową rozjarzyła się jeszcze mocniej.

Skacz!

Posłuchała, rzucając się w lewo, a tam, gdzie była przedtem, ponownie uderzyła błyskawica.

W ledwie wyczuwalnej grawitacji piasty można było rozwinąć zawrotną prędkość, niemniej jednak trwało to długo. Stopy z trudem odpychały podłogę, toteż aby uzyskać odpowiednie przyspieszenie, Cirocco musiała zacząć od krótkich, gwałtownych kroków i stopniowo je wydłużać, dopóki jej stopy nie zaczęły stykać się z podłożem w wielometrowych odległościach. Raz uzyskanej szybkości już nie utraciła. Pędziła przed siebie sporadycznie odbijając się od podłogi, mając za plecami bezustanny łomot błyskawic.

Najtrudniej było zmienić kierunek. Miała wielkie trudności, kiedy postanowiła skręcić w prawo. Nie potrafiła natomiast stwierdzić, czy ten manewr był konieczny. Tam, gdzie znajdowała się przedtem, błyskawica nie uderzyła.

Podłoga zatrzęsała się pod stopami. Niektóre z katedr, trafione kilkakrotnie przez pioruny i targane wstrząsami, zaczynały się rozpadać. Biegła w stronę uciekających ludzi, po ścieżce usłanej szczątkami kamiennych gargulców. Igllice wolno się kołysały, pokrywały siatką pęknięć i już po chwili w dół leciały monstrualne kamienne bloki. Choć ważyły najwyżej kilka kilogramów, ich masa mogła zmiażdżyć wszystko, co napotkały na swej drodze.

Nagle zorientowała się, że pędzi wprost na replikę Notre Dame. Było za późno, by się zatrzymać. Uniosła nogi i poszybowała w powietrzu, wbijając się w podłoże na głębokość pół metra. Potem odbiła się ponownie. Zmiotła swym ciałem stożkowaty dach, wolno wylądowała i raz jeszcze podskoczyła. Pod nią, niczym rozwścieczone mrowisko, kłębiły się pozostałości po Zwariowanym Podwieczorku. Tuż przed sobą widziała spadzisty skraj wylotu do Szprychy Rei. Nie dotknęła już podłoża – siła bezwładności pchała ją w otchłań. Kilku ludzi dotarło już nad skraj i stali tam teraz, wpatrując się w przepaść, do której nigdy nie odważyliby się skoczyć.

Ciocco sięgnęła pod fałdy poncza i wyciągnęła małą butelkę sprężonego powietrza.

Obróciwszy się twarzą do czerwonej linii przyłożyła jeden z końców cylindra do brzucha i przekręciła zawór na drugim końcu. Zawór zasyczał, a silny odrzut omal nie obrócił jej dookoła, udało jej się jednak zachować równowagę. Wkrótce zauważyła, że nabiera prędkości.

Opróżnioną butelkę odrzuciła najdalej, jak mogła. Potem pozbyła się również dwóch ostatnich magazynków wraz z całą zawartością kieszeni. Gdy miała wyrzucić pistolet, zawahała się. Robin na pewno chciałaby go dostać z powrotem, gdyby coś takiego było w ogóle możliwe. Natychmiast zdjęła czerwone ponczo, zwinęła je w ciasną kulę i również wyrzuciła. Pospiesznie pozbywała się wszystkich przedmiotów zwiększających

jej masę.

Cholera! Trzeba było wystrzelić pozostałe pociski zamiast je wyrzucać. Uratowałyby wtedy ponczo. Nie potrafiła jednak myśleć o wszystkim na raz. Kiedy się obróciła, zobaczyła, że to i tak nie miało większego znaczenia. Cylindryczne wnętrze Szprychy Rei trzeszczało milionami elektrycznych wężów. Chwilę wcześniej miała odrobinę nadziei, ale teraz nic już jej nie mogło uratować przed tą gigantyczną chłostą.

W dole wypatrzyła sylwetki kołujących wolno członków jej anielskiej eskorty, dokładnie w tym miejscu, gdzie kazała im czekać. W pewnym momencie jeden z aniołów został trafiony i w górę wytrysnęła fontanna piór. Na chwilę odwróciła wzrok, czując, jak ogarniają ją mdłości. Kiedy zmusiła się, by znowu spojrzeć w dół, zobaczyła, że mimo jej obaw pozostała piątka aniołów nie rozprasza się. Na pierwszy rzut oka mogło się wydawać, że uciekają, bo widziała tylko ich stopy i szaleńczo łopoczące skrzydła, ale szybko pojęła, że oni przewidzieli kłopoty znacznie wcześniej, niż ona, dzięki swej nieporównanie lepszej znajomości balistyki. Kiedy kilka sekund później przelatowała obok nich, poczuła ulgę, że jednak nie wystrzeliła ostatnich kul. Nabrała już wystarczającej prędkości, by niebezpieczeństwo, że ich prześcignie stało się realne. Odwróciła się i spadała teraz plecami ku ziemi. Nie było sensu przejmować się błyskawicami, bo i tak nie mogła im uciec. Rozpostarła ramiona, by częściowo wytracić prędkość. Anioły ściągały jej spadające ciało w tunelu, wśród ścian rozmazanych w jedną, migotliwą smugę.

45. Szczęście i sława

Valiha wymieniła swoje kule na tytanijską wersję fotela na kółkach, wyposażonego w szerokie gumowe opony metrowej średnicy, przymocowane do drewnianego stelaża nieco szerszego od jej ciała. Jej ludzki tors otaczały mocne poprzeczki, a na nich

zawieszony był płócienny wór z otworami na przednie nogi i pasami, które łączyły całość konstrukcji. Z początku Chris uważał ten pojazd za dość dziwaczny, ale szybko zmienił zdanie, gdy zobaczył, jak znakomicie spełnia swoje funkcje. Valiha miała się poruszać przy jego pomocy jeszcze przez jakiś czas. Mimo iż jej nogi były już zdrowe, lekarze tytanii byli w takich sprawach niezwykle konserwatywni.

W tym wehikule potrafiła wyprzeć biegnącego Chrisa. Jej jedynym problemem były zakręty, bo musiała wtedy zwalniać. I tak samo jak to bywa z wszystkimi rodzajami wózków na kołach, ten także źle sprawował się na schodach. Valiha obrzuciła spojrzeniem szerokie, drewniane schody ukryte wśród zielonawego listowia skraju Titantown, skrzywiła się i powiedziała:

- Chyba go wniosę.
- Już widzę jak spadasz – odparł Chris. – Zaraz zawołam Robin. Serpent, gdzie jest koszyk z prowiantem?

Na twarzy dziecka pojawił się wyraz zdziwienia, a potem wstyd.

- Chyba go zapomniałem.
- No to biegnij do domu i przynieś go, tylko nie zatrzymuj się nigdzie po drodze.
- W porządku. Do zobaczenia. – Zniknął w tumanie pyłu.

Chris wszedł na schody. Czuł się w tym otoczeniu jak podczas wakacji na wsi. Litery wykonane z patyków powiązanych sznurkami, przypominające napisy przy wejściu do obozu harcerskiego, głosiły: „Hotel Titantown”. Wspiął się na czwarty poziom i zapukał do drzwi opatrzonych numerem trzecim. Wszedł do środka, gdy Robin zawołała, że drzwi są otwarte. Właśnie pakowała plecak.

- Nigdy niczego nie gromadziłam – powiedziała, ocierając pot z czoła wierzchem dłoni. Był to kolejny, upalny dzień w Hyperionie. – Dostrzegam w sobie chyba jeszcze

jedną zmianę. Nie lubię niczego wyrzucać. Może byś tak usiadł? Zaraz zrobię ci

miejsce... – Zaczęła przekładać stertę koszul i spodni, w większości stanowiących produkty rękodzieła tytanii.

– Przyznaję, że dziwi mnie ten widok – powiedział siadając. – Myślałem, że zostaniesz tu przynajmniej do czasu, kiedy będziemy już wiedzieć, czy Cirocco się powiodło...

Robin cisnęła brzydką bryłę metalu na łóżko, na którym siedział. Był to, odziedziczony przez nią w spadku, colt 45.

– Dostarczono go kilka godzin temu – powiedziała. – Nic nie słyszałeś? Całe miasto aż huczy. Te pogłoski, które słyszeliśmy kilka dni temu, okazały się prawdziwe: w niebie odbyła się wielka bitwa, a Czarodziejce udało się uciec. Gaja nie jest specjalnie zadowolona, wszędzie węższą jej szpiedzy. Jedni mówią, że Karnawał został zlikwidowany raz na zawsze, a rasa tytanii skazana na zagładę. Inni zaś twierdzą, że Karnawał się odbędzie, ale z opóźnieniem. Ponoć Cirocco jest ciężko ranna i zapadła w śpiączkę. Albo nic jej nie jest i to ona zraniła Gaję. Takie plotki słyszałam nawet nie ruszając się z hotelu.

Chris był zdziwiony, ale nie tym, że nic nie słyszał. Spędził cały dzień w domu z Valihą i Serpentem, a potem przyszedł prosto do hotelu. O rozruchach rozmawiali już kilka dekaobrotów wcześniej, gdy kabel Miejsca Wiatrów zaczął się powoli chwiać, a od strony Rei dobiegał ciągły, dudniący pogłos.

– Co wiesz na pewno? Robin poklepała swoją broń.

– Właśnie to. Rewolwer jest tutaj, a więc Cirocco dotarła do obręczy. Mam nadzieję, że zrobiła z niego dobry użytek. Nie mam jednak zielonego pojęcia, co się tam naprawdę wydarzyło.

- Może ona nie ma odwagi się tutaj pokazać – zasugerował Chris.
- Taką plotkę też słyszałam. Miałam nadzieję... och, że ona może tu przyjdzie i sama odda mi broń, więc będę miała okazję... cóż, gdy odchodziła, nawet nie mogłam jej odpowiednio podziękować. Teraz może już nigdy nie będę mogła. To dzięki niej Trini na mnie czekała.
- Wątpię, czy znalazłabyś odpowiednie słowa. Bo ja na pewno nie.
- Pewnie masz rację.
- Ostatnim razem, kiedy ją widziałem, stale mnie przeproszała za wszystkie kłopoty.
- Mnie też. Ona chyba myślała, że umrze. Ale jak ją mogłam winić. Skąd miała wiedzieć, co... co się... – Przyłożyła rękę do brzucha i na jej twarzy na moment zagościło wahanie.
- Uważaj – ostrzegał ją Chris.
- Zdaje się, że z tobą mogę o tym rozmawiać, czy nie tak?
- Miałaś mdłości?
- Nie wiem, naprawdę. Chyba się bałam, że dostanę mdłości. Nie będzie z tym łatwo żyć.

Chris wiedział, co miała na myśli, ale była zdania, że za kilka miesięcy przestaną zwracać uwagę na ten pożegnalny dowcip Gai..

Znali już rozwiązanie zagadki, ale nie mogli wyjawić go komukolwiek. Kiedy wreszcie znaleźli czas, by wszystko przemyśleć, wydało im się dziwne, że pomimo tylu prac badawczych przeprowadzonych na Gai i doświadczeń całych rzesz pielgrzymów proszących ją o uzdrowienie, żadna książka nie zawierała wzmianki o Wielkim Upadku. Powód był prosty. Gaja nie pozwalała nikomu o tym mówić. Nie mogli rozmawiać ani o swoich indywidualnych próbach, ani też o próbach innych ludzi. Absolutnie nikt nie

niał prawa się dowiedzieć, że pielgrzymom stawia się warunki wyleczenia.

Chris był pewien, że jest to najlepiej strzeżony sekret stulecia. Podobnie jak kilka tysięcy innych, którzy go dzielili, nie był zdziwiony, że nikt mu nic wcześniej nie powiedział. Zaraz po powrocie do Titantown zarówno on, jak i Robin zmusili się, by sprawdzić, jak mocny jest system zabezpieczający, o którym im opowiedziano.

Obydwoje postanowili, że już nigdy tego nie zrobią.

Chris nie był dumny z tego faktu, ale przekonał się, że to wszystko jest prawdą. Gaja wyposażyła go w jakiś psychologiczny blok. W pewien sposób jakoś sobie z nim radził – mógł swobodnie rozmawiać z Robin albo z kimś, kto wiedział o całej sprawie. Ile razy jednak próbował porozmawiać z kimkolwiek obcym o Wielkim Upadku, o swoich przygodach z Gają czy wyczynach innych ludzi, którzy też pragnęli zostać cudownie wyleczeni, doświadczał bólu tak potwornego, że nie był w stanie wymówić ani słowa.

Ból pojawiał się najpierw w żołądku, a potem gwałtownie atakował wszystkie pozostałe mięśnie; było to tak, jakby jego ciało drażyły rozpalone do czerwoności węże.

Poinformowano go, że nie istnieją żadne wyjątki. Wiedział, że tego też nie będzie sprawdzał. Gdyby spróbował opisać swoje doświadczenia, wynik byłby taki sam. Gdy mu zadawano pytanie, które wkraczało na śliski grunt, nie potrafił nawet odpowiedzieć tak lub nie: dopuszczalną repliką było „bez komentarza”, a „nie twój interes” jeszcze lepszą. A najbardziej było w ogóle nic nie mówić.

Dla tych, którzy nie padali jego ofiarą, system ten posiadał pewną zaletę. Na ile Chris się orientował, był niezawodny.

Wszyscy goście Gai musieli skorzystać z systemu kapsularnych wind, nawet jeśli usiłowali dotrzeć do wewnętrznej obręczy z zewnętrznych doków. Podczas jazdy usypiano ich, badano i oczyszczano przed wypuszczeniem. Nikt będący w posiadaniu

zabronionej wiedzy nie mógł opuścić Gai, nie otrzymawszy przedtem bloku.

Chris odkrył, że najlepiej było zachowywać absolutną ostrożność wobec wszystkich, wyjąwszy Robin, Valihę i pozostałe tytanie. Byli na Gai ludzie, którzy wiedzieli, że on wie, ale trudno się było dowiedzieć, którzy to są. W przypadkach, kiedy nie był całkowicie pewny wystarczyło otworzyć usta, a zaraz odczuwał ostrzegający skręt przypominający ból zęba. Jedna dawka awersyjnego uwarunkowania wystarczała. Robin spakowała już jedną torbę i zabrała się za następną. Chris widział, jak podnosi mały termometr, zastanawia się chwilę, po czym wrzuca go do sakwy. Potrafił ją zrozumieć. Wiele przedmiotów, które miała przy sobie podczas wyprawy nabrało teraz wartości pamiątkowej. Jakby tego nie było dosyć, po ich powrocie okazało się, że wszystkie tytanie w mieście miały ochotę odwiedzić ich i obdarować jakąś uroczą błyskotką. W domu Valihy zabrakło miejsca na półkach, kiedy poustawiali na nich wszystkie trofea Chrisa.

– Wciąż tego wszystkiego nie rozumiem – zastanawiała się Robin, starannie owijając w papier przepięknie rzeźbiony komplet drewnianych noży, widelców i łyżek. – Nie narzekam, po prostu wciąż nie wiem, jak ja to wszystko spakuję... wciąż nie rozumiem dlaczego my to wszystko dostajemy? Nic dla nich nie zrobiliśmy.

– Valiha mi to kiedyś wyjaśniała – powiedział Chris.

– Jesteśmy sławni. Sławni umiarkowanie, nie tak jak Cirocco. Byliśmy pielgrzymami i wróciliśmy uzdrowieni, więc Gaja uznała, że jesteśmy bohaterami. To oznacza, że warto nam dawać podarunki. Poza tym, choć tytanie wiecznie się zarzekają, że nie są przesądne, uważają nas za szczęściarzy, ponieważ przeżyliśmy to wszystko. Mają nadzieję, że jeśli się o nas otrą, to trochę im się tego szczęścia udzieli i przyda na czas następnego karnawału. – Spojrzał na swoje dłonie.

– W moim przypadku chodzi o coś jeszcze innego. Możesz to nazwać

skrzyżowaniem gwiazdki ze zwyczajem dawania prezentów ślubnych. Będę należał do ich społeczności. Chcą, żebym się czuł jak u siebie w domu.

Robin spojrzała na niego, otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, a potem znowu je zamknęła. Na powrót zajęła się pakowaniem.

– Myślisz, że robię błąd – powiedział Chris.

– Nie powiedziałam tego. Nie powiedziałabym tego, nawet gdybym tak myślała, a przecież tak nie jest. Wiem, ile znaczy dla ciebie Valiha. Tak mi się przynajmniej wydaje, chociaż osobiście nigdy czegoś takiego do nikogo nie czułam.

– Ja myślę, że to ty robisz błąd – powiedział Chris. Robin podniosła ręce, odwróciła się i wrzasnęła na niego.

– Posłuchaj, co ty gadasz. Nagle okazało się, że to ja się bawię w dyplomację, a ty gadasz wszystkie te bzdety, jakie ci przychodzą do głowy. A niech cię cholera! Staralam się być miła, a mogłam przecież powiedzieć, że wiem, że ty nie jesteś pewien tego, co robisz. Nie do końca pewien. Przez resztę życia będziesz się bał Gai, a poza tym nie wiesz jeszcze, jak się poczujesz, kiedy Valiha sprowadzi sobie nowych kochanków. Myślisz, że potrafisz z tym żyć, ale pewności nie masz.

– Czy mogę się usprawiedliwić?

– Jeszcze chwilę, jeszcze nie skończyłam krzyczeć. – nagle wzruszyła ramionami, usiadła na łóżku obok niego i zaczęła mówić ciszej. – Ja też nie wiem, czy nie popełniam błędu. Trini... – Potrząsnęła ze złością głową. – Otwarto mi tutaj oczy na wiele spraw, niekoniecznie złych. Boję się, że zmiany, które we mnie zaszły, utrudnią mi życie w domu. A skoro już mówię o domu, to muszę się przyznać, że czasami trudno mi go sobie przypomnieć. Mam wrażenie, że jestem tu od miliona lat. Zrozumiałam, że niektóre

rzeczy, w które wierzą moje siostry, to bajki, ale chyba nie będę w stanie im tego powiedzieć.

– Które rzeczy, na przykład?

Spojrzała na niego z ukosa i uśmiechnęła się lekko.

– Chcesz usłyszeć ostatnie sprawozdanie kobiety z Marsa, tak? Okay. Wiem na pewno, że ludzki penis nie jest tak długi, jak moje ramię, niezależnie od tego, czego chcieliby mężczyźni. Moja matka myliła się zupełnie. Nie wiedziała chyba, co mówi, twierdząc, że wszyscy mężczyźni chcą cały czas gwałcić kobiety i że wszyscy są źli. Często rozmawiałam z Trini ostatnimi czasy. Po raz pierwszy mogłam spędzić trochę czasu z kobietą, która zna ludzi z Ziemi. Uważam, że wszystkie opowieści, jakie słyszałam przedtem były przesadzone. System represji i wyzysku nie jest ani aż taki zły, ani taki otwarty jak mi wmawiano, ale jednak przetrwał całe stulecie, odkąd moje siostry opuściły Ziemię. Zadałam sobie pytanie, czy zalecałabym komukolwiek wprowadzenie zmian w konwencji i moja odpowiedź brzmi: nie. Gdybym znalazła społeczeństwo ludzi absolutnie równych, może odpowiedź byłaby inna, ale tego też nie jestem pewna. Jakiemu celowi miałyby to służyć? Dajemy sobie radę. Nie ma w nas nic nienormalnego. Naprawdę, bardzo niewiele moich sióstr zaufałoby jakimukolwiek mężczyźnie, a jeszcze mniej pokochałoby mężczyznę, więc po co miałyby wracać z powrotem na Ziemię?

– Nie wiem – powiedział Chris. Nie chciał jednak, by odebrała to jako objaw dezaprobaty, więc dodał: – Nie mam zamiaru krytykować konwentu. Wcale nie musisz bronić swojego sposobu życia. On nie potrzebuje obrony.

Robin znowu wzruszyła ramionami.

– Trochę chyba potrzebuje, bo inaczej nie reagowałabym tak gwałtownie. Nie

przejmuję się tym tak bardzo. Z początku będzie mi trudno nie mówić o pewnych rzeczach, których się dowiedziałem, ale taka praktyka przyda mi się w przypadku spraw, o których absolutnie nie wolno mi mówić.

Jakiś czas siedzieli obok siebie w milczeniu, każde pochłonięte własnymi myślami.

Chris rozmyślał o tym, co jego zdaniem omal nie zaszło między nimi – czy raczej o tej możliwości, która się nagle otwarła. Była jednak zbyt niewielka, by pozwalać sobie na jakiegokolwiek spekulacje. Darzył tę zapalczywą dziewczynę wielkim szacunkiem i ogromną sympatią. Teraz była trochę osowiała, ale bynajmniej nie przybita, a jego przywiązanie nie uległo osłabieniu.

Przyszła mu do głowy pewna myśl i postanowił spróbować.

– Na twoim miejscu nie przejmowałbym się tak bardzo powrotem do społeczności – powiedział.

– Co to znaczy?

– Twój nowy palec. Przez wyhodowanie nowego zyskałaś mnóstwo labry.

Patrzyła przez chwilę na swoją dłoń, a potem uśmiechnęła się złośliwie.

– Wiesz, chyba masz rację.

Podszedł do okna i popatrzył w dół, gdzie obok wejścia na schody cierpliwie czekała Valiha.

– Kiedy odlatuje twój statek?

Chris uśmiechnął się, kiedy spojrzała na zegarek. On też nosił zegarek. Obydwoje cały czas musieli wiedzieć, która jest godzina.

– Za deka... za dziesięć godzin.

– Valiha przygotowała jedzenie na piknik. Zna jedno przyjemne, chłodne miejsce nad rzeką. I tak mieliśmy cię zaprosić, ale to może być przyjęcie pożegnalne.

Przyjdiesz?

Uśmiechnęła się.

– Z chęcią. Tylko najpierw to wszystko spakuję.

Pomógł jej i wkrótce na podłodze stanęły rzędem trzy wypchane torby. Robin podniosła dwie i usiłowała wziąć jeszcze trzecią.

– Czy mogę ci pomóc?

– Nie, poradzę... co ja mówię? Ja wezmę te dwie, a ty schwyć trzecią. Możemy zlecić w recepcji, by odesłali je na statek.

Wyszedł razem z nią i pomógł nadać bagaż. Potem przyłączyli się do Valihy i Serpenta. Cała ich czwórka wyruszyła spacerowym krokiem spod drzewa Titantown w stronę tytanicznego łuku hyperiońskiego okna Gai. Dzień był upalny, ale od Okeanosa wiała lekka bryza, zapowiadając chłodniejszą pogodę. W powietrzu unosiła się mgiełka napływająca z odległego zakątka płaskowyżu, w którym siły powietrzne Cirocco odnalazły stworzenie wytwarzające paliwo i wspomagające rakiety. Pożar trwał przez pół kiloobrotu.

Mimo to powietrze było pachnące, wypełnione wonią nadchodzących żniw i wolne od wszelkiej groźby. Wędrowali pokrytą kurzem ścieżką wijącą się wśród łagodnych wzgórz. Z obu stron, niczym ramiona troskliwej matki, unosiły się ku niebu potężne krzywizny Gai.

Rozłożyli koc nad brzegiem Ophionu. Zaczęli jeść. Chris wpatrywał się w rzekę, zastanawiając się, ile wody przepłynęło już w tym miejscu i ile jeszcze przepłynie, zanim Gaja osiągnie kres swego długiego życia. Kiedy tytanie zaczęły śpiewać, przyłączył się do nich bez żadnych zahamowań. Po jakimś czasie zawtórowała im nawet Robin. Śmiali się, pili, trochę płakali i śpiewali, aż nadszedł czas, by wracać.

EPILOG

Semper fidelis

Koło wciąż się obracało i Gaja wciąż była samotna. Terrański statek śmierci pozostawał wciąż tam, gdzie zawsze: ukryty głęboko w studni grawitacji Saturna. Załoga zmieniała się co roku, ratując swych poprzedników od zanudzenia się na śmierć. Co dziesięć lat dokonywano przeglądu znajdującej się na pokładzie broni nuklearnej i wymieniano wadliwie działające elementy.

Nie była to czcza pogróżka, ale Gaja niezmiennie ja ignorowała. Statek nigdy jej nie zaatakował, bo nie miał po temu żadnych powodów. Gaja była całkowicie bezpieczna dopóty, dopóki Ziemia jej potrzebowała, dbała więc o to, by ten stan się nie zmienił. Było polityczną niemożliwością podejmowanie jakichkolwiek prób zwalczania jej czy to pod rządami dyktatur, czy demokracji ziemskich. Gdyby sprawa prób dotarła do wiadomości mieszkańców Ziemi, wywołałaby oczywiście chwilowy niepokój, ale raczej niewielki. Gaja miała w zanadrzu wiele prezentów. System zabezpieczający zbudowała dla własnej rozrywki – bawiło ją, że pielgrzymi przybywają nie spodziewając się niczego.

Miarą jej pewności siebie był fakt, że niebezpieczeństwo, jakiego mogła się obawiać ze strony Ziemi oceniała nieco niżej od niebezpieczeństwa, które jej groziło ze strony zdradzieckiej Czarodziejki, a i ono było tak niewielkie, że trudno było je w ogóle brać pod uwagę. Gaja była jednak istotą ostrożną. Wysoko w piaście jej myśli wirowały szybciej niż światło w krystalicznej matrycy przestrzeni, której możliwości istnienia zaprzeczały dekrety ludzkiej fizyki. W matrycy ziały wielkie otwory, jak dziury w popsutych zębach, ale pomimo postępującego rozkładu jej umysł wciąż przyćmiewał swą mocą wszystkie ludzkie komputery razem wzięte.

Uzyskała spodziewaną odpowiedź. Cirocco rzeczywiście nie stanowiła żadnego zagrożenia.

Płaskowyże na Gai były czymś zupełnie wyjątkowym. Chociaż każdy ich kilometr był połączony z jakimś regionalnym mózgiem, kontrola jaką można było nad nimi sprawować z dalekich centrów władzy była całkowicie nieznacząca. W pewnym sensie stanowiły terytoria neutralne.

W strefie mroku dzielącej Reę od Hyperiona, na prawie niedosiężnych szczytach płaskowyżów, straż u wejścia do jaskini pełniła samotna tytania. W okolicy pieniały się miliardy krzaków kokainy. Strażniczka usłyszała wołanie i weszła do środka.

Cirocco Jones, do niedawna Czarodziejka Gai, teraz nazywana Demonem, obudziła się zlaną zimnym potem. Była naga, a przez naciągniętą skórę prześwitywały żebra.

Miała głęboko zapadnięte oczy. Piszczalka podszedł do niej i przytrzymał tak długo, aż drgawki ustały. Odkryła zapas alkoholu wkrótce po wylądowaniu w Hyperionie, mimo iż Sklep z Melodiami został doszczętnie zrujnowany przez najbardziej osobliwe zjawisko, jakie kiedykolwiek oglądano na Gai: deszcz katedr. Piszczalka znalazł ją i sprowadził do jaskini.

Przytrzymał jej głowę i przyłożył do ust kubek z wodą. Kiedy zaczęła kaszleć, ułożył ją z powrotem na posłaniu.

Wkrótce otworzyła oczy. Po raz pierwszy od wielu dni usiadła o własnych siłach.

Piszczalka spojrział jej w oczy, dostrzegł ogień, którego tak dawno już w nich nie było i przepełniła go radość.

Gaja wkrótce usłyszy o Demonie.